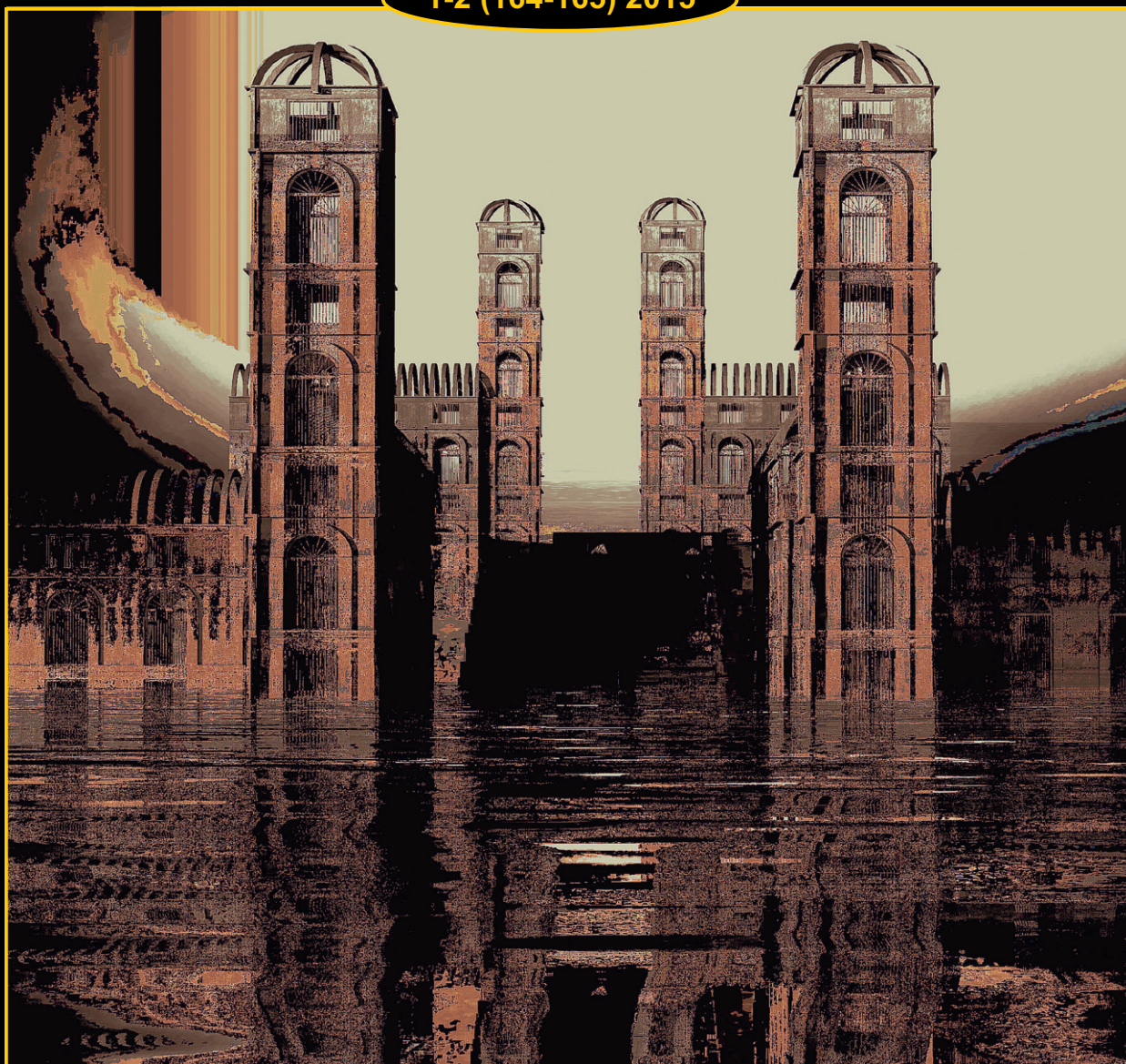


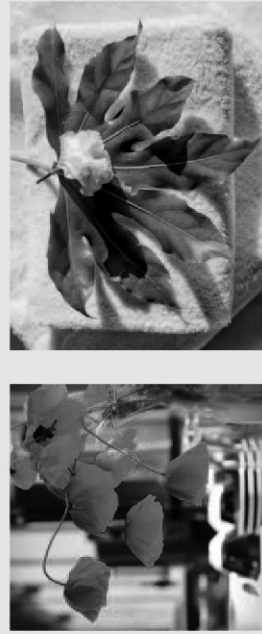
ZDANIE

„Trzech na jednego”
z ANDRZEJEM SEWERYNEM

T. Zatorski,	A. Romanowski, J. Widacki,
AGNOSTYK WŚRÓD ATEISTÓW	POLSKA - UKRAINA - ROSJA (dwugłos)
A. Walicki,	A. Pacuła,
MARKSIZM JAKO UKŁAD ODNIESIENIA...	JACEK KACZMARSKI. BARD I „BŁAZEN”
M. Pilot, GODY (proza)	

1-2 (164-165) 2015





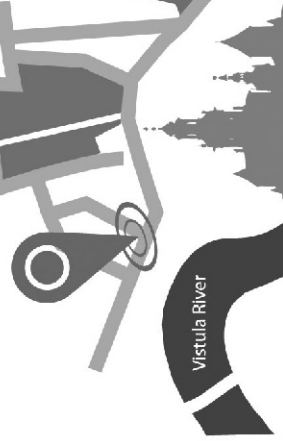
pl. Na Groblach 22, 31-101 Kraków

tel. +48 12 426 26 26

fax +48 12 422 33 99

rezerwacja@hotelpodwawelem.pl

www.hotelpodwawelem.pl



Pod Wawelem
HOTEL ***



ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (164–165) 2015

OD REDAKTORA

Pozycja kultury polskiej w kraju i na świecie jest na pewno wyższa niżby to wynikało z corocznie uchwalanego przez Sejm budżetu na ten cel. Toteż twórcy i instytucje kultury wśród beneficjentów transformacji ustrojowej plasują się na dalszych miejscach. Narzekają zwłaszcza ludzie teatru, że nie starcza pieniędzy na premiery. Ale te niedostatki wynagradza publiczność, która tłumnie odwiedza teatry. Zjawisko to można na różne sposoby tłumaczyć. Krytyka od 20. lat lansuje tezę, że nowe w nowym teatrze ma się świetnie, lecz publiczność niekoniecznie jest tego zdania i preferuje raczej spektakle odpowiadające jej gustom i przyzwyczajeniom. I dlatego w cyklu „Trzech na jednego” rozmawiamy z aktorem i dyrektorem, którego owa krytyka uznała za ikonę tradycyjnego teatru. Obyśmy więcej takich ikon mieli, bo Andrzej Seweryn, gdyż to o nim mowa, swoją pozycję i wielkość

w teatrze współczesnym potwierdził – jak nikt inny – w konfrontacji międzynarodowej.

Ten numer „Zdania” ukazuje się w kwietniu, dokładnie w 40. rocznicę powstania „Kuźnicy”. Jej aktualny prezes, Andrzej Kurz, z tej okazji przypomina dzieje stowarzyszenia, znane i cenione postaci oraz najważniejsze dokonania. „Zdanie” jako pismo reprezentujące to środowisko życzy „Kuźnicy” trwania w dobrej kondycji, a przede wszystkim ciągłego odmładzania, sobie zresztą także. Życzymy zatem godnych następców – kontynuatorów rozpoczętego 40 lat temu dzieła.

A poza tym polecam teksty wszystkich Autorów tego numeru – z nadzieją, że dostarczą satysfakcjonującej lektury.

EDWARD CHUDZIŃSKI

ANDRZEJ SEWERYN UPOMINAM SIĘ O TEATR, KTÓRY ODWOŁUJE SIĘ DO TRADYCJI „Trzech na jednego”	3
Tadeusz Zatorski MIĘDZY FRONTAMI: AGNOSTYK WŚRÓD ATEISTÓW, WYZAWCÓW I POSZUKUJĄCYCH	13
Marek Tabin EMOCJE CODZIENNE A ISTNIENIE PAŃSTWA	21
Marek Zagajewski DOBRA EKONOMIA I EKONOMIA DOBRA	26
Henryk Domański O OTWARTOŚCI STRUKTURY SPOŁECZNEJ	36
Edward Karolczuk LIBERALNE WARTOŚCI A BOHATERZY I DEZERTERZY	39
Jan Szymd SPOŁECZEŃSTWO INFORMACYJNE – NADZIEJA I PRZESTROGA	46
Andrzej Walicki MARKSIZM JAKO UKŁAD ODNIESIENIA, PRZEDMIOT KRYTYKI I ŹRÓDŁO INSPIRACJI	51
Marcin Kula PAMIĘĆ NARODÓW TO WIELONUTOWY POEMAT	60
Mateusz Burzawa JAK NAPRAWIĆ LEWICĘ?	63
Andrzej Romanowski POLITYKA A CZYTANIE HISTORII	67
Jan Widacki PUTIN REALIZUJE WŁAŚNIE ROSYJSKĄ POLITYKĘ	70
Andrzej Kurz „KUŹNICA” ŻYJE JUŻ 40 LAT!	73

77	Jan Pieszczachowicz UPOLITYCZNIONE ŻYCIE LITERACKIE
80	Andrzej Pacuła JACEK KACZMARSKI – BARD I „BŁAZEN”
89	Marian Pilot GODY
95	Stanisław Burkot PRAWDA I ZMYŚLENIE – WERSJA KONWICKIEGO
99	Stanisław Stabro PIESZCZACHOWICZA <i>SILVA RERUM</i>
102	Andrzej Pacuła WIERŠE
104	Jacek Wojciechowski POWŚCIĄGLIWOSC. OSTROŻNOŚĆ. UMIAR
111	Janusz Dobieszewski BERLIN DO WALICKIEGO, WALICKI O BERLINIE I KILKA UWAG
114	Janusz Tazbir CZY CHRYSTUS BYŁ I NA INNYCH PLANETACH?
118	Stanisław Gębala DZIECIAKI
121	Marian Stepień O „KUŹNICY” (cz. III Dziennika)
129	Krzysztof Komornicki ZJAZD CZYLI MENAŻERIA
130	Tomasz Goban-Klas JE SUIS KALASCHNIKOF
131	Sceptyk DYSKRETNY UROK REWIZJONIZMU



Fot. Krzysztof Żuczkowski

trzech na jednego

JEDEN:

ANDRZEJ SEWERYN

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

ADAM KOMOROWSKI

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

UPOMINAM SIĘ O TEATR, KTÓRY ODWOŁUJE SIĘ DO TRADYCJI

EDWARD CHUDZIŃSKI: **Zacniemy, zgodnie z tradycją naszych rozmów, od biografii. Urodził się Pan w Niemczech, w Heilbronn. Co to za miejscowość? I dlaczego tam?**

ANDRZEJ SEWERYN: Ponieważ ta rozmowa będzie miała dość poważny charakter, to na początku muszę wyznać, że jestem zmęczony nadmiarem komunikowania się z mediami. To znaczy ja mam już, niestety, w sobie wyrobione automatyczne odpowiedzi. I bardzo was proszę, byście tego nie akceptowali. Pytają mnie np.: Jaką rolę odegrał w pańskim życiu Peter Brook? To ja jak automat powtarzam: tolerancja, otwarcie, ciało, języki.

ADAM KOMOROWSKI: **Pytamy o te Niemcy, ponieważ jest Pan jednym z trzech bardzo ważnych dla współczesnej kultury Polaków, których narodziny poza krajem były związane z wojenną zawieruchą spowodowaną przez III Rzeszę. To Ryszard Krynicki, Igor Mitoraj i Pan.**

SEWERYN: Rysiek Krynicki?

CHUDZIŃSKI: **Tak, urodził się w Austrii w czasie wojny.**

SEWERYN: Dobrze, więc było tak – rodzice zostali wywiezieni na roboty do Niemiec. Właściwie wówczas jeszcze nie rodzice, ale dwoje młodych ludzi, którzy poznali się w Niemczech na robotach przymusowych. Pracowali w cegielniach. Pamiętam, że ojciec mówił o cegielniach. Pracowali w Bremen i Wenisbergu. Natomiast ja urodziłem się w Heilbronn (Badenia – Wirtembergia). Kiedyś tam pojechałem, to było w stanie wojennym, podczas mojego pobytu we Francji. Z Wolnej

Europy dostałem propozycję przyjazdu do Monachium, by nagrać wiersze Wiktora Boruszyckiego. Przyjaciele pożyczili mi samochód i tak znalazłem się w miejscu mojego urodzenia. Poszedłem do urzędu, gdzie wydał mi metrykę, którą mam do dziś.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ: **Więc może stąd ta znajomość, wśród kilku języków, w których Pan gra, niemieckiego?**

SEWERYN: Moja mama, dzięki temu przymusowemu pobytowi, opanowała dobrze język niemiecki. I potem, dbając o moją edukację, namówiła mnie, żebym uczył się tego języka. W liceum chodziłem przez rok do klasy z językiem niemieckim, ale ponieważ byłem uczniem dość niesfornym, przeniesiono mnie do innej klasy, gdzie uczyłem się innego języka. I dlatego mama zorganizowała mi jakieś dodatkowe lekcje. Potem nastąpiła długa przerwa i dopiero w latach 70. zagrałem po niemiecku w trzech filmach w NRD. Tytuły mam gdzieś zapisane. Nie jest to jednak przedmiot mojej szczególnej dumy. W każdym razie zarabiałem jakieś marki, które w sposób niezwykle przebiegły, schowane pod poduszką, w nocnym pociągu z Berlina do Warszawy, wwoziłem do Polski. Takiego kretyna jak ja niełatwo spotkać. Kiedyś wiozłem dla córki Pani Rysiówny i Pana Hanuszkiewicza kozuch do Szwecji. Nikt z celników się nie zorientował, ale ten „przemyt” to też był idiotyzm, ponieważ swojego nie miałem, więc mogłem w ostateczności włożyć go na siebie.

CHUDZIŃSKI: **Cofnijmy się do bardziej odległych czasów. Ma Pan dwa lata, rodzina wraca z Niemiec do Polski.**

SEWERYN: Jedziemy wtedy do Skolimowa. Mieszkamy tam jakiś rok, a potem już na stałe na Żoliborzu. W tym mieszkaniu do dziś mieszka moja mama, ma 92 lata. Ojciec bardzo szybko nas opuścił i wszystko było na jej głowie.

CHUDZIŃSKI: **Pamiętam rozmowę radiową z Panem po powrocie do Polski. Dziennikarka oczekiwała ostrej oceny lat spędzonych w PRL-u, a tymczasem Pan oświadczył, że gdyby nie PRL, nigdy nie zostałby aktorem.**

SEWERYN: To oczywiste. Przecież gdzie indziej, jak choćby we Francji, żeby zostać aktorem trzeba mieć pieniądze. Uczyłem w Konserwatorium w Paryżu i Szkole Technik Teatralnych w Lyonie i wiem, jak młodzi ludzie tam żyją. Moja ówczesna sytuacja materialna w Polsce, gdyby trzeba było płacić za studia, nie pozwoliłaby mi pójść do PWST. Swego czasu nie przyjąłem nagrody im. Zbigniewa Cybulskiego, bo przyznano mi ją za to, że nie dostałem nagród w PRL-u z powodów politycznych. Uznano, że byłem prześladowanym geniuszem, wszystkie jury proponowały mnie do nagród, ale w wyniku sprzeciwu Gomułki czy Gierka tych nagród nie otrzymywałem. To oczywiście bzdury. Wystosowałem w tej sprawie długi list, z którego PAP opublikowała dwa zdania, natomiast „Gazeta Wyborcza”, mimo obietnic, w ogóle o nim nie wspomniała. A ja w tym liście upomniałem się o Byrskich, Teatr 8 Dnia czy Dejmka, którzy mieliby prawo mówić o prześladowaniu, ale nie ja! Wspomniałem też innych artystów dyskryminowanych przez ówczesne władze, podkreślając jednocześnie, że w Polsce owe prześladowania miały się nijak do represji stosowanych wobec ludzi kultury w innych krajach komunistycznych, jak NRD, Rumunia czy ZSRR. Zadałem w tym liście pytanie, gdzie w Polsce są ci artyści, którym przetrącono kark. Może czegoś nie wiem.

CHUDZIŃSKI: **W Pana przypadku, mimo dużej aktywności w Marcu '68 i zaangażowania się w protesty przeciwko inwazji na Czechosłowację, co skończyło się trzymiesięcznym pobytem w więzieniu, władza jakby puściła w niepamięć owe „błędy młodości” i w latach 70. nie przeszkadzała w rozbudowie kariery młodemu aktorowi.**

SEWERYN: Przez podpisanie jakiegoś listu do władz, to było w czasie małżeństwa z Krystyną Jandą, miałem zakaz pracy w telewizji i radiu. Ale ja zawsze powtarzam – kiedy siedziałem w więzieniu Jan Świdorski i dyrektor Janusz Warmiński, członkowie PZPR interweniowali w mojej sprawie u władz partyjnych i w prokuraturze. Oczywiście w więzieniu miałem tak jak inni. Ciągłe mi powtarzano: pan jest nasz, a Blumsztajn, Smolar, Blajfer, Dojczgewand to są ci inni. Kiedy wychodzę z więzienia, bo objęła mnie amnestia, dowiaduję się, że nie dotyczy to Bogusi Blajfer. Między innymi z tego powodu wzięliśmy ślub, żeby ona mogła wyjść. Rzecz w tym, że po moim wyjściu na wolność Włodzimierz Sokorski, prezes Radiokomiteu, proponuje mi udział w telewizyjnym spektaklu *Milczenie*, razem ze Świdorskim i Zapasiewiczem, w reżyserii Ireneusza Kanickiego. Otóż taka była rzeczywistość peerelowska, dziś PiS nie może tego pojąć. Co ja mówię, nie tylko PiS, większość społeczeństwa nie chce tego zrozumieć, nad tym się pochylić. Lenistwo intelektualne nie dotyczy tylko Francuzów na temat polskiego anty-

semityzmu, ale także połowy Polaków na temat kraju, w którym przyszło im żyć.

CHUDZIŃSKI: **Nie chcemy wchodzić zbyt głęboko w życiorys, ale...**

SEWERYN: Tak, kontrolujcie mnie trochę, ponieważ zaczęliśmy od Heilbronn, a jesteśmy nie wiadomo gdzie. A więc powróćmy do kwestii, kiedy mówię, że Polska Ludowa dała mi wykształcenie. Otóż w *Weselu*, w roli Gospodarza, jest takie zdanie: „W twarz wam mówię litość moja...”. Otóż tę prawdę, że to Polska Ludowa dała mi wykształcenie w twarz wam mówię. Nie mogłbym zdobyć takiego wykształcenia w kraju kapitalistycznym z powodu mojej sytuacji społecznej i materialnej.

MROZIEWICZ: **Bo tam trzeba, po prostu, za nie zapłacić.**

SEWERYN: Mieszkając przez kilka lat w Paryżu i ucząc w konserwatorium miałem głębokie poczucie, że byłem uprzywilejowany w stosunku do moich studentów w czasach, kiedy byłem w ich wieku.

CHUDZIŃSKI: **Pani Radziwiłł, polonistka w liceum, a po 1989 roku wiceminister edukacji, odradzała Panu szkołę aktorską.**

SEWERYN: Bardzo. Była przecież księżniczką.

MROZIEWICZ: **Być może widziała w Panu przyszłego historyka.**

SEWERYN: Myślę, że ona знаła prawdę, że ja jestem po prostu średni. Natomiast Pani Profesor jako prawdziwa arystokratka miała głęboką – mówię to z miłości do niej – pogardę dla aktorów. Dla tych, którzy w czasach Moliera nie mogli być chowani w poświęconej ziemi.

CHUDZIŃSKI: **W Krakowie jeszcze w okresie Młodej Polski aktorów zapraszano na salony, żeby uświetnili swoim występem przyjęcie, ale wpuszczano ich wejściem dla służby.**

SEWERYN: Brat mojego dziadka ze strony ojca, profesor Tadeusz Seweryn, członek Żegoty, wybitny znawca kultury ludowej, dyrektor Muzeum Etnograficznego w Krakowie...

KOMOROWSKI: **A więc związki rodzinne z Krakowem Pan ma...**

SEWERYN: Nigdy nie miałem czasu zbyt dużo zajmować się genealogią. Ale ten brat dziadka nie pozwolił córce, Hannie Sobolewskiej zostać aktorką. Więc ona uciekła z domu, by studiować w szkole aktorskiej. W każdym razie aktorką została. Być może on miał rację, bo miłość do teatru nie oznacza automatycznie, że decyzja zostania aktorem jest sensowna.

KOMOROWSKI: **Więc dziadek i jego brat byli związani z Krakowem.**

SEWERYN: Dziadek był lekarzem wojskowym jeszcze w wojsku austriackim. Ale naszą małą ojczyzną jest Żabno. Tam pochowany jest Wojciech Seweryn, działacz Polonii w Chicago, syn oficera zabitego w Katyniu. Tam w Chicago doprowadził do wybudowania pomnika katyńskiego. Urodził się 28 sierpnia 1939, więc ojca swojego nie widział, ponieważ pojechał na front i został zabity w Katyniu. Dlatego Katyń był dla niego pewnego rodzaju obsesją. Kilkakrotnie był w Katyniu. W kwietniu 2010 roku miał już bilet na pociąg, ale zadzwoniono do niego, że jest zaproszony na pokład samolotu prezydenckiego; zginął w katastrofie smoleńskiej. Można powiedzieć, że połączył się ze swoim ojcem w Katyniu.

CHUDZIŃSKI: Do szkoły teatralnej dostał się Pan za pierwszym podejściem?

SEWERYN: Niezręcznie się chwalić, ale to był jeden z najkrótszych egzaminów w moim życiu. I w ogóle jeden z najkrótszych egzaminów w warszawskiej PWST, przynajmniej tak mi mówiono.

KOMOROWSKI: Ale wspomina Pan, że ojciec starał się o protekcję. Jako ważny działacz gospodarczy zapewne miał jakieś doświadczenia.

SEWERYN: To nie chodziło o protekcję. Ojciec był absolutnie przeciwny moim planom. On chciał, żebym poszedł do szkoły wojskowej i został oficerem. Ja rozumiem jego intencje. On chciał, żebym miał zapewniony byt, oficerską pensję, emeryturę. Ale w pewnym momencie ojciec rzeczywiście chciał mi pomóc. Znalazł przez kogoś aktora w Warszawie, jego nazwisko niestety wypadło mi z pamięci, to było gdzieś na Wilczej i pamiętam, że u niego mówiłem ten tekst Władysława Broniewskiego, którym potem popisałem się na egzaminie. Nad tym tekstem pracowałem przedtem z Jerzym Kamińskim, aktorem Teatru Rozmaitości, który prowadził Kółko Teatralne w Pałacu Kultury i Nauki. Piękny tekst Broniewskiego, mało znany wiersz **Ostatnia wojna:**

Dosyć!

Skończcie już raz z tem!

Przestańcie krzyczeć „Śława!”...

Patrzcie:

armia przeciąga miastem,

ta która biła się za was.

Dziwicie się?

Potrącałicie głowy?

I nikt właściwie nie wie:

czy wojna się zacznie znowu,

czy tylko urzędują rewie?

– My bardzo kochamy żołnierzy,

my im rzucamy kwiaty,

a zresztą... państwo im płaci.

Ale tu – ktoś by uwierzył,

że ci w cuchnących szmatach,

to nasi ojcowie i bracia.

...

To o wojnie polsko-bolszewickiej. A propos, widziałem przedstawienie *Bitwa Warszawska*. To jest rzecz, przepraszam za słowa, o pierdzącym, pierdołącym, ciągle zaspanym kretyńce Józefie Piłsudskim, szlachetnym, uwikłanym w historię Broniewskim sekowanym przez tegoż Piłsudskiego, jak również o dramatycznych losach Feliksa Dzierżyńskiego, który na końcu przedstawienia zwraca się do publiczności słowami: „Przepraszam was, nie udało mi się”. Nie mówi: wybaczenie mi, wymordowałem mnóstwo ludzi, tylko – „Nie udało mi się”. Takie przedstawienia powstają dzisiaj w Polsce demokratycznej. Reżyseria: Monika Strzępka, scena Narodowego Starego Teatru. Trzeba to zobaczyć.

Przypomniałem wiersz Broniewskiego, o którym mówię zawsze podczas swojego przedstawienia *Szekspir forever*, rozmawiając z publicznością. Szekspir z jednej strony obnaża władzę, ale z drugiej strony wie, że bez państwa, czyli bez władzy nie ma możliwości istnienia. Szczególnie w sytuacjach niebezpieczeństwa wojennego. I wtedy mówię monolog Henryka V, nawet trzy jego monologi: ten przed bitwą, po bitwie i trzeci

o odpowiedzialności króla. I wtedy pozwalam sobie cytować Broniewskiego *Bagnet na broń*: „Kiedy przyjdą podpalić dom,/ ten w którym mieszkasz – Polskę...”

KOMOROWSKI: Szekspir w czym przekładzie?

SEWERYN: Piotra Kamińskiego. Wdzięcznym mu za jego piękną robotę.

KOMOROWSKI: Ale wróćmy do ojca.

SEWERYN: Ojciec był działaczem gospodarczym, najpierw pracował we Wrocławiu w TOS-ie, potem w OZNS w Opolu, a za Gierka został dyrektorem Fabryki Samochodów Dostawczych w Nysie i należał do ekipy premiera Wrzaszczyka. Oni naprawdę wierzyli, że modernizują Polskę.

CHUDZIŃSKI: A teraz niech nam Pan coś powie o PWST. Tym bardziej że ma Pan skalę porównawczą ze szkołami teatralnymi we Francji, gdzie Pan uczył.

SEWERYN: Pracowałem przez siedem lat w Conservatoire w Paryżu, czyli najważniejszej i najstarszej szkole teatralnej we Francji. A w Lyonie w Szkole Technik Teatralnych ENSATT, która została założona w 1943 roku przez rząd Vichy. Znajdowała się ona na ulicy Blanche, stąd potoczna jej nazwa Ecole de la rue Blanche. Ta szkoła była zawsze konkurentką Konserwatorium. Oprócz tego brałem udział w rozmaitych stażach, atelier itp. Byłem dla nich taką trochę „świeżą dupą”. Oto jakiś facet, inny niż my, przyjechał „stamtąd”, grał w filmach Wajdy. Tak chyba mnie odbierano. A ja nauczyłem się dobrze mówić po francusku, więc miałem pogłębiony kontakt z kulturą francuską, a nie turystyczno-hotelowy. Francja nigdy nie była dla mnie hotelem.

A teraz jak to było w Polsce. W szkole teatralnej miałem poczucie, że jestem w systemie.

CHUDZIŃSKI: To było za rektora Kreczmara?

SEWERYN: Tak, zostałem przyjęty jeszcze przez profesora Kreczmara. Potem rektorem był profesor Krasnowiecki, a Tadeusz Łomnicki jako prorektor tylko czekał, żeby objąć to stanowisko. Ja miałem poczucie, że jestem elementem pewnego systemu, w którym na pierwszym roku uczą mnie elementarnych zadań aktorskich, na drugim scen, pracy nad rolą na trzecim i udziału w przedstawieniu, w kostiumach i charakterystyce na czwartym. Ale to wszystko odbywało się jakby w zamknięciu. Pozwolenia na występy na zewnątrz zdarzały się rzadko. Wyjątek zrobiono dla Olbrychskiego i Zelnika. Byliśmy na jednym roku razem z Piotrem Fronczewskim.

KOMOROWSKI: Czy te zakazy pracy poza szkołą miały wówczas rację bytu?

SEWERYN: Nie wiem. Mnie to nie przeszkadzało. Z tym, że mnie nie proponowano głównych ról. Jakby mi zaproponowano pięć głównych ról, a pani profesor Tomaszewska, dziekan wydziału, nie pozwoliłaby mi, to bym pewnie narzekał.

MROZIEWICZ: Była tak ważną osobą?

SEWERYN: Umiała nauczać. Nie wiem jaką była aktorką, wywodziła się z Reduty Osterwy. Nauczała głównie dialogów, kontaktu w dialogu. Trudno mi oceniać, być może z tego co uczyło dwóch czy trzech profesorów, nie było większego pożytku, natomiast większość była dla mnie autorytetami.

CHUDZIŃSKI: Czy próbowaliście kontestować program? Pytam o to, bo kiedy zaczęliśmy wyda-

wać w Krakowie „Studenta”, dochodziły do nas wieści, że przygotowywaliście memoriał w sprawie reformy studiów, a Pan ponoć miał w tym swój udział.

SEWERYN: Może czegoś nie pamiętam, ale to brzmi zbyt poważnie.

CHUDZIŃSKI: **Chodziło m.in. o możliwość rozbicia przez was samodzielnych przedstawień, nie mieszczących się w obowiązującym programie studiów. Częściowo rozwiązano ten postulat poprzez działalność kół naukowych studentów, które takie przedstawienia firmowały. Tak było w Krakowie i z tego wyłonił się Teatr STU. A jak było w Warszawie?**

SEWERYN: Ja w takim kole naukowym pracowałem. Przygotowaliśmy *Litość Boga* francuskiego pisarza Jeana Cau, a także spektakl na podstawie *Dwunastu Błoka*. Potem zrobiłem sobie z tego samodzielny monodram, który pokazywałem na obozie studenckim ZSP w Augustowie. W namiocie miałem na stołku zapalonych 12 świec. Mówiłem poemat, patrząc w te świeczki i po każdej części gasiłem kolejną. Poezję Baczyńskiego zrealizował też z nami Ryszard Peryt, ale prorektor prof. Szczepan Baczyński nie dopuścił do premiery, uznając naszą pracę za prowokację polityczną.

Pamiętam, że koledzy buntowali się przeciwko lekcjom rytmiki. A ja, po matce dziecko chłopskiego pochodzenia, chciałem się uczyć, gdzie się tylko dało i od kogo się dało. Byłem pazerny na wiedzę i ją od profesorów starałem się wyciągać. Do dzisiaj mam problemy z rytmiką, ponieważ za mało wtedy pracowałem. Czy ja mogłem być kontestatorem? Przeciwno komu miałbym protestować? Przeciwno profesor Tomaszewskiej?

CHUDZIŃSKI: **W tych postulatach nie chodziło o profesorów, ale o program nauczania, o możliwość przygotowywania spektakli przez studentów.**

SEWERYN: Ach tak, coś pamiętam. Ale ja uwielbiałem swojego opiekuna, profesora Wyrzykowskiego.

CHUDZIŃSKI: **To jest Pan drugim fanem Wyrzykowskiego. Równie entuzjastycznie wypowiadał się o nim w rozmowie dla „Zdania” przed wielu laty Zbigniew Zapasiewicz. Mówił, że to był aktor, który niczego nie dostał od Pana Boga, był mały, wizualnie nieefekowny. Wszystko, co osiągnął jako aktor, zawdzięczał sobie.**

SEWERYN: Emanowała z niego wielka siła wewnętrzna.

KOMOROWSKI: **Możemy zatem skonstatować, że lata nauki w warszawskiej PWST wspomina Pan dobrze?**

SEWERYN: Gdy nie miałem pieniędzy, szedłem do Dziekanki, tam zawsze mogłem się pożywić w stołówce studenckiej, bo zupy i chleba starczało także dla takich jak ja. Nie chcę nikogo kokietować, ale tak było.

MROZIEWICZ: **A jak wyglądały zajęcia z przedmiotów nieteatralnych?**

SEWERYN: Miałem zajęcia ze znanym Panom Andrzejem Kurzem. Paweł Beylin, wówczas już chory, rozmawiał z nami o *Czarodziejskiej Górze*. Stefan Morawski jako marksista nic nam o tym marksizmie nie mówił, natomiast zapoznał nas z fenomenologiczną koncepcją dzieła sztuki Romana Ingardena, którą pamiętam do dziś.

KOMOROWSKI: **Morawski, wówczas jeszcze nie stygmatyzowany jako rewizjonista, wystarczająco dobrze znał Marksa, by wiedzieć, że coś takiego jak estetyka marksistowska nie istnieje.**

SEWERYN: A pamiętając zajęcia z Andrzejem Kurzem, wówczas pracownikiem KC, muszę przyznać, że wcale nie zdziwiła mnie jego późniejsza rola i związki z „Kuźnicą”. Mógł ostro krytykować, czasami to się zdarzało, Kuronia i Modzelewskiego, ale odbywało się to w warunkach swobodnej dyskusji, w której pozwalał nam się wypowiedzieć.

Doskonale pamiętam niektóre spotkania organizowane w PWST, np. ze Zbigniewem Bieńkowskim, wówczas już ostro krytycznym wobec władzy.

KOMOROWSKI: **Prawdopodobnie ma Pan na myśli Władysława, bo Zbigniew Bieńkowski to poeta.**

SEWERYN: Oczywiście. Przejęzyczenie być może wzięło się stąd, że niedawno recytowałem i nagrałem poezję Zbigniewa Bieńkowskiego, wśród innych wierszy polskich poetów (Szymborska, Grochowiak i inni), do których Komeda w 1967 roku napisał muzykę. Powstała ona do przekładów tych wierszy przez Karla Dedeciusa na język niemiecki. Komeda swoich kompozycji nigdy nie zanotował, zachowała się tylko taśma. Dzięki inicjatywie Krzysztofa Balkiewicza, zrobiliśmy z Ptaszynem Wróblewskim i jego wspianymi muzykami koncert pt. „Moja słodka europejska Ojczyzna” w Wytwórni w Łodzi. Powtórzyliśmy go nawet w Radziejowicach.

MROZIEWICZ: **I tak oto ten młody człowiek zadowolony ze studiów wpada w wir wydarzeń w marcu 1968 roku.**

SEWERYN: Już w drugiej klasie przysięgałem, z zawiązaną czerwoną chustą na szyi, na grobie Pniewskiego i Rutkowskiego, wierność idei komunizmu. Wtedy w czerwonym harcerstwie naszym szefem był Felek Kuroń, brat Jacka. Jeździliśmy na różne obozy, nie wszystkie pamiętam.

To, o co Panowie pytacie, miało miejsce wiele lat później, ale nie miało nic wspólnego ze sprzeciwem wobec szkoły teatralnej. Wręcz przeciwnie. Miałem poczucie, że występuję w obronie teatru, kultury narodowej. Natomiast Jacek Kuroń był przeciwny naszej akcji, a ja ciągle znajdowałem się w orbicie jego wpływów. Z jednej strony miałem kontakty z „walterowcami”, a z drugiej godziny spędzane u pani profesor Radziwiłł z Sawickim, Bugajem i Blumsztajnem. Dyskutowaliśmy o Bogu, o sytuacji w Polsce i na podobne tematy. Byłem w szkole teatralnej, a zarazem w ciągłym kontakcie z przyjaciółmi. Natomiast jeśli chodzi o protest w sprawie zdjęcia *Dziadów* z afisza, to naprawdę była nasza inicjatywa.

MROZIEWICZ: ***Dziady* przeszły do historii z powodów politycznych, ale czy to było dobre przedstawienie od strony teatralnej?**

SEWERYN: Po pierwsze, czy można tak wystawić *Dziady*, żeby przedstawienie wszystkim się podobało i wszystko było w nim na najwyższym poziomie? Czy nie jest tak w teatrze, że spektakl rozwija się rewelacyjnie, a potem napięcie słabnie?

MROZIEWICZ: **Czy to było antyradzieckie przedstawienie?**

SEWERYN: Jeśli chodzi o ten aspekt, to przypominam Panom, że to przedstawienie było zrobione na



Fot. Krzysztof Żuczkowski

obchody rocznicy rewolucji październikowej. Więc nie przypuszczam, żeby to było intencją reżysera. Takich samobójstw się nie popęnia. Mnie się wydaje, że służby specjalne miały w tym udział. Przecież to był czas walki na górze: Moczar, Gomułka i inni. Holoubek mówił: dajcie się sprowokować. Ale on też się dał sprowokować, jego Konrad mógł tych kajdan nie zakładać.

CHUDZIŃSKI: On to Panu powiedział?

SEWERYN: Tak, gdy przyszedłem do niego, by złożyć na jego ręce list protestacyjny przeciwko zdjęciu *Dziadów*. Coś takiego miało miejsce.

CHUDZIŃSKI: To się stało po manifestacji pod pomnikiem Mickiewicza?

SEWERYN: Tak, najpierw była manifestacja. Myśmy stali przed pomnikiem, kiedy otoczyła nas milicja. Bałem się, że nas zaatakują. Podeszli do mnie panowie w cywilu, a ja zamiast uciekać grzecznie poszedłem z nimi przez Ogród Saski do Pałacu Mostowskich.

KOMOROWSKI: Czy kierowała wami motywacja polityczna?

SEWERYN: Mieliśmy świadomość, że nasza demonstracja może mieć konsekwencje polityczne, publiczne. Aż tacy naiwni to już nie byliśmy. Kuroń był przeciw. Karol Modzelewski się włączył. Michnik w czasie manifestacji stał w odległości stu metrów. Tak to zapamiętałem. W 1998 roku, w trzydziestolecie wydarzeń złożyliśmy z Lechem Kaczyńskim, wówczas prezydentem Warszawy, kwiaty pod pomnikiem Mickiewicza.

CHUDZIŃSKI: Ale wtedy skończyło się to dla Pana kilkoma miesiącami więzienia, choć zdaje się głównym powodem aresztowania był protest przeciw wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji.

SEWERYN: Zorganizowaliśmy wówczas kilka akcji ulotkowych, ale być może właśnie protesty przeciwko inwazji na Czechosłowację najbardziej władzę rozsierdziły. Na coś bardziej radykalnego się nie zdobyliśmy z obawy, że nas mogą roznieść na bagnietach.

CHUDZIŃSKI: To wtedy rozkwitła miłość konspiracyjna?

SEWERYN: Bogusia Blajfer przyszła kiedyś na nasz dyplom muzyczny *W piosence rozkwita czerwień róż*, który graliśmy w Teatrze Współczesnym, i tak się zaczęło. Sam akt zawarcia małżeństwa miał jej również pomóc wyjść z więzienia.

MROZIEWICZ: Taka miłość na barykadach.

SEWERYN: Gdyby przeanalizować pod tym kątem powstanie warszawskie, to byśmy się dowiedzieli wiele, bardzo wielu ciekawych rzeczy...

KOMOROWSKI: W tym burzliwym 1968 roku, który nie oszczędził ani Panu, ani rówieśnikom ze studiów bolesnych doświadczeń osobistych, kończy Pan PWST. Jak – z dzisiejszej perspektywy – ocenia Pan swoje przygotowanie do zawodu?

SEWERYN: Będąc już na Zachodzie miałem poczucie, że szkoła dała mi solidne podstawy jako aktorowi. Umiałem odnaleźć się zarówno w repertuarze klasycznym, jak i współczesnym. Byłem gotowy do spotkania z Sofoklesem, Szekspirem, Moliere i Witkacym. Nie wszystko umiałem, ale mogłem zmierzyć się z takim repertuarem. Przychodząc do Brooka wydawało mi się, że znowu znalazłem się w szkole teatralnej. Ale byłem już dobrze przygotowany do zadań, jakie mi powierzył w swoim projekcie, częściowo realizowanym w Indiach. Miałem za sobą 15 lat pracy w teatrze.

CHUDZIŃSKI: W latach 70. Pańska kariera pięknie się rozwijała, jak na młodego aktora. Zaraz po szkole etat w Ateneum, dwa lata pracy w macierzystej uczelni; Krystyna Janda była wtedy Pana studentką i została żoną, tytułowe role w teatrze, filmie i telewizji, prestiżowe nagrody – w Berlinie za rolę w *Dyrygencie* Wajdy. A tymczasem Pan oświadcza, że czuje się znużony, może nawet wypalony...

SEWERYN: To trochę nie tak. Profesor Wyrzykowski uświadomił nam, że aktor przypomina statek, do którego dna przylepiają się różne wodorosty.

CHUDZIŃSKI: W znanym powiedzeniu to g... przylepia się do okrętu, mówiąc: płyniemy!

SEWERYN: Jak się tego wszystkiego przylepi za dużo, to statek płynie coraz wolniej. Pod koniec lat 70. rzeczywiście poczułem potrzebę zmiany. Przez dwa-naście lat ten sam teatr, ta sama garderoba, ci sami koledzy i panienki może nie te same, ale dobrze znane. I wódeczka też najczęściej dobrze znana. Mobilizacja i motywacja do gry też nie każdego wieczoru były takie jak należy. Tymczasem po wyjeździe w 1980 roku do Francji i przez wszystkie następne lata, niezależnie od tego, w jakim teatrze i w jakim kraju występowałem, w każdym wyjściu na scenę dawałem z siebie sto procent. Może nie zawsze efekt tego był zadowalający, ale z takim nastawieniem wychodziłem na scenę. Przez te lata żadnego przedstawienia nie odpuściłem. I to mi pozostało do dziś. A u nas w latach 70. wyglądało to różnie. Choć powstało wtedy wiele znakomitych przedstawień, to w środowisku aktorskim podejście do wykonywanego zawodu pozostawiało wiele do życzenia. Sam w tym uczestniczyłem, więc wiem, co mówię.

CHUDZIŃSKI: Spektakle, z którymi grający w nich aktorzy się nie utożsamiali, nazywali wstydami, nawiązując do tzw. norm, czyli obowiązku wyjścia na scenę w ramach etatu.

SEWERYN: To był dziwny okres. Z jednej strony za dużo było tego luzu, a z drugiej „Solidarność”, zaangażowanie w wielki ruch społeczny, a w stanie wojennym bojkot. Pamiętam, co wtedy powiedział Kazimierz Dejmek...

CHUDZIŃSKI: ...że aktor jest do grania jak dupa do srania.

SEWERYN: A to nie tak, panie Kazimierzu. To była dziwna mieszanka patriotyzmu, szlachetnej postawy i owych zaszłości z lat 70., które pod koniec tego okresu już mnie nie bawiły, a bardziej zniesmaczały. Nawiasem mówiąc, Dejmek pod koniec życia głosił, że cały ten nasz romantyzm możemy sobie w dupę wsadzić.

MROZIEWICZ: To już jest efekt edukacji francuskiej, bo dla nich nowoczesna Europa zaczęła się w oświeceniu, którego zwieńczeniem była rewolucja, a ten nasz zapyziały romantyzm, zwrócony przeciwko zaborcom, możemy sobie rzeczywiście wsadzić w miejsce, które wskazał Dejmek.

SEWERYN: Ale to jest zdanie Dejmka i pańskie...

KOMOROWSKI: Miłosza też, on był bardzo sceptyczny co do tych naszych uniesień, wzlotów i porywów.

MROZIEWICZ: Ja to myślenie Dejmka podzielałam po powrocie z Indii i okolic, gdzie w sumie spędziłam kilkanaście lat.

SEWERYN: Ja nie zgadzam się z Dejmkiem nie dlatego, że romantyzm jest dla mnie jakimś drogowym

zemia, misją itp. Nie, repertuar romantyczny powinien być obecny w teatrze polskim, bo widz powinien go poznać. Francuz w ogóle nie zadaje sobie takiego pytania, czy coś ma być w teatrze pokazywane czy nie. Jak można nie znać historii własnego teatru? On chce oglądać Racine'a, Moliere, Marivaux, a czy to mu się podoba, czy nie – jego sprawa.

MROZIEWICZ: Przyznacie, że strajki w stoczni w 1980 roku przypominały rewolucję 1905 roku...

CHUDZIŃSKI: Kapuściński po obejrzeniu naszej *Donkichoterii* dał mi ulotkę – odezwę SDKPiL z tego roku, wzywając do strajku, a myśmy ją włączyli do przedstawienia. Zabrzmiła tak, jakby ją napisano w 1980.

MROZIEWICZ: ...a dla mnie to była spóźniona o dwieście lat rewolucja francuska.

SEWERYN: Tu dotykamy kwestii interwencyjności sztuki w tzw. rzeczywistość. Ja uważam, że teatr wobec niej jest autonomiczny. Różnię się w tej sprawie z moim przyjacielem, Krzysztofem Jasińskim, który u nas w Teatrze Polskim zrobił *Wesele*. On uważa, że po „Solidarności” nie można już pokazać ostatniej sceny z Jaśkiem tak, jak to robiono w teatrze do tej pory. Ale przecież teatr nie jest tylko od tego, żeby opowiadać historie dzisiejsze, żeby interweniować w życie, które toczy się koło nas. Oczywiście taki teatr też ma prawo istnienia, ale on mniej mnie interesuje. Chyba że jest kabaretem, jak Pożar w burdelu, z którym aktualnie współpracujemy.

Moim zdaniem teatr ma sens, jeśli opowiada historie, które odzwierciedlają najgłębsze doświadczenia ludzkości. Nie można szukać na siłę podobieństwa do współczesności w historii Edypa, bo się może okazać, że jest to sztuka o Mosze Dajanie. Przecież to jest szaleństwo.

MROZIEWICZ: Antygona, Edyp, żeby ograniczyć się do tych przykładów, to są prawdy ostateczne. Rodzi się pytanie, czy Jasiek w finale *Wesela* to jest też taka nasza prawda ostateczna i czy do tej kategorii zaliczymy także „Solidarność”.

SEWERYN: Zacznę od tej drugiej prawdy. Nie byłbym już wtedy w kraju, ale o „Solidarności” nazywałem się, nasłuchiwałem i wiem, jakie ten ruch ma znaczenie w naszej historii. Ale ja nie mam obowiązku robić na ten temat teatru. Ja mam prawo opowiadać historie moich ojców, zapisane w literaturze. To publiczność zdecyduje, co jej bardziej przypadnie do gustu. Bo przecież to nie jest tak, że jeśli ubierzemy aktorów w jeansy, to ludzie powiedzą: to jest o nas. Picuś glancuś! To jest dowód – nie zrozumieliśmy myśli Szekspira, że teatr jest zwierciadłem życia. Co więcej, to nachalne aktualizowanie wszystkiego kojarzy mi się z PRL-em, gdzie sztuka często zamieniała się w propagandę. A gdzie jest piękno?

CHUDZIŃSKI: Pojęcie piękna nie jest ahistoryczne. W różnych epokach i kulturach ludzie co innego uważali za piękno.

SEWERYN: Zgoda, ale jest przecież coś takiego jak piękno w postawie Antygony czy Joanny d'Arc!

MROZIEWICZ: Czy kiedy Teatr STU w *Spadaniu* stawiał polityczne pytania, to była komunistyczna propaganda?

SEWERYN: Nie, nie, ja mówiłem o tym, że w tamtych czasach teatr miał pewne zobowiązania, że w ten

sposób go upolityczniono, nierzadko na siłę i wbrew niemu.

MROZIEWICZ: Teatr alternatywny interweniował nie z nakazu, tylko z własnej potrzeby, wierząc że może zmieniać świat. Ta wiara okazała się naiwna, ale warto było.

SEWERYN: Ja mówię w takich razach, że świat dał sobie radę bez nas. Jednocześnie warto dodać, że liderzy ruchów społecznych, które świat zmieniały, zostali w jakiś sposób uformowani przez sztukę. Mam na myśli lektury, spektakle, koncerty...

MROZIEWICZ: To była właśnie kontrkultura!

SEWERYN: Mnie chodzi o to, żeby sztuki nie redukować do polityki, nawet jeśli ona w sferę polityki ingeruje. Bo ona nie przestaje być sztuką, jeśli jest wykonywana na placach, śpiewana na wiecach czy barykadach.

CHUDZIŃSKI: Wszyscy tutaj należymy do tzw. pokolenia marcowego, którego przedstawiciele w sztuce sformułowali postulat mówienia wprost, czyli ingerowania bezpośrednio w rzeczywistość, którą chcieli zmieniać.

SEWERYN: Ten postulat wtedy też nie był mi obcy, sam zagrałem w paru filmach, które mieściły się w formule kontestacji. Teraz trochę inaczej na to patrzę. Moim aktem politycznym dzisiaj jest wystawienie *Bolesława Śmiałego* Stanisława Wyspiańskiego.

MROZIEWICZ: Byłem na tym spektaklu, tak go odebrałem i opisałem.

KOMOROWSKI: Kiedy Pan uznał, że ta postawa niezgody na świat już nie wystarcza i zaczął w sztuce szukać np. piękna? Czy na tę ewolucję miał wpływ pobyt w zespole Brooka?

SEWERYN: Nie przypuszczam. To przekonanie, które kształtuje się we mnie, wyrasta raczej z niezgody na prymitywną aktualizację i upolitycznienie. U podłoża tych zjawisk leży ignorancja i niewiedza.

CHUDZIŃSKI: Ale to Pan, pytany o doświadczenia u Brooka, powiedział: przestałem grać, zacząłem być.

SEWERYN: To dotyczyło konkretnie filmu *Mahabharata*, który Brook zrealizował, a ja w nim zagrałem podwójną rolę. Peter nie jest monolitem, jednością. Jest w nim i biznesmen, i ciekawość świata, i totalna tajemnica, i Gurdżijew, pod którego wpływem niewątpliwie się znajduje. Właściwie nie wiem, kim on jest.

MROZIEWICZ: To ja Panu pomogę go rozszfrować. Jeszcze w czasie pobytu w Ameryce, kiedy zrobił US, a było to w okresie apogeum amerykańskiej kontrkultury, nasłuchiwał się jakiegoś indyjskiego aktora, który mu opowiedział *Mahabharatę*, napisaną w martwym dzisiaj języku sanskrytu. Z tego dzieła wyrósł dzisiejszy Bollywood, a na biegunie przeciwnym teatr Petera Brooka. Na jego drodze twórczej nie bez znaczenia było też pochodzenie (Żyd z Rygi) i wpływ Grotowskiego, o którym mało się mówi. Czy on analizował powierzoną Panu rolę jednego z przyrodnych braci toczących ze sobą wojnę, np. w kontekście bratobójczych wojen także w czasach współczesnych? Pytam o to, bo wszystko, co się dzisiaj na świecie dzieje, można z *Mahabharaty* wyinterpretować. Według mnie *Mahabharata* to była ucieczka Brooka od kontrkultury i kontestacji w stronę nirwany. W tym samym celu wielu kontrkulturowców (hipisów) pojechało do Indii.

SEWERYN: Peter z tym dziełem zetknął się 12 lat wcześniej. On i Jean-Claude Carriere stworzyli scenariusz na podstawie tłumaczenia z oryginału. Odbyliśmy jedną podróż do Indii, która trwała 12 dni, więc to było zaledwie muśnięcie tego kraju. Z tej podróży zapamiętałem obraz Indii jako pochodłu ludzi, jako kraju, gdzie nie ma granicy między miastem a wsią. To było niezwykle!

MROZIEWICZ: Bardzo trafna obserwacja. Potwierdzam ją po 18 latach przebywania w tym rejonie.

SEWERYN: Kiedy byliśmy w Kalkucie, zobaczyliśmy w Instytucie Francuskim występ indyjskiego „story tellera”, który opowiadał jakieś fragmenty *Mahabharaty*. Wtedy Peter szepnął do mnie: „Widzisz, to teatr idealny!” W naszym zespole była Malika Sarabay, Hinduska, i ona tłumaczyła nam Indie. Uczestniczyłem też w warsztacie z udziałem trzonu naszego zespołu, który polegał na analizowaniu wybranych fragmentów z *Bhagavad-gity*. Brook opowiadał mi o dojrzewaniu człowieka, czyli króla do sprawowania władzy. Bo o tym jest *Mahabharata*. Więc kiedy mówiłem, że przestałem dzięki niemu grać, a zacząłem być, to miałem na myśli to, że on mnie dobrze reżyserował, a zarazem oczyścił ze wszystkiego, co w tej roli było niepotrzebne. Do dzisiaj pozostało mi przeświadczenie, że jak wychodzisz na scenę, to cokolwiek byś zrobił, już jesteś elementem przedstawienia i grasz, bo już coś znaczysz. I staram się, aby moi młodszy koledzy też mieli tę świadomość.

MROZIEWICZ: Czy miał Pan wtedy świadomość, że przedstawienie, w którym uczestniczy, to jest jednocześnie mit, rytm i religia? W naszej kulturze to jest rozdzielone, a tam stanowi jedność. I Brook to zrozumiał dzięki Indiom.

SEWERYN: Peter, kiedy już zakończyliśmy pracę nad *Mahabharatą*, powiedział coś takiego: moją porażką jest to, że nie zrobiłem z was zespołu. A wokół nas narastała legenda, że byliśmy klasztorem, sektą i Bóg wie, czym jeszcze. Brook miał rację. Byliśmy razem przez 36 miesięcy, ale pełnej integracji być nie mogło, bo pochodziliśmy z różnych światów: krajów, kultur i religii.

CHUDZIŃSKI: Czy Brook, proponując wam udział w tym projekcie, powiedział, ku czemu zmierzają, gdzie jest koniec drogi? Co to miało być: teatr, film (powstały dwie wielogodzinne wersje) czy coś jeszcze innego?

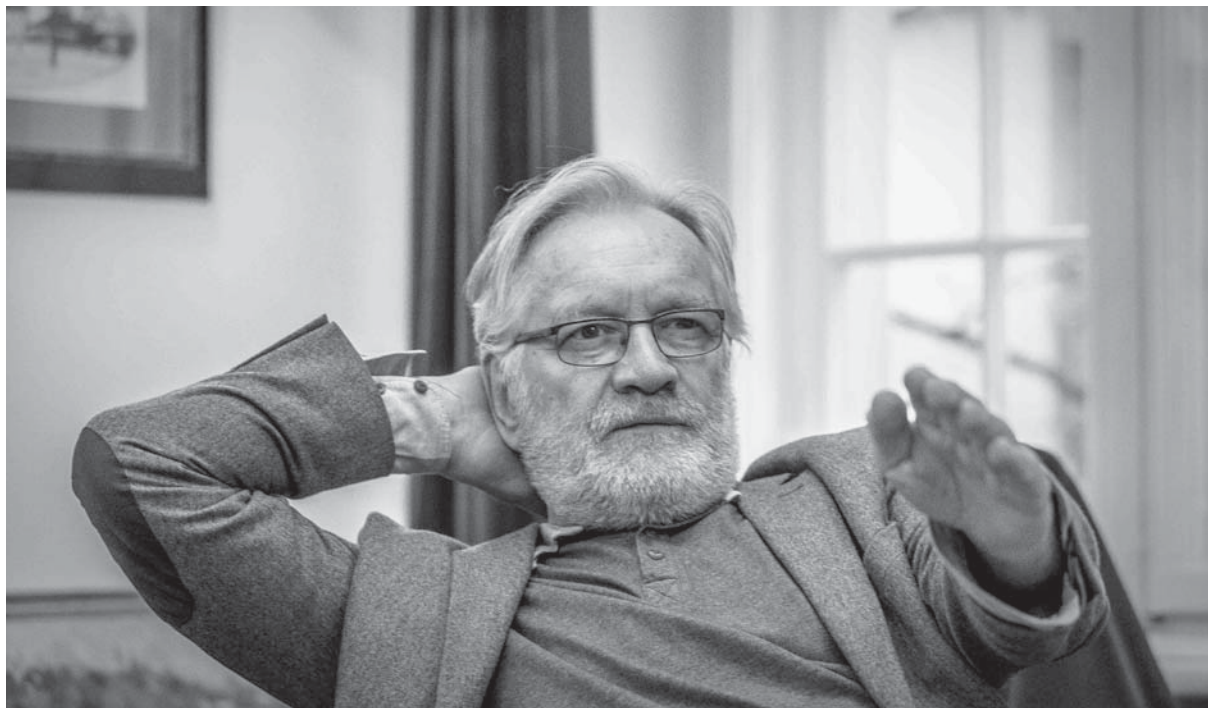
SEWERYN: Według mnie Peter robił to wyłącznie dla siebie – po to, żeby przebyć pewną drogę. Po co i dokąd? – nie wiem. A myśmy przyszedł z różnych powodów i motywacji, niekiedy bardzo przyziemnych: żeby zarobić, podszkolić język, poznać nowych partnerów w określonym celu itp.

KOMOROWSKI: Czy w tej grupie znaleźli się aktorzy, którzy z nim już wcześniej pracowali, np. w *Królu Ubu*?

SEWERYN: Oczywiście, stanowili zaufany trzon obsady. Peter mało mówił, zwykle stał i obserwował. Można było odnieść wrażenie, że on z nas również coś bierze. Niewiele mówił, cenił słowo.

CHUDZIŃSKI: Czy udzielał jakichś uwag, czy pokazywał jak zagrać bądź zachować się na scenie?

SEWERYN: Pod tym względem przypominał mi Wyrzykowski, który twierdził, że jak się dobrze myśli o roli, to się ją dobrze gra.



Fot. Krzysztof Żuczowski

CHUDZIŃSKI: Kiedy słucham Pańskiej opowieści o współpracy z Brookiem, to mam skojarzenia z *Bramami raju* Andrzejewskiego. Co prawda, tam ów guru, czyli hrabia Ludwik wyjaśnia pastuszkowi Jakubowi cel dziecięcej krucjaty, ale okaże się ona możliwa tylko dlatego, że za Jakubem pójdzie Aleksy, za Aleksym Blanka, za nią kochający ją chłopak itd. Tam wszyscy motywowani są miłością, a właściwie żądzą, popędem seksualnym, libido, a w waszym przypadku akces do zespołu wynikał także z innych pobudek.

SEWERYN: To trafne porównanie. Każdy z nas miał swój powód, żeby przyjść do Brooka i pójść za nim. Mało tego, on z każdym z osobna rozmawiał, ale o czym, co było treścią owych rozmów, tego wzajemnie nie wiedzieliśmy. Niekiedy miały one wymiar mistyczny. Ich rezultat widziałem na własne oczy podczas naszego pobytu w Australii, kiedy jeden z członków zespołu wywodzący się z Afryki zademonstrował swoje magiczno-szamańskie możliwości. Możecie wierzyć lub nie, ale on niejako na zawołanie oddalił wiatr i deszcz.

CHUDZIŃSKI: Dla mnie zaskoczeniem jest informacja, że do przygotowania *Mahabharaty* musiałam wystarczyć dwunastodniowy pobyt w Indiach.

SEWERYN: Tam wcześniej pojechała część naszej ekipy. Dla mnie z kolei z tego krótkiego pobytu najbardziej dojmującym doświadczeniem była wszechobecność *sacrum* przemieszanego z *profanum*. Zilustruję to przykładem.

Przed jedną ze świątyń Brook zaproponował, abyśmy zagrali fragment *Mahabharaty*. Zacząłem budować ze znajdujących się w pobliżu patyków coś w rodzaju ołtarzyka i po chwili uklękła przy mnie jakaś kobieta i zaczęła odprawiać swój obrzęd, potem następna...

MROZIEWICZ: I zebrało się sto osób!

CHUDZIŃSKI: Zaglądając, dzięki Panu, za kulisy *Mahabharaty* zaczynam podejrzewać, że indyjski projekt Brooka to było coś w rodzaju teatru *mul-*

ti-culti. Powyciągał was z różnych miejsc świata, żeby sprawdzić, co z tej mieszaniny kultur, tradycji, wrażliwości, sposobów myślenia wyniknie w zetknięciu z hinduskim eposem.

SEWERYN: Tak, Brook moim zdaniem miał ambicje stworzenia teatru uniwersalnego. Dotyczyło to aktorów, rekwizytów, konwencji teatralnych... Przecież w tym projekcie obecny był i Szekspir, i Moliere, i teatr marionetek...

MROZIEWICZ: Wygląda na to, że Brook był prekursorem globalizacji w teatrze. A w ogóle taka perspektywa mieści się w tradycji i sposobie myślenia hindusów. Wszystko według nich, co można zobaczyć na świecie, miało swój początek w Indiach.

SEWERYN: Tego myśmy się też dowiedzieli: czego nie ma w *Mahabharacie*, tego nie ma w ogóle, mówią Hindusi. Poza tym Brook jako biznesmen doskonale wiedział, co będzie się podobało na świecie.

CHUDZIŃSKI: Przenieśmy się teraz do Francji, porozmawiajmy o Komedii Francuskiej i o Pana obecności w tej szacownej instytucji.

SEWERYN: Komedia Francuska w ogóle nie zajmuje się problemami, które absorbują reżyserów w Polsce, tzn. jak wystawić np. *Wesele*, żeby to było aktualne i „na czasie”. Komedia Francuska zajmuje się dziedzictwem narodowym i czyni go żywym każdego wieczoru, kiedy gra Moliere, Racine’a i wielu innych autorów, których dorobek na to dziedzictwo się składa. A widzowie z pokolenia na pokolenie z tego powodu teatr odwiedzają.

CHUDZIŃSKI: We Francji zapewne tak jest, ale w konfrontacji z inną widownią to może wyglądać inaczej. Byłem tego świadkiem na światowym festiwalu teatralnym Cervantino w Meksyku, gdzie po I akcie sztuki Claudela, granej przez Komedie Francuską, została połowa widzów, a po II akcie – Teatr STU, który w ten sposób zrewanżował się aktorom z Paryża za ich entuzjastyczną reakcję po obejrzeniu *Donkichoterii*.

SEWERYN: To ja też dorzucę podobny przykład z naszym polskim udziałem. Było to w 1980 roku. Po premierze Witkacego w Paryżu administrator Komedii Francuskiej, Jacques Toja zaprosił Andrzeja Wajdę, Krysię Zachwatowicz, Wojtkę Pszoniaka i mnie na przedstawienie *Skąpcą*. W pewnym momencie Andrzej mówi do mnie: – „Czy po to przyjechaliśmy do Paryża, żeby oglądać tak złe przedstawienia?” Najlepszy dowód, że w Komedii Francuskiej zdarzały się też marne przedstawienia lub takie, które rozmijały się z oczekiwaniami obcojęzycznej widowni. Ale proszę mi wierzyć, przez te czterdzieści lat wiele zmieniło się także w tym teatrze, który mieni się strażnikiem tradycji. Od lat 80. reżyserują na tej scenie najwybitniejsi twórcy współczesnego teatru (m.in. Dario Fo, Wilson, Strehler, Wasiliew), a w repertuarze są sztuki współczesnych autorów.

KOMOROWSKI: **Nam chodzi o to, jak się teraz gra w Komedii Francuskiej, zwłaszcza Moliera. Czy tak jak dawniej?**

SEWERYN: Oczywiście, że nie.

CHUDZIŃSKI: **To na czym polega kanon, tradycja, tak pilnie w tym miejscu strzeżone?**

SEWERYN: Kanon, estetyka zmienia się też w tym narodowym teatrze Francuzów. To nie jest teatr Kabuki, gdzie wszystko polega na wiernym odtwarzaniu gestów, ruchów, sytuacji. To jest Dom Moliera, w którym gra się wszystkie jego sztuki oraz wielu innych autorów krajowych i zagranicznych w taki sposób, żeby to były świetne, żywe, zrozumiałe przedstawienia.

MROZIEWICZ: **Pan opanował język Moliera w takim stopniu, że zakwestionował przekład Świątoszka, którego dokonał sam Boy.**

SEWERYN: Molier jest mi szczególnie bliski właśnie z tego powodu, że występowałem przez wiele lat w tym jego Domu. Ale około 15 procent słów z jego sztuk, podobnie jak współcześni Francuzi nie rozumiałem, bo wyszły z użycia. Co się zaś tyczy *Świątoszka*, to z tekstu sztuki i użytych w niej słów ewidentnie wynika, że chodzi o obłudę, to cechuje bohatera. Tartuffe jest obłudnikiem, a nie świętoszkiem. Szanuję bardzo Boya, ale na jego tłumaczenie z mojej strony zgody nie ma.

MROZIEWICZ: **To może na emeryturze zajmie się Pan przekładami?**

SEWERYN: Takich planów nie mam.

KOMOROWSKI: **Jakie miejsce zajmuje Comédie Française na mapie teatru francuskiego współcześnie i czy w Polsce któryś z teatrów zajmuje pozycję podobną? Czy to się da w ogóle porównać?**

SEWERYN: Bardzo bym chciał, żeby którykolwiek teatr w Polsce miał takie znaczenie, jak Komedia Francuska w swojej ojczyźnie. Proszę przy tym wziąć pod uwagę, że ten teatr działa prawie czterysta lat, że statuty dla niego pisał Napoleon pod Moskwą, że one ciągle obowiązują, że to wszystko działa jak w zegarku...

MROZIEWICZ: **...że tam jest ciągle Pańska garderoba, chociaż na tej scenie Pan już nie występuje.**

SEWERYN: Ja mam teraz status członka honorowego i rzeczywiście garderoba mi przysługuje. Czy da się to porównać z którymś z teatrów w Polsce? Niestety nie jest to możliwe. W Komedii Francuskiej jest 90. pracowników sceny, którzy są w stanie zmienić w parę godzin dekoracje, oświetlenie, akustykę i inne elementy niezbędne do zagrania dwóch różnych przedstawień. W Teatrze Polskim zajmuje to półtora dnia, bo mam

12. pracowników obsługujących scenę. Żeby to zmienić nie tylko w moim teatrze, ale we wszystkich teatrach w Polsce, trzeba by odwagi Lenina, ale to nie do druku.

CHUDZIŃSKI: **Skoro w teatrze polskim potrzebna jest rewolucja systemowa, to na rewolucjonistę można się powołać. Tym bardziej, że organizacja i struktura teatru w III RP przetrwała po 1989 roku w prawie niezmienionym kształcie peerelowskim, co jest ewenementem!**

SEWERYN: Nie jestem przygotowany do sformułowania *ad hoc* programu naprawy życia teatralnego w Polsce. Mogę natomiast powiedzieć, co prywatnie na ten temat myślę. Otóż moim zdaniem teatrów jest za dużo, szkół teatralnych jest za dużo...

KOMOROWSKI: **My też tak uważamy.**

SEWERYN: Ale nie ja to powinienem mówić. We Francji rozwiązano ten problem zupełnie inaczej. W prawie każdym większym mieście pobudowano centra kultury, znakomicie wyposażone, mogące przyjąć każdy teatr. Dzięki systemowi objazdowemu widzowie na tzw. prowincji mają stały kontakt z najlepszymi teatrami i najgłośniejszymi spektaklami nie tylko francuskimi, lecz z całego świata. Stałych, repertuarowych teatrów z etatowym zespołem jest we Francji zaledwie kilka.

MROZIEWICZ: **To niech Pan namówi któregoś z wielkich polskich aktorów na objazd, nie mówiąc o sławach zagranicznych.**

SEWERYN: To jeszcze inna sprawa – finanse. A także brak poczucia misji artystycznej, służby publicznej. Naszym mecenasem jest marszałek województwa mazowieckiego, ale kiedy proponuję objazd Teatru Polskiego po miastach województwa, słyszę: „piękna inicjatywa, lecz na jej sfinansowanie nie mamy niestety pieniędzy”. Ja jestem otwarty na reformę, na zmiany systemowe...

MROZIEWICZ: **Zespół też ich chce?**

SEWERYN: Nie wiem, ale swoich poglądów na tę sprawę nie ukrywam.

KOMOROWSKI: **Objazdowość, o której Pan mówi, to przecież jeden ze sposobów istnienia, funkcjonowania i przetrwania teatru. Tak zawsze było!**

SEWERYN: No właśnie! Tak było w czasach Modrzejewskiej i nie widzę powodu, żeby tak nie miało być dzisiaj.

CHUDZIŃSKI: **Dzisiaj po Polsce jeżdżą prywatne teatry z kameralnymi komercyjnymi przedstawieniami. A każda próba namówienia zasiedziały teatrów komunalnych, samorządowych czy tym bardziej ministerialnych potraktowana zostałaby jako powrót do komunistycznych pomysłów upowszechniania kultury teatralnej w terenie.**

SEWERYN: Co więcej, część środowiska uznałaby ten rodzaj kontaktu z widzami za przejaw chałtury.

MROZIEWICZ: **Warto wiedzieć, że to słowo przejęliśmy od Rosjan, którym kojarzy się z odpowiednikiem naszego klubu SPATiF-u z dawnych lat i oznacza miejsce, gdzie można było załatwić zastępstwo lub jakiś rocznicowy, czyli chałtururowy występ.**

SEWERYN: We Francji nigdy nie spotkałem się w poważnych teatrach z takim zjawiskiem, tzn. traktowania występu jako chałtury, także w objeżdżie.

CHUDZIŃSKI: **Ideę powołania na francuskiej prowincji centrów kultury wymyślił i częściowo zdażył zrealizować André Malraux, kiedy był ministrem kultury w rządzie de Gaulle'a. W tym celu przyjechał**

w latach 60. do Polski, żeby zobaczyć, jak funkcjonują wojewódzkie i powiatowe domy kultury.

SEWERYN: Tego nie wiedziałem, ale bardzo się cieszę, że pan ten fakt przypomniat. Oczywiście, on – w porównaniu z naszymi ówczesnymi domami kultury – pobudował pałace, ale dzięki temu widz na tzw. prowincji może oglądać niemalże to samo co mieszkańiec Paryża. I żadnemu aktorowi nie przyjdzie do głowy go zlekceważyć, potraktować występ w objeździe na luzie. A tym bardziej na macierzystej scenie. W Komedii Francuskiej na *Ślubie* Gombrowicza bywało 150 widzów na 600 miejsc, lecz nikt nie „odpuszczał”. Pełna mobilność zespołu na każdym spektaklu. Nie bez znaczenia jest też wynagradzanie aktorów Komedii Francuskiej, którzy dzielą się połową zysków.

CHUDZIŃSKI: Długoletni pobyt za granicą i występy w tamtejszych teatrach upoważniają Pana do oceny tego, co się dzieje w światowym teatrze w ostatnich, powiedzmy, 30-40 latach. Co Pana napawa otuchą, a co wywołuje dezaprobatę?

SEWERYN: Za mało wiedziałem, żeby wyciągać wnioski ogólnej natury.

CHUDZIŃSKI: Mnie raczej chodzi o nurty, tendencje i tym podobne zjawiska w teatrze i dramacie współczesnym, jak neonaturalizm, nowi brutalisci, teatr wizualny, multimedialny, performance itp.

SEWERYN: Kiedyś słyszałem w radiu rozmowę z panią Krystyną Meissner, dyrektorką Festiwalu Dialog we Wrocławiu, która powiedziała, że najważniejsze w dzisiejszym teatrze jest zagadnienie formy. Ciekaw jestem co myślą o tym artyści teatru z Ukrainy.

KOMOROWSKI: W latach naszej młodości ryzyko artystyczne, a nawet jakiś rodzaj braku odpowiedzialności czy wręcz głupoty cechował teatr alternatywny. Teraz, mimo urynkwienia także dóbr kultury, z odpowiedzialności za „produkt” artystyczny poczuł się zwolniony teatr instytucjonalny, utrzymywany z naszych pieniędzy. Czy to jest w porządku?

SEWERYN: Nie.

CHUDZIŃSKI: W bydgoskim *Weselu*, kiedy na scenę wchodzi Żyd z Rachelą, któryś z pijanych chłopów krzyczy: „Jude raus!” Nie wiem, czy na takie „pomysły” zdobyliby się niegdysiejsi konstatatorzy, ale to wtedy mieściło się w granicach *offu*, który teraz został upaństwowiony m.in. przez ministra Zdrojewskiego, czego przykładem dyrektorskie nominacje w Narodowym Starym Teatrze.

SEWERYN: To mnie przekonuje, co pan mówi. Chciałbym jednak rozdzielić robienie spektaklu od prowadzenia teatru. Ja się czuję odpowiedzialny za instytucję, którą kieruję, za ludzi, za repertuar. Poszczególne przedstawienia, lepsze czy gorsze, ważne dla reżysera i aktorów, to tylko fragment większej całości. Tak patrzeć na teatr nauczyłem się jako jego dyrektor.

CHUDZIŃSKI: Czy Pana zdaniem w Polsce trzeba wyodrębnić instytucjonalnie teatr narodowy? Pytam o to w kontekście burzliwej dyskusji wokół Narodowego Starego Teatru w Krakowie.

SEWERYN: Nie bardzo wiem, co współcześnie ta nazwa znaczy. Na pewno idzie za nią większa pula pieniędzy. Chciałbym jednak, żeby było takie miejsce na mapie polskiego teatru, które byłoby przyjazne autorom, do którego rodzice prowadziliby dzieci, żeby zobaczyły *Dziady* Adama Mickiewicza, a nie Rychcika, te

bowiem mogę sobie obejrzeć w innym miejscu. Kiedy wykładałem w Lyonie, to robiłem ze studentami etudy z Racine’a, Marivaux lub Szekspira i sam ich namawiałem, żeby np. zapalili papierosa, położyli się do łóżka czy byli nadzy. I teraz okazało się, że to, co było ćwiczeniem warsztatowym, zostało uprawomocnione na scenie zawodowej jako nowatorskie odczytanie tekstu, jako przełamywanie konwencji teatralnej itp. Otóż ja nie odbieram prawa nowatorom do eksperymentów i poszukiwań formalnych, natomiast upominam się o prawo obywatelstwa dla teatru, który odwołuje się do tradycji i inaczej pojmuje swoją misję społeczną. I dlatego zostałem uznany za ikonę teatru tradycyjnego.

MROZIEWICZ: Kiedy obejmował Pan Teatr Polski, zanosilo się w nim na duże zmiany, które zresztą Pan zapowiadał. Czy one rzeczywiście nastąpiły?

SEWERYN: Częściowo tak. Repertuar, to mocny atut Teatru Polskiego. Zmniejszył się zespół z 60 do 40 osób. Myślałem, że uda mi się zmniejszyć administrację i obsługę. Nic z tych rzeczy. Sztywne przepisy to regulują. Na każdy remont trzeba ogłosić przetarg. Kto to ma zrobić? I tak przybywa nowy etat. Trzeba utrzymywać brygadę sceny, warsztaty, pracownie. Tymczasem mogłyby to robić – dla wszystkich teatrów – wyspecjalizowane firmy, tak jak jest na Zachodzie, np. we Francji. Dlatego, o czym już mówiłem, nie da się gruntownie zreformować konkretnego teatru bez reformy całego systemu.

MROZIEWICZ: Czy w tej sytuacji jakimś wyjściem mogłoby być świadczenie „usług dla ludności” przez te wasze pracownie: krawieckie, szewskie, stolarskie itp. Przecież w nich pracują fachowcy.

SEWERYN: Obowiązujące przepisy to utrudniają.

Chcieliśmy też uruchomić roczny kurs teatralny dla absolwentów szkół teatralnych i kilku z nich zatrzymać na dłużej, tytułem próby.

CHUDZIŃSKI: Dlaczego zawęził Pan tę ofertę do absolwentów szkół teatralnych? Nie bał się Pan „powtórek z rozrywki”? Przecież, chcąc nie chcąc, musiałby pan dublować program szkoły.

SEWERYN: Nie widzę sensu w konkurowaniu ze szkołami teatralnymi, a poza tym skończyło się na pomysle.

MROZIEWICZ: A nie lepiej byłoby zostać rektorem PWST, niż walczyć z biurokracją jako menedżer Teatru Polskiego?

SEWERYN: Rektor jest wybierany, a nie mianowany. Na razie staram się łączyć funkcję dyrektora z aktorem, który gra w dziesięciu spektaklach.

CHUDZIŃSKI: Pan jest także twarzą tego teatru, więc nie ma Pan innego wyjścia, jak być stale obecnym na scenie.

SEWERYN: Uważam, że jest mnie za dużo w tym teatrze.

MROZIEWICZ: Ale to na Pana przychodzi publiczność, bo po Modrzejewskiej jest Pan jedynym polskim aktorem, który zrobił niekwestionowaną karierę za granicą.

SEWERYN: *No comment!*

Rozmawiali:

Edward Chudziński

Adam Komorowski

Krzysztof Mrozievicz

Warszawa, 20 stycznia 2015 r.

TADEUSZ ZATORSKI

MIĘDZY FRONTAMI: AGNOSTYK WŚRÓD ATEISTÓW, WYZNAWCÓW I POSZUKUJĄCYCH

»Istnieje prawdopodobnie jakiś punkt centralny boskości i jakiś zespół jej cech, a wręcz może coś, co porządkuje i stwarza, do czego wszelako bardziej się zbliżamy, gdy mówimy: „Boga nie ma”, niż gdy, wyrażając to zgodnie z naszymi pojęciami, twierdzimy: „Jest jakiś Bóg”«.

Franz Grillparzer

Agnostycyzm to z definicji niewiedza i wątpliwości. Jedno wszakże Agnostyk wie z całą pewnością: lepiej nie być Agnostykiem. Najlepiej – przynajmniej nad Wisłą – być Wyznawcą: przynależność do większości, nawet jeśli nie daje bezpośrednich profitów, to przecież zapewnia jaki taki święty spokój. Jeśli już jednak ktoś Wyznawcą być nie może albo nie chce – co Agnostyk mimo wszystko jest w stanie zrozumieć, i to aż nadto dobrze – mądrzej uczyni zostając po prostu Ateistą. To zagwarantuje mu przynajmniej jednoznacznie określony status. Szybko dowie się co prawda od pewnego Księdza Profesora Doktora Habilitowanego że jest „mniej moralny”, za to „bardziej prymitywny” oraz że „poniża godność człowieka” (Ateiści nie mają, co oczywiste, „uczuć religijnych”, które podlegałyby ochronie wiadomego artykułu kk).

Ale jeśli nie jest nauczycielem, zwłaszcza wiejskim, ani nie pracuje, dajmy na to, w urzędzie gminy, może spać – w zasadzie – spokojnie. Jego rodzina będzie mieć pewne kłopoty z pogrzebaniem go po śmierci, nie będą to jednak kłopoty nie do przezwyciężenia: jak tego dowodzi pochówek Sławnego Pisarza, Instytucja chętnie grzebie i Ateistów, gdy trzeba, to nawet bardzo uroczyście. W ostateczności można już zamówić pogrzeb świecki. Nie jesteśmy co prawda drugą Holandią, ale drugą Arabią Saudyjską też (jeszcze?) nie.

Czego nie wie „niewiedzący”?

Agnostyk ma gorzej. Dla Wyznawcy jest w gruncie rzeczy takim samym bezbożnikiem jak Ateista,

w tym ostatnim zaś wzbudza co najmniej nieufność (być może zgodnie z regułą, że najzacieklej zwalczają się odłamy tej samej formacji). Piszę oto pewien Wybitny Publicysta Laicki w felietonie zatytułowanym wymownie: *My ateści*: „Nie jestem agnostykiem, bo agnostycyzm wydaje mi się postawą podejrzaną, trzecią stroną medalu, a przecież medal może mieć tylko dwie strony: teizm i ateizm; *tertium non datur*”. Nie pokrzepi Agnostyka i Bulterier Darwina. W *swym opus magnum*, w rozdziale zatytułowanym wymownie *Nędza agnostycyzmu* z lubością przytacza – bliskie najwyraźniej i jemu samemu – opinie wygłaszane przez fanatyków religijnych (szanujących skądinąd zdecydowanych Ateistów), których zdaniem Agnostycy to „nędzne chłystki, żalosne gapowate mięczaki i ofiermy bez kręgosłupa, co same nie wiedzą, czy wchodzą na schody, czy właśnie z nich schodzą [...]”, albo „niewydarzone miernoty, zera kompletne, ludzie, którzy bezradnie [miotają się] gdzieś pośrodku”.

Agnostyk to zatem ktoś o niedoprecyzowanym, rozmytym światopoglądzie. Unikający jednoznacznych deklaracji. W tym miejscu wypada chyba uściślić pewne pojęcia. Używane, jak się zdaje, na ogół w wersji mocno uproszczonej, by nie rzec: sprymitywizowanej.

Najprostsza i najbardziej rozpowszechniona definicja Agnostyka to ta, która widzi w nim kogoś, kto zawiesza swój sąd w kwestii istnienia Boga. Tak to formułował i Wielki Logik: „Agnostyk odracza osąd, mówiąc że nie ma wystarczających podstaw ani dla potwierdzenia, ani dla zaprzeczenia [istnienia Boga]”. Agnostyk „nie wie” zatem, czy Bóg jest, czy go nie ma. Zgodnie z etymologią samego pojęcia, pochodzącego

od greckiego słowa (a-gnoein), czyli właśnie „nie wiedzieć”. Ale nawet jeśli uznać tę definicję za względnie poprawną, to ciśnie się przecież zaraz na usta pytanie: jakiegoż to Boga owa „niewiedza” i niepewność dotyczy? Czy zawsze musi to być Bóg chrześcijan i ich „starszych braci w wierze”, srożący się w Starym Testamencie, w Nowym zaś wysyłający jakoby swego Syna na ratunek potępionej (przez siebie samego) ludzkości? Skąd wiadomo, że to w ogóle Bóg osobowy, pochylający się raz z gniewem, raz z troską nad człowiekiem? Wszak taki Bóg, będący Osobą i transcendentny to nie jedyny możliwy pomysł ludzkości w tej materii.

Ot, weźmy choćby Wielkiego Fizyka. Wielki Fizyk określał się czasem mianem „religijnego”, a w sławnym liście do niejakiego Erica Gutkinda, pisany na rok przed śmiercią tak sprecyzował swoje rozumienie tego słowa: „Moja religijność polega na pokornym podziwieniu dla nieskończonego przewyższającego nas ducha, objawiającego się w tej odrobinie rzeczywistości, którą jesteśmy w stanie poznać naszym słabym i ułomnym rozumem. To połączone z głębokim uczuciem przekonanie o istnieniu jakiegoś nadrzędnego rozumu [überlegene Vernunft], objawiającego się w doświadczalnym świecie, stanowi moje pojęcie Boga; można je zatem, posługując się zwykłym sposobem wyrażania rzeczy, określić jako »panteistyczne« (Spinoza)”. A żeby nie pozostawiać żadnych niedomówień czy wątpliwości wyznawał ponadto: „Nie potrafię sobie wyobrazić żadnego Boga osobowego, który wpływa bezpośrednio na działania poszczególnych istot albo sądzi swoje stworzenia”.

W nieprzeznaczonym do publikacji liście Wielki Fizyk wyraża się przy tym dosadniej i może sobie pozwolić na szczerość bez obawy urażenia czyichkolwiek „uczuć religijnych”: „Słowo Bóg nie jest dla mnie niczym innym jak tylko wyrazem i produktem ludzkich słabości, Biblia zaś zbiorem szacownych, ale przecież wielce prymitywnych legend. Żadna, choćby najbardziej wyrafinowana interpretacja nie zdoła tu nic w moich oczach zmienić. Te wysubtelnione wykładnie są z natury rzeczy nad wyraz złożone i z tekstem pierwotnym nie mają nic wspólnego. Niezafałszowana religia żydowska jest dla mnie, podobnie jak wszystkie inne, ucieleśnieniem prymitywnego zabobonu”.

Agnostyka moglibyśmy sobie zatem wyobrazić także jako kogoś, kto bezradnie wpatrując się w „niebo gwiazdzone” nie może się oprzeć pokusie zapytania, czy skoro ten świat wydał z siebie myślącą i świadomą grudkę materii w postaci ludzkiego mózgu, to nie mogłoby to sugerować (Agnostycy lubią posługiwać się trybem przypuszczającym), że myśl i świadomość są niejako „wtopione” w materię jako taką, może nawet przybierają postać jakiegoś „nadrzędnego rozumu”, napędzającego jej ewolucję i nadającego jej kierunek. Ale nawet gdyby supozycję taką Agnostyk uznał za prawdopodobną, a przynajmniej godną wnikliwego przemyślenia, to przecież nadal nie uważałby, że istnieją jakiegokolwiek przesłanki, by sądzić, iż ów „nadrzędny rozum” wydał na świat syna o imieniu Jezus, którego śmierć miała posłużyć jakimś „odkupieniu” ludzkości; że ma on wobec niego, Agnostyka, jakieś plany, coś mu obiecuje, czymś grozi albo skłonny byłby naprawić jego niepokojąco

świszczące oskrzela w zamian na przykład za obietnicę odbycia pielgrzymki szlakiem świętego Jakuba; że starszy pan wybierany przez grono swych kolegów na zwierzchnika zarządzanej przez nich Instytucji nabywa w następstwie tego wyboru atrybut „nieomyślności”; że wreszcie tenże „rozum” bardzo krzywym okiem spogląda na zażywanie przez piękniejszą połowę rodzaju ludzkiego pewnego, ściśle określonego gatunku pigulek.

Tu Agnostyk porzuca swą zwykłą niepewność i gdyby nie artykuł 196 kk, za przykładem Wielkiego Fizyka bez wahania nazwałby tego rodzaju koncepty „ucieleśnieniem prymitywnego zabobonu”.

W umyśle Agnostyka rodzi się podejrzenie, że jego obraz jako równocześnie schodzącego i wchodzącego po schodach ma swe źródło w utożsamieniu go (jakże pochopnym i niesprawiedliwym!) z tak zwanym Poszukującym – to chyba właściwy moment, by wprowadzić tu tę nową postać. Co ciekawe, takie pomieszanie pojęć pojawia się nawet w bardzo wnikliwych analizach zjawiska. Swego czasu w artykule, który Najważniejszy Tygodnik Opinii poświęcił „niewiedzącym”, wyrażono pogląd, że mianem „poszukujących” określa Agnostyków także Kościół, pragnący ich „utrzymać w zasięgu swojego oddziaływania”. Ale Instytucja tak naprawdę z przyczyn opisanych wyżej na Agnostyków liczyć nie powinna (i chyba nie liczy). A „utrzymać w zasięgu swojego oddziaływania” może co najwyżej „Poszukujących”.

„Poszukujący” to ktoś w istocie bardzo odmienny od Agnostyka, ktoś, kto w głębi ducha bardzo chciałby być Wyznawcą (i do pewnego stopnia wciąż nim pozostaje), ale różne rzeczy mu w tym przeszkadzają. Czasem są to jawnie mitologiczne pokłady narracji biblijnej (nie wszystkich przekonuje idea „hierarchii prawd”, zwłaszcza że nikt nie orzekł, które prawdy wiary są mniej, a które bardziej prawdziwe), czasem nawet zmartwychwstały Jezus (w przeciwieństwie do Jezusa, nauczyciela moralności, a nawet Jezusa cierpiącego, bo też i w końcu Sławny Teolog Protestancki stwierdził lapidarnie: „Zmarli nie zmartwychwstają”). Poszukujący rzeczywiście trochę po schodach wchodzi, a trochę schodzi, pragnie bowiem być jednocześnie – jeśli wolno tu sparafrazować Filozofa Woli – „sługą Rozumu” i „sługą Pisma”. Gdzie Poszukujący spodziewa się znaleźć Prawdę? Zazwyczaj tam, gdzie ją, jak sądzi, zagubił: w swoim Kościele, choć nie zawsze będzie to jego kościół parafialny. To właśnie tacy Poszukujący namiętnie uprawiają *chur-ching*, tłumnie przybywają na rozmaite „dziewiątki” i „dwunastki”, z rozkoszą i bezgranicznym podziwem dla własnego wyrafinowania intelektualnego wciągając w nozdrza delikatny zapaszek herezji, unoszący się – takie przynajmniej mają wrażenie – wokół modnych kaznodziejów. W Agnostyku rozważania Salomonowych Kacerzy nie wywołują wielkiej ekscytacji.

Mnisi ateizmu

Agnostyk nie chce być utożsamiany ani z Poszukującym, ani z Ateistą. Wiemy już, co odróżnia go od pierwszego. Co jednak – jeśli w ogóle coś – dzieli go od tego drugiego? (W końcu także ateizm niejed-

no ma oblicze i stopień nasilenia, a spinozystyczny panteizm, na który powołał się i Wielki Fizyk, często w dziejach uważano za jedną z jego postaci). Najogólniej rzecz ujmując: styl. Agnostyk sympatyzuje niewątpliwie ze swymi „starszymi braćmi w niewierze”, ale nie sądzi wcale, że „ateiści są boscy”, a w każdym razie nie uważa za konieczne obwieszczać tego światu na transparencie niesionym podczas ich dorocznego przemarszu (jednak publicznie i głośno wyraziłby swój sprzeciw, gdyby takiego przemarszu zakazano).

„Starsi bracia” niekiedy go wręcz irytują, i to nie tyle swymi poglądami, ile raczej sposobem ich upubliczniania. A przy tym kogoś mu przypominają. Bo czyż nie zachowują się czasem jak ich adwersarze? Nie potrzebują już co prawda Boga, ale potrzebują dogmatu, nie potrzebują wiary, ale potrzebują jakiegoś Kościoła, nie potrzebują świętych, ale nie mogą się obyć bez heretyków. Już Poeta Księgi Pieśni, daleki przecież od wszelkich sympatii dla katolicyzmu, pisał o „fanatycznych klebach niewiary” i „mnichach ateizmu, którzy żywcem usmażyliby pana Voltaire’a z powodu jego zatwardziałego deizmu”. A Czeski Aforysta – sam odległy od wszelkich religii – zauważył słusznie: „Ateistą jest tylko ten, kto także z ateizmu nie czyni sobie Boga”.

Niepokojąco bliskie katolicyzmowi (czy chrześcijaństwu w ogóle) wydają się niekiedy Agnostykowi motywacje tej ateistycznej niewiary. Nie sposób przyjąć, że Bóg istnieje, powiadają „starsi bracia”, albowiem istnienie takiej wszechmocnej, a dobrej Istoty klóciłoby się jakoby logicznie z istnieniem zła. Pobrzmiewa tu chyba odległym echem chrześcijańska nauka o Bogu jako dobrociwym i wszechmocnym „Ojcu naszym”, który przecież mógłby, gdyby tylko zechciał, urządzić nam świat na podobieństwo jeśli już nie – dość nudnego – Raju, to przynajmniej jakiegoś śródziemnomorskiego kurortu z ciepłym morzem i darmowymi wczasami *all inclusive* w czystych, kameralnych hotelikach blisko piaszczystej plaży. A jeśli tego nie uczynił, to ukarać go można tylko w jeden sposób: odmawiając mu wiary.

Nietrudno zauważyć, że Ateista tak uzasadniający swój ateizm podobnie jak chrześcijanie mistyfikuje „zło”, uznając je – wzorem choćby Augustyna – za jakąś niepojętą skazę świata, nie zaś za jego nieodłączny, integralny składnik. „Na co by się zdało twoje dobro – pyta Woland Mateusza Lewitę – gdyby nie istniało zło, i jak by wyglądała ziemia, gdyby z niej zniknęły cienie? Przecież cienie rzucają przedmioty i ludzie [...]. A może chcesz złupić całą kulę ziemską, usuwając z jej powierzchni wszystkie drzewa i wszystko co żyje, ponieważ masz taką fantazję, żeby się napawać niezmaconą światłością. Jesteś głupi”. Agnostyk skłonny jest raczej za Sławnym Etologiem (którego jakże niesprawiedliwie polski filozof uznał wyłącznie za wybitnego ornitologa) widzieć w złu raczej „tak zwane zło”: siłę napędzającą dziesiątki niezbędnych mechanizmów świata, czasem jednak – to fakt – wymykającą się spod kontroli. („Evil is the active springing from Energy”, pisał Poeta Wyklęty). Dlatego woli zdecydowanie słuchać swej ulubionej Piosenkarki, gdy ta w pieśni słusznie ogłasza „hymnem Ateistów” przejmująco śpiewa o owcach ginących „w owczym pędzie”, niż gdy przychodzi jej ochota to-

czyć prozą i *a capella* dysputy teologiczne na łamach Tygodnika Otwartego.

Agnostycy „santi subito”

Agnostycy nie mają swojego papieża ani „Urzędu Nauczycielskiego”, dlatego ich poglądy i zapatrywania to mieszanina gorsząca heterogenicznością. To tłumaczy, dlaczego wcale nie tak rzadkim zjawiskiem jest Agnostyk pragnący najwyraźniej zostać „santo subito”, i to najlepiej jeszcze za życia, co przecież zrozumieć nietrudno: skoro nie wierzy w zaświaty, to cóż mu z certyfikatu świętości po śmierci?

Agnostyk tego rytu – nazwijmy go Koncesjonowanym – niebezpiecznie bliski już Poszukującemu, uwielbia dialogować z Wyznawcami, zwłaszcza tymi, którzy określają się mianem „otwartych”. Ci ostatni też nie stronią od takich debat, które zazwyczaj ich interlokutor rozpoczyna solenną deklaracją, wyrażającą głęboki podziw i szacunek dla chrześcijaństwa – jeśli już nie jako religii, to przynajmniej jako doktryny moralnej. Jezus z Nazaretu nie jest co prawda w jego oczach Synem Bożym, ale na pewno należy go uznać za jednego z największych, prawdopodobnie nawet największego nauczyciela moralności w ludzkich dziejach.

Mało tego: jak zauważył niedawno podczas takiej właśnie dysputy Redaktor Wielkiej Gazety – którego skądinąd Agnostyk darzy najgłębszym szacunkiem jako niegdysiejszego opozycjonistę, a obecnego myśliciela i pisarza politycznego – „chrześcijaństwo jest nieśmiertelne”, gdyż człowiek „nigdy nie przestanie pytać o sens życia i sens śmierci”, „cała kultura europejska ufundowana jest na chrześcijaństwie”, a zatem „nie ma takiej możliwości, żeby amputować [z niej] tę tradycję i aksjologię”, a „kto próbuje to robić jest albo nihilistą, czy to brunatnym, czy czerwonym [...], albo jest idiotą po prostu”. Dlatego Ludowi chrześcijaństwa odbierać nie wolno, Lud winien dochować mu wierności, bo często tylko w kościele dowiaduje się co dobre, a co złe. On sam oczywiście wiary Ludu nie podziela, ale stanowczo Ludowi odradza podążanie jego śladem.

Nie jest to stanowisko bardzo oryginalne. Już oświeceniowi libertyni, jak ironicznie zauważył Amerykański Historyk, „odważnie dyskutowali o ateizmie, ale nigdy przy służbie”. Bo też wyraża się w tej postawie dość znamienne dla intelektualistów poczucie wyższości nad Ludem, może i zasadne w XVIII wieku, kiedy spora część tegoż Ludu wciąż pozostawała niepiśmienna, ryzykowne już jednak współcześnie, kiedy to Lud całkiem nieźle sobie radzi ze słowem drukowanym, a o tym, co dobre, a co złe, może się dowiedzieć w wielu miejscach, i to niekoniecznie tylko z „oper mydlanych”. To nie jest wcale tak – jak stwierdziła kiedyś autorytatywnie pewna Pobożna Dziennikarka – że jeśliby Ludowi polskiemu odebrać jego katolicyzm, to zostanie mu jedynie... Doda.

Agnostyk taki, jaki jest tu przedmiotem naszych rozważań, a więc nie Koncesjonowany, słuchając RWG przeżywa bolesny dylemat. Nie wie mianowicie, czy ma się uznać za nihilistę (a jeśli tak, to jakiej barwy), czy raczej za idiotę. (Żadna zresztą ze stron

tej alternatywy nie wydaje mu się bardzo pociągająca). Bo cóż ma zrobić, jeśli uważa, że współczesna cywilizacja europejska nie tyle „ufundowana jest na chrześcijaństwie”, ile raczej wyrasta ze sprzeciwu wobec niego. Zresztą, jak śpiewał Nieodżałowany Bard, u nas co prawda „Jeruzalem”, ale „za miedzą – Sodomora”: całe społeczeństwa europejskie odrzuciły w znacznej mierze tę tradycję ani nie popadając od tego w nihilizm, ani nie ulegając widocznemu zidioceniu – nasz Agnostyk przypuszcza nawet, że i RWG wolałby niezabezpieczony solidnym łańcuchem rower zostawić przed sklepem holenderskim niż ojczystym.

„Dziś niczym, jutro wszystkim my”

Ta rezerwa wobec chrześcijaństwa „jako takiego” – nie zaś jedynie wobec „realnego chrystianizmu”, praktykowanego przez Instytucję – bierze się u Agnostyka zapewne stąd, że dawno już zapomniał wpajać mu na katechezie interpretację Ewangelii (na ogół poprzedzające albo wręcz zastępujące ich samodzielną lekturę) i czyta je jak starą książkę znaną na strychu – nieco podartą, a przede wszystkim pozbawioną strony tytułowej. Może dlatego tak powszechnie wystawiane moralne przesłanie Nowego Testamentu, które Poszukującego wciąż mimo wszystko jakoś łączy z Kościołem, a Agnostyka Koncesjonowanego z kulturową tradycją chrześcijaństwa, w Agnostyku Niekoncesjonowanym nie wzbudza bezwarunkowego podziwu. Gdyby ktoś wyraził życzenie, by je własnymi słowami streścił, stojąc na jednej nodze, uczyniłby to w dwóch krótkich zdaniach: „Człowiek jest zły. Reszta to komentarz”.

Człowiek jest tak zły, że nierychliwy, ale sprawiedliwy Bóg postanowił wreszcie położyć kres jego nieprawościom. Tym razem jednak nie będą to jakieś lokalne podtopienia, zawieszane na czas nieokreślony po miesiącu z okładem. Nie, tym razem będzie to ostateczne rozwiązanie – katastrofa, która zakończy ludzką historię. Dlaczego naukę Jezusa z Nazaretu nazwano „Dobrą Nowiną”, Agnostyk pojąć nijak nie potrafi. Bo też trudno doprawdy za takową uznać wiadomość, że już wkrótce spora część – chyba nawet większość – mieszkańców Ziemi, na podobieństwo kąkolu, skończy w piekielnym ogniu, który „dobra nowina” przywołuje zastanawiająco często. Trudno przy tym nie dosłyszeć w niej jakiejś głębokiej i niedającej się przezwyciężyć frustracji: ludzie jakoś zakorzenieni w świecie nie porzucają swych rodzin i warsztatów pracy, by rozgłaszać wieść o jego bliskiej i nieuchronnej zagładzie. O koniec świata modlą się zazwyczaj jedynie ci, którzy z jakichś przyczyn nie umieją się w nim odnaleźć i którzy nie łączą z nim już żadnych dla siebie nadziei.

Przekonanie o etycznej wielkości ewangelicznego przesłania uzasadnia się często jego niebywałym radykalizmem i bezkompromisowością. Wyrzeczenie się dóbr materialnych, przebaczenie wrogom, miłość nieprzyjaciół, nakaz pochylenia się nad nieszczęściem bliźniego, którego kochać winniśmy tak samo jak nas samych to istotnie poprzeczka zawieszona bardzo wysoko. Pewien Wątpiący Teolog kwitował

ten radykalizm sarkastycznym stwierdzeniem, że jest tylko jeden sposób, by nie sprzeniewierzyć się nakazowi miłości nieprzyjaciół: nie robić sobie wrogów – zalecenie skądinąd ze wszech miar słuszne, choć nie zawsze wykonalne. Ten niepojęty radykalizm, zdający się świadczyć o zaniku wszelkiego poczucia realizmu, okazuje się doskonale zrozumiały, a wręcz oczywisty, gdy spojrzeć nań oczyma człowieka przekonanego, że czas się już wypełnił. Bo i po co komu druga suknia czy inne ziemskie dobra, skoro wszystko się skończy lada dzień? Czy nie bardziej się opłaci inwestować już w Królestwo Boże? Po co dochodzić swych, nawet i słuszych, praw albo mścić doznane krzywdy? Czyż nie lepiej nadstawić drugi policzek, by za kilka miesięcy, najwyżej za kilka lat sycić oczy widokiem nieprzyjaciół skwierczących w ogniu wiecznego potępienia?

Pochylony nad Ewangelią Agnostyk ma chwilami wrażenie, że oto znajduje w nich ofertę swoistej transakcji, i to transakcji niezbyt wyszukanej: „Oto my opuściliśmy wszystko – pyta Apostoł – i poszliśmy za Tobą, cóż więc otrzymamy? Wtedy Jezus zaś rzekł do nich: «Zaprawdę, powiadam wam: Przy odrodzeniu, gdy Syn Człowieczy zasiądzie na swym tronie chwały, wy, którzy poszliście za Mną, zasiądziecie również na dwunastu tronach, sądząc dwanaście pokoleń Izraela. I każdy, kto dla mego imienia opuści dom, braci lub siostry, ojca lub matkę, dzieci lub pole, stokroć tyle otrzyma i życie wieczne odziedziczy. Wielu zaś pierwszych będzie ostatnimi, a ostatnich pierwszymi»”.

Jakże podobną wizję osiemnaście wieków później roztoczy przed „skrzywdzonymi i poniżonymi” Zapomniany Poeta Francuski: *Nous ne sommes rien, soyons tout!* – „Dziś niczym, jutro wszystkim my”. A choć sama pieśń dawno już zeszła z listy przebojów, Agnostyk będzie się dziwił tej – w gruncie rzeczy dość przygnębiającej – niezmienności ludzkich pragnień i obietnic.

Agnostyk w ogóle dziwi się tym, którzy w Piśmie szukają fundamentów moralności i jakichś dla niej wskazówek, argumentując, że prawo stanowione pozostanie zawieszone w próżni, jeśli nie oprze się go na „Prawie Bożym”. Na czym miałyby polegać istotowa różnica między jednym a drugim, tego Agnostyk pojąć nigdy nie zdoła, bo wszak i w wypadku tego drugiego na końcu długiego łańcucha uzasadnień i argumentów zawsze spotkamy człowieka z krwi i kości, którego widzimy jedynie, jak na własnych plecach znosi z jakiejś Góry kamienne tablice, by potem nieznoszącym sprzeciwu tonem oznajmić zgromadzonemu ludowi: „Oto Prawo Boże”. Agnostyk bardzo rad by się dowiedzieć, czym różni się to obwieszczenie od stosownej publikacji w Dzienniku Ustaw.

Zresztą to Prawo Boże wydaje się mało konsekwentne. Kiedyś wymagało wszak eksterminowania całej ludności zamieszkującej anektowane terytoria, dziś Przywódcy Religijni – pomijając patologiczne wyjątki – na ogół dość zgodnie apelują o pokój, a w razie wojny przynajmniej o humanitarne traktowanie cywilów i nawet najbezcenniejsi zbrodniarze wojenni nie powołują się na Pwt 20, 10–17, choć mogliby przecież dowodzić, że zawarte tam zalecenia mają moc nadrzędną w stosunku do Konwencji Genewskich.

Związek między religią a moralnością w ogóle wydaje się Agnostykowi dość zagadkowy i wiele wskazuje jego zdaniem na to, że to raczej moralność, formująca się na drodze pewnego niepisanego i nieustannie ewoluującego kompromisu społecznego, kształtuje nakazy religijne, to znaczy „Prawo Boże”, nie zaś odwrotnie. Może więc rację miał Professor Philosophiae Extraordinariae, gdy pisał: „Podobnie jak poprawiają się narody, poprawiają się także ich bogowie”. Wszystkim zaś, którzy za Genialnym Prozaikiem powtarzają, że „jeśli nie ma Boga, to wszystko wolno”, Agnostyk miałby ochotę doradzić, by w godzinach południowych zapalili sobie papierosa na przystanku tramwajowym przed Urzędem Miasta w Krakowie, a szybko się przekonają, jak pochopne to twierdzenie.

Baran w kozim rogu

Agnostyk wcale nie jest przy tym przekonany, że człowiek istotnie „nigdy nie przestanie pytać o sens życia i sens śmierci”. On sam w każdym razie nie pyta. Nie posunie się co prawda tak daleko jak Wiedeński Psychiatra głoszący pogląd, że kto docieka „sensu życia”, wymaga leczenia, ale bardzo chciałby wiedzieć, skąd Wyznawcy, Poszukujący oraz Agnostycy Koncesjonowani czerpią pewność, że jednostkowe życie jako takie ma w ogóle jakiś „sens” albo że przynajmniej mieć go powinno. To pytanie, na które nie sposób przecież dać sensownej (nomen omen) odpowiedzi, a jej poszukiwania są równie jałowe jak poszukiwania odpowiedzi na ukochane pytanie teologów i zaprzyjaźnionych z nimi filozofów: *Unde malum?* Gorzej: w pytaniu tak postawionym nasz Agnostyk skłonny jest widzieć albo przejaw naiwnej generalizacji codziennego doświadczenia, które każe nam wyżej cenić klocki ułożone w jakiś regularny kształt niż bezładnie rozrzucone, albo – chytry fortel Wyznawców.

Bo też, jak powszechnie wiadomo, na ogół wcale nie chodzi o to, by króliczka złapać. W tym wypadku chodzi więc raczej o wywołanie dyskusji, w której Wyznawca od początku będzie na pozycji uprzywilejowanej. W końcu on taką odpowiedź przecież właściwie już ma, zanim jeszcze ktoś pomyśli, by zadać samo pytanie: „Żyjemy na ziemi, by poznać Boga – pisał Dziewiętnastowieczny Jezuita – służyć Mu i za to kiedyś pójść do nieba”. Oczywiście współczesny Wyznawca prędzej odgryzie sobie język, niż wygłosi podobne *credo*. Po co zresztą miałby to robić? Wystarczy, że da nam tajemniczo do zrozumienia, iż jest już bardzo blisko rozwiązania tej kwestii. Albo przynajmniej wie, gdzie go szukać.

Nie-Wyznawca tymczasem pozostanie bezradny, bo przecież już w samym pytaniu o „sens życia”, nie zaś o potencjalne drobne sensory w tegoż życia granicach – kryje się dyskretna, acz stanowcza sugestia jakiejś transcendencji – wszak ów sens musi się znajdować poza tymi granicami. I to właśnie ta bezradność niedowiarstwa, jest tu tak naprawdę, jak się zdaje, celem najważniejszym: stawia się pytanie, na które przeciwnik z natury rzeczy – na gruncie swoich przekonań – odpowiedzieć nie zdoła. Jeśli zaś spróbuje uniknąć pojedynku i wyrazi *desinteressement* wobec

problemu jako takiego, dowie się, (jak niedawno dowiedzieli się czytelnicy Wielkiej Gazety), że kto o sens życia nie pyta, wie, że żyje godnie „barana”. (To wręcz klasyczna zasada marketingu: sztucznie wytworzyć popyt – albo jeszcze lepiej: modę – na artykuł, który już spoczywa gotowy w magazynach firmy). W ten oto sposób i bezbożnik, i „baran” zostają zapełnieni w kozim rogu.

„Im grubszy błąd...”

Agnostykowi, choć sam z żadną religią się nie utożsamia, nie jest wcale obojętny kształt tej, którą wyznaje większość jego współobywateli. Tu jednak wcale nie wszystko jest tak proste, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Z jednej strony bowiem od posępnych inkwizytorów i krótko ostrzyżonych młodzieńców, organizujących hałaśliwe manifestacje pod szpitalami i teatrami, milsi mu są wśród Wyznawców ci tak zwani otwarcie: łagodni i tolerancyjni – nawet gdy wskutek jakiegoś dziwnego zrządzenia losu przywdziali suknię duchowną. Ludzie to przy tym zazwyczaj nad wyraz sympatyczni, serdeczni i życzliwi bliźnim, wolni od drapieżnego fanatyzmu i bezkompromisowości, które tak irytują Agnostyka zarówno wśród Wyznawców, jak i Ateistów.

Kibicuje więc Potępionemu Proboszczowi, zmagającemu się samotnie z rozgniatającą go bezlitośnie machiną kurialną, życzliwym okiem śledzi też odyseję Duchownego Publicysty, który pozbawiony przez władze zakonne prawa występowania w mediach elektronicznych, by dotrzeć ze swym przesłaniem do wszystkich telewizorów, musi wzorem Apostołów wędrować od miasteczka do miasteczka i od wsi do wsi. Woli słuchać Dobrotliwego Profesora, głoszącego, że piekło jest puste (najprawdopodobniej), niż tych jego kolegów, którzy jemu samemu, Agnostykowi, obiecują, że właśnie tam się znajdzie po zgonie, i to w bardzo licznym towarzystwie. Jednak z drugiej strony...

Agnostyk nie potrafi wyrzucić z pamięci słów Oświeceniowego Myśliciela, który przed dwustu z górą laty zauważył celnie, że teologia ortodoksyjna „otwarcie walczy ze zdrowym ludzkim rozsądkiem”, liberalizująca zaś „chciałaby go raczej skorumpować”: nie, nie, ta historia z jabłkiem w raju to naturalnie jedynie uroczą opowieść mityczną, ale przecież tkwią w człowieku ZŁO i GRZECH – o tym wszak łatwo się przekonać na co dzień – które musiały zostać „odkupione”. (Tę wiarę Filozof Nadziei nazywał właśnie „arcymitem”, konstatując jego istnienie nawet w światopoglądzie zwolenników tzw. „demitologizacji”). Dlatego Agnostyk sam nie wie, czy ma się zaśmiać, czy przerazić, gdy w Tygodniku Otwartym czyta Duchownego Psychoterapeutę, wywodzącego uczenie, że „opętania diabelskie” – zgodnie z tym, co głosi Urząd Nauczycielski – oczywiście się zdarzają, ale bardzo rzadko, egzorcystów nie potrzeba zatem aż kilkuset, wystarczyłoby, jak dawniej, trzech na cały kraj. Agnostyk nie umie w tym momencie odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie na dobrą sprawę tkwi różnica między DP a Sieciowym Kaznodzieją, barwnie opowiadającym ku uciechu internautów, jak to nim diabeł „prasnął o ścianę”. Może rzeczywiście miał rację Oświeceni-

wy Myśliciel, gdy swoje rozważania o ortodoksach i liberałach puentował krótko: „Im grubszy błąd, tym krótsza droga do prawdy”.

Co gorsza, Wyznawcy Otwarcia zaciemniają obraz sytuacji, dostarczają bowiem swoistego alibi całej degenerującej się w obłąkańczym tempie Instytucji: chyba nie może być tak ze szczerem zepsuta, myślą sobie niektórzy, skoro wciąż znajdują w niej dla siebie miejsce ludzie tak nieskazitelnej prawości. Ale to wniosek ryzykowny: „wypadkiem przy pracy” nie jest w Instytucji Ojciec Dyrektor, lecz raczej Potępiony Proboszcz. Co najdziwniejsze, sama Instytucja nie wydaje się Wyznawcom Otwartym bardzo wdzięczna za to alibi.

Czy warto być baobabem?

Agnostyk jak to Agnostyk: wciąż go trawia rozmaite wątpliwości. Nie jest więc wcale pewien także i tego, czy rzeczywiście wszystko się dlań skończy w chwili, gdy jego krzywa EEG spłaszczy się nieodwołalnie i ostatecznie. Niebo Wyznawców (skądinąd: dlaczego tak rzadko o nim ostatnio mówią?) specjalnie go nie pociąga, więc od wiekuistej światłości wolałby pewnie jakiś bonusowy żywot ziemski. Nachodzi go przecież czasem smutna refleksja, że tyle jest pięknych miejsc na Ziemi, których nigdy nie zobaczy, tyle dziewczyn, których miłości nie zdobył i już nie zdobędzie, tyle książek, których nie zdąży przeczytać (no, z tym jakoś by się jeszcze pogodził). Dywagacje takie uchodzą tu i ówdzie za okultystyczne fanaberie, o których można sobie poczytać w broszurkach dostępnych zazwyczaj w sklepikach oferujących poza tym rozmaite kadzidelka i amulety.

Całkiem podobne snuł jednak swego czasu – choć dość krótko – poważany na ogół Filozof z Królewca, a wzmiankowany już Oświeceniowy Myśliciel pisał w swym dziełku poświęconym wychowaniu rodzaju ludzkiego: „Dlaczegoż nie miałbym powracać po wielokroć tak długo, jak długo zdolny będę zdobywać nową wiedzę i nowe umiejętności? Czyż za jednym razem tyle zdołam wynieść, by powrót nie był wart trudu?”.

Nawet najbardziej „otwarcy” teologowie nieufnie podchodzą jednak do elukubracji tego rodzaju, wskazując na kłopoty z tożsamością poszczególnych wcieleń. Zapominają przy tym, że tożsamość to coś, co budujemy w ciągu całego swojego istnienia psycho-fizycznego, więc i chrześcijańska doktryna nieśmiertelności będzie z nią mieć wcale nie mniejsze problemy, gdy stanie na przykład wobec pytania o tożsamość osób ludzkich, zmarłych w wieku niemowlęcym (nie mówiąc o zygotach, które też już ponoć są ludźmi).

Ale może jest w tej nieufności i odrobina racji. Bo czy istotnie godzi się trawić czas na podobne spekulacje? Książę Poetów, który też skądinąd żywo się interesował koncepcjami reinkarnacyjnymi i, jeśli wierzyć jego słowom, żywił przekonanie, że wielokroć bywał już na Ziemi i jeszcze wiele razy na nią powróci, w rozmowie ze swym wiernym sekretarzem wyrazi sceptyczną opinię, że wizje tego rodzaju mogą się jedynie pojawić we śnie i nie sposób obrazów tak osobliwych wywołać w sobie na jawie.

A zresztą: czy rzeczywiście warto w ogóle zabiegać o takie kolejne „powroty”? Nie chodzi już nawet o to, że moglibyśmy się odrodzić w jakimś bycie innym niż ludzki: „A jeśliś tępy niby pień, zrodzisz się baobabem, i będziesz baobabem tysiąc lat, nim pomrzesz znów” – przestrzegał ochryplym głosem Rosyjski Pieśniarz. Skąd pewność, że następnym razem urodzimy się jednak w rodzinie nowozelandzkiego milionera, a nie jako siódme dziecko szwaczki w Bangladeszu? Los większości mieszkańców Ziemi nie jest szczególnie godny pozazdroszczenia. Może więc lepiej, jak to sformułował swego czasu Lewicujący Poeta w wierszu zatytułowanym znamienne *Przeciwno zwodzicielom*, umrzeć „jak wszystkie zwierzęta” – w poczuciu pewności, że „potem nic już więcej się nie zdarzy”.

Na łożu śmierci

Niestety: nie wszyscy agnostycy i ateści gotowi są zmierzyć się z tą myślą, gdy „przychodzi co do czego”. Nasz Agnostyk ze smutkiem przyjmuje wieści o tak zwanych „nawróceniach” swych braci w niewierze. Zwłaszcza gdy są to „nawrócenia na łożu śmierci”. Stara się powstrzymać od ocen i komentarzy, w szczególności jeżeli sam nigdy nie znalazł się w żadnej z sytuacji, które określa się mianem „granicznych”, sądzi bowiem, że jeśli „pojednanie z Bogiem” ułatwia komuś przeżycie tych ostatnich chwil, to do takich decyzji trzeba się odnieść ze zrozumieniem i współczuciem – przecież tylko ktoś kompletnie nieczuły na ludzki ból i pozbawiony elementarnej empatii zakazywałby podawania umierającym morfiny, czego zwykle nie zaleca się wobec zdrowych i krzepkich.

Z drugiej strony ze wzruszeniem i podziwem (to mu wolno!) myśli o tych, którzy przez „sytuacje graniczne” przeszli mężnie i z godnością, nie przekreślając całego swojego życia i dochowując wierności samym sobie. Jak Włoski Pisarz, autor przejmujących wspomnień z Obozu Śmierci, który w październiku 1944 roku, oczekując na selekcję do komory gazowej, doświadczył „pokusy, by szukać ucieczki w modlitwie”. Ostatecznie jednak szybko tę myśl odrzucił, bo przecież „nie zmienia się reguł gry pod koniec meczu, nawet jeśli się przegrywa”. Modlitwa w tych okolicznościach wydała mu się czymś nie tylko absurdalnym, ale i bluźnierczym, nieprzyzwoitym. „Oparłem się tej pokusie: wiedziałem, że w przeciwnym razie, jeśli przeżyję, będę się musiał tej chwili wstydzić”.

Nawet jeśli wyborów samych „nawróconych” komentować nie wypada, to przecież można, a nawet należy zadumać się nad powstrzymywanymi z trudem okrzykami tryumfu, rozbrzmiewającymi niekiedy nad ich trumnami. Agnostyk dziwi się tym okrzykom niepomniernie. Dziwi się dlatego, że zwycięstwo nad konającymi to zwycięstwo łatwe, a więc i mało chwalebne. „Na łożu śmierci nawrócono już tylu wolnomyślicieli – pisał Poeta Księgi Pieśni – jednak nie powinniście się tak głośno tym chlępić! Historie tych nawróceń należą w gruncie rzeczy najwyżej do dziejów patologii i kiepskie wystawiają waszej sprawie świadectwo. Dowodzą bowiem ostatecznie jedynie tego, że nie zdołaliście owych wolnomyślicieli nawrócić tak długo, jak

długo pod otwartym niebem Boga pozostawali przy zdrowych zmysłach i panowali nad swym rozumem”.

Ale to nie jedyny powód zdziwienia Agnostyka. Jakie właściwie wyobrażenie Boga – miałby ochotę zapytać – kryje się za tą radością z powrotu „zaginionych owiec” do Domu Ojca? Jeśli Bóg triumfujących Wyznawców istotnie miałby być, jak chciał pewien Doktor Kościoła, istotą tak doskonałą, że doskonalszej nie sposób sobie nawet pomyśleć, to powinien chyba cenić wysoko właśnie męstwo, konsekwencję, niezłomną wierność własnym zasadom, słowem to wszystko, co i my, istoty niedoskonałe i skończone, zazwyczaj cenimy najwyżej, gdy ośmielamy się osądzać bliźnich. Bóg przyglądający się konającemu zimnym wzrokiem i ostatecznie z mściwą satysfakcją przyjmujący jego lękliwy hołd, złożony pod groźbą „wiecznego potępienia”, słabo przypomina ów Byt Najdoskonalszy. Bliższy wydaje się raczej komunistycznym dyktatorom, którzy swych przeciwników politycznych wypuszczali z więzień w zamian za podpisanie „lojalki”.

On

Bóg wysoko, Bóg daleko. Blisko za to, bo wszędzie – On.

Błądząc uliczkami lubelskiej starówki, Agnostyk wstąpił przypadkiem do jednego z kościołów i ujrzał tam osobliwy ołtarz: pod Jego portretem (zasłaniającym jakiegoś już mniej aktualnego świętego) widniał wielkimi literami ułożony napis: TE DEUM LAUDAMUS. Oczywiście: Agnostyk nie jest aż takim ignorantem w dziedzinie religii, by nie wiedzieć, że to forma podziękowania owemu dalekiemu Bogu za nowego Świętego. Ale mimo wszystko – Agnostykowi ta inwokacja wydała się jakby odrobinę dwuznaczna. Zwłaszcza że pamięta jeszcze, jak w czerwcu Roku Pamiętnego tłum zgromadzony na Ulicy Franciszkańskiej śpiewał w ekstazie: „Słuchaj Ojczy, jak Cię błaga lud, słuchaj, słuchaj, uczyni z nami cud”. *Deus otiosus* usuwa się w cień, ale jego miejsce zazwyczaj nie pozostaje długo puste.

Agnostyk po Nim nie płakał. Ale przecież i on w tamte kwietniowe dni dał się ponieść nastrojom i przywiązał czarną kokardkę do anteny samochodu. Wspominając przy tym z wdzięcznością i wzruszeniem ów czerwcowy dzień na krakowskiej Skałce, kiedy to nad tłumem oczekującej na Niego młodzieży zawisł milicyjny helikopter, a jego załoga z niejaką ostentacją zabrała się do filmowania zgromadzonych. Nagle wszyscy jak na komendę z donośnym okrzykiem wzniesli w górę zaciśnięte pięści w geście niewiele może mającym wspólnego z nadstawianiem drugiego policzka, ale przez to tym bardziej wymownym. I oto stał się cud, o który dzień wcześniej tak gorąco błagano na Ulicy Franciszkańskiej: helikopter zawarczał ponuro i odleciał jak niepyszny, pozostawiając Lud w poczuciu tej osobliwej mocy, płynącej z przeświadczenia, że dopóki On jest z nim, nikt nie ośmieli się wyrządzić mu żadnej krzywdy. A do dziś dnia, gdy Agnostyk słyszy pamiętne słowa „Niech zstąpi Duch Twój etc.” (a słyszy je *volens* średnio raz w tygodniu), po grzbiecie przebiegają mu ciarki.

Agnostyk nie potrafi jednak pojąć, jak ktoś, kto nie nosił w sobie ani okrucia antysemityzmu, mógł

tak konsekwentnie wspierać jawnie antysemicką rozgłośnię. Nie wiedział? Baśń o dobrym carze i złych bojarach w dobie telewizji i internetu do reszty straciła swą wiarygodność. Wspierał zresztą różne inne „kontrowersyjne” siły, które Jego poprzednik nie bez powodu trzymał na bardzo krótkiej smyczy. I czy przywódca Kościoła obarczonego tak posępną hipoteką dziejową wypadało nazywać najbardziej humanitarną – przy wszystkich jej grzechach – cywilizację, jaką wytworzyła ludzkość, „cywilizacją śmierci” tylko dlatego, że nie chciała zaakceptować Jego – dość osobliwych – poglądów moralnych?

Agnostyk podejrzewa, że klucz do rozwiązania tych zagadek tkwi w Jego rozumieniu dogmatu o... nieomyślności. To nie przypadek, że do pierwszego poważnego konfliktu między Nim a teologami liberalnymi doszło właśnie wokół tej doktryny. Doktryny, której Swoje rozumienie przedstawił w mniej znanym, ale znamienitym dokumencie: w 1993 roku w cyklu katechez środowych, poświęconych urzędowi papieskiemu mówił: „...W tych słowach Chrystusa [chodziło o Łk 22, 32: «Jam prosił za tobą, aby nie ustawała twoja wiara» – przyp. T. Z.] najgłębiej i najmocniej jest zakorzeniona prawda o nieomyślności następców Piotra, wtedy gdy służą oni Kościołowi głosząc prawdę – prawdę wiary i obyczajów, wiary i moralności – czy to w sposób uroczysty przez definicje dogmatyczne, co zdarza się rzadko, czy to w sposób zwyczajny, przez całe swoje pasterskie i nauczycielskie posługiwanie”. (Zauważmy: „przez całe swoje pasterskie i nauczycielskie posługiwanie”, co stanowi bardzo znamienne rozszerzenie pierwotnej doktryny infallibilistycznej, przyznającej atrybut nieomyślności jedynie orzeczeniom „uroczystym”).

Czy tak trudno domyślić się reszty? Skoro to My jesteśmy w posiadaniu nieomyślnej prawdy i dzięki „charyzmatowi opieki Ducha Świętego” najtrafniej diagnozujemy błędy świata, to przecież Naszym obowiązkiem jest ów świat od tychże błędów wyzwolić, nawet jeśli on sam, zaślepiiony przez złego ducha, ich nie dostrzega i wyzwolony od nich wcale być nie chce. A nie da się tego uczynić jedynie modlitwą, potrzeba działania. Dlatego błogosławieni skuteczni, nawet jeśli ich metody mogą się Nam i innym wydawać jakby nieco dwuznaczne. Ścieżki Pana bywają zagadkowo splecione, bo wszak nie od dziś wiadomo, że „Bóg pisze prosto po krzywych liniach życia”. A błądzą ci, którym w tym momencie brzydko zapachniałoby makiawelizmem i którzy chcieliby zacytować wyświechtaną do cna frazę o „celu uświęcającym środki”.

Cóż, antysemityzm to grzech trudny do wybaczenia, ale może na tym etapie trzeba się z nim pogodzić, jeśli pragnie się dotrzeć do ludzi nim skażonych. Błogosławieni skuteczni! Może nie zawsze ich serca i ręce są czyste, ale przecież nie sposób walczyć z brudem świata, nie kalając ich samemu.

Agnostyk nie był Jego wielkim admiratorem, ale przecież czasem mu Go dziwnie żal. Bo cokolwiek byśmy myśleli o Jego rządach i dziełach, jedno pozostanie poza wszelką dyskusją: jeśli ktoś przyszedłszy na świat w małym miasteczku na obrzeżach Europy zostaje zwierzchnikiem największego Kościoła chrześcijańskiego i urząd ten sprawuje przez z górą ćwierć wieku, to ktoś taki nie może być byle kim. I czy nie

szkoda, że tę frapującą a tajemniczą Osobowość tak zagadkowe przechodzącą ewolucję, której rzetelne studium dałoby nam może jakiś wgląd w psychologię władzy i charyzmy, pogrzebano dziś pod tonami betonu Jego przerażających posągów, gęsto posypano clikowymi „kwiatkami”, zasłodzono kremówkami, zagłuszono infantylnymi opowiastkami o cudach i ośmieszono filmami kręconymi od początku z myślą o seansach dla szkół podstawowych i domów spokojnej starości?

Co prawda, myśli sobie Agnostyk, i On sam nie jest tu bez winy, bo przecież pierwsze pomniki zaczęto Mu stawiać już za życia (niektóre nawet Sam odślaniał), a casus Dobrego Papieża Franciszka, którego również spróbowano uczcić w podobny sposób, pokazuje aż nadto wyraźnie, jak łatwo taki proceder ukrócić jednym stanowczym tupnięciem znoszonego buta. Słychać tu zresztą jakiś szyderczy chichot historii. Jak piszą bowiem znawcy sztuki, chrześcijaństwo pierwszych wieków odrzucało z obrzydzeniem rzeźbę pełnfigurálną, pomne bałwochwalczych posągów, wznoszonych Cezarom, a będących jednym z narzędzi prześladowań, jakim poddawano wyznawców Chrystusa. Oto jak przemija „postać świata” i zmienia się „oblicze ziemi”.

Agnostyk nigdy nie wczytywał się nazbyt pilnie w Jego pisma, ale przecież trochę mu szkoda niektórych Jego myśli i sentencji. Albowiem idea, która staje się przedmiotem oficjalnego kultu i którą wolno jedynie wielbić, ale której nie wolno poddawać krytycznej analizie, obumiera szybciej niż się rodziła, co potwierdzają losy marksizmu, ważnych inspiracji dostarczającego wszędzie poza tą częścią świata, gdzie kiedyś podniesiono go do rangi Objawienia. Najbystrzejsi myśliciele szybko przestają szukać w niej inspiracji i oparcia, bo najbystrzejsi myśliciele zazwyczaj nie zbyt chętnie przyłączają się do chóralnych śpiewów. Tymczasem Agnostyk rad by przypomnieć Jego refleksje nad prymatem pracy w stosunku do kapitału, a zwłaszcza jakże trafne Jego spostrzeżenie, że „demokracja bez wartości łatwo się przemienia w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm”. Tak, tak, oczywiście, Agnostyk czytał *Centesimus annus* i wie, że On rozumiał tę konstatację na Swoj sposób: „demokracją bez wartości” była Jego zdaniem demokracja odrzucająca przekonanie o istnieniu „ostatecznej prawdy”. Źródłem zaś „blasku” tej prawdy, *veritatis splendor*, jest wyłącznie Kościół Chrystusowy, czyli katolicki, a ściślej biorąc jego Urząd Nauczycielski. Ergo, „demokracja bez wartości” to demokracja niepoddana ocenie i kontroli tegoż Urzędu, to znaczy demokracja nieuznająca zwierzchności Hierarchów.

Łatwo byłoby wykazać, że niemiły zapach totalitaryzmu znacznie silniejszy byłby w tak właśnie zaprojektowanym ustroju (demokracją już właściwie niebędącym), ale przecież sama myśl, wzięta dosłownie, zaskakująco trafnie opisuje i naszą odzyskaną ćwierć wieku temu „wolność”: demokrację „ciepłej wody w kranie”, ustanowioną przez ludzi odmieniających kiedyś przez wszystkie przypadki „prawa człowieka i obywatela” (a zwłaszcza ukochaną wówczas słówko „etos”), dziś zaś przyzwalającą za drobną opłatą na torturowanie cudzych więźniów na własnym terytorium, akceptującą bez oporów masowe podsłuchy,

„areszty wydobywcze”, „czyszczenie kamienic”, samowolę rozbudowywanych bez opamiętania „służb” i przy suto zastawionym stole poszukujących sposobów na dobranie się do sadła „tłustym misiom”. Ludzi znających tylko jedną wartość: władzę.

Agnostycyzm: „moralność myślenia”

Agnostycyzm nie jest, co oczywiste, religią, nie jest ideologią, nie jest nauką. Jest czymś, co za Krytycznym Racjonalistą można by nazwać „moralnością myślenia”. Ta moralność każe przede wszystkim nieufnie podchodzić do wszelkich „dogmatów”, zwłaszcza tych stanowionych przez Nieomyłne Instytucje. Radzi brać pod uwagę, że wszystko może być inne niż to sobie wyobrażamy, winniśmy zatem zachować gotowość do rewizji własnych, nawet najgłębszych przekonań. (Co oczywiście nie oznacza, że wszystkie hipotezy i poglądy są równoważne i równie prawdopodobne). Taka gotowość obca jest zazwyczaj z natury rzeczy Wyznawcom, dumnym zwykle raczej z niewzruszoności swej wiary.

To zdradza sceptyczny i oświeceniowy rodowód agnostycyzmu. Bo to właśnie oświecenie – wbrew temu, co się o nim opowiada – w czasach nowożytnych nauczyło rozum pokory: skoro nie sposób dotrzeć do „rzeczy samej w sobie”, to wszelkie orzeczenia *ratio* mają wartość względną i dają się podważyć, ich absolutyzowanie i dogmatyzowanie jest zatem łatwą do przejrzania uzurpacją. To także między innymi dlatego Wiek Światła jest nieufny i krytyczny wobec chrześcijaństwa: jego dogmaty rozpoznaje jako twory rozumu, przypisujące sobie samowładnie prawdziwość płynącą jakoby z innego, czystszy niż rozum źródła i dlatego niepodlegającą rzekomo jakiegokolwiek dyskusji. Ale przecież i w tym wypadku na końcu długiego łańcucha uzasadnień i dowodów znajdziemy jedynie człowieka z krwi i kości, własnoręcznie spisującego jakąś Księgę, o której ktoś inny, jej „uprawomocniony” interpretator, nieznoszącym sprzeciwu tonem oznajmi zgromadzonemu ludowi: „Oto słowo Boże!”.

Hołdujący tej „moralności myślenia” Agnostyk skazuje się oczywiście na doczesne piekło wiecznego wątplenia ze wszystkimi tego konsekwencjami. „My, którzy nie jesteśmy ani jakobinami, ani jezuitami [...] wątpimy często w samych siebie – pisał ze smutkiem Poeta Księgi Pieśni – nasze myśli tkwią korzeniami w piaszczystej glebie szkolnej mądrości, porusza nimi niczym trzcina nad brzegiem potoku byle podmuch wiatru ducha”. I dodawał z rezygnacją: „Nie znajdujemy w naszej wierze radości”.

Dlatego Agnostyk z melancholią spogląda na rozjaśnione pewnością twarze młodych Wyznawców płci obojga, zmierzających pośród radosnych okrzyków i nawoływań na zebrania rozmaitych duszpasterstw i grup modlitewnych, gdzie w poczuciu wspólnoty i przyjaźni będą zgodnym chórem śpiewać *Barwę* i umacniać się nawzajem w wierze pod światłami i życzliwym kierownictwem swych duchowych przewodników.

Z melancholią, ale bez zazdrości.

TADEUSZ ZATORSKI

MAREK TABIN

EMOCJE CODZIENNE A ISTNIENIE PAŃSTWA

O kształcie naszego życia politycznego decyduje konflikt między dwiema głównymi partiami: Platformą Obywatelską i Prawem i Sprawiedliwością. Prowadzą one ciągłą walkę o władzę, czyli przede wszystkim o sympatie znacznej części wyborców – tych spoza elektoratów stałych.

Mamy w Polsce tylko dwa stałe elektoraty, tzn. grupy wyborców głosujących na daną partię względnie niezależnie od siły i zręczności propagandy partii konkurencyjnych. Są to stałe elektoraty SLD i PSL, czyli postpeerelewskie. Ten pierwszy skupia ludzi trwale sympatyzujących z systemem politycznym PRL i w sposób naturalny kurczy się. Ten drugi – skupia zwolenników systemu politycznego PRL mających związek ze wsią, a często też z dawnym Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym. Obydwa te stałe elektoraty nie należą do głównych partii i są niewielkie. Sympatie pozostałych wyborców są płynne, przepływają z jednej kategorii do innej – częste i niejednokrotnie zachodzą między partiami pozornie sobie przeciwstawnymi, na przykład między partią pravicową i lewicową. Do tego dochodzą nie głosujący – największa od ćwierćwiecza część elektoratu, którą każdy polityk chciałby zdobyć dla siebie. Jest więc o co walczyć.

Ale Platforma i PiS to również dwa zupełnie różne style walki. Platforma, wciąż dominująca w sondażach, administruje krajem „na bieżąco” i bez szerszej wizji, szczyty się określeniem, że jest „partią ciepłej wody w kranie”, gasi kolejne konflikty, stale atakowana i odpierająca ataki w nadziei, że większość społeczeństwa zrozumie jej proste i przekonujące argumenty. Stara się o wizerunek solidnego gospodarza i racjonalnego partnera wszelkich konfliktów i polemik.

Natomiast styl PiS-u – to starania o wizerunek rewolucjonisty głęboko przejętego bardzo złą aktualną sytuacją Polski i zdolnego do radykalnej naprawy. To partia ciągle jeszcze nieco słabsza, stale atakująca i wykorzystująca do ataku każdy pretekst, również kompletnie

nieracjonalny. O racjonalność kontaktów z otoczeniem (z PO, z wyborcami, z innymi partiami) PiS dba dużo mniej niż PO. W rezultacie, w relacjach między Platformą Obywatelską a Prawem i Sprawiedliwością daje się zauważyć charakterystyczną asymetrię. Stroną atakującą jest z reguły PiS, które korzysta ze wszystkich możliwości: od realnych i uzasadnionych (afera taśmowa) poprzez mocno naciągane (wybory samorządowe 2014) aż do całkowicie absurdalnych (katastrofa smoleńska). PO natomiast – a wraz z nią ludzie zainteresowani bardziej obroną państwa niż Platformy, bo jeszcze tacy są – broni się, zwykle przedstawiając te lub inne racjonalne argumenty przeciwko oskarżeniom PiS-u. Fakt, że nie zawsze łatwo Platformie takie racjonalne argumenty znaleźć, bywa jednak i tak, że bez trudu można wykazać, iż atak PiS-u zawiera – by rzecz łagodnie – argumenty tendencyjne i przepełnione złą wolą. Znowu afera smoleńska jest tu koronnym przykładem.

Tak tworzy się stereotyp Platformy racjonalnej i zrównoważonej oraz PiS-u ekstremalnego, awanturniczego i oskarżającego za wszelką cenę, przede wszystkim za cenę sensu i logiki. Nie zamierzam przekonywać, że jest to stereotyp całkiem nieprawdziwy. Raczej będę starał się pokazać, że różnica między tymi partiami pod względem oddziaływania na społeczeństwo nie jest wielka i że wspólnie doprowadzają one społeczeństwo do stanu rozchwiania emocjonalnego i całościowej negacji przemian, które zaszły po 1989 roku.

Krótką dygresję wyjaśniającą, o co mi chodzi, gdy charakteryzuję argumentację jako racjonalną. Przez dyskurs racjonalny rozumiem taki, w którym uczestnicy debaty przedstawiając sobie wzajemnie argumenty, jednocześnie ustosunkowują się do argumentów przeciwnika i starają się wykazać ich nieadekwatność, miałość, nieprawdziwość, przyjmowanie ukrytych założeń bądź ich dowolność, innymi słowy: wady rozumowania. Tylko ten styl prowadzenia debaty umożliwia dojście do opty-

malnego rozwiązania, czyli do głównej zalety systemu pluralistycznego. W polskim życiu politycznym ten styl występuje rzadko. Stosowała go Platforma Obywatelska broniąc się przed atakami PiS-u w sprawie katastrofy smoleńskiej, ale przy innych aferach już raczej nie. Wspominam o tym stylu dla porządku, jako o pewnym ideale zasługującym na powszechność w kraju o tysiącletniej historii, której to powszechności jednakże los mu odmówił.

Istnieje natomiast i jest o wiele częstsze w naszym życiu politycznym coś, co roboczo nazwę quasi-racjonalnością, a co ma z racjonalnością właściwie tylko wspólnego, że nie operuje materiałami wybuchowymi. Polega na zwykłym monotonnym powtarzaniu przez każdą ze stron swoich argumentów bez zwracania uwagi na to, co mówi przeciwnik, na przykład: „Tusk-zdrajca” vs. „Kaczyński-kandydat specjalnej troski”, albo: „Nergal-diabeł” vs. „Michalik-ciemnota”. Czasem są one stylistycznie bardziej rozbudowane, ale nadal brak im jakiegokolwiek uzasadnienia, mogą się też zmieniać na sprzeczne z poprzednimi, ale również deprecjonujące przeciwnika (por. eksplozję pomysłów technicznych dotyczących sposobu przeprowadzenia „zamachu” smoleńskiego). Być może dałoby się wykazać, że PiS stosuje ten sposób najchętniej, ale Platforma i pozostałe partie polityczne na pewno nie pozostają daleko w tyle.

W wariacie pierwszym pluralizm dialogu jest więc narzędziem służącym dojściu do decyzji wspólnej, uznanej za najlepszą przez obie strony. W drugim, quasi-racjonalnym – jest wolnością mówienia co kto chce, wiąże się raczej z czynnością kombinowania niż myślenia, a podejmowane działania i tak zależą nie od argumentów, lecz od siły politycznej. Czasy *liberum veto* to były nadzieje zwolenników racjonalności w kraju, gdzie wśród elektoratu, czyli szlachty, dominowała quasi-racjonalność. Niestety, stan ten się przedłuża mimo braku szlachty.

Najczęstszym elementem stylu quasi-racjonalnego w dyskursie jest przyporządkowanie przeciwnika do pewnej kategorii z góry uznanej za niewłaściwą, błędną, szkodliwą i traktowanie tego przyporządkowania jako zasadniczego argumentu. Jest to odmiana argumentu „on jest obcy, więc jest wrogiem”. Zależnie od orientacji politycznej mówiącego taką kategorią może być „burżuazyjny nacjonalizm”, „wrogowie socjalizmu”, „nienawidzący Maryji”, „sieroty po PRL-u”, „przeciwnicy nowoczesności”, „komuniści”, „solidaruchy” i wiele innych. W opinii propagandyzisty stosującego ten styl samo takie przyporządkowanie powinno spowodować wzrost niechęci do osoby bądź grupy obdarzonej takim epitetem. Na szczęście, nie zawsze to następuje, ale, niestety, zawsze uczy ludzi stosowania takiego stylu.

Co zdecyduje o zwycięstwie PO lub PiS? Chyba żaden z tych sposobów, które są stosowane. Nie znam badań zmierzających do porównania skuteczności różnych sposobów oddziaływania propagandowego na elektorat. A jest ich wiele: akcentowanie swoich zasług, krytyka konkurentów, kompromitowanie ich, hasła propagandowe, dobra prezencja w telewizji, skandale obyczajowe i wiele innych. Wydaje mi się jednak, że dla ostatecznego efektu przy urnach rolę podstawową grają nie doraźne akcje manipulatorskie podejmowane szczególnie często przed wyborami, lecz tak zwany całokształt. Przy czym, jak myślę, najważniejszy w Polsce współczesnej jest cał-

łokształt negatywny, a nie pozytywny. Chodzi więc nie o wzrost liczby osób zadowolonych z przemian ocenianych jako pozytywne, lecz o wzrost liczby osób niezadowolonych z przemian negatywnych. Zjawisko to dawno już zostało określone jako głosowanie negatywne lub głosowanie przeciwko. Dlatego właśnie staram się w tym tekście podkreślać przyczyny postaw negatywnych, a nie pozytywnych. Oczywiście, teoretycznie mogłoby się wydarzyć, że przemiany pozytywne są o wiele znaczniejsze niż negatywne i to właśnie one zdecydują o wynikach wyborów. W dodatku, taka sytuacja wcale nie musi być fikcyjna – w XX wieku w Szwecji partia socjaldemokratyczna rządziła bez przerwy pół wieku. W Polsce jednak takiej sytuacji trzeba by szukać albo gdzieś głęboko w historii, albo jeszcze głębiej w przyszłości kraju.

Z tezą, że wady sytuacji społecznej oddziałują na postawy ludzkie silniej niż zalety, psycholog-badacz zapewne się nie zgodzi. Niewykluczone, że gdyby przeprowadzić w warunkach laboratoryjnych doświadczenie psychologiczne dotyczące tego właśnie problemu, to wynik nie byłby jednoznaczny. Ale to w laboratorium, bo w realnym, polskim życiu społecznym siła niechęci społecznej do elit władzy jest większa niż ich akceptacja i to nie tyle ze względu na same problemy, przed którymi stoją poszczególne branże, dziedziny życia, czy grupy społeczne, ani ze względu na konstrukcję ludzkiej psychiki, lecz z dwóch innych przyczyn, zresztą powiązanych ze sobą. Jedna – to styl komunikacji „góry” z „dołem”, przy czym prawie każda instancja i prawie każdy człowiek występuje zwykle jako „góra” i jako „dół”. Druga to bezustanne rozdmuchiwanie i pogłębianie złych emocji w społeczeństwie.

„Nie pytaj, co rząd może zrobić dla ciebie!
Pytaj, jak możesz temu zapobiec!”

Szkoło Kontaktowe

Kwestia komunikacji między władzą a społeczeństwem to przypadek szczególny kwestii komunikacji między Polakami w ogóle. W każdej interakcji społecznej grają pewną rolę zarówno więzi między ludźmi, jak i wyobrażenie własnej pozycji w stosunku do partnera; innymi słowy interakcja jest grą sympatii i próby zdominowania. Naszym, polskim problemem jest chyba nadmierne akcentowanie tego drugiego elementu, co można uważać za objaw masowego i chronicznego niedopiecznia. Widać to także w kontaktach między organami państwowymi (również niezbyt wysokiego szczebla), które jak ognia unikają rozmów i uzgodnień, a sprawy starają się załatwić z pozycji władzy. W relacjach między organami państwowymi a społeczeństwem postawa ta sprowadza się do przekonania, że władza – niekoniecznie państwowa, czy samorządowa – jest po to, żeby kazać, a nie żeby wysłuchać, zrozumieć, uzgodnić, rozwiązać problem. Taki styl może nawet czasem coś rozwiązuje, choć raczej na krótko, ma też dużą zaletę: szybkość, ale jednocześnie przyczynia się do powstawania trwałej postawy niechęci, która sama w sobie będzie w przyszłości stwarzać nowe problemy.

Z lekceważeniem ze strony władzy, często nie bez wzajemności, zetknął się chyba każdy. Ale lekceważenie indywidualne, to jedynie część problemu; istnieje jeszcze lekceważenie zbiorowe, społecznie chyba ważniejsze, polegające na tworzeniu pewnych doktryn,

poglądów czy konstrukcji pojęciowych, które takie lekceważenie zakładają *implicite*, bez używania formuł w rodzaju „ciemny lud to kupi”. Przytoczę tu cztery przykłady takiej sytuacji.

Przykład pierwszy: głębokie przekonanie elit o własnej racji i o błędności, bądź złej woli wszystkich, którzy ich racji nie widzą, skutkuje pogardą wobec ludzi i określeniami w rodzaju „społeczeństwo przypadkowe”. Postawa ta wydaje się o wiele częstsza niż wypowiedzi jawnie się do niej przyznające. Także przed 1989 rokiem mieliśmy co jakiś czas samokrytyki PZPR mówiące o „oderwaniu się od mas”. Doktryna ustrojowa wykluczała jednak sankcjonowanie tej sytuacji, podejmowano więc różne działania mające przekonać społeczeństwo, że teraz oderwanie się od mas już na pewno odejdzie w przeszłość. Od pewnego czasu natomiast mam wrażenie, że to lekceważenie (podobnie jak lekceważenie prawa przez elity) jest już bliskie całkowitej jawności i zupełnie przestaje być czymś wstydliwym.

Przykład drugi: pozostałość socjalizmu, czyli myślenia „wszyscy jesteśmy gospodarzami tego kraju”. W styczniu 2015 r., podczas negocjacji rządu z górnika komentator telewizyjny powiedział, że „górnicy muszą zrozumieć, że nie mogą być wyjątkiem od obowiązywania praw ekonomicznych”. Tym samym pokazał, że linie podziału (i wrogości) między różnymi grupami społecznymi widzi w zupełnie innym miejscu niż one faktycznie przebiegają, zresztą całkowicie zgodnie z obecną doktryną ustrojową. Dla niego, po jednej stronie konfliktu stali górnicy – od prezesa kompanii do rębacza dołowego – a z drugiej rząd i prawa ekonomii. Tymczasem w rzeczywistości jest tak, że po jednej stronie są protestujący górnicy, a po drugiej – ich zwierzchność od prezesów po rząd. Takie właśnie jest instytucjonalne usytuowanie związku zawodowego w systemie kapitalistycznym, a robotnicy po prostu żądają by ci, którzy kierują produkcją, znali się właśnie na prawach ekonomicznych i je uwzględniali, gdyż oni sami nawet nie mają takich możliwości. Jak czuje się górnik dołowy zagrożony bezrobociem, który słyszy, że nie troszczy się o kraj i nie zna praw ekonomii?

A zjawisko polityzacji konfliktu przemysłowego, a w każdym razie nie politycznego u swego zarania, wydaje się rozpowszechniać. Niedawne protesty osób, które wzięły kredyt mieszkaniowy we frankach szwajcarskich, wskazywały wyraźnie, że za przyczynę swej trudnej sytuacji uważają oni nie prawa ekonomii, nie własną lekkomyślność, nie pecha, tylko wysokie zarobki prezesów banków.

Przykład trzeci. zawartość mediów, a szczególnie najpopularniejszego spośród nich – telewizji. Młodzi nie pamiętają czasów, gdy każdy dziennik telewizyjny pełen był sprawozdań typu „stał się leje, moc truchleje” – czyli obrazów dokumentujących produkcyjną potęgę kraju. Przeciętny widz nie miał szans ocenić, czy ten rozwój jest rzeczywiście szybki i czy zachodzi we właściwym kierunku. Mógł jednak odnieść wrażenie, że rządzący poświęcają sprawom kraju prawie cały swój czas i że się o kraj troszczą. Teraz najpopularniejsze kanały telewizyjne i tytuły prasowe zajmują się wyłącznie przepychankami personalnymi na poziomie przedwojennego magla, różnymi, często fałszywymi oskarżeniami, brudnymi dyktandami, itd. Wniosek z tego dla przeciętnego widza jest taki, że rządzący na sprawach ważnych się nie znają

i nie mają zamiaru się znać – trudno nie uznać, że jest to lekceważenie.

Wreszcie czwarty przykład lekceważenia. Zjawisko braku zaufania ludzi do elit politycznych jest w niektórych mediach omawiane od dłuższego czasu. Przytacza się trzy koncepcje tłumaczące to zjawisko. Są to:

- zmasowana propaganda polityczna skierowana przeciwko Platformie Obywatelskiej, a w szczególności przeciwko jej przywódcom, do niedawna Donaldowi Tuszkowi, a obecnie Ewie Kopacz,

- „Polacy już tacy są”. W Polsce zawsze, w każdej ważniejszej sprawie tworzy się destrukcyjny konflikt, prezentujący opozycyjność plemienną, a nie merytoryczną,

- zaufania do władz nie mają i są przeciwko nowemu ustrojowi tylko ci, którym się nie udało. Ten bardzo marksistowski pogląd („był określa świadomość”) spotykałem w tekstach publicystów i polityków deklarujących i praktykujących wstręt do marksizmu, i głębokie przywiązanie do ustroju obecnego.

U podłoża tych wyjaśnień leży lekceważenie elit politycznych w stosunku do społeczeństwa. Polacy wystarczająco wiele razy wykazali wysoką odporność na jawną część przekazu propagandowego i zarzucanie im bezmyślnej uległości wobec propagandy nie jest zarzutem trafionym. Po drugie, w Polsce myślenie plemienne gra rzeczywiście dużą rolę, szczególnie właśnie wśród polityków; na przykład rozpatrywanie konfliktu trochę już przebrzmiałego – między „komuchami” i „solidaruchami” w tych kategoriach byłoby jak najbardziej uzasadnione, ale patrzenie w ten sposób na brak zaufania ludzi do elit politycznych jest chyba nieporozumieniem. Wreszcie, wyjaśnienie trzecie mogło być trafne, gdyby powodzenie lub jego brak zależały od indywidualnych starań, zdolności, energii. Ale olbrzymia większość – spośród 2 mln obecnie bezrobotnych, 2 mln, którzy wyjechali po wstąpieniu do UE oraz iluś tam, którzy wyjechali wcześniej – nie miała szans, by się wykazać. Jest to więc raczej pomysł kontynuujący bogatą w Polsce tradycję dzielenia ludzi na lepszych i gorszych, merytorycznie zaś błędny, bo nieporozumieniem jest oczekiwać poparcia systemu politycznego od ludzi, którzy bez swojej winy zostali społecznie zdegradowani.

Przejdźmy teraz do sprawy, którą wyżej określiliśmy jako produkowanie złych emocji.

Fałszywą nadzieją jest przekonanie, że rozumem można emocje zwyciężyć. Są one składnikiem umysłu ewolucyjnie o wiele starszym niż rozum. To one, a nie rozum, warunkują przetrwanie. To oczywiste, że czasami emocji – szczególnie tych negatywnych – jest zbyt wiele, na przykład właśnie w przypadku katastrofy smoleńskiej. Ale traktowanie rozumu jako czynnika gaszącego emocje – podobnie jak woda gasi ogień – jest całkowitym nieporozumieniem. Uskarżanie się na emocje i na to, że są silniejsze niż rozum, jest bezproduktywne. Raczej emocje są zdolne zgasić rozum niż na odwrót, co w polityce okazywało się często.

Katastrofa smoleńska, a raczej wszystko, co działo się potem i dzieje się do tej pory jest znakomitą materialem do ilustracji przewagi emocji nad rozumem. Jakis czas temu w artykule redakcyjnym „Gazety Wyborczej” czytaliśmy: „W starciu rozumu z emocjami

„Naród prosi rząd o 90 dni spokoju!”

Szkło Kontaktowe

wygrywają emocje. To dlatego coraz więcej Polaków wierzy w fantastyczną teorię zamachu, w spiszek Tuska z Putinem, w trotyl, hel, bombę próżniową, sztuczną mgłę, dobijanie rannych i inne fantasmagorie". W zgodzie z poglądem, że walczyć z emocjami trzeba rozumem gazeta ta zamieściła w tym samym wydaniu obszerne omówienie katastrofy smoleńskiej, bardzo zresztą dobrze zrobione. Ciągłe jednak, jak sądzę, pisać o religii smoleńskiej gazeta nie sięgała tam, gdzie trzeba. Działania takie, jak komisji Macieja Laska powinny oczywiście być podejmowane, ale spodziewanie się po nich, że komisja coś logicznie i przekonująco wykaże i mit pryśnie jest naiwnością opartą o fałszywą doktrynę o przewadze rozumu nad emocjami. Gdyby była ona słuszna, fikcja kultywowana przez PiS powinna upaść najpóźniej po ujawnieniu „kwalifikacji” – technicznych i moralnych – członków zespołu Antoniego Macierewicza. Działanie komisji Macieja Laska to dochowanie standardów przyzwoitości w dyskursie publicznym, ale nie armata na froncie walki z religią smoleńską. To raczej dla strony PiS-owskiej katastrofa smoleńska była i wciąż jest armatą do wystrzelania złych emocji.

Takimi samymi złymi emocjami obdarzają nas politycy oraz „historycy na wyposażeniu” oceniając minione okresy historii. „Komuna” – szczególnie w okresie stalinowskim – oceniała czasy przed 1939 rokiem bezmyślnie i doktrynalnie, teraz zaś dokładnie tak samo oceniany jest okres PRL. Można powiedzieć: „mają za swoje”, ja osobiście jednak wolalbym, żeby polska polityka była w mniejszym stopniu znajdowaniem i karaniem winnych, także tam, gdzie ich nie ma, a stała się osiągnięciem jakichś sensownych celów. Pomysł, że jak się winnych ukarze, to w przyszłości kandydaci na winnych będą się bać i w końcu zła nie popełnią, jest jedną z najbardziej nierozsądnych i jednocześnie najstaranniej kultywowanych nieprawd w historii.

„Tych wszystkich sk...należy postawić pod ścianą i raz na zawsze zakończyć sprawę. Raz na zawsze!!!!”
(z internetu)

Ale co z tego w sumie wynika? To, że ciągle żyjemy w okresie „niesłusznym” – chociaż z reguły dowiadujemy się o tym *ex post*. Zaraz po wojnie dowiedzieliśmy się, że przed wojną żyliśmy w czasach powszechnej nędzy i burżuazyjnego terroru, potem co jakiś czas dowiadujemy się, że żyliśmy w okresie „błędów i wypaczeń”, ale on właśnie odchodzi w przeszłość, wreszcie w 1989 roku poinformowano nas o totalnej niesłuszności całego okresu PRL. Ze źródeł zbliżonych do PiS wiemy, że PRL trwa nadal w najlepsze – innymi słowy należy oczekiwać kolejnego powiadomienia o tym, że kolejny okres niesłuszny odszedł w przeszłość. Myślę jednak, że większość społeczeństwa reaguje na takie komunikaty niechęcią do tych, którzy je wysyłają i to bez względu na ich kolor.

Siłą PiS jest także sugerowanie, że całe zło wynika z „knoań wrogów”, czyli przede wszystkim Platformy. Oddziaływanie takiego poglądu na psychikę ludzką jest bardzo destruktywne. Dowiadując się, że całe zło wynika z knoai wrogów, ukrytych i perfidnych, człowiek nabiera przekonania, że dobro jest na wyciągnięcie ręki, tylko „oni” (nigdy dokładnie nie wiadomo, kto się kryje pod tym zaimkiem) nie chcą tych nielicznych przecież wrogów unieszkodliwić. Całe zło dało by się przecież zlikwidować

jednym gestem, kilkoma prostymi ustawami, ale „oni” nie chcą! Dla mnie nie ulega wątpliwości, że jest to perfidna i skuteczna maszyna do produkcji złych emocji.

Rezultatem jest powszechność rozchwiania emocjonalnego. Wyobraźmy sobie, że analogiczna do smoleńskiej tragedia dotknęła na przykład Szwajcarów. Dalej, wyobraźmy sobie, że zrządzeniem boskim na Szwajcarię spada desant panów Macierewicza, Biniendy i innych i że zaczynają oni tam robić to, co właśnie robili i robią w Polsce. Czy jest do pomyślenia, że w ciągu 3 lat odsetek Szwajcarów uważających, że to był zamach, osiąga 1/3 społeczeństwa? Pytanie uważam za retoryczne, gdyż przykładowi Szwajcarzy nie są społeczeństwem ludzi rozchwianych i gotowych do szybkiego dawania wiary informacjom niesprawdzonym i wyglądającym nonsensownie już na pierwszy rzut oka. To rozchwianie przekłada się, moim zdaniem, także na zachowania nie związane z polityką (praca, kontakty z innymi ludźmi, przedsiębiorczość), jak również na zaufanie do władz i innych osób publicznych. Gdy to piszę dyrektor Muzeum Auschwitz-Birkenau tłumaczy się gęsto z tego, że na uroczystości wywołania obozu nie zaprosił rodziny rotmistrza Witolda Pileckiego. Twierdzi, że nie był w stanie przeglądać danych o rodzinach wszystkich byłych więźniów obozu, ale kilka dni temu twierdził, że to nie on i w ogóle nie strona polska wysyłała powiadomienia o uroczystościach!

Z punktu widzenia jednostki, sprawę pogarsza fakt, że nie wiadomo, na kogo zrzucić winę za zaistniałą sytuację (rządzi niewłaściwa – bo nie moja – partia, Żydzi, masoni, uwłaszczeni komuniści, imperializm amerykański, czarni, Bruksela, jednak wciąż Moskwa, inne). Pod tym względem czasy PRL były nieporównanie wygodniejsze, gdyż było zupełnie oczywiste, kto jest winny wszystkiemu, również na przykład bałaganowi w moim pokoju.

Jakiś czas temu czytałem reportaż o młodym człowieku, który miał wytatuowaną swastykę i chodził na uroczystości AK-owskie, między innymi właśnie ku czci rotmistrza Pileckiego i nie widział sprzeczności w swym zachowaniu. Myślę, że rzeczywiście nie widział. Bo ta sprzeczność istnieje tylko na poziomie historii i ideologii, których młodzi ludzie po prostu nie znają. Natomiast nie ma tej sprzeczności na poziomie odczuwania codzienności. Szczególnie młodzi ludzie nie akceptują współczesnej polskiej codzienności i dlatego nie akceptują też niczego co oficjalne. Oficjalnie walczy się z antysemityzmem, więc oni deklarują antysemityzm. Oficjalnie faszyzm jest wyklęty, więc oni malują swastyki. Na uroczystościach AK-owskich gwiżdże się na przedstawicieli władz, więc oni chodzą gwizdać. Dla tego młodego człowieka swastyka nie była demonstracją uznania dla ideologii hitlerowskiej, lecz dowodem sprzeciwu wobec Polski obecnej. Rzecz jasna, można postulować polepszenie nauczania historii w szkołach w nadziei, że to ułatwi młodym ludziom zauważenie sprzeczności między AK i swastyką. Tyle tylko, że wszystko, co można by było w ten sposób osiągnąć, to wyeliminowanie swastyki jako symbolu sprzeciwu wobec teraźniejszości, ale nie wyeliminowanie samego sprzeciwu. Trudno nie zauważyć, że mamy tu powtórkę z postaw powszechnych w latach 70. ubiegłego wieku, a wcześniej też obecnie.

Jest to przykład na kształtowanie się postawy negacji całości procesu transformacji po 1989 roku. Nie chodzi o wszystkie jego elementy – na pewno nie o zaopatrzenie

nie sklepów czy o łatwość wyjazdu z kraju, która zresztą łatwo przekształciła się w konieczność. Nie ma nic wspólnego z tęsknotą za PRL. Ale nowy ustroj przyjmuje się z dobrodziejstwem inwentarza i należy być zadowolonym, jeśli nowy ustroj prócz likwidacji cech pozytywnych starego, wprowadza jakieś własne cechy pozytywne.

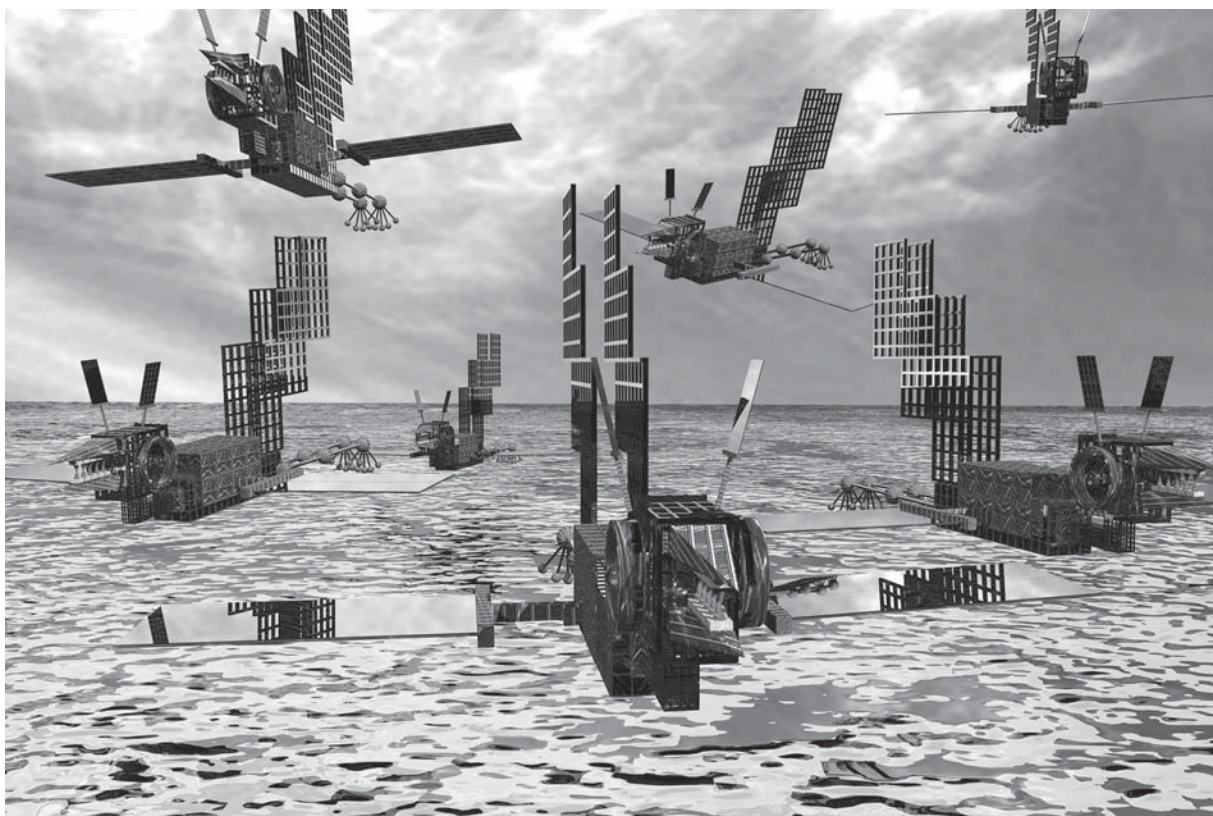
Rozchwianie emocjonalne dotyczy też takich instytucji, jak wymiar sprawiedliwości, czy nawet Kościół katolicki. Ich funkcjonariusze przewidują, że już wkrótce może się odbyć kolejna zmiana władzy, czyli kolejna lustracja, a co gorsze, nie wiadomo jakie będą jej kryteria. Możliwe jest więc jedynie orientowanie się na zmianę władzy, ale nie wiadomo jaka to będzie zmiana. Gdy prokurator oznajmia, że materiałów wybuchowych na wraku tupolewa nie stwierdzono, ale to nie jest decyzja ostateczna; lub że co prawda Antoni Macierewicz przy okazji rozwiązywania WSI popełnił przestępstwo, ale nie można go ukarać, bo był osobą prywatną; gdy grupa funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie potrafi odebrać laptopa jednemu człowiekowi; gdy w sprawach o używanie symboli hitlerowskich wymiar sprawiedliwości traktuje poważnie twierdzenie, że hitlerowskie pozdrowienie, to zamawianie pięciu piw, a swastyka to hinduski symbol szczęścia; gdy tenże wymiar sprawiedliwości umarza sprawy ewidentnych ataków rasistowskich lub toleruje wyrzucanie na bruk ludzi starszych i nieporadnych; gdy znajdują się ludzie, w tym także uważający się za autorytety moralne, którzy usprawiedliwiają pedofilów i twierdzą, że dzieci same uwodzą dorosłych – we wszystkich tych przypadkach mamy do

czynienia z orientowaniem się na szybką zmianę władzy, po której przyjdzie kolejna lustracja, a przecież z nową władzą też trzeba będzie dobrze żyć!

Podsumujmy. W takich warunkach emocjonalnych – ciągłego bycia lekceważonym i odczuwanej konieczności odpowiadania tym samym, bezustannych afer, stałej obecności najsilniejszych istniejących słów („hańba”, „zdrada”) stosowanych nawet do drobnych potknięć, albo nawet i bez nich, w sytuacji, gdy żadna instytucja społeczna nie postępuje w zgodzie z ideałami, które głosi, powstaje uzasadniona wątpliwość, czy istnieje państwo. Jego istnienie wymaga bowiem nie tylko pewnych instytucji, które po 1989 roku stworzyliśmy, ale również choćby minimum zgody na wspólne życie, którą po 1989 roku zniszczyliśmy do końca, choć i przedtem nie była ona silna.

Opisane wyżej przykłady ilustrujące wady komunikacji między organami władzy a społeczeństwem dotyczyły głównie osiągnięć Platformy Obywatelskiej. Natomiast produkowanie złych emocji – to głównie dzieło Prawa i Sprawiedliwości. Intencją tego tekstu było pokazanie, że te działania raczej się uzupełniają, niż są przeciwstawne i mogą zgodnie doprowadzić do kryzysu ustrojowego. Nie jest zresztą wcale pewne, że zwycięzcą w tym kryzysie będzie PiS – a jeśli nawet, to może to być zupełnie inny PiS niż obecny. Obawiam się, że tym razem nie będziemy dla świata wzorem zgodnego i pokojowego rozwiązywania konfliktów.

MAREK TABIN



Robert Małoszowski, *Stado*, praca z cyklu *Game over*, 2009.

MAREK ZAGAJEWSKI

DOBRA EKONOMIA I EKONOMIA DOBRA

Misja głoszenia prawdy

Grzegorz W. Kołodko w prowadzonej przez Pawła Kozłowskiego obszernej *Rozmowie na ćwierćwiecze* głosi konieczność uprawiania i upowszechniania opartej na „nowym pragmatyzmie” ekonomii przyszłości jako „dobrej ekonomii i ekonomii dobra”, nazywanej też przez niego „ekonomią uczciwą i ekonomią umiaru”. Oczywiście, że tego rodzaju stanowisko teoretyczne było naturalną podstawą radykalnej krytyki „planu Balcerowicza”, która w pełni zasłużyła na miano „szokowej terapii”, czy jak woli ją określać Kołodko „szoku bez terapii”. Po wprowadzeniu na początku 1990 roku pakietowego programu stabilizacyjnego wkrótce okazało się, że szokowa terapia antyinflacyjna została wyraźnie, wedle wyrażenia Kołodki, „przestrzelona” w stosunku do założeń reformatorskiej ekipy Balcerowicza powodując spadek produkcji przemysłowej o 25 procent i PKB, wzrost poziomu bezrobocia do 20 procent, wysoką inflację, spadek dochodów o 30 procent oraz budżetowy kryzys.

W swoim programowym przesłaniu Kołodko stanowczo sprzeciwił się głoszeniu w medialnej i akademickiej propagandzie neoliberalnych „prostactkich tez, że rządzić ma »wolność« czy »niewidzialna ręka rynku«. Tylko wtedy wylania się pytanie, czy ta upragniona i cenna wolność ma naprawdę miejsce. Czy ta tzw. niewidzialna ręka nie jest instrumentem załatwiania interesów jednych bez oglądania się na płynące stąd koszty dla innych? Odpowiedzi na te pytania wymagają już myślenia, ale tylko nieliczni, niestety, znów wracają do fundamentalnej kwestii sprzeczności interesów ekonomicznych, a przecież ich przewyższaniem zajmuje się dobra ekonomia i ekonomia dobra. Bo ekonomię złą pozostawiam innym, z którymi trzeba walczyć” (s. 117-118). Trzeba od razu uprzedzić czytelnika, że *Ekonomia dobra i zła*¹, której autorem jest Tomáš Sedláček, poza tytułem ma niewiele wspólnego z poglądami Kołodki, a gdy chodzi o rodzaje ekonomicznego myślenia, to wyraźnie się od siebie różnią.

Obrysowanie niebanalnej akademickiej i politycznej biografii ministra finansów kilku rządów stanowi świetne wprowadzenie do niemal tysiącstronicowego wyboru tekstów Kołodki z lat 1989-2014 złożonego z publikacji naukowych, ich kluczowych fragmen-

tów, podstawowych programów, dokumentów reform systemowych i rozwoju gospodarczego oraz esejów i felietonów. Tom został wzbogacony niezwykle interesującymi wywiadami Marcina Wojtyśiaka-Kotlarskiego z trzynastoma krajowymi i zagranicznymi osobistościami zasłużonymi dla procesu transformacji ustrojowej. Całość pomieszczono w woluminie *Grzegorz W. Kołodko i ćwierćwiecze transformacji* pod redakcją naukową P. Kozłowskiego i M. Wojtyśiaka-Kotlarskiego (Warszawa 2014). To lektura obowiązkowa dla tych, którzy chcą lepiej zrozumieć współczesność i zamyślić się nad przyszłością naszego świata.

Od lat Kołodko, przeciwstawiając się panującej na rynku medialnym uproszczonej myśli społeczno-ekonomicznej w neoliberalnym opakowaniu, nie ustaje w wysiłkach głoszenia „dobrej ekonomii i ekonomii dobra”, której nazwa mimowolnie wywołuje życzliwe skojarzenia z odległą tradycją „dobrej nowiny”, upowszechnianej przezeń także w oprzyrządowaniu nowoczesnych form internetowego przekazu. Dobrym przykładem uprawiania przez Kołodkę ofiarnej „ewangelizacji”, służącej kształtowaniu w społeczeństwie poprawnego myślenia ekonomicznego opartego na prawidłowej teorii ekonomicznej, była imponująca kampania promocyjna książki *Wędrujący świat*. Wówczas Kołodko w ciągu dwóch miesięcy przemierzył Polskę wzdłuż i wszerz wygłaszając ponad sześćdziesiąt wykładów, kilkakrotnie trzy razy dziennie, w dwudziestu pięciu miastach od Białegostoku do Zielonej Góry i od Szczecina do Rzeszowa w uczelniach ekonomicznych, pedagogicznych, morskich, uniwersytetach, politechnikach, oddziałach Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, klubach biznesu, a nawet w Uniwersytecie Trzeciego Wieku. W tych zabiegach wyraża się „oświeceniowy” temperament Kołodki, swoiste misjonarstwo w kształtowaniu rzetelnej wiedzy o gospodarce i świadomości ekonomicznej, której przypisuje decydujące znaczenie w racjonalizowaniu przekształcania świata na lepszy ład, także w roli nieformalnego konsultanta rozlicznych zagranicznych politycznych gremiów. Imponuje także jego międzynarodowa aktywność wykładowcy i uczestnika licznych seminariów oraz autora licznych publikacji często wydawanych w ponad dwudziestu językach.

„Właściwym bohaterem tej książki – jak redaktorzy podają we *Wprowadzeniu* – jest Grzegorz W. Kołodko. Autor i działacz, którego można umieścić w sztafecie

¹ Por. Tomáš Sedláček, *Ekonomia dobra i zła. W poszukiwaniu istoty ekonomii od Gilgamesza do Wall Street*, wstęp Václav Havel, przeł. Dariusz Bakalarz, Warszawa 2012.

² Por. Grzegorz W. Kołodko, *Wędrujący świat*, Warszawa 2008.

naszych realistycznych intelektualistów, zaangażowanych i niepokornych. Przed nim byli inni wielcy tworzący polską szkołę ekonomii: Czesław Bobrowski, Józef Pajestka, Tadeusz Kowalik... Nie wymieniamy wszystkich. Tak jak oni profesor Kołodko jest zawsze twórczo obecny w najważniejszych debatach. Uczony i obywatel, współczesny uczestnik tworzącej naszą kulturę i formującą naród inteligencji. Ideowo zaangażowany na rzecz społecznego postępu, moralnie stabilny i nonkonformistyczny, realizujący wzór opisanego przez Tadeusza Kotarbińskiego spolegliwego opiekuna, ale uogólnionego na całą społeczność" (s. 12).

Na tym tle Kołodko lokuje się znakomicie jako byt samoistny, na swój sposób osobny, samodzielny i znacząca indywidualność tak w świecie nauki jak i polityki. Zabawną ilustracją tego stanu rzeczy jest pyszna opowieść Kołodki o tym, jak we wrześniu 2001 roku po zwycięskich dla SLD wyborach nie wszedł od razu do rządu Millera. „Otóż on już wtedy chciał, abym w jego rządzie był wicepremierem do spraw gospodarczych i ministrem finansów, ale został nim Marek Belka, co było sugestią prezydenta Kwaśniewskiego, który miał duże wpływy. To wtedy, podczas rozmów między koalicjantami Jarosławem Kalinowskim, szefem PSL, i Leszkiem Millerem, szefem SLD padło stwierdzenie prezydenta: »A po co koalicja trzech? Was dwóch mi wystarczy«. A koalicja trzech to PSL, SLD i Kołodko... Każdy miał doświadczenia z trudnego okresu 1994-1997, który przecież nie tylko był trudny, lecz przede wszystkim zakończył się sukcesem" (s. 117). Chodziło oczywiście o rządy Waldemara Pawlaka (1994-1995), Józefa Oleksego (1995-1996) i Włodzimierza Cimoszewicza (1996-1997), ale w rządzie Millera i tak Kołodko się pojawił, acz z pewnym opóźnieniem, na początku lipca 2002 roku i heroicznie zmagał się w walce o rozwój gospodarki do połowy lipca 2003 roku, kiedy to podał się do dymisji. A problemy były niebagatelne jeśli przypomnieć, że stagnacja za rządów AWS-PSL, czyli Buzka-Balcerowicza doprowadziła do spadku tempa wzrostu z 7,5 do 0,2 proc., zwiększenia bezrobocia o ponad milion i w efekcie do załamania budżetu. Następca Leszka Balcerowicza, Jarosław Bauc wówczas „ogłosił w rzeczywistości »dziurę Balcerowicza«, którą życzliwe temu drugiemu media nazwały »dziurą Bauca«" (s. 99).

Jest też Kołodko autorem unikalnego podsumowania swojej pracy w czterech rządach. Gdy prowadzący z nim rozmowę Kozłowski w pewnym momencie zaznaczył, że „mnie interesują tylko te cztery okresy pańskiego wicepremierostwa, kiedy Pan miał władzę", to rozmówca udzielił zaskakującego komentarza: „Nie miałem władzy. Gdybym ją miał, zrealizowałbym wszystkie swe koncepcje" (s. 110). To oznacza wprost, że Kołodko nie miał władzy, ponieważ miał swoje koncepcje. Wiadomo, że słowa naszej ekonomii Leszek Balcerowicz nadskutecznie zrealizował cudze pomysły, których faktyczni autorzy znani są z imienia i nazwiska, a szczególne okoliczności opracowywania, za „konsensusem waszyngtońskim", programu reform przez amerykański desant doradczy Sachs & Company latem 1989 roku zostały detalicznie opisane. Tymczasem nasz wybitny wicepremier i minister finansów pierwszego niekomunistycznego rządu – czytelnik zechce wybaczyć ten rytualny i rażąco niezgodny z fak-

tami propagandowy dziwoląg językowy – zasłużenie nazywany Wielkim Reformatorem nie tylko nie skarżył się na brak władzy, ale wręcz publicznie manifestował swoją dyktatorską pozycję. Być może właśnie dlatego? W każdym razie nic nie wiadomo o tym, żeby Kołodko ochoczo obsługiwał interesy ponadnarodowego kapitału, a raczej wręcz przeciwnie, to obcy kapitał był mu co najmniej nieprzychylny, jak chociażby w przypadku operacji konsolidacji banków w ramach ich restrukturyzacji, której powodzenie doprowadziło do tego, że w toku prywatyzacji przynajmniej ich część, chociaż stosunkowo niewielka, nie stała się własnością zagranicznego kapitału. W tym kontekście Kołodko przypomniał, że w tamtym czasie dyżurne pytanie „Gazety Wyborczej" pod jego adresem brzmiało: »dlaczego pan rekomunizuje banki?« (s. 102). W każdym razie zarysowany kierunek myślenia przybliży do objaśnienia kluczowej kwestii, kto ma w Polsce rzeczywistą władzę i jaki jest mechanizm jej sprawowania, innymi słowy kto lub co „rządzi" rządem.

W 1936 roku John Maynard Keynes zwrócił uwagę, że po Wielkim Kryzysie „ludzie więcej niż kiedykolwiek oczekują diagnozy o bardziej zasadniczym charakterze, są wyraźniej niż kiedykolwiek gotowi uznać i chętnie ją wypróbują, jeżeli tylko okaże się ona możliwa do przyjęcia. Ale niezależnie od tego dzisiejszego nastawienia, idee głoszone przez ekonomistów oraz myślicieli politycznych, bez względu na to, czy są słuszne, czy błędne, mają większą siłę niż się powszechnie przypuszcza. W rzeczywistości one to właśnie rządzą światem. Działacze przekonani, że nie podlegają żadnym wpływom intelektualnym, są zazwyczaj niewolnikami idei jakiegoś dawno zmarłego ekonomisty"³. Odwołując się do koncepcji „dziejotwórczego charakteru idei", która jak wiadomo nie jest bezdyskusyjna, Keynes trafnie zwrócił uwagę na bezspornie nowe zjawisko historyczne, polegające na przejmowaniu przez ekonomistów wiodącej roli w formowaniu opinii publicznej i znaczącego wpływu na społeczeństwo w kształtowaniu życia gospodarczego. Wysoka ranga ekonomistów w życiu publicznym wiąże się, jego zdaniem, z wyrażeniem manifestowanym oczekiwaniem społeczeństwa na uzyskanie od nich stosownych recept, które pozwolą ludziom na podejmowanie zasadniczych decyzji życiowych dotyczących ich środków utrzymania, perspektyw zawodowych i stabilnego bytu. W tej perspektywie nie sposób odmówić Kołodce szlachetności w jego szerokiej kampanii uświadamiania ludziom szkodliwych skutków społecznych neoliberalnej polityki gospodarczej i przeciwstawiania jej własnych rzetelnych poglądów ekonomicznych wytyczających drogę do lepszego jutra. Szalejąca w mediach przez ostatnie ćwierćwiecze krucjata na rzecz neoliberalnej ideologii nie odniosła sukcesu, co poświadczają między innymi badania CBOS w 2014 roku, wedle których 45 procent Polek i Polaków pozytywnie oceniło okres PRL. Należy dodać, że we wcześniejszych badaniach podobna liczba respondentów wystawiła dobre oceny czasom PRL, co prowadzi do logicznego wniosku, że nie sposób zaliczyć ich do zwolenników transformacji ustrojowej na neoliberalną modłę, podobnie jak i *en globe* pozosta-

³ John Maynard Keynes, *Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza*, przeł. Michał Kalecki, Stanisław Raczkowski, Warszawa 1956, s. 498.

tych ankietowych o odmiennym poglądzie. Jak wynika z tych danych, prowadzona w częściowo wolnej Polsce polityka „niepamięci” PRL czy „złej pamięci” o słusznym minionym ustroju, intensywnie praktykowana przez media i zawarowana ustawowo w działalności IPN, nie przyniosła generalnie pożądanych przez władzę rezultatów. Kto wie, być może w takim kształcie opinii publicznej oświeceniowa misja Kołodki miała także stosowny udział.

Polityczna transformacja

Kolejnym bohaterem dzieła *Grzegorz W. Kołodko i ćwierćwiecze transformacji* jest transformacja ustrojowa, opisywana w swoistym „panoramicznym” ujęciu. Autor analizuje, krytykuje, ale i pochwala różnorodne aspekty transformacji nie stroniąc od ukazania także własnych konkretnych działań, zarówno sukcesów jak i błędów, w których ma stosowny udział jako członek czterech rządów w trakcie realizacji wielkiej przemiany. Problematyka transformacji doczekała się mnóstwa publikacji, którymi można zappełnić niejedną biblioteczną salę, jednak niewątpliwą zasługą Kołodki jest zwrócenie uwagi na polityczny kontekst gospodarczych przemian.

Nie należy zapominać, że neoliberalizm jako ideologia transformacji w sensie restauracji kapitalizmu w Polsce ma swój konkretny adres, którym jest stolica USA, chociaż w tym przypadku nie chodzi o dotyczący gospodarki tzw. konsensus waszyngtoński, ale o siedzibę rządu potężnego imperium. Kołodko przywołał lata osiemdziesiąte minionego stulecia, kiedy to gospodarzem Białego Domu był „neokonserwatywny” prezydent USA Ronald Reagan, rzeczywiście zawzięty antykomunista i protektor amerykańskiego neoliberalizmu, który pokolenie później doprowadził do światowego kryzysu gospodarczego. Jego sekretarz obrony (tacy ministrowie nawet w czasach wojen nazywają się ministrami obrony), Caspar Weinberger [...] zapytany, co jest największym wyzwaniem, przed jakim stoi Ameryka w drugiej połowie lat 80., odpowiedział wprost: *how to manage the fall of communism*, czyli jak przeprowadzić upadek komunizmu. To była finalna faza wielkiej zimnej wojny. Istniały potężne grupy interesu, którym bardzo zależało na obaleniu tego systemu wszelkimi możliwymi sposobami. Przecież tu nie chodziło tylko o zasadnicze różnice ideologiczne, lecz przede wszystkim o interesy ekonomiczne” (s. 42).

Tradycja zimnowojennej doktryny amerykańskiego imperium, w której priorytetowe miejsce zajmuje zwalczanie Związku Radzieckiego, a obecnie Rosji – jego naturalnego spadkobiercy, sięga okresu zakończenia II wojny światowej. Należy przypomnieć, że już wiosną 1945 roku Winston Churchill przygotowywał plany kolejnej wojny, tym razem przeciwko Związkowi Radzieckiemu, które zakładały udział niemieckich armii w kampanii wojennej, a zatem ich przemarsz przez terytorium Polski, co ostatecznie brytyjscy planiści sztabowi uznali za niewykonalne. Następnie na początku marca 1946 roku na uniwersytecie w Stanach Zjednoczonych, już jako emerytowany polityk, Churchill ogłosił pierwszy zarys zimnowojennej polityki, opartej na koncepcji „żelaznej kurtyny”, nie będąc zresztą autorem tego wyrażenia. Z kolei w 1947 roku prezydent Harry Truman w doniosłym wystąpieniu ogłosił obowiązek Ameryka-

nów „popierania wolnych narodów w zachowaniu ich wolnych instytucji i narodowej integralności przeciwko wrogim ruchom, które pragną tym narodom narzucić reżym totalitarny”. Tę doktrynę twórczo rozwinął w 1952 roku Dwight Eisenhower powiadając: „W latach II wojny światowej spoczywał na mnie wielki ciężar decyzji w krucjacie wolnego świata przeciwko zagrażającej nam wszystkim tyranii”. Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych przez ponad półwiecze była zgodna z doktryną Trumana, co we współczesnych warunkach oznacza systematyczne poszerzanie terytorium NATO jako jedyne gwaranta wolności dla nieograniczonej ekspansji międzynarodowego kapitału, prywatnej własności i wolnego rynku. Toczona przez ostatnie dziesięciolecia „krucjata wolnego świata” w trosce o wolność „made in USA” zakłada stosowanie wszelkich środków, włącznie z militarnymi, przeciwko tym wszystkim siłom, które stają na drodze realizacji tej szczytnej misji.

Podążając trafnie wskazanym przez Kołodkę tropem można zauważyć, że rozliczne ideologie są w istocie kulturowym przejawem tkwiących u ich podstaw konkretnych interesów ekonomicznych i w tym sensie antykomunizm został świadomie wyznaczony do pełnienia funkcji swoistego opakowania walczącego o nowe przestrzenie gospodarcze międzynarodowego kapitału z siedzibami w Nowym Jorku i Londynie. Faktycznie, po zakończeniu „gorącej wojny” w Europie doszło do powstania zwartego bloku państw Układu Warszawskiego obejmującego obfite zasoby surowców, siły roboczej i wytwórczości zorganizowanego w ramach ponadnarodowego systemu ekonomicznego. Ten olbrzymi rynek musiał zostać uznany przez elity zachodniego świata kapitału jako znakomite pole jego ekonomicznej ekspansji, zresztą w kontynuacji w nowych warunkach geopolitycznych toczącego się od około stu lat neokolonialnego opanowywania tych terenów. W tym sensie Weinberger wystąpił, w języku ideologicznego dyskursu o antykomunistycznej retoryce, w roli szczerego rzecznika interesów międzynarodowego kapitału, na czele którego znajduje się jego północnoamerykański oddział. W tym kontekście, należy przytoczyć znamienne konstatację Dwighta Eisenhowera generała czasu II wojny światowej. Opuszczając Białą Dom w 1961 roku, na zakończenie swej prezydentury wygłosił on przemówienie, przestrzegające przed rosnącą potęgą kompleksu wojskowo-przemysłowego, który w celu zapewnienia jak największych dochodów amerykańskich firm przejmował faktycznie władzę w państwie.

Komunizm społeczny a komunizm polityczny

W *Rozmowie na ćwierćwiecze*, odnosząc się do kwestii komunizmu, Kołodko oświadcza wprost: „Żyłem cały czas – i nadal sobie z tym radzę – bez używania tego terminu”. (s. 45). Stwierdził także, że potrafi system gospodarki wielosektorowej „zanalizować, wyobrazić i zaprogramować [...] bez używania takich określeń, jak socjalizm i kapitalizm”, ale też dodaje ważką uwagę: „nie wyobrażam sobie, bym potrafił to opisać, nie używając terminu gospodarka rynkowa” (s. 59).

Czytelnikowi należy się wyjaśnienie, że w sprawie nieużywania terminu „kapitalizm” Kołodko znajduje się w podobnej z Karolem Marksem sytuacji. Paradoksalnie, autor *Kapitału* nie posługiwał się terminem „kapi-

talizm”, poza jedynym przypadkiem u schyłku życia w prywatnej korespondencji, chociaż w jego słowniku roi się od takich wyrażen, jak „kapitalistyczny sposób produkcji” czy „kapalista” i pochodnych, a nazwa „feudalizm” była tu dobrym punktem odniesienia. W jego czasach „kapitalizm” był nowym pojęciem, które do powszechnego obiegu wprowadził niemiecki socjalista Werner Sombart dopiero na początku XX wieku. Sombart jako pierwszy autor używał świadomie terminu „kapitalizm” do opisu systemu produkcji⁴, chociaż samo słowo w innych znaczeniach i kontekstach pojawiało się i funkcjonowało jeszcze za życia Marksa w drugiej połowie XIX stulecia. Z kolei jako synonim nieobecnego w *Manifestie Partii Komunistycznej* – tytuł zgodnie z oryginałem – słowa „kapitalizm” należałoby uznać kluczowe dla jego autorów wyrażenie „nowoczesne społeczeństwo burżuazyjne”. Należy przypomnieć, że zasadnicze dzieło Marksa *Kapitał* ma znaczący podtytuł *Krytyka ekonomii politycznej* i w tym sensie jego autor występował w roli ekonomisty, co prawda „politycznego”, – co wówczas miało inne niż współcześnie znaczenie i było po prostu synonimem teoretycznego myślenia o gospodarce, – ale nie był w ścisłym sensie działaczem politycznym, a już w żadnym razie „politykiem gospodarczym”.

W kwestii komunizmu Kołodko zajmuje bardzo jednoznaczne stanowisko. „Dla mnie komunizm, od czasu *Manifestu komunistycznego* Marksa i Engelsa, był pewną dalekosiężną wizją, a na dobrą sprawę, jak się szybko okazało, iluzją, utopią, która nigdy i nigdzie się nie urzeczywistniła. Potem był tzw. komunizm wojenny we wczesnej fazie Rosji radzieckiej. Na Zachodzie, z czym się dosyć wcześnie zetknąłem, nazywano nas komunistycznym systemem, komunistyczną gospodarką czy komunistycznym reżimem, ale powiadam: tutaj nigdy żadnego komunizmu nie było” (s. 45). Podobnie, jak dodał Kołodko, nie sposób traktować Chin jako kraj komunistyczny, co nakazuje „polityczna poprawność”, bowiem w istocie mamy tam do czynienia z kapitalizmem państwowym.

Poglądy Kołodki na komunizm wymagają pewnego sprostowania i wyjaśnienia, chociaż bezsporna jest jego opinia, że zawarta w *Manifestie...* koncepcja ma charakter „dalekosiężnej wizji”. Natomiast przypisywanie Marksowi autorstwa komunistycznej utopii, często w połączeniu z przekonaniem o mniej lub bardziej rygorystycznym wcielaniu w życie w krajach zwanych współcześnie „socjalistycznymi” czy „komunistycznymi” jego wizji społeczeństwa wspólnotowego, jest co najmniej dyskusyjne czy wręcz błędne.

Trzeba przypomnieć, że Marks od czasu gdy stał się ideowym komunistą, zajął pozycję stanowczego krytyka wizjonerskich koncepcji socjalistycznych i komunistycznych, co najwyżej proponując, zwłaszcza na łamach *Manifestu...*, cząstkowe rozwiązania pośrednio odnoszące się do bezklasowego społeczeństwa. Podstawą takiego pojmowania komunizmu było jego przekonanie o historycznej nieuchronności zniesienia prywatnej własności środków produkcji w rezultacie długotrwałego procesu, którego przebieg i charakter pod żadnymi warunkami nie jest możliwy do przewidze-

nia. Z tego punktu widzenia wszelkie przedmarksowskie doktryny socjalistyczne i komunistyczna wyrażały w istocie nierealną nadzieję na ominięcie kapitalistycznej epoki rozwoju ludzkości, łącznie z jej rozwiniętą postacią, stanowiąc jej historyczną alternatywę. W tym sensie jakkolwiek pojęty socjalizm czy komunizm nie może zaistnieć zamiast kapitalizmu, ale jedynie jako jego dziejowe logiczne następstwo i na swój sposób naturalna kontynuacja.

Manifest... rozpoczyna się niezwykle obszerną apologią burżuazji, która zdaniem jego autorów „odegrała w historii rolę w najwyższym stopniu rewolucyjną”, ponieważ w miejsce manufaktury wprowadziła nowoczesny wielki przemysł, doprowadziła do powstania światowego rynku i nowoczesnego państwa parlamentarnego, w skrócie nowoczesnego społeczeństwa burżuazyjnego. W ten sposób burżuazja wystąpiła w historii jako bezsporny nosiciel postępu na wszystkich obszarach życia społecznego, którego siłę napędową stanowią rodzące się bezustannie sprzeczności kapitalistycznego sposobu gospodarowania i oparte na nim klasowe różnice społeczeństwa burżuazyjnego. Zatem wedle Marksowskiej koncepcji komunizm może pojawić się dopiero wówczas, gdy kapitalistyczny sposób produkcji wyczerpie swój rozwojowy potencjał twórczy i stanie w obliczu nierozwiązywalnych sprzeczności klasowych w leżących u jego podstaw prywatnych stosunkach produkcji i jego nieubłaganych destrukcyjnych społecznych konsekwencji. Wedle zawartej w *Manifestie...* „dalekosiężnej wizji” komunizm jest możliwy w dziejach jako ogólnosiątkowy, bezklasowy ustrój postburżuazyjny czy postkapitalistyczny, by posłużyć się modną obecnie nowomową.

Praktycznie jedyna charakterystyka komunizmu, jak na podstawowy dokument programowy, co znamienne, międzynarodowej partii komunistycznej, wygląda dosyć osobliwie. „Miejsce dawnego społeczeństwa burżuazyjnego z jego klasami i przeciwieństwami klasowymi zajmuje zrzeszenie, w którym swobodny rozwój każdego jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich”⁵. Rzecz jasna, że w tej perspektywie teoretycznej traktowanie nawet w przybliżeniu rzeczywistości Korei Północnej jako czegoś, co istnieje na „wzór komunistycznej utopii” (s. 45) jest bezpodstawne, bowiem mamy tu do czynienia raczej z zaprzeczeniem Marksowskiego komunizmu niż formą jego realizacji.

Z kolei w stosunku do doktryn socjalistycznych autorzy *Manifestu...* zajęli niezwykle krytyczne stanowisko, wykazując w osobnym rozdziale ich w istocie antyproletariacką wymowę. W radykalny sposób, nie bez złośliwości i epitetów, klasy odrzucili kolejno socjalizm feudalny, socjalizm drobnomieszczański i socjalizm niemiecki, czyli „prawdziwy” ze względu na ich reakcyjny charakter oraz socjalizm burżuazyjny za sprawą jego społecznego konserwatyzmu. W tym kontekście znacznie bardziej życzliwie zostały potraktowane krytyczno-utopijne koncepcje socjalistyczne, a zawarte w komunistycznych utopiach niektóre stwierdzenia dotyczące kształtu przyszłego społeczeństwa, chociaż jawnie przedwczesne, uzyskały nawet warunkową aprobatę.

⁴ Por. Werner Sombart, *Der moderne Kapitalismus*, Leipzig 1902; Maciek Wiśniewski, *Spóźnieni antykomuniści zakazują myślenia*, „Le Monde Diplomatique”, maj 2010.

⁵ Karol Marks i Fryderyk Engels, *Manifest Partii Komunistycznej*, MED, t. 4, wydanie drugie poprawione, Warszawa 1986, s. 667.

Widać, że nazwa „komunizm” używana jest współcześnie w dwóch znaczeniach⁶. Z jednej strony jako komunizm w sensie społecznym, który pośrednio odwołuje się do tradycji ideologicznej zawartej w *Manifestie...*, obejmującej także krytykowane w nim rozliczne doktryny socjalistyczne i komunistyczne, i z drugiej jako obowiązujący na Zachodzie w antykomunistycznej krytyce komunizm polityczny, widoczny w cytowanej wypowiedzi Weinbergera. W klasycznym znaczeniu komunizm pojmowany był wyłącznie w sensie pewnego sposobu organizacji życia społecznego, którego podstawą była własność wspólna obejmująca zarówno całą sferę wytwórczości, jak i zaspokajanie bez pieniędzy indywidualnych potrzeb ludzi, takich jak wyżywienie, ubranie, zamieszkiwanie czy edukacja i ochrona zdrowia. Dziwi, że wedle preambuły „Statutu PZPR” z 1975 roku partia nie mająca w nazwie takich określeń jak „komunistyczna” czy „socjalistyczna” deklaratywnie stała na stanowisku komunistycznym, co przy okazji może wywołać spore zaskoczenie u wielu byłych towarzyszy partyjnych. „Idea, której służy Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – to idea komunizmu. W niej ucieleśnia się przyszłość świata”⁷.

Mimo absurdalności stworzonej przez natchnionych autorów formuły określającej „ideę” komunizmu jako „ucieleśnienie” przyszłości świata, to jednak rozpisaniu komunizmu w jego rozwiniętej formie ukazuje rozumienie komunizmu w jego społecznym sensie. Natomiast komunizm w znaczeniu politycznym łączony jest przede wszystkim z działalnością rozlicznych partii czy ugrupowań politycznych odzianych w szaty ideologii socjalistycznych czy komunistycznych, a zwłaszcza z historyczną praktyką krajów, które były niejednokrotnie określane przez ich grupy przywódcze jako „socjalistyczne” czy „komunistyczne”.

W XX wieku komunizm społeczny, rozumiany jako formacja ideologiczna, ustąpił miejsca komunizmowi politycznemu. W poglądach Marksa nie występuje komunizm w znaczeniu politycznym jako forma sprawowania władzy państwowej, gdyż w bezklasowym społeczeństwie komunistycznym nie ma państwa. Ideologiczne zabiegi wypierania ze świadomości ludzi komunizmu społecznego w klasycznym rozumieniu przez komunizm polityczny w zamiarze ich rzeczników ma doprowadzić do ukształtowania wizerunku Marksa jako promotora komunizmu politycznego i obsadzenia go w roli twórcy komunistycznej utopii odpowiedzialnego za wszelkie tragedie obciążające komunizm.

Gospodarka a polityka

W swoich opracowaniach Kołodko rozważa na konkretnych przykładach ścisłe powiązania między polityką i gospodarką zwłaszcza w związku z własną działalnością na kluczowych stanowiskach rządowych. W swoich wypowiedziach wychodzi daleko poza tradycyjne wzajemne narzekania na siebie polityków i przedstawicieli szeroko pojętego życia gospodarczego.

W istocie polityka państwowa, będąc sekwencją aktów przemocy bądź najczęściej presją związaną z groźbą jej użycia, w jej rozmaitych przejawach jest faktycznym narzędziem ekonomiki i swoistym przedłużeniem stosunków gospodarczych. W tym sensie polityka jako kontynuacja gospodarki, dzięki dysponowaniu przez państwo właściwymi jej instrumentami, pełni funkcje usługowe wobec ekonomicznej podstawy państwa. Równocześnie państwo jako dysponent środków przemocy pozaekonomicznej częstokroć narzuca sferze gospodarczej konieczność realizacji zadań określonych w ramach polityki ekonomicznej. Dwoisty charakter opisanych relacji opiera się zatem na priorytetowym uznawaniu ekonomii jako podstawy polityki, co z kolei zakłada hegemonię polityki wobec gospodarki.

Warto sięgnąć do klasycznych analiz politycznego charakteru wojny autorstwa wybitnego jej badacza Carla von Clausewitza, który głosi, że wojna jest czynem politycznym, ponieważ „wyływa zawsze z danej sytuacji politycznej i wywołują ją tylko pobudki polityczne”⁸. Wojna jest aktem zbiorowej przemocy, którego celem jest zdobycie terytorium określonego państwa. Ten cel polityczny pokrywa się zatem z celem działań wojskowych stanowiąc podstawę i praprzyczynę prowadzenia działań militarnych. Von Clausewitz idzie jednak dalej i stwierdza, że „wojna jest nie tylko czynem politycznym, lecz i prawdziwym narzędziem polityki, dalszym ciągiem stosunków politycznych, przeprowadzeniem ich innymi środkami”⁹. Ta sławna formuła klasyka wojskowości ułatwia zrozumienie funkcjonowania polityki jako faktycznego narzędzia gospodarki, gdy państwo utrzuca panujące stosunki ekonomiczne i sprzyja ich rozwojowi, w tym także poprzez prowadzenie działań militarnych. Wiadomo, że maksymalizacja zysku i opanowywanie kolejnych rynków wymaga wsparcia działalności kapitału przez państwowe instytucje, w tym także wojskowe. Kołodko na licznych przykładach pokazuje kierowniczą rolę państwa jako „strażnika” dominujących interesów ekonomicznych wyrosłych na gruncie historycznie utrwalonego systemu stosunków własnościowych.

„Papież” liberalizmu Karl Popper, autor koncepcji społeczeństwa otwartego, podjął radykalną krytykę neoliberalnej krytyki ekonomicznej. W doniosłym i starannie przemilczanym przez „neoliberalny świat” wywiadzie, którego udzielił 29 lipca 1994 r., krótko przed śmiercią, nazajutrz po swoich 92. urodzinach, Adamowi Chmielewskiemu, zawarł swego rodzaju ideowy testament. Odnosząc się do pytania dotyczącego jego oceny transformacji w krajach środkowoeuropejskich, która doprowadziła do rozczarowania polityką liberalizmu gospodarczego w masowej skali i zakwestionowania dogmatu wolnego rynku, stwierdził: „Ja nadal wierzę, że wolny rynek jest konieczny. Ale wierzę również, że robienie bożka z zasady wolnego rynku jest pełnym nonsensem. Jeżeli wolny rynek nie funkcjonuje, wówczas rzeczy, które są produkowane, w istocie nie są produkowane dla konsumenta. Konsument może je nabyć albo nie. Ale nie to jest sprawą najważniejszą. Sprawą najważniejszą, sprawą fundamentalną jest humanitaryzm w polityce gospodarczej.

⁶ Por. Marek Zagajewski, *Dwie koncepcje komunizmu*, „Zdanie”, Pismo Stowarzyszenia »Kuźnica«, 3-4 (146-147), 2010, s. 40-48; Polemika Andrzeja Walickiego Czy można mówić o »komunizmie politycznym«, „Zdanie”, Pismo Stowarzyszenia »Kuźnica«, 1-2 (148-149), 2011, s. 47-51; przedruk Andrzej Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Kraków 2013, s. 39-52.

⁷ Statut Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ze zmianami i uzupełnieniami uchwalonymi przez VII Zjazd PZPR w grudniu 1975 r., Warszawa 1978, s. 6-7.

⁸ Generał Carl von Clausewitz, *O wojnie*, przeł. Augustyn Cichowicz, Leon Koc, Kraków 2003, s. 28.

⁹ Ibidem, s. 29.

Gdzieś do 1965 roku za główne zadanie stojące przed ekonomistami uważano problem pełnego zatrudnienia. Ale poczynawszy od tego roku, ekonomiści dali za wygraną i przestali traktować ten problem jako swoje główne wyzwanie. Uważam to za wielki błąd. Nie sądzę, aby był to problem nie do rozwiązania. Może to być problem trudny, ale na pewno nie jest to problem nierozwiązywalny.

Naszym najważniejszym zadaniem jest pokój. Zadaniem drugim jest to, aby nikt nie był głodny. Zadaniem trzecie – to w miarę pełne zatrudnienie. Naszym czwartym zadaniem jest oczywiście edukacja¹⁰. Jak widać, właśnie liberalne dziedzictwo doprowadziło Poppera do przyjęcia humanitaryzmu jako jedynej sensownej podstawy prowadzonej przez państwo polityki gospodarczej. Wydaje się, że w kontekście przedstawionych poglądów Popper jawi się jako naturalny sojusznik koncepcji Kołodki „dobrej ekonomii i ekonomii dobra”. Słusznie staje też Kołodko w obronie klasika ekonomii politycznej Adama Smitha, zwracając uwagę na niestosowność wykorzystywania go w roli patrona Centrum im. Adama Smitha. Jego zdaniem, „nazwanie skrajnie neoliberalnego ośrodka imieniem tego wielkiego ekonomisty, powszechnie uważanego za twórcę ekonomii liberalnej, to intelektualne nadużycie” (s. 544).

W przyjętej przez Poppera perspektywie teoretycznej państwo nie występuje w roli „niewolnika” wolnego rynku, ekonomicznych struktur własnościowych i związanych z nimi grup nacisku, ale jako aktywny podmiot polityki gospodarczej o ludzkim wymiarze, który służy rozwiązywaniu kluczowych problemów społecznych, innymi słowy kapitalizm „o ludzkiej twarzy”.

Kapitalizm jako religia

W szeregu tekstów i wypowiedzi Kołodko trafnie atakuje dogmatyczny charakter neoliberalnej ideologii ekonomicznej wskazując na jej społecznie szkodliwe rezultaty. Na pierwszy rzut oka widoczne jest w dominującym dyskursie ekonomicznym fałszywe operowanie „świętością” prywatnej własności w celu wykazania jej błogosławionej wyższości nad innymi formami własności, zwłaszcza państwową. Równie religijny wymiar ma swoisty fetyszizm towarowy aprobujący jedynie taką działalność, która prowadzi do zysku, o dziwo bez wyzysku, wyrażający się w rzucaniu krzykliwych haseł w rodzaju „państwo to firma”, „miasto to firma”, czy „szpital to firma”. Analiza tych zjawisk pomaga zrozumieć funkcjonowanie współczesnego kapitalizmu, którego istotą jest podporządkowanie władzy globalnego kapitału finansowego i jego lokalnych filiałów.

Za klasika problematyki sygnowanej zwykle jako „religia rynku” czy „religia pieniądza”, dzięki zaledwie kilku stronom nieukończonego szkicu *Kapitalizm jako religia*,¹¹ słusznie uchodzi Walter Benjamin, który został szeroko rozpropagowany przez Giorgio Agamben – redaktora włoskiej edycji jego dzieł zebranych. Zainspirowany tym tekstem Agamben opublikował w „La Repubblica” (16. 02. 2012) ważny esej *Se la feroce re-*

ligione del denaro divora il futuro (Jeśli zażarta religia pieniądza pochłania przyszłość), który został wkrótce przedrukowany w „Gazecie Wyborczej”. W błyskotliwym wywodzie, podążając za myślą Benjamina, włoski filozof uznał, że „kapitalizm jest tak naprawdę religią, i to najbardziej zażartą i bezlitosną, jaka kiedykolwiek istniała, bo nieznającą ani odkupienia, ani zawieszenia broni”¹². Tego rodzaju stanowisko zdaje się fundować podstawy swego rodzaju „ekonomicznej teologii”, która w coraz większym zakresie ogarnia myślenie ludzi związanych ze współczesnym życiem gospodarczym.

Spojrzenie na koncepcję Benjamina po upływie ponad półwiecza przez pryzmat poglądów Agambena, jego entuzjasty i duchowego pobratymca, pozwala głębiej zrozumieć problematykę religijnej interpretacji kapitalizmu, której głównym bohaterem w tym ujęciu jest „kapitalizm finansowy, na którego czele stoją banki”. Zdaniem Agambena, sednem koncepcji Benjamina jest przekonanie, że „to Bank – ze swymi szarymi funkcjonariuszami i ekspertami – zajął miejsce Kościoła oraz jego kapłanów i zarządzając kredytem, manipuluje i administruje wiarą, tą małą i niepewną ufnością, jaką pokładają w sobie jeszcze nasze czasy.

Robi to przy tym w sposób jak najbardziej nieodpowiedzialny i pozbawiony skrupułów, usiłując dorobić się na zaufaniu i nadziei jednostek ludzkich, ustanowiwszy kredyt, z którego każdy może skorzystać, oraz cenę, jaką musi zań zapłacić (nawet kredyt państw, które bez oporu rzekły się swej suwerenności)”¹³.

Agamben, zwracając uwagę na używane przez Jezusa i apostołów greckie słowo „*pistis*” w znaczeniu „wiera”, które oznacza także „kredyt” przekonuje, że „wiera to po prostu kredyt, jakim cieszymy się u Boga i którym słowo Boże cieszy się u nas od chwili, gdy w nie uwierzemy”. Dla wzmocnienia tej argumentacji można dodatkowo sięgnąć do łacińskiej semantyki, gdzie „*debitum*” w zwykłym znaczeniu, to „dług”, a w sensie przenośnym „wina, grzech”¹⁴. Logika rozumowania Agambena prowadzi zatem do niewypowiedzianej przez niego myśli o traktowaniu banku kredytowego jako ucieleśnienia boskości i z drugiej strony Boga jako swoistej substancjalizacji bankowości kredytowej, w której reguły działania z natury rzeczy wpisane jest bankructwo tak jak w sferze wiary nie ma ucieczki od ateizacji, laicyzacji czy sekularyzacji.

Agamben odwołał się do tradycji biblijnej, sięgając do przypisywanej Pawłowi słynnej definicji wiary z *Listu do Hebrajczyków*, wedle której „wiera jest poręką tych dóbr, których się spodziewamy”¹⁵, co wedle niego zgrabnie przedstawia obraz religii z kredytem bankowym w tle. Takiej interpretacji wyraźnie sprzyja cytowane tłumaczenie z *Biblii Tysiąclecia*, podobnie jak w wersji ks. Jakuba Wujka, w której występuje zapis: „A wiera jest gruntem rzeczy tych, których się

¹⁰ *Przyszłość jest otwarta. Rozmowa z Sir Karlem Popperem*. Rozmawia: Adam Chmielewski, [w:] Adam Chmielewski, *Filozofia Poppera. Analiza krytyczna*, Wrocław 1995, s. 244.

¹¹ Walter Benjamin, *Kapitalizm jako religia*, przeł. Paweł Mościcki, „Krytyka Polityczna”, zima 2007, nr 11/12, s. 132-134.

¹² Giorgio Agamben, *Posępni bankierzy kradną naszą przyszłość*, przeł. Ewa Górniak-Morgan, „Gazeta Wyborcza”, 31.03-1.04.2012, s. 21.

¹³ Ibidem.

¹⁴ *Słownik łacińsko-polski*, red. Marian Plezia, t. II, Warszawa 1998, s. 13.

¹⁵ *List do Hebrajczyków*, w: *Pismo Święte Nowego Testamentu*, wyd. 3 przejr., oprac. zespół biblistów polskich z inicj. Benedyktynów Tynieckich, przeł. Walenty Prokulski et al.; red. nauk. Augustyn Jankowski., Kazimierz Romaniuk, Lech Stachowiak, Poznań 1973, 11,1.

spodziewamy, wywodem rzeczy nie widzianych”¹⁶. I chociaż w wydaniu interlinearnym rzecz cała wypada znacznie mniej sugestywnie: „Jest zaś wiara (co do) obiecywanych przez nadzieję ufnością, (na) sprawy argumentem nie widziane”¹⁷, to jednak interpretacja Agambena zachowuje swą prawomocność. Poświadczanie związku kredytu z wiarą pozwala mu dowodzić, że bank stał się siedzibą, świątynią pieniądza, który poprzez wiarę daje się traktować jako ucieleśnienie kredytu, na co wskazuje chociażby zapisywanie na banknotach dolarowych nie tylko udzielanych w imieniu państwa przez bank centralny gwarancji ziemskich, ale także boskiego zabezpieczenia w postaci inskrypcji „*In God we trust*”.

Chociaż współczesne społeczeństwo „uważa się za świeckie”, to jednak nadal pozostaje „w niewoli najmroczniejszej i najbardziej irracjonalnej religii”, która powoduje, że pojedynczy ludzie, na ogół nieświadomie, przez akceptację kredytu lokują swoją przyszłość w rękach „pośepnych, skompromitowanych pseudokapitałów, bankierów, profesorów i funkcjonariuszy rozlicznych agencji ratingowych”. W rezultacie – zdaniem Agambena – doszło do dramatycznej sytuacji, w której władza finansowa naszych czasów „zagarnęła już całą wiarę i całą przyszłość, czas cały i wszelkie oczekiwania”¹⁸. Ostatecznie w ten sposób kapitał finansowy, stopniowo nadając kapitalizmowi religijny charakter, doprowadził ludzi do totalnej utraty wolności. Nie ulega wątpliwości, że głęboko zainspirowana sławnym szkicem Benjamina *Kapitalizm jako religia* wypowiedź Agambena należy do repertuaru najsurowszych krytyk kapitalizmu z charakterystycznym odniesieniem do epoki panowania kapitału finansowego.

Jak doskonale wiadomo, uprawianie wszelkiej religii jest przedsięwzięciem w wysokim stopniu dochodowym zarówno dla funkcjonariuszy kościelnych jak i wybranych zastępów wiernych. W tym sensie rzecznicy neoliberalizmu osadzeni w rozlicznych „parafiach”, poczynając od partii, organów państwowych i organizacji pozarządowych, poprzez media i fora internetowe na wszelkiego typu samorządach kończąc, zapewniają skuteczną osłonę ideologiczną określonych grup interesu. W ten sposób ukształtowała się potężna siła polityczna, która podporządkowała sobie działalność państwa w rozlicznych jego obszarach, stwarzając rozległą przestrzeń dla niszczycielskiej ekspansji kapitału. W tym ruchu jest także miejsce dla zwalczania kapitalistów, którzy szkodzą kapitalizmowi i w tym, jak się wydaje, tkwi szansa ekonomistów, autentycznych reformatorów w rodzaju Kołodki i jego ideowych pobratymców.

Państwowy kapitalizm

W XX wieku w łonie wolnorynkowego kapitalizmu zrodził się kapitalizm państwowy, którego wyrazem było nie tylko pojawienie się kapitalistycznych przed-

siębiorstw państwowych, ale głównie silna kontrola państwa nad prywatną gospodarką kapitalistyczną, absolutnie konieczna w przypadku jej militaryzacji. Wydaje się, że również w okresie przejściowym od feudalizmu do kapitalizmu ten sposób organizacji życia gospodarczego staje się dominującym i jest ekonomicznie skuteczny, czego dobrym przykładem są Chiny, niewątpliwym prymus wśród krajów kapitalizmu państwowego.

Można wspomnieć, że Fryderyk Engels opisywał państwo za pomocą wyrażenia „zbiorowy kapitalista”, natomiast Włodzimierz Lenin u schyłku wojny domowej doprowadził do przejścia w Rosji Radzieckiej od polityki komunizmu wojennego do, w jego terminologii, kapitalizmu państwowego w postaci Nowej Ekonomicznej Polityki. Prowadzona przez Otto von Bismarcka swoista „polityka społeczna”, polegająca na wprowadzeniu już w 1880 roku emerytur, ubezpieczeń od następstw nieszczęśliwych wypadków i bezrobocia oraz opieki medycznej, także nosiła znamiona kapitalizmu państwowego. Zatem w skrajnej postaci kapitalizm państwowy byłby kapitalizmem bez kapitalistów, a w jego łagodnej formie stanowiliby oni względnie nieliczną warstwę społeczną stosownie do ograniczonego udziału i znaczenia kapitału prywatnego w całości kapitalistycznej gospodarki, chociaż w praktyce to państwo zawsze i tak zdecydowanie interweniuje, by zabezpieczać interesy właścicieli. Na przykład rząd Stanów Zjednoczonych umiejętnie wykorzystuje „miękkie” formy wpływu na rozwój nauki w pożądanym kierunku za pomocą mechanizmów finansowych, tak jak to się dzieje z prywatnym Massachusetts Institute of Technology, w którym badania podobno niemal w całości opłacane są z grantów Departamentu Stanu. Z kolei dwie trzecie kosztów badań prowadzonych przez prywatne firmy farmaceutyczne, które swoimi zyskami nie dzielą się z państwowym sponsorem, finansowane jest z funduszy publicznych.

Problematyka ta została podjęta w oryginalny sposób przez Kołodkę w monografii z 1999 roku *Od szoku do terapii. Ekonomia i polityka transformacji*, w której przypomniał, że w krajach uprzemysłowionych po I wojnie światowej „następował systematyczny wzrost udziału wydatków publicznych”. Na tej podstawie wprowadził Kołodko kategorię „państwa rozbudowanego” do opisu państw realizujących tę tendencję historyczną. Jego zdaniem, ten nowy model państwa został wypracowany pod wpływem długotrwałej presji politycznej i w oparciu o racjonalne podstawy ekonomiczne „dodatkowo wspierane przez rozważania intelektualne, które brały pod uwagę ewolucję wartości moralnych, szczególnie zaś rosnące przekonanie, że rozwój musi w miarę równo służyć całemu społeczeństwu, a nie tylko wybranym grupom.

Sam rynek nie jest w stanie tego zagwarantować. Dlatego wzrost wydatków publicznych w ciągu minionych dziesięcioleci wiąże się nie tylko z rosnącymi nakładami na obronność, infrastrukturę i administrację, ale przede wszystkim jest następstwem powszechnego przekonania, że państwo powinno angażować się w świadczenie obywatelom usług w zakresie edukacji, ochrony zdrowia i ubezpieczeń społecznych. Tak wyłonił się nowy model państwa – państwa rozbudowanego” (s. 347). Według Kołodki zauważalne „przeży-

¹⁶ *List do Żydów* zwany również *Listem do Hebrajczyków*, w: *Biblia w przekładzie księdza Jakuba Wujka z 1599 r.* Transkrypcja typu „B” oryginalnego tekstu z XVI w. i wstępy ks. Janusz Frankowski., wyd. 3, Warszawa 2000, 11,1; s. 2351.

¹⁷ *Do Hebrajczyków*, w: *Grecko-polski Nowy Testament*, wydanie interlinearne z kodami gramatycznymi, przeł. ks. Remigiusz Popowski, Michał Wojciechowski, wyd. siódme, Warszawa 1994, 11,1; s. 1065.

¹⁸ Giorgio Agamben, *Pośepni bankierzy kradną naszą przyszłość*, op., cit. s. 21

wanie się” tego nowego modelu państwa w wysoko rozwiniętych krajach nie powinno prowadzić do rezygnacji z aktywnej roli państwa, zwłaszcza w krajach zacofanych i przechodzących transformację. Należy dążyć do wypracowania nowej koncepcji roli państwa w gospodarce w warunkach przemian systemowych. Państwo nie może pozostawić „rynkowi całkowitej swobody działania, bowiem rynek nie jest w stanie zastąpić wszystkich funkcji państwa” (s. 348). Kołodko trafnie wskazuje na połączenie stosownego udziału państwa z rządową polityką wspierania sił rynkowych jako źródła trwałego wzrostu gospodarczego w krajach azjatyckich oraz opowiada się za partnerską współpracą państwa z sektorem prywatnym.

Jacek Tittenbrun, opisując kapitalistyczną ekonomiczną formację społeczeństwa w ujęciu historycznym, pomieścił w tej perspektywie teoretycznej także kapitalizm państwowy. Autor rozpoczął analizę od nakładczo-kapitalistycznego sposobu produkcji, który kolejno przekształcił się w manufakturowy sposób produkcji, by następnie przybrać kształt fabryczno-kapitalistycznego sposobu produkcji. W tej fazie rozwoju kapitalistycznej gospodarki miejsce pojedynczego kapitalisty, właściciela konkretnego warsztatu czy fabryki, stopniowo zaczęła zajmować spółka akcyjna, w której własność środków produkcji przybrała postać własności „papierów wartościowych, uprawniających do udziału w zyskach spółki”. W ten sposób wyrósł nowy korporacyjno-kapitalistyczny sposób produkcji oparty na nowym typie własności – własności korporacyjnej.

Wedle Tittenbruna, w porównaniu z własnością korporacyjną „jeszcze bardziej rozwiniętą formą własności kapitalistycznej jest państwowo-kapitalistyczna forma własności. Biorąc pod uwagę, że korzystają z tej własności przede wszystkim kapitaliści, że służy ona głównie ich klasowym interesom, należy ją uznać za kapitalistyczną własność ogólnoklasową. Własność państwowa obsługuje potrzeby indywidualnego i akcyjnego sposobu produkcji, koncentrując się w dziedzinach najbardziej kapitałochłonnych, a niezbędnych do funkcjonowania systemu ekonomicznego jako całości. Wytwarzana w przedsiębiorstwach będących nominalnie własnością państwową wartość dodatkowa podlega redystrybucji na rzecz klasy kapitalistów – przede wszystkim monopolistycznych – m.in. przez niskie ceny itd.”¹⁹. Jeśli poszerzyć ekonomiczne ramy rozumienia własności państwowej, to należy w nich umieścić także mieszany sposób produkcji tworzony przez przedsiębiorstwa, w których udziałowcami obok państwa są prywatni kapitaliści, co w naszych warunkach w pewnym przybliżeniu realizowane jest w postaci partnerstwa publiczno-prywatnego.

Tony Cliff w klasycznej monografii *Państwowy kapitalizm w Rosji. Od Stalina do Gorbaczowa* dowodzi słuszności tezy, że w Rosji po rewolucji bolszewickiej zapanował państwowy kapitalizm²⁰. Wedle tego poglądu w krajach zwanych socjalistycznymi czy komunistycznymi, mimo braku wolnego rynku, zarządzający

aparatus gospodarczy stosuje wobec pracowników najemnych zasady i mechanizmy wyzysku zbliżone do funkcjonujących w kapitalistycznej gospodarce. Podobnie, przy pewnych ograniczeniach, monopol państwowego zarządzania gospodarką pozwala w specyficzny sposób posługiwać się regułami maksymalizacji zysku, chociażby w formie komercjalizacji, zapewniać akumulację wartości dodatkowej, stosować prawo podaży i popytu, nie wspominając już o wymuszaniu wydajności pracy czy konkurencji. W efekcie socjalistyczna forma własności państwowej nabiera iluzorycznego charakteru i traktowana jest przez pracowników najemnych jako kapitalistyczna.

Warto zauważyć, że polityczna treść robotniczych protestów, nie tylko w naszym kraju, zdaje się potwierdzać ten stan świadomości społecznej, ponieważ ludzie rozpoznawali w państwie wrogię im wyzyskiwacza. Wybuchające w różnych czasach i okolicznościach kryzysowe wydarzenia były rozwiązywane przez władzę przy pomocy polityki porozumienia z prawicą i rozbicia lewicy, co pośrednio uwiarygadnia trafność koncepcji kapitalizmu państwowego, pozwalając lepiej zrozumieć społeczne mechanizmy funkcjonowania „krajów socjalistycznych”.

Nie należy zapominać, że w Polsce ruch strajkowy rozpoczął się wkrótce po wyzwoleniu kraju przez Armię Czerwoną, a w połączeniu z walką, w tym także zbrojną, o władzę i zewnętrznym zagrożeniem wymuszała sformowanie, w sensie prawno-ustrojowym, państwa stanu wyjątkowego. Odbudowa zniszczonej wojennych, bieda, gigantyczna migracja, wielkie reformy własnościowe i konieczność militarystyki gospodarki doprowadziły w prostej linii do wtłoczenia życia społecznego w ramy kapitalizmu państwowego, który narzucał szereg wewnętrznych ograniczeń administracyjnych w zarządzaniu krajową ekonomiką.

Jednak stosunki ekonomiczne ze światem kapitału nie zostały zerwane, ponieważ Polska była zmuszona do corocznej spłaty wobec zachodnich państw oraz ich obywateli określonych kwot odszkodowań, długów i kredytów w postaci waluty wymienialnej i towarów eksportowych. Jeśli dodać do tego konieczne zakupy na kapitalistycznych rynkach towarów, środków produkcji czy surowców dla potrzeb gospodarki i normalnego funkcjonowania państwa nie może zaskakiwać, że podstawowym zadaniem ówczesnego życia gospodarczego było uzyskiwanie jak największej ilości „dewiz”. W ten sposób okazało się, że jednak także w tych warunkach kapitalizm państwowy nie może funkcjonować bez kapitalistów, którzy co prawda działają poza granicami Polski, ale dla istoty rzeczy nie ma to żadnego znaczenia. Osobny problem stanowiły relacje między państwową gospodarką a rodzimym sektorem prywatnym, który był tradycyjnie bardzo „zaradny” i potrafił zadbać o swoje interesy kosztem państwowego partnera. Także aparat gospodarczy i administracyjny państwa, korzystając z uprzywilejowanej pozycji społecznej, skutecznie zabiegał o uzyskiwanie nadzwyczajnych dochodów, także korupcyjnymi metodami.

Zewnętrzny ogląd funkcjonowania kapitalizmu państwowego ukazuje społeczeństwo zorganizowane w swego rodzaju megakoncernie czy superkorporacji, gdzie każdy obywatel zaspokaja swoje potrzeby od narodzin do grobowej deski w ramach poszczególnych

¹⁹ J. Tittenbrun, *Gospodarka w społeczeństwie. Zarys socjologii gospodarki i socjologii ekonomicznej w ujęciu strukturalizmu socjo-ekonomicznego*, Poznań 2012, s. 372.

²⁰ Por. Tony Cliff, *Państwowy kapitalizm w Rosji. Od Stalina do Gorbaczowa*, ze wstępem i post. Chrisa Harmana, przeł. Piotr Kędzierzki i Andrzej Żebrowski, Warszawa 1991.

wydziałów czy departamentów jednej potężnej całości. Fabryka, szkoła, szpital, urząd, armia, policja, sądy, teatry, media, partia, związki zawodowe itd., faktycznie funkcjonują jako komórki jednej wszechpotężnej organizacji, w której współpraca nie wyklucza konkurencji. Najistotniejszym momentem w tym zarysie kształtu społeczeństwa wydaje się być funkcjonowanie mechanizmów gospodarczych, a nie system organizacji życia społecznego. W każdym razie próba opisu PRL poprzez pryzmat kapitalizmu państwowego ma wiele zalet o charakterze poznawczym, również dlatego, że uwalnia dyskusję o naszej przeszłości od nieznoszonego bagażu ideologicznego sztafetu, który tylko utrudnia zrozumienia mechanizmów gospodarczych słusznie lub nie minionej epoki.

Jednak zasadniczą zaletę zarysowanej konstrukcji myślowej stanowi perspektywa przejrzystego opisu transformacji ustrojowej, która w tym oglądzie sprowadza się do prywatyzacji kapitalizmu państwowego. W tej perspektywie łatwo zrozumieć wbrew pozorom stosunkowo prosty zamysł i mało skomplikowany mechanizm transformacji własnościowej, która miała w istocie wewnątrzformacyjny kapitalistyczny charakter. Ta dyskusja jednak dopiero się zaczyna, a bogactwo przytoczonych przez Kołodkę materiałów i analiz, które koniecznie należy uzupełnić zebraną w czterotomowej monografii Jacka Tittenbruna *Z deszczu pod rynnę: meandry polskiej prywatyzacji*²¹ obszerną charakterystyką transformacji, wymaga dalszych badań w aspekcie socjologii gospodarki i socjologii ekonomicznej.

Język ekonomii

Wędrujący świat z 2008 roku Kołodko otworzył pomieszczonym w omawianym dziele rozdziałem o znamienym tytule *Świat, słowa i treści (czyli jak się rodzi prawda, błąd i kłamstwo w ekonomii i polityce i co czynić, aby prawda brała górę)*, gdzie zawarł szereg ważkich myśli, z którymi nie sposób się nie zgodzić. Oto niektóre z nich.

„Słowa zastępują treści. Dla tych, którzy uciekają się do słów, słowa to potężna broń. Posługujemy się nimi, aby pokonać ciemnotę i głupotę, aby przezwyciężyć niewiedzę i ignorancję. Aby zrozumieć, co naprawdę – i dlaczego tak, a nie inaczej – się dzieje. Są jednak i tacy, którym słowa wcale nie służą do wyjaśniania i rozumienia. Czasami dlatego, że nie potrafią, innym razem dlatego, że nie chcą.

Poszukując sedna sprawy, nie sposób nie posługiwać się słowami. Można jednak używać ich, także na gruncie ekonomii, w sposób, który zamiast wyjaśniać – gmatwa, zamiast upraszczać – komplikuje, zamiast uczyć mądrości – oglupia. Tego trzeba się wystrzegać” (s. 531).

„Na początku było Słowo” (*logos* – w języku greckiego oryginału) powiada się w pierwszych słowach Janowej Ewangelii. W naszym przypadku słowem kluczowym, znacznie mniej wieloznacznym niż grecki „logos” jest „transformacja” czyli przekształcenie, przeobrażenie (łacińskie *transformare* składa się z dwóch słów *trans* i *forma*), rozumiane też jako przemiana czy zmiana. W nauce można spotkać się z transformacją

w podstawowych znaczeniach w geometrii wykreślnej czy szerzej w matematyce, z transformacją Galileusza i transformacją Lorentza w fizyce, z transformacją współrzędnych w geologii, a w medycynie z transformacją DNA czy transformacją genetyczną. W ten kontekst znaczeniowy nazewnictwa pozbawionego jakichkolwiek społecznych i historycznych odniesień zdecydowanie wkraczają takie wyrażenia jak „transformacja ustrojowa”, „transformacja wolnorynkowa” czy „transformacja systemowa”.

Kołodko zwrócił uwagę, że kiedy po pierwszym pobycie w Światowym Instytucie Badań Rozwoju Gospodarczego (WIDER) w Helsinkach brał udział w 1988 roku w „montowaniu” ekipy badawczej do projektu na rok 1989, to „wtedy wciąż jeszcze w tytule miał termin »reformy«, a nie »transformacja«” (s. 114). Można sądzić, że w ten sposób Kołodko skrótowo uchwycił przejście od koncepcji „re-form” polegających na urynkowieniu i komercjalizacji państwowej gospodarki do polityki ustrojowej „trans-formacji” rozumianej jako proces prywatyzacji państwowej i spółdzielczej własności. Tym samym ekonomika kraju zostaje podporządkowana regułom produkcji towarowej i właściwej jej gospodarki pieniężnej jako ekonomicznej podstawy życia społecznego. Niewątpliwie przekształcenie reform w Wielką Transformację nie mogłoby się dokonać bez udziału tajemniczego Wielkiego Transformatora. Kołodko przypomniał także spotkanie w Londynie ze Stanisławem Gomułą, „gdzieś w połowie lat 80. Porozmawialiśmy sobie jak ekonomista z ekonomistą. On już wtedy widział w przyszłości w Polsce kapitalizm” (s. 59), co zdaje się wiernie wyrażało nastroje panujące w londyńskim City.

Ważną zaletą uprawiania polityki zmiany ustrojowej pod szyldem związanej z technicznym myśleniem o „transformacji”, widocznym również w takich wyrażeniach, jak „mechanizmy”, „narzędzia ekonomiczne”, czy zapożyczone z zakresu budownictwa giełdowe „inwestycje”, było wywołanie wrażenia, że określone posunięcia gospodarcze są nieuniknione, bezdyskusyjne i społecznie neutralne, służąc przywróceniu „normalności”. Propaganda transformacyjnej polityki w swoim zamyśle szeroko miała wywoływać skojarzenia związane z przyrodniczym kontekstem znaczeniowym, nadużywając medycznej retoryki, na przykład, przy omawianiu „operacji finansowych”, w celu wtłoczenia do ludzkich umysłów stosownych skojarzeń. W tym wariancie transformacja przybierała postać przymusowej i bezalternatywnej „szokowej terapii” chorego organizmu gospodarczego będącego w stanie „choroby” w celu jego uzdrowienia pod hasłem zbudowania „normalnej gospodarki”.

Terminologia i retoryka odwołująca się do zjawisk przyrodniczych dobrze maskuje kapitalistyczną wymowę stosunków ekonomicznych skutecznie kształtując przeświadczenie o ich naturalnym, obiektywnym, niezależnym od woli i świadomości ludzi charakterze, nadając im uniwersalną i wiecznie obowiązującą postać.

Rainmaker – to człowiek, który przynosi deszcz. Pracownicy wielkich korporacji operujących na globalnym rynku w ten sposób nazywają swoich kolegów, kiedy przynoszą wielkie zyski. Za tym angielskim wyrażeniem kryje się sięgający czasów starożytnych mit ob-

²¹ Por. Jacek Tittenbrun, *Z deszczu pod rynnę: meandry polskiej prywatyzacji*, t. 1-4, Poznań 2007.

fitości, płodności, życia i siły, eksploatowany od dawien dawna w różnych kulturach.

W mitologii greckiej znajduje się opowieść o Akrisjosie, synu króla Argos, który w obawie o swoje życie niezwykle piękną córkę Danae trzymał pod strażą złych psów w lochu o drzwiach z brązu. Akrisjos chciał uniknąć spełnienia się słów wyroczni, wedle której jego córka mieć będzie syna, który go zabije. Mimo tych przeszkód Zeus, znany uwodziciel kobiet, przedostał się przez szczelinę w dachu pod postacią „złotego deszczu”, który padając ze stropu więzienia na łono Danae oczywiście ją zapłodnił. Ciąg dalszy, jak w wyroczni. Jeszcze starszy olimpijski mīt o stworzeniu opowiada, jak na samym początku świata Matka Ziemia wyłoniła się z Chaosu i we śnie urodziła Uranosa. Spoglądając czule na swą Matkę, Uranos ze szczytów gór polewał szczeliny żyznym deszczem, który rodził trawy, kwiaty i drzewa, zwierzęta i ptaki a także rzeki, jeziora i morza.

Można dyskutować, czy pracownicy globalnych firm tak dalece znają starożytną mitologię, by świadomie z niej korzystać przy posługiwaniu się zawodowym żargonem. Jednak fachowy język opisu procesów gospodarczych bez „wodnych” metafor nie może się obyć.

Światowy kapitalizm umożliwia przenoszenie towarów, pracy i kapitału w nieograniczonej skali. Mówi się i pisze o tym, że kapitał swobodnie „przepływa” przez cały świat, że „przyptywa” lub „odptywa”, co może przebiegać wolniej lub szybciej. W publicznym obiegu zakotwiczyło się wyrażenie „utrata płynności finansowej”, często związane z przykrą konstatacją, że na koncie „topnieją” pieniądze. W bankach budzi niepokój finansowa „nadpłynność”, a dobry bank wyróżnia się stosunkowo większą płynnością.

Podatkowe „wpływy” do budżetu, „wpłynięcie” pieniędzy na konto firmy od klienta, najczęściej „przelewem”, należą do powszechnie używanych wyrażań. Natomiast nie wszystkim wiadomo, że fachowcy wyceniając firmy przed ich sprzedażą posługują się także metodą zdyskontowanych „strumieni” pieniężnych.

Można przywoływać wiele różnych zwrotów językowych podobnej proveniencji, które zarazem wskazują na anglojęzyczną genezę nie tylko „wodnej” terminologii masowo używanej w świecie biznesu. Niezależnie od skojarzeń związanych z mitologią grecką czy jakąkolwiek inną przywołany segment języka biznesowego jest dobrym narzędziem porozumiewania się i adekwatnie opisuje procesy gospodarcze.

Wolno zatem sądzić, że kapitał zachowuje się w pewnym zakresie wedle tych własności, które są charakterystyczne dla właściwości płynów. Woda nie płynie pod górę, chyba że zostanie zbudowana specjalna sieć podłączona do swoistej wieży ciśnień, co w odniesieniu do kapitału odpowiada spekulacyjnym posunięciom, które konstruują swoiste „sieci” czy „wieże ciśnień”. „Płynący” swoim korytem kapitał można regulować „zaporami” czy „śluzami”, ale się nie zawsze to udaje i wówczas dochodzi do swoistej „powodzi”, czyli finansowego kryzysu. W szerszym zakresie w gospodarowaniu towarami, usługami i siłą roboczą tego typu język znajduje pełne zastosowanie. Kiedy ustalono, że podobne właściwości mają „przepływy” kapitału, prądu elektrycznego, płynów i gazu, dzięki zastosowaniu takich dziedzin nauki jak hydro-

logia, hydromechanika czy termodynamika, doszło do powstania ekonofizyki.

Przytoczone wybrane rodzaje retoryk stosowanych w języku ekonomii budzą naturalne skojarzenia z opisaną przez Marksa w *Kapitale* „wulgarną ekonomią”, będącą swoistą formą racjonalizacji zdroworozsądkowego, także z użyciem pseudonaukowego sztafażu, w gruncie rzeczy potocznego myślenia ekonomicznego, opartego na codziennych praktykach gospodarczych działań kapitalisty i bezzasadnie podniesionego do rangi teorii. Zbudowany na tych retorykach dyskurs ekonomiczny pełni jednak niezwykle doniosłą rolę ideologiczną w kształtowaniu pożądanego obrazu świata stosunków społecznych obecnych w kapitalistycznej gospodarce. Próżno w nim szukać nieusuwalnego antagonizmu między kapitałem a pracą, skoro kapitalista w swej niezmiernej dobroci jako „pracodawca” dając pracę tworzy miejsca pracy. W tym kontekście nie ma też miejsca dla najemnej siły roboczej, ponieważ jako partner „pracodawcy” pojawia się „pracobiorca”, chociaż w praktyce to przedsiębiorca zabiera mu pracę, dzięki której wyzyskiwani przezeń pracownicy umożliwiają właścicielowi warunków pracy osiągnięcie stosownych korzyści zgodnie z panującymi w tym świecie prawami maksymalizacji zysku.

W tej retoryce nie zaskakuje domaganie się przez przedsiębiorców „prostych” podatków, ponieważ w domyśle są one jak gdyby „krzywe”, chociaż powinny być sprawiedliwe. Naturalne jest także żądanie niskich podatków, dzięki czemu ma przybywać miejsc pracy, mimo że fakty i bezstronne badania całkowicie temu przeczą, a od dawien dawna wiadomo, że kapitaliści preferują wydłużanie czasu pracy swoich najemników zamiast zatrudniania nowych pracowników.

Z drugiej strony język ekonomii coraz szerzej przenika w rozmaite sfery życia społecznego. Jeśli rząd ma być traktowany jako „firma”, to dla utrzymania się przy władzy niezbędne jest stosowanie przez niego taktyki „kupowania czasu”. Rozliczne instytucje polityczne, przede wszystkim rząd, partie czy związki zawodowe kierują do ludzi rozmaite „oferty”, które mają stanowić „receptę” na usunięcie licznych społecznych dolegliwości. Nikogo zatem nie powinno dziwić, że w procesie transformacji podopieczni ośrodków pomocy społecznych zostali sprawnie przekształceni w ich „klientów”. Zresztą ekonomiczna retoryka ma doskonałą i nader odległą tradycję, jeśli zważyć na trwałą obecność w chrześcijaństwie takich wyrażań, jak „odkupienie grzechów” czy pielęgnowanie szacunku dla „wdowiego grosza”.

Przywiązywanie przez Kołodkę wielkiej wagi do znaczenia języka ekonomii jako środka interpersonalnej komunikacji prowadzi do położenia nacisku na refleksję nad ekonomicznym dyskursem jako przedmiotem systematycznych badań interdyscyplinarnych. Jak mało który ekonomista zabiega on nieustannie o zapewnienie wysokiego poziomu myślenia ekonomicznego, zwłaszcza w zderzeniu z myśleniem politycznym i prymitywną propagandą. Wszak myślenie dokonuje się w określonym języku, który w decydującej mierze determinuje kształt świadomości społecznej, stan ludzkich wyobrażeń i umysłów.

HENRYK DOMAŃSKI

O OTWARTOŚCI STRUKTURY SPOŁECZNEJ

Pojęcie „otwartości” (lub „zamknięcia”) struktury społecznej odnosi się do stopnia przenikalności barier między grupami społecznymi. Chodzi o przenikalność w sensie możliwości zmiany pozycji i nawiązywania bliskich relacji między członkami kategorii usytuowanych na różnych piętrach hierarchii społecznej. Przyjmuje się, że zjawiska te najwyraźniej dochodzą do głosu we wzorach ruchliwości, zawierania związków małżeńskich i znajomości. Im mniejsza jest siła ruchliwości i trudniej jest nawiązać bliskie relacje, tym otwartość jest mniejsza.

Jednym z najczęściej przytaczanych argumentów na rzecz tezy mówiącej o wpływie ruchliwości na funkcjonowanie systemu politycznego jest obserwacja Alexisa de Tocqueville’a, że rewolucje są najbardziej prawdopodobne, gdy sytuacja ludności ulega nagłej poprawie. Stwierdzenie to dotyczyło konkretnej sytuacji historycznej związanej z przechodzeniem od zamkniętych do otwartych struktur społecznych we Francji, a w szczególności – wzrastających aspiracji wzbogaconego mieszczaństwa do udziału we władzy. Następcy de Tocqueville’a uogólnili ten wniosek na wszystkie społeczeństwa, wskazując, że zablokowanie ludziom szans awansu grozi wybuchem niezadowolonego kierowanego pod adresem klasy rządzącej.

W rzeczywistości zależność ta jest bardziej złożona. Przypisywanie ruchliwości roli czynnika rozładującego konflikty społeczne wynika z przekonania, że większa ruchliwość zapewnia większe możliwości awansu. Oznaki ruchliwości zaczynają być widoczne dla ogółu ludności. Są dowodem na występowanie równych szans i otwartości struktury społecznej. Zakłada się tu, że im więcej jest przypadków ruchliwości, tym mniejsza jest krytyka istniejących nierówności i silniejsza legitymizacja dla władzy. Dotyczy to w szczególności klasy niższej, która z większą otwartością wiąże nadzieje na poprawę sytuacji materialnej i możliwości przechodzenia na wyższe pozycje. Konsekwencją awansu członków klas niższych jest redukcja potencjału niezadowolonego, który koncentruje się na niższych szczeblach hierarchii społecznej. Kategoria niezadowolonych staje się mniejsza, a ci, którzy awansują, zasilają (powinni) szeregi zwolenników istniejącego systemu i władzy.

Drugi argument na rzecz tezy o pozytywnym wpływie ruchliwości na funkcjonowanie systemu politycznego dotyczy szczególnego rodzaju ludzi awansujących z klas niższych. Argumentuje się, że większa ruchliwość wysysa z niej nie tylko jednostki najbardziej

aktywne i obdarzone talentem, ale i stanowiące potencjalne zarzewie konfliktów. Z kategorii tej rekrutują się późniejsi liderzy związkowi, działacze partyjni oraz potencjalni przywódcy protestów, a więc ludzie najbardziej niebezpieczni dla istniejącego systemu i władzy. Ruchliwość ta prowadzi do osłabienia krystalizacji struktury klasowej i powoduje zmniejszenie się możliwości organizowania się klasy robotniczej i pracowników najemnych. Stępuje ich radykalizm, stając się zaworem bezpieczeństwa dla klasy rządzącej. Oczywiście, dla zwolenników radykalnego marksizmu wzrost możliwości wychodzenia z klasy robotniczej jest równoznaczny z umocnieniem systemu kapitalistycznego – w przeciwieństwie do zwolenników kapitalizmu, którzy skłonni są interpretować wzrost otwartości jako godne pochwały świadectwo przewagi struktur rynkowych nad czynnikami szeroko rozumianej askrypcji.

Należy zauważyć, że prawidłowości te nie zostały zweryfikowane empirycznie na podstawie analiz. Wynikają one z intuicji popartych obserwacjami nawiązującymi do różnych teorii. W istocie rzeczy można wymienić kilka czynników ograniczających pozytywny wpływ ruchliwości na stabilność systemu politycznego. Pierwszym czynnikiem są mechanizmy dziedziczenia przynależności klasowej. Procesy odpływu z klas niższych nigdy nie są tak duże, aby mogły zneutralizować potencjał konfliktów, którego największe pokłady tkwią w dolnych partiach hierarchii społecznej. Niezależnie od dokonującej się stale ruchliwości na wyższe pozycje, w każdym społeczeństwie zawsze będą istniały jakieś klasy niższe. Są one na tyle liczne, żeby przysparzać kłopotów rządzącym. Podobne zastrzeżenie można wysunąć wobec skuteczności drenażu potencjalnych liderów opozycji przez władze. Ruchliwość nie zmienia faktu, że na miejsce tych, którzy wyszli z dołów społecznych, wchodzi kolejne roczniki potencjalnych przywódców kontestacji i rewolt. Ruchliwość nie eliminuje mechanizmów liczebnego odtwarzania się przyszłych organizatorów strajków i demonstracji ulicznych wywodzących się z klasy robotniczej i niższej.

Drugim ograniczeniem jest to, że prawdopodobnie nie każda zmiana pozycji neutralizuje przekonanie o zablokowaniu szans ruchliwości. Nie każdy awans będzie się automatycznie przekładał na pozytywne odczucia wobec systemu politycznego i władzy. Najbardziej prawdopodobnie rysuje się to w odniesieniu do przypadków znaczącego awansu, takich jak przechodzenie z robotników niewykwalifikowanych do specjalistów lub

do reprezentantów wielkiego biznesu, czyli do kategorii usytuowanych na górze hierarchii społecznej. Problem tkwi w tym, że przypadki ruchliwości długodystansowej są stosunkowo rzadkim zjawiskiem. We wszystkich krajach dominującą tendencją jest ruchliwość między klasami sąsiadującymi ze sobą i ruchliwość wewnątrz-klasowa, czyli przechodzenie na podobne pozycje.

Trzecie ograniczenie dotyczy założenia, że wychodzeniu z klas niższych faktycznie towarzyszy wzrost legitymizacji istniejącego systemu i poparcia dla władzy. Zakłada się, że logicznym następstwem przesunięcia się w górę hierarchii społecznej jest wycofanie poparcia dla partii lewicowych, które mają skłonność do kontestacji istniejącego porządku. Jednak sytuacja awansu nie musi skutkować przeniesieniem poparcia dla partii opowiadających się za stabilnością istniejącego porządku. Wyniki badań przeprowadzonych w Anglii wskazują, że członkowie klasy średniej pochodzący z klas niższych znacząco rzadziej deklarowali poparcie dla Partii Konserwatywnej niż członkowie klasy średniej dziedziczący pozycje rodziców. Pochodzenie robotnicze związane było też z większą akceptacją polityki wydatków socjalnych i innych działań kojarzonych z programem lewicy.¹

Na możliwość niejednoznacznej interpretacji tych zjawisk wskazywały również analizy przeprowadzone na podstawie znanych badań przeprowadzonych w 1964 roku w Luton. Przedsięwzięcie to zrealizowano z myślą o weryfikacji teorii o „zburzaniu” robotników, prowadzącym do zacierania się tradycyjnej linii podziałów klasowych. Autorzy badania w Luton wyszli od krytyki tego poglądu, formułując alternatywną hipotezę o kształtowaniu się mentalności „wzbogaconego robotnika” (*affluent worker*). Charakterystycznymi cechami „wzbogaconego robotnika” są orientacje konsumpcyjne (posiadanie własnego domku z ogródkiem) i rosnąca zamożność, jednak nie musi to pociągać za sobą upodabniania się robotników do klasy średniej w innych aspektach (Goldthorpe i in., 1969).²

W istocie rzeczy badania w Luton dowiodły, że robotnicy upodabniali się do kategorii pracowników umysłowych pod względem położenia materialnego, jednak w dalszym ciągu zachowywali podstawowe atrybuty odrębności klasowej, wynikające z przynależności do kategorii pracowników fizycznych i relatywnie słabszej pozycji rynkowej. Wzrostowi ich indywidualizmu i poziomu konsumpcji nie towarzyszyło zanikanie barier w nawiązywaniu stosunków towarzyskich, zawieraniu małżeństw i utrzymywaniu codziennych kontaktów z klasą średnią. Robotnicy nie aspirowali również do nazywania się „klasą średnią”. Z drugiej strony, niżsi pracownicy umysłowi nie zaprzestali eksponowania oznak swojej wyższości społecznej i dystansowania się od klasy robotniczej.

Ustalenia te, jak argumentowano, dowiodły, że przechodzenie na wyższe szczeble hierarchii społecznej nie musi prowadzić do „zburzania” poglądów. W szczególności, poprawa sytuacji materialnej klas niższych nie oznacza wyeliminowania napięć społecznych, czego potwierdzeniem było utrzymywanie się

radikalizmu klasy robotniczej, mimo zwycięstwa Partii Pracy w wyborach parlamentarnych z 1964 i 1966 roku. W niczym to nie zaprzecza prawdziwości teorii, które mówią o pozytywnym wpływie ruchliwości na deradikalizację klas niższych. Prawdopodobnie brzmi hipoteza, że awansujące jednostki bardzo powoli, ale jednak dostosowują się do nowych pozycji, co w dłuższej perspektywie czasowej może sprzyjać wyrażaniu poparcia dla systemu politycznego i legitymizacji dla władzy.

Osobny problem dotyczy konsekwencji degradacji społecznej. Dla stabilności systemu politycznego ważne jest to, że kategoria osób podlegających degradacji jest mniej liczna w porównaniu z osobami przechodzącymi na wyższe pozycje. Przewaga awansu nad degradacją jest prawidłowością występującą we wszystkich społeczeństwach – prawidłowością „wymuszoną” częściowo przez zmiany struktury społeczno-zawodowej, które polegają na zwiększaniu się liczebności kategorii zaliczanych do wyższej klasy średniej takich jak specjaliści, przy równoczesnym zmniejszaniu się relatywnego udziału kategorii robotników i rolników. Zastępowanie pracowników fizycznych przez specjalistów, które nie musi osłabiać roli uwarunkowań pochodzeniowych, generuje mechanizmy przemieszczania się w górę hierarchii społecznej, czyli „wymuszonego” awansu.

Niemniej jednak degradacja może rodzić niezadowolone przeradzające się w źródło konfliktów. Z badań wynika, że przedstawiciele klasy średniej, którzy przeszli do klasy robotniczej, przejawiają więcej rozczarowania i frustracji niż członkowie klasy średniej zachowujący pozycje rodziców. Z drugiej strony, kategoria osób „zdegradowanych” jest stosunkowo nieliczna. I, co ważniejsze, niezadowolone to nie jest artykułowane w postaci politycznego protestu, ani też nie wyraża się w kontestacji systemu politycznego czy wrogości wobec klasy rządzącej. W społeczeństwie amerykańskim członkowie klasy robotniczej pochodzący z klasy średniej częściej identyfikowali się z „klasą średnią” lub „wyższą” w porównaniu z robotnikami niezmiennymi pozycji. O ile do klasy robotniczej i „niższej” zaliczało się 46 proc. robotników wywodzących się z *middle class*, to wśród „stabilnych” robotników odsetek ten był prawie dwukrotnie wyższy i kształtował się na poziomie 81proc. Charakterystyczne, że robotnicy napływający z klasy średniej o wiele częściej dawali wyraz przekonaniu o otwartości hierarchii społecznej i równości szans dla ludzi wytrwałych i obdarzonych talentem. Pochodzenie z klasy średniej było związane ze znacząco niższym popieraniem związków zawodowych i przekonaniem o większych możliwościach awansu. Podobnie było w Anglii, gdzie robotnicy wywodzący się z rodzin pracowników umysłowych częściej skłaniali się do głosowania na Partię Konserwatywną.³

Postawy te są rodzajem reakcji obronnych ludzi, którzy doznali porażki, ale nie przyznają się do niej, ponieważ żyją w społeczeństwach, w których normą poprawności jest wykazywanie się oznakami sukcesów życiowych. Identyfikacje z klasą średnią i deklarowane przez nią orientacjami stanowią dla nich symboliczną więź, która pozwala żywić nadzieję powrotu. Zachowania kontestacyjne spotykają się w tym środowisku

¹ Parkin F. 1979. *Marxism and Class Theory: A Bourgeois Critique*. London: Tavistock.

² Goldthorpe J. H., D. Lockwood, E. Bechhofer i J. Platt. 1969. *The Affluent Worker in the Class Structure*. Oxford: Clarendon.

³ Runciman W. 1966. *Relative Deprivation and Social Justice*. London: Routledge and Kegan Paul.

z oporem, ponieważ groziłoby upodobnieniem się do klasy robotniczej, czego należy unikać. Degradacja traktowana jest jako wydarzenie przejściowe, co powoduje, że rzadko kiedy stwarza zagrożenie dla stabilności stosunków społecznych.

Z badań wynika, że Polska sytuuje się wśród krajów o wysokiej otwartości mierzonej siłą związku między pochodzeniem społecznymi i osiągnięciami jednostek. Należy jednak mieć na uwadze, że stwierdzenie to odnosi się do stanu z końca lat 90. XX wieku. Powstaje pytanie, jak kształtowało się to w dłuższej perspektywie czasowej?

Unikalną możliwość przeanalizowania wpływu czynników makrosystemowych na stopień otwartości struktury społecznej stworzył upadek komunizmu i kształtowanie się stosunków rynkowych. Można było zakładać, że głównym wyznacznikiem ruchliwości będą zmiany struktury zawodowej: pojawiły się nowe role zawodowe, niektóre inne zaczęły zanikać. Przykładowo, liczba właścicieli gospodarstw rolnych zmniejszyła się w latach 1988-2010 z 23 do 8 proc., a robotników wykwalifikowanych z 25 do 16 proc. Najogólniejszym wskaźnikiem ruchliwości jest odsetek osób przechodzących do innej kategorii w porównaniu do ogółu ludności. Ruchliwość międzypokoleniowa w rozpatrywanym okresie zwiększyła się z 60,1 do 74,1 proc., przy czym – rzeczywiście – stosunkowo największy przyrost występował w przełomowych latach 1988-1992. Potwierdzałoby to hipotezę o wpływie zmian systemowych na ruchliwość społeczną, i że podstawowym wyznacznikiem tego procesu były zmiany struktury społeczno-zawodowej „wymuszające” przechodzenie na nowe pozycje.

Równocześnie były to lata pewnego osłabienia rozmiarów pochodzenia między małżonkami. Świadectwem tego procesu jest obniżenie się odsetka małżeństw między osobami należącymi do tej samej kategorii zawodowej w latach 1988-2010 z 38,9 proc. do 36,6 proc. Towarzyszyło temu również obniżenie się homogamii pod względem poziomu wykształcenia małżonków. Odsetek małżeństw między partnerami o tym samym wykształceniu zmniejszył się w latach 1988-2010 z 54,3 do 49,3 proc., znamionując zjawisko większej intensywności kontaktów między reprezentantami różnych środowisk. Nie można jednak wykluczyć, że wzrost heterogamii małżeńskiej jest tylko okresowym wahanieniem, którego źródłem był wzrost rozbieżności między strukturami wykształcenia mężczyzn i kobiet. Charakterystyczną cechą rozpatrywanego okresu był znacznie szybszy przyrost wyższego wykształcenia wśród kobiet. Kategoria ta stawiała się stosunkowo mniej liczna wśród mężczyzn, stąd też coraz więcej kobiet z wyższym wykształceniem zawierających małżeństwo, „musiało” z konieczności dokonywać wyboru męża o niższym poziomie wykształcenia.

Jaki stąd wniosek? Otwartość struktury społecznej ma pozytywne i negatywne aspekty. Postawy tolerancji, stymulacja intelektualna czy skłonność do innowacyjności, które są charakterystycznymi cechami ruchliwych jednostek, znajdują przeciwwagę w frustracjach i stresach, które wynikają z trudności asymilacji do nowych środowisk. Negatywnymi skutkami ruchliwości są relatywizm moralny i skłonność do naruszania norm regulujących zachowania jednostek. Ruchliwość czyni

również podatnym na uprzedzenia i przesady etniczne, co wynika z poczucia niepewności, które towarzyszy zmianie pozycji.

Niejednoznacznie rysują się również makrosystemowe konsekwencje otwartości struktury społecznej. Opierając się na dokonanym powyżej przeglądzie można powiedzieć, że bogactwo teoretycznej refleksji nad ruchliwością społeczną nie przystaje do wyników analiz. Międzynarodowe analizy porównawcze nie potwierdzają, jak dotąd, wpływu ruchliwości na stopień demokratyzacji systemu politycznego, legitymizacji i poparcia dla władzy. Nie przedstawiono również jednoznacznych dowodów na rzecz tezy o występowaniu związku między natężeniem ruchliwości a czynnikami wzrostu gospodarczego, czego wskaźnikiem byłaby korelacja ruchliwości z poziomem dochodu narodowego i stopy życiowej. Co prawda, niepowodzenia te mogą być tylko konsekwencją ograniczenia dotychczasowych analiz do społeczeństw reprezentujących wysoki poziom rozwoju, a odkrycie tych zależności wymaga poszerzenia pola analiz.

Za stwierdzeniem tym przemawiają ustalenia wynikające z analiz dotyczących wzorów doboru małżonków, które objęły szerokie spektrum społeczeństw, różniących się pod wieloma cechami. Wynika z nich, że społeczeństwa o większej otwartości (mierzonej siłą związku między wykształceniem męża i żony) charakteryzowały się również wyższym poziomem i dynamiką rozwoju ekonomicznego oraz wyższym poziomem demokratyzacji. Czynniki większej otwartości rynku małżeńskiego okazują się również dominacja religii protestanckiej i przynależność do demokracji zachodnich w porównaniu ze społeczeństwami postkomunistycznymi, charakteryzujących się bardziej tradycyjną strukturą społeczną.

Rzecz jasna, bariery małżeńskie identyfikują trochę inny aspekt otwartości niż bariery ruchliwości międzypokoleniowej. Ruchliwość i dziedziczenie pozycji kształtowane są bardziej przez zasady rekrutacji i sformalizowane kanały awansu, podczas gdy wybór małżonka w większym stopniu odzwierciedla otwartość w wymiarze wartości, stylu życia i preferencji światopoglądowych.

Mając to na uwadze skłaniam się jednak do twierdzenia, że – sumując – wyniki te dostarczają spójnego obrazu systemowych funkcji otwartości struktury społecznej. Osiągnięcie określonego poziomu otwartości jest warunkiem stabilności systemu politycznego i rozwoju ekonomicznego. Cofnijmy się 250 lat wstecz, do czasów monarchii stanowych. Obalenie systemu feudalnego i osłabienie roli czynników pochodzeniowych było koniecznym ogniwem procesów kształtowania się demokracji i stosunków rynkowych. Prawdopodobnie jednak zależności te realizują się tylko do pewnego poziomu. Po przekroczeniu progu dyktowanego przez wymagania demokracji i merytokratycznego obsadzania pozycji, otwartość nie musi się zwiększać, a być może i nie powinna, ponieważ dla systemu społecznego byłoby to szkodliwe. Zbyt intensywna cyrkulacja grozi chaosem, nie mówiąc już o tym, że zniesienie barier społecznych podważyłoby logikę stratyfikacji opierającej się na trwałości dystansów społecznych.

HENRYK DOMAŃSKI

EDWARD KAROLCZUK

LIBERALNE WARTOŚCI A BOHATERZY I DEZERTERZY

Liberałowie osiłą swojej ideologii czynią wolność jako pewne zjawisko, które jest wytworem cywilizacji kapitalistycznej, elementem spłotu zawierającego takie pojęcia jak prawa jednostki, swobody obywatelskie, uświęcenie osobowości jednostki, doniosłość prywatności, osobistych kontaktów itp. Proces społeczny jest ich zdaniem racjonalny wtedy, gdy nie jest poddany żadnej kontroli. Fundamentem gospodarki społeczeństwa jest niczym nie ograniczone działanie własności prywatnej, mechanizm wolnego rynku, którego celem jest stworzenie możliwości bogacenia się na drodze służenia konsumentowi w najlepszy i najtańszy sposób. Prywatna własność środków produkcji jest społeczną instytucją istniejącą dla dobra i korzyści wszystkich. Wojny są zakłóceniem istniejącego i postępującego podziału pracy, uspołecznienia produkcji. Zdaniem ideologów liberalizmu nie są one wynikiem istoty liberalizmu, który programowo wyrzeka się stosowania przemocy i stosuje negocjacje oraz zdobywa poparcie w ramach demokratycznych instytucji i reguł, lecz rezultatem wypierania liberalizmu przez socjalizm, nacjonalizm, protekcyjizm, imperializm, etatyzm i militarizm. Liberalizm deklaruje jednak ograniczenie władzy państwowej, minimalizację zakazów i nakazów.

Wraz z upowszechnianiem się ideologii liberalizmu dla obrony kapitalizmu rozwijały się jednak sprzeczności pomiędzy ideologią a praktyką; pomiędzy głoszeniem pokoju a prowadzeniem wojen; pomiędzy obwieszczaną tolerancją a okazywaną wrogością, dyskryminacją, i dokonywaną eksterminacją; między wolnością a zniewoleniem. Liberałowie zapewnili wolność dla właścicieli środków produkcji, a uwardze ich uszło zniewolenie właścicieli siły roboczej, wprowadzili niewolnictwo na ogromną skalę zniewalając całe narody.

Brutalne wojny narzucane przez rzeczników kapitalizmu odwołujących się do ideologii liberalizmu i neoliberalizmu, w imię jego trwałości i reprodukcji kapitalistycznych stosunków społecznych, odbierają właścicielom tylko swojej siły roboczej swobodę wyboru, doprowadzają do fizycznego i psychicznego przeciążenia żołnierzy i powstawania zjawiska stresu pourazowego oraz dezercji, które istnieją od tak dawna, jak toczą się wojny, ale w okresie wojen imperialistycznych,

zaborczych, przewencyjnych, cywilizacyjnych, przywracających ład i demokrację zyskują cechy i skalę, jakiej dawniej nie miały.

Dezercja według *Słownika języka polskiego* ma dwa znaczenia: jedno węższe rozumienie i bardziej uświęcone przez tradycję, jako „ucieczka z wojska” bez zamiaru powrotu i drugie, bardziej ogólne i symboliczne, jako „odejście skądś lub rezygnacja z czegoś z braku odwagi, by stawić się czoła trudnościom”. Mnie interesuje tutaj tylko ta pierwsza forma dezercji. „Odejście” lub „rezygnacja” nie muszą być wynikiem „braku odwagi” w stawieniu czoła „trudnościom”. To odejście może wręcz być wynikiem odwagi. *Słownik synonimów* podaje m.in. takie synonimy wyrażenia dezenter: defetysta, kapitulant, rejterant, zbieg, uciekinier. Odnoszą się one raczej do tego drugiego rozumienia terminu dezercji i zawierają w sobie negatywną ocenę tego typu zachowania.

W niniejszym artykule przeciwstawiam się tak negatywnemu i jednoznacznemu rozumieniu dezercji i jej przyczyn. Chociaż *Słownik* sugeruje, że dezenter i defetysta są wobec siebie pojęciami zamiennymi, to jednak tak nie jest, gdyż defetysta wcale nie musi dezenterować, on może tylko dzielić się z innymi wątpliwościami co do słuszności sprawy i możliwości zwycięstwa. Dotyczy to również terminu „kapitulant”. Żeby być defetystą czy kapitulantem wcale nie trzeba być w wojsku. Zbiegiem czy uciekinierem można również być z więzienia lub z obszaru zagrożonego lub ogarniętego wojną. Defetystą i dezenterem kierują różne pobudki – u defetysty wcale nie musi to być oznaką buntu. Obecnie rozróżnia się dezercję i tzw. samowolne oddalenie bez zamiaru trwałego uniknięcia służby wojskowej, co jednak oznacza tylko złagodzenie kar, ale pozostawia je jako rezerwę, jakby powiedział Giorgio Agamben, *homo sacer*.

Pierwsza wojna światowa była jedną z tych wielkich wojen, w których bezpośrednio walczyły ze sobą głównie wrogie regularne armie, chociaż pośrednio wspierane były przez liczne rzesze społeczne i zmilitaryzowaną gospodarkę. Wśród wówczas zabitych 80 procent stanowili żołnierze, a 20 proc. osoby cywilne. Kategoria dezentera, jako pojęcie graniczne, było więc istotne z politycznego i filozoficznego punktu widzenia. Druga wojna światowa, choć masy zmobilizowanych żołnierzy

były zbliżone do tych w pierwszej wojnie, przyniosła od 5 do 7 razy więcej zabitych i zmianę proporcji strat – cywile stanowili już ponad 60 proc. zabitych. Zabijanie cywilów przybrało formę działalności przemysłowej lub bombardowania i ostrzeliwania bezbronnych miast.

Przekształcenie cywila w żołnierza

Podtrzymywanie liberalnego mitu i łagodzenie sprzeczności kapitalizmu w imię jego trwałości wymagało ogromnego wysiłku i poświęceń. Armia w praktyce kapitalizmu oślanego liberalną ideologią zawsze stanowiła istotny element represyjnych aparatów państwa, zabezpieczających warunki reprodukcji sił wytwórczych i kapitalistycznych stosunków produkcji. Biopolityczne przekształcenie mężczyzny w żołnierza, po uprzedniej obowiązkowej nauce w szkole kontrolowanej przez państwo i wychowaniu, rozpoczynało się przed komisją poborową. Proces ten i mechanizm pracy komisji został w mistrzowski sposób przedstawiony przez Józefa Wittlina w nieukończonych trylogii pt. *Powieść o cierpliwym piechurze*. W opublikowanej pierwszej jej części pt. *Sól ziemi*, pisał: „Pierwszy to raz od wielu lat nie sądzono nas po ubraniu. Przeciwnie: dziś tylko rozebrani byliśmy coś warci, tylko nago mogliśmy okazać najwyższe nasze zalety. Nic już o nas nie chciano wiedzieć ponad to, czyśmy zdrowi. Zaglądano nam w zęby, jak koniom na targu, oglądano z przodu, oglądano z tyłu, pukano do naszych wnętrz, by się przekonać, czyśmy nie robaczywi”¹. Badanie lekarskie i podział zdrowych na kategorie miało na celu stwierdzenie przydatności do jakichkolwiek zadań wojskowych: „jeśli zwracano uwagę na oczy, to dlatego tylko, by przekonać się, czy dojrzą cel, do którego mają mierzyć, jeśli badano uszy – to dlatego, by sprawdzić, czy usłyszą komendę i odróżnią detonacje. Ręce były warte tylko tyle, ile mogły udźwignąć. Nogi były najważniejsze. Przeznaczeniem ich był marsz. Kto miał słabe nogi, był nieużyteczny w piechocie, brano go do kawalerii. Oglądano również zęby ze względu na twardy chleb komiśny i suchary. A może był to szczątkowy rytuał z czasów, gdy zębami odrywano stemple od patronów”².

Mężczyźni, którzy stanęli przed taką komisją, próbowali stawić mniej lub bardziej świadomy opór przeciwko wcieleniu do armii i groźbie utraty zdrowia i życia. Wszystkie choroby i dolegliwości (a nie zdrowie) stawały się mniej lub bardziej ważkim argumentem i były bardzo pożądane. Dla wywołania złego wrażenia u wojskowego lekarza od wielu dni poborowi nie jedli i nie sypiali, „pili czarną kawę, żeby osłabić serce”, palili najmocniejsze papierosy i tytoń zamiast w bibułkę, zawiązali w zwykłą gazetę, wywoływano „pozory astmy”. „Czynności te nosiły zbiorową nazwę »plagowania«, a całość wysiłków, zmierzających do wykręcenia się z wojska, nazywano »markieracją«. Już tu, w poczekali przybierano pozy nieuleczalnych cierpiętników, jakby z obawy, że w ostatniej chwili będzie za późno i poza się nie uda”³.

Jeżeli wysiłki te nie pozwalały wymigać się od służby wojskowej – stawali się rekrutami. Przygotowanie rekrutów do służby na froncie wymagało wyparcia w ciągu kilku tygodni z ich świadomości tradycyjnych wartości i uczuć, uświadomienia im, że rygor, dyscyplina i bezwzględne wykonywanie rozkazów są najważ-

niejsze. Zajmując pozycje w okopach I wojny światowej – pisał Remarque – stawali się „ludzkimi bestiami”, chronionymi przez „instynkt zwierzęcia”, że już po pierwszych walkach przemieniali się w „niebezpieczne bestie”. Nie walczyli lecz bronili się „przed zagładą”, stawali się „obłąkani z wściekłości”, mogli „niweczyć i zabijać, aby się ratować, aby się ocalić i pomścić”⁴, tracili „wszelkie uczucia dla siebie”, byli „nieczułymi trupami, które biegną jeszcze i zabijają dzięki wybiegowi, siłą niebezpiecznego czaru”⁵. Rekruci poddawani więc zostawali takiemu „praniu mózgów”, jakie liberałowie przypisują państwu „totalitarnym”. Takie były jednak metody zabezpieczające ekspansję i reprodukcję liberalno-kapitalistycznych stosunków społecznych.

Nerwica okopowa a liberalny kapitalizm

W okresie liberalizmu coraz bardziej zaostrzała się sprzeczność pomiędzy jego doktryną, głoszącą wolność jednostki i tolerancję, a codzienną praktyką. W miarę przedłużania się działań bojowych zachodziła konieczność przełamывania wszelkiego indywidualizmu, od żołnierzy wymagano coraz więcej poświęcenia w walce z wrogiem i poddawano ich zwiększonej eksploatacji i niespotykanemu naciskowi stresów. Efektem pozbawienia żołnierzy wszelkiej swobody wyboru i nieprzystosowania psychofizycznej konstrukcji żołnierzy do tych nowych elementów pola walki był rozwój różnego rodzaju zaburzeń psychicznych, także wśród weteranów i osób cywilnych. Jednym z rodzajów zaburzeń psychicznych wśród żołnierzy, polegającym na zespoleniu depresyjno-lękowym spowodowanym nadmiernym stresem i stałym napięciem w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia, była zdiagnozowana podczas I wojny światowej *nerwica okopowa*⁶.

Nerwica okopowa miała bardzo różne objawy u poszczególnych osób. Objawiała się stanami lękowymi, dusznością i osłabieniem chęci uczestnictwa w starciach zbrojnych. Występowało uporczywe, natrętne powracanie do sytuacji stresowej, albo gorsze samopoczucie w sytuacji przypominającej stresor. Dotknięty nią żołnierz bał się, był niezdolny do wykonywania rozkazów, słyszał dzwony, miał trudności w zasypianiu lub skłonność do przesypiania, był drażliwy i skory do wybuchów gniewu, miał trudności w koncentracji, czuł się zagrożony, był nadmiernie czujny, przejawiał niewspółmierne do rzeczywistego zagrożenia reakcje lękowe, nawiedzany był przez koszmara senne o przeżytych zdarzeniach z pola walki. Trwale unikał wszystkich bodźców związanych z urazem (czynności, miejsc i ludzi). Taki żołnierz miał poczucie wyobcowania lub wyłączenia. Odczuwał odrętwienie i przytępienie uczuciowe, był niezdolny do przeżywania przyjemności, nie reagował na otoczenie. Znerwicowani żołnierze robili uniki przed urojonymi kulami, czuli się przewlekłe zmęczeni, doznawali duszności, niekiedy nie byli w stanie utrzymać się na własnych nogach ani kontrolować czynności fizjologicznych. Jeśli w wyniku zbiegu różnych okoliczności udało się im wyjść cało z jakiejś nawały ogniowej – uważali się za proroków lub otoczonych boską opieką.

Było to zaburzenie, które mogło trwać od kilku tygodni do kilku miesięcy lub nawet przejść w trwałą zmianę osobowości⁷. Remarque pisał, że „Na froncie nigdy

nie ma ciszy, a krąg zaklęty frontu sięga tak daleko, iż nigdy nie jesteśmy poza nim. Nawet w najbardziej oddalonych ku tyłom rezerwach i obozach wypoczynkowych stale w uszach naszych trwa huczące brzęczenie i przytłumione stukotanie ognia. Nigdy nie jesteśmy tak daleko, abyśmy go nie słyszeli⁷⁸. Nic więc dziwnego, że stresor związany z walką był tak silny, że niektórzy żołnierze ulegali nerwicy okopowej, jeszcze zanim znaleźli się na linii frontu⁹.

Przyczyną nerwicy okopowej mogło być bezpośrednie uczestnictwo w traumatycznych wydarzeniach lub bycie świadkiem wydarzeń związanych z niebezpieczeństwem śmierci, poważnym zranieniem (walka wręcz, używanie broni palnej, śmierć kolegów, zbrodnie dokonywane na ludności cywilnej, zagrożenie użyciem broni chemicznej, długie przebywanie w okopach i pod ostrzałem).

Większość ofiar szoku wojennego początkowo traktowano surowo, jako osoby słabe i symulantów. Zamiast opieki nad takimi żołnierzami, wielu z nich zamykano w izolatkach, czym powodowano u nich jeszcze większe urazy. Później terapia polegała na zapewnieniu odpoczynku psychicznego, okazywaniu zrozumienia, masażach i odpowiedniej diecie. Z reguły po dwóch tygodniach żołnierzy ponownie kierowano na front. Niestety nie ma danych na temat dalszego losu tych rekonwalescentów.

Opanowany przez nerwicę okopową żołnierz nie był ani bohaterem, ani tchórzem, ani szpiegiem, ani dezerterskim, ani zdolnym do zabijania, ani pacyfistą, ani człowiekiem, ani krwiożerczym potworem, ani żywym ani martwym – przekraczał granicę ludzkich możliwości. Nie był żołnierzem chociaż nosił mundur – wojna wyprodukowała „nagie życie” w żołnierskim mundurze, nieprzydatne już do zabezpieczenia reprodukcji kapita-listycznych stosunków produkcji.

Po zaliczeniu nerwicy okopowej do jednostki chorobowej, formą sprzeciwu żołnierzy wobec wojny były symulacje choroby psychicznej. Personel medyczny miał więc sprzeczne zadania, z jednej strony musiał leczyć rzeczywiście chorych, aby przywrócić im zdolność rozumienia rzeczywistości, chociaż niekoniecznie przeciwstawić się wojnie prowadzonej w imię liberalnej ideologii, a z drugiej musiał demaskować symulantów, którzy wybrali taką indywidualną formę przeciwstawiania się jej celom. Część personelu medycznego, dla którego życie jednostki było ważniejsze niż obrona systemu, pomagała jednak symulantom, dla których pobyt w szpitalu był lepszy od pobytu w okopach – instruowała o objawach choroby, ostrzegała o nadchodzącym lekarzu, dostarczała jedzenie dla stosujących głodówkę. Jeśli pacjent po „wyzdrowieniu” odmawiał z jakiegokolwiek ideowego czy moralnego powodu powrotu na front, uznawany był za dezertera i poddawany represjom¹⁰.

Dezerterszy

Od początku historii mniej lub bardziej masowe dezercje były drugą główną formą reakcji na stres związany z wojną. Dezertersów od niepamiętnych czasów traktowano jak zdrajców i do XIX wieku karano z reguły śmiercią, bez specjalnego wnikanania w przyczyny dezercji, zwłaszcza jeśli dezercja miała miejsce z pola

walki lub oblężonej twierdzy. W czasie pierwszej wojny światowej Włosi rozstrzelali ponad tysiąc własnych żołnierzy, Francuzi około 600, Brytyjczycy 361, Niemcy 48. Ponadto Włosi na karę dożywotniego więzienia skazali ponad 15 tys. Żołnierzy, niektórzy siedzieli w więzieniach do 1945 roku. Do plutonów egzekucyjnych wyznaczano niekiedy, dla wywołania większego efektu, towarzyszy broni skazańca¹¹.

Nowego wymiaru nabrała walka z dezercją podczas II wojny światowej. Trybunały polowe Wehrmachtu na froncie wschodnim wydały około 15 tys. wyroków śmierci, a setki tysięcy innych skazały na więzienie lub karne bataliony¹². Dopiero w 2002 roku Bundestag anulował wyroki hitlerowskich sądów przeciwko dezertersom z Wehrmachtu i zrehabilitował tzw. zdrajców wojennych z czasów III Rzeszy. Sądy hitlerowskie posługiwały się wówczas paragrafem 57. wojskowego kodeksu karnego, który przewidywał karę śmierci za zdradę wojenną, za którą uznawano pomoc Żydom, kontakty z jeńcami, handel na czarnym rynku, samowolne przedłużenie urlopu, podważanie sensu wojny czy opowiadanie dowcipów o Hitlerze. W sumie z powodu dezercji, uchylania się od służby wojskowej i rzekomej zdrady wojennej wydano ok. 30 tys. wyroków śmierci, z czego dwie trzecie wykonano. Ale zesłanie do karnego batalionu czy do obozu koncentracyjnego często też oznaczało wyrok śmierci.

Dezerters był więc jak Agambenowski *homo sacer* – można było go bezkarnie zabić, a on, chociaż poległ, nie stawał się bohaterem. Ten, kto zabijał dezertersa-zdrajcę (czasem po bezskutecznej próbie sprzeciwu) albo odmawiał udziału w plutonie egzekucyjnym, też nie stawał się bohaterem.

Charles Glass podaje, że w czasie II wojny światowej zdezertowało około 50 tys. żołnierzy armii amerykańskiej i około 100 tys. żołnierzy brytyjskich. Blisko 80 proc. stanowili frontowi żołnierze piechoty¹³. Bardzo trudną do udowodnienia formą dezercji były również samookaleczenia w celu odesłania na tyły lub zwolnienia do cywila, lub dobrowolne oddanie się do niewoli swojemu wrogowi. W 1943 roku liczba tych, którzy samowolnie oddali się lub zdezertowali była tak duża, że „postawienie ich przed sądem było niemożliwe”¹⁴.

W działaniach władz w stosunku do dezertersów występowała pewna wewnętrzna sprzeczność wewnętrzna. Z jednej strony niekiedy odstępowano od karania dezertersów, gdyż stosunkowo duża ich liczba mogłaby uświadamiać społeczeństwo, że lansowane oficjalnie przekonanie o „odważnym i poświęcającym się żołnierzu” jest mitem, a po drugie, na froncie potrzebnymi byli żołnierze z doświadczeniem bojowym, dlatego często przywracano ich do służby w ich jednostkach bez żadnej kary, poddając zwyczajowemu „wyciskowi” ze strony sierżantów. Stąd też przed lądowaniem w Normandii z jednej strony oddziały inwazyjne musiano otoczyć kordonem wojska, aby uniemożliwić ewentualne dezercje, a z drugiej nawet skazanym dezertersom oferowano zatarcie kary pod warunkiem, że zechcą dobrowolnie powrócić do swoich jednostek wojskowych.

Spośród 38 tysięcy oficerów i żołnierzy amerykańskich, których pod zarzutem dezercji postawiono przed sądem, oficerowie stanowili blisko 10 proc.¹⁵ 49 osób skazano na karę śmierci, ale tylko Eddie Slovik

był pierwszym od czasu wojny secesyjnej i jedynym żołnierzem amerykańskim straconym w 1945 roku za dezercję. W odróżnieniu od większości dezertów nie uciekł on nawet z wojska czy z pola bitwy, jedynie oświadczył, że woli pójść do więzienia niż wziąć udział w walce. Zamiast spełnić jego życzenie, sąd wojskowy, aby zastraszyć innych, skazał go na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Dezertów stracono oczywiście więcej, ale nie za samą dezercję. Stracono ich za tworzenie gangów, które napadały na konwoje zaopatrzeniowe, dopuszczanie się kradzieży i morderstw. O skali zagrożenia tym procederem może świadczyć fakt, że do ochrony pociągów, kolumn ciężarówek i magazynów zaopatrzeniowych musiano wycofać z walki część oddziałów pierwszoliniowych¹⁶.

Niektórzy dezertowali w wyniku strachu przed śmiertelnym zagrożeniem, spowodowanym przez bombardowania, artyleryjski ostrzał, zasadzki i wejścia na miny, brak higieny i niedożywienie, przebyte choroby. Wysoki wskaźnik dezercji utrzymywał się w oddziałach źle dowodzonych, przy brakach w zaopatrzeniu. Jeżeli odsetek dezertów w stosunku do ogółu żołnierzy rzadko przekraczał 1 proc., to wśród żołnierzy faktycznie biorących udział w bitwie odsetek ten wzrastał do 10 proc.¹⁷. Na europejskim teatrze działań wojennych na Zachodzie w czasie II wojny światowej doliczono się 102 989 strat z powodów „neuropsychicznych”, z których większość stanowiło „wyczerpanie bojowe”¹⁸.

Przyczyny dezercji były więc w wielu wypadkach te same co nerwicy okopowej – wyczerpanie walką. Aby zmniejszyć odsetek dezercji, w 1944 roku do każdego brytyjskiego korpusu przydzielono wojskowego psychiatrę, a w każdym szpitalu polowym utworzono „ośrodek wyczerpania bojowego, przyznając w ten sposób, że rany psychiczne są równie nieuniknione jak obrażenia fizyczne. Zadaniem tych ośrodków, tak jak w wypadku leczenia ran od kul czy odłamków, było przywrócenie żołnierzom do pełnej sprawności, aby jak najszybciej mogli wrócić do swych jednostek”¹⁹. Np. przy amerykańskiej 36 Dywizji Piechoty, która miała najwyższy odsetek dezercji, tworzone nawet specjalne ośrodki wypoczynkowe, w których pozwalano żołnierzom przespać całą dobę, wykąpać się, ubrać czysty mundur, zjeść ciepły posiłek, odwiedzić lekarza, rozrywając się, by po trzech dniach skierować ich ponownie na front²⁰.

Dla niektórych żołnierzy amerykańskich sama podróż za ocean była już tak wielkim stresorem, że dezertowali przed wejściem na pokład statku transportowego – a zjawisko to nazwano „gorączką traju okrętowego”.

Fatum ciążyącym nad żołnierzem-bohaterem i żołnierzem-dezertorem jest śmierć, chociaż każdy z nich podejmuje swoje działania w imię przeżycia. Państwa propagują czynów bohaterów, gdyż bohaterowie, męczennicy pozwalają na stygmatyzację całych grup społecznych i służą do zarażania fanatyzmem i szowinizmem – ale to zawsze rodzi pytanie o antybohaterów. Inicjując daną wojnę w imię obrony panujących stosunków społecznych, udział i bohaterstwo w niej czynią zawsze sprawą publiczną – nie żałują odznaczeń i przywilejów państwowych. Tymczasem każdy żołnierz zawsze stoi przed wyborem sposobu rozwiąza-

nia sprzeczności pomiędzy uniwersalizmem wojennym i obroną swej tożsamości, bycia bohaterem czy dezertorem. Pojawia się u niego pytanie: dlaczego państwo, które deklaruje obronę interesów wspólnoty i wolność jednostki, żąda od niego umierania i unicestwienia dla dobra Ojczyzny?

Dezercja może być wynikiem strachu, ale również nieakceptacji celów wojny i zabijania, chęci obrony swoich wartości moralnych, miłości, marzeń, specyficznych celów życiowych, „tęsknoty za domem i chwilowym zmęceniem umysłu”²¹. Dlatego żaden kraj nie będzie demokratyczny, jeśli będzie dehumanizował dezertów i hurtowo ich stygmatyzował. W systemie liberalnym pojawia się w tej sytuacji sprzeczność pomiędzy rzekomo bezwzględną afirmacją wolności a bezwzględnym przekreśleniem wolności wyboru w warunkach wojny, gdy decyzja o jej rozpoczęciu nie zapada demokratycznie, nie jest wojną obronną, o fizyczne przetrwanie narodu itp. Trzeba wówczas zaakceptować możliwość sprzeczności interesów i celów państwa i obywatela oraz uhonorować prawo mniejszości do sprzeciwu wobec panujących stosunków społecznych. Z pewnością zasługują na pomnik dezertery z armii hitlerowskiej, dezertery z armii amerykańskiej w Wietnamie, dezertery armii izraelskiej, odmawiający walki z Palestyńczykami lub łamania im rąk kamieniami, i z wielu innych armii prowadzących wojny zaborcze i kolonialne oraz zaprowadzających „porządek”.

Jeden z pierwszych takich pomników stanął we wrześniu 2009 roku na wiedeńskim *Placu Bohaterów* (Heldenplatz) koło Pałacu Cesarskiego, na którym 15 marca 1938 roku Adolf Hitler publicznie ogłosił przyłączenie Austrii do Niemiec. Jednak po protestach skrajnie prawicowej Austriackiej Partii Wolności (FPÖ) Hansa Christiana Strachego pomnik dezertera został niemal natychmiast zdemontowany, gdyż stał się symbolem uznania prawa człowieka służącego w represyjnych organach państwa do nieakceptacji panujących kapitalistycznych stosunków społecznych.

Ale przy placu tym znajduje się również inny pomnik – Pomnik Nieznanego Żołnierza, gdzie oficjalne wizyty międzynarodowe składają wieńce i kwiaty. Na kryptcie znajduje się napis „Oddali życie wypełniając swoją powinność”. W ramach kryptki są dwie salki, nie zawsze dostępne, z obeliskiem poświęconym „ofiaram w walce o austriacką wolność”, a w kryptcie leży dziewięć ksiąg z nazwiskami poległych żołnierzy Wehrmachtu, SS i Waffen-SS. Strony z nazwiskami są codziennie przewracane, by każde mogło być widoczne i przeczytane. Ministerstwo Obrony w swojej broszurze wydanej w 2011 roku pisało, że kryptka przy Heldenplatz, że to austriacki pomnik bohatera. Czy oznaczało to, że oficjalna broszura dowodziła, że członkowie niemieckiego Wehrmachtu i Waffen-SS zginęli za Austrię i np. w obozach koncentracyjnych „wykonując swoją powinność”? Ponieważ do kryptki pielgrzymują również neonaziści, by oddać cześć „bohaterom wojennym”, „zieloni” i socjaldemokraci domagają się usunięcia ksiąg z tego miejsca. Kryptka uważana jest w istocie za oficjalny „pomnikiem ku czci Wehrmachtu” i innych przestępców wojennych.

Austriacka lewica od lat przekonuje, że dezertery z Wehrmachtu przyspieszyli upadek nazizmu. W 2011

roku rada miejska Wiednia, dzięki koalicji socjaldemokratów i „zielonych”, podjęła uchwałę o budowie w ciągu dwóch lat nowego pomnika dezertersów z Wehrmachtu. Pomnik taki dla uczczenia 1500 osób, które zostały zamordowane za odmowę służby w Wehrmachcie, został z udziałem prezydenta kraju odsłonięty w Wiedniu 24 października 2014 roku. W całych Niemczech podobnych pomników jest około 30. Problem dezertersów nie ogranicza się jednak tylko do Wehrmachtu, ale dotyczy wszystkich państw, którym przyszło prowadzić wojny, zwłaszcza wojny zaborcze, pacyfikacyjne i imperialistyczne.

Skrajnym przypadkiem podczas II wojny światowej był słynny rozkaz Józefa Stalina (prerażonego skalą klęski na początku wojny) nr 270 z 16 sierpnia 1941 roku, uznający za dezertersów żołnierzy radzieckich, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Uznawał on za dezertersów tych, którzy utracili możliwość dalszej walki i odbierał im szansę na przeżycie. Nakazywał on im walkę dopóki mieli czym, a gdy już nie mieli czym – zginąć w walce wręcz. Cofanie się stało się zdradą²². Pod tym względem Stalin przebił nawet starożytnych Spartan postulujących *wrócić z tarczą, albo na tarczy*, dla których była to zasada moralna nakazując zwyciężyć lub zginąć, a nie (jak dla Stalina) stanowione prawo, będące także podstawą do prześladowania rodzin jeńców-dezertersów. Stalin tak bardzo obawiał się dezercji żołnierzy, że w wielu bitwach na najniebezpieczniejszych odcinkach, do rozpoznania walk używano karnych batalionów, a za siłami głównymi posyłano oddziały zaporowe tworzone przy poszczególnych jednostkach lub oddziały NKWD, które miały za zadanie przeciwdziałać bezwzględnie wszelkim próbom paniki lub dezercji. Podobną taktykę stosowali również hitlerowcy, którzy wieszali i rozstrzelali dezertersów nawet na ulicach Berlina, kiedy klęska III Rzeszy była już przesądzona.

Tadeusz Różewicz uważał, że dezercja nie jest wyrazem tchórzostwa, lecz odważną odmową zabijania i obrony *status quo*. Paradoksalnie, to indywidualna odwaga – jego zdaniem – leży u podstaw dezercji. Różewicz postawił zatem znak równości pomiędzy bohaterem i nieznanym dezertersiem. W związku z tym w pacyfistycznym poemacie pt. *Dezerterszy*²³ pisał m.in.:

„ja człowiek dobrej woli
i małej wiary
czekam na pomnik
nieznanego żołnierza dezertersa
ze wszystkich armii
ze wszystkich wojen
[...]
Odwaga dezertersa
jest ciężka do zniesienia
dla bliźnich
kto uciekł z pola chwały
kto uciekł ze szlachtuza
nie znajdzie przebaczenia
u współczesnych
i potomnych
kto uchylił się od zabijania
sam siebie zabił
i pogrzebał żywcem
w niepamięci
uwieńczony liściem dębowym

na gałęzi drzewa
albo na latarni
powieszony w kwiecie wieku
dezerters
déserteur
Fahnenflüchtiger
Landesverräter
ucieka do końca świata
[...]
poeta modli się za duszę
nieznanego dezertersa
[...]
Módlmy się za dezertersów
wojen obronnych i napastniczych
wojen sprawiedliwych i niesprawiedliwych
módlmy się za tych co porzucili
znaki mundury
broń i sztandary
[...]
apoteoza wodzów
generałów rzeźników
ludobójców trwa

oni ustanawiają wojnę
i pokój
prawo do życia
prawo do śmierci
a matki rodzą dalej
rodzą bohaterów
rodzą dezertersów
rodzą ludzi
[...]

Jean-Paul Sartre, przedstawiając pewną skrajną koncepcję odpowiedzialności za żydobójstwo i domagający się konsekwentnego rozliczenia hitlerowców, którzy nie zdecydowali się na dezercję lub samobójstwo, pisał, że „człowiek, skazany na to by być wolny, dźwiga na swych ramionach ciężar całego świata: jest odpowiedzialny za świat i za siebie samego (pojętego) jako sposób bycia”²⁴. Wolność manifestuje się poprzez odpowiedzialność. Człowiek ma zawsze jakiś wybór – jeśli nie popełnia samobójstwa lub nie dezertersuje w momencie wybuchu wojny, czyni wojnę „swoją”, przyjmuje na siebie odpowiedzialność za jej skutki. W sytuacji granicznej człowiek musi wybierać między rozstrzelaniem, decyzją sądu wojskowego za odmowę wykonania rozkazu, a powieszeniem na mocy wyroku sądu cywilnego za zbrodnie wojenne już po zakończeniu wojny. Podobny wybór mają również różnego rodzaju politycy, biznesmeni i menagerowie biorący udział w „radykalnych reformach” społecznych, kładących się ciężkim brzemieniem na barkach mas pracujących i korzystnych dla oligarchii. Najpierw ignorują wszelkie ostrzeżenia, a po załamaniu się ich „reform” mówią, że skutki ich były nieprzeżywalne.

Dialektyka dezertersa i bohatera

Dialektyka dezertersa i bohatera polega niekiedy na paradoksie – ktoś mógł zostać bohaterem wojennym dlatego, że był konformistą w stosunku do swej wspólnoty (wzorem poświęcenia i bohaterstwa bywali żoł-

nierze Wehrmachtu i SS, zwłaszcza ci, którzy walczyli do końca bez nadziei na zwycięstwo, chociaż walczyli w złej sprawie). Z kolei oprócz dezertarów-tchórzy zdarzali się też dezertery, których postawa wymagała odwagi i była bohaterstwem. Paradosem temu towarzyszy kolejny paradoks – bohater musi przełamać własny strach i troskę o własne życie, za co jest nagradzany uznaniem; dezerterski narażony jest na potępienie, a co najmniej na zakłopotanie – więc to on ponosi większe koszty moralne.

Przewycięzenie sprzeczności pomiędzy bohaterem a dezerterskim nie ogranicza się tylko do doraźnego uznania dezerterskiego za bohatera, kiedy wielu dezerterskich z jednej armii zasilalo armie strony przeciwnej i okazywało indywidualne bohaterstwo w służbie innej ideologii i obronie innych stosunków społecznych. Np. dezerterscy i jeńcy z armii austriackiej zasilili Legiony Polskie walczące pod wodzą Napoleona, a dezerterscy i jeńcy z Wehrmachtu w znaczący sposób zasilili II Korpus Polski, walczący podczas II wojny światowej na Zachodzie.

Rozwój historii dokonuje się poprzez sprzeczności, dlatego początkowo trudno przesądzić o jego wyniku. Historia zachowuje bowiem swój diaboliczny charakter i prowokuje ludzi pozorami, w rezultacie przekształca żołnierza w bohatera lub dezerterskiego, patriotyzm w zdradę, a zdradę we władzę. Dopóki wynik historii nie jest przesądzony, dialektyka taka jest możliwa, a wina i odpowiedzialność historyczna czy obiektywna jest tylko odpowiedzialnością w oczach innych, sami oskarżeni o dezercję nie poczuwają się do winy.

W warunkach, gdy historia jest „otwarta” i szala zwycięstwa nie przechylała się wyraźnie na którąś stronę, problem dezercji i kolaboracji z wrogiem nie jest jednoznaczny. Zarzuty o dezercję i kolaborację są wówczas typowym sądem wartościującym, gdyż dezercja i kolaboracja są długo tylko jedną z możliwych w historii linii rozwojowych. Dezercja i kolaboracja, które w sytuacji „ważenia się” historii są tylko jedną z uprawnionych możliwości, karane są wyłącznie w sytuacji panowania tych sił politycznych, które wezwały do wojny. Natomiast w przypadku odwrócenia się sytuacji, po zwycięstwie sił będących wcześniej w opozycji lub konspiracji, przekształcają się (choć często z pewnymi oporami) w bohaterstwo. Trzeba pamiętać o tym, że historia potrafi być zwodnicza: „Historia ma swego rodzaju urok: pobudza ludzi do działania, kusi ich; oni sądzą, że podążają w tym kierunku, w którym ona zmierza i nagle wymyka się ona, wynik się zmienia, dowodząc siłą faktów, iż było możliwe co innego. Ludzie, których porzuciła i którzy sądzili, że są tylko jej współnikami, okazują się nagle inicjatorami zbrodni, do której ona ich zainspirowała. I »nie mogą szukać usprawiedliwień ani zrzucić z siebie części odpowiedzialności«. Bo w tym samym momencie, gdy podążali za pozorną tendencją historii, inni decydowali się iść pod prąd, angażowali swoje życie w inną przyszłość. Nie było to zatem ponad ludzkie siły”²⁵. Trudno w niepewnych czasach dezerterskich uznać za głupców, głupcami okazują się wówczas, gdy zostają złapani i postawieni przed sądem doraźnym. Jeśli przegrywa sprawa, o którą nie chcieli walczyć, mają szansę stać się bohaterami.

W tym przypadku taka ideologiczna i moralna ocena dezerterskiego może być uzależniona od kryteriów koniunkturalnych, np. od wyniku wojny. Ale z drugiej strony niektóre kryteria moralne mogą być sprzeczne z ocenami ideologicznymi – np. SS Galizien, esesmani z Łotwy czy Estonii, litewscy szaulisi itp. są uznawani za bohaterów walki przeciw stalinowskiemu ZSRR (jako najeźdźcy), ale sami nie przestają być zbrodniarzami wojennymi, a poza tym hańbi ich już sam w sobie sojusz ze zbrodniczą III Rzeszą. Wbrew pozorom nie był to marginalny problem. „W latach 1941-1945 przez szeregi jednostek zbrojnych Wehrmachtu, Waffen SS i policji przeszło ponad 1,2 mln obywateli ZSRR (co stanowiło ok. 8 proc. ogółu żołnierzy walczących w czasie II wojny światowej w niemieckich mundurach). Z tego w armii niemieckiej służyło ich ok. 800 tys., w policji ok. 300 tys. i w Waffen SS ok. 150 tys.”²⁶. W formacjach niemieckich służyło Rosjan ok. 310 tys., Ukraińców ok. 220 tys., narodów Kaukazu (Gruzinów, Ormian, Azerów, Górali kaukaskich) ok. 110 tys., Łotyszy ok. 110 tys., Estończyków ok. 61 tys., Kozaków ok. 51 tys., Białorusinów ok. 50 tys., Litwinów ok. 50 tys., Tatarów nadwołżańskich ok. 40 tys., Tatarów krymskich ok. 20 tys., Kałmuków ok. 5 tys.”²⁷.

Obozy jenieckie źródłem doświadczeń dla obozów zagłady

Do obozów jenieckich trafiali nie tylko żołnierze wzięci do niewoli podczas walki, ale także zbiegli dezerterscy. Paradosem ich polegał na tym, że chociaż zbiegli oni z armii, dla której nie chcieli walczyć, to jednak jeśli nie przeszli otwarcie i w pełni na stronę przeciwną, nie byli przez nią lepiej traktowani.

Enzo Traverso pisał, że już w czasie pierwszej wojny światowej, w wyniku nabrania przez nią charakteru „wojny totalnej” nastąpiło zatarcie różnicy pomiędzy polem bitwy i społeczeństwem cywilów, między wojakiem i cywilami, co otwierało drogę do zatarcia różnicy pomiędzy wojną i ludobójstwem. Obywateli wrogich państw zaczęto umieszczać w obozach internowania (koncentracyjnych) i traktować jak jeńców wojennych. Obozom internowania i jenieckim starano się nadać funkcjonalność dyscyplinarną i produkcyjną. W odróżnieniu od żołnierzy, cywile nie byli chronieni przez żadne prawo międzynarodowe. Jeńców i internowanych zaczęto przekształcać w przymusowych robotników, aby włączyć ich do systemu reprodukcji sił wytwórczych i panujących stosunków społecznych. Osoby te wykorzystywano do różnego rodzaju prac – do wyrębu lasów, budowy dróg i kolei lub wypożyczano armii, albo prywatnym przedsiębiorstwom, którzy zyskiwali w ten sposób tanią niewolniczą siłą roboczą. Obozy jako „synteza armii i więzienia” stanowiły miejsce „dyscyplinarnej tresury i pracy”, „okazały się nieodzownym przejściowym ogniwem łączącym panoptyczny model dyscyplinarnego więzienia z koncentracyjnym wymiarem reżymów totalitarnych”²⁸. W obozie jenieckim w Lublanie w 1917 roku niektórzy osiągnęli stan bliski temu, w jakim był muzułman obozowy w Oświęcimiu. Enzo Traverso przytacza wypowiedź pewnej sanitariuszki Czerwonego Krzyża skierowanej do tego obozu: „Było ich trzystu, wszyscy obdarci, brudni i zgłodzeni. Można by powiedzieć, że to chodzące szkielety napędzane

siłą inercji, pozbawione świadomości, znieczulone na jakiegokolwiek przejawy cywilnego życia czy wspomnienia²⁹.

Już jenieckie obozy żołnierzy radzieckich organizowane przez Niemców podczas drugiej wojny światowej funkcjonowały podobnie do obozów zagłady. „Podczas I wojny światowej Niemcy wzięli do niewoli około 1 434 500 Rosjan; z tej liczby 5,4 procent zmarło w obozach jenieckich. W latach 1941-1945 Niemcy i ich sojusznicy pojmali łącznie około 5,7 miliona żołnierzy Armii Czerwonej, a w styczniu 1945 roku uwolniono z niemieckich obozów 930 tysięcy. Milion zwolniono podczas wojny – większość zwolnionych wstąpiła, pod przymusem bądź nie, do Wehrmachtu bądź niemieckich formacji pomocniczych. Kolejne pół miliona zdołało zbiec albo zostało oswobodzone przez Armię Czerwoną. Reszta, czyli około 3 300 000 jeńców (57,5 proc.) straciła życie w niewoli. Statystyki dotyczące niemieckich jeńców w rękach Sowietów są niemal równie zatrważające. Z 3 155 000 schwytanych żołnierzy zmarło lub zginęło 1 185 000 (to jest 37,5 proc.). Dla kontrastu, z 232 tysięcy żołnierzy brytyjskich i amerykańskich, którzy wpadli w niemieckie ręce, do 1945 roku zmarło 8 348 (3,5 procent łącznej liczby jeńców)³⁰.

Zupełnie nowe zjawisko pojawiło się w czasie konfliktu o wschodnią Ukrainę w 2014 roku. Separatyści, wspierani przez Rosję, starali się wygrać propagandowo sprzeczność pomiędzy człowiekiem i żołnierzem. Pod pozorem, że Ukraińcy mordowali wcześniej zwalnianych przez separatystów jeńców, dzwoniło do rodziców żołnierzy wziętych do niewoli, i im ich oddawało.

EDWARD KAROLCZUK

Przypisy:

- 1 Józef Wittlin, *Sól ziemi*, Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków 1991, s. 60.
- 2 Tamże, s. 81.
- 3 Tamże, s. 69.
- 4 Erich Maria Remarque, *Na Zachodzie bez zmian*, Kolekcja „Gazety Wyborczej”, Poznań 2004, s. 65.
- 5 Tamże, s. 67.
- 6 Już w czasie wojny secesyjnej w USA (1861-1865) zaobserwowano objawy, które nazwano zespołem *Da Costy*, a niekiedy zespołem *drażliwego serca*. W czasie pierwszej wojny światowej, z uwagi na różne nasilenie poszczególnych objawów stresu pourazowego i różny sposób tłumaczenia jego przyczyn, nazywano je zespołem wysiłkowym, żołnierskim sercem, szokiem spowodowanym wybuchem, nerwicą okopową. W czasie II wojny światowej i wojny koreańskiej powstało określenie wyczerpanie walką. Po wojnie wietnamskiej zaczęto używać określenia zaburzenie stresu pourazowego.
- 7 W Sanach Zjednoczonych, 10 lat po zakończeniu I wojny światowej, blisko połowę z łóżek szpitalnych dla weteranów wojennych zajmowały ofiary problemów nerwowo-psychicznych. Charles Glass, *Dezerterzy. Ostatnia nieopowiedziana historia II wojny światowej*, przeł. Tomasz Fiedorek, DW Rebis, Poznań 2014, s. 92.
- 8 Erich Maria Remarque, *Na Zachodzie bez zmian*, jw., s. 69.
- 9 Antony Beevor podaje, że podczas lądowania w Normandii w 1944 roku dotknięci chorobą żołnierze „trzęśli się jak galareta”, „z płaczem biegali w kółko”, „zwijali się w kłębek”, zniecierliwało „zginiemy, zginiemy”, nagle zaczęli „pochlipywać”, sami zadawali sobie rany, wychodzili na otwartą przestrzeń i zaczęli zbierać kwiatki wśród eksplodujących pocisków. Antony Beevor, *D-Day. Bitwa o Normandię*, Znak, Kraków 2012, s. 332. Niektórzy załamywali się po 48 godzinach od przybycia na front. Tamże, s. 295.
- 10 Peter Englund, *Piękno i smutek wojny. Dwadzieścia niezwykłych losów z czasu światowej pożogi*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2011, s. 333.
- 11 Tamże, s. 413. Niechęć społeczeństwa do plutonów egzekucyjnych i lepsze zrozumienie przyczyn dezercji sprawiły, że rząd laburzystów w 1930 roku zniósł karę śmierci dla dezertów. Karze śmierci nie podlegali również dezertrzy z armii krajów Wspólnoty Brytyjskiej.
- 12 Michael Burleigh, *Trzecia Rzesza. Nowa historia*, Znak, Kraków 2010, s. 553.
- 13 Charles Glass, *Dezerterzy. Ostatnia nieopowiedziana historia ...*, jw., Poznań 2014, s. 11.
- 14 Tamże, s. 99.
- 15 Tamże, s. 13.
- 16 Tamże, s. 278.
- 17 Tamże, s. 13. W pierwszym tygodniu po inwazji w Normandii odsetek żołnierzy załamanych psychicznie wynosił 3 procent, po dwóch tygodniach wzrastał do 13, a „po miesiącu niemal jedną czwartą rannych stanowiły już ofiary traumy bitewnej”. Tamże, s. 151.
- 18 Tamże, s. 288.
- 19 Tamże, s. 147.
- 20 Tamże, s. 290-291.
- 21 Erich Maria Remarque, *Na Zachodzie bez zmian*, jw., s. 149.
- 22 Dezercje z Armii Czerwonej były szczególnie liczne w 1941 i 1942 roku. „Tylko w ciągu trzech pierwszych miesięcy wojny oddziały specjalne (*Osoboje Otdiely* – OO) NKWD zatrzymały na tyłach frontu 657 364 wojskowych przebywających poza swymi jednostkami, a także dezertów z frontu. Zgodnie z procedurami stosowanymi przez sowieckie służby specjalne aresztowanych podzielono na różne kategorie. I tak wśród najbardziej »obciążonych« byli »szpiedzy« (1505 osób), »dywersanci« (308), »oskarżeni o tchórzostwo i szerzenie paniki« (2643), »dezerterzy« (8772), »oskarżeni o szeptaną propagandę« (3987), »oskarżeni o samookaleczenie« (1671) i wiele innych kategorii – w sumie 25 878 osób. Spośród nich rozstrzelano niemal połowę, bo 10 321, z tego 3321 publicznie”. Jarosław W. Gdański, *Zapomniani żołnierze Hitlera*, wyd. De Facto, Warszawa 2005, s. 52.
- 23 Tadeusz Różewicz, *Słowo po słowie. Nowy wybór wierszy*, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1994, s. 219-222.
- 24 Jean-Paul Sartre, *Wolność a odpowiedzialność*, [w:] *Filozofia odpowiedzialności XX wieku*, redakcja Jacek Filek, Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Karków 2004, s. 133.
- 25 Marice Merleau-Ponty, *Humanizm i terror*, Warszawa 2005, s. 28, <http://www.filozofia.uw.edu.pl/skfm/publikacje/ponty01.pdf> 1.03.2015.
- 26 Jarosław W. Gdański, *Zapomniani żołnierze Hitlera*, jw., s. 7.
- 27 Tamże, s. 68-69.
- 28 Enzo Traverso, *Europejskie korzenie przemocy nazistowskiej*, IW Książka i Prasa, Warszawa 2011, s. 136.
- 29 Cyt. za: Enzo Traverso, *Europejskie korzenie przemocy nazistowskiej*, IW Książka i Prasa, Warszawa 2011, s. 120.
- 30 Michael Burleigh, *Trzecia Rzesza. Nowa historia*, Znak, Kraków 2010, s. 539.

JAN SZMYD

SPOŁECZEŃSTWO INFORMACYJNE

– NADZIEJA I PRZESTROGA

1. Społeczeństwo epoki ponowoczesnej w szybkim tempie ewoluuje w kierunku społeczeństwa informacyjnego i jego swoistego wykwitu w postaci społeczeństwa wiedzy. Jedno i drugie społeczeństwo znajduje się *in statu nascendi*, w toku dynamicznego i intensywnego stawania się. Stanowią one już dziś, zwłaszcza w krajach rozwiniętych, w tzw. „krajach czołówki”, realne i funkcjonalnie znaczące struktury, a zarazem są charakterystycznymi wyróżnikami tych krajów. Takie terminy: „społeczeństwo informacyjne” i „społeczeństwo wiedzy” nie są już dziś tylko, jak to jeszcze do niedawna bywało, konstruktorami myśli futurologicznej, takimi czy innymi „projektami – wymysłami” tej myśli, ale oznacza realną i coraz wyraziście kształtującą się właściwość owych społeczeństw; właściwość tak już ważną i istotną, że zaczyna ona stanowić o nowym typie czy o nowym rodzaju społeczeństwa. Społeczeństwo to jest nieuchronną i nieodwracalną konsekwencją gwałtownego, wręcz rewolucyjnego rozwoju technologii informatycznych i informatyki jako nauki stosowanej i tzw. „determinizmu technicznego”, czyli – ogólnie mówiąc – koniecznego i przemożnego oddziaływania postępu techniczno-naukowego na rozwój społeczny i cywilizacyjny świata współczesnego.

Społeczeństwo informacyjne określa się jako społeczeństwo „...które w przeważającej mierze zajmuje się produkowaniem, przetwarzaniem, magazynowaniem i aplikacjami informacjami”¹. Szczegółowiej opisuje się je jako społeczeństwo „...świadome roli informacji w życiu codziennym *współtworzące profesjonalną i rzetelną informację*, dobrze i szybko poinformowane i informujące*, *umiejętnie przetwarzające informację w wiedzę*, *wykorzystujące informację dla pomnażania dobrobytu*, *wykorzystujące informację w sferze kultury i polityki, i w innych obszarach życia*, *posiadające środki techniczne wspomagające dostęp do informacji*”². Jednak zaznaczyć należy, że bliższy wgląd w główne trendy i mechanizmy rozwojowe oraz w przejawy praktyki funkcjonowania społeczeństwa informacyjnego i nieco sztucznie oddzielonego odeń społeczeństwa wiedzy, jednak dość niespodziewanie i niepokojąco zaskakuje baczego jego obserwatora i analityka. Ku jego zdumieniu spostrzega on przede wszystkim niedobry i zapewne przez wielu ludzi niepożądany i rozczarowujący trend rozwojowy owego społeczeństwa oraz szybkie narastanie licznych jego negatywnych funkcji. Chodzi zwłaszcza o stopniowe popadanie owego społeczeństwa w coraz głębsze i dotkliwe dla większości jego członków sprzeczności

i napięcia, paradoksy i antynomie; w sytuacji i ułomności prawdopodobnie nieuchronne, ale nie najlepiej zapowiadające jego przyszłość. Taki ogląd interesującego nas tu społeczeństwa wzbudza z natury rzeczy krytyczne doń odniesienia i nasuwa pod jego adresem trudne pytania.

2. Zatem przejdźmy do ukazania głównych sprzeczności i napięć (ujawniających się już, bądź potencjalnych) społeczeństwa informacyjnego, oraz do wstępnej ich charakterystyki i oceny. Otóż najbardziej charakterystyczną i bodaj największą spośród nich jest sprzeczność zachodząca pomiędzy zbiorowym i indywidualnym nastawieniem na powszechny dostęp do informacji stałym jego różnicowaniem i ograniczaniem. Stale poszerzająca się baza treści informacyjnych (głównie poprzez doskonalenie i upowszechnianie technicznych środków komunikacji) droga dostępu do niej, a równocześnie wyraźna selekcja kroczących nią jej odbiorców. Ci uzyskują na tej drodze większą szansę, którzy w zastanym systemie ekonomiczno-społecznym (liberalno-rynkowym) posiadają lepsze wykształcenie, w tym wykształcenie w dziedzinie informatyki, zdobywają lepszą pozycję społeczną i zawodową, osiągają wyższy rozwój osobowościowy i intelektualny, odpowiedni poziom kultury informacyjnej i tzw. świadomości sieciowej.

Narastające zróżnicowanie w zakresie uczestnictwa informacyjnego, tzn. faktycznego dostępu do autentycznych i istotnych informacji oraz racjonalnego i efektywnego ich wykorzystania, ujawnia się nie tylko wewnątrz społeczeństw o zaawansowanym rozwoju informacyjnym, szybko podążających ku wyższemu szczeblom „społeczeństwa informacyjnego”, a w konsekwencji – „społeczeństwom wiedzy”, ale też zaznacza się pośród poszczególnych narodów. Wiele narodowości, zwłaszcza tzw. Południa (znaczna część Afryki i Ameryki Południowej) wyraźnie cywilizacyjnie odstaje w tym w zakresie standardu informacyjnego, od narodów „czołówki” Północy (Stany Zjednoczone, Kanada, kraje Unii Europejskiej) oraz azjatyckiego „centrum” ekonomiczno-społecznego (Japonia, Chiny, Indie, Singapur). Między tymi dwoma ugrupowaniami państw i narodów stale powiększa się tzw. luka cywilizacyjna, a w jej zakresie – luka informacyjna, ze wszystkimi niedobrymi, aktualnymi i przyszłymi konsekwencjami tego niefortunnego stanu rzeczy.

Przed niebezpieczeństwem wejścia w ową lukę stają też te kraje i społeczeństwa, które, jak nasz kraj, zbyttno zapatrzone są w przeszłość i nadmiernie rozpamiętują swoją lub ościenną historię, niedostatecz-

nie inwestują w naukę, w tym i informatykę, w konsekwencji nie przywiązują należytej uwagi i troski do wprowadzenia jej najnowszych osiągnięć do możliwie wszystkich dziedzin własnego życia i funkcjonowania; wprowadzenia wszędzie tam, gdzie się tylko da. Nie dostrzegające w pełnej ostrości cywilizacyjnego trendu informacyjnego i naukowego, i potrzebę śmiałego „wpisywania” się w jego nurt. Te kraje i społeczeństwa nie tylko nie pomniejszają ich informacyjną lukę, ale przez swoje zachowanie stale ją powiększają, zamykając tym samym sobie drogę do określonej trendami rozwojowymi cywilizacji współczesnej przyszłości³.

Kolejną zasadniczą sprzecznością społeczeństwa informacyjnego jest poszerzający się rozdźwięk pomiędzy stale narastającym przepływem informacji a malejącą możliwością – głównie w stosunku do powiększającej się jej „masy” – poznawczego jej ogarnięcia i wykorzystania; poradzenia sobie z nieustannie narastającym ich natłokiem, przekształcającym się w wielu przypadkach w tzw. „szumy informacyjne”, tzn. chaotyczne zbiory informacji poznawczo nie „przerobionych”, nie dość zrozumiałych, albo celowo zniekształconych, „sfabrykowanych”, tendencyjnie „nagłośnionych” i zmanipulowanych, a przez to mylnych, nieprawdziwych.

Szczególnie duże skupienie „szumów informacyjnych” występuje w tzw. „medialnym obrazie rzeczywistości”, a największe wzmaganie się poznawcze z nimi człowieka; wzmaganie bardzo często bez sukcesu i w efektach swych i poniekąd dramatycznie dlań niekorzystne, występuje w poznawczej percepcji tego „obrazu”⁴.

Natłok informacji tych „prawdziwych” i tych „nieprawdziwych”, użytecznych i nieużytecznych, dociera do umysłów ludzkich o ograniczonej mocy „przerobowej”, umysłów o zawężonej zdolności ich selekcji i oceny z punktu widzenia prawdy i fałszu – umysłów o stosunkowo dużej tendencji do identyfikowania się z nimi i swoistego, personalnego „oswajania” się z ich „naturą” i charakterem – bez względu na to, jak się one przedstawiają faktycznie z punktu zgodności lub niezgodności z rzeczywistością⁵. W rezultacie umysły te narażone są – w większości przypadków – na relatywny i głęboko zsubiektywizowany, poznawczo zdeformowany i zniekształcony obraz rzeczywistości, obraz niepełnie adekwatny w stosunku do niej, a przez to nie dość wiarygodny i niewłaściwie orientujący w świecie.

W tych i podobnych sferach aktywności umysłowej człowieka zazwyczaj zachodzi swoisty paradoks polegający na tym, że im więcej informacji/wiedzy, tym mniej staje się ona pewna w swych racjach i skutkach owa aktywność.

Za jedną z ważniejszych sprzeczności społeczeństwa informacyjnego uznać też można rosnący w miarę dokonywanego w tym społeczeństwie postępu naukowo-technicznego sceptycyzm naukowy, ugruntowujące się w nim zwątpienie w wyłączność i niezawodność wiedzy naukowej, czy nawet swoista niewiara w naukę. Zbliżony do tej sprzeczności jest coraz bardziej widoczny rozdźwięk między szybkim narastaniem informacji różnorodnego rodzaju a poczuciem pomniejszającego się bezpieczeństwa osobistego i zbiorowego.

Spółeczeństwo informacyjne to też – jak się coraz częściej o tym pisze – „społeczeństwo ryzyka i zagrożenia”; społeczeństwo, w którym poszerza się sfera niepewności i niebezpieczeństwa w życiu indywidualnym

i zbiorowym człowieka, maleje natomiast sfera pewności i bezpieczeństwa. W związku z tym rośnie wśród ludzi poczucie niepewności i niebezpieczeństwa, zagrożenia i niepokoju, osobiście przeżywanego, a nierzadko już bezpośrednio doświadczanego niedostatku czy braku zarówno bezpieczeństwa wewnętrznego jak i zewnętrznego, tzn. poczucia pewności, spokoju, ufności i zaufania oraz życia wolnego od typowych zagrożeń zewnętrznych, np. od pobicia, kradzieży, rozboju, bezprawia, samowoli, poniżenia godności osobistej, wykluczenia społecznego i kulturowego, zranienia, zabójstwa. Swoistym paradoksem świata współczesnego, łącznie ze społeczeństwem informacyjnym i społeczeństwem wiedzy jest właśnie to, że przyczynia się on walcnie do powszechnego już poczucia niedostatku czy wręcz braku bezpieczeństwa wewnętrznego oraz do poważnych zagrożeń zewnętrznych przez to, co wydaje się jego największym osiągnięciem i marką jego jakości, tzn. imponująco rozwinięty system informatyczny i medialny oraz poprzez rozwój biogenetyki i nowych technologii z zakresu inżynierii genetycznej, medycyny i farmakologii. Mają wszak miejsce coraz liczniejsze przestępstwa komputerowe (działalność hackerów), pozostawianie bez skutecznej ochrony dóbr osobistych i podstawowych wartości w sieci internetu, brak należytego zabezpieczenia człowieka przed rozluźnianiem się i osłabianiem barier etycznych i technicznych przed niekontrolowaną interwencją technologiczną w kod genetyczny i cały genotyp człowieka, zmagazynowane w licznych arsenatach i prawdopodobnie niezupełnie zabezpieczone przed szaleńcami – których w społeczeństwie ludzkim nigdy nie brakuje – superniebezpieczeństwo termojądrowe, wykorzystywanie najnowszych osiągnięć naukowych dla celów militarnych, w tym dla konstrukcji najbardziej wyszukanych („inteligentnych”) środków zabijania itp. Są to pierwsze z brzegu wzięte przykłady ogromnego niebezpieczeństwa stwarzanego przez nauki współczesne i ich twórców. Obrazowo rzecz ujmując, jest to złe i ciemne oblicze społeczeństwa informacyjnego i społeczeństwa wiedzy, oblicze sprzeczne z jego założeniami i pożądanym wizerunkiem.

3. Zaś „społeczeństwo wiedzy” uznane za wyższą formę „społeczeństwa informacyjnego”, za jego jak gdyby wykwinną nadbudowę, jest ciągle jeszcze bardziej modelem społeczeństwa przewidywanego i mniej lub bardziej uściślonym projektem aniżeli faktem społecznym, w pełni skonkretyzowanym i dokonanym systemem. Jednak można, dając się stwierdzić, że społeczeństwo to dość szybko formułuje się w ramach społeczeństwa informacyjnego i prawdopodobnie będzie się ono – jeśli utrzymają się trendy rozwojowe współczesnej cywilizacji naukowo-technicznej – coraz pełniej kształtować. A stając się i rozwojowo dojrzewając podzielać prawdopodobnie będzie większość omówionych wyżej sprzeczności i paradoksów społeczeństwa macierzystego – informatycznego. Równocześnie popadać będzie w dodatkowe sprzeczności i paradoksy, głównie te, które tkwią w samej wiedzy i w samej nauce jako takiej, czyli w sprzeczności bardziej fundamentalnej i uniwersalnej aniżeli te, które trwale trawia życie społeczne, a więc stałe i nierozwiązywalne, stawiając pod znakiem zapytania przyszość tego społeczeństwa jako takiego, a w każdym razie zaciemniając perspektywę pełnego, nie „cherlawego” jego ukształtowania się.

Oto ważniejsze tego rodzaju sprzeczności i paradoksy (wiedzy, nauki, racjonalności):

W przyspieszeniu narastająca sfera wiedzy naukowej, głównie w zakresie nauk przyrodniczych, technicznych i informatycznych, znajduje swe zastosowanie przede wszystkim w obszarze technologii przemysłowych – produkcji towarów, ich dystrybucji; w rozwoju różnorodnych nowych technologii (w tym militarnych), w systemach komunikacji, informacji, w medycynie i socjotechnice, w organizacji i zarządzaniu, ogólnie mówiąc – w „mechanicznej”, przedmiotowej i funkcjonalnej infrastrukturze społeczeństw „ponowoczesności” i w „mechanice” życia jednostkowego „człowieka ponowoczesnego”. Natomiast gwałtownie pomnażany dorobek naukowy wypracowany głównie przez stosunkowo wąskie elity badawcze, wynalazcze oraz elitarne ośrodki naukowe i uniwersyteckie nie dociera i w z różnych względów docierać nie może, w oryginalnej, nie spreparowanej i nie wyselekcjonowanej postaci, do świadomości większości społeczeństwa i do przeciętnego człowieka, i nie jest tu on dostatecznie interiorizowany. W rezultacie nie wpływa on w zasadniczy sposób na przemiany mentalności, światopoglądu, postaw życiowych i stylów życia. Ta większość społeczna i ten przeciętny człowiek, będący głównym podmiotem „społeczeństwa wiedzy” jest więc postawiony na jego marginesie.

Ta niemożność osiągnięcia przez większość wiedzy naukowej na odpowiednio wysokim poziomie, przy świadomości rosnącego jej znaczenia, ma oczywiście różnorakie uwarunkowania i przyczyny zarówno indywidualne, osobowościowe, psychologiczne (nie wszyscy ludzie są przecież do takiej wiedzy predysponowani i nią zainteresowani, i nie wszyscy są jednakowo umotywowani do jej pozyskiwania), jak i przyczyny i uwarunkowania zewnętrzne, cywilizacyjne. Na czele tych ostatnich sytuuje się kryzys systemów edukacyjnych i oświatowych. Powoduje on m. in. to, że większość szkół kształci na miernym poziomie i ma coraz większe trudności w przekazie najbardziej znaczących i niezbędnych elementów lawinowo narastającej nowoczesnej wiedzy naukowej, co rzecz jasna jest sprzeczne z ideą „społeczeństwa wiedzy” i ujawnia jeden z największych jego paradoksów.

Wysoka wiedza teoretyczna i stosowana staje się coraz bardziej elitarna: najpełniej i najlepiej uzyskiwana jest ona w wysoko płatnym, a więc powszechnie niedostępnym szkolnictwie prywatnym, a „produkowana” jest – jak już wspomniano – przez stosunkowo wąskie gremia elit uczonych i badaczy z najlepszych, wiodących i najwydatniej finansowo i najlepiej materialnie uposażonych ośrodków badawczych i uczelnianych. Tak więc na najwyższym poziomie tworzenia najbardziej wartościowej i nowoczesnej wiedzy naukowej funkcjonują, we wzajemnej relacji, elity jej twórców i przekazu – z jednej strony, oraz elity jej odbiorców i użytkowników – z drugiej. Natomiast – jak pisze jeden ze znanych obserwatorów i analityków tego kłopotliwego zagadnienia – masy społeczne pozostają na ogół przy „małej wiedzy” i niedaleko im do „społeczeństwa ignorantów”. Czytamy: „Odkrycia naukowe są dla garstki elit pochodzących z najlepszych, wiodących ośrodków badawczych. Natomiast masy są coraz bardziej niedouczone, a także celowo bałwanione przez różnego pokroju elity władzy lokalnej i globalnej: politycznej, finansowej oraz ideologicznej. Stale powiększa się rozdział między niewielką liczbą ludzi wykształconych

na poziomie maksimum a miliardami ludzi kształconych na poziomie minimum programowego. A zatem wbrew wyobrażeniu o społeczeństwie wiedzy jest ono w pokaznie przeważającej części społeczeństwem ignorantów”⁶. Jednym z wyrazistszych przykładów takiej sytuacji może być społeczeństwo północnoamerykańskie. „Stany Zjednoczone – pisze amerykański uczonej – mają najlepsze uniwersytety i przyciągają najtęższe umysły świata. Zdominowały odkrycia w nauce i medycynie. Ich bogactwo i potęga zależą od posługiwania się wiedzą”. A mimo to „amerykańskie szkolnictwo jest znane ze swoich porażek. W najpotężniejszym państwie świata jeden z pięciu dorosłych wierzy, że Słońce krąży wokół Ziemi, tylko 26 procent uznaje, że ewolucja następuje w drodze doboru naturalnego, dwie trzecie młodych dorosłych nie jest w stanie znaleźć Iraku na mapie świata, dwie trzecie wyborców nie jest w stanie wyjaśnić trójpodziału władzy, a pod względem umiejętności matematycznych amerykańskie 15-latkę są na 24 miejscu wśród 29 krajów należących do OECD”⁷.

Na uwagę zasługuje tu jeszcze bodaj najbardziej charakterystyczny, a zarazem niekorzystny z punktu widzenia prawidłowego i możliwie harmonijnego kształtowania „społeczeństwa wiedzy” proces rozwojowy nauk współczesnych z wyraźnie jednostronną jego tendencją polegającą na tym, że wiedza naukowa rozwija się zbyt nierównomiernie. A w dodatku – prawdopodobnie – nieodwracalnie nierównomiernie, tzn. nauki techniczne, informatyczne, biologiczne, fizyczne i medyczne podlegają przyspieszonemu rozwojowi, natomiast nauki społeczne, a zwłaszcza humanistyczne od kilku już dziesięcioleci znajdują się w wyraźnym zastoj, a nawet w swoistym regresie i kryzysie. Ta coraz bardziej rozchylająca się rozwarłość pomiędzy – ogólnie mówiąc – naukami o rzeczywistości przedmiotowej, materialnej i przyrodniczej a naukami o rzeczywistości ludzkiej, podmiotowej i kulturowej, pociąga za sobą negatywne następstwa. Sprawia przede wszystkim to, że narasta i utrwała się w świadomości człowieka „społeczeństwa wiedzy” coraz bardziej wyrazisty, ale jednostronny, „stechnizowany”, „umechanizowany”, „zbiologizowany” i „ufizyczniony” poznawczy obraz rzeczywistości i środowiska życia. Z drugiej strony stosunkowo szybko ubożeje w owej świadomości albo spychana jest na jej margines wiedza o samym człowieku, o wartościach jego życia, o celach i sensie egzystencji itp. Przede wszystkim zaś ewidentnie słabnie zdolność jego rozumienia samego siebie i otaczającego go świata, nasila się swoiste ponowoczesne zagubienie orientacyjne i rozumiejące w świecie; popadanie w chaos rozproszonych sensów, zrelatywizowanych wartości, „szumów” informacyjnych i „obrotowych” kierunkowskazów. W tym sensie chyba rzeczywiście można przewidzieć, że „społeczeństwo wiedzy” przekształca się w społeczeństwo niewiedzy, a społeczeństwo informacyjne w społeczeństwo „dezinformacji”, zaś *homo sapiens* w *homo computans*.

4. Sprzeczności i paradoksy „społeczeństwa wiedzy” oraz duże zawilości pojawiające się w procesie jego powstawania i rozwoju ukazują jeszcze jedna charakterystyczna i bodaj najbardziej zaskakująca jego cecha: w miarę postępu w rozwoju wiedzy, techniki i informacji narasta w tym społeczeństwie równolegle różnego rodzaju niewiedza i dezinformacja oraz sfera

niemądrości, czyli – mówiąc po prostu – sfera głupoty. I – paradoksalnie – w znacznej mierze narasta ona na skutek owego rozwoju.

Jest to niewątpliwie jeden z największych paradoksów rozwoju intelektualnego człowieka i mentalnej ewolucji społeczeństw ludzkich. Z oczywistych względów trudno przewidzieć dalsze losy tego paradoksu. Na przykład łatwo jest odpowiedzieć na pytanie, czy rozwój wiedzy naukowej i technicznej i ogólnej mądrości człowieka będzie się w przyszłym rozwoju społeczeństw informacyjnych i wiedzy kształtować równomiernie i równoważnie do narastania niewiedzy (zgodnie z paradoksalnym, ale w pewnym sensie zasadnym stwierdzeniem: „im więcej wiem, tym mniej wiem”), czy też któraś z tych dwóch głównych tendencji ewolucji umysłowej i poznawczej człowieka przeważy i zadomnuje nad drugą; czy – ogólniej rzecz ujmując – w ewolucję rodzaju ludzkiego jest głęboko i na stałe „wpisany” proces poznawczy i mentalny, czy też może być on i jest tylko przejściowym etapem tej ewolucji. I że jego „zatrzymywanie” się na pewnym etapie owej ewolucji, a nawet cofnięcie (regresja) jest „naturalnie” możliwe?

W tej kwestii możemy tylko objaśniać i interpretować dostępne nam cząstkowe fakty empiryczne i formułować bardziej lub mniej uprawnione hipotezy. Jedną z nich sformułowana została wyżej, tzn. że regres mentalny człowieka w zakresie tych cech umysłowości ludzkiej, które konstytuują jego mądrość (brak głupoty) jest nie tylko możliwy, ale jest faktem empirycznym – personalnym i społecznym.

Dodajemy do tej hipotezy kilka uwag i komentarzy. Przede wszystkim podejmijmy próbę wstępnego określenia rozważanych tu głównych pojęć: mądrości (rozumności) i niemądrości (nierozumności, głupoty).

I tak przez mądrość rozumiemy tu szczególną i dość rzadką właściwość oraz zdolność umysłu (ludzi prawdziwie mądrych, czyli – jak niekiedy się ich określa – „mansanów”, jest w każdej populacji ludzkiej stosunkowo niewiele; stanowią oni zdecydowaną i w zasadzie w tej samej proporcji wobec reszty populacji utrzymującą się mniejszość). Mówimy tu o właściwości i zdolności polegającej na umiejętności pogłębionego myślenia i głębszej refleksyjności; podejmowania możliwie trafnych ocen i wyborów, a nadto o praktycznej racjonalności i możliwej w danej sytuacji skuteczności działania; o głębszej intuicji poznawczej i rozległej wyobraźni, a przede wszystkim o zdolności rozumienia bardziej złożonych sytuacji i problemów, sprzeczności i dylematów, i o umiejętności wyprowadzania z ich właściwych wniosków, co m. in. ujawnia się bądź ujawniać może w bardziej dojrzałej i nie sptyconej „sztuce życia”.

W wymiarze osobowościowym i postawie życiowej mądrość przejawia się bądź może w takich m. in. zaletach i cnotach, jak: skromność intelektualna, wyrozumiałość dla poglądów innych, otwartość na argumenty oponentów, szeroka społecznie i moralnie uzasadniona tolerancja, życzliwość i spolegliwość okazywana innym, umiarkowany sceptycyzm w kwestiach poznawczych, gotowość przyznania się do takiej czy innej niewiedzy i bezradności intelektualnej i przystania na to, mimo daru dobrego intelektu i szczególnie sprawnych władz poznawczych, że na ogół więcej się nie wie, niż się wie; że łatwiej jest o błąd i pomyłkę, aniżeli o trafność poznawczą i pewność.

Uosobieniem człowieka mądrego jest zanikający, a właściwie całkowicie już wymarły w społeczeństwach „ponowoczesnych” typ człowieka zwanego mędrcem – wykazującego wyjątkowo wysoki stopień mądrości. Na systematyczne i wielostronne przebadanie naukowe oczekują historyczne i cywilizacyjne przyczyny i uwarunkowania tego ewenementu w dziejach gatunku ludzkiego, że stopniowo i prawdopodobnie nieodwracalnie traci on zdolność wyłaniania z siebie tej miary osobowości i umysłowości, którą w przeszłości reprezentowali m. in. Budda, Konfucjusz, Chrystus, Mahomet, Pascal, Montaigne, Voltaire, Hume, Kant, Nietzsche, Rousseau, Hegel, Marks, Schopenhauer, Bergson, Sartre, Fromm, Gandhi, A. Schweitzer, B. Russell, G. Santayana, K. Twardowski, T. Kotarbiński, R. Ingarden; zaś w czasach obecnych m. in. L. Kołakowski, J. Tischner czy Z. Bauman.

Stale też maleje we współczesnych społeczeństwach i traci na społecznym i kulturowym znaczeniu ta kategoria ludzi, też w pewnej mierze uosabiająca, choć na zróżnicowanym poziomie i w niejednakowej mierze, mądrość, którą uznajemy za intelektualistów. Jedną z wybitnych postaci, tę właśnie kategorię ludzi reprezentujących, Vaclav Havel, intelektualistę współczesnego określał następująco: to „człowiek który – dzięki swemu wykształceniu i kręgowi zainteresowań – dostrzega szerszy kontekst spraw, niż jest powszechnie widziany. To znaczy człowiek, który stara się zajrzeć »pod podszewkę«, dotknąć głębszych znaczeń, związków, przyczyn, skutków, widzieć je jako element większej całości (...) który właściwie dlatego, że dostrzega głębsze czy szersze związki, odczuwa również większą odpowiedzialność za świat”⁸.

Takich ludzi jest wśród nas, niestety, coraz mniej. Jest natomiast nieco więcej ludzi przeciętnie inteligentnych i umiarkowanie „mądrych”. Jest też część o wiele większa niż byśmy tego chcieli ludzi niemądrych albo nie dość mądrych, wykazująca w kontekście współczesnej cywilizacji tendencję do stałego powiększania się (powiększający swoje szeregi „pochód” ludzi niemądrych, „pochód głupoty”).

Spróbujmy bliżej określić to zjawisko społeczne i antropologiczne.

Człowiek głupi ma nie tylko to do siebie, że na ogół działa wbrew interesowi własnemu i innych, ale dość często i w różny sposób staje się niebezpieczny dla otoczenia, poważnym dlań zagrożeniem, zwłaszcza gdy uzyskuje władzę i wpływy. Bywa też, że ludzie mądrzy, nie głupi ulegają swoistemu terrorowi ludzi niemądrych, głupich (terroryzm głupoty jest równie niebezpieczny i szkodliwy, jak i inne formy terroryzmu współczesnego). Przy czym ludzie mądrzy mają skłonność do zbytnej tolerancji wobec ludzi niemądrych, niedoceniania potencjalnej czy realnej ich szkodliwości lub po prostu wykazują większą lub mniejszą bezradność wobec nich. Przecistawianie się głupocie, walka z nią, zmaganie się z takimi ludźmi jest rzeczą nader trudną. Jest tak, bo „głupi nęka bez powodu, działa bez planu, w najmniej oczekiwanym momencie i najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, sytuacjach lub okolicznościach. Nie sposób dowiedzieć się, czy, kiedy i dlaczego jakiś głupi zaatakuje. A gdy już nastąpi konfrontacja z nim, to jest się kompletnie w jego mocy, ponieważ jego nieobliczalne i irracjonalne działania czynią obronę problematyczną i utrudniają kontratak”⁹. Samoobronę ludzi mądrych, niegłupich (mniejszo-

ści) przed ludźmi niemądrymi, głupimi utrudnia z reguły fakt, że pierwsi na ogół nie doceniają „szkodzącej potęgi” drugich (większości) i że niemal stale „zapominają o tym, że obcowanie z głupimi ludźmi, albo wchodzenie z nimi w jakieś związki okazuje się zawsze kosztownym błędem, niezależnie od czasu, miejsca i sytuacji”¹⁰.

5. Niemądrość, głupota jest integralną cechą natury ludzkiej; jest głęboko zakorzeniona w Przyrodzie i kręgu cech gatunkowych człowieka. Należy nawet do istotnych jego wyróżników i spełnia w Naturze oraz w życiu człowieka ważną rolę – jest m. in. – paradoksalnie – współczynnikiem rozwoju i postępu. „Bez domieszki głupoty – pisze znawca zagadnienia – życie nie byłoby w ogóle możliwe: nie istniałoby małżeństwo, nie możliwa byłaby prokreacja, nie zachodziłby postęp cywilizacyjny”¹¹. „Bycie głupim – pisze inny autor – jest jedną z istotnych cech odróżniających ludzi od zwierząt. Zwierzęta działają instynktownie w celu skutecznej realizacji swoich najlepszych interesów. Natomiast ludzie od czasu do czasu działają przekór instynktowi (również samozachowawczemu), oczywiście i własnym interesem”¹². Daje się podzielić także i takie stwierdzenie tegoż autora: „W zasadzie nie powinno się mieć za złe, że ludzie są głupi. Przecież głupota odgrywa nie mniejszą rolę w życiu niż mądrość. Ilu ludziom i w ilu sytuacjach krytycznych udało się przeżyć dzięki temu, że podejmowali głupie decyzje kierując się instynktem samozachowawczym i emocjami a nie racjonalnością i mądrością”¹³. Oczywiście jest rzeczą, że „bez przyrostu mądrości i wiedzy nie byłoby postępu w żadnej dziedzinie życia, a bez wiedzy nie byłibyśmy w stanie przetrwać w walce o byt z innymi gatunkami. Ale z drugiej strony – przystać należy i na to, że – postęp zawdzięczamy również w jakiejś mierze głupocie, która napędza kreatywność”¹⁴.

Przytoczone wyżej wybrane opinie badaczy o roli mądrości i niemądrości w rozwoju cywilizacyjnym i gatunkowym człowieka stanowią pewien punkt wyjścia dla pojmowania społeczeństwa wiedzy w jego złożoności, wewnętrznych sprzecznościach, paradoksach i antynomiach. Rzutują one też na swoistą, można rzec dialektyczną jedność w sprzeczności wiedzy i niewiedzy, mądrości i niemądrości, niegłupoty i głupoty człowieka na każdym etapie jego ewolucji i rozwoju.

Tak czy owak rozwój intelektualny i duchowy człowieka nie dokonuje się ani wyłącznie w łożysku wiedzy i mądrości, ani też wyłącznie na „ścieżce” niewiedzy i niemądrości, a toczy się gdzieś pośrodku. Ze względu zaś na to, że tempo jego rozwoju na tych dwóch „ścieżkach” ewolucji umysłowej nie jest, jak wspomniano, jednakowe, to też i osiągnięte etapy rozwojowej „wędrowki” nie są takie same, przeciwnie – są bardzo zróżnicowane. Mówi się na przykład w środowiskach naukowych o tym, że w zakresie mądrości człowiek w zasadzie zatrzymał się na etapie osiągniętym w jej dziedzinie jeszcze w starożytności greckiej przez tzw. „człowieka ateńskiego” i że na ogół utrzymuje się na tym poziomie zaawansowania mądrości, że powyżej tego poziomu w większości ludzkich umysłów nie sięga. Co więcej od czasów nowożytnych, aż po dziś dzień, trwa proces obniżania tego poziomu. I dzieje się to przede wszystkim na skutek negatywnego oddziaływania na umysł i genotyp ludzki głównych przemian cywilizacyjnych, ekonomiczno-społecznych i środowiskowych: urbanizacji, industrializacji, rynkowego systemu ekonomicznego, postępu technicznego i in-

formatycznego, konsumpcyjnego trybu życia. Cały ten historycznie narastający i rozbudowujący się układ zmian cywilizacyjnych (cywilizacji przemysłowej i technicznej), stymulując rozwój inteligencji „liczącej”, kalkulującej, wynalazczej, sprawnościowo-funkcjonalnej, nie sprzyja jednak, a wręcz przeszkadza rozwojowi mądrości – w niemożliwie pełnym i szerokim słowa tego znaczeniu – oraz człowieczeństwa. Osłabia i zaburza naturalny dobór genów odpowiedzialnych za te, wysokie właściwości i wyróżniki istoty ludzkiej; rozleniwia i demobilizuje człowieka na polu starań o te właściwości, a przez to wyjąławia go duchowo (emocjonalnie, moralnie, estetycznie, filozoficznie, religijnie itp.) dehumanizuje i w znaczącej mierze oślepia, a w każdym razie w kierunku takich niekorzystnych i regresywnych zmian go coraz silniej i coraz szybciej popycha. Być może, że w tym dramatycznym akcie „odbierania człowiekowi rozumu” (nie inteligencji liczącej i kalkulującej), osłabiania jego rozumności – mądrości, jakąś rolę odgrywa sama Natura w akcie samoobronnym przed swoim nazbyt już agresywnym „niszczycielem”.

Zatem być może uprawniona byłaby hipoteza, że człowiek „zatrzymał się” a nawet zaczął się „cofać” ze swą mądrością i człowieczeństwem nie tylko w ewolucji społecznej i kulturowej, ale także w ewolucji przyrodniczej. I że ewolucyjna wizja człowieka jako *homo sapiens sapiens*, czyli człowieka przyszłości absolutnie mądrego, jest wizją całkowicie utopijną.

Także i wizja „społeczeństwa wiedzy”, jako społeczeństwa pełnej i powszechnej wiedzy; społeczeństwa zdecydowanie i konsekwentnie uwolnionego od niewiedzy i niemądrości jest – jak próbowaliśmy wykazać – wizją oczywiście niezasadną i nierealistyczną.

JAN SZMYD

- 1 Lech W. Zacher: *Świadomość społeczeństwa informacyjnego. Niektóre ustalenia pojęciowe*, (w:) Lech W. Zacher (red.): *Społeczeństwo informacyjne w perspektywie człowieka, techniki, gospodarki*, Fundacja Edukacyjna Transformacje, Warszawa 1999, s. 4.
- 2 Wiesław Sztumski: *Ku społeczeństwu wiedzy i dezinformacji* (w:) „Transformacje”. Pismo interdyscyplinarne, Centrum Badań Ewaluacyjnych i Prognostycznych, Akademia Leona Koźmińskiego, Warszawa 2007-2008, s. 135.
- 3 Lech W. Zacher: *Świadomość społeczeństwa informacyjnego. Niektóre ustalenia pojęciowe*, cyt. wyd., s. 6, 7.
- 4 Por. Jan Szmyd: *Medialny obraz rzeczywistości jako główna orientacja poznawcza i praktyczna w świecie* (w:) *Medialny obraz rodziny i płci* pod redakcją naukową Katarzyny Pokornej-Ignatowicz, Oficyna Wydawnicza AFM, Kraków 2012, s. 11-47.
- 5 B. Reeves, C. Nass: *Media i ludzie*, tłum. H. Szczerkowska, Warszawa 2000.
- 6 Wiesław Sztumski: *Ku społeczeństwu wiedzy i dezinformacji*, cyt. wyd., s. 141.
- 7 Por. S. Jacoby: *The Age of American Unreason*, New York 2008 (Podają za W. Sztumski: *Ku społeczeństwu wiedzy i dezinformacji*, cyt. wyd.)
- 8 Tamże.
- 9 Por. tamże
- 10 Tamże.
- 11 Tamże.
- 12 Wiesław Sztumski: *Takie sobie myśli o głupocie*, op. cit.
- 13 Tamże.
- 14 Tamże.

ANDRZEJ WALICKI

MARKSIZM JAKO UKŁAD ODNIESIENIA, PRZEDMIOT KRYTYKI I ŹRÓDŁO INSPIRACJI

(z powodu artykułu Janusza Dobieszewskiego)

I.

Ogromnie cieszą mnie wszelkie przejawy żywej pamięci o moim przyjacielu, zmarłym w 2007 r. profesorze Włodzimierzu Rydzewskim – człowieku wyjątkowo zasłużonym dla środowiska „rosjoznawców”, a w szczególności badaczy intelektualnej historii Rosji. Można powiedzieć bez przesady, że to on właśnie najbardziej przyczynił się do uczynienia z tych osób środowiska w pełnym znaczeniu tego słowa, zintegrowanego nie tylko formalnie, lecz również na płaszczyźnie kontaktów osobistych oraz współpracy opartej na wzajemnej życzliwości. Słusznie podkreślił to Janusz Dobieszewski w artykule *Włodzimierz Rydzewski: myślenie lewicowe, myślenie lewicy* („Zdanie”, nr 3-4/2014). Mogę do tego dodać, że dumny jestem z faktu, iż Rydzewski uważał się w jakimś sensie za mojego ucznia, nawiązywał (zwłaszcza w swych badaniach nad narodnictwem i „ideą rosyjską”) do różnych moich prac oraz zachęcał mnie do wznawiania dawnych i wydawania nowych w Jagiellońskich Studiach z Filozofii Rosyjskiej, dbając jednocześnie o moją obecność na wszystkich ogólnopolskich konferencjach, które organizował w swej uczelni i które w istotny sposób przyczyniły się do stworzenia środowiska, o którym wyżej mowa.

Swą wyjątkową zdolność do działań integracyjnych zawdzięczał Rydzewski ekumenicznej otwartości swojego myślenia, zakorzenionego (na co wskazał Dobieszewski) w najlepszych tradycjach wolnościowej lewicy. Jest rzeczą oczywistą, że nie mógłby go zastąpić człowiek reprezentujący antykomunistyczny „prawoskręt”, tak rozpowszechniony po ustrojowej przemianie zwłaszcza w myśleniu o Rosji. Nie mniej oczywiste również jest to, że do roli, którą tak znakomicie spełniał, nie nadawałby się filozof opowiadający się za marksizmem i broniący ideowej spuścizny PRL. Ocalenie szeroko rozumianego „rosjoznawstwa” jako inspirującej problematyki intelektualnej wymagało wówczas (i nie tylko wówczas!) zaangażowania antykomunistyczne-

go, wolnego jednak od zaciętości antylewicowych, zachowującego „umiejętność” rozległej światopoglądowej tolerancji, wynikającej ze zrozumienia nieredukowalnego pluralizmu wartości. Osób spełniających te kryteria nie mogło być oczywiście zbyt wiele, wydaje mi się jednak, że w Krakowie było ich więcej niż gdzie indziej. Warto przypomnieć, że charakterystycznymi postaciami krakowskiej prawicy byli wówczas tacy ludzie jak Mirosław Dzielski i Bronisław Łagowski. Lewicę zaś reprezentował m.in. Rydzewski właśnie i całe środowisko krakowskiej „Kuźnicy”.

W niniejszym tekście artykuł Dobieszewskiego o Rydzewskim przywoływany jest jednak w związku z tym, co jego autor napisał o mnie. Dobieszewski mianowicie zaliczył mnie – wraz z Rydzewskim i Markiem Siemkiem – do nielicznego grona tych postaci polskiej filozofii, które w ostatniej ćwierci XX w. „traktowały marksizm z powagą lub wręcz utożsamiały się z nim”, łącząc w swoim stosunku do dziedzictwa Marksa krytycyzm z postulatem odnowy (s. 18). Klasyfikację tę uzupełnił uwagą, że ja sam deklarowałem sympatię do „rewizjonistów”, przypisując mi na tej podstawie „rewizjonistyczną wizję marksizmu”, mającą polegać na odrzuceniu dialektycznego materializmu przy jednoczesnej akceptacji materializmu historycznego, z usunięciem jednak jego aspektu „necessarystycznego” oraz „teleologicznej wizji przyszłości” (s. 19). Punktem wyjścia mojej ewolucji intelektualnej był więc, zdaniem Dobieszewskiego, rewizjonistyczny marksizm, bardziej krytyczny od koncepcji wewnątrzpartyjnego rewizjonizmu, ale dlatego też bardziej ponoć trwałe i nigdy do końca nieodrzucone. Aby uniknąć zniekształcenia tej myśli, przytaczam odpowiedni cytat: „Ta rewizjonistyczna wizja marksizmu nie była przy tym dla Walickiego tymczasowym przystankiem na drodze do całkowitego wyrwania się z pęt marksizmu jak to się miało z – by tak rzec – oficjalnymi rewizjonistami. Dzięki temu, że w pętach marksizmu nigdy nie był, przetrwał tej wizji marksizmu trwałe i wartościowy wymiar intelektualny. Towarzyszyło temu również życzliwe wobec marksizmu dostrzeganie w nim wątków i idei wartościowych, a zazwyczaj, zwłaszcza w wizji ortodoksyj-

* Referat przedstawiony na konferencji naukowej *Liberalowie i rewolucjoniści. Idea rosyjska w filozofii i myśli społecznej*, którą w marcu 2014 roku zorganizował Instytut Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego ku czci Włodzimierza Rydzewskiego.

nej, traktowanych jako właściwie obce i nieobecne w marksizmie, jak na przykład kwestia narodowa” (s. 19).

W myślach tych dostrzegam sporo prawdy, ale zarazem pewne istotne zniekształcenie obrazu mojego stosunku do marksizmu – zarówno w fazie początkowej, jak i (zwłaszcza!) w okresie moich późniejszych, dość dramatycznych zmagani z spuścizną Marksa, uwieńczonych książką *Marksizm i skok do królestwa wolności*. Ze względu na znaczenie przypisywane tej sprawie przez Dobieszewskiego i niektórych innych współpracowników „Zdania” uważam za celowe wyjaśnienie, jak naprawdę było. Tym bardziej że na łamach „Zdania” pojawiła się również diametralnie różna opinia na ten temat, sformułowana bardzo ostro w artykule Edwarda Karolczuka *O socjalizmie w nowej perspektywie* („Zdanie”, nr 3-4/2013), napisanym w związku z książką Jerzego Kochana *Socjalizm*. (Scholar, Warszawa 2013).

Autor tego artykułu stwierdził jednoznacznie, że Walicki, uchodzący w Polsce za lewicowego guru, jest w istocie „antymarksistowskim marksologiem z pierwszego frontu walki ideologicznej prawicy”, zarabiającym „na znęcaniu się nad skopanym trupem Marksa i jego teorii”, co traktowane jest w Polsce jako lewicowa refleksja teoretyczna. Klasyfikacja taka jest jednak grubym błędem, podobnym do traktowania hyci jako miłośników psów.

Opinia ta kontrastowała z dominującym nurtem rodzimej recepcji mojej książki o marksizmie, w Polsce bowiem (co wspominam z uczuciem głębokiego zażenowania) sam fakt wydania poważnego dzieła na ten temat uchodził w latach dziewięćdziesiątych za lewicowy akt cywilnej odwagi, której mi czasem gratulowano z zachowaniem ostrożnej dyskrekcji¹. Ta dwoistość reakcji miała jednak precedens w poprzedniej dekadzie, a więc w okresie, gdy stosowałem wobec marksizmu taktykę „oswajania”, a nie krytyki z pozycji zewnętrznych. Moja książka *Polska, Rosja, marksizm. Studia z dziejów marksizmu i jego recepcji* (Warszawa 1983), mówiąca głównie o recepcji marksizmu przez ideowych przywódców postępowej inteligencji polskiej (Ludwik Krzywicki, Edward Abramowski, Stanisław Brzozowski) wywołała niemałe zdziwienie u wielu przedstawicieli prosolidarnościowej opozycji (bo po co właściwie autor zajmuje się marksizmem?), a jednocześnie drugoczącą krytykę najkonsekwentniejszego i ostatniego w istocie przedstawiciela ortodoksyjnego marksizmu-leninizmu, Jarosława Ładosza. W obszernym artykule opublikowanym w roku 1987 na łamach kwartalnika „Z pola walki” uznał on za „fakt nieprawdopodobny, wręcz horralny”, że pominąłem w książce *Materiaлизм i empiriokrytycyzm* Lenina, słusznie widząc w tym odmowę uznania Lenina za najwyższy marksistowski autorytet. Z równym oburzeniem potraktował moją krytykę materialistycznego determinizmu przywódców II Międzynarodówki. Podsumował swe sprawozdanie logiczną konkluzją: „W sumie książka Walickiego jest przeniesieniem punktu widzenia burżuazyjnej »marksologii« na nasz grunt, należy do tego gatunku. [...] Jej ukazanie się w tej oficynie [Książka i Wiedza] po uchwale IX Zjazdu PZPR, w której odstonięto zaniedbania w pracy ideologicznej i w upowszechnianiu marksizmu-leninizmu, świadczy o dalej szerzącej się beztrosce i dezorientacji. Istnieje pilna potrzeba mark-

sistowskich badań nad rozwojem polskiej myśli socjalistycznej. [...] Potrzebna jest również krytyczna analiza rodzimej »marksologii« Kołakowskiego i Walickiego, a nie upowszechnianie w partyjnym wydawnictwie rodzimej »marksologii«”².

Dla uzupełnienia obrazu przytoczę również znaną mi reakcję na ukraiński przekład książki *Marksizm i skok do królestwa wolności*, opublikowaną pod tytułem *Metamorfozi intencji abo widpovid’ Karła Marksa Andrzeju Walickomu* w piśmie pt. „Ukrainskij humanitarnij ogliad” (wyp.7, Kijów 2002). Autor tego artykułu recenzyjnego, A. Kułakow, określił mnie jako beneficjenta „licznych nagród i podróży na Zachód”, a więc osobę posiadającą „autorytet wśród zachodnich elit” i umiejącą to wykorzystać w „pewnej kulturalnej sytuacji”, niepotrafiącą jednak zachować minimum obiektywizmu wobec przedmiotu swoich badań. Recenzowana książka jest więc produktem wybujałych emocji antykomunistycznych, połączonych z polskim patriotyzmem, co zaszkodziło jej najbardziej. Napisana jest jednak sugestywnie i dlatego właśnie wydanie jej po ukraińsku wyrządza Ukraińcom krzywdę, pozbawia ich bowiem możliwości trzeźwej refleksji nad marksizmem oraz sprawiedliwej oceny niedawnej przeszłości, o której tak wielu mieszkańców Ukrainy myśli dziś z nostalgią. Bezkrytycznie odnosi się natomiast do ustroju kapitalistycznego i jego liberalnych apologetów, co potęguje oczywiście jej społeczną szkodliwość.

Należy podkreślić, że autor tego tekstu skupił się wyłącznie na pierwszym rozdziale mojej książki dotyczącym Marksa. Pominął nawet rozdział o Engelsie (mimo że zawiera on obszernie omówienie poglądów Engelsa na kwestię narodową, eksponujące stanowisko w tej sprawie marksologów ukraińskich), nie mówi nic o dalszych rozdziałach, nie informuje, że książka przedstawia całą ewolucję marksizmu rosyjskiego, od Plechanowa do Lenina i Stalina, zachodni spór o totalitaryzm, a następnie problem etapów detotalitaryzacji do Gorbaczowskiej „pieriestrojki” włącznie. Nie wspomina też ani słowem o moim radykalnym odróżnieniu utopii komunistycznej od materializmu historycznego oraz o tym, że krytykowana przezeń książka dotyczy tematu najbardziej zaniedbanego, lekceważonego wręcz w klasycznej marksologii, a mianowicie dziejów marksistowskiej utopii.

Przytoczone wyżej opinie, diametralnie różne od ocen Janusza Dobieszewskiego, ukazują olbrzymi rozrzut poglądów na mój stosunek do dziedzictwa marksizmu. Jest to przeważnie rezultatem kolejnych przemian mojego stosunku do tej sprawy, sądzę jednak, że zmiany te dokonywały się w ramach pewnej ciągłości myślowej, dającej się przedstawić jako ewolucja właściwie, a nie przechodzenie z jednej skrajności w drugą. W dalszych rozważaniach o charakterze wspomnieniowym postaram się o uwidocznienie tej ewolucji i jej aktualnego kierunku.

II.

Opinia Janusza Dobieszewskiego o „rewizjonistycznej wizji marksizmu” jako rzekomym punkcie mojej ewolucji ideowej jest nieporozumieniem, za które sam ponoszę częściową odpowiedzialność. W rozprawie o „marksistowskiej filozofii w PRL w świetle osobistych wspomnień” przypomniałem bowiem, że w latach

„odwilży” sam uważałem się za jednego z „rewizjonistów”, uznając, że upoważnia mnie do tego solidarność z wolnościowymi dążeniami ludzi określanych tym mianem, a także intelektualne zaangażowanie w krytykę idei „obiektywnej konieczności dziejowej”, traktowanej wówczas jako główny filtr stalinowskiej wersji marksizmu³. Umacniał mnie w tym przeświadczeniu odbiór w środowisku rewizjonistów mojej pierwszej książki o rosyjskiej myśli XIX wieku, ukazującej moralny bunt postępowych myślicieli (Bielińskiego i Hercena) przeciwko Hegłowskiej fetyszyzacji Konieczności, co w naturalny sposób जोरज्योło się wówczas z odrzuceniem stalinowskiego „necessaryzmu” w imię nieredukowalnych uprawnień ludzkiej podmiotowości⁴. Dziwiło mnie, że Leszek Kołakowski i Bronisław Baczko nie zgadzali się z tą moją samoklasyfikacją, dowodząc, że rewizjonistą może być tylko członek partii, mający w niej określone zaplecze. Warto natomiast zwrócić uwagę, że nikt z nas nie operował pojęciem „rewizjonizmu” w sensie klasycznym, oznaczającym odstępstwo od marksistowskiej ortodoksji w tych czy innych ściśle określonych kwestiach, przy dochowaniu wierności jej zasadniczemu zrębowi, pojmowanemu jako odrębna, całościowa filozofia społeczna, wyrażająca stanowisko klasy robotniczej i wyraźnie przeciwstawiająca się poglądom „burżuazyjnym”. W tym klasycznym sensie nie byłem „rewizjonistą”, nigdy bowiem ani przez moment nie identyfikowałem się z marksistowską ortodoksją, a więc nie mogłem zajmować się „rewizją”. W roku 1956 „rewizjonistami” nie byli już także moi partyjni koledzy, ponieważ oficjalny „marksizm-leninizm”, czyli ówczesna postać marksistowskiej ortodoksji, nie był już dla nich ważnym punktem odniesienia.

Czym było więc zjawisko określane wówczas w dokumentach partyjnych jako „rewizjonizm” i nazywane tak również dziś, z intencją podkreślenia niewystarczającej konsekwencji w zerwaniu z marksizmem? Mogę powołać się w tej kwestii na opublikowaną niedawno ważną książkę Magdaleny Mikołajczyk pt. *Rewizjonisci. Obecność w dyskursach okresu PRL* (Kraków 2013). Wskazuje ona, że rewizjonizm nie był wówczas w Polsce stanowiskiem teoretycznym, wymagającym samookreślenia się wobec jakiejś „ortodoksji”, polegał bowiem głównie na dążeniu do zmiany PRL-owskiej praktyki ustrojowej, połączonym jednak z uznaniem prawomocności PRL jako państwa oraz z akceptacją ogólnych celów socjalizmu. Innymi słowy, była to forma opozycyjności wewnątrzsystemowej, mniej lub więcej radykalnej, często intelektualnej głównie, ale ocierającej się bezpośrednio o polityczność. W tym szerokim ujęciu mogłem uważać się za „bezpartyjnego rewizjonistę”. Nie byłem jednak „rewizjonistycznym marksistą”, reprezentującym jakąś „rewizjonistyczną wizję” marksistowskiej teorii.

W gruncie rzeczy (choć z innym oczywiście rozłożeniem akcentów) dotyczy to również moich starszych partyjnych kolegów, współtwórców Warszawskiej Szkoły Historii Idei (WSHI), do której mam zaszczyt być zaliczany. Kołakowski i Baczko mogli być uważani za rewizjonistów w tej mierze, w jakiej działali wewnątrzpartyjnie, chcąc wywrzeć wpływ na politykę PZPR, ale nie jako przedstawiciele WSHI, czyli autorzy prac naukowych. W artykule napisanym dla „Przeglądu Politycznego” musiałem więc przeciwstawić się rozpo-

wszechnionemu pogładowi na ten temat podkreślając, że jako przedstawiciele WSHI nie byliśmy „rewizjonistami”, nie chodziło nam bowiem o „poprawianie” obowiązującej wersji „marksizmu-leninizmu”: jako naukowcy całkowicie ignorowaliśmy „marksizm-leninizm”, nie istniał on dla nas, a więc nie mogliśmy myśleć o jego rewizji⁵. W moim przekonaniu była to postawa o wiele radykalniejsza, a przy tym intelektualnie uczciwsza niż potocznie rozumiany „rewizjonizm”, dążący do uzyskania politycznego wpływu, a więc z natury rzeczy nastawiony na polityczne przetargi, wykluczające z reguły bezinteresowne dążenie do prawdy.

Należy podkreślić, że przyjmowaliśmy taką postawę już w samym punkcie wyjścia, wybierając charakteryzującą nas jako „szkołę” (lub przynajmniej grupę badaczy) orientację radykalnie antropologiczną. Gdy Kołakowski w swej książce o Spinozie określał filozofię jako „naukę o człowieku”, a swe własne zadanie charakteryzował jako przekładanie pytań metafizyki i teorii poznania na pytania wyrażone w języku ludzkich problemów moralnych⁶, to tym samym bezpardonowo odrzucał podstawową tezę marksizmu-leninizmu, głoszącą (w ślad za Engelsem), że „głównym zagadnieniem filozofii” jest walka materializmu z idealizmem, mająca zakończyć się całkowitym zwycięstwem materializmu dialektycznego jako jedynej teorii prawdziwie naukowej, wieńczącej rozwój ludzkiego poznania. To samo powiedzieć można o artykule Baczki o „krypto-problemach”, krytykującym filozofię za przedstawianie „problemów historycznej i społecznej egzystencji człowieka” jako czysto teoretycznych spekulacji nad naturą nie-ludzkiego i nie-histerycznego obiektywnego bytu⁷. I to samo wreszcie oznaczała „hipoteza antropocentryczna” sformułowana we wstępie do mojej książki *W kręgu konserwatywnej utopii*, przypominająca „elementarną prawdę, że ludzie należą do świata ludzkiego i odzwierciedlają w swym myśleniu te lub inne prawidłowości rządzące tym światem”⁸. Ta pozornie prosta konstatacja była przecież zakwestionowaniem od podstaw definicji „marksistowsko-leninowskiej”, określającej filozofię jako poznawanie „rzeczywistości materialnej, istniejącej poza umysłem ludzkim i niezależnie od niego”.

„Mała stabilizacja” Gomułkowska lat sześćdziesiątych, niekojarząca się nam z politycznymi nadziejami czasu „odwilży, była jednak – o czym niesprawiedliwie zapominamy – dobrym okresem dla kultury i nauk humanistycznych, ugruntowującym w tych dziedzinach pozytywną odrębność PRL jako kraju socjalistycznego. W tych warunkach nie było podstaw do obawiania się powrotu ideologicznego dyktatu „marksizmu-leninizmu” oraz bronięcia się przed tym przez rozwijanie „rewizjonistycznych” wykładni marksizmu. Nie eliminowało to jednak potrzeby śledzenia losów marksizmu i refleksji marksologicznych z kilku co najmniej powodów, z których – jako badacz związany z wybitnymi postmarksistami z WSHI, zajmujący się problematyką rosyjską, a jednocześnie znający kraje zachodnie, jako były stypendysta Fundacji Forda – zdawałem sobie sprawę szczególnie wyraźnie. „Marksizm-leninizm” nadal istniał przecież jako oficjalna ideologia państw „bloku socjalistycznego”, w PRL wykruszył się wprawdzie, ale formalnie biorąc wciąż funkcjonował jako element legitymizacji ideowej państwa; w krajach „trzeciego świata” różne wersje marksizmu stanowiły nieodłączną część

ruchów narodowo-wyzwoleńczych oraz różnego typu reżimów rewolucyjnych lub postkolonialnych, świat kultury europejskiej był zaś widownią sukcesów tzw. „zachodniego marksizmu”, imponującego rozmachem rozwoju najpierw we Francji i we Włoszech, a później również w USA. Byłem tego świadomy, a więc musiałem to uwzględnić w moich naukowych planach. To, co robiłem w tym zakresie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, mogę podsumować w trzech punktach.

Po pierwsze, badania nad rosyjskim narodnictwem, które podjąłem równolegle z pracą nad słowianophilstwem i innymi rosyjskimi ideologiami konserwatywnymi wieku XIX, uświadomiły mi jednostronność dominującej interpretacji marksizmu jako rygorystycznie deterministycznej i jednokierunkowej koncepcji rozwoju historycznego. W dwutomowej antologii pism narodników oraz w obszernym wstępie do niej, a następnie w anglojęzycznej książce o narodnickiej filozofii społecznej (bardzo szybko przetłumaczonej na język hiszpański, włoski i japoński) zwróciłem uwagę na zdumiewający fakt – przez wiele lat ignorowany z uporem nie tylko przez marksistów radzieckich – że u schyłku swego życia Marks w liście do Wieri Zasulicz z 8 marca 1881 roku i (zwłaszcza) w obszernych brulionach tego listu przyznał rację narodnikom w sprawie możliwości przejścia Rosji do socjalizmu z ominięciem „fazy kapitalistycznej”, uzasadniając to zarysem całej teorii przyspieszonej, niekapitalistycznej drogi rozwojowej zacofanych krajów świata⁹. Niektórzy marksologowie i teoretycy marksizmu, zwłaszcza w Japonii (dokąd zaproszono mnie na serie odczytów i dyskusji), potraktowali to jako ważne odkrycie, mające wielkie znaczenie współczesne.

Po drugie, badania nad polską myślą demokratyczno-niepodległościową XX wieku uświadomiły mi istnienie osobliwej sprzeczności między opiniami Marksa i Engelsa, entuzjastycznymi wobec demokratycznej emigracji polskiej i podkreślającymi olbrzymie, międzynarodowe znaczenie kwestii polskiej, a ocenami polskich historyków-marksistów, prześcigających się w zarzucaniu polskim demokratom niedostatecznego ponoć radykalizmu w kwestii agrarnej i świadomie przemilczających przy tym wypowiedzi twórców marksizmu jako wspierające intelektualnie tradycję patriotycznego socjalizmu z kręgu PPS. Było to dla mnie wystarczającym powodem do zajęcia się tą sprawą, ale za jeszcze wcześniejszą uważałem potrzebę sprostowania błędnego poglądu, rozpowszechnionego niestety w całej światowej marksologii, jakoby Marks i Engels nie interesowali się kwestiami narodowymi i programowo odrzucali posługiwanie się pojęciem narodu jako kategorii analitycznej¹⁰. W rzeczywistości (czego dowodem był m.in. zbiór wypowiedzi obu klasyków w kwestii polskiej) Marks i Engels dysponowali własną, przemyślaną teorią kwestii narodowej, odróżniającą „narody historyczne” mające niezbywalne prawo do niepodległości jako instrumenty uniwersalnego postępu, od etnicznych „narodowości”, traktowanych jako nieuchronne reakcyjne i skazane na zagładę przez rozwój ekonomiczny. Na obszarze położonym między Niemcami a Rosją do „narodów historycznych” zaliczone zostały tylko dwa – Polska i Węgry, jako wieloetniczne „narody polityczne”, Czesi natomiast (nie mówiąc już o Słowakach) oraz

narodowości południowosłowiańskie potraktowane zostały jako „szczątki ludów”, skazane na zagładę przez prawa historii. Teoria ta – niemożliwa do obronienia w warunkach demokracji elektoralnej, ale zgodna z poglądami wielu myślicieli liberalnych połowy XIX wieku – była ważną częścią Marksowsko-Engelsowskiej teorii historii¹¹. Z naukowego punktu widzenia ignorowanie jej jest więc niedopuszczalne. Patrzenie na relację między marksizmem a szeroko pojętym nacjonalizmem przez pryzmat ideologii w istocie postmarksowskich, takich jak teoria Róży Luxemburg, konstatacje teoretyczne Lenina i Stalina oraz marksizm w służbie ruchów antykolonialnych, jest ewidentnym zafałszowaniem historii marksizmu, uniemożliwiającym nawet zrozumienie sporów na temat kwestii narodowej, które toczyły się w „złotym okresie” marksizmu, czyli epoce II Międzynarodówki.

Po trzecie wreszcie, dzięki inspiracji Leszka Kołakowskiego oraz pogłębionemu namysłowi nad filozofią Stanisława Brzozowskiego, żywo zainteresowałem mnie problem „zachodniego marksizmu”, odwołującego się do koncepcji György Lukácsa i Antonia Gramsciego. Znakomity artykuł Leszka Kołakowskiego *Karol Marks i klasyczna definicja prawdy* (napisany w roku 1958, a opublikowany w roku następnym), walenie wspierający antropologiczno-historyczną i antynaturalistyczną zarazem orientację WSHI, słusznie kojarzył mi się z filozofią Stanisława Brzozowskiego, którą intensywnie badałem w latach siedemdziesiątych¹². Brzozowski antycypował przecież wywody Kołakowskiego mówiące, że klasyczna definicja prawdy oraz sama koncepcja prawdy obiektywnej nie dają się pogodzić z autentycznym marksizmem, ignorują bowiem uwarunkowania wszelkiego poznania przez historycznie i społecznie uwarunkowaną praktykę ludzką, co nadaje poznaniu charakter „społecznej subiektywności”, wykluczającej możliwość „czystej”, niehistorycznej epistemologii, operującej pojęciem „epistemologicznego absolutu”. Taką samą myśl rozwijał Brzozowski, dowodząc (już w roku 1907), że „teoria poznania może być pojęta jedynie jako część ogólnej teorii działalności ludzkiej i w związku z nią”¹³. Obaj myśliciele polscy byli w tym zakresie „zachodnimi marksistami”, opracowali bowiem konsekwentnie antynaturalistyczną wykładnię marksizmu, co uznane zostało za podstawowy wyróżnik „marksizmu zachodniego”. Brzozowski (co starałem się pokazać w mojej monografii o nim z roku 1977, a także w anglojęzycznym artykule z tego roku)¹⁴ był w istocie pierwszym „zachodnim marksistą”, jako pierwszy bowiem uzasadnił tezę, że historia społecznej praktyki ludzkiej jest „rzeczywistością logicznie wcześniejszą niż przyroda”, co Lukács ujął kilkanaście lat później w klasycznej formule: „Przyroda jest kategorią społeczną”¹⁵. Jak wiadomo, podobne myśli głosił również drugi „ojciec zachodniego marksizmu”, Gramsci, Kołakowski zaś nazwał jego koncepcje terminem „subiektywizm gatunkowy”, którym określał również poglądy Brzozowskiego.

Muszę podkreślić, że zupełnie obce były mi ideologiczne implikacje filozofii Lukácsa, takie jak koncepcja „potencjalnej” świadomości klasowej proletariatu lub teoria „zmiany funkcji materializmu historycznego”, uzasadniające słuszność woluntarystycznej rewizji marksizmu w leninowskiej praktyce politycznej. Nie

dostrzegałem też, rzecz jasna, żadnych zbieżności między tymi ideami a antynaturalistyczną reinterpretacją marksizmu w pracach bliskich mi myślicieli polskich. Autentycznie akceptowałem natomiast tezę o społecznych i historycznych uwarunkowaniach poznania, łącznie z wnioskiem kwestionującym zasadność klasycznej filozoficznej epistemologii. Było to zgodne z moimi przemyśleniami z lat pięćdziesiątych-sześćdziesiątych, czyli z okresu, gdy do moich przewodników po świecie idei należał twórca socjologii wiedzy, Karol Mannheim, oraz wielcy klasycy socjologii – w szczególności Tönnies, Durkheim i Max Weber, ukazujący w swoich dziełach skomplikowane zależności między wiedzą a formami więzi społecznej i praktyki wytwórczej. W tym kontekście, rzecz jasna, interesował mnie również marksizm. Dziś nie ulega dla mnie wątpliwości, że to ukierunkowanie zainteresowań zadecydowało o porzuceniu przeze mnie klasycznej problematyki filozoficznej i skoncentrowaniu się na zagadnieniach filozofii społecznej, widzianej (zgodnie z założeniami WSHI) w perspektywie multidyscyplinarnej.

III.

Nową fazę w moich złożonych relacjach z marksizmem otworzyło faktyczne przesiedlenie się do Australii, dokąd wyjechałem – wraz z rodziną, dwa tygodnie przed ogłoszeniem w Polsce stanu wojennego – na zaproszenie Zakładu Historii Idei Australijskiego Uniwersytetu Narodowego (ANU) w Canberze. Decyzję tę podjąłem nie tylko ze względu na plany naukowe, lecz również – a właściwie przede wszystkim – w wyniku przekonania, że w Polsce ostrość napięć moralno-politycznych nie pozostawia miejsca dla ludzi kompromisu, krytycznych wobec obu stron coraz głębszego i coraz bardziej wszechogarniającego konfliktu.

Moim głównym projektem naukowym w Australii było pisanie książki o filozofii prawa przedrewolucyjnego rosyjskiego liberalizmu – dostrzegałem bowiem schyłek systemu radzieckiego i gorąco pragnąłem, aby zastąpienie go nowym ustrojem dokonało się w ramach liberalnej kultury prawnej. Jednocześnie jednak od samego początku zajmowałem się problemem Marksowskiej koncepcji wolności. Zdecydował o tym właściwie przypadek, a mianowicie inicjatywa mojego oksfordzkiego przyjaciela, Zbigniewa Pełczyńskiego, który (na krótko przed moim wyjazdem z Polski) zaproponował mi napisanie rozdziału o Marksie do pracy zbiorowej o koncepcjach wolności w filozofii politycznej, którą zamierzał wydać po angielsku, pod redakcją własną oraz Johna Graya. Napisałem ten tekst wkrótce po przybyciu do Canberry, dzięki czemu miałem możliwość przedyskutowania go z udziałem Leszka Kołakowskiego, który przybył do ANU w czerwcu 1982 roku, w celu wygłoszenia prestiżowego „Tanner Lecture”¹⁶. Maszynopis tekstu posłałem do wglądu Isaiahowi Berlinowi, który traktował mnie jako przyjaciela i patronował w jakimś sensie, pośrednio lub bezpośrednio, wszystkim moim anglojęzycznym pracom. Opinia jego okazała się zaskakująco wręcz entuzjastyczna, uznał bowiem mój artykuł za „najbardziej przejrzyste i naprawdę najznakomitsze ujęcie tego tematu”, jakie kiedykolwiek czytał¹⁷. Zmobilizowało mnie to, rzecz jasna, do dalszego zajmowania

się Marksowską koncepcją wolności – tym bardziej że sprzyjało temu zbliżające się stulecie śmierci Marksa, dające mi możliwość występowania z odczytami o nim na różnych australijskich uniwersytetach, a także coraz większe zainteresowanie w świecie (zarówno na prawicy, jak i na lewicy) liberalną krytyką marksizmu. Nie czekając na ukazanie się książki Pełczyńskiego i Graya, opublikowałem w roku 1983, na łamach „New York Review of Books” (1983, nr 18, s.50-55) artykuł *Marx and Freedom*, różniący się od mojej wcześniejszej rozprawy położeniem większego nacisku na antyrynkowy fundamentalizm Marksowskiej koncepcji. Artykuł ten (natychmiast przełożony na język japoński)¹⁸ wywołał w USA duże zainteresowanie, kojarzone w wielu wypadkach z pozytywnymi ocenami mojej książki *A History of Russian Thought From the Enlightenment to Marxism* (Stanford 1979, Oxford 1980), która w tym właśnie czasie zdobyła w USA i w Anglii status akademickiego podręcznika. Podana przez czasopismo informacja, że autor artykułu mieszka i pracuje w dalekiej Australii, skłoniła niektóre amerykańskie uniwersytety do zaoferowania mi możliwości ubiegania się o profesurę w USA. Początkowo nie miałem na to ochoty, Australia bowiem wydawała mi się wyjątkowo bezpieczną i spokojną przystanią, a tego właśnie potrzebowałem wówczas najbardziej. Skończyło się jednak przyjęciem bardzo korzystnej propozycji Uniwersytetu Notre Dame w Indianie, który zaproponował mi uprzywilejowane stanowisko „Chaired Professor” na wydziale filozofii lub historii (wybrałem historię). W ten sposób – w końcu 1986 roku – rozpoczął się ostatni okres mojej kariery akademickiej, zakończony przejściem na emeryturę w roku 1999 i powrotem do Polski w roku 2006.

Głównym przedmiotem mojej pracy naukowej w Notre Dame było pisanie ambitnego dzieła pt. *Marxism and the Leap to the Kingdom of Freedom. The Rise and Fall of the Communist Utopia* (opublikowane przez Stanford University Press w roku 1995, a wkrótce potem w przekładzie autora pt. *Marksizm i skok dla królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii*, Warszawa 1996). Książkę tę zacząłem pisać przed załamaniem się „realnego socjalizmu” w krajach Europy Środkowo-Wschodniej i rozwiązaniem ZSRR, w okresie wielkich triumfów w USA „zachodniego marksizmu”, któremu wpływowi socjolog amerykański Alvin W. Gouldner wyznaczył nawet rolę dominującej ideologii nadchodzących czasów¹⁹. Nic dziwnego więc, że miała to być początkowo książka kończąca się wszechstronną, krytyczną prezentacją „zachodniego marksizmu” właśnie. Z myślą o tym projekcie opracowałem nową anglojęzyczną edycję mojej monografii o Brzozowskim, mającą prezentować czytelnikom zachodnim antyengelsowski marksizm polskiego myśliciela jako pierwszą (i doskonalszą od późniejszych) wersję „zachodniego marksizmu”²⁰. Po zaskakująco szybkim ogólnoeuropejskim krachu radzieckiego socjalizmu plan ten musiał oczywiście ulec zmianie, co nie odbiło się jednak na zawartej w książce pozytywnej prezentacji zmodernizowanej antyengelsowskiej wersji historycznego materializmu, eksponującej nowatorstwo myślowe Brzozowskiego (a przy okazji także Kołakowskiego). Było to możliwe dzięki wyraźnemu oddzieleniu od siebie dwóch części składowych

całościowo rozumianego marksizmu: materializmu historycznego jako teorii „królestwa konieczności”, w ramach której świadomość ludzka określana jest przez żywiołową konieczność rozwoju ekonomicznego, oraz wizji komunistycznej przyszłości jako „królestwa wolności”, wyzwalającego ludzi spod władzy ślepej konieczności dzięki racjonalnemu jej zrozumieniu oraz rozciągnięciu nad nią kontroli przez świadomie zorganizowane w tym celu siły społeczne²⁰.

W odróżnieniu od trzytomowego dzieła Kołakowskiego książka moja miała być przede wszystkim historią marksizmu jako komunistycznej utopii – tej właśnie, którą próbował wcielić w życie Lenin i która poniosła spektakularną klęskę na naszych oczach. Wbrew przytoczonej wyżej opinii Edwarda Karolczuka nie „znęcałem się” w niej nad marksizmem jako teorią i krytyką ustroju kapitalistycznego, nie idealizowałem także klasycznego, dziewiętnastowiecznego liberalizmu. Przeciwnie: starałem się podkreślać również mocne strony marksizmu jako analizy „królestwa konieczności”, koncentrując swój wywód na marksizmie jako komunistycznej utopii. Ale nawet w ocenie komunizmu starałem się o sprawiedliwość: pisałem wprost, że „traktuję komunizm jako ideologię skompromitowaną, ale mimo to zasługującą, aby dostrzegać w niej coś niezmiernie ważnego, co stanowi lekcję i ostrzeżenie: gwałtownie przesadną i tragicznie błędną reakcję na rozliczne i jak najbardziej rzeczywiste ułomności społeczeństw kapitalistycznych i tradycji liberalnej²¹.

Niemniej jednak nie ulega wątpliwości, że moja ogólna ocena marksizmu jako komunizmu wypadła bardzo surowo: dostrzegłem w niej przecież teoretyczne źródło i legitymizację socjalistycznego w intencji totalitaryzmu. Uzasadniałem tę tezę przez szczegółową analizę komunistycznej koncepcji wolności pojmującej ją nie jako wolność indywidualną tu i teraz, lecz jako wolność gatunkową w mniej lub bardziej odległej przyszłości: nie jako wolność od osobowego, arbitralnego przymusu, lecz jako suwerenne panowanie nad żywiołowymi procesami, a więc nie jako wolność od cudzej kontroli, ale jako zdolność do celowego kontrolowania warunków życia. Nieuchronną konsekwencję takiego rozumienia wolności widziałem w centralnym i najbardziej utopijnym postulatcie marksowskiej wizji przyszłości, domagającej się nie tylko zabezpieczeń przed dyktatem rynku, lecz również całkowitej eliminacji mechanizmów rynkowych. Na podstawie szczegółowych analiz starałem się wykazać, że dążenie to było główną przyczyną wprowadzenia przez bolszewików tzw. „komunizmu wojennego”, mającego być „bepośrednim przejęciem do komunizmu”, a następnie, po nieuchronnej klęsce tego skrajnie utopijnego projektu i przejściowym wycofaniem się z niego, tak zwanej „rewolucji odgórną”, tolerującej wprawdzie szczątkowe formy rynku, ale organizującej gospodarkę ogromnego kraju na zasadach totalnie scentralizowanego planowania, czyli gospodarki nakazowej, mającej realizować socjalizm metodami państwowego przymusu, mającego eliminować „żywołowość” rynku.

Upadek radzieckiego ustroju okazywał się w tym świetle konsekwencją nieuchronnego rozluźnienia mechanizmów przymusu, związanego z jednej strony z wygaśnięciem rewolucyjnego entuzjazmu, z drugiej zaś z osłabieniem zdolności egzekwowania przymu-

su przez komunistyczną elitę, marzącą o przekształceniu się w komfortową warstwę przywódczą i z tego powodu życzliwie odnoszącą się do oczyszczenia swych szeregów ze starobolszewickich, ideologicznie motywowanych działaczy. Hannah Arendt nazwała ten długi i złożony proces ideologicznej erozji „detotalitaryzacją”. W ramach „bloku radzieckiego” krajem najbardziej zaawansowanym pod tym względem była niewątpliwie Polska Ludowa, w której proces detotalitaryzacji przybierał postać autentycznej liberalizacji, stwarzającej w ramach „realnego socjalizmu” wyraźną nową jakość.

Łatwo zrozumieć, że w ocenach tej książki różniono się bardzo mocno. Lewicy zachodniej nie mogło się podobać, że uznałem marksizm za ważne źródło ideowe leninowsko-stalinowskiego totalitaryzmu. Amerykańscy sowietologowie z tzw. „szkoły rewizjonistycznej” cieszyli się jednak z potwierdzenia swego poglądu, że ustrój radziecki ewoluował, a nie zastygł w postaci niezmiennej, jak twierdzili zimnowojenni zwolennicy statycznego „modelu totalitarnego”. Polscy „postkomuniści” przyjmowali z zadowoleniem moją diagnozę, że ustrój PRL stracił w 1956 roku cechy totalitarne i mógł wykazać się znacznym poszerzeniem wolności w pozapolitycznych sferach życia. Antykomuniści z byłej opozycji uważali natomiast, że pomniejsza to znaczenie ich walki z ustrojem, często reagując na moje poglądy z oburzeniem, nie przyjmując do wiadomości oczywistego faktu, że ukazywanie w anglojęzycznej książce antytotalitarnej funkcji Polski jako całości leżało w interesie wszystkich Polaków.

Dobłą ilustracją ważnej rozbieżności poglądów w tej sprawie jest moja polemika z poznańskim filozofem Leszkiem Nowakiem, któremu nigdy nie odmawiałem przecież należytego szacunku. Spór dotyczył kwestii marksizmu w PRL: czy (jak twierdził Nowak) spełniał on rolę łagodzącą represyjny charakter ustroju, czy też (zgodnie z moim poglądem) dostarczał mu ideologicznej legitymizacji, przeciwdziałając w ten sposób tendencjom liberalizacyjnym. Argumentowałem na rzecz tej tezy, dowodząc, że marksistowska ideologizacja osłabiła w Polsce i tak niezbyt mocną tradycję praworządności, likwidowała demokrację w imię „nieomylnego trybunału dziejów”, uzasadniała rządy monocentryczne jako nieodłączne od „planowej kontroli”, eliminowała mechanizmy rynkowe, a w okresie dominacji stalinizmu (przed „odwilżą” lat 1955-1956) narzucała społeczeństwu ideologiczny uniformizm, przekształcając Polskę w totalitarne „państwo światopoglądowe”. Natomiast państwowość PRL-owska, mimo wszystkich swoich fundamentalnych ułomności, stwarzała „rzeczywistość społeczną, w której dokonywał się proces osławiania, łagodzenia i rozmywania komunizmu – mimo wszystkich zahamowań i cofnięć tego procesu, w pełni uzasadniających rozczarowanie społeczne”²².

IV.

Ostatnia, bardzo długa faza opowiadanej tu historii przypada na okres postpeerelowski, czyli na czas świadomej, często entuzjastycznej budowy zrębów zmodernizowanej gospodarki kapitalistycznej. W skali światowej jednak jest to czas, w którym kapitalistyczny postęp przestał kojarzyć się z emancypacją społeczną, czyli z reformami promującymi równo-

wagę między kapitałem a pracą przez zapewnienie wszystkim obywatelom warunków bezpiecznego, godnego życia. W myśli liberalnej, legitymizującej do niedawna opiekuńcze państwo socjalne, dokonał się zwrot w kierunku „neoliberalizmu”, demontującego z trudem wywalczony kompromis w postaci *welfare state* w imię nieograniczonej, globalnej władzy kapitału. Nierówność społeczna wzrosła do nieprawdopodobnych rozmiarów, a ideologię nowego ładu światowego zdominowały bezprecedensowe ataki na socjalne prawa człowieka, które w okresie zmagania o obalenie radzieckiego „komunizmu” uważane były (m.in. przez „polskiego papieża” Jana Pawła II) za nienaruszalne, równie ważne jak prawa cywilne i polityczne. W imię dogmatów „wolnego rynku” i powszechnej prywatyzacji państwa narodowe pozbawione zostały demokratycznej władzy nad gospodarką, prawo zaś przestało być gwarantem czegokolwiek w zakresie relacji społecznych. Na miejsce salariat, chronionego przez kodeksy pracy, i walczące o zmienianie ich na korzyść związki zawodowe, pojawił się bezbronny prekariat, zatrudniany na zasadach „elastycznego czasu pracy” (czyli na kontraktach słusznie nazywanych „śmieciovymi”) i niemogący liczyć na pomoc ani państwa, ani zorganizowanego świata pracy²³. Odrębne uprawnienia różnych grup zawodowych traktować poczęto jako „przywileje”, które należy odebrać, a idealizowany do niedawna pluralizm społeczeństwa obywatelskiego traktowany jest dziś jako nieczysty układ partykularnych interesów, usiłujących wymusić korzystne dla siebie odstępstwa od jedynie słusznej ponoć „sprawiedliwości rynkowej”. Wątpliwe stały się nawet uprawnienia emerytalne, mimo że trudno w to uwierzyć ludziom przywykłym do traktowania ich jako uniwersalnej zdobyczy cywilizacji zachodniej.

Wszystko to podważyć musiało liberalny optymizm polegający na przekonaniu, że można zaufać gospodarce kapitalistycznej, ponieważ jest ona reformowana i rozwija się w pożądanym kierunku. Dziś, niestety, nie jest to już oczywiste. Obowiązkiem intelektualisty znów stało się zadawanie pytania o możliwość, a może nawet konieczność, zasadniczej alternatywy ustrojowej.

Trudno się dziwić, że opisana sytuacja skłoniła wiele osób, w tym niżej podpisanego, do konstatacji, że Marksowska krytyka polaryzacyjnych i antywolnościowych tendencji kapitalizmu, uważana już w czasach klasycznego rewizjonizmu Edwarda Bernsteina za zdezaktualizowaną przez realny rozwój, nabrała nowej, bardzo bolesnej aktualności. Skłoniło mnie to do zmodyfikowania mego poglądu na Marksowską koncepcję wolności jako społecznej kontroli nad zbiorowym losem. W *Marksizmie i skoku do królestwa wolności* widziałem w niej głównie niebezpieczny w swych konsekwencjach atak na klasycznie liberalną ideę wolności indywidualnej, obecnie zaś dostrzegam w niej składnik integralnego pojmowania wolności.

Za podstawę tej integralnej koncepcji wolności uważam rozwinięte przez Marksa w *Grundrisse* typologiczne rozważania dwóch rodzajów zależności: zależności „osobistej”, charakteryzującej formację przedkapitalistyczne, i urzeczowionej „zależności obiektywnej”, czyli zależności od tzw. „niewidzialnej ręki rynku”. Osobliwością poglądów Marksa, przeciwstawiającą go ideolo-

gom liberalizmu, było uznanie tej drugiej, czyli zależności „obiektywnej”, za gorszą od zależności „osobistej”, prowadzące do wniosku, że rozwój kapitalistyczny oznaczał (w porównaniu z feudalizmem) redukcję, a nie przyrost wolności. Z tezą tą nie zgadzam się, podzielał bowiem powszechne odczucie, że zależność osobista, czyli (jak pisał F. Hayek), „zależność od cudzej arbitralnej woli”, jest bardziej upokarzająca niż zależność „obiektywna”. Refleksja nad problematyką wolności w kapitalizmie „neoliberalnym” doprowadziła mnie jednak do wniosku, że wolność postulowana przez Marksa jest nie zaprzeczeniem, lecz niezbędnym uzupełnieniem wolności liberalnej.

Zdecydowała o tym nie tylko zmiana oceny realiów społeczno-politycznych, lecz również względy ściśle teoretyczne. Liberalną koncepcję wolności definiowałem – w ślad za Isaiahem Berlinem²⁴ – jako powiązaną (w odróżnieniu od koncepcji demokratycznej) nie z problematyką źródła władzy i partycypacji w niej, ale z problematyką **zakresu** władzy, a więc ograniczania jej w interesie wolności jednostki. Oczywiście jest zaś, że władza – zwłaszcza w ustroju kapitalistycznym – jest nie tylko polityczna, lecz również ekonomiczna, i że ta ostatnia, a więc władza rynku, może być równie totalna jak dyktatura polityczna. Z punktu widzenia nowoczesnego liberalizmu ograniczenie bezosobowej władzy rynku jest więc równie istotne jak ograniczenie władzy rządu, „niewidzialna ręka rynku” może bowiem dławić wolność jednostki w sposób równie totalitarny (choć inny) jak „widzialna ręka” jednoosobowego lub zbiorowego dyktatora. Tym bardziej że „bezosobowość” autokracji rynku jest w globalnym kapitalizmie pozorem raczej niż realnością, w rzeczywistości bowiem dzisiejszy świat „wolnorynkowy” nie jest już (wbrew poglądom Hayeka) oddolnie tworzonym „porządkiem spontanicznym”, lecz tworem konkretnych wielkich finansistów, zachowujących wprowadzie anonimowość, ale podejmujących we własnym interesie świadome decyzje, decydujące o losach narodów, a nawet całego świata.

John Stuart Mill słusznie podkreślał, że formą władzy, którą należy ograniczać, jest także władza opinii publicznej, sprzeczna z wolnością sumienia i wykluczająca prawdziwą wolność wyboru. Jej skrajną formę trafnie definiuje się dziś jako przemoc symboliczną, czyli technikę wymuszania akceptacji – od manipulowania pokusami do manipulowania strachem, groźbą wykluczenia lub marginalizacji. Współcześni Polacy poznali to dobrze w postaci szantażu lustracyjnego, będącego przykładem drastycznego ograniczenia wolności „postkomunistów” lub szantażu patriotycznego, wymuszającego zgodę na poglądy lansowane przez „autorytatywne” media. Studia nad dziejami liberalizmu w Rosji przekonały mnie, że również wielcy liberałowie rosyjscy – Borys Cziczew, Włodzimierz Sołowjow, a także mój nauczyciel Sergiusz Hessen, dobrze zdawali sobie sprawę, że wszelkie formy zorganizowanej świadomości stosownej presji psychicznej są niedopuszczalnym pogwałceniem indywidualnej wolności.

Wróćmy jednak do typów zależności (a więc także wolności)²⁵ wyróżnionych przez Marksa. Spróbuję zilustrować je w postaci tabelki ukazującej po lewej stronie cechy wolności „osobistej” (wolność nr 1), a po prawej cechy wolności „obiektywnej” (wolność nr 2).

I. Sytuacje paradygmatyczne braku wolności:	
Niewolnictwo, uwięzienie, przymus fizyczny	„Swobodny” kontrakt bezsilnego z silnym; nie ma fizycznego przymusu, ale nie istnieje też możliwość swobodnego wyboru
II. Definicje zniewolenia:	
– potrafię – stać mnie na to, ale mi nie wolno	potrafię, wolno mi, ale nie stać mnie na to
– jestem ograniczony przez obcą wolę	jestem ograniczony przez bezosobowe mechanizmy, które jednak nie są „naturalne”
– ktoś przeszkadza mi w samorealizacji	coś przeszkadza mi w samorealizacji (ale to „coś” nie jest naturalną koniecznością)
– zależność od innych ludzi jest bardziej upokarzająca, zależność od bezosobowych mechanizmów budzi mniej sprzeciwu	zależność od rzeczy jest bardziej upokarzająca, bo podważa poczucie własnej wartości („jestem do niczego”), nie pozwala zwać winy na innych
– zależność od ludzi może nie wydawać się nieodwołalna	zależność bezosobowa może totalnie pozbawiać nadziei
– skrajną postacią braku wolności osobistej jest totalitaryzm polityczny, pozbawiający ludzi wolności sumienia i myśli przez indoktrynację	skrajną postacią autokracji rynku jest totalitaryzm ekonomiczny, pozbawiający ludzi wolności sumienia i myśli przez oglupienie, zamianę w manekiny.
W obu przypadkach groźba całkowitego unicestwienia jednostkowej wolności i podmiotowości.	

Z analiz tych wynika oczywiście wniosek, że zreformowany socjalny liberalizm, respektujący i pragnący poszerzyć wolność osobistą, ale dostrzegający również problem zniewolenia ekonomicznego i próbujący mu przeciwdziałać, był jedynym sposobem ocalenia podstawowych wartości liberalnych, a więc jedynym liberalizmem godnym tej nazwy.

Marks natomiast mylił się, widząc w kapitalizmie dynamiczny rozwój kosztem wolności, której było ponoć więcej w formacjach przedkapitalistycznych. Jeszcze bardziej mylił się, tworząc utopię wyzwolenia przez likwidację rynku. Nie mylił się jednak, ujmując proces historyczny jako historię wolności sprzężonej z nasilaniem się alienacji, czyli zwiększania zależności ludzi od wyobcowanych, urzeczowionych mechanizmów społecznych.

Ujęcie to czyni rzeczą oczywistą historyczny priorytet „wolności 1”, czyli wolności od bezpośredniego przymusu. Nie był to jednak priorytet absolutny, bo w epoce kapitalistycznej, zwłaszcza w czasach kapitalizmu globalnego, priorytetowa staje się „wolność 2”, czyli niezależność od przymusu ekonomicznego. Z tym istotnym zastrzeżeniem, że doświadczenie komunizmu dowiodło przeciwskuteczności prób zniesienia rynku na rzecz „świadomej kontroli”. Dokonał się w tej kwestii dialektyczny powrót do stanowiska klasycznie liberalnego, ale dialektyczny właśnie, czyli zachowujący istotną prawdę „wolności 2”. Jednocześnie neoliberalizm, absolutyzujący „wolność 1”, dowodzi dziś na każdym kroku, że właśnie „wolność 2”, czyli wolność postulowana przez Marksa, wysuwa się na plan pierwszy, co zmusza jej przeciwników, mieniących się liberałami, do

bronienia „staroliberalnej” autokracji rynku z użyciem metod prawnopolitycznego przymusu, a nawet bezpośredniej przemocy.

Marks mylił się więc w swej komunistycznej utopii, ale wniósł istotny wkład do typologii wolności i miał rację w sprawie wzrastającego znaczenia „wolności 2” oraz groźby ogólnego kryzysu wolnorynkowego kapitalizmu (pojawiającej się wprawdzie dużo później niż przewidywał, ale coraz wyraźniej widocznej). To nie było mało! Liberalizm więc powinien we własnym interesie w pełni wykorzystywać ten dorobek swego wielkiego krytyka.

Ale marksizm bez liberalizmu niczego dobrego nie wróży. To już wiemy. Pisaniu na ten temat poświęciłem kilka najlepszych naukowo lat mojego życia. Nie odżegnuję się od dorobku tych lat, ale dziś inaczej jednak rozstawiam akcenty. Wynika to nie tyle ze zmiany istotnej treści moich poglądów, ile raczej ze zmiany ogólnej sytuacji, a więc również hierarchii problemów w świecie i w Polsce.

Uderzającą cechą politycznego etosu dzisiejszej Polski jest uwrażliwienie na fizyczny przymus (widoczny zwłaszcza w oburzeniu, gdy coś takiego zdarza się w autorytatywnych Chinach lub szczególnie nie lubianej Rosji) przy jednoczesnym przyzwalaniu na pseudopatriotyczną przemoc symboliczną w polityce oraz przy przesadnym, niedopuszczalnym moim zdaniem, tolerowaniu brutalnych repriwatywacji, eksmisji na bruk oraz licznych przejawów przemocy silniejszego, zakładających nadrzędność praw własności nad prawami człowieka. W tych warunkach obrona właściwej hierarchii wartości staje się wspólnym zadaniem socjal-

ných liberałów i liberalnych socjalistów. Realizowanie tego zadania wymaga, jak sądzę, pogłębionej wiedzy o dorobku Karola Marksa i umiejętności korzystania z pozytywnego wkładu tego myśliciela w emancypację ludzkości.

Warszawa, styczeń 2015 r.

ANDRZEJ WALICKI

1. Wzruszającym, lecz smutnym przejawem takiej postawy był list do mnie kilku filozofów z Uniwersytetu Śląskiego, w którym gratulowano mi odwagi w pisaniu o marksizmie.
2. J. Ładosz, *Spór o marksizm*, „Z Pola Walki”, 1987, nr 1, s. 64 i 77-78.
3. A. Walicki, *Unieszkodliwianie marksizmu-leninizmu. Marksistowska filozofia w PRL w świetle osobistych wspomnień*, w: A. Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Universitas, Kraków 2013, s.137-138.
4. A. Walicki, *Osobowość a historia. Studia z dziejów literatury i myśli rosyjskiej*, PIW, Warszawa 1959.
5. Patrz A. Walicki, *W sprawie warszawskiej szkoły historyków idei. Kilka sprostowań i uwag*. „Przegląd Polityczny” 2015, nr 1 [w druku].
6. L. Kołakowski, *Jednostka i nieskończoność. Wolność i antynomia wolności w filozofii Spinozy*, Warszawa 1958, s. 5.
7. B. Baczko, *Kryptoproblemy i historyzm*, w: idem, *Człowiek i światopogląd*, Warszawa 1965, s. 411 n.
8. A. Walicki, *W kręgu konserwatywnej utopii. Struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa*, Warszawa 1964 (II wyd. – 2002), s. 10.
9. Patrz A. Walicki (red.) *Filozofia społeczna narodnictwa rosyjskiego*, t. 1-2, Warszawa 1965 oraz idem, *The Controversy over Capitalism. Studies in the Social Philosophy of the Russian Populists*, Clarendon Press, Oxford 1969. Drugie wydanie (w miękkiej okładce) opublikowane przez University of Notre Dame Press, Notre Dame, Indiana 1989. Recepcję moich prac o narodnictwie oraz rosyjskim marksizmie omawiam w rozprawie *Miejsce ekonomii w moim ujęciu intelektualnej historii Rosji. Próba zwięzłego podsumowania*, „Przegląd Humanistyczny” 2014, nr 3, s. 5-45. Patrz też idem, *Idee i ludzie. Próba autobiografii*, Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa 2010, s. 138-141.
10. Poglądu takiego bronił w korespondencji ze mną autor ważnej monografii o Marksie, Isaiah Berlin. Patrz A. Walicki, *Spotkania z Isaiahem Berlinem. Dzieje intelektualnej przyjaźni*, Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa 2014, s. 156-158.
11. Patrz A. Walicki, *Marks i Engels o sprawie polskiej. Koncepcja narodu i ujęcie kwestii narodowej*, w: idem, *Kultura i myśl polska. Prace wybrane*, t. 4, Universitas, Kraków 2011, s.129-175. Wersja angielska pt. *Marx, Engels and the Polish Question*, w: „Dialectics and Humanism”, 1980, vol. 7, a także w książce napisanej w USA w 1978 r.: idem, *Philosophy and Romantic Nationalism. The Case of Poland*, Clarendon Press, Oxford 1982.
12. Podsumowaniem tych badań była monografia: A. Walicki, *Stanisław Brzozowski – drogi myśli*, PWN, Warszawa 1977. W czasie pobytu w Australii opracowałem nieco zmieniony angielski wariant tej książki, opublikowany w roku 1989 pod tytułem: *Stanisław Brzozowski and the Polish Beginnings of Western Marxism*, Clarendon Press, Oxford 1989. Książka ta opatrzona została obszernym wstępem, analizującym relacje między myślą Brzozowskiego a „zachodnim marksizmem”, a także posłowiem złożonym z dwóch części: *Lukács, Gramsci i szkoła frankfurcka* oraz *Stanisław Brzozowski i Leszek Kołakowski*. W aneksie umieściłem list poświęcony książce, który otrzymałem od wybitnych uczniów Lukácsa, Ferencza Fehéra i Agnes Heller. Patrz A. Walicki, *Kultura i myśl polska. Prace wybrane*, t. 3, Universitas, Kraków 2011, s. 364-419.
13. Patrz *Stanisław Brzozowski – drogi myśli*, s. 77.
14. Patrz A. Walicki, *Il marxismo polacco fra Otto e Novecento*, w: *Storia del Marxismo*, pod red. E. Hobsbawma i in., t. 2, Giulio Einaudi, Torino 1979, s. 597-618. Artykuł ten ukazał się równocześnie z polską edycją *Głównych nurtów marksizmu* Leszka Kołakowskiego – dzieła, którego drugi tom zawiera rozdział o Brzozowskim, a dwa lata przed angielską edycją tej książki.
15. Patrz S. Brzozowski, *Kultura i życie*, PIW, Warszawa 1973, s. 358; G. Lukács, *Historia i świadomość klasowa*, PWN, Warszawa 1988, s. 278, 283-287. Omawiam to zagadnienie w rozprawie *Brzozowski i zagadnienie „zachodniego marksizmu”*, w moich *Pracach wybranych*, t. 3, s. 384-386.
16. Piszę o tym w autobiografii *Idee i ludzie*, s. 175-176.
17. Patrz A. Walicki, *Spotkania z Isaiahem Berlinem*, s. 175-176 (list Berlina z 22 września 1982 r.), a także s. 215 (list Berlina z 13 lutego 1995 r., zawierający niezwykle wysoką ocenę moich prac o marksizmie oraz prac L. Kołakowskiego). Podobne oceny wypowiadało wówczas parę innych osób, w tym Martin Malia (w artykule *The End of the Noble Dream. How „Western Marxism” Misread the Real Marx*, „Times Literary Supplement”, Nov. 1977, s. 20-22 oraz Zygmunt Bauman (w listach do mnie).
18. Patrz „Shiso”, 1983, nr 3, s. 134-155.
19. Patrz Alvin W. Gouldner, *Against Fragmentation: The Origins of Marxism and the Sociology of Intellectuals*. Pisałem o tej książce na łamach „New York Review of Books”, 1985, April 25, s. 41-43.
20. Patrz wyżej, przyp. 12.
21. Interpretację tę, znaną niestety tylko wąskiej elicie „markso-logów” i traktowaną przez nich jako ezoteryczna, naszkicowali w swoich pracach J. Calvez (*La pensée de Karl Marx*, Paris 1961), a następnie Stanley Moore (*Marx on the Choice Between Socialism and Communism*, Cambridge 1980). Wkładem mojego *Marksizmu i skoku do królestwa wolności* jest powiązanie tej myśli z koncepcją „samo wzbogacającej się alienacji”, zastosowanej do interpretacji marksizmu przez Kołakowskiego. Pozwoliło mi to pogodzić tezę Moore’a o braku naukowego związku między materializmem dziejowym a Marksowską wizją komunizmu, z ukazaniem związku obu tych części marksizmu w strukturze klasycznego mitu, mówiącego o „szczęśliwej winie”, czyli o upadku jako drodze do wyższej jedności, czyli o rozwoju przez utratę jedności (alienacja), a następnie odzyskanie jej w wieńczącej rozwój fazie powszechnej reintegracji. Patrz A. Walicki, *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii*, PWN, Warszawa 1996, s.100-101.
22. Patrz A. Walicki, *Niewinny marksizm?*, „Polityka”, 20 V 1995. Przedruk w: idem, *Polskie zmagania z wolnością*, Universitas, Kraków 2000, s. 125-132.
23. Patrz G. Stauding, *Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa*, PWN, Warszawa 2014.
24. Patrz I. Berlin, *Dwie koncepcje wolności* (1957).
25. Pierwszy z tych typów wolności, klasycznie liberalny, można nazwać „wolnością jako brakiem kontroli”, drugi zaś, Marksowski, wolnością jako „suwerenną kontrolą nad własnym losem”. Pierwsza jest wolnością jednostki od „cudzej arbitralnej woli”, druga zakłada niezależność ciała zbiorowego od ekonomicznego przymusu, wywieranego przez mechanizmy rynku.

MARCIN KULA

PAMIĘĆ NARODÓW

TO WIELONUTOWY POEMAT

Historia zrodziła pojęcie narodu i ukształtowała współczesne narody. Historycznie ukształtowały się dominujące w nich obyczaje i skale wartości, autostereotypy grup oraz ich stereotypy w oczach innych.

Nie wszystkie narody kultywują pamięć własnej przeszłości z równą intensywnością. W Kanadzie poważniejsze miejsce w mitologii narodowej zajmuje chyba hokej, także liść klonu, syrop klonowy i rozległość terytorium. W Brazylii – wspaniała przyroda i też rozległość terytorium.

Wiele narodów wszakże kultywuje pamięć. Uważa ją za konieczny element istnienia w charakterze narodu, wciąż przeżywa fakty z przeszłości, dba o program nauczania historii w szkołach, organizuje obchody i imprezy, uwzględnia symbole historyczne w umundurowaniu i ceremoniale wojskowym. Oczywiście zawsze można postawić pytanie, jak duża część narodu naprawdę przejmuje się przeszłością. Może to być li tylko grupa ideologów, we własnym przekonaniu wyrażająca naród. Może też zaistnieć sytuacja taka, jak dziś w Polsce. Pamięć o przeszłości jest bardzo ważna, a odnoszenia do niej są wyraźnym kryterium podziałów jeszcze szerszych niż w grupie polityków, podczas gdy jednocześnie wiedza o historii jest prawie żadna. Pamięć o dziejach funkcjonuje tu jako nieduży zestaw symboli sprowadzonych właśnie do treści symbolicznych.

Polityka rozlicznych państw stanowiąca odbicie narodowego pochylenia się nad mniej lub bardziej realną czy też mniej lub bardziej zsymbolizowaną wizją historii jest tym ciekawsza, że nie widać z tego żadnych bezpośrednich korzyści. Działania motywowane pamięcią o przeszłości oraz wypadki wzorowania się na minionych epizodach i bohaterach zdarzają się w różnych sytuacjach, ale na ogół nie obserwuje się, by ludzie znający przeszłość, wręcz ludzie zapasjonowani nią, wręcz historycy, staranniej płacili podatki, lepiej pracowali, czy gorliwiej służyli w wojsku w potrzebie. Podczas II wojny światowej wielu Polaków pamiętało zapewne dawniejsze losy kraju, ale mało prawdopodobne, by np. żołnierze amerykańscy lądujący na plażach francuskich myśleli o historii. Nie walczyli przez to gorzej.

W czym zatem jest użyteczna historia dla narodów, które się do niej intensywnie odwołują?

Historia mówi o korzeniach. Mogą to być korzenie zmitologizowane czy wręcz wymyślone, czy też wskazane dosyć arbitralnie, czy w końcu takie, do których aspirują również inne narody. Przyjemnie jest jednak mieć jakieś korzenie. Mało kto już wprowadzie dzisiaj wierzy, jakoby narody powstały tak, iż jakieś przedpotopowe, małe plemię (a jeszcze lepiej miejscowy Adam i miejscowa Ewa) rozrodziło się do dzisiejszych milionów ludzi, ale wielu współczesnym przykro stać na stanowisku, iż narody są tworem całkowicie wyobrażonym, złożonym z prawie przypadkowego zbioru ludzi zgromadzonych na skutek kolejnych migracji.

W przeszłości często tkwią też źródła ukształtowania się symboliki narodowej. Na przeszłość wskazuje się w życiu narodów jako na obszar, w którym tkwią korzenie wielu rozwiązań instytucjonalnych oraz funkcjonujących idei. To je na swój sposób legitymizuje, o czym niżej. Mogą być one wskazane arbitralnie, podobnie jak wspomniane korzenie narodu. Zwolennicy różnych rozwiązań instytucjonalnych lub/i różnych idei nieraz jednak podkreślają, że korzenie rozwiązań, z którymi sympatyzują, tkwią w odmiennych warstwach lub/i epizodach przeszłości niż inne.

Historia najczęściej służy umacnianiu wspólnoty przez pokazywanie, iż grupa długotrwale funkcjonowała razem. Podkreśla się, ile to już przeżyła razem. Bywają z tym kłopoty, gdyż nawet przy najlepszej woli czasem trudno dostrzec owo wspólne działanie. Grupa dominująca i w konsekwencji ustalająca kanoniczną wizję historii albo „nagina” ją w takich sytuacjach, albo pomija grupy nie mieszczące się w niej. Ciekawe jak wybrnie ze sprawy np. Południowa Afryka, gdzie jedynym wątkiem wspólnie przeżywanym w dziejach przez Białych i Czarnych była wzajemna nienawiść. Może okaże się możliwym zbudowanie wspólnoty myśli wokół dziejów wrogości i jej przezwyciężenia, ale będzie to nowość w funkcjonowaniu wiedzy o przeszłości.

Ciekawe, jaka kanoniczna wizja przeszłości ukształtuje się też w innych byłych koloniach o istotnym i trwa-

łym białym osadnictwie. Takie sprawy są oczywiście powiązane z dzisiejszym stanem stosunków między grupami żyjącymi na danym terenie. W konsekwencji sytuacji współczesnej każda z grup może chcieć budować własną wizję przeszłości – co wtórnie, poprzez toczące się dyskusje czyni historię obecną w narodowym życiu. Grupa może też nie tyle chcieć niezależnie kulturować własną wizję, ile uczynić ją obecną w pamięci historycznej kraju. Może się wówczas pojawić kłopot, że jej pamięć nie jest miła innym grupom. Ostatecznie jest łatwiej, choć też nie zawsze przyjemnie, zbudować nowe pomniki, niż jednocześnie zbudować nowe i obalić stare (np. obalić pomniki generałów, którzy walczyli z Indianami).

Pamięć pewnych grup może w końcu nakładać się na pamięć stosunków danego narodu z narodem, z którego rekrutuje się dana mniejszość. Jej uwzględnienie może stać się wtedy podwójnie skomplikowane. W praktyce rozwiązania takich zagadnień zależą od bardzo wielu czynników, z których nie najmniej ważne jest czy historia w ogóle stanowi rzecz ważną w danym momencie na danym terenie oraz to, czy grupa, której wizja była dotychczas pomijana, chce ją ożywić. Skądinąd może powstać paradoksalna sytuacja, gdy grupy prawie nie ma, a jej pamięć i pamięć o niej stają się wielkim problemem narodowej pamięci (*vide* renesans pamięci o Żydach w Polsce w obecnych czasach).

Sprawę uwzględnienia konfliktowych pamięci poszczególnych grup w pamięci narodowej może ułatwić fakt, iż w ogóle zmniejszy się waga myślenia o historii w myśleniu narodów, choć jest to mało prawdopodobne. Globalizacja będzie raczej owocować właśnie akcentowaniem idei narodowej, a ujednolicanie się wszystkiego i wszystkich może owocować akcentowaniem specyfiki narodowej, w tym własnej historii. Historia narodowa, jako odmienna od historii innych narodów, zawsze była jednym ze znaków tożsamości, teraz potrzeba takich znaków będzie zapewne więcej, zaś historia wciąż będzie jednym z nich.

Historia bywa instrumentem dowartościowania. W kanonicznej, tej nauczanej w XIX-wiecznych szkołach i pokazywanej w ówczesnych muzeach wersji historii narodowej najczęściej dominowały wątki chwalebne i bohaterskie. Nie zawsze musiały to być osiągnięcia w dobrych lub złych kontaktach z innymi ludźmi; mogły być równie dobrze np. w zagospodarowaniu terenu, w gospodarce, w, powiedzmy ogólnikowo, cywilizacji. Czasami brak osiągnięć stwarzał pewien kłopot. Na ogół można było jednak znaleźć formację państwowopodobną lub kulturę archeologiczną sprzed wieków, którą udawało się wskazać jako wybitnego poprzednika. Nawet niewielką potyczkę można było przedstawić jako ważną bitwę na drodze do niepodległości. Udało się znaleźć kogoś, kto wymyślił rozwiązanie techniczne niestety niedostrzeżone przez świat, później przypisane komu innemu itd. Jeśli zaś pojawiały się narodowe nieszczęścia, to zwykle pokazywano je jako niezastępowane, wręcz niesprawiedliwe w stosunku do danego jakże szlachetnego narodu. Jeżeli nawet pojawiały się sprawy wstydlive, to podkreślano ich trudne uwarunkowanie, niezależne od dobrej woli uczestników, a w ogóle nie do końca zrozumiane przez innych. Niektóre zjawiska po prostu wyciszano albo pomniejszano w imię dobrego samopoczucia. Mało mówiono

o faktach z przeszłości niewygodnych z punktu widzenia dzisiejszych poglądów.

Ta ostatnia sprawa jest delikatna, ponieważ nie wszystkie fakty i poglądy z przeszłości ma sens analizować tak, jak gdyby się rozgrywały dzisiaj. Łatwo w takim wypadku popaść w ahistoryzm. Nie zmienia to jednak faktu, że pomijanie czy pomniejszanie też było i ewentualnie jest dokonywane z punktu widzenia dzisiejszej skali wartości.

Historia bywa instrumentem wspierającym w wypadku aktualnie przeżywanych kłopotów. Chwalebna historia może dostarczać psychicznego schronienia w obliczu różnych dolegliwości dnia dzisiejszego, wręcz łagodzącego lekarstwa przeciw nim. Może jednak powstać sytuacja, że co dla jednych w ramach danego narodu lub dla jednego z narodów jest wspaniałą przeszłością, dla innych jest przeszłością godną potępienia. Dyskusje wokół tego wtórnie wzmacniają zainteresowanie historią w narodzie.

Narody ze względu na ową funkcję dowartościującą i wspomagającą często nie lubią weryfikacji wątku osiągnięć w swej kanonicznej wizji historii. Zwłaszcza narody o trudnej drodze dziejowej, niepewne swego, czy też w głębi duszy świadome niedobrych czynów kiedyś dokonanych, tego nie lubią. Może dlatego w ostatnich czasach, w wypadku niejednego narodu wielkie rewizje wizji dziejów zostały zainicjowane od przypomnienia epizodów drastycznych przez historyków zagranicznych. Tylko oni dostrzegli przemilczane negatywy lub/i tylko oni odważyli się o nich głośno mówić. Nieraz są to wszakże sprawy autentycznie trudne, a narody (rodziny, ludzie) nawet w ramach tych samych zjawisk historycznych mogą aspirować tyleż do chwały, ile obawiać się wstydu. Ci sami ludzie mogli np. bohatersko walczyć z Hitlerem i równie stanowczo realizować stalinizm. Najpewniej większość rosyjskich rodzin cierpiała z powodu represji stalinowskich i uczestniczyła w systemie na swoim szczeblu odpowiedzialności.

W ramach naszego systemu wartości dawność legitymizuje wiele postulatów, pretensji, aspiracji, interesów, ambicji narodowych, idei oraz rozwiązań instytucjonalnych. Stąd wyrażona *expressis verbis* lub pozostawiona w domniemaniu argumentacja odwołująca się do przeszłości w sprawach ważnych dla narodu lub/i dla poszczególnych jego grup. Stąd także odwoływanie się do przeszłości w ramach nieraz występującego w narodach sporu o to, kto jest dziedzicem narodowych dziejów, a więc w sumie kto ma prawo do rządu dusz i do steru rządów *tout court*. Poszczególne kierunki polityczne odwołują się do tych spośród dawnych nurtów, które uznają za swoich poprzedników bądź/i takich, które już dawniej głosiły postulaty miłe sercom osób dziś zgłaszających analogiczne. Przeszłość traktowana jako argument legitymizacyjny często staje się w konsekwencji przedmiotem sporów i walk prowadzonych ostatecznie w odniesieniu do dnia dzisiejszego – w ten sposób staje się niejako wtórnie ważną dla narodu. Ponieważ większość narodów, w tym również ościennych, postępuje podobnie, więc ten sam mechanizm bywa uruchamiany przez stosunki międzynarodowe. Prawda, że obecnie w życiu narodów zdarzają się wypadki celowego odcięcia się od przeszłości właśnie w imię rozwiązania dzisiejszych konfliktów. Nie jest to jednak częste i nie przychodzi łatwo. Podobnie czasem odstępuje się

od legitymizacji instytucji lub/i rozwiązań instytucjonalnych przez przeszłość. W naszym systemie wartości występuje bowiem pewna sprzeczność: przeszłość jest godna szacunku i stanowi czynnik legitymizacyjny, ale przeszłość bywa też równoznaczna ze starociami i sklerozą, z niedostosowaniem do nowych czasów. Na ogół usiłuje się więc połączyć dawność i świeżość w argumentacji legitymizacyjnej, choćby w reklamie handlowej (tradycja i najnowsze urządzenia jako współgrające w produkcji danej firmy) i politycznej (swego czasu jedno z haseł brytyjskich: „Twórz przyszłość razem z młodymi konserwatystami”). Historia bywa swego rodzaju alfabetem. Ponieważ w myśleniu ludzi wciąż dominuje historia narodowa, więc jej epizody i symbole są dopełnieniem narodowego języka. Nawiązując do jednych mówimy dobrze o czymś może zupełnie odmiennym, a nawiązując do innych mówimy źle. Ten dodatkowy alfabet nie zawsze musi być w pełni logiczny. W Meksyku słowo *malinchismo* jest potocznym określeniem zdrady, bowiem indiańska kochanka Corteza nazywała się Malinche. Tymczasem słowo to narodziło się w społeczeństwie długotrwale zdominowanym przez Kreoli i nawiązującym co najmniej tyleż samo do Corteza, co do Indian.

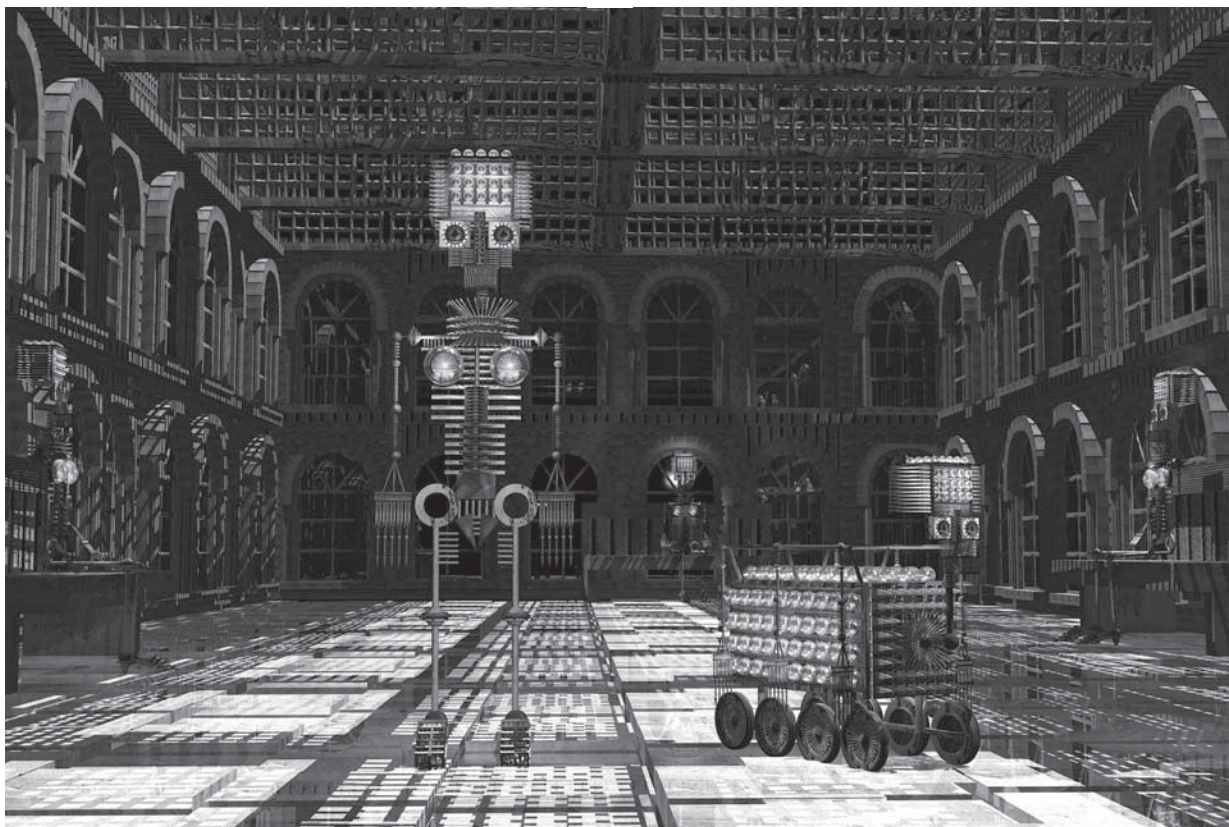
Historia bywa instrumentem wymierzania sprawiedliwości w ramach narodów i pomiędzy narodami. Częste jest myślenie w kategoriach winy bądź *a contrario* zasług narodów dla triumfu sprawiedliwości, także przeproszenie za narodowe przestępstwa. Wszystko to wywołuje na ogół narodowe dyskusje. Zdumiewa jak nieraz głą-

boko w przeszłość sięga obecnie ta tendencja. Narody nierzadko oskarżają się i przeproszają za czyny sprzed wieków. Pojawiają się wręcz postulaty wypłacania odszkodowań za czyny bardzo dawne.

Reasumując: myślenie o historii jest częścią zjawiska narodowego. Może być ono silniejsze lub słabsze, ale nie ma takiego narodu, w którym by go nie było. Nawet jeśli bohaterem Australii podobno nie stał się ani wojownik, ani twórca, ani odkrywca, lecz zdechły w 1932 r. koń wyścigowy Phar Lap, który wygrał 39 wyścigów i 66 tys. funtów dla obstawiających go graczy, to ów koń też był przecież fragmentem historii tego kraju, współczyniąc ją wielką. „Jego wypchany korpus wystawiono na honorowym miejscu w Muzeum Wiktorii w Melbourne, serce w Canberze, a szkielet zabrano do Nowej Zelandii, skąd Phar Lap pochodził [...] Pod koniec XX w. korpus tego niezwykłego kasztana nadal można było podziwiać w nowo utworzonym Muzeum Melbourne, a popularny podręcznik historii Australii poświęcił mu więcej miejsca niż całej literaturze pięknej lat trzydziestych”¹.

MARCIN KULA

¹ Jan Lencznarowicz, *Australia*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2005, s. 183.



Robert Małoszowski, *Poczekalnia*, z cyklu *Game over*, 2009.

MATEUSZ BURZAWA

JAK NAPRAWIĆ LEWICĘ?

Rok temu na łamach „Zdania”¹ pisałem o tym, dlaczego lewica nie może się zjednoczyć. Teraz chciałem zaproponować, co – moim zdaniem – teoretycznie można by i należałoby zrobić, aby lewica miała na coś wpływ w naszym kraju. Nie gwarantuję, że recepta na choroby lewicy, którą spróbuję przedstawić w tym tekście, będzie panaceum na przewlekłe choroby lewicy (zwłaszcza że na pewno nie będzie w całości i w detalach zrealizowana), ale być może będzie pomocna chociażby dla niektórych środowisk. Nim jednak wypiszę receptę i skieruję pacjenta na kurację, wpierw muszę postarać się zdiagnozować chorobę. Pozwolę sobie na wstępie krótko przypomnieć, gdzie dostrzegam źródła problemów.

Diagnoza: Choroba postpolityczności i jej objawy

W polskiej lewicy nadal dominuje SLD. Partia, której elity uczyły się „robienia polityki” w późnym PRL-u (lata 80.). Wtedy wielu działaczy zapisywało się do PZPR nie dlatego, że byli komunistami czy choćby socjalistami, ale dlatego, że PZPR była partią władzy. Zresztą wtedy PZPR odeszła od budowy socjalizmu na rzecz „realnego socjalizmu”, cokolwiek to miało znaczyć. Ważne, że bardziej niż faktyczne posiadanie socjalistycznych poglądów liczyło się deklaratywne posiadanie socjalistycznych poglądów rozumianych jako wierność partii i władzy ludowej. Poglądy wyznaczała więc aktualna linia partii. Takiej też partyjności uczyli się ówczesni młodzi w partii. Elita późniejszego SLD. Po 1989 roku ci młodzi zaczęli budować SdRP, a potem SLD. Upadł tzw. komunizm i ludzie ci musieli się odnaleźć w nowych realiach. Pomocne dla nich było naśladowanie lewicy zachodnioeuropejskiej. Ale i ta lewica zachorowała wtedy na bardzo poważną chorobę „trzeciej drogi”, o której m. in. wspominał w „Kuźnicy” prof. Zygmunt Bauman:

»Co znaczy dziś „być na lewicy”? (...) Jeden to zgoda na „porządek dnia” ustalany przez prawicę – z dotarciem obietnicy, że „my to zrobimy lepiej”. Sprawniej? Napotykać mniejszy opór społeczny? Nie brudząc rąk prawicy i nie zmuszając jej do odstąpienia przyłbicy? Zważmy, że najdrastyczniejsze posunięcia w rozmontowywaniu państwa socjalnego były dziełem rządów socjaldemokratycznych. Arcymistrzem tej pseudolewicowej ekwilibrystyki czy prestidigitatorstwa był w Anglii

Tony Blair. O ile prorokinią i misjonarzem religii neoliberalnej była Margaret Thatcher, o tyle religię tę uczynił państwową, zinstytucjonalizował, solidnie okopał, łamiąc opór starowierców i heretyków i zmuszając nawróconych do potulności, dopiero Tony Blair. Spełnił zatem swą obietnicę – robił to samo co ona, tylko sprawniej i z mniejszym dla niej kosztem. Poważył się na rzeczy, na które ona poważyć się nie śmiała albo i nie mogła².

Po 1989 roku na zachodzie na politykę padł cień „końca historii”, a więc przekonanie, że koniec zimnej wojny i sukces neoliberalnego kapitalizmu oznacza kres ideologii i wielkich narracji, które zastąpić ma technokracja z aideologicznymi ekspertami (wychowanymi na neoliberalnych dogmatach). Neoliberalizm nie był tu jednak traktowany jako ideologia, ale jako potwierdzona naukowa (jakoby empirycznie i historycznie zweryfikowana) teoria. Koniec polityki (a więc działań na rzecz zmiany rzeczywistości) oznaczał erę postpolityki. Szanujący się polityk, kreując się na osobę kompetentną, odcinał się od jakiegokolwiek ideologii i wszystko konsultował z „fachowcami”.

Polityków oceniali i wybierali wyborcy. Tak więc skoro partie nie walczyły już o realizację swoich wizji, programów i wielkich narracji, to by dalej istnieć co cztery lata musiały coś zrobić, by wyborcy na nie zagłosowali. Polskie partie uwierzyły w P.R., brudną kampanię, kampanię wizerunkową czy legitymizację Kościołem rzymskokatolickim co doprowadziło do klerykalizacji Polski. Dostosowanie się do elektoratu oznacza też poszukiwanie „nowych wyborców” i nowych wabików na nich. Głosują zarówno pracownicy (prekariat, salariat czy proletariat), ale i wyzyskiwacze. Dlatego programy wyborcze pisane są „pod roszczenia” różnych grup. Nierzadko są to wykluczające się roszczenia np. walka z umowami śmieciowymi i równoczesne dążenie do uelastycznienia prawa pracy.

Sojusz Lewicy Demokratycznej powstał na bazie ludzi, którzy nauczyli się partyjności i „wierności ideałom” w PZPR. Którzy swoją nowoczesną lewicowość zaczerpnęli od Blaira i Schroedera, i którzy następnie przyswoili sobie postpolityczność. Taki Sojusz rządził w Polsce w latach 2001-2005 i do takiego Sojuszu przyszło wielu młodych, którzy właśnie takiej krótko-

¹ Mateusz Burzawa, *Zjednoczenie lewicy, przyczyny impasu*, „Zdanie” nr.1-2 (160-161) 2014.

² Zygmunt Bauman, *Czy przyszłość ma lewicę?*, „Zdanie” nr 3-4 (154-155), 2012.

wzrocznej partyjności się nauczyli. Po dziesięciu latach ciężko im się tego już oduczyć.

Tymczasem zaczęły pojawiać się nowe partie lewicowe. Większość aktualnie istniejących partijek lewicowych powstała na bazie takiej oto logiki: SLD nie jest partią lewicową, więc założmy nową partię, która będzie prawdziwą lewicą. Z braku ludzi, pieniędzy i przebiecia w mediach partie te mimo wiary w swoją lewicowość nie były w stanie nic wskórać i monopol SLD był niezagrożony. Ich istnienie było więc związane z opozycją wobec SLD, a nie wizją i determinacją do budowy „lepszego Polski”.

Kuracja, czyli razem ruszmy z posad bryłę świata

SLD choruje więc na „chorobę genetyczną” połączoną z chorobami zakaźnymi. Równocześnie niektóre środowiska lewicowe, widząc beznadzieję SLD, zaczęły pracować u podstaw. Prym (w tym prym w perspektywicznym myśleniu) wiecie tu Krytyka Polityczna, która postawiła na stworzenie intelektualnych elit przyszłej lewicy. Następnie z tych elit postanowili skorzystać Zieloni i jak na razie na tym dobrze wychodzą. Krytyka Polityczna tłumacząc i wydając liczne publikacje rzuca też młodej lewicy różne, alternatywne do partyjności, formy polityczności, takie jak np. sztuka zaangażowana czy aktywizm miejski. Nie bez powodu ludzie związani z KP czy Zielonymi są najmocniej związani z ruchami miejskimi. Na naszym krakowskim podwórku lista Kraków Przeciw Igrzyskom (czyli Zieloni + Krytyka Polityczna + Ruchy Miejskie + innego rodzaju aktywistki i aktywiści) zdobyła 6,7 proc. głosów do Rady Miasta Krakowa i gdyby nie D'hondt mieli by trzech radnych. Liczba głosów zdobytych przez tę listę jest o ok. 2 tys. większa niż w Krakowie zdobył SLD w tych samych wyborach do sejmiku. Przy czym wedle mojej wiedzy KPI wydało na kampanię dużo mniej niż lokalne SLD. Sukces KPI, jak i nie najgorszy wynik warszawskich Zielonych, uważam za dowód na słuszność strategii Krytyki Politycznej. Lista KPI wszak była listą bardziej polityczną (w słownikowym rozumieniu tego terminu) niż polityczny jest Sojusz.

Dlatego też receptą dla lewicy jest powrót do polityczności. Powrót do sytuacji, gdzie tworzymy program po to, by zbudować lepszy świat, a nie po to, by pozyskać wyborców. I nie możemy tu się dać omamić narracją, wedle której by realizować program, musimy wygrać wybory, a aby wygrać wybory, musimy zmienić nasz program i otworzyć się na nowe grupy wyborców. Zresztą po takiej zmianie programu i otwarciu się na nowe grupy wyborców, nie wiem czy chciałbym, aby ten nowy program był wcielany w życie.

Nie ukrywam, że w kolektywnym tworzeniu politycznego, ideologicznego, a zarazem mentalnie internacjonalistycznego programu lewicy widzę szansę na jej przyszły sukces. Ludzi lewicy może zjednoczyć tylko wspólny cel budowy „nowego świata” po (neoliberalnym) kapitalizmie. Lewica XXI musi zaproponować alternatywę dla neoliberalizmu, prekariatyzacji społeczeństw, samowoli korporacji i banków, spekulacji finansowych i plagi krótkowzrocznego egoizmu i indywidualizmu. Patologie te są też pożywką dla fundamentalizmu religijnego³ i nacjonalizmu. Liberaltowie

i populistyczna prawica nic z tymi problemami nie zrobią. Zrobić to może tylko ideologiczna antysystemowa (w naszych realiach) lewica, bo „system” jest chory. Niestety, Sojusz to „poważna partia, która nie kopie się z kapitalizmem i wie, że pewnych rzeczy zrobić się nie da”. Dlatego też lewicowi wyborcy coraz dobitniej pokazują, iż na SLD głosować się nie da. Uważam, iż tylko autentyczne podniesienie przez SLD ręki na system może tę partię ocalić od anihilacji.

Metodologia tworzenia programu lewicy

Jeśli lewica ma na celu uzdrowienie świata, musi wprawdzie przeanalizować i zdiagnozować problemy i relacje między nimi. Określenie relacji (czy jak kto woli – związków przyczynowo-skutkowych) jest tu najtrudniejsze. Genialnym przykładem na pokazanie złożoności problemów jest problem krakowskiego (a właściwie małopolskiego) smogu. I na tym przykładzie będę starał się pokazać jak, moim zdaniem, należy pracować nad programem lewicy.

Smog ma wiele źródeł i wiele skutków. Smog zagraża też małopolskim kurortom, które pobierają takse klimatyczną, mimo iż powietrze w nich jest zatrute. Smog sprzyja występowaniu wielu chorób płuc⁴, nowotworom, astmie, alergiom, a nawet wadom rozwojowym⁵. Leczenie z tych chorób kosztuje NFZ, a chorzy są mniej produktywni dla gospodarki i muszą często korzystać z pomocy socjalnej. O brudzie i zwiększonych kosztach utrzymania mienia narażonego na kontakt z pochodnymi procesu spalania nawet nie wspomnę. Powoduje go głównie przemysł, ogrzewanie paliwami stałymi domów oraz ruch samochodowy. Przemysłem zajął się zglobalizowany neoliberalizm, więc go teraz praktycznie nie ma. Ale kotły węglowe i olejowe (na ciężki olej opałowy) w nie termomodernizowanych budynkach są.

By je zlikwidować wprowadzono w Krakowie zakaz używania od 2018 roku większości paliw stałych i ciężkiego oleju opałowego. Jednocześnie uruchomiono program finansowania wymiany kotłów na „lekkie” paliwa, na inne źródła ciepła. Uderzyło to w interes producentów kominków i kotłów olejowych, jak i interesy kopalń węgla (więc i górników). Również ubodzy krakowianie, którzy korzystają z węgla, gdyż ten jest najtańszy, mogą być dotknięci owym zakazem. A przecież lewica musi być po stronie najsłabszych. W Krakowie jednak przygotowano dla nich program dopłat do użytkowania nowego źródła ciepła. Lewica musi tylko pilnować by ten program działał również po 2018 roku. Mimo zakazu palenia węglem, w Krakowie producenci nowoczesnych i wydajnych kominków na paliwa stałe nadal mają rynki zbytu, gdyż w wielu miejscach w Małopolsce nie ma możliwości podpięcia domów do sieci CO, a i stara sieć energetyczna nie udźwignie dodatkowego ogrzewania elektrycznego (choć są jeszcze pompy ciepła). Kolejnym postulowanym przez Zielonych punktem walki z niską emisją jest też termomodernizacja budynków, gdyż im mniej ciepła tracą, tym

⁴ Nie możesz złapać tchu? Może „złapałeś” POChP <http://www.dziennikpolski24.pl/artukul/3709754,nie-mozesz-zlapac-tchu-moze-zlapales-pochp,id,t.html>

⁵ Zanieczyszczenie powietrza sprzyja powstawaniu wad rozwojowych, http://nt.interia.pl/raport-medycyna-przyszlosci/medycyna/news-zanieczyszczenie-powietrza-sprzyja-powstawaniu-wad-rozwojowy,nld,1582691#utm_source=paste&utm_medium=paste&utm_campaign=firefox

³ Gilles Kepel, *Zemsta Boga*, Warszawa 2010; Dominika Motak, *Nowoczesność i fundamentalizm*, Kraków 2002

mniej go muszą pozyskać, by utrzymać stałą temperaturę. Dotacje na termomodernizację też więc są jednym z elementów walki ze smogiem.

Smog to też ruch samochodowy. Egoistyczni Polacy na dorobku kochają samochody. Co gorsze, koszty zużytego w nich paliwa są często mniejsze niż wynosi cena biletu jednorazowego (choć gdyby porównać pełne miesięczne lub roczne koszty utrzymania auta z ceną miesięcznej lub rocznej Krakowskiej Karty Miejskiej, to nie wiem czy auto jest taką oszczędnością). Złe powietrze i drogie mieszkania skłaniają wielu tu pracujących do osiedlania się pod Krakowem (Zielonki, Balice, Skawina, Niepołomice itd.), gdzie jest taniej. Jednak ludzie ci przybywają do Krakowa by pracować i robią to samochodami, które w godzinach szczytu stoją w korkach, co zwiększa smog.

Rozwiązaniem jest tu zarówno zmiana polityki mieszkaniowej⁶ (mieszkania komunalne, nowe spółdzielnie mieszkaniowe zamiast monopolu deweloperów), jak i konsekwentne ograniczanie ruchu samochodowego w mieście (zakazy wjazdu, strefy płatnego parkowania, park&ride, tania bezemisyjna komunikacja miejska). Jak widać, sprzeczne interesy można pogodzić. Jednak wymaga to szerokiej analizy źródeł problemów, a do tego potrzeba zarówno wielokrotnych analiz naukowych, konsultacji z uczonymi jak i z ludźmi, których dane problemy bezpośrednio lub pośrednio dotyczą.

Priorytety i najtrudniejsze kwestie programowe lewicy XXI wieku

Program lewicy – do realizacji po wyborach, a nie broszurka wyborcza pt. program – z racji złożoności świata musi być perspektywiczny, długofalowy i wielowariantowy. Będzie musiał więc być obszerny. Dlatego tu pozwolę sobie tylko hasłowo wymienić postulaty, problemy i zagadnienia, które moim skromnym zdaniem, są kluczowe dla programu wspólnej lewicy.

Przede wszystkim są to działania służące niwelowaniu skutków neoliberalizmu, takie jak: ograniczenie umów śmieciowych przy jednoczesnym dostosowaniu do XXI wieku umów o pracę, progresja podatkowa, płaca minimalna i maksymalna, przeanalizowanie pomysłu bezwarunkowego dochodu podstawowego. Wprowadzenie podatku Tobina i rozważenie wprowadzenia podatku obrotowego dla wielkich korporacji. Ukrócenie skali eksmisji jak i samowoli komorniczej. Rozwój budownictwa komunalnego, socjalnego i spółdzielczego. Regulacja problemu mienia utraconego (spadkobiercy majątków). Reforma samorządów, a zwłaszcza sposobu ich finansowania. Wspieranie rozwoju spółdzielczości (traktowanie jej jako lepszej alternatywy dla firm). Niezbędne jest też wypracowywanie mechanizmów zrównoważonego rozwoju. Konkurencyjność powinniśmy wypracowywać poprzez innowacyjność, a nie taną siłę roboczą i niskie standardy ochrony środowiska. Lewicy nie wolno też zapomnieć o równości płci, reformie relacji państwo a związki wyznaniowe (z Kościołem rzymskokatolickim na czele), czy o prawach mniejszości. A i depenalizacja i regulacja obrotu marihuany to też dość ważna sprawa.

Powyższa lista nie wyczerpuje zagadnień, którymi lewica musi się zająć. Są i inne, z którymi się borykamy i z którymi przyjdzie nam się zmierzyć. Niektóre

z nich budzą tak wiele emocji, że ich poruszenie może rozbić jednoczącą się lewicę. Najbardziej niebezpiecznymi i wewnątrz lewicy kontrowersyjnymi tematami są z pewnością problemy regulacji prawa pracy i dostosowanie go do realiów XXI wieku, ze zwróceniem uwagi na ochronę pracowników, reforma zasad działania związków zawodowych, reforma systemu emerytalnego (temat ten powiązany jest z polityką demograficzną, a ta z bezpieczeństwem egzystencjalnym), energetyka w Polsce (węgiel, atom czy tzw. energia odnawialna). Z problem energetyki wiąże się też problem co ze Śląskiem, gdy zabraknie węgla? Niska świadomość naukowa naszego społeczeństwa powoduje, że oprócz emocji wokół energetyki atomowej dużo emocji budzi też kwestia GMO, a nawet szczepień dzieci. Drażliwa jest też polityka międzynarodowa, zwłaszcza konflikt między Rosją a Ukrainą, czy konflikt izraelsko palestyński (który daje m. in. furtkę dla antysemityzmu również na lewicy). Polityka emigracyjna, zwłaszcza w kontekście ekspansji fundamentalizmu muzułmańskiego i kryzysu dotychczasowej płytkiej polityki multikulturalizmu, która za mało integrowała, a za bardzo gettoizowała emigrantów⁷, również będzie dla lewicy poważnym wyzwaniem.

Myślenie perspektywiczne jest tu szalenie ważne. Projekt lewicy to projekt na dziesiątki lat. Nie mieści się to w głowach pragmatycznym technokratom wierzącym w koniec polityki. Ale procesy społeczne trwają latami i skutki pewnych decyzji i strategii odczuwane są po latach lub dziesiątkach lat. Wtedy gdy jednak one wyjdą na powierzchnię stając się źródłem dramatów ludzkich, może się okazać, że jest już za późno lub że jedyna możliwa kuracja będzie dla społeczeństw skrajnie bolesna, jak np. obecna sytuacja w Grecji.

Relacje między lewicą

Jednym z ważnych problemów na polskiej lewicy jest problem wzajemnego braku zaufania. Ruchy ideowe boją się, iż politycy chcąc się legitymizować i zyskać popularność zawłaszczą ich pomysły, ale ich nie zrealizują lub zrealizują byle jak, co tylko kompromituje idee. Widać ten problem na postulacie partycypacji i budżetów partycypacyjnych (nazwanych budżetami obywatelskimi). Podczas ich wdrażania okazało się, iż zamiast być inicjatywą obywateli, posłużyły niektórym radnym do wypromowania się i realizacji własnych inicjatyw⁸. Sam jako aktywista ruchów na rzecz świeckości państwa widzę, ile swą powierzchownością, populizmem i prostactwem, krzywdy ruchom na rzecz świeckości wyrządził Twój Ruch Palikota. Doprowadził on do utożsamienia dążeń do świeckości państwa z promocją pewnej niestabilnej programowo i ideowo postpolitycznej partii. A to zniechęca ludzi, niepopierających tej partii, do popierania takich inicjatyw jak krakowskie Dni Świeckości czy warszawskie Dni Ateizmu. Obawa przed zawłaszczaniem i sprzeniewierzeniem jest w wielu ruchach tak silna, że nawet drobne niedogadanie się może być interpretowane jako próba zawłaszczania. W 2014 roku w Krakowie wiele się działo. Wygrane referendum przeciw irracjonalnym igrzyskom olimpijskim, wybory europejskie i samorządo-

⁷ Gilles Kepel dz.cyt. Str. 79-80.

⁸ Kraków: Budżet obywatelski, ale ręcznie sterowany?, <http://lewica24.pl/polska/5133-krakow-budzet-obywatelski-ale-recznie-sterowany.html>

⁶ Socjaldemokratyczna polityka społeczna, Wrocław 2012. s. 141-158.

we, dni świeckości itd. W efekcie na czas nie zebrała się ponadpartyjna grupa inicjatywna w sprawie corocznych obchodów 7 listopada, czyli rocznicy odzyskania niepodległości (tymczasowy Rząd Lubelski Ignacego Daszyńskiego). Z braku odzewu o powołaniu grupy, Centrum Daszyńskiego w Krakowie postanowiło zorganizować – jak co roku – konferencję o lewicy. Niestety zostało to odebrane jako zawłaszczenie przez SLD wydarzenia, które łączy środowiska krakowskiej lewicy.

Kłopoty z komunikacją między i wewnątrz organizacji. Nieprecyzyjne werbalizowanie swoich pomysłów i oczekiwań w połączeniu z różnymi modelami pracy (np. planowanie z wielomiesięcznym lub wieloletnim wyprzedzeniem, kontra robienie wszystkiego na ostatnią chwilę) wielokrotnie rodziło i rodzić będzie nieporozumienia, które mogą być źródłem poważnych podziałów i animozji. Dlatego też jeżeli chcemy odbudowywać zaufanie na lewicy, musimy siebie szanować. Regularnie ze sobą rozmawiać. Uczyc się siebie przez współpracę najpierw nad pojedynczymi projektami, a następnie nad szerszymi działaniami. Jeśli chcemy wykorzystać pomysł czy temat promowany przez inną grupę czy partię (np. bezwarunkowy dochód podstawowy), to musimy pamiętać i przytaczać jego pomysłodawców lub orędowników w Polsce (np. Ruch Sprawiedliwości Społecznej).

Zakorzenie poza partiami

Co do swojej istoty partie polityczne powinny być reprezentacją pewnych środowisk. Członkinie i członkowie tych organizacji powinni wywodzić się czy też nadal być zarazem członkiniami i członkami grup, organizacji, środowisk, warstw społecznych, klas, które owa partia reprezentuje. Partia powinna być narzędziem tych warstw czy grup społecznych, które mogą zmieniać otaczającą ich prawną i instytucjonalną rzeczywistość. Niestety, w systemie pospolitycznym partie reprezentują w większości same siebie. Dlatego też społeczeństwa (nie tylko polskie) są coraz bardziej nieufne czy wręcz wrogie wobec partii, partyjności i członków partii. Apolityczność rozumiana jako bezpartyjność w XXI wieku stała się cnotą.

Otoczająca nas jednak rzeczywistość jest mało optymistyczna. Powstają więc inicjatywy dążące do ich zmiany. Najczęściej skupione na drobiazgach⁹. Jednak po kilku latach działania dążą do poszerzania swoich postulatów, gdyż by robić małe rzeczy (np. ochronić zieleń, zlikwidować smog lub eksmisję na bruk) trzeba dokonać zmian „na gorze”. Tak oto powstają i zakładają porozumienia ruchy miejskie. Środowiska młodej lewicy od lat dostrzegają potencjał miasta i miejskiej polityki. Ale o ruchy miejskie czy lokatorskie walczy też prawica. Ruchy miejskie są miejscem, gdzie aktywizują się i zdobywają aktywistyczne doświadczenie wszyscy ci, którym nie jest wszystko jedno, niezależnie od światopoglądu. Ruchy miejskie są ruchami buntu i poszukiwania zmiany. Wiele z tych osób działając dochodzi do bardzo lewicowych wniosków odnośnie do funkcjonowania świata. Są one jednak krytyczne dla aktualnego postpolityczno-neoliberalnego systemu, a że SLD jest nadal partią obrony kapitalistycznej III RP i prezentuje się jako partia lewicowa, dla tych osób, lewica to część owego systemu.

Strategia powrotu do źródeł

Dostrzegam sporą analogię między strategią PPS-u z przełomu XIX i XX wieku a konieczną kontynuowaniem strategii polskiej lewicy. Chodzi mi o pracę u podstaw. I tak jak w 1905 roku powstał Związek Towarzystw Samopomocy Społecznej, będący federacją różnych stowarzyszeń i organizacji stanowiących oddolną organizację społeczeństwa¹⁰, tak i teraz lewica obudowuje się i musi dalej się obudowywać organizacjami pozarządowymi (stowarzyszeniami, fundacjami, instytutami). Tak jak krakowska lewica w tamtym okresie formowała się przy piśmie „Naprzód”, tak teraz, i to w całej Polsce, miejscem budującym analogicznie środowisko są ośrodki myśli skupione przy kwartalnikach takich jak „Krytyka Polityczna”, „Nowy Obywatel”, „Nowe Peryferie”. Również ruch spółdzielczy wtedy i obecnie był niezwykle istotny dla lewicy, wszak aktywistki i aktywiści lewicowi muszą z czegoś się utrzymać, a zarazem uczyć kolektywnej pracy.

Dlatego też muszę przypomnieć, to co na wykładzie w „Kuźnicy” w marcu 2012 r. zauważył, prof. Zygmunt Bauman, który stwierdził:

»Chwilami czuję się tak, jak musieli się czuć pierwsi socjaliści z XIX w. Byli w drobnej mniejszości, na marginesie politycznego życia, o wygrywaniu wyborów, a często gęsto i o samym udziale w wyborach, nie mieli co marzyć. Co rozważniejsi wśród nich stawiali na „pracę u podstaw”, do której, zakasując rękawy, z energią się zabierali: na oświatę i propagandę, budzenie sumień i niekończące się debaty z pospolitym rozsądkiem, budowanie gdzie i jak się da kolejnych przyczółków dla przyszłości. Takimi przyczółkami – wysepkami były w Anglii choćby spółdzielnia spóżywców narodzona w przemysłowym miasteczku Rochdale czy bractwa pomocy wzajemnej albo spółdzielcze kasy tanich kredytów, pleniące się »w swoim czasie w Wielkopolsce jak grzyby po deszczu.(...)Nie mówię, że od tego samego należy dziś, po raz wtóry, zaczynać; wskazuję tylko na uderzające podobieństwo dwóch sytuacji i ich psychicznych refleksów. Jesteśmy dziś, jak byli nasi przodkowie sprzed 200 laty, w sytuacji żółędzia, z jakiego wyrósł ma (może? winien?) stuletni dąb. No ale na szczęście dla nas i reszty ludzkiego gatunku, jeśli jesteśmy żółędziami, to obdarzonymi zdolnością myślenia i wyboru.(...) Zadania, jakie nas czeka, nie da się zrealizować od dziś do daty następnych wyborów. Budowa gościnniejszego dla człowieczeństwa świata ludzkiego to nie słoik z rozpuszczalną kawą. Na efekty przyjdzie poczekać i nikt nam nie powie, jak długo. A i nikt nie zagwarantuje sukcesu. Sukces od porażki oddzieli obecność lub brak dalekosiężnej perspektywy i skrojonej na jej miarę cierpliwości i determinacji. No i długowieczność, a może i nieśmiertelność nadziei!¹¹«.

I nie wiem czy da się lepiej opisać to, co musi zrobić polska i europejska lewica. Innej drogi nie widzę. Niestety rok 2015 może być smutnym przełomem, a nowe będzie miało szansę powalczyć dopiero w latach 2018-2019.

MATEUSZ BURZAWA

⁹ Tomasz Borejza *Ruchy miejskie to nie jest partia polityczna*, <http://krowodera.pl/ruchy-miejskie-nie-jest-partia-polityczna/>

¹⁰ Zofia Chyra-Rolicz, *Wpływ rewolucji 1905 roku na rozwój w Królestwie Polskim*, [w] *Dziedzictwo rewolucji Warszawa-Radom 2007*, str. 207-209

¹¹ Zygmunt Bauman, dz.cyt.

ANDRZEJ ROMANOWSKI

POLITYKA

A CZYTANIE HISTORII

Profesor Bronisław Łagowski mówi, że rusofobia stała się doktryną państwową III Rzeczypospolitej. To prawda. Ale spróbujmy zrozumieć, skąd ona się bierze.

Pierwsza odpowiedź będzie banalna: przyczyną jest niewola narodowa, zabory, a potem ustrój przywieziony w 1945 roku, jako żywo nie wybierany przez Polaków. Druga, to „wschodnie okrucieństwo”, które lubimy łączyć z Rosją, a którego symbol widzimy w Katyniu. A trzecia, to przekonanie o naszej przynależności do „Zachodu”, a więc siłą rzeczy o naszej wyższości kulturowej. Warto przekłuć ten balon i pokazać, jak to wygląda z drugiej strony.

Bo przecież był taki czas w dziejach naszego narodu, który obrazują dwie daty: 1795 i 1797. Pierwsza data jest powszechnie znana – to trzeci rozbiór, zniszczenie resztek Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Druga data jest mniej znana – ale to wtedy trzej monarchowie umówili się, że nigdy żaden z nich nie będzie próbował wskrzesić tego „chorego człowieka Europy”, który wydał zbrodniarza Kościuszkę, nie mówiąc o wcześniejszych zbrodniarzach – konfederatach barskich. A więc że żaden z umawiających się monarchów nie będzie też dołączał do swej tytulatury pojęcia „król Polski”. Ten był polityczny miał być unicestwiony całkowicie. Otóż ten paragraf umów międzynarodowych, którego nie odważył się naruszyć nawet Napoleon, powołując do życia traktatem w Tyliczu przecież nie Polskę, tylko Księstwo Warszawskie, zburzył cesarz Rosji Aleksander I, który 20 czerwca 1815 r. wskrzesił Królestwo Polskie. Można językiem Mickiewicza zapytać: „czemuż o tym nie chcecie pisać, panowie”? A pisał o tym właśnie Łagowski, wzmiankując, że zbliża się rocznica tego wydarzenia, a także rocznica utworzenia „wolnego, ściśle neutralnego miasta Kraków”, bo tak się nazywał twór, którzy zwykliśmy zwać Rzeczpospolitą Krakowską.

Tak więc decyzją Rosji wskrzeszono Królestwo Polskie i nieprzypadkowo rosyjski cesarz Aleksander I został uczczony hymnem narodowym *Boże coś Polskę*. Te dwa nasze hymny – *Jeszcze Polska...* i *Boże coś Polskę* – wzmiankują pierwszych dwóch monarchów, którzy naruszyli, bądź złamali, ład porzeczowy: Napoleona i Aleksandra. W pierwotnym tekście *Boże coś Polskę* jest zresztą passus „naszego króla zachowaj nam Panie”, a i w *Polskim Słowniku Biograficznym* mamy Aleksandra I i Mikołaja I – królów Polski. Oczywiście, Mikołaja tylko do czasu, gdy Sejm powstańczy w 1831 roku dokonał jego detronizacji.

Rozpowszechniony jest pogląd o Rosji jako najokrutniejszym zaborcy. To prawda, ale dotycząca przede wszystkim okresu po zgnieceniu powstania styczniowego, czyli po roku 1864. A przecież nawet wtedy Warszawa zachowała przodujące miejsce w kulturze narodowej. Tam był najlepszy polski teatr, tam było najlepsze polskie czasopiśmiennictwo, tam wychodziły najważniejsze polskie książki – Trylogia, *Lalka...* Bardzo represyjny był czas „nocy Paskiewiczowskiej” – całe ćwierćwiecze 1831-1856. Ale po roku 1795 to zabór rosyjski był najłagodniejszy! Najbardziej represyjny był wówczas zabór austriacki...

Drugi segment naszych stereotypów to rosyjskie okrucieństwo. Ale to okrucieństwo chętnie powiększamy. Przed rokiem moskiewski korespondent jednej z naszych gazet pisał o rzezi Pragi, w której, jego zdaniem, wyróżniło 12 tys. mieszkańców. Wraz z koleżanką - historyczką z *Polskiego Słownika Biograficznego* - to sprawdziliśmy. Okazało się, że Praga nie miała wtedy tylu mieszkańców. Dokonaliśmy porównań spisów ludnościowych. Wyszło nam, że ofiar rzezi Pragi było zapewne 4 tysiące. To liczba potworna - po co ją pomnażać?

Mówimy o Katyniu. Oburzamy się jednak, gdy Rosjanie mówią o losie czerwonoarmistów – jeńców 1920 roku,

którzy zmarli w polskich obozach. Owszem, trudno porównywać: nikt tym jeńcom w głowę nie strzelał. A jednak z głodu, z chorób, z rozpaczliwie złych warunków, które im stworzono (nie mogły być inne – jeńców było za dużo) śmiertelność była straszliwa. Według obliczeń Zbigniewa Karpusa zmarło w Polsce 16 do 18 tysięcy jeńców sowieckich. Jakkolwiek więc patrzyć, to więcej niż wszystkich zamordowanych w Katyniu, Miednoje i Piatichatkach łącznie. Czy coś by nam się stało, gdybyśmy wyciągnęli rękę do Moskale i powiedzieli po tych prawie stu latach: tak, nie zdołaliśmy zapewnić tym jeńcom godziwych warunków, nie daliśmy rady, tym niemniej oni zmarli w naszej niewoli, jesteśmy jako naród, jako państwo, odpowiedzialni za ich los. No ale przepraszać Rosjan? My, dumni Polacy?

Mówimy zresztą o rosyjskim okrucieństwie, lecz przecież w roku 1535, kiedyśmy wzięli moskiewski Starodub, to tak się rozsierzdził upartym oporem nasz hetman wielki koronny Jan Tarnowski, że nakazał swym żołnierzom, by ścięli łeb każdemu jeńcowi. A ilu było tych jeńców? 1400. Czyli niemal połowa ofiar Piatichatek. Gdy zaś mówimy o stosunkach polsko-ukraińskich, to warto pamiętać, że nasz bohater narodowy Stefan Czarniecki nakazał rozkopać mogiłę Chmielnickiego, a zwłoki wyrzucić i puścić po nich tam i z powrotem oddział jazdy, by ślad ciała nie pozostał. I mam też wspomnienie żołnierza z wojny polsko-ukraińskiej 1919 roku: kiedyś na czatach dwóch polskich żołnierzy zostało zamordowanych. W odpowiedzi Wojsko Polskie otoczyło najbliższą wioskę ukraińską i wszyscy, także kobiety i dzieci, zostali wymordowani. – Do dziś – mówił mi dr Józef Rybicki, od którego tę opowieść usłyszałem, pamiętam krzyki i błagania o litość mordowanych ludzi. Pytałem, jaka to była wieś. – Nie pamiętam - usłyszałem, kto wówczas zwracał uwagę na takie drobiazgi, ale te krzyki do dziś mnie prześladowają.

Czy więc aby na pewno stoimy cywilizacyjnie wyżej od „dziczy moskiewskiej”?

O polskiej wyższości kulturalnej nad XIX-wieczną Rosją pisał nie tak dawno jeden z inteligentniejszych zresztą prawicowych publicystów, Piotr Skwieciński. No cóż. Wyższość nad kulturą, która wydała Dostojewskiego, to nawet dość zabawne. Ale wyobraźmy też sobie Warszawę króla Stasia: nieczystości płynęły rynsztokami, Warszawa śmierdziała kloaką. Kto z tym zrobił porządek? Moskal, generał Sokrat Starynkiewicz, z nominacji carskiej prezydent Warszawy, który temu miastu zrobił kanalizację. *Notabene* tymi kanałami przemieszczali się kilkadziesiąt lat później powstańcy warszawscy.

Proszę Państwa, historia Polski jest sprawą zbyt poważną, by ją powierzać Instytutom Pamięci Narodowej. Naszą racją stanu nie jest pielęgnowanie rusofobii, ale jej rozładowywanie.

I teraz wypada odnieść się do Ukrainy. Jej część zachodnia, tereny byłej Galicji i Lodomerii, czyli niegdyśszych księstw Halickiego i Włodzimierskiego, niemal od swych początków spoglądała na zachód - choćby przez powinowacenie się z władcami Polski. Potem te ziemie wziął Kazimierz Wielki. Mówiąc nieco żartobliwie: Lwów był w Polsce wcześniej niż Warszawa, która była przecież długo prowincjonalnym miastem formalnie niezależnego Księstwa Mazowieckiego. Ale co ma do tego Krym, czy Donieck? Ukraina jest zlepkiem różnych tradycji etnicznych, narodowych, kulturalnych, religijnych.

Prawosławie trzech co najmniej patriarchatów konkuruje tam ze sobą, a nie zapominajmy o grekokatolikach i katolikach rzymskich. To że Ukraina jest zlepkiem – to nie jest nic obraźliwego. Zlepek ten sklejała do niedawna państwowa ideologia sowiecka – ale dziś? Pamiętam, że jeszcze przed kilkoma miesiącami w rozmowie z jednym z kolegów-profesorów Wydziału Polonistyki UJ mówiłem: ostatnim gwarantem integralności terytorialnej Ukrainy jest Janukowycz. I rzeczywiście: jeśli nawet przyjmemy, że Donieccyzna i Ługańszczyzna mają jeszcze niewyjaśniony status, to przecież nikt sobie raczej nie wyobraża, by Rosja oddała Ukrainie Krym.

A warto zwrócić uwagę na jeszcze inny aspekt sprawy. Oto gdy peryferyjne księstwo ruskie, państwo moskiewskie, nazwało się Rosją, uzyskało nową tożsamość z ambicjami obejmowania całości „ruskich ziem”. Ukraina i Białoruś to części Rusi – i my tego nie zmienimy. Na odsłoniętym w 1904 roku w Wilnie pomniku Katarzyny II umieszczono napis w języku staro-cerkiewno-słowiańskim: „otorzennoje wazwratich”, czyli „oderwane-zwrócić-ma”: oderwane od Rusi ziemie litowsko-russkiego gosudarstwa ja, Katarzyna, zwróciłam Rosji. Rozbiory były w tej optyce aktem sprawiedliwości dziejowej. Szaleństwo? Jak dla kogo. Proponuję wejść czasem w buty Rosjan, bez względu na to, że te buty są dla Polaka nader niewygodne. W każdym razie warto pamiętać, że w rozbiorach Rosja nie wzięła ani piędzi ziemi etnicznie polskiej. Wzięła to tylko, co historycznie było ruskie. I nawet nie całe, bo bez Lwowa.

Oczywiście, Ukraińcy dostają wysypki, gdy z takim poglądem mają do czynienia. Bo ten pogląd to typowy wielkoruski nacjonalizm i szowinizm. No ale Rosjanom trzeba by wyciąć mózg i wszczepić w to miejsce mózg nowy, by ślad tego poglądu w ich świadomości nie pozostał. By uznali, że Ukraina i Białoruś nie są „ich”. Nie są „ich” do tego stopnia, że – proszę bardzo – niech sobie wstępują do NATO, nam Rosjanom nic do tego. Choć Rosja do NATO przecież nie wstępuje.

Znamy to językowe rozróżnienie: „russkij” i „rosijskij”. „Russkij” - to narodowy, „rosijskij” - to państwowy. Kiedy Puszkina pisał „tam russkij duch, tam Russii pachnieć” to chodziło i o Ruś Kijowską, i o Rosję, więc dopóki nie wejdziemy w rosyjskie buty, nie zrozumiemy, o co Rosji naprawdę idzie. Jeden z mych znajomych Rosjan, chwając mój niedawny artykuł w „Gazecie Wyborczej”, mówił, że utrafiłem w sedno, bo to właśnie o „Ruś” chodzi. Choć z wieloma konstatacjami artykułu się nie zgadzał. Tak więc na obecnym etapie nie da się zmienić tego rosyjskiego rozumowania. Nie da się zmienić szczególnie dlatego, że wciąż żywa jest tęsknota po utraconym Imperium – „pierwszym na świecie”.

Rozumiem, że w naszym narodowym interesie byłoby przyjęcie Ukrainy do NATO i że jest to sytuacja dokładnie taka, jak niegdyś interes Niemiec, by w NATO znalazła się Polska. No ale warto byłoby o to zabiegać, gdyby Ukraina mogła stać się mocną flanką NATO. Takiej szansy nie ma, chyba że Ukraina się rozpadnie, a przynajmniej pozbędzie się nie tylko Krymu, ale i Doniecka z Ługańskiem, bo nie ma szans, żeby te tereny były dla NATO mocną flanką. Albo żeby się stamtąd Rosjan wysiedliło... Gdyby jednak miała to być słaba flanką NATO – to czy warto o to zabiegać?

Mój mistrz ideowy, Stanisław Stomma, mówił mi na początku lat 90, że mamy oto czas, gdy Polska powin-

na kupować akcje Rosji, póki te akcje stoją nisko. Gdyby zaś zdarzył się konflikt rosyjsko -ukraiński, Polska w żadnym wypadku nie powinna się do niego mieszać. Nigdy do końca ze Stommą się nie zgadzałem: jakiś stopień naszego „mieszania się” jest konieczny, rzecz jednak w tym, by mieszać się mądrze. Na pewno nie powinniśmy być europejskim jastrzębiem – raz że to wygląda śmiesznie, dwa – że jest niezgodne z polską racją stanu.

Dobre stosunki z Rosją są fundamentem bezpieczeństwa europejskiego, w tym bezpieczeństwa Polski. Rosja jest blisko, jest nawet - jako Obwód Kaliningradzki – naszym sąsiadem. USA są daleko, musimy pamiętać o żelaznych prawach geopolityki.

Kolejny powód to zachowanie naszych europejskich sąsiadów. Popatrzmy na Węgry, na Słowację, na Czechy, popatrzmy na Austrię... Z kim jesteśmy? Z Litwą. No ale równocześnie jesteśmy śmiertelnie skłóceni z tą Litwą na gruncie starań o dobro litewskich Polaków. Tych Polaków, którzy – jak się okazało – wyznają raczej opcję prorosyjską... Jesteśmy z Niemcami, jednak gdy czytam apel podpisany m. in. przez byłego prezydenta Niemiec, Romana Herzoga, to i tu zapala mi się ostrzegawcze światelko. Obyśmy nie stali się takim bohaterem, jak bohater Monizy Clavier Sławomira Mrożka.

ANDRZEJ ROMANOWSKI

Autor w dyskusji

Po 1795 roku zabór rosyjski był bez wątpienia zaborem najłagodniejszym. Zachowano Statut Litewski, w miejsce Szkoły Głównej Wielkiego Księstwa powstała Szkoła Główna Wileńska, a w 1803 roku Uniwersytet Wileński, gdzie wykładali m.in. Lelewel, Śniadecki i Grodecki, a studiował Adam Mickiewicz... Ten odebrał edukację na takim poziomie, mierzonym choćby znajomością łaciny, że patrzył na Francuzów jak na barbarzyńców. W carskim Uniwersytecie Wileńskim podtrzymano reformy dokonane przez naszą Komisję Edukacji Narodowej. Wtedy też powstało Gimnazjum Wołyńskie, czyli Liceum Krzemienieckie.

* * *

Innym przykładem jest książkę Adam Czartoryski, który pełnił w pewnym okresie funkcję ministra spraw zagranicznych Rosji. Dlatego historię stosunków polsko-rosyjskich należy postrzegać także w tej perspektywie, a nie tylko wedle murawiewowskiego czy stalinowskiego modelu. Serwowany nam w potocznym obiegu wykład dziejów Polski jest prostacki, a przez swe prostactwo głęboko zafałszowany.

* * *

Co do „polskiego” Kijowa. Z tym miastem związany był nie tylko Iwaszkiewicz, ale też młody Leśmian. Kiedyś pod moim kierunkiem powstała praca doktorska *Polski Kijów romantyczny*. A skąd to się wzięło? Od XVII-XVIII wieku Kijów był miastem przygranicznym rosyjskim. Ale po II rozbiórze w 1793 roku stał się centralnym miastem Ukrainy. To tam zjeżdżali na kontrakty właściciele ziemscy, czyli szlachta, która mówiła po polsku i za Polaków się uważała. Jeśli więc w XIX wieku Kijów stał się, choćby w dziesiątej części, miastem polskim, to jest to dziedzictwo drugiego rozbioru!

* * *

Co się tyczy zmiany granic i prawa do samostanowienia. Na Krymie i na wschodniej Ukrainie dokonuje się to jednak nie drogą porozumienia, tylko *manu militari*. A jak było w roku 1920 w naszym sporze o Wilno? Wkroczyła tam – rzekomo zbuntowana – dywizja polskiego wojska, a potem odbyły się wybory, zbojkotowane przez ludność nie-polską. Dziś na Ukrainie wszystko odbywa się „na rosyjskich bagnietach”. Jeżeli w ten sposób odrywa się od Ukrainy część jej terytorium (Krym), to czy można sobie wyobrazić, by na analogicznych zasadach potraktować część terytorium Rosji – Czeczenię?

* * *

Gdy patrzę na naszą politykę wschodnią, która się dobrze zaczynała na początku lat 90., to pytam: jaki jest jej punkt dojścia? Z Rosją jesteśmy poróżnieni w sprawie Ukrainy. Z Litwą jesteśmy poróżnieni w sprawie tamtejszych Polaków, przy czym nasz minister spraw zagranicznych w pewnym momencie oświadczył, że jego noga tam nie postanie, póki Litwini nie zrobią tego, czego on chce. Stosunki z Białorusią są złe, bo Łukaszenka jest za bardzo prorosyjski. Stosunki z Ukrainą są świetne, ale gdy chodzi o nasz udział w rozmowach międzypaństwowych, to Ukraińcy wolą tam nas nie widzieć, bo raczej popsujemy sprawę. Zatem bilans polskiej polityki wschodniej przedstawia się raczej zastraszająco.

A gdy popatrzymy na stosunki z innymi państwami, to w środkowej Europie jesteśmy osamotnieni. Odgradziliśmy się nie tylko od Rosji, ale i od innych sąsiadów. A to znaczy, że gdzieś zabrnęliśmy, że jesteśmy jako państwo na jałowym biegu.

JAN WIDACKI

PUTIN REALIZUJE WŁAŚNIE ROSYJSKĄ POLITYKĘ...

Nie ulega wątpliwości, że stosunki polsko-rosyjskie są z naszej strony niezwykle obciążone emocjonalnie. Nie potrafimy rozmawiać o tych sprawach na chłodno, bez emocji, ale ostatnio niepokoi fakt, że te nasze fobie próbujemy ubierać w jakieś ideologie, a w dodatku próbujemy wpływać do tego Giedroycia, co wyrządza mu poważną szkodę. Giedroyc, rzeczywiście, był wielkim zwolennikiem niepodległości Ukrainy, Białorusi i krajów nadbałtyckich, ale nie po to, by – jak mu się to dziś usiłuje przypisać – tworzyć jakiś „kordon sanitarny” oddzielający Rosję od Europy! Jego myśl była zupełnie inna. Mówił tak: – Rosja, złączona z Ukrainą, Białorusią, republikami nadbałtyckimi i krajami azjatyckimi czy Zakaukaziem skazana jest na status imperium, Rosja bez tych republik imperium być nie musi. W imperium musi panować myślenie imperialne – imperium, które się nie rozwija – więdnie, więc Rosja w kształcie dawnego ZSRR, skazana na to imperialne myślenie staje się niebezpiecznym sąsiadem dla Polski, Europy i świata.

Zatem niepodległość Ukrainy, Białorusi i krajów nadbałtyckich, a także krajów azjatyckich czy Kaukazu niejako wyzwala Rosję od imperialnych obowiązków. Jeśli Rosja nie będzie musiała być imperium, to rodzi się szansa, że stanie się państwem demokratycznym, a taka właśnie demokratyczna Rosja potrzebna jest i Polsce, i Europie, i światu.

Była jednak też i inna linia myślenia, o której mówił najbardziej wyraziście Mieroszewski, a czemu Giedroyc patronował. Oto jest jeszcze inny, ważny cel zachowania niepodległości przez Ukrainę czy Białoruś. Oba te kraje były przez ostatnich kilkaset lat przedmiotem sporów i targów między Polską i Rosją, które owocowały wojnami. Początkowo w tych sporach górą była Polska, a od drugiej połowy XVII wieku Rosja. Te wojny kończyły się dla Polski katastrofą, a dla Ukrainy podziałem. Ostatnim takim podziałem Ukrainy był Traktat ryski, kiedy z jednej strony nie udało się Piłsudskiemu zrealizować idei federacyjnej, a z drugiej – nie udało się przenieść idei rewolucji na zachód Europy. Mieroszewski i środowisko „Kultury” mówiło, że gdy państwa te staną się niepodległe, to zniknie przedmiot sporów między Polską a Rosją, przedmiot walk.

Nie ulega więc wątpliwości, że celem polskiej polityki wschodniej i jej racją stanu była demokratyczna Rosja, która stawiała się z natury rzeczy gwarantem pokoju

i bezpieczeństwa w tej części Europy. Zgodnie z testamentem Giedroycia zaprzestano wydawania „Kultury” w Paryżu, jednak w innym sensie jego testamentem jest „Nowa Polska”, czasopismo wydawane po rosyjsku dla Rosjan przez prof. Pomianowskiego.

Teraz jednak z przerażeniem słucham publicystów mówiących o jakimś „kordonie sanitarnym” o Polsce jako twórcy „koalicji przeciw Rosji” i powołujących się przy tym na Giedroycia, co dowodzi, że kompletnie nie rozumieją jego idei. Czy taka wizja polityczna ma jakikolwiek sens i jakąkolwiek szansę realizacji to już zupełnie inna kwestia.

O jakieś szczególne sympatie prorosyjskie trudno mnie podejrzewać. Moja rodzina wywodzi się ze wschodu, na liście katyńskiej jest kilku Widackich, jedni byli wysłani do Kazachstanu i wycierpieli wiele od Rosjan, choć inni od Niemców, ale stać mnie, jak sądzę, na niezbędnej dozę obiektywizmu, a ton wielu czy nawet większości polskich mediów relacjonujących sytuację na Ukrainie jest skrajnie nieobiektywny.

Najpierw byli „terroryści, których wysłał tam Putin”, potem okazało się, że owi „terroryści” mają jednak jakieś poparcie ludności miejscowej, mówi się więc o „separatystach”. A rzecz sama w sobie jest trudna. Jeśli ktoś był na Ukrainie choćby jako turysta, to musiał zauważyć, jak odmienne są te różne Ukrainy – zachodnia, centralna, południowa... Bez trudu zauważyć można dawne granice. Zachodnia była ukraińskojęzyczna, w każdej wsi był kościół i cerkiew – często w remoncie, im dalej od granicy kościołów łańskich było mniej, ale za to były na przykład po dwie cerkwie. Gdy się mijało dawną granicę na Zbruczu, to można było przejechać i sto kilometrów, a cerkwi nie zobaczyć. I nie chodzi tu o poziom religijności, ale o poziom samoorganizacji społeczeństwa – nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo na Ukrainie Zachodniej ma więcej cech tego co nazywamy „społeczeństwem obywatelskim”. A że dziś na zachodniej Ukrainie w co drugiej wsi widzimy „kurhany UPA” to inna sprawa.

Ukraina środkowa to w przeważającej mierze Ukraina rosyjskojęzyczna, ale z ukraińską świadomością narodową. Natomiast Ukraina Wschodnia czy wybrzeża Morza Czarnego, nie mówiąc już o Krymie, mówią i myślą po rosyjsku. Pamiętam jak na Krymie zapytałem człowieka, który wynajmował turystom mieszkanie, czy jest Rosjaninem, czy Ukraińcem. Popatrzył na mnie jak na ufoludka i spytał: „A skądże by się tu wziął jakiś Ukraińiec?”

W początku lat 90. spotkałem się z panem Kozakiewiczem, który był ambasadorem Polski w Kijowie i świadom tych ogromnych różnic spytałem go, czy Ukraina utrzyma się jako całość?

– To zależy – odpowiedział – czy damy jej 30 lat spokoju i wyrosnie nowe pokolenie, które będzie się identyfikowało ze swoim państwem. A jeśli, nie daj Boże, pojawi się jakiś głęboki konflikt, to Ukraina się rozpadnie. I tak sobie myślę, że w tej chwili dzieje się to, przed czym ostrzegał ambasador Kozakiewicz. Jest więc konflikt o Ukrainę, tyle że w miejsce Polski weszła Unia Europejska i ten konflikt, jak poprzednie, dla Ukrainy może się skończyć kolejnym podziałem.

Dla odmiany spójrzmy na politykę Putina, który w naszych mediach przedstawiany jest jako bandyta, chory psychicznie zbrodniarz międzynarodowy. Przecież on jest prezydentem Rosji i prowadzi politykę rosyjską. Interesy Rosji są inne niż nasze interesy i inne niż interesy Unii Europejskiej. Gdy interesy są rozbieżne, to albo strony potrafią się jakoś porozumieć, albo potrzebna jest wojna. Wojny nikt nie chce, więc im szybciej strony dojdą do jakiegoś porozumienia, tym lepiej i wszystko co szkodzi temu dialogowi szkodzi Ukrainie, która, moim zdaniem, jest skazana na lawirowanie między Rosją a Zachodem jeszcze przez długie lata.

Ukraina ma ogromną większość surowców energetycznych z Rosji albo ze swojej wschodniej części objętej dziś walkami, Ukraina musi w Rosji kupić gaz i ropę, musi więc dogadać się z Rosją choćby w sprawie ustalenia cen tych nośników energii. Janukowycz, oczywiście postać skorumpowana jak cała zresztą ukraińska administracja, lawirował między Wschodem a Zachodem, w pewnym momencie Zachód się obraził i zaczął się konflikt. Teraz Poroszenko i Jaceniuk, też będą musieli lawirować między Wschodem a Zachodem, bo jakoś muszą funkcjonować. Ukraina nie może być w stanie wojny z Rosją bo jest od niej zależna ekonomicznie i od tej zależności Zachód jej nie wykupi.

W Polsce obserwujemy też ogromne oburzenie na Putina. To że na Ukrainie Wschodniej byli ochotnicy z Rosji, że była broń z Rosji – nie ulega wątpliwości, ale sięgnijmy do historii i wyobraźmy sobie, co by było gdyby w swoim czasie nasi rodacy na Wileńszczyźnie wszczęli powstanie przeciw Litwie i chcieli się oderwać? Nie byłoby ochotników z Polski, nie byłibyśmy aktywni? Dobrze pamiętam początek lat 90. kiedy ówczesny wiceminister obrony narodowej, pan Szeremietiew obiecywał Polakom, że „w razie czego” podrzucimy im sprzęt i radiostacje.

A jak wyglądały powstania śląskie? Państwo polskie oficjalnie powstań śląskich nie popierało, bo miało ręce związane politycznie, a granica podlegała międzynarodowym ustaleniom dotyczącym przeprowadzenia plebiscytu. Mój dziadek był komendantem korpusu kadetów. Kadeci uciekli mu z Modlina i zostawili list, żeby się nie martwił, bo poszli do powstania. Mam ten list do dziś! A czy broni powstańcy śląscy nie dostawali z Polski?

Kiedyś, jak pamiętam, w początku lat 90. przyjechał do Wilna działacz Wspólnoty Polskiej i tłumaczył, że państwo, a ambasada w szczególności (byłem wtedy ambasadorem RP w Wilnie) za słabo popiera postulaty organizacji polskich na Wileńszczyźnie dotyczące restytucji mienia. Wyjaśniałem mu, jakie są przepisy i uwarunkowania, ale to nie skutkowało, więc przypominałem, iż

jakoś nie słyhać, by na Śląsku czy na Pomorzu oddawano nieruchomości niemieckim organizacjom. Ten na to odpowiedział ostro: – Pan nic nie rozumie! Tamto to prastare ziemie piastowskie!

Innymi słowy uważamy, że jeśli państwo polskie podrzuci broń i ochotników swoim rodakom za granicami to jest dobrze, a jeśli robi to Putin – jest źle. Owszem dla nas to źle, ale czy można sobie wyobrazić, żeby Rosja była bierna w takim konflikcie?

Moim zdaniem problemem dla Europy jest nie Rosja i nawet nie rosyjski imperializm, który przy okazji ujawnił się w całej pełni, ale przez najbliższych kilkadziesiąt lat problemem będzie Ukraina. Owszem, zmieniła się władza, ale przecież aktualny prezydent i premier to ludzie, którzy byli w polityce ukraińskiej przez ostatnich 20 lat i to nie na odległej prowincji. To byli ludzie zajmujący najważniejsze stanowiska w państwie – przewodniczącego Rady Najwyższej, ministra spraw zagranicznych, ministra gospodarki... Jaceniuk zrobił majątek jako prawnik obsługujący firmy dokonujące prywatyzacji na Ukrainie. Ukraińska prywatyzacja była jak wiadomo procesem przejrzystym, uczciwym, i na pewno uczciwszym niż w Polsce?

Jak wygląda korupcja na Ukrainie, wiem dobrze, bo jako czynny adwokat zetknąłem się z przypadkiem, gdy pewna handlarka, przy okazji przemykania kolejnej partii firańek, straciła polską wizę i w dodatku otrzymała dziesięcioletni zakaz wjazdu do naszego kraju. W Polsce nie można było oczywiście niczego załatwić, ale Ukrainka wkrótce znów pojawiła się u nas. Tym razem miała paszport na swoje panińskie nazwisko. Za 50 dolarów. U nas jednak takiej korupcji nigdy nie było.

Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby obecnie, szczególnie w warunkach starć zbrojnych na wschodzie, dokonały się na Ukrainie w tej sprawie jakieś radykalne zmiany, żeby te korupcyjne tendencje, zjawiska rozpadu struktur państwowych zostały zahamowane i odwrócone. Rozpad funkcji państwa widać nawet na ulicach. Z dróg zniknęła np. policja drogowa. Korupcja jest, jaka jest, ale skoro wartość hrywny spadła, łapówki są większe.

Jaka była frekwencja wyborcza na Ukrainie? Wybory odbywały się tylko w regionach nie objętych walkami, nie odbyły się na Krymie, a frekwencja nie przekraczała znacząco 52 proc. W sytuacji poważnego kryzysu, w sytuacji, która winna mobilizować obywateli i grupować ich wokół władzy! Mamy zatem do czynienia z absolutną biernością społeczeństwa. Mam do czynienia z Ukraińcami na co dzień. U nas, w Akademii Frycza-Modrzewskiego mamy ponad 900 studentów z Ukrainy. Wiem co mówią, co czują i na co czekają. Czekają oczywiście na zmiany, ale nie wierzą w nie.

I kolejny problem: Unia Europejska narzuca pewne formalne rygory – w sytuacji kryzysu gospodarczego trzeba zamrozić płace, zamrozić i tak głodowe emerytury. Wartość hrywny spadła o połowę, a zatem spadły realne dochody i warunki życia są coraz cięższe, a tam cały czas Prawy Sektor i Swoboda, choć kiepsko wypadli w ostatnich wyborach, zyskują na znaczeniu, bo występują z pozycji antysystemowych. Jak obecnej władzy się nie uda, to do władzy dojdą właśnie oni. Tam nie ma alternatywy.

Życzę Ukrainie jak najlepiej, mam tam wielu przyjaciół. W naszym interesie Ukraina powinna być stabilna i aspirować do Unii Europejskiej podnosząc swoje stan-

dardy. Co więcej, jeśli jesteśmy w NATO, to w naszym interesie jest, by Ukraina też znalazła się w NATO. Ale nie jest to przecież w interesie Rosji i wcale się Rosji nie dziwię, że akurat temu się sprzeciwia wszelkimi możliwymi sposobami.

Słyszałem kiedyś w TOK FM bardzo mądrą wypowiedź ambasadora Cioska, który Rosję zna doskonale i rozumie. Powiedział, że wszystko co mówi się o „imperialnych tendencjach Rosji” jest prawdą, bo Rosjanie tak rozumują, ale problem polega na tym, że Europa Zachodnia i USA na Rosję, jakkolwiek by ona była, nie mają pomysłu. Obiecywano niegdyś, że może warto by i Rosję do NATO przyjąć, bo przecież ten sojusz nie jest skierowany przeciw Rosji. Dziś słysząc coś całkiem

innego – NATO na pewno nie dla Rosji! Czy zatem dziwić się, że rozszerzenie NATO w jej kierunku nie leży w rosyjskim interesie, a Putin realizuje właśnie rosyjską politykę, a nie naszą.

A więc w interesie naszym i ukraińskim wszystkie strony: Unia Europejska i USA, Ukraina i Rosja powinny się dogadać. Nie ma innego wyjścia, bo bez tego będzie druga „zimna wojna”, a gorącej nikt nie chce, z jak najgorszymi skutkami, przede wszystkim dla Ukrainy. Rolą „Zachodu” jest wspieranie procesu porozumienia, a nie przeszkadzanie w nim. Jeśli będziemy pokrzykiwać na Rosję, to Ukrainie na pewno nie pomoże.

JAN WIDACKI

Autor w dyskusji

Gdzie w Polsce mamy tę rusofobię? Głównie w „Gazecie Wyborczej”? Mamy ją we wszystkich mediach, w ogromnej większości publicznych wypowiedzi. To, że „Gazeta Wyborcza” w wypowiedziach niektórych publicystów jest rusofobiczna – ma istotne znaczenie dla powstawania takich ocen.

USA chcą być supermocarstwem, Rosja jest konkurentem do tej roli, więc wszystko co osłabia Rosję, wzmacnia interes amerykański – nasz niekoniecznie. Brzeziński, dziś zachowujący się jak amerykański „jastrząb”, wielokrotnie mówił nam, Polakom, że Ameryka jest daleko, a Europa blisko, więc należy orientować się raczej na Europę Zachodnią, choć on przecież uważa się za Amerykanina i Ameryce życzy jak najlepiej.

Do rozmów w Mińsku nas nie zaproszono na prośbę... strony ukraińskiej. Ukraińcy rozumieją, że jakoś z Rosjanami muszą się dogadać, zaś nasz udział w tym procesie wyrażnie by przeszkadzał. Wszelkie wypowiedzi i dywagacje „dlaczego nas nie chcą” wydają się nie na miejscu; nasza nieobecność podczas tych rozmów pozwala uniknąć bezpośredniej konfrontacji politycznej w Rosji.

Obok niepodległej Białorusi i Ukrainy Rosja jest też naszym bezpośrednim sąsiadem. Był moment w latach 90., że w okręgu kalininogradzkim stacjonowało ponad 260 tys. żołnierzy. Wtedy cała nasza armia tyłu liczyła. Dziś liczy niespełna 100 tys. I z wojskowego, i politycznego punktu widzenia obwód kalininogradzki jest ważną częścią Rosji, tym ważniejszą, że zwią-

zana z nami ekonomicznie jeśli nie na szczeblu międzypaństwowym to na szczeblu regionalnym. I są dwie wizje tego okręgu: może to być albo Gibraltar, albo Hongkong. Na razie jest to rosyjska baza wojskowa.

Jeszcze rok temu wyobrażano sobie Ukrainę z Janukowiczem, jakimkolwiek by on był, lawirującą między Wschodem a Zachodem i powolne przyciąganie Ukrainy, ale nie militarne, tylko do standardów kulturalnych, cywilizacyjnych, gospodarczych. Żeby ją stopniowo wiązać cywilizacyjnie z Zachodem, żeby studentów z Ukrainy jednak w Polsce kształcić, żeby podejmować jakieś działania długofalowe zamiast „szarpania Ukrainy”. Ukraina szarpana na wschód i na zachód musiała pęknąć i to było do przewidzenia!

Sprawy wojny roku 20: obie strony mordowały jeńców i to jest bezsporne. Rozmawiałem z prof. Pomianowskim, członkiem Komisji Polsko-Rosyjskiej do spraw trudnych. Powiedział mi, że obie strony uznały, że nie jest to kwestia sporna. Mordowały obie strony. Wystarczy przeczytać Babla, a nasza kawaleria też nie brała jeńców. A skoro mowa o tych, którzy do niewoli ostatecznie się dostali, to trzeba podkreślić, że za los jeńców odpowiada ten, kto ich trzyma.

Po ostatnich wydarzeniach w Europie Zachodniej stosunek „Zachodu” do Rosji się zmienił! Rosja jest pożądanym sojusznikiem m.in. do walki z islamskim terroryzmem i bez Rosji problemu tego się nie rozwiąże.

ANDRZEJ KURZ

„KUŹNICA” ŻYJE JUŻ 40 LAT!

28. kwietnia br. minęło 40 lat od czasu pierwszego zebrania „Kuźnicy” zwołanego w siedzibie na rogu Rynku Głównego i ul. Wiślniej. Pomysłodawca i inicjator „Kuźnicy” – pisarz i poseł na Sejm, były więzień Auschwitz i bohater obozowego ruchu oporu, Tadeusz Hołuj, został powołany na jej przewodniczącego (zwanego prezesem) i był nim aż do końca życia, do roku 1985, chociaż z początkiem r. 1983 „Kuźnica” została przez najwyższe władze przymuszona samorozwiązania. Argumentowano wówczas, że tzw. cięcie po skrzydłach umożliwi zarazem zlikwidowanie ośrodków neostalinowskiego, populistycznego nurtu w partii i zniesienie stanu wojennego. Widać z tego jak burzliwe i złożone losy przechodziła „Kuźnica” w Polsce Ludowej, a właściwie to w obu systemach politycznych Polski ostatnich dziesięcioleci.*

Samo powołanie „Kuźnicy” było inicjatywą przygotowywaną długo. Zaczęło się właściwie od politycznego zwrotu w Polsce w grudniu 1970 r. i nastania w Krakowie nowego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego partii. Został nim z nadania władz centralnych Józef Klasa, od urodzenia związany z krakowskim regionem, ale człowiek światowy, wieloletni dyplomata wysokiej rangi. Politycznie odważny aż do zuchwałości, zapoczątkował w Krakowie epokę otwarcia, śmiałych dyskusji i inicjatyw, niezwykle – nawiązującego do idei Października '56 i polskiej drogi do socjalizmu – ożywienia środowisk twórczych: kulturalnych, naukowych i edukacyjnych. I to one były zainteresowane utworzeniem „Kuźnicy”.

Zwołana w październiku 1971 r. Narada Wawelska środowisk kulturalnych rozwinęła zaskakujące swym krytycyzmem i pomysłowością idee i wyzwoliła rzeczywiste inicjatywy środowisk i instytucji. Jedną z nich był zgłoszony przez Tadeusza Hołuj pomysł klubu twórców i działaczy kultury, który by dał pole swobodnej dyskusji organizacjom partyjnym stowarzyszeń kulturalnych, z udziałem zaangażowanych obywatelsko bezpartyjnych twórców i działaczy. Skonkretyzowała to uchwała egzekutywy KW PZPR z kwietnia 1974 r., zobowiązująca także władze miejskie do zapewnienia klubowi siedziby, materialnych warunków działania i niewielkiego zespołu pracowników. Upoważnieni do przewodzenia w realizacji tej uchwały – Tadeusz Hołuj i sekretarz KW Andrzej Czyż animowali działalność kilkusobowego zespołu aktywu przygotowującego podstawy programowe i organizacyjne klubu. Trzeba było zarazem przezwyciężać nieufność władz centralnych i opór „zdrowych sił

partyjnych” w samym Krakowie. Nieoceniona okazała się pomoc ówczesnych kierowników scentralizowanej polityki kulturalnej Józefa Teichmy, Wincentego Kraśki i Lucjana Motyki.

Śmiałość niehamowanych przez żadną cenzurę dyskusji na regularnie odbywanych (zazwyczaj i aż do dzisiaj comiesięcznych) spotkaniach „Kuźnicy” dotyczyła nie tylko spraw kultury i twórczości intelektualnej (w tym dzieł pióra, pędzla, dłuta i słowa członków „Kuźnicy”), ale też w coraz śmielszym stopniu życia ideowo-politycznego Polski, jej stosunków społecznych i gospodarki. Moderowana była tylko poczuciem obywatelskiej odpowiedzialności za państwo, polską rację stanu. To także do dzisiaj stało się cechą podstawową działalności „Kuźnicy”.

Wśród aktywnych od początku członków „Kuźnicy” znalazło się duże grono ludzi wybitnych. Prym wiodli pisarze i literaturoznawcy rangi Henryka Markiewicza, Jerzego Broszkiewicza, Tadeusza Kwiatkowskiego, Juliana Kawalca, Zbigniewa Siatkowskiego, a z młodszych Jana Pieszczachowicza, Adama Komorowskiego, Wita Jaworskiego, a także profesorowie poloniści jak Marian Stepien, Stanisław Burkot, Bolesław Faron, Krzysztof Woźniakowski. Wiele zaskakujących pomysłów, wnosili wielcy malarze, scenografowie, graficy, rzeźbiarze, często rewolucyjniści sztuki jak Jonasz Stern, Mieczysław Porębski, Jerzy Skarżyński, Kazimierz Mikulski czy Andrzej Pietsch, Marian Konieczny, Antoni Hajdecki, Marian Krucek, Stanisław Wiśniewski oraz ludzie teatru wielkości Jerzego Treli czy Krzysztofa Jasińskiego, Jana Güntnera, Fredy Leniewicza, Romany Próchnickiej, Ryszarda Smołewskiego, Bronisława Dąbrowskiego, Jerzego Sopoćki, Wojciecha Ziętarskiego, także muzycy i muzykolodzy jak Krzysztof Missona czy Leszek Polony. Powagi dyskusjom dodawały wystąpienia historyków tej miary co Aleksander Krawczuk, Antoni Podraza, Józef Buszko, Marian Zgórniak, Michał Śliwa, Władysław Serczyk, Irena Paczyńska, Grzegorz Mazur, Andrzej Pilch czy Andrzej Kozanecki, znanych socjologów i politologów jak Marek Waldenberg, Piotr Sztompka, Hieronim Kubiak, Władysław Kwaśniewicz czy Lubomir Zyblikiewicz, filozofów klasy Bronisława Łagowskiego, Włodzimierza Rydzewskiego, Józefa Lipca, Waldemara Kani, medjoznawców jak Tomasz Goban-Klas, Edward Chudziński, wybitnych ekonomistów jak Jerzy Hausner, Zbigniew Martyniak, Juliusz Jasieński, lekarzy – uczonych i społeczników jak Tadeusz Popiela, Jerzy Aleksandrowicz, Adam Szymusik czy Stanisław Kłodziński. Wielką grupę członków „Kuźnicy” i animatorów dyskusji stanowili znani dziennikarze w tym Teresa Stanisławska, Krystyna Zbijewska, Zbigniew Regucki, Maciej Szumowski, Dorota Terakowska, Zbigniew Bauer, Jerzy Surdykowski, Stefan Ciepley, Krzysztof Kasprzyk, Andrzej Urbańczyk, Ewa Smęder czy Marian Szulc. Nie brakowało też działaczy kultury i kierowników jej instytucji jak Ta-

* Dzieje „Kuźnicy” opisane zostały obszernie w książce Artura Józwicka *Krakowska Kuźnica. Historia. Ludzie. Idee*, wydanej w r. 2005, w artykule Andrzeja Urbańczyka w tomie zbiorowym *Polska pod rządami PZPR* wydanym w r. 2000 i w rozprawie Andrzeja Kurza pomieszczonej w trzytomowym dziele zbiorowym *Lewica w III RP* opublikowanym w r. 2010.

deusz Chruściński, Marian Fita, Edward Waligóra, Ignacy Trybowski, Maria Wojciechowska, Wacław Passowicz, Wiktor Herzig, Józef Zajac, Bogumił Woźniakowski oraz wybitnych pedagogów jak Czesław Banach, Jan Nowak, Mieczysław Noworyta, Ryszard Bąk czy Halina Krywak, a także czynnych inżynierów jak Jacek Wawrykiewicz i Lech Michał Rościszewski.

Rozpoczęcie działalności „Kuźnicy” w kwietniu 1975 r. stało się jednym z ostatnich poczynań ówczesnego Komitetu Wojewódzkiego partii atakowanego coraz silniej przez twardogłowych. Już w drugiej połowie 1975 r. nastąpiła zmiana kierowników polskiej polityki kulturalnej oraz odwołanie Józefa Klasy z Krakowa. Jednakże ośmielenia krakowskich środowisk twórczych, autorytetu głównych postaci i rozmachu działalności „Kuźnicy” nie udało się już zahamować.

Ważnym sposobem publicznej, promieniującej na Polskę ekspresji „Kuźnicy” miało stać się jej pismo, zamierzone jako miesięcznik, dla którego znaleziono znamienity tytuł „Zdanie”. Jego powołanie napotkało na opór centralnych władz. Inicjatywa sekretarza KW Jana Brońka i Wydawnictwa Literackiego pozwoliła jednak zapoczątkować wydawanie „Zdania” w roku 1978 jako cokwartalnej publikacji na zasadach książkowych (Jan Broniek jest do dziś jednym z czołowych działaczy „Kuźnicy”).

Redaktorem naczelnym tego „Zdania” został Józef Lipiec. W okresie liberalizmu początku lat 80. udało się przekształcić „Zdanie” w samodzielny miesięcznik pod redakcją Zbigniewa Reguckiego, a następnie Mariana Stępnia. Pismo zgromadziło znakomitych współpracowników, zyskało zainteresowania w całej Polsce swoimi śmiałymi artykułami i dyskusjami na podstawowe tematy ustrojowe, kulturalne i historyczne. W latach następnych wybitnymi redaktorami naczelnymi byli: Andrzej Urbańczyk, Włodzimierz Rydzewski, Adam Komorowski i przez ostatnich 15 lat Edward Chudziński.

Okres polskiego ożywienia od lipca 1980 r. był równocześnie czasem najgłębszego zaangażowania „Kuźnicy” w polityczne przemiany w Polsce, związane m.in. z nadziejami i przygotowaniami do IX Zjazdu partii. Zwiększyła się jeszcze liczba spotkań i dyskusji z czołowymi działaczami państwowymi i partyjnymi, a także z myślicielami i dziennikarzami zagranicznymi. Porozumienia rządu z nowopowstałą „Solidarnością” z sierpnia 1980 roku, w których zawarciu czołową rolę odegrał mocno związany z „Kuźnicą” wicepremier Kazimierz Barcikowski, nie zaskoczyły kuźniczan poszukujących od początku demokratycznych rozwiązań i swobód ustrojowych.

W dyskusjach nad programem odnowicielskiego IX Zjazdu partii, a szczególnie jego komponentą ideowo-kulturalną, „Kuźnica” zajęła oficjalne stanowisko. Animator stworzonego w niej projektu programu, Hieronim Kubiak, jeden z liderów „Kuźnicy”, stał się na kilka lat członkiem kierownictwa partii odpowiedzialnym za odcinek kultury i nauki.

Stan wojenny, wprowadzony 13 grudnia 1981 r., był dla „Kuźnicy” wstrząsem, jakkolwiek to właśnie w niej kilka dni wcześniej odbyło się spotkanie dyskusyjne z prof. Jerzym Wiatrem, na którym stan wojenny był rozpatrywany jako jedno z możliwych wyjść z kryzysowej sytuacji Polski. (Zostało to nazajutrz zrelacjonowane w „Gazecie Krakowskiej” – wówczas najbardziej niezależnym i poszukiwanym w Polsce dzienniku).

Niewielka grupa członków „Kuźnicy” w proteście przeciwko złamaniu rodzącej się demokracji i wolności wystąpiła z jej szeregów. Pozostali, uznając stan wojenny za mniejsze zło, zajęli się łagodzeniem brutalności działań władzy i tworzeniem możliwości szybkiego zakończenia okresu przemocy. Jednak ta jawna postawa nie była akceptowana przez Biuro Polityczne partii, które zażądało samorozwiązania „Kuźnicy”. Oznaczało to koniec pierwszego okresu jej inicjatyw i nadziei.

Działaczom „Kuźnicy” udało się jednak ocalić moralną więź i idee klubu, i doprowadzić do powołania przez prezydenta Krakowa podległego mu Ośrodka Kultury Krakowska Kuźnica działającego w tym samym lokalu i skupiającego wokół Tadeusza Hołuję spore grono partyjnych i bezpartyjnych. Za działalność programową Ośrodka odpowiadał prof. Marian Stępień (potem powołany na sekretarza KC partii) oraz liderzy środowisk artystycznych – Tadeusz Kwiatkowski, Jan Güntner i Ignacy Trybowski.

Ocalało od rozwiązania „Zdanie” i zachowało rolę ważnego ośrodka ówczesnych rozważań lewicowej inteligencji. Szczególnie owocna okazała się dyskusja z okazji 5-lecia „Zdania”, animowana przez wybijającego się na czoło działacza i publicystę Andrzeja Urbańczyka *Wokół wyzwań XXI wieku*, opublikowana także w postaci książkowej. Wiele uwagi poświęcano na spotkaniach „Kuźnicy” Gorbaczowowskim, wywołującym nadzieję, przemianom w Związku Radzieckim i rozpadowi obozu sowieckiego.

Aktywność ludzi „Kuźnicy”, wspierana przez najświatlejsze postacie w ówczesnym kierownictwie PZPR, w tym Kazimierza Barcikowskiego i Mieczysława Rakowskiego, który stał się na wiele lat politykiem „Kuźnicy” najbliższym, pozwoliła w 1988 r. odrodzić „Kuźnicę” na prawach ogólnopolskiego stowarzyszenia. Tym, który przeprowadził to dzieło i w sposób naturalny został wybrany na jej prezesa na lata 1988-1993 był prof. Hieronim Kubiak.

Zapoczątkowany został nowy okres działalności „Kuźnicy” z jej ponownie dużym zaangażowaniem w życie publiczne Polski i zachodzące w niej przemiany. Hieronim Kubiak stał się uczestnikiem obrad Okrągłego Stołu. „Kuźnica” jako stowarzyszenie oficjalnie wysunęła kandydatury swoich liderów na posłów w wolnych wyborach do Sejmu tzw. kontraktowego. Jakkolwiek obaj jej kandydaci – Hieronim Kubiak i Andrzej Kurz – przeszli do drugiej tury wyborów, jednak wskutek nieprzyjaznych im manipulacji wojewódzkiego aparatu partyjnego i tajnych służb, przegrali w drugiej turze. Już nigdy więcej „Kuźnica” nie występowała jako samodzielna siła w wyborach parlamentarnych. Ale proponowani przez nią działacze – Andrzej Urbańczyk, Aleksander Krawczuk i Jerzy Hausner – uzyskiwali w następnych wyborach poselskie mandaty na listach partyjnych lewicy.

Pokoje oddanie władzy przez PZPR i jej samorozwiązanie, a przede wszystkim całkowite przeobrażenie systemu ustrojowego Polski i ukształtowanie się III Rzeczypospolitej zmieniło charakter politycznego usytuowania „Kuźnicy”. Ale nie naruszyło jej zaangażowania w demokratyczne przemiany społeczne i tylko umocniło jej związek z polską racją stanu. Nie zmniejszyło także jej krytycyzmu i lewicowej determinacji, jednoznaczności opowiadania się po stronie społecznej sprawiedliwości, państwa opiekuńczego i prawdziwie

praworządnego oraz społecznej gospodarki rynkowej. Oznaczało także kontynuację zaangażowania w procesy otwierania Polski na świat i jej europejskiej integracji. „Kuźnica” od swych początków okazywała przecież wolę walki z ksenofobią i przewyższania zaściankowych, parafialnych lęków Polaków.

Pozytywny stosunek „Kuźnicy” do umów Okrągłego Stołu, do demokratycznie wybranych władz państwowych, rządu Tadeusza Mazowieckiego i prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego, do uchwalonych przez parlament przeobrażeń i do III Rzeczypospolitej nie wywoływał wzajemności ze strony prawicy, szczególnie tej zwycięskiej w krakowskim samorządzie. Natychmiast pozbawił on „Kuźnicę” lokalu i jakiegokolwiek pomocy materialnej, nakazał wyrwać ze ściany domu przy Rynku Głównym tablicę poświęconą pamięci Tadeusza Hołuj.

Ci, którzy „Kuźnicy” nie opuścili, a była to ogromna większość jej członków, znaleźli niewielki lokalik niezbędny dla czynności organizacyjnych, stworzyli Fundację „Kuźnica” pozyskującą najniezbędniejsze, bardzo niewielkie środki finansowe. Kierował przez kilkanaście lat Fundacją Jan Nowak, a ostatnio Kazimierz Karp. Podówczas też jedynym pracownikiem biura „Kuźnicy” została młodzieńka Ewa Wasił, która po kilku latach wyrosła na czynnego do dziś sekretarza Rady „Kuźnicy”. Przedmiotem ówczesnych debat i publikacji „Kuźnicy” stała się analiza zachodzących w Polsce przemian, odradzanie i integracja ideowych i społecznych sił lewicy, i ich obrona przed brutalną agresją prawicy (posuwającą się do fizycznych ataków na zgromadzenia „Kuźnicy”). A także podtrzymywanie obywatelskiej godności ludzi dobrej woli, odbudowujących i rozbudowujących w przeszłości Polskę Ludową oraz dawanie świadectwa prawdzie o historycznym dorobku polskich ruchów socjalistycznych i demokratycznych.

„Kuźnica” także była w r. 1995 jedynym w Krakowie miejscem, w którym w obecności konsula nowej Rosji uczczono 50 rocznicę wyzwolenia miasta od hitlerowskiej okupacji. Jednak chyba najbardziej znaczącym wydarzeniem w „Kuźnicy” tego trudnego kresu stała się zorganizowana w 1992 r. sesja naukowa zatytułowana *Stosunek lewicy do problemu niepodległości Polski od Paktu Ribbentrop–Mołotow do czerwca 1989*. Obszerne referaty przygotowali na nią wybitni historycy, m.in. Czesław Madajczyk, Krzysztof Dunin-Wąsowicz, Eugeniusz Duraczyński, Michał Śliwa, Wiesław Władyka, Stanisław Ciesielski, Marian Stępień, Antoni Czubiński, Tomasz Natęcz i Andrzej Werblan.

Ta udana sesja pobudziła wysiłki „Kuźnicy” nad organizacją wielkich ogólnopolskich spotkań i sympozjów. W ciągu ostatnich kilkunastu lat odbywają się corocznie w maju, w zabytkowych salach Muzeum Historycznego miasta Krakowa, debaty, których dorobek publikowany bywa w „Zdaniu”, a nawet oddzielnych wydawnictwach. Dotyczą najważniejszych w myśleniu lewicy spraw przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Polski i Europy. Kilka dotyczyło też dojrzewania Krakowa do roli międzynarodowej metropolii.

Udział w tych sesjach, a także w innych dużych dyskusjach „Kuźnicy” organizowanych w Warszawie i Krakowie, brali zaprzyjaźnieni z „Kuźnicą” najwybitniejsi polscy intelektualiści i politycy (wielu kilkakrotnie). Wśród nich Wojciech Jaruzelski, Aleksander

Kwaśniewski, Mieczysław Rakowski, Kazimierz Barcikowski, Stanisław Kania, Józef Tejchma, Mikołaj Kozakiewicz, Włodzimierz Cimoszewicz, Leszek Miller, Marek Belka, Józef Oleksy, Grzegorz Kołodko, Marek Borowski, Jerzy Szmajdziński, Zbigniew Siemiątkowski, Krystyna Łybacka, Andrzej Barcikowski, Adam Michnik, Krzysztof Kozłowski, Andrzej Drawicz, Michał Boni, Juliusz Braun, Krzysztof Janik, Wojciech Olejniczak, Grzegorz Napieralski, Andrzej Celiński, Piotr Ikonowicz. I przede wszystkim wielkie grono uczonych i profesorów, a wśród nich Andrzej Walicki, Zygmunt Bauman, Czesław Bobrowski, Adam Schaff, Tadeusz Kowalik, Zdzisław Sadowski, Janusz Reykowski, Władysław Markiewicz, Marek Waldenberg, Henryk Markiewicz, Piotr Sztompka, Michał Kleiber, Bronisław Łagowski, Adam Daniel Rotfeld, Andrzej Werblan, Andrzej Romanowski, Mirosława Marody, Jan Widacki, Antoni Podraza, Aleksander Krawczuk, Marian Zgórniak, Andrzej Friszke, Jadwiga Staniszkis, Danuta Waniek, Jan Woleński, Kazimierz Kutz, Jacek Wódz, Kazimierz Kik, Andrzej Jaeschke, Sławomir Sierakowski, Magdalena Mikołajczyk, Mirosław Szumiło. I bywająca często w „Kuźnicy” grupa czołowych publicystów – Krzysztof Teodor Toeplitz, Ryszard Kapuściński, Daniel Passent, Janina Paradowska, Jerzy Urban, Krzysztof Mrozwicz, Filip Ratkowski, Jan Ordyński.

Z inicjatywy „Kuźnicy” i jej prezesa odbyło się spotkanie w 50 rocznicę Polskiego Października. W Sali Kolumnowej Sejmu uczestniczyło w nim ok. 300 osób, a referaty wygłosili: Karol Modzelewski, Andrzej Walicki, Tadeusz Kowalik, Andrzej Werblan, Józef Tejchma i Lechosław Goździk. Podobną dyskusję w Krakowie poprowadzili w siedzibie „Kuźnicy” uczestnicy październikowych wydarzeń: Marek Waldenberg, Zbigniew Jakus, Stefan Bratkowski, Krzysztof Kozłowski, Jerzy Huczkowski, Marian Stępień i Hieronim Kubiak.

Ważny dla nowego politycznego zaangażowania „Kuźnicy” stał się w 1989 r. udział jej prezesa i wiceprezesów – Hieronima Kubiaka, Andrzeja Kurza i Andrzeja Urbańczyka w Ruchu 7. Lipca, rozwijającym się pod przywództwem Aleksandra Kwaśniewskiego. Najmłodszy z tego grona przedstawicieli „Kuźnicy”, Andrzej Urbańczyk, wziął następnie udział w tworzeniu nowych struktur partyjnych lewicy, stając się jednym z liderów i nadzieją Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Aż do swej tragicznej śmierci w roku 2001. Jego charyzma i energia jako prezesa „Kuźnicy” wybranego w r. 1993 nadała działaniom naszego Stowarzyszenia wielki rozmach i śmiałość.

W okresie, kiedy lewica dochodziła do władzy w wyniku wyborów parlamentarnych, a jej przywódca, Aleksander Kwaśniewski (zachował członkostwo „Kuźnicy”) przez 10 lat pełnił z powodzeniem najwyższy urząd państwowy – prezydenta RP, „Kuźnica” przeżywała czas, kiedy jej spotkania i dyskusje z przedstawicielami władzy dawały członkom co najmniej poczucie obywatelskiego wpływu i odpowiedzialności. Ale byliśmy i pozostaliśmy do dzisiaj „bractwem dobrej rady”, a nie „bractwem rad nadzorczych”.

Z inicjatywy Andrzeja Urbańczyka powołano w tym okresie filie Stowarzyszenia w kilku ośrodkach. Przede wszystkim w Warszawie – animowaną w pierwszych latach przez Józefa Klasę, a później przez prezesa „Kuźnicy”, w Nowym Sączu od początku pod przewodnictwem

Antoniego Rączki, w Sosnowcu pod przewodnictwem Bogusława Kabały (aż do jego niedawnej śmierci). Filia w Tarnowie była prowadzona przez Józefa Trędowicza (też do jego śmierci), a potem przez Stanisława Gębałę i Jerzego Śmietanę.

Szczególnie spotkania „Kuźnicy” w Warszawie, odbywane w zabytkowej sali Klubu Księgarza przy Rynku Starego Miasta, animowanego przez przyjaciela „Kuźnicy”, Jana Rodzenia, gromadzą ponad 100-osobowe grono uczestników, a wśród nich wybitnych przedstawicieli nauki, kultury i świata polityki. Np. niezapomnianym echem odbija się do dzisiaj dyskusja z księdzem profesorem Józefem Tischnerem w 1996 roku.

Inicjatywie Andrzeja Urbańczyka zawdzięczamy także powołanie przy „Kuźnicy” Instytutu Badań Społecznych, który po pierwszych osiągnięciach w dziedzinie badań zachowań politycznych w wielkim mieście, z powodu braku możliwości finansowych ograniczył swą działalność do publikowania tomów „Biblioteki »Kuźnicy«”. Zaczęto pośmiertnym zbiorem artykułów właśnie Andrzeja Urbańczyka *To, co moje*, aby przejść do dzieł głównie o charakterze naukowym, pióra autorów tak wybitnych jak Andrzej Walicki, Karol Modzelewski, Bronisław Łagowski, Hieronim Kubiak, Jerzy Hausner, Eugeniusz Duraczyński, Paweł Kozłowski czy Jerzy Giedroyc i Jerzy Huczkowski.

Szczególną moralną satysfakcję, która pobudzała aktywność i obywatelską odpowiedzialność ludzi z „Kuźnicą” związanych, przyniósł czas, kiedy członek „Kuźnicy” Jerzy Hausner został nie tylko posłem na Sejm, ale i wicepremierem rządu, prawdziwym reformatorem polskiej gospodarki. Wybrany w r. 2002 na prezesa „Kuźnicy” uczynił z niej także poważne miejsce dyskusji nad swymi analizami i reformatorskimi programami. Wycofanie się Jerzego Hausnera z czynnego życia publicznego i równocześnie rezygnacja w r. 2005 z przewodniczenia „Kuźnicy” groziły poważnym kryzysem. Uniknęliśmy tego przede wszystkim dzięki Hieronimowi Kubiakowi, który w r. 2006 zgodził się podjąć po raz drugi obowiązki prezesa i podtrzymał rozmach działalności „Kuźnicy”. Jego rezygnacja z kandydowania na następną kadencję spowodowała konieczność znalezienia nowych rozwiązań personalnych, aby nie pozwolić na osłabienie aktywności Stowarzyszenia ani jego autorytetu w środowiskach lewicowej inteligencji.

Osłabło tylko polityczne zaangażowanie „Kuźnicy”. Jej wysiłki, aby jednoczyć, a nie dzielić, zwłaszcza moralnie i ideowo, polityczną lewicę nie dają większych wyników i osłabiają nadzieję. Satysfakcję przynosi tylko fakt, że związany z intelektualną aktywnością „Kuźnicy” prof. Jacek Majchrowski, proponowany zawsze przez nią na prezydenta Krakowa, już po raz czwarty wygrał wybory samorządowe. Jednak wpływ „Kuźnicy” na programy i działalność miejskiego samorządu okazuje się od lat niewielki.

Próba pomocy dla politycznej lewicy ostatnich lat jest inicjatywa „Kuźnicy”, życzliwie przyjęta przez wicemarszałka Sejmu RP, Jerzego Wenderlicha i przewodniczącego Klubu Poselskiego SLD, Leszka Millera, organizowania „profesorskich rozmów przy sejmowym obiedzie”. Odbywają się one w sejmowej restauracji, a ich tematyka związana jest z ogólnymi wartościami i doświadczeniami ruchów w Polsce i Europie. Na zaproszenie „Kuźnicy” w debatach tych, których dorobek składa się na przygo-

towywaną obecnie książkę, brali wielokrotnie udział wybitni intelektualiści obdarzeni poczuciem obywatelskiej, najczęściej nie związanej z partyjnością odpowiedzialności. Wśród nich profesorowie: Aleksandra Jasińska-Kania, Bogdan Kalwas, Paweł Kozłowski, Leszek Kubicki, Zbigniew Madej, Władysław Markiewicz, Andrzej Mencwel, Jacek Raciborski, Adam Daniel Rotfeld, Zdzisław Sadowski, Andrzej Sopoćko, Michał Syska, Janusz Tazbir, Andrzej Walicki, Danuta Waniek, Jerzy Wiatr, Andrzej Werblan.

Wciąż najwyraźniejszym manifestem moralno-ideowym „Kuźnicy” pozostaje jej Kowadło, nagroda honorowa przyznawana tym, których uważa za swych intelektualnych, kulturalnych i obywatelskich przewodników. Przyjąć jej nie zdecydowali się (choć wyrazili swą satysfakcję i wdzięczność) tylko dwaj ludzie przez „Kuźnicę” wybrani: Jerzy Giedroyc i Jerzy Owsiak. Zaś wszyscy ją przyjmujący zadeklarowali swą wobec „Kuźnicy” trwałą przyjaźń i solidarność. Są nimi m.in.: (w porządku chronologicznym od r. 1976) Władysław Loranc, Tadeusz Łomnicki, Jan Szczepański, Ryszard Kapuściński, Edmund Osmańczyk, Kazimierz Smoleń, Andrzej Wajda i Maciej Szumowski – w pierwszym okresie działania „Kuźnicy”, jeszcze w PRL. A od r. 1989: Janusz Reykowski, Ewa Łętowska, Kazimierz Dejmek, Karol Modzelewski, Andrzej Walicki, Olga Lipińska, Wiesław Myśliwski, Mieczysław F. Rakowski, Aleksander Małachowski, Jacek Kuroń, Adam Schaff, ks. Stanisław Musiał, Lucjan Motyka, Aleksander Krawczuk, Marek Waldenberg, Tadeusz Kowalik, Władysław Baka, Zdzisław Sadowski, Andrzej Werblan, Władysław Markiewicz, Julian Kawalec, Magdalena Środa, Janusz Tazbir, Henryk Markiewicz, Jerzy Trela, Jerzy Wiatr, Andrzej Romanowski, Andrzej Mencwel, Marian Turski.

Największe zgromadzenie (1400 osób, głównie młodych, w Auditorium Maximum UJ) zanotowała „Kuźnica” podczas wręczania Kowadła Zygmuntowi Baumanowi.

Kowadło przyznawano też organizacjom i pismom, które „Kuźnica” uważa za sobie najbliższe: miesięcznikom „Dziś” z redaktorem naczelnym Mieczysławem F. Rakowskim i „Res Humana” ze Zdzisławem Słowiakiem, tygodnikowi „Przegląd” z Jerzym Domańskim oraz Festiwalowi Kultury Żydowskiej i Społecznemu Komitetowi Odnowy Zabytków Krakowa.

Na 40-lecie „Kuźnica” przyznała Kowadła wybitnym intelektualistom i obywatelom, a swoim członkom, Bronisławowi Łagowskiemu i Jerzemu Hausnerowi.

Dobiega końca dominacja w „Kuźnicy” pokoleń tych, którzy przeżyli świadomie i czynnie okres nadziei i nędzy II Rzeczypospolitej, rozpacz i walki Polski okupowanej, entuzjazmu budowy i rozczarowań Polski Ludowej i jej drogi do socjalizmu, którzy zaangażowani byli w Październik’56 i Okrągły Stół’89, w integrację Polski z Unią Europejską i światem Zachodu. Nadchodzi nowa epoka. Czy „Kuźnica” potrafi przyciągnąć do siebie młodych i pomóc im znaleźć dla Polski i dla nich samych sposób twórczej samorealizacji w szlachetnym duchu wolności, demokracji i sprawiedliwości?

ANDRZEJ KURZ

– współtwórca „Kuźnicy”; w latach 1983-1996, 2002-2005 i 2008-2011 jej wiceprezes; w latach 2001-2002, 2005-2006 i od 2011 do dziś – prezes.

JAN PIESZCZACHOWICZ

UPOLITYCZNIONE ŻYCIE LITERACKIE

Ze wspomnień uczestnika

W styczniu 1976 r. pojechałem w sprawach służbowych do Warszawy i jak zwykle zamieszkałem w pokoju Zarządu Głównego ZLP. 30 stycznia rano pracownica Zarządu zapukała do drzwi, by mnie powiadomić, że w trakcie zebrania związkowego w Domu Literatów przy ul. Krupniczej 22 zmarł nagle prezes krakowskiego Oddziału ZLP Stefan Otwinowski. Był człowiekiem schorowanym, cierpiał na serce, do efektywnego działania już w zasadzie niezdolnym. Znaczna część krakowskich literatów sądziła, że trzeba mu już dać spokój, choć prezes nie zdradzał chęci zrezygnowania ze swojego stanowiska. Rada w radę sformułowano koncepcję, że Otwinowskiego należy zostawić jako prezesa honorowego, a mnie, o którym sądzono, iż mam żyłkę do działania, ustanowić wiceprezesem Oddziału do roboty, w jego zastępstwie.

No i pracowałem, zachowując pełny szacunek dla prezesa i pełniąc funkcję redaktora naczelnego czasopisma „Student”, która właśnie dobiegła końca, ponieważ czynniki partyjne uważały, że linia polityczna pisma jest z ich punktu widzenia ryzykowna. Zostałem więc, jak się wówczas mówiło, z redaktorskiego stołka „zdjęty”, co miało wpływ na wyniki wyborów po śmierci Otwinowskiego. Wkrótce odbyło się zebranie wyborcze Oddziału.

Literatom spodobał się mój styl działania jako wiceprezesa i zaczęto mówić, że jestem już sprawdzony i wdrożony, więc trzeba by mnie na prezesa wybrać. Główne przeszkody: byłem członkiem partii, co dla różnych pisarzy było okolicznością negatywną, a mój dorobek krytyka był raczej skromny. W krakowskim środowisku literackim pisarze partyjni, którym przewodził sekretarz POP ZLP Władysław Machajek, nie byli popularni, a przy nadarzającej okazji zwalczała ich część bezpartyjnych, zwłaszcza o orientacji katolickiej i opozycyjnej. Żeby coś w ZLP zrobić, trzeba było doprowadzić do *consensusu* na gruncie solidarności zawodowej i interesów pisarskich. To wkrótce stało się moim problemem, z którym poradziłem sobie nieźle, skoro do rozwiązania ZLP w stanie wojennym, nawet po zawieszenia Związku, udało się z większością środowiska współpracować.

Zebranie wyborcze, o którym sporo nakłamano w łże-wspomnieniach, było rzeczywiście niezwykle. Wbrew temu, co napisał na plotkarskim portalu pewien poeta i paszkwilant z Krakowa, inicjatywa nie wyszła od Jerzego Putramenta czy jakis czynników partyjnych; te były miło zaskoczone obrotem rzeczy, choć też nieco zakłopotane, bo jak to, dopiero co wyrzuciły mnie z redagowania „Studenta”, a tu taki niespodziewany prezent. Muszę przyznać, że go doceniano i doznałem pomocy w pełnieniu prezesowskich obowiązków, na czym zyskało środowisko literackie.

Wróćmy do przebiegu zebrania. Mój wybór rekomendował Kornel Filipowicz, wspomagany przez Jana Józefa Szczepańskiego. Na ich wniosek – rzecz bez precedensu – zebrani postanowili głosować jawnie i otrzymałem blisko sto procent głosów – więcej niż moi znakomici poprzednicy: Kazimierz Czachowski, Kazimierz Wyka i Otwinowski. To był niespodziewany zawrót głowy, który zawdzięczałem także nasilającej się walce politycznej. Literaci spodziewali się także, że włączę się w walkę o powołanie w Krakowie miesięcznika literackiego, w miejsce przeniesionej w okresie stalinowskim do Warszawy „Twórczości” Wyki. Spełniłem to i z woli kolegów zostałem redaktorem naczelnym „Pisma”, rozpedzonego pod koniec stanu wojennego, co było jednym z głębszych posunięć partii, niestety nie jedynym.

Kiedy wspominam tamte czasy, nieuchronnie porównuję je z obecnymi. Przed laty, w myśl niekonsekwentnej i w dużej mierze okolicznościowej doktryny, po latach stalinizmu nikt się nie spodziewał, że pisarze będą propagandowo, otwarcie wspierać to, co nazywano ustrojem socjalistycznym. Owszem, byli i tacy, ale starali się na ogół czynić to nie wprost, lecz przy pomocy środków jednak literackich, skupiających się na działalności partyjnej i publicznej. Nie cieszyli się w środowisku literackim zbytym szacunkiem, znani pisarze bezpartyjni zwykle trzymali się od nich z daleka, młodszy szczydził, np. na łamach „Studenta”, gdzie przez dłuższy czas Stanisław Barańczak miał rubrykę „Książki najgorsze”, w której chłostał pisarzy takich jak Putrament, Machajek czy Bratny.

Niełatwo było zapewnić *pax litteraria*, o co jako prezes bardzo dbałem, ze skutkiem dość pomyślnym. Kiedy obejmowałem prezesurę dowcipkowano, że ulicą Wiślną podążali do swoich redakcji Jerzy Turowicz („Tygodnik Powszechny”) i Władysław Machajek („Życie Literackie”) chodnikiem po obu stro-

* Wystąpienie na dorocznym symposium „Kuźnicy” poświęconym kulturze w PRL. W poprzednim numerze (162-163/2014) wypowiedzieli się: Andrzej Mencwel, Marian Stępień, Andrzej Kurz, Mieczysław Wojtczak.

nach ulicy, żeby się nie przywitać. A jednak w kuluarach pewnego zebrania przy Krupniczej widziałem, jak obaj panowie wypili przyjacielską wódeczkę, w ramach dyskusji o sytuacji materialnej literatów. Swary narastały z okazji związkowych zebrań, zwłaszcza sprawozdawczo-wyborczych, oraz zjazdów ZLP. Wtedy wkraczała dość brutalnie polityka, partia lansowała swoich kandydatów, a także sympatyków, których próbowała zwalczyć grupa „antypartyjna”. Bywało, że obie strony zacietrzewiały się, stawiały sobie zakulisowo warunki, w których rzeczy poważne sąsiadowały z raczej towarzyskimi przepychankami. Wspomnień mam w głowie bez liku, i choć brzmią jak anegdota, są prawdziwe.

Najbardziej zapamiętałem zjazd w Katowicach, gdzie coraz bardziej napięta sytuacja polityczna w kraju i w środowisku literackim przełożyła się na spłot posunięć wręcz gwałtownych, a przede wszystkim niemądrych. Przewodniczyłem w drugim dniu zjazdowi i na mnie spadł ciężar wybrnięcia z sytuacji. Andrzej Braun wystąpił jak na owe czasy dość ostro, zahaczając m. in. o cenzurę i niedostatek papieru na książki, co było jednym z postulatów literackich konwentykli. Dziś tekst jego wystąpienia wydaje się niemal niewinny, ale wtedy rozjuszył zasiadających w kuluarach Sejmu Śląskiego przedstawicieli wierchuszki partyjnej: członka Biura Politycznego KC PZPR i I sekretarza w Katowicach, Zdzisława Grudnia oraz sekretarza KC Jerzego Łukaszewicza.

Do dokonania odwetu wybrali wicewojewodę śląskiego Gorczycę, osobę nieciekawą i dla partii usługową. Ten wystąpił na bankiecie w ministerstwie górnictwa dla uczestników zjazdu wręcz prostacko. Stałem obok Jarosława Iwaszkiewicza, który się wściekł i oświadczył, że ponieważ obrażono delegata na zjazd, opuszcza przyjęcie i udał się do wyjścia, a za nim ruszyła większość delegatów, których usiłował powstrzymać Putrament, ale został wypchnięty w drzwiach. W hallu siedział Tadeusz Różewicz i coś pałaszował. Życzyłem mu „smacznego”, a on odparł jak gdyby usprawiedliwiająco: – Skurwysyny, skurwysyny, ale coś zjeść trzeba... Na górce zostały suto zastawione, uginające się od jadła i napitków stoły. A na drugi dzień Wolna Europa powiadomiła słuchaczy, że na czele protestujących delegatów kroczył Jerzy Putrament.

No ale trzeba było zakończyć zjazd, co oznaczało podjęcie mnóstwa uchwał, także o charakterze biurokratycznym. Część delegatów wręcz wrzała, innym się to udzielało; „liberałowie” popatrywali mało przyjaźnie na partyjnych i – odwrotnie. Prezydium przerzedziło się tak, że w pewnym momencie zostałem sam, bo współprzewodniczący zjazdu, prezes warszawskiego Oddziału ZLP, Lesław Bartelski wrócił służbowym samochodem do stolicy.



Renata Bonczar, *Ze Szkicownika*

Przed rozpoczęciem obrad odszukał mnie umyślny i zaprowadził do pokoju w kuluarach, gdzie przy wódeczce obradowali towarzysze Łukaszewicz i Grudzień. Ten ostatni w właściwy sobie, raczej prostacki sposób powiadomił, że dotarła do nich wiadomość, iż została przygotowana na zakończenie zjazdu jaskrawo antypartyjna rezolucja. Tow. Grudzień uprzedzał, że jeśli by do jej uchwalenia doszło, partyjni delegaci (dotyczyło to również mnie) otrzymają polecenie opuszczenia (czyli zerwania) zjazdu, co postawiłoby pod znakiem zapytania dalsze istnienie ZLP. Zdrętwiałem. To mogła być naciskowa pogrożka, ale i nie daj Boże realność. Sytuacja osiągnęła niebezpieczne maksimum. Pobiegłem na salę obrad i odszukałem delegatów Kornela Filipowicza i J. J. Szczepańskiego. Powiedziałem im o dopiero co odbytej rozmowie. Nie zlekceważyli tego. Powiedzieli, że są dwa projekty rezolucji: ostra i mogąca uchodzić za antypartyjną Janusza Kijowskiego i łagodniejsza Pawła Hertza.

Wszedłem na trybunę, by otworzyć ostatnią część zjazdu, i oddałem głos Hertzowi. Ten odczytał pochwałę Iwaszkiewicza „za obronę integralności obrad zjazdu” wraz z podziękowaniem, zachmurzona twarz arcyprzewodniczącego wyjaśniała, zachęciłem delegatów do powstania i ogłosiłem, że rezolucja została przyjęta przez aklamację. W tym momencie poczułem, że jestem cały spocony.

Po zamknięciu obrad czekał na mnie ten sam umyślny, który znów mnie zaprowadził do pokoju, gdzie towarzysze z kierownictwem w międzyczasie nie próżnowali alkoholowo. Grudzień pochwalił mnie za „manewr z rezolucją”, a kiedy uświadomiłem go, że zrobiłem to dla dobra ZLP, powiedział: – Niech ci będzie –

i nalał mi szklaneczkę wódki. Podziękowałem grzecznie, zwłaszcza że po tym wszystkim czułem, iż szklaneczka może mi zaszkodzić. Spośród uczestników tego spotkania (brał w nim udział także Andrzej Wasilewski) żyję jeszcze ja.

I jeszcze jedno wydarzenie, ilustrujące stosunki między władzą a literaturą – z ostatniego zjazdu b. ZLP w Warszawie. W trakcie obrad dotarła do prezydium wieść, że bezpartyjni (nie wszyscy) zmagają się, by w głosowaniu „wykosić” partyjnych. I okazało się kolejnym raz, że po obu stronach, literackiej i partyjnej, nie brakło zarówno „jastrzębi”, jak ludzi rozsądnych. W przerwie obrad Andrzej Wasilewski w odwecie za pomysły wyborczego dyskryminowania partyjnych rzucił hasło, by ci zrzekli się gremialnie kandydowania. Namawiał mnie, żebym i ja tak postąpił, argumentując: – Połkną cię, a potem wyplują, po co ci to?

W tej sytuacji postanowiliśmy wraz z Tadeuszem Nowakiem złożyć wizytę Komisji Matce, której członkiem był Stefan Żółkiewski. Komisja powagę sytuacji rozumiała. Żółkiewski poprowadził mnie przez jakieś zakamarki do pokoju, w którym był łączony telefon. Wyjął wiekowy portfel i wykręcił bezpośredni numer i sekretarza KC PZPR Stanisława Kani, którego poinformował o sytuacji. Sugerował, żeby przystać na ofertę opozycji: wytypują kilku partyjnych delegatów i zagwarantują ich wybór, nie zwracając uwagi na listę ułożoną przez czynniki partyjne, co rozwścieczyło tych, których nie zamierzano wybrać. Usłyszałem w zapasowej słuchawce nieparlamentarne słowa Kani pod adresem grupy partyjnej dążącej do zwarcia wyborczego i zapowiedź, że przyjdzie zrobić porządek tow. Michał Jagiełło, zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR. Przyszedł, żeby wesprzeć tych, którzy nie chcieli awantury, zwłaszcza biorąc pod uwagę ówczesną sytuację polityczną.

Sytuacja literatury i pisarzy, a także ich relacji z polityką, nie była jednoznaczna. Cenzura robiła dużo złego, próbowało się z nią potargować i czasami to się udawało. Pamiętam na przykład rozmowę z cenzorem o zbiorze wierszy Adama Zagajewskiego, z którego chciał usunąć kilka utworów; niektóre udało się odwojować. Pamiętam też jako ówczesny zastępca redaktora naczelnego Wydawnictwa Literackiego, że musieliśmy zrezygnować m. in. z książek Ewy Lipskiej i Tadeusza Nyczka, posiekanych do imentu przez cenzurę. Kiedy wprowadzono zwyczaj zaznaczania w tekście cenzorskich ingerencji, przynajmniej przez jakiś czas było trochę lepiej, ale nie rozwiązywało to zasadniczej kwestii wolności słowa, co nastąpiło dopiero po upadku PRL.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że partia przywiązywała do spraw środowiska literackiego ogromną wagę, co zresztą stało się krępujące i wzmagało presję w sprawach kontrowersyjnych, złość budziły manifestacje grupowe i zbiorowe, np. listy protestacyjne o charakterze politycznym. Bywało, że zajmowało się tym samo Biuro Polityczne KC PZPR. Z czasem, gdy narastała opozycja, m. in. powstał KOR, pojawiły się wydawnictwa bezdebitowe, wszystko to nieco spowolaczało, ale wstrzymywanie wydawania książek pisarzom, którzy wyjątkowo się narażali, nadal praktykowano. Podobnie jak raczej bezsensowne cenzorskie „zapisy na nazwisko”.

Kiedy pojechałem na stypendium Fundacji Kościuszkowskiej do Nowego Jorku, powitano mnie jako opozycjonistę, ku mojemu szczeremu zdziwieniu. Okazało się, że przez 2-3 tygodnie miałem... zapis na nazwisko, z przyczyn dla mnie kompletnie nieznanym, co zostało ujawnione w papierach wywiezionych przez krakowskiego cenzora za granicę i tam opublikowanych.

Środowisko literackie dzieliło się coraz bardziej politycznie z przewagą tendencji opozycyjnych, co zdecydowało o losach ZLP, głupio rozwiązanego w końcowce stanu wojennego.

Kiedy jednak wspominam *sine ira* tamten czas, muszę zauważyć kilka oczywistych faktów, ukazujących drugą stronę sytuacji. Oto – mimo trudności z papierem – książki wychodziły w dużych, nawet ogromnych nakładach, co przekładało się na honoraria. Sito wydawniczo-recenzyjne na ogół eliminowało propozycje grafomańskie, z czym dziś trudniej, bo każdy drukuje co chce, często składając hołd popkulturze w nie najlepszym wydaniu. Kiedy przegląda się listy nagród ministerialnych i państwowych w PRL – rodzi się stosunkowo niewiele zastrzeżeń, natomiast można pogratulować dobrego gustu decydentom, obdarzającym (niestety, nie bez wyjątków) wyróżnieniami pisarzy czołowych kategorii, w zasadzie bez różnic światopoglądowych, choć nie ideologicznych czy politycznych.

W działalności prezesa kładłem nacisk na zaniebane w Krakowie kwestie socjalne i organizacyjne literatów, spotykając się z poparciem czynników partyjnych. Jeden z poważnych już nieżyjących pisarzy powiedział kiedyś, że wygląda to tak, iż partia przekupuje pisarzy, osładzając im nieco polityczne kleszcze, za pomocą środków materialnych. Może do pewnego stopnia tak było, ale faktem jest, że środowisko literackie znaczyło wtedy o wiele więcej, niż obecnie. Kiedy jako prezes ZLP dzwoniłem nawet do ważnych osobistości w stolicy, na ogół nie zdarzało się, by telefon nie został odebrany, co dziś jest nagminne.

Mieszkania dla literatów organizowano na różne sposoby, np. z puli specjalnej KW PZPR, co nie przeszkadzało ludziom partii niechętnym, przyszłym jawnym opozycjonistom, w odbieraniu kluczy. Niektórzy do dziś tam mieszkają. Popularne były przydziały na różne dobra, od samochodów po urządzenia elektryczne i elektroniczne. Gdzieś na dnie szuflady znalazłem kopię podania późniejszego znanego opozycjonisty do Wydziału Kultury KC PZPR o przydział samochodu, niezbędnego do pracy twórczej. A pewnego razu znalazłem na prezesowskim biurku podanie starszego kolegi, żeby Zarząd załatwił mu nową deskę klozetową, bo stara się złamała...No cóż, rzeczywiście trudno było wtedy o różne towary.

Mógłbym tak jeszcze długo opisywać żywot literacki sprzed kilkadziesiąt lat. Nie należy z tego wyciągać wniosku, że pisarzom żyło się wygodnie, nie trzeba też myśleć, iż byli w biedzie, nieustannie uciskani i naciskani. A więc ani pomyślność, ani martyrologia. Wybitniejszym lub popularnym pisarzom wiodło się oczywiście lepiej, bo więcej zarabiali. Po upadku PRL niektórzy mieli za złe literatom, że wtedy pisali i drukowali.

ANDRZEJ PACUŁA

JACEK KACZMARSKI

– bard i „błazen”

„Dosiadł stulitrowej beczki kapral kawalarzy.
Kałdun – tarczą, hełmem – rechot na rozlanej twarzy.
Zatknał na swej kopii upieczony łeb prosięcia,
będzie żarcie, będzie picie, będzie łup do wzięcia”.
Wojna postu z karnawalem (1990)

Obszar satyrycznych eksploracji Kaczmarskiego zakreślają granice miasta. Poetycko i satyrycznie – Jacek z rzadka wyprawiał się na wieś, a jeśli już pojawiała się w jego piosenkach, to raczej, jako tło – na przykład w *Czatach Śmiełowskich* (1995).

Warszawa, w której JK wychowywał się, dojrzewał artystycznie i intelektualnie, którą czuł, rozumiał i opisywał oraz miasta zamieszkiwane w podróży artystycznych, miasta emigracji to kulturowe mikrokosmosy (N. Davies) poety. W wierszach i piosenkach Kaczmarskiego przypominają miasta średniowieczne, otoczone murami, niewielkie theatrum zdarzeń i ludzi skupionych, upchanych w gęstej przestrzeni. Targowiska próżności, wojny postnych z karnawałowymi, zapasy *sacrum* i *profanum*, dobra ze złem odbywają się na niewielkiej przestrzeni agory, ulicy, podwórka, zaułku.

W wierszu Kaczmarskiego *Miasto nocą* (1974) samotny człowiek wędruje pustymi ulicami „nieprzytulnego” miasta, pomiędzy domami okrytymi „ciemnością wspólną” i boi się spotkania z ...drugim człowiekiem. I kiedy, przerażony, w końcu go spotyka, okazuje się, że ten drugi „tak samo się boi” jego. Przestrzeń spotkania jest przestrzenią strachu. Zaprzecza to fundamentalnej idei miasta – agora, dialog, współpraca, wymiana usług i produktów.

„Masa jest siłą, ale siłą mas jest ten, kto czuje za nie.
Jam z was i dla was, i za was wypowiem – swoje zdanie”.
Z chłopca król (1989)

Błazen w... szatkach kapłańskich

I.

„Piosenka to mój sposób przekazywania opinii na temat tego, co się dzieje wokół nas. Przez nią wyrażam swoją postawę wobec świata (...) – moją obsesją są sprawy moralności i etyki”.²⁾

W eseju *Kapłan i błazen* Kołakowski analizuje postawę „kapłana” – adoratora Absolutu i postawę „błazna” – tego, który wątpi w każdy absolut. „Kapłan” wierzy, „błazen” myśli, „kapłan” wyznaje, „błazen” docieka: dlaczego? Obie role, „kapłana” i „błazna”, przyszło grać Kaczmarskiemu na scenie naszego świata: rolę „kapłana” – barda „Solidarności”, narzuconą przez Czas i Tłum oraz rolę „błazna” – intelektualisty, z głęboką świadomością manichejskiego, dialektycznego stanu ludzkiego – osobowego i społecznego – wspólnotowego istnienia. „Błazen” widzi jasno jak nikt, że nie ma właściwie granicy pomiędzy tragedią a komedią, mądrością a głupotą, powagą a śmiesznością.

„Kapłan” – bard wyraża emocje i oczekiwania Tłumu, „błazen” poszukuje wyjaśnień trwalszych i rozumniejszych niż inwokacje i zaklęcia. „Kapłan” wzdraga się na dźwięk słowa „rozum”, a „błazen” na dźwięk słów „na pewno”. Obie te role – i należy go też przywołać – łączy w jednej osobie osobliwy patron Kaczmarskiego – Don Kichote.

„Masa jest siłą, ale siłą mas jest ten, kto czuje za nie. Jam z was: i dla was, i za was, wypowiem - swoje zdanie” – piosenkę *Z chłopca król* (1989), z której cytuję, można odnieść tyleż do opisu klasycznej metamorfozy „nienieznaczącego” w „znaczące”, małego w duże, chłopca w króla (np. Lech Wałęsa), co i do zmiennych losów samego jej autora.

Od roku 1977 i debiutu na Studenckim Festiwalu Piosenki do roku 1981, kiedy JK stał się bardem „Solidarności”, upłynęły zaledwie cztery lata. Awans artystyczny i społeczny z małoscencowego, studencko-klubowego poety do roli barda rewolty, zwanej słusznie „karnawalem solidarności i wolności”, do roli bohatera (profetyczne: „wy w ciemnościach, reflektory chronią was, oświetlając tylko scenę, na niej mnie”) masowych koncertów w halach fabrycznych, Przeglądu Piosenki Prawdziwej i pamiętnego, anarchizującego peerelowskie schematy estradowe Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (czerwiec 1981) – stał się faktem. Intelktualista i poeta, „błazen” i satyryk, zdystansowany i wręcz niechętny wobec tłumu, został przez Tłum właśnie, namaszczony na barda – „kapłana” rewolty. Któryż poeta by się temu oparł?

Kadziło ma zwodniczy zapach.

Dla „kapłana”. Nie dla „błazna”. Ten tkwił w Kaczmar-skim mocno i na pozycji ironicznego, oświeceniowego, krytycznego badacza i komentatora historii. JK doskonale rozumiał dwistość swoich ról. Próbował nawet od-żegnąć się od roli barda, ale nie mógł zatrzymać fali: rewolta potrzebuje swojego poety. Tak jest od czasów Bérangera.

„Przeinaczano moje śpiewki”... – zrewoltowana rzeczywistość i chciejstwo Tłumu obiekty Jacka w szatki kapłańskie, opacznie odczytując jego pieśni – w tym *Mury*. Píše o tym po latach w piosence *Testament* (1995):

„Patrzono na mnie przez soczewki: miłości, złości,
interes,

Przeinaczano moje śpiewki, by się stawały tym, czym
nie są.

Tak używano mnie w potrzebie, aż dziw, że jeszcze mam
ciut siebie”.

Napisane na dwa lata przed karnawalem „S” *Mury* są dobitnym przykładem pieśni żyjącej w innej roli, od przypisanej jej przez twórcę, który, w związku z tym i sam musiał ją grywać.

„Zwalali pomniki i rwali bruk - Ten z nami! Ten przeciw
nam!

Kto sam ten nasz najgorszy wróg! A śpiewak także był
sam”.

Z jednej strony Ja twórcze i odpowiedzialne, z drugiej Ja wtopione w My, w grupę hierarchiczną (społeczeństwo) i amorficzną (tłum). Samotny śpiewak – to ten z boku, inny, który obserwuje, wyciąga wnioski i przestrzega. Któż jednak słucha samotnych błaznów, gdy kapłani palą ogień rewolucji?

Przychodzą na myśl opozycje zestawione w naśladowanej z Wysockiego piosence *Ze sceny* (1977): ja – wy, artysta – publiczność, śpiewak, który wie – wy, którzy nie wiecie i skryci w mroku, czekacie objawienia, oświecenia.

Kaczmarowski wspominał, że zdarzało się, iż publiczność nie chciała wręcz słuchać o murach, które rosną. Na jednym z koncertów w Poznaniu (1981), aktorzy Teatru Ósmego Dnia ostentacyjnie zakrzyczeli refren o murach rosnących śpiewem o murach w ruinie.³⁾ Emocje czasu i miejsca. (*Notabene* – jak by też zareagowali ósmodniowi aktorowie, gdyby podczas ich spektaklu ktoś z widowni zmienił sens ich kwestii na biegunowo przeciwny?)

Mury rosną wszędzie tam, gdzie ludzie boją się siebie (*Miasto nocą*), oddziela ich rywalizacja, hierarchie, stereotypy kulturowe. Bliscy powierzchowną wspólnotą tłumu potrzebują strażników, granic i murów.

Mury stawia strach. A jeżeli strach, to nie ma wolności. Są niewolnicy. A ci prędzej czy później zbuntują się równie gorliwie, jak służą. Kto stawia mur – staje się murem.

Notabene – w znanym mi okresie PRL nie postawiono tylu kilometrów murów, ile postawiono po 1989 r. Niemal każdy grodzi się od każdego – płoci, murzy, siatkuje, szczerzy zęby rottweilerów lub torsy ochroniarzy. O współczesnych „gettach” – osiedlach dla „lepszyc” wygrodzonych od „gorszych” – aż strach myśleć i nie ma nawet za bardzo z czego się śmiać, znając konsekwencje murowania przestrzeni publicznej, możliwe, zwłaszcza w kraju o najniższym w Europie poziomie społecznego zaufania – porównaj badania CBOS na ten temat.

II.

W szczytowym okresie bardowania i „kapłaństwa” – lato 1981 – zdystansowany intelektualista zachował w Kaczmarowski błazeńską mądrość. Przykładem wyrafinowany dobór piosenek śpiewanych przez Kaczmarowskiego na Przeglądzie Piosenki Prawdziwej (20 08 1981) w Gdańsku-Oliwie, m.in. *Rejtan...*, *Oblawa*, *Arka*, *Pokolenie*, *Zesłanie studentów* i *Świadkowie*. Gdy z rozbuchanej wolnością sceny hali „Oliwii” (co nie zawsze szło w parze z jakością artystyczną) padały wielkomocarstwowe wezwania „nie oddamy ani guzika”, gdy najmarniejsza kpina z PZPR, MO i ZSRR wzbudzała aplauz publiczności, a pytania do spersonifikowanej Polski „jaki numer jeszcze mi wytniesz” (*Litania*, L. Wójtowicz) wyciskały patriotyczną łzę – „błazen” Kaczmarowski mrużył oczy i za Gospodarzem z *Wesela* powtarzał: „to, co było może przyjdzie”. Przywoływał zdarzenia z historii Polski, w których nie my byliśmy zwycięzcami, za to ofiarami – najczęściej najlepszy z nas, ślani przez napuszonych chciejstwem generałów na barykady absurdałnych powstań.

Kto się w tym wolnym i radosnym lecie 1981 – o roku ów! – wsłuchiwał w słowa *Arki*? Może cenzor? Może ci nieliczni, którzy jak Tischner przestrzegali, że wolność to „dar nieszczęsny”, kiedy jest triumfem jednych nad drugimi, a nie ma w nim współpracy, odpowiedzialności i uszanowania każdego, innego. Furda! Szable w dłoni! I ryczeliśmy w tłumie, że „mury runą”, nie słysząc ani słów mądrego górala, ani poety:

„Budujcie Arkę przed potopem - niech was nie mami
głupców chór!

Budujcie Arkę przed potopem - słyhać już grzmot
burzowych chmur!

Zostawcie kłótnie swe na potem - wiarę przecuciom
dajcie raz!

Budujcie Arkę przed potopem - zanim w końcu pochłonie
was!”

... i nie słyszymy wciąż.

Arka, pieśń z ducha (sic!) pozytywistyczna, z doświadczenia oświeceniowa, z mądrości satyryczna niesie użyteczną myśl: wiele można osiągnąć wspólnie i rozumnie wpływając na bieg rzeczy, a wiele stracić

w emocjach, w niezgodzie, bez solidnej struktury kadrowej i materialnej, za to z irracjonalnym przekonaniem o immanentnej wyższości (Wańkowiczowe „chciejstwo”).

Błażeńska, satyryczna optyka dawała Kaczmarekmu możliwość widzenia rzeczywistości (współczesnej i historycznej) przenikliwiej od barda i „kapłana” wolności: nic i nikt nie jest tylko dobre lub złe, triumf może być zwycięstwem porażki, a wolność – zniewolenia. Człowiek musi rozumieć, w co wierzy i dlaczego i musi być odpowiedzialny za swoją wolność nie ujmując jej drugiemu. Nikomu.

W bardziej „kapłanie” solidarnościowej rewolucji twarzo tkwił „błazen”, mówił gorzkie, niechciane prawdy i nie ufał żadnemu absolutowi – także sobie.

Satyryk w czasie marnym

I.

W roku 1993, w programie TVP *Godzina szczerości* Łukasz Maciejewski, autor pracy magisterskiej o Kaczmarem⁴⁾, rozmawiał z nim o demaskowaniu mitów narodowych i postawach społecznych, najsilniej w nas zakorzenionych. Jacek powiedział wówczas: »Ja bym nie nazwał tego demaskowaniem, obrażaniem, w takim stylu, jak to robił Boy: dla zmiany podejścia do schematów myślenia, czy też mitów narodowych. To jest raczej przedstawianie przeszłości jako nam współczesnej, odnajdywanie w niej, poza kostiumem historycznym, naszych dzisiejszych bolączek, problemów, nadziei, złudzeń przede wszystkim. (...) Długo wierzyłem, że najbardziej zakorzenione w Polakach jest poczucie owej misji narodowej, biorącej się z idei, że Polska jest „przedmurzem chrześcijaństwa” i „Chrystusem narodów”. (...) Ale jeśli mam mówić o czymś rzeczywiście głęboko zakorzenionym, to jest to poczucie tego, że klęska jest zaszczytem, co na Zachodzie jest zupełnie niezrozumiałe: szczycenie się przeszłości i obecnymi porażkami, robienie z tego wartości. (...) W kontekście życia codziennego, społecznego jest to katastrofa dla nas wszystkich. Ja zresztą, będąc na emigracji, mimo że walczyłem z tym, miałem też to poczucie, że obnoszę się z moimi mitologicznymi i rzeczywistymi ranami i żądam, żeby mnie za to podziwiano«.

II.

Okres 1982–1989 Jacek spędził na emigracji. I tam przyszło mu pełnić rolę kapłana i barda równocześnie. Objeżdżał z płomiennymi recitalami polonijne gniazda na całym świecie. Śpiewał, pisał, krzyczał, mówił, działał, demonstrował, zbierał datki – pracował na rzecz zniewolonej „Solidarności” i Polski. Ile przy tym wypił i zamęczył zdrowia – wie tylko on sam i jego bliscy. Przyjaciół miał wielu, ale nieliczni chcieli i potrafili go uchronić przed nim samym. W jakieś mierze autobiograficznym i ironicznym komentarzem do tej sytuacji jest piosenka *Artyści* (1982):

»Zaszczytami zaszcuci, obarczeni sławą nie poznaliśmy strachu o skórę,
Na paryskich parkietach, salonowy gawot jeszcze jedną
ma dla nas figurę.

Niewidoczny fortepian gra z taktem Szopena, a narody
współczują do wtóru,
Ustawiając na biurku, w requiemach i trenach – statuetki
„Człowieka z Marmuru”. (...) Wszak spełniły się nasze prorocтва i wróżby! Patrzenie!
Żywi, a już między mity!«

Pracując w Radiu Wolna Europa (etatowo od 1984 r.), w autorskim *Kwadransie Jacka Kaczmareckiego* komentował ówczesny świat krajowy i kosmopolityczny, felietonami, wierszami, piosenkami, w których ton kasandryczny, historiozoficzny i „kapłański”, coraz częściej ustępował chłodnej i ironicznej narracji reportera, humorysty i satyryka – „błazna”.

Pojawiły się satyryczne portrety emigracyjnych cwaniaków, którzy na stanie wojennym zbiali własny kapitał, „walcząc” wyłącznie w sprawie: jak dobrze jeść, zabawić się, zabarżożyć, zarobić... Bohater piosenki *Świadectwo* (1982) „co tylko wydostał się” ze stanowowojennego kraju i relacjonuje sytuację oczami...hochsztaplera i głupca, o czym rzecz jasna nie wie, przekonany o swojej wyjątkowości, mądrości i spryście:

»Jaja w kraju niewyjęte, „Solidarność” dała ciała;
Spawacz* gra w bambuko z Glemperem,
Partia trzyma się na pałach. W dzień handelek, czym
podleci, za to w nocy ostra bania;
Pieniądz tańszy już od śmieci – milion poszedł bez
gadania.
(...) Luźno w knajpach i na trasach, i w „Kasprowym”*
znów kultura.
Choć raz w życiu wczasy – klasa, jak nie w Polsce, jak
nie w górach!
Paszport? Paszport mam wojenny, własność Pana
Generała.
Nawet ci nie podam ceny, przyjm, że się mnie WRONA*
bała.

Tam nie wracaj, grunt spalony, nie ma życia, stan
krytyczny.
Słuchaj, czy na paszport WRONY, dadzą azył polityczny?«

Przybywają też prawdziwi emigranci, poturbowani i złamani, podobni XIX-wiecznym, opisanym w *Rozbitych oddziałach* (1987). Przegrani w kolejnym powstaniu, przedostają się „do Europy”, a tam „przy stołach współczucia nurzają się w winie i obcym śpiewają o Tej, co nie zginie”. Zaciągają się w szeregi obcych armii służąc generałom obiecującym, najczęściej fałszywie, wesprzeć ich sprawę. „Swą krew ocaloną oddają za darmo każdemu, kto
zechce połączyć ich z armią.
Farbują mundury, wędrują przez kraje i czasem strzelają
do siebie nawzajem.
Pod każdym sztandarem – byle nie białym szukają
zwycięstwa – rozbite oddziały”.

Nasączeni stereotypami narodowo-religijnymi o rzeckomej wartości „triumfalnej klęski”, „zbawczego cierpienia” i mesjańskiej roli Rzeczypospolitej (feudalnej – sic!) i podobnymi stają przed kulturowym murem. Nawet gdy zdofają się wpisać w jakieś życie rodzinne i społeczne zachodnioeuropejskiego kraju, pozostają obcymi, ich hi-

* Spawacz - kolokwialne określenie gen. W. Jaruzelskiego; „Kasprowy” - snobistyczny hotel w Zakopanem uchodzący za szczyt luksusu w oczach ludu pracującego, a za chleb codzienny peerelowskich elit i elitek; WRONA - żartobliwy skrót nazwy Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, zarządzającej autorytarnie państwem w latach stanu wojennego - przyp. A.P.

storia – niezrozumiałą, klęska wyśmianą lub co najwyżej przyjmowaną obojętnie.

Przejmująca jest ostatnia strofa pieśni:

„Przychodzą po zmierzchu do kobiet im obcych, a tam,
kędy przejdą – urodzą się chłopcy.
Gdy wrócą, przygnani kolejną zawieją, zobaczą, że synów
swych nie rozumieją.
Spisują więc dla nich noc w noc pamiętniki, nieprzetłu-
maczalne na obce języki.
I cierpią, gdy śmieje się z nich świat zwycięski... Niepomni,
że mądry, nie śmieje się z klęski”.

Jednak emigracja „solidarnośćcowa” w porównaniu emigracjami XIX-wiecznymi miała zasadniczo lepszą recepcję i sytuację – była wszak częścią ruchu społecznego (*non violence*), podziwianego i szanowanego na całym wolnym świecie. Ilość i jakość pomocy, jaką otrzymaliśmy po 1982 r. od Amerykanów, od zachodnich Niemców, Francuzów, Holendrów, czy Skandynawów jest wartością wcześniej niespotykaną w takiej skali.

III.

Autoironiczny portret „kapłana” – barda, który przestaje wierzyć w swoją misję – „sam kreślę znaki i wyzywam burzę”, przynosi pieśń *Żeglarz* (1985). Kaczmarek opowiada w niej dzieje greckiego żeglarza, w taki sposób, jakby to była figura jego losu – „błazna”, zrzucającego resztki szat „kapłańskich”.

„Żeglarz grecki – z rękami na niechętnym sterze, nie ufam już załodze i w bogów nie wierzę.
(...) Nie dbam o atlasy – sam z nich przyszłość wróżę,
sam kreślę znaki i wyzywam burzę.
Płacę klątwy z modlitwą, pieśń myślę z rozkazem – patrzą na mnie złęknieni mym szalem żeglarze.
(...) A jeżeli utonę, nim pojmem gwiazd mowę, któż przejmie się gniewnym i niestusznym słowem?
A kiedy się sprawdzą wszystkie przepowiednie, co nocą powstały – któż pomni to we dnie?
Więc zostawiam znaki. Krzykiem z gwiazdą gadam, to się wznoszę na fali, to się w nią zapadam.
I nie walczę już z burzą, ni z czasu upiorem, walczę tylko z własnym gwiazdozbiorem”.

Komedia ludzka – portrety satyryczne

„Siedzę w oknie, patrzę z góry, cały świat mam w oku,
Widzę co kto kradnie, gubi, czego szuka w tłoku.
Zmierzęch pójde do kościoła, wypowiadam grzeszki,
Nocą przejdę się po rynku i pozbiaram resztki”.

Wojna postu z karnawalem (1990)

Znawcy twórczości Kaczmarek podkreślają jego kunszt w portretowaniu ludzi. Bez wątpienia, był wybitnym portrecistą satyrycznym, którego ołówkiem były słowa, interpretacja, muzyka, głos. A ołówka czy piórka (nie bez przejawów talentu, dziedziczonego po rodzicach, artystach malarzach) też używał...

Perspektywę badawczą Kaczmarek – portrecisty-karykaturzysty można opisać słowami Miłosza z wiersza *Z chłopca król*:

„Szepty wokoło mnie. Pląsy i parle franse. Co trzeba mówić

prosto, wykręca zawile, grzeczności sobie wzajem prawią
oszukańcze i trzepią się parszywcy, mdlejąc jak motyle.
Patrzę na nich udając, że spuszczam powieki w tłustej
drzemce. I co dzień strugam wariata”.

Portrety dworskie

I.

Badacz twórczości Kaczmarek, Krzysztof Gajda, analizując *Rejtana, czyli raport ambasadora* (1980) zwraca uwagę, że „to utwór, w którym – mimo niepokojącej diagnozy – dominuje raczej komizm, uzyskany głównie za sprawą języka poetyckiego”. Nie tylko – także za pomocą komizmu sytuacyjnego reżyser Kaczmarek tak ustawił scenę w swoim piosenkarskim teatrum, że mamy do czynienia i z komedią, i z farsą, i z tragikomią równocześnie. Oto ulokowany na balkoniku, niczym w teatralnej łoży, otoczony dworskimi kokotami – „damami mu przydzielonymi” i wtulonymi w cielsko jego dyplomatyczności ambasador Kremla ma panoramiczny widok na scenę wydarzeń i relacjonuje je, zda się, wprost do ucha majestatu Carycy ...wiszącej nieopodal na ścianie, w formie napuszonego, dworskiego portretu.

Zaś pod ambasadorską łożą odbywa się tragikomiczny spektakl. Z jednej strony kłębi się grupa posłów, król i liderzy frakcji sejmowych (24 osoby), z drugiej jeden człowiek – samotny, w potarganej szacie, leży na podłodze. Ten widok, tak relacjonuje ambasador do ucha imperatorowej: „niejaki Rejtan, zresztą poseł z Nowogrodu, co w jakiś sposób jego krok tłumaczy mi, z szaleństwem w oczach wszerek wyciągnął się na progu i nie chciał puścić posłów w uchylone drzwi. Koszulę z piersi zdarł, zupełnie jak w teatrze, Polacy – czuły naród – dali nabrać się: niektórzy w krzyk, że już nie mogą na to patrzeć, inni zdobyli się na litościwą łzę”.

Rosyjski dyplomata odbiera dramatycznej scenie jej istotne sensy. Patrzy na nią z perspektywy hegemonia – imperium moskiewskie wszak ma już *prywatlański kraj* w garści i nikt i nic już tego nie zmieni. więc co jest „tragedią” dla Polaków (Polaczków), dla władcy absolutnego tylko „farsą”, a Rejtanowe „non possumus”, humorystycznym gestem, na poły gimnastycznym – „wyciągnął się na progu”, na poły absurdalnym – „nie chciał puścić posłów w uchylone drzwi” i bez znaczenia. Ostatecznie poniża rangę gestu Rejtana pan ambasador, opisując go wzrokiem jednej z kokot:

„Tak à propos, jedna z dwóch dam mi przydzielonych, z niesmakiem odwróciła się wołając – Fu! Niech ekscelecja spojrz jak owłosiony! (Co było zresztą szczerą prawdą, *entre nous*).” Francuski wtętu *entre nous* (między nami, mówiąc) zdaje się dowodzić nie tylko służbowych relacji ambasadora z kremlowską szefową.

Ostre i wyraziste są portrety niektórych osób, naskizowane przez Jacka dwoma, trzema słowami, jakby krótkimi rzutami pędzla: „– Prymas siedział bokiem, nie widziałem twarzy, *evidemment*, nie było mu to wszystko w smak”.

„– Poniński wezwał straż – to fajdak jakich mało, do dalszych spraw polecam z czystym serem go”.

„– Król Stanisław August, przykro mówić, nie umiał się zachować. Choć nadal jest lojalny, mogę stwierdzić

to: wszystko, co mógł – to ręce do kieszeni schować, kiedy, ten mnisi lis, Kołtątaj judził go”.

Nie dziwi ten epitet „mnisi lis” wobec Kołtątaja. Reformator zatęchłej krakowskiej akademii i Rzeczypospolitej miał na Kremlu wyjątkowo czarną kartotekę (jak każdy zresztą światły reformator) i w latach 1807-1808 przymusowo zasmakował moskiewskiego chleba.

Ale oto niespodziewanie szyk wydarzeń psuje panu ambasadorowi moskiewskiemu stary szlachcic. Zaskakuje dyplomatę, który zwiędłym głosem, prawie półgębkiem melduje carcy: „jeden szlachcic stary wyszedł z sali, przewrócił krzesło i rozsypał monet stos, a co dziwniejsze, jak mi potem powiadali, to też Potockij! (Ale całkiem autre chose)”. No właśnie, Potocki, a nie chce jeść z ręki Moskwicy – jakiś inny („autre chose”).

II.

Elity rządowe, pierwszej dekady III RP: Dyzy, Rejtany, Patrioty, Hochsztaplerzy, Byznesmeny uchwycił Kaczmarek – karykaturzysta w okolicznościach bankietowych, patrząc na salon warszawskiej „Victorii” – słynny dom schadzek partyjno-ubecko-artystycznych elit (i Lolitek) schyłkowego PRL – jak przez krzywe lustro w beczce śmiechu. *Karnawał w „Victorii”* (1995) warto przeczytać w całości. Nie masz lepszego *milieu* dla uchwycenia rysów władzy i jej kamaryli niżeli farsowy teatrzyk bankietu. Nawet gdy jest to tylko stylizowana na gwarę warszawską (Jacek śpiewa „w manierze Grzesiuka”) ballada, skromne intermedium w komedii Gogola *Rewizor* i glossa do *Balu w operze* Tuwima:

»W knajpie „Victoria” dziś euforia: gra mandolina
i waltornia,
Na bal się pcha za falą falą, już pełna sala, gdzie gala
trwa.
Tłoczą się pary, na kuluary; odświętne kiecki, marynary,
Krążą kelnerzy i kelnerki – każdy se w nerki kropelkę da.
Gołda – nie woda – pogody doda. Ten z tym się stuknie,
piątkę poda,
Wre na parkietach i dywanach – by trwać do rana –
wymiana zdań!
Lech zapowiada, jak zgnoi gada, co ciągle świnię mu
podkłada –
Aż się od słów tych męskiej siły, liczka spłoniły u miłych
pań!
Waldi „Gaduła” smętnie się tuła, bo wiara mu fasadę
skuła –
Wykluwa się z kielichem klecha: masz Waldek pecha –
pociecha fest!
A Tadzio „Piorun”, człowiek honoru – trzyma się z dala
od kiziorów;
Tadzio myślówę ma, jak brzytwę i w świecie przy tem
obytem jest.
Więc „Słodki Olo” wysila polot: czy mieszać harę
z kokakolą?
Znaczy – czy szukać sztamy z Tadzim, czy w starym
składzie w napadzie grać?
Kudłaty Józek, git ciągnie wózek: w niejeden zakręt trafił
z luzem,
Jak zagra z Lechem w lewe karty, to na bok żarty – uparta
brać!
Ten już przypruty, tamten opluty, temu się przepalają
druty –

Ów pyta damę głosem grząskim: Czy masz podwiązki?
– Niewąski bał!

A Miecio „Żużel” pieczenie w rurze gasi, jak strażak na
dyżurze –

Niewdzięczna jego rola krecia: kto wkurzył Miecia –
odleciał w dal.

Jedni pękają, a drudzy zgrają na los stawiają to, co mają –
Liczy się tylko dola własna i przyszłość jasna – stać nas
na gest!

W knajpie „Victoria” trwa euforia – oto wykuwa się historia!
Każdy w niej robi za figurę – kto zna kulturę – ten górą
jest! «.

Portrety na tle...

I.

Oddział chorych na raka à la Polonaise A.D.2002 – wiersz satyryczny napisany w czasie, kiedy Jacek nie mógł już, dotknięty chorobą, śpiewać, opowiada o pięciu pacjentach ze wspólnej, szpitalno-onkologicznej sali. Jeden z nich (narrator) milczy i czyta książki, pozostali gawędzą wg schematu szpitalnego: o chorobach, papierosach, telewizji, polityce i – o żydowskim zagrożeniu. W tej zaś kwestii bryluje słuchacz „jedyńsiusznegoradia” z Torunia:

»Zlatują się, jak muchy, a my – jak padlina! Nie dość, że taki żyje, to jeszcze z nas szydzi!

A ja? – nic nie mówiłem. Czytałem kryminał.

– Polacy Adzikowi (w pewnych kręgach czułe zdrobnienie od Adolfa – Hitlera, przyp. JK) winni są pomniki za to, że tyle tego robactwa wypalił! Ale żydki się w Krzyżu kryją, jak korniki! Papieżowi jarmułkę założyć kazali!

– Odwiedzał synagogę – tłumaczył Telewiz, ale go zakrzyczała rakowa rodzina. Niech pan tutaj nie broni żydowskiej bolszewii!

A ja – nic nie mówiłem. Czytałem kryminał «.

Telewiz, który usprawiedliwia Żydów i ten milczący, czytacz książek, palący na dodatek zbyt długo wieczorne światło – denerwują słuchacza „jedyńsiusznegoradia”. Nie myślą jak on, nie znają jedynej „zawsze dziewiczej” prawdy, że z Żydów pochodzi wszelkie zło (o Miriam z Nazaretu, tu nie wspomnę). Więc kiedy na odchodnym czytacz kryminalny życzy zdrowia „jedyńsiusznemu”, ten szczerze się cieszy: „– O, pan umie mówić, a sądziłśmy, że pan jest snob i nas lekceważy”. Na co milczek: „– Nie proszę pana, ja jestem Żydem”.

„Oj, odjęło mu mowę. Bo o co tu pytać? Wyraźnie było widać, kiedy się przeraził, że pacjent – żyd już wie, kto jest antysemitą i zgładzi go przez Spisek Żydowskich Lekarzy! Odszedłem, bezskutecznie próbując przełykać i w ustach mi gęstniała tysiącletnia ślina.

– Spluń za siebie – mówiło mi coś – spluń i zmykaj! A ja obracałem w pamięci kryminał”.

Podobne stereotypy i ich głosiciele, portretuje Kaczmarek w piosence *Źródło wszelkiego zła* (1997):

„Sprawy mroczne i ogromne: świat na naszych oczach
kona. Wszystko wina to masona,
że o Żydzie tutaj już nie wspomnę. (...) w kłamstwie cały
świat i w kantach. Wszystko wina
protestanta, że o Żydzie tutaj już nie wspomnę. (...) cały
świat krwią naszą spłynie.

Muzułmanin temu winien, że o Żydzie już nie wspomnę”.

Spójrzmy jeszcze na dwie syntetyczne miniatury portretowe, pokazujące precyzję karykaturalnej kreski i ostrość satyrycznej lunety ich autora. Czytelnikowi pozostawiam dociekanie: czy i na ile Kaczmarek uchwycił podobieństwo portretowanych – w dwóch piosenkach?

Pierwsza: *Według Gombrowicza narodu obrażanie* (1993):

„Jak dziecko lubi się przebierać, powtarzać słowa, miny,
gesty,
W dziadkowych nosić się orderach i nigdy mu niczego
nie wstyd.
Okrutny bywa, lub przyklepny, w swoim pojęciu niekaralny,
Bo uczuciowo nie okrzepły, dojrzewający, embrionalny
W niewoli - za wolnością płacze, nie wierząc, by ją kiedyś
zyskał,
Toteż, gdy wolnym się zobaczy, święconą wodą na nią
pryska”.

Druga, *Wzór* (1995):

„Patrz, jak dobrze żyje ten, który nie myślał lub milczał
co myśli.
Powtarzał mądrości i bzdury, spokojem sumienia się
pysznił.
Nic prócz tego nikt mu nie wytknie, nie popełnił wszak
żadnej zbrodni;
Więc uważa, że żył zaszczytnie i starzeje się całkiem
godnie.
Snu mu żaden koszmar nie szarpie, z rana kłania mu się
dozorca,
Myślą o nim - proboszcz i partie, poszukując ludzkiego
wzorca”.

II.

Żydowski, ale z innej perspektywy ujęty i gorzko-rozrachunkowy wątek wypełnia *Opowieść pewnego emigranta* (1987), wygnanego z kraju po Marcu '68. To właściwie spowiedź *everymana* – każdego, jednego z tych żydowskich inteligentów, którzy swego czasu i na skutek różnych historycznych okoliczności zasilali szeregi partii komunistycznej, oficerów politycznych, czy katów z Urzędu Bezpieczeństwa. Pokrętny, biegunowo zmienny los. Nic przeto dziwnego, że po przybyciu do Jerozolimy, kiedy owemu marcowemu emigrantowi przyszło spojrzeć w lustro swojego życia przed majestatem Ściany Płaczu – iść pod nią mu było wstyd, bo niby jako kto: „jako komunista? Polak czy Żyd?

„A ja przecież nie umiem nawet ująć w słowa, jak wygląda to, com – niszcząc – budował.
I tak sam sobie zgotowałem zgubę: meloman - nie skrzypek, nie bankier – a ubek,
Oficer polityczny – nie ruskij gieroj, ani Syjonista, ani też i goj!
Jak ja powiem Jehowie – Za mną, Jahwe stań? Z tą Polską związanym pępowiną hańb!”

III.

Podobny zabieg narracyjny – opis losu *everymana* w meandrach historii – zastosował JK w *Romansie histo-*

riozoficzno-erotycznym o princessie Doni i parobku Ditko ze wstawką etnograficzną (1998). Wyrafinowana arystokratka, panna, zażywa rozkoszy cielesnych z własnym parobkiem (pachniał brzydko, ale...). No i, po jakimś czasie, brzemienią parobkowo princessę wysłano do Paryża, by tam z dala od zgorszonych salonów urodziła owoc megaliansu – syna. A wnet potem „rozkwitła, jak piwonია, śpiewając w kabaretach, popijając koniak”. Z kolei parobek i tatuś dziecka – Ditko („Ditko” – rusińska nazwa demona, diabła), na fali rewolucji październikowej wyrósł na ludowego komisarza. Walczył z Białymi, a w wolnych chwilach niszczył i palił dorobek kultury rosyjskiej, a przy okazji jej twórców.

Niedługo. Po kilku latach i on wylądował w Paryżu, uchodząc przed terrorem innego towarzysza w randze generalissimusa.

„Z ukrytą w pasie z nabojami rękawiczką (prezent od princessy – przyp. AP), szedł przeciw cerkwiom, megaliansom i zabytkom - komisarz Ditko. Zmieniały rzeki bieg i stopy pustynniały, stóp milionowe ślady zasypywał pył, Stawało hańbą się, co było źródłem chwały i ci na czele - odpadali nagle w tył. A w „Moulin Rouge” śpiewała wciąż princessa Donia, żeby miał za co ssać ostrzygi Ditka syn; W samotne noce rozmyślała z twarzą w dłoniach: co też z jej diabłem zrobić mógł Czerwony Młyn... I nagle zjawił się – jak nagle kiedyś zniknął, sterany bies – ze srebrną na policzku nitką, i z nią zaśpiewał – tak jak umiał – z lekką chrypką... emigrant Ditko”.

Portrety metamorfoz

I.

W *Bluesie Odyssa* (1995) do przedziału wagonu kolejowego zajętego tylko przez jednego lumpa wchodzi odziany w „niewąską” kamizelę, człowiek z gitarą. Lump łaskawie dopuszcza go do konfidencji i obdziela swoją mądrością w rwanym monologu, ze wstawkami filozoficznymi: „Więc chcesz zostać Segovią? Życzę miłej katorgi. Dziewięćdziesiąt lat z ręki nie wypuszczał gitary. Piszesz wiersze? A po co? Czy nie starczy nam Norwid? Kamiżelka niewąska. Chwytasz życie za bary”.

Portret lumpa zyska na wyrazistości, gdy karykaturzysta skontrastuje „wysoki” ton przemowy z „niskim”, wręcz podłym jego zachowaniem wobec kobiety z dzieckiem, której nie wpuszcza do przedziału, z wolnymi miejscami: „wszystkie miejsca zajęte! To jest przedział służbowy. Gdzie się tłuczysz po nocy z zasmarkanym bachorem!? Tutaj ja z Telemachem mamy ważne rozmowy. Zawsze znajdzie się ktoś, kto się znajdzie nie w porę”.

Oto metamorfoza – filozofujący hobo, zda się koneksjer, zdejmując maskę i objawia tępą butą krzywdząc samotną kobietę z dzieckiem.

Mała ryba, zjada mniejsze.

II.

Portret księgowej z domu kultury, która po pracy na niwie, przyjmuje rolę drogowej „drogówki”: „zakłada złote

szybylety, minispódniczkę ze skóry i dekolt z czarnej żorzęty” oraz portret pana Edka, notariusza i... klienta owej pani – „garnitur w prążki, zegarek od Cartiera, skarpetki zaś – na podwiązki: tak się notariusz ubiera!” nie jest li tylko karykaturą hipokryzji i humorystycznym opisem zamiany ról: z wysokiej na niską.

„Noc będzie trwać aż do rana, by spełnić żądze ogromne,
Ona w nim kocha Newmana, on w niej posiada
Madonnę.

(...) On nie wie, kto zacz – Don Juan, ona – kim była
Aspazja,
Lecz każde miało – co snuło, w swych najwstydliwszych
fantazjach”.

Zza opisu banalnej zda się transakcji seksualnej wyłania się tragikomiczny obraz ludzi samotnych, niezrealizowanych, żyjących w rolach, które nie przynoszą spełnienia, choć przynoszą dochody. Portret uniwersalny. Bo iluż tak żyje?

III.

Kobiety w życiu JK i *vice versa* – to materiał na... sagę i pióro Galsworthy'ego; powstała na razie na ten temat praca magisterska³⁾. Zostawiając życie Jacka dociekliwym magistrantkom, spójrzmy na jeden, humorystyczny portrecik płci nadobnej, zawarty w piosence *Coś Ty* (2000). Oto dziewczątko niewinne, zwiewne, niezbyt może rozgarnięte, ale ponętne uwodzi narrator frazą staropolską, podbitą kosmatym pożądaniem „miłosnej kośby” – „Coś Ty!” (2000)

„Pójdź, najdroższa, na kolano – Prawię frazą
wyszukaną,
Nastał czas miłosnej kośby! – Coś ty! – Ona na to – Coś
ty!
(Jest w tym „coś ty” nutka wiotka, co radośnie nie
dowierza,
Jakbym z domowego kotka, w drapieżnego wyrósł
zwierza)”.

Niewątpliwie, wykrzyknienie kokieterijno-pytajne „coś ty” było po wielokroć przez poetę słyszane. Weszło do języka mówionego. Wieloznaczne intonacyjnie, pytajnikowo-twierdząco-zwodzące, otwiera pole do różnych, zwłaszcza erotycznych interpretacji. Trzeba tej piosenki posłuchać w Jacka wykonaniu, by wszystkie niuanse wpisane w owo „coś ty” usłyszeć. Ten filuterny portrecik zaliczam do najwdzięczniejszych dzieł prióra Kaczmareckiego w grupie humorystycznych i po trosze satyrycznych. Obiektem satyrycznym jest sam narrator, słowiarz (polonista?), zaplątany w ornamentach leksykalnych i wielopiętrowych interpretacjach intertekstualnych i interpersonalnych. Coś ty...
»– Chodź, uniosę Cię daleko, w nieskończoność pod
powieką,

Gdzie nie dręczy świat nieżnośny! – Coś ty! – Ona na
to – Coś ty!
Jest w tym „coś ty” rękawiczka, w twarz ciśnięta mojej
jaźni

I wyzwanie na policzkach: Nie obiecuj, bo się
zblażniesz!
(...) Jest w tym „coś ty” zrozumienie smaku, co zasycha
w ustach,

Pobłażliwość, smutku mgnienie i nieprzenikalność
lustra«.

Autoportret z kanałą (1994)

Powieść *Autoportret z kanałą* napisał Kaczmarecki ponoć z inspiracji redaktorki wydawniczej i studenckiej koleżanki, ale też i przede wszystkim, wolno mniemać, na zamówienia własne. Dojrzał i spojrzał w siebie i na siebie tymi samymi oczami – satyryka i mądrego „błazna” – jakimi patrzył na historię i ludzi. W rozmowie z dziennikarzem⁽¹⁾ wyjaśniał genezę powieści: „Ludzie, którzy słuchali moich piosenek, często zarzucali mi, że jest w nich za mało o mnie, że wciąż chowam się za sztafą historyczny i rozważania o kulturze. Stwierdziłem, że widocznie w piosenkach o sprawach osobistych nie wypowiadam się w sposób czytelny dla wszystkich i trzeba poszukać innej formy. Poza tym chciałem się oczyścić z niepokoju i dyskomfortu, jakie niesie ze sobą status osoby publicznej”.

Wiwisekcja, którą podsuwa autor – „chciałem się oczyścić” – szufladkuje powieść jako autobiograficzną, podsuwa klucze osobowe. Owszem, to prawda. Jednak jej większą może zaletą są satyryczne, panoramiczne portrety różnych środowisk: z lat 70. – w kraju i z pierwszych lat stanu wojennego – na emigracji. Losy bohaterów (Błowski, Kaczmar) spletają się z postaciami ze środowisk uniwersyteckich: profesorskich i studenckich, stołecznych kręgów ubecko-rządowych, opozycji demokratycznej KOR (Warszawa, Tarnów) oraz środowisk emigracyjnych – paryskich i amerykańskich. Nie brak pikantnych scen z życia rodzinnego, z alkowy, knajpy, zza kulis artystycznych tournée Kaczmarek – w kraju i na emigracji, czy z salonu hollywoodzkiej society.

Podszyte cynizmem i sprytem, spersonifikowane zło jest wszędzie; na ołtarzu rewolucji i w mieszkanku chutliwej panienki, w studenckiej knajpie i w salonach rządowych, przy stole uczonej rozmowy i w dusznym pokoju opozycyjnej narady – biesiady. Zwyczajnie, nijakie, trudno zauważalne. Zło manichejskiej dwoistości natury ludzkiej i zło ludzi bez właściwości.

„– To zbiorowy portret końca lat 70., okresu karawatu i solidarnościowej emigracji” – powiedział Mirosław Chojecki (sportretowany w powieści). „To nasz obraz w lekko krzywym zwierciadle. Ale ci, którzy będą pisać prace maturalne o tej powieści, niech wiedzą, że to zwierciadło wcale nas tak bardzo nie wykrzywia.”

– Nie chciałem się z nikim rozliczać, to miało urealnić opisywaną rzeczywistość” – mówi Jacek Kaczmarecki. „– Celem powieściopisarza jest dążenie do prawdy lub tego, co się za nią uważa. Zrobiłem w tej kwestii tyle, na ile mnie na obecnym etapie mojego rozwoju twórczego stać.”⁽¹⁾

Rycerze z alkowy Panny „S” - dwadzieścia lat starsi...

Zaraz po powrocie z emigracji do kraju, satyrycznym intelektem i błazeńską przenikliwością rozpoznał Kaczmarecki mechanizm zmian po 1989 r. „Solidarnościowe” Dobro i „peerelowskie” Zło zamieniły się co prawda miejscami w hierarchii społecznej, ale w ludziach...?

Piosenka *O demokracji* (1990):
„Niejeden z nas położył łeb za sprawę dobrą i za złą,
By królem mógł być byle kiep, co pisze śliną, zamiast
krwią.”

Tyle się złachmaniło dusz za sens istotny – kto jest – kto,
Że nie odnajdziesz ani rusz tego, kto wprost nazywa zło.
Mordy, pyski, twarze, lica w słusznej sprawie

rozwrzeszczane:
Dla nas Kraj! Dla nas Stolica! Wiwat wszystkie
stany!”.

Zmieniły się szyldy, struktury, a imponderabilia tak
wcześniej szanowane jak honor i przyzwoitość, stały się
egzotyczne i podejrane. Podział etyczny i światopoglądowy okazał się głębszy niż tylko czarno-biały, niż
tylko na dobry (solidarnościowy) lud i złą (peerelowską)
władzę, a przede wszystkim starszy niżeli PRL, bo idący
jeszcze z Rzeczypospolitej feudalnej, w której przywileje
były zagwarantowane dla nielicznych (kler, arystokracja,
szlachta), a praca i obowiązki dla pozostałych. dla
pospółstwa. A wolność? Okazała się w po roku 1989
tyleż wielkim, zasłużonym, co i „nieszczęsnym”, w
Tischnerowskim znaczeniu – darem.

Rozpadowi ruchu społecznego „S” towarzyszył nie
tylko upadek autorytetów, rozpad hierarchii i uczciwych
wartości, ale także galopująca pauperyzacja „matek i ojców”
rewolucji: robotników, inteligencji i artystów, nie-
lewiszajnych i niecelebryckich. Piosenka *Brat dobry, brat
zły* (1990):

„Przez lata wędrowali, ten sam i tamten sam, aż znowu
się spotkali u wsi rodzinnej bram.
Lecz tak już niepodobni, jak dwóch dwa śniące sny, bo
złym się stał brat dobry,
a dobrym stał się zły. Więc klóć się namiennie, pyszniąc
się życiem swym
i patrzy wieś niechętnie: nie wiedząc, kto jest kim”.

Tę analizę poeta poszerza jeszcze w *Arce Noego II*
(1991) dopisując tragicomiczny epilog/komentarz do *Arki
Noego* i *Arki* z lat 80.

„Na szczycie góry w Arce skamieniałej, stoimy
w szoku przesiąknięci wstrętem,
Po długiej walce z burzą, wichrem, szkwałem, śmieszni
jesteśmy pyszniąc się okrętem.
(...) Patrzymy więc na siebie podejrzliwie i odzyskany
świat nam znika z oczu,
Gniew nas ożywia w miejsce pięknych zdziwień, Bóg
z ust zgłodniałych śliną nam się toczy.
Cóż, pora iść; epoka nowa dnieje, w której się każdy
z nas sternikiem mieni.
Kończymy naszą sławną Odyseję, by się niezgrabnie
ślizgać wśród kamieni.
W świat wypuszczone drapieżników pary, już węższą
pierwszy łup – istnienie słabe.
Idziemy żyć od nowa w rytmie starym, żeby zbudować
naszą Wieżę Babel”.

Wieża Babel! – gorzki koniec ruchu społecznego
„Solidarność” i solidaryzmu społecznego. Każdy sobie...
Układ z układem.

Najkrótszy traktat polityczny i alegoryczny wg Jacka
Kaczmarek mógłby brzmieć może tak: ci, którzy nie
budowali arki i ci, którzy ją zbudowali oraz ci, którzy ze-
słali potop, a potem w mule, znaleźli złote żyły i szare
strefy – zadziwiająco zgodnie pracują w jednej sprawie,
w sprawie budowy murów (sic!) wieży Babel. Zamiast
dialogu – podgryzanie gardel, zamiast współpracy – ry-
walizacja, zamiast solidaryzmu – samotny tłum, skoło-
wani konsumenci i rozwarstwienie ekonomiczne o skali
wręcz feudalnej. Demokracja feudalna a la *Polonaise*,
pod przewodnictwem sprawdzonej w tysiącletniej współpra-

cy, trójcy: tronu, tiary i banku. Wolność ma nowy układ
odniesienia – „mieć” jak najwięcej. A „być”? – chyba też
tylko po to, by „mieć”.

Kaczmarek wypunktował to w *Krótkiej rozmowie
między Panem, Chamem a Plebanem* (1988). Od cza-
sów poety z Nagłowic nic się nie zmieniło: Pan wini Wój-
ta, Wójta Księdza, a dla biednych – nędza. A gdy nawet do
tłustych portfeli i kałdunów przyplącze się filantropia, gdy
Pan i Pleban uradzą, że trzeba ulżyć doli ludu („wszyscy
ludzie są równi” – piszemy przecież w naszych śmiesz-
nych konstytucjach), to zapomną o drobiazgu: nie powia-
domią o tym ekonom!

„Tak to pouzgadniali, a ekonom wciąż wali,
Bo go przecież na rozmowy nie zaprosił nikt.
Wie, że gdy się Pan złości, Chamom trza liczyć kości,
Ksiądz i tak im obieca w niebie naprawienie krzywd!”

A „Solidarność”? To już tylko legenda, mit bez zna-
czenia, za to - używając antropomorfizacji „panna z pro-
blemami”, które opisał Kaczmarek w piosence *Amanci
Panny „S”* (1995):

„Z intelektualistami żyć nie chciała, tylko rozprawialiby
o ideałach – ale, żeby dać jej w rękę, na mieszkanie,
czy sukienkę – nie mieściło się w ich przemądrzałych
pałach.

Biznesmeni ją potraktowali krótko (...) Żyj, jak umiesz, nie
ma rady! Sentymenty do szuflady!
Z sędzią sumień już jej miały ziszczyć sny się, bo się czuła
jak Helena – przy Parysie; ale panna
z mrowiem dzieci słuszny w nim wzbudziła sprzeciw, gdy
dokładnie jej pogrzebał w życiorysie...
Czekał ten z pałacem, stanowiskiem, z wanną, z charak-
terem i z legendą nienaganną; ale pałac
wart legendy, stanowisko – walor względny, więc jej
chyba przyjdzie zostać starą panną...
Dała szansę temu, co ją niegdyś gnębił, bo pokajał się
i gruchał, jak gołębnik... Ale nie dotrzymał
słowa i zarobki przed nią chował, dalej więc przygrzewać
mu – a on ją ziębić”.

W lekkiej formie bérangerowskiej ballady *Dwadzie-
ścia lat później* (2000), inspirowanej powieścią Dumasa,
kreśli JK satyryczne portrety upadłych rycerzy Panny „S”,
ukryte w losach szlachetnych muszkietierów. Przytaczam
tekst w całości. bo to dobitny przykład przenikliwości sa-
tyrycznej Kaczmarek:

»Muszkietierowie – już nie ci sami – dojrzałości pożółkli
goryczą,

Zaczęli liczyć się z realiami, choć realia się
z nimi nie liczą...

Słaby tron, książęta żadni, kwaśne wina, cech żebraków
i proboszczy trzęsienie miastem,
Nagrabionym srebrem karmi się Kardynał, dawna służba
– na polityków wyrasta...

Artagnan jest muszkietierów oficerem (sam purpurat
raczy dawać mu rozkazy),

W przedpokojach władzy czeka na karierę, szpada
oskrobując but z zapachu władzy.

Brat Aramis – stał w biskupiej skryt sukience, maścią
intryguje pielęgnuje gładkość dłoni;

Kiedy trzeba – zdradzi i umyje ręce, kiedy trzeba –
Pismem Świętym się zasłoni...

Portos w holdów i tytułów tłuszczy obrasta, szpada służy
mu za rożen na zające;

Można lepić i urabiać go, jak ciasto, byle olśnić w jakim-
kolwiek celu słońcem.
Prawy Atos przestał wreszcie pić na umór – czci
i chroni szpady etos dumny Atos:
Choć wątroba nie ta – wciąż ta sama duma (jego syn
zapłaci kiedyś życiem za to).
Przyjaciele okłamują się w ukłonach, nie ufają sobie
dawno już za grosz:
Nowych czasów bólem dali się przekonać, że się zdradą,
a nie szpadą kreśli los!
Każdy za siebie, kosztem każdego, na prywatną miarę
grób mości;
„Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” - stara baśń
niewinnej młodości...
Jeszcze stać ich, by Historii się przypomnieć, skoczyć
w siodło i wykrzesać iskry z ostrza,
Znów uwierzyć w zew – Muszkietierowie! Do mnie! – lecz
Historia – czy się stanie przez to prostsza?
Psieje świat, czy może właśnie psieją oni, psiocząc na to,
co ich dziełem w takim stopniu?
Z siebie samych szydzą, gdy im się przypomni, jacy byli
kiedyś – Pięknie Nieroztropni!
Własne wspomnienia – jak cudze losy, trzosi pełne,
a serca – próżne;
Fałszu zeszkrobać z prawdy – nie sposób – zaledwie
w dwadzieścia lat później...»

Błazen – „mądry mąż”...

Od pierwszej wizyty w wolnej Polsce do ostatnich niemal chwil życia Jacek intensywnie pracował na warsztacie poety, satyryka, prozaika i publicysty. Spadły z niego bardowskie etykiety i zetłate szatki kapłańskie; stał się wyłącznie, tym, czym był zawsze: znakomitą poetą, historiozofem i satyrykiem – tropicielem manichejskich antynomii, uwolnionym od natręctw politycznych i służebności.

Autobiograficznie i humorystycznie komentuje gasnące rozterki: „kapłanem” być, czy „błaznem”? Angażować się politycznie, czy raczej spod zmrużonych powiek patrzeć na polskie, a głównie warszawskie farsy polityczne, rozgrywane kosztem zdeorientowanego społeczeństwa – w *Czatach Śmiełowskich* (1995).

W Śmiełowie k. Poznania (gniazdo Gorzeńskich), w klasycystycznym (1797) pałacyku z masońskim i patriotycznym *genius loci* – w sierpniu 1831 r. zagościł Mickiewicz. Miał szczerzy zamiar wstąpić w szeregi powstańczo-listopadowe, lecz na wieść o wygaszaniu ognisk bojowych i upadku Warszawy (7 09) pozostał w Śmiełowie – pisał, wieszczyl, unosił się patriotyzmem, baczyl na obyczaje ziemiańskie (co spożytkował udatnie w *Panu Tadeuszu*) i wabił damy poetyckim i... męskim czarem. Uległa mu też Konstancja Łubieńska, piękna, wykształcona, niezależna i literaturą się parająca. Cóż trzeba było więcej...

Kaczmarek, jak mi wyjaśniła kustosz, p. Ewa Kostółska, znalazł się w Śmiełowie (obecnie: muzeum mickiewiczowskie) z powodów artystycznych: „Jacek, razem z panem Łapińskim, przyjechał do nas na koncert w listopadzie 1994 r. Byli u nas kilka dni. No i Jackowi tak się w Śmiełowie spodobało, że przyjechał ponownie, na cały luty 1995 r. Napisał wówczas nowy program *Pochwała łotrostwa*, którego maszynopis, z osobistymi poprawkami, pozostawił w naszych zbiorach”.

„Tu wiesz Adam dni szereg, spędził w piekle rozterek;
czy powstańcze zasilił ma jatkę?
Czy – gdy żądza się perli, w romantycznej scenerii,
wybrać raczej ramiona mężatki?
Tam reduty, potyczki, Bem, Prądyński, Chłopiński, tam
krwiożercze Moskale są rzesze.
Ona tu, niedaleczko, ot, przejażdżka nad rzeczką -
(...) Trudny wybór. Nie dla niej legło w gruzach powstanie
i legł wieszacz – pod najśladźszym
z ciężarów. A wyrzuty sumienia, w patriotycznych skrył
pieniach, za co wdzięczny do dziś
jest mu naród. (...) Ach, i ja tu uciekle, gdy utarczki
przewlekłe obalały gabinet Pawłaka,
By nie Sejm mieć za oknem, ale łąki podmokłe, lip
gałęzie w jemiolach i ptakach”.

W połowie dekady lat 90. z kokonu „kapłaństwa” wyłonił się ostatecznie przenikliwie inteligentny „błazen”: poeta i intelektualista, satyryk i publicysta. Kaczmarek wspierał co prawda nadal inteligentkie i artystyczne środowiska, wywodzące się z ruchu „S”, ale nie był już bardem żadnej frakcji. Był zaś na pewno przeciwny demokracji feudalnej *a la Polonaise*.

* * *

Czy satyryk Kaczmarek był odkrywcy? Nie musiał. Bo nie o odkrywanie tu idzie, ale o smutną konstatację – *nihil novi*. Od czasów Arystofanesa i Sokratesa, aż po czas Gogola, Brechta, Bułhakowa, Vonneguta, Dario Fo wyczyny ludzi i społeczeństw niczym nowym nie zaskakują. Są takie same. Tylko dekoracje i kostiumy – inne.

Sam poeta mówił często, że niczego specjalnie nowego nie odkrywa, konstatuje jedynie dialektyczny, manichejski stan istnienia człowieka i społeczeństw, znajdując przy tym paralele historyczne i współczesne. Skromnie powiedziane, jak przystoi wielkim.

Zmieniają się dekoracje i konteksty historyczne, człowiek pozostaje ten sam, pomiędzy dobrem a złem, komedią życia a absurdem śmierci, i tym wszystkim, co pomiędzy.

Czy kiedykolwiek poeci staną się dostatecznie wpływowi, by enklawy dobra rozwinąć do skali powszechnej? Jacek nie miał złudzeń:

„Patrzył na równy tłumów marsz,
Milczał wsłuchany w kroków huk,
A mury rosły, rosły, rosły
Łańcuch kotłuje się u nóg...”.

Długie Ogrody, maj 2013

ANDRZEJ PACUŁA

Źródła:

1. „Gazeta Wyborcza”, nr 137, (wyd. warszawskie), 15 VI 1994, s. 10.
2. „Tygodnik Demokratyczny” (dodatek: „Non Stop. Magazyn Muzyczno-Rozrywkowy”), nr 9, 1981 r., s. 2.
3. Anna Grazi, *Jacek Kaczmarek (1957-2004). Życie i twórczość*. Praca magisterska - Akademia im. Jana Długosza, Częstochowa, 2006 r.
4. www.kaczmarek.art.pl - teksty.

MARIAN PILOT

GODY (I)

Wędruje się! Wędruje się (cudowne to jest niezdarzenie...): iść, dążyć, przeć przed siebie jest nakazem chwili. Wędrować (o, to się nam niczym cud nie zdarza): tak objawia się nasza nadzieja, że gdzieś, w jakimś miejscu, świat większy jest aniżeli tu, gdzie żeśmy dziś są. August! September! Nowember! Dezember! wędrujemy, wędrować będziemy Montag, Donnerstag i Freitag (w piątek i w sobotę). Wędruje się i widać (bywa, że widok ten rozległy, wspaniały jest i piękny), co na świecie jest i jak świat nazywa się.

Nazywa się zaś po kolei (choć nie podług porządku abecadła ani biegu wskazówek zegara, a podług własnej przedustawnej zasady): Onufry, Bugaj, Czubaki, Dąbrowa, Łazy, Parzynowska Zmyślona, Jadwiszka, Źródelnia. Starypan, Kozak, Kubery, Belina, Aniołki.

Mądry. Tabor. Polski. Niedźwiedź. Golusy. Karpisz, Buławy. Kolebki. Plugawice, Portki, Wygoda Plugawska i, to szczególnie!, nazywa się Jażwiny, Namysłaki, Fidela i Chlewo. (I Zamysły). Tak nazywa się.

Niektóre jego części w każdym razie. Drobniauskie kruszynki. Nazwane jednak co do słowa prawdziwie.

To dla wędrującego pociecha, radość. Doznanie prawdy tak dosłownej, pełnej, czystej niesie ukojenie, otuchę; obietnicę zadośćuczynienia nawet.

Wędruje się, cudowne niezdarzenie... Na piechotę, nie żałując nóg. Okazją. Sposobem. Na bógdzarz. Jakże tam jeszcze wędrować istnieją sposoby: wędruje się. Wędrujemy.

W drodze tej wobec siebie wędrowca mimowiednie a stale stosując liczbę mnogą. Mnogość, nawet czysto gramatyczna tylko, przydaje animuszu. Co tak potrzebny jest nam teraz. Zwłaszcza wtedy, gdy nie po drodze droga. Przez pole, wertep, czarny las; przez wydmuch, chaszcze. Zawaliska. W pojedynkę stale. Osobny jak nigdy osobny. Bocząc się, wstydząc, przed innymi oczy chowając stale. Wystrzegając się innych i styczności z nimi unikając stale. Z odrazą i wzdargą odbijając się od gromady stale.

Umowna gramatyczna mnogość jest mi tarczą i osłoną przed tą dojmującą ciżbą i mnóstwem.

Choć bowiem nie da się określić ściśle, jakiej części narodu tyczy poruszenie, to niewątpliwie jest, że

mają miejsce znaczne przemieszczenia. Z całego serca ja tymczasem pragnę i pełnią swego ducha wierzę, że to ja jeden porwałem się, ja sam jeden dążę, ja, który (skądinąd to wiem) prosty zaledwie piechur jestem w tym powstaniu, co już ma cechy ruchawki czy pospolitego ruszenia zgoła. Dookoła przestrzenie, przestrzenie, Czubaki, Bugaj, Fidela i Chlewo; niech przecie osłonię sobie dłonią oczy. Dostrzegę wtedy wśród białych śniegów postacie, co mającą w zawiei. Ruch jest powszechny. Ogólne przemieszczenia trwają. Wędrujemy. Przyspieszamy kroku.

Jezus Chrystus rodzi się. Zbliża się ta trwożna, pełna łaski i światłości chwila.

Czas jeszcze, jednak już go na zbyciu bardzo wiele nie ma. Słońce żagwi się na nieboskłonie. Jaskrawy ogień bucha sponad czubów osnutych śniegiem i szronem jedlin i świerków. Ognie niebo samo na rozległych połaciach. Słońce kloni się już ku krawędzi widnokregu. Uniósłszy dłonie, opuszkami palców wyczuwa się chłód zachodu i upadku świata. Słońce, ziemia, księżycy ciężą wszystkie ku nie rozbłyśniętej jeszcze gwiazdzie stajennej.

Wędrujemy, zdjęci nadzieją i zgrozą. Trwoga stale zagląda nam w oczy. Czy sił starczy i nie zbraknie szczęścia. Torby, tobołki tłuką po żebrach. Szalona rzecz bez ładu wędrować, błogostawiona dobić celu. Czy ujdziem, czy zmylim pogonie, czy odnajdziemy dawne ustronie, czy nas nie zawiedzie trwoniona stale, gorączkująca i ledwo mająca plemienna pamięć, czy możemy jeszcze liczyć nie na postój i gdziekolwiek popas, ale na – niechby one i chwilkę jedną trwały – osiedliny.

U roztają starzec, odpowiadając na pozdrowienie, zarazem zapytuje: Skądżeście? Skądżeście? Skąd was wiedzie droga? Odpowiedź nie nastąpi od razu: A, od Biatek, mówimy, jękając się przy tym. Od Samosęk! Jąkanie nieprędko ustanie, co karą jest za łgarstwo i nieposzanowanie siwych skroni. Kto ze ści-gantów jednak, biegańskich pobłąkańców z naszych z dawien dawna zwilczonych rodów ma śmiałość i siłę dać rzetelną odpowiedź na to zapytanie gospodarza: skądżeście. Bo: z jąkawicy tej, błędawicy, z płasawicy, z krętawicy, brzmieć by musiała obcesowa i bardziej jeszcze godności starca urągająca odpowiedź!

Celinie Pląder (Pląder Celi) jak Bóg żywy pytania takie nie postaną w głowie. Od nie wiedzieć jakiego czasu tkwi ona u wrót zagrody i lustruje to takie siarczyste u swego zachodu słońce, wodzi spojrzeniem wzdłuż ścieżki, co prowadzi ode świata aż tu na Plądrzynę. Jedna Pląder Cela ścieżkę tę zna i ją teraz widzi, choć nie zjawił się jeszcze ten, co by gruby śnieg na niej utratował. Nie stawiał się dotąd; póki go nie będzie, jedna jedyna Cela swoim oświeconym okiem na niewidzący dostrzegać będzie zygzak i zawijas, uskok i chybnienie zawianej śniegiem ścieżki. Śniegu jednak jest tyle, tak biały jest i gładki, że i Plądercela zawaha się, zwątpi, trop zagubi... odnajdzie go, rzecz oczywista, zaraz; zanim jednak to się stanie, gospodyni w wielkim zatrwożeniu jeszcze o stópkę wystąpi przed wrota, wyjdzie na spotkanie przybysza. Trwa nieporuszenie znowu, czeka.

Na głowie ma – bo mrozi trzaskające stoją – czapkę pilotkę po nieboszczycy siostrze, na sobie okręconą rzemieniem fufają po nieboszczycu Plądrze, ma na nogach wymoszczone świeżą słomą nieboszczycowepładowe gumki; nogawice za to u Pląderki swoje: Plądercela w świecie pierwsza (przed wszystkimi innymi kobietami), o czasie, kiedy może jeszcze nawet nie każdy chłop był w portkach – była w portkach. I krokować łatwiej i okraczyć da się więcej, kiedy człowiek w portkach, a nie w kiecy: Plądercelina zaś zawsze, ile życia, chciała okraczyć kraj świata jak największy.

I czy nie udało się, czy nie poszczęściło się jej. Za plecami swoimi ma pomurowane z rdzennej cegły i postawione z jędrnego drewna zagrody. Przed nią rozciągają się Plądrowe grunta: ze stoku aż do kotlinki strugi Jaraszowiec schodzą orne pola, nad strugą i nawet w samej strudze całym borem stoją olchy i brzozy; dalej jeszcze ciągną się łąki i pastwiska pląderskie. Całą tę rozległą dziedzinę okraczyła była za żywota swego Plądercela: ona też sama jedna stale i stale nad nią stoi. Byli po sąsiedzku Hyże: stały domy, chlewy, stodoły i kopce Hyżowe: lata a lata, jak Plądercela grunt na tych miejscach zrównała. Był czas, że i z prawej strony stała zagroda, zniszczała ona tak samo już, struchlała do ostatniej szpątki, choć mądre i takie chytne chowały się tam Naglery. I sama jedna Plądercela siedzi teraz u wchodu do wsi, co usadowiła się hen, u krańca doliny. Bity trakt kluczy między wzgórkami, dochodzi do strugi Jaraszowiec, na gwałt się przed nią cofa, omija łukiem wieś: zboczyć z niego, zsunąć się w wąwóz, w którym cieknie struga, trzeba, jeżeli chce się trafić do ludzi na przełaj, na wprost drogą.

Plądercela stoi u proga swojej zagrody z założonymi na piersiach czarnymi gołymi rękami i bez zmruczenia oka patrzy prosto w żarzące się ponad borem słońce. Wypatruje, wykukuje. Bóg się tej nocy rodzi. Plądercelina wiernie jak w pacierzu wierzy w Boga niezrodzonego jeszcze i pokłada w nim swoje nadzieje. W najgłębszej skrytości ducha swego modli się, błaga, bluźni i zaklina świętości, wołając człeka, anioła, czorta, bestię, wilkołaka, niechaj swoją stopą przetrze zasypaną przez grube zawalne śniegi ścieżkę; niech nałupie drewek, naciupie łuczylek; natnie sieczki i utłucze maku; rozkuje studnię, wniesie do izby wiadro świeżej wody.

Wierzy Plądercela. Milczy, woła bez wytchnienia.

Wypatrzy idącego i nie spuści go z oka. Prowadzić będzie pilnie tą do szczytu zaniesioną śniegami ścieżką. I nie zmyłę drogi. Nie potknę, nie wyrwę się. Ominę rozpadliny, wykroty, zdradliwe zapadnie. Nie zbłądzę. Nie pójde stroną. Stanę, cudowne niezdarzenie, przed gospodynią Plądercelą.

Pozdrowię ją i na znak szacunku położę dłoń na kamieniu, który leży u progu i pilnuje domu Pląderskiego. Celino, zapytam zaraz grzecznie, Plądercelino, a gdzie to wasz, gdzie Pląder?

Oznajmi gospodyni Cela: Pląder kipnął i ty mi go tu ani wspomnij!

Nicziwiara z niego zrobił się na stare lata, niemrawa. Za lat dawniejszych nie był taki. Żwawy był kawaler Pląder, za młodu jędrny, ale i za chłopa mężny, nie lubił się pod pierzyną chować. Byłabyżem chciała, starej babie nie wstyd to powiedzieć, byłabyżem chciała, w każde co większe święto bym mogła z Plądrowego zacząć bąka światu dawać. Opatrzność mnie przed tym strzegła, ale ilem ja przed nim w długie portki nachować się musiała. Ze mną wiwatował tyle: a czy to wymiarkuje kto, z którą jeszcze miał Pląderjan złączenie, jak nie półślubek zgoda? To nie to, co się w teraźniejszym świecie widzi, że każda jedna panna i wdowa, i ostatnia nawet kurwa niestworzona jak nie całe majtki, to choć jakie galotki czy inne figle na się wdziewa: wtedy u każdej rzyć goła! Hulaj, chłopie, majątek ni ma: a patrzy ty, nie opuścił się w gospodarstwie mój Pląder nigdy. Ziemię miał zawsze pognojoną, pooraną, pozasiewaną... a ze żniwami kto się przed wszystkimi zwinął, jak nie Pląder? U kogo pierwiej na ściernisku pleniła się lupina i pięćkolon? A zimą to mogło się człowiekowi uprzykrzyć: bo żeby to Pląder, jak inni, brał sobie do młocki kogo na sekonda, nie, ja się, kobieto, ledwo sam jeden na gumnie mieszczę, i przez całą zimę sam się w stodołę rządził i nic żeś nie słyszał, człeku, przez grudzień, styczeń, luty, ani jak wiatr wieje, ani jak w kominie dudni, a i dzwony słyszało się ledwo w wiliję, kiedy na pasterkę dzwonią: bo kiedy indziej ciągiem grał tobie cepem po klepisku Pląder.

Gdzie tam po miastach co innego może, po naszych tu wsiach mało się takich jak Pląder żwawych młocarzy i ceparków widzi: kiedy Pląder żyto młóci, to amen, to on je do ostatniego ziarnyszka omłóci. Niech tam nawet sporyszek będzie i to w ostatnim kłósku niech on będzie: Pląderowi w uchu chrzęstnie, klupnie cepem i masz na gumnie to sporyszowe ziarno. Pląder w garści trzyma dźwierzak tak, jak to się czasami u biskupów widzi. A kiedy uderzy, kiedy on uderzy!

Lichy jest gospodarz, co jedną garścią czerpie korzyść, a nie dba o to, że z drugiej kto wie, czy nie większe dobro mu się wysmyka: namłóci taki pół przetaka żyta, rad, cieszy się, a nie patrzy, że cała fura słomy tymczasem idzie na przepaść wprost spod jego cepa. Pląder nie taki. Choćby słoma po żęciu, po zwózce nie wiem ile była zmołatana, Pląder ją cepem słomka po słomce wygładzi, rozprostuje: masz słomę równą, mięciutką, gładką – prosto ją bierz do łóżka, siennika nawet nie trzeba, spać będziesz na tej Plądrowej słomie jak na stolnicy równo i wygodnie. Przychodzili ludzie het z drugiego końca wsi za tą

jego słomą i kto wie, czy i ze dwora by nie szli, jakby jeszcze były dwory.

Taki sławny był z Plądera kleparek, że mógłby on nie przez samą jeno zimę prowadzić się po stodołach i ciepło się miewać, pewnie i przez pół lata jeszcze by się dla niego na gumnach fest robota znajdła. Kłopot ten, że był Pląder tak wielce sam przed siebie człek. Ani nie potrzebował i nie brał nigdy nikogo do swojej stodoły w sekundy, ani też nie chciał po ludzkich gumnach chodzić za sekunda. Sam i sam. (Samsónie ty jeden! wołali na niego). A gdzie jest który gospodarz taki szczerzy, że ostawi młocarza, niechby to był nawet kto z sąsiedzka, niechby to był nawet najmilszy weselny družba i powinowaty, w stodole samego jednego? Żeby taki robotnik poszedł sobie wieczorem do domu z kieszenią pełną żyta? Przez to swoje samsoństwo Pląder wiele z cepami po światach nie chadzał, ale czy to była wielka strata? Czy to puste były nasze sąsiedki? Czy to gospodarka nasza mała, żeby chłop nie miał tu do czego rąk przyłożyć? Osobliwie chłop tak robotny, jak nasz Pląder?

Mówi się teraz przez radia, a i pod kościołem nieraz da się słyszeć powieść, że byli dawniejszymi laty chłopcy, gospodarze, różni też łachmaniarze, kto tam wie kto, koziarze jacyś, chałupkarze, smrody, urzędniki, robotników zaś mało się widziało. Jak wszędzie tak mówią, to i prawdę muszą mówić, ale to jest grosz prawda o nieboszczyku Plądrze. Choć on może nie oddał Bogu ducha jako wielki robotnik, to przecie musiał wielkim robotnikiem przyjść na ten świat. Skąd by inaczej nabrał siły cepiskiem wywijać jak dokoła nikt, siekierą machać, że sosnę kładł za pierwszym huknięciem, a we żniwo ostawiać po sobie takie rzyśko, że pannę na nim posadzić gołą rzycią: nie pozna panna, że na ścierniu, powie, że na pierzynie sobie siedzi.

A kawaler z niego jaki hojny! Bogu dziękować, że przypadło nam żyć tu na ustroniu, tam we wsi dubelt, a może i więcej jeszcze razy przyszło by mi się frasować, osobliwie w tych czasach, kiedym jeszcze nie sięgła po rozum do głowy i nie skryła się przed nim w portki. Inne baby, panny z mojego przyrodzenia śmiały się i czego one się doigrały: ta bębna. Ta tamta bękart. Inna nawet całe dwa bękartęta. Z płaczem one potem do mnie idą, po wspomnienie (i to po dziś dzień jeszcze) wyciągają rękę: a to żeś ty, niewstydnico, nie wiedziała, co żeś wywijała? I co, ja swoim dzieciom, co są one Plądry prawowite, od ust odejmę, twoim znajdom dam? A możeś ty, gziho jedna, wcale nie z moim chłopem, a z kimś całkiem innym się gziła? Czy to czasem, jak już jest po ptokach, nie przychodzi wam na myśl jedno tylko imię Plądrawe? Jakby innych chłopów i kawalerów na świecie nie było? A jakżeś ty jak raz się z Kurzajem gziła? Albo z Łapotów Pietrusiem. Z Ruchem. Albo Kołatuchowym Ludwisem. Z Adamem Chudym. A czy to Bieniów we wsi nie ma. Zawadów pod lasem? Czy to im się nie przyrodziło? Niech no one wszystkie za Plądrem się nie oglądają i pomocy od niego jednego nie czekają! Gębę musiała żem drzeć, bo przecież te bękartie matki tak mnie obsiadły, że nie z majątków jeno, ale i ostatniej gnidki na głowie by mnie ogołociły.

Zaś mój chłop Pląder honorowy, z żadną taką gzičką sam się nie rozmówi, co też ci się kobieto

uśniło, powie, machnie ręką. I z cepem w garści skacze jak fryga po gumnie, ja sama jedna z tymi bękart-maciami za łby się wodzę. Koniec końców jak która pokorna, to jej tam co kapnie, a kiedy żeście, latawice paskudne, takie pyskate, harde, obrzydłe, to idźcie, niewstydnice, komu innemu świecić w oczy swoimi niewstydnymi rzyciami!

Tyle ten Pląder nawywiwał ze mną, tyle mi zadał trucizny, że każda jedna dawno by sobie poszła od niego het precz, ale jak ja rachuję: pójdę, gospodarke całą tym oblodrom ostawię, swoje dzieci na los szczęścia rzucę – niedoczekanie wasze! I jeno, kiedy już nie mogę takiego bezwstydnego porządku zdzierżyć, wołam o pomstę i sama pomstuję, żeby tak cię, Pląder, pokręciło. Żeby cię udlawiło. Żeby cię, Pląder, trzasło.

I kto wie, czy nie wymysknęło mi się czasem z gęby jakieś jeszcze marniejsze słowo. Bo jeszcze ja swojej mowy nie wymówiła całej, jak Pląder zębem zgrzytnął jak potępieniec, tyknął na mnie zeżłonym ślepskiem i tyłem go widział, co na strużynach w trumnie. Waguj się, człeku, jęzorem po próznicy mlec, późna to jest dla mnie, głupiej baby, rada. Bo i cóżem ja najlepszego uczyniła, czegom dopięta: Plądrą moją z powłoki jego ciała wyprowadziła. Pewnie to jest dla niego szkoda, ale jak ją równać z moimi nie do powetowania szkodami. Jażem go tym obces wymówionym słowem wyzuła z jego ciała, ale nie z majątności jego: ma on jakie tylko jest nad wszystkim tutaj prawo, prawo i zarząd nawet, a tknąć się już nie potrzebuje niczego, ręki nie musi przykładać do dzieła żadnego i do rady nawet nie musi dołożyć choćby jednego ludzkiego słowa. Błędna dusza pokutująca, mówią święte słowa naszej wiary, z Bożego rozkazania i sto lat tu po ziemi się tuła, i ja duszy Plądra mojego na zawadzie nie stoję, łaski się jeno dla siebie dopraszam i prawdy się dopytuję: czy to ta istna jego dusza jest na pokucie, czy całkiem inne są tu pokutniki?

Kiedy nieboszczyk Pląder za czasu swojego żywota miał rząd nade wszystkim, nad całym gospodarstwem, to i wtedy nawet by nie było go stać na takie jak teraz swojewole. Bo w papę bym go trzasła i fertig. A tu się patrzcie. Dusza Plądrawa za grzechy i przewiny swoje kurewskie kaja się, kto zaś stratny jest na tym? Ja, wdowa Plądrawa, Plądercelina. Ja tu za żywa pokutująca. A żeby to sama, wszystkie moje inwentarze ze mną wraz. Litości Boga, bo cóż on wy-czynia. Co tu wywija jego błędna dusza. Dnia nie ma i nie było żadnej dnia godziny, żeby nie stało się co. Cała moja gospodarka w posadach się chwieje i trzęsie, jakby się tłukła na cygańskim wozie. Dzieją się niepojęte dzieje.

To z nagłą, patrzcie, kot przepadnie i jesienią myśzy z całych pól do moich sąsiedków idą. Wybije się ze ściany kołek i chomąto po naszym siwku rymnie na ziemię z takim hukiem, że z sufitu wapno się i sieczka posypie. Ognia się rano pod blachą nie da złożyć, a to czemu: bo szybry w kominie zatrzasknięte głucho. To znowu wrota od stodoły ustana skrzypiec jednej nocy. Pokaże się za widna, że ostały się bez jednej zawiasy. Albo płot z dnia na dzień potrzaska się, pogarbi, a i połamie nawet. Czego zaś kokot noc całą piąć będzie? Bo przepadły kurczątko, a krowa – za jakie to

grzechy? – prawy róg ma utraśnięty u samej skóry. Co winna ta krowa? A co zawiniła ta moja stodoła, ba, u stodoły wrota i u wrót zawijas?

A w moim chlebie czego siedzi szczurek? Korytko dla świń rozpęka się w oczach i w czym teraz dać żreć prosięciu? A stół? On się taki wiek czasu trzymał jędrnie, zdrowo – bo to przecie drzenny stół, z czystego dębu stół i choć wieprza na nim rąb: a tu pęka stół na skos, odrywa się jedna jego noga. A jakim sposobem sypie ci się prosto na łeb proso i lniane siemię. Rozstąpi się podłoga tyle, że Ameryka miała by gdzie chować swoje dolary i złota. Tych dziur i na ruskie skarby dość bym miała jeszcze.

A ja sama, Plądercela, ja. Ja przez całe swoje życie takim miała zdrowie, że jak kamień albo i samo żelazo: to czego doktory mnie teraz karetkami ratować jeżdżą? Na ziemi ledwo strużynka jabłka, a ja na niej nie dość, że pozwichała nogi, to i głowę potraszała sobie. Ale tam ja. Co się ta będę o siebie pytała. Gdzie moje fotografki?, o to się pytam i pytała będę. Gdzie one podziały się. Kto mnie ostawił bez widoku matki i ojca, i całego mego pokolenia?

Na jednej fotografce byli tam zdjęci babusia Hażbieta, jak jeszcze panną byli. Kto na zdjęcie to spojrzy, mówi: wykapana Cela. Na drugiej fotografce byli dziaduś z babusią i świętej pamięci matulą, kiedy matula mieli roczek czy dwa. Świętej pamięci naszego ojca matki a mojej babusi Cwaliny też była fotografka. Zdjęta być musiała za niepamiętnych jakichś jeszcze czasów i na papierze twardym jak blacha. Obraz babusi ledwo już čmił się na nim. Choć kto wie, jak się sprawy miały... Bo widzieli jedni na tym obrazku babusię Cwalinę jak na jawie, inni zaś nie umieli wypatrzyć ni kryski. Gapili się jak na malowane wrota. Babusia Cwalina może robili sobie kino. Byli zdjęci za młodu jeszcze i może siedzieć samym na fotografce taki wiek czasu im się żmudziło. Sama przysięgnę, żem ich na tym listku dwójnako widziała. Raz siedzieli sobie babusia Cwalina na ławie pod kaflanym piecem z rękami założonymi na wyszywanym serdaku, szyja cała w sznurach czerwonych koralu, sponad tego koralowego słupa patrzą się babusia na świat dumnie. Innym znowu razem bogatą turecką chustkę mają na głowie, w rękach trzymają biblijkę, słabikują sobie z niej modlitewki... A nie powiedziane, czym ich nie widziała i w trzeciej osobie na tej fotografce, jak przez okulary patrzą na mnie gniewnym okiem: prawdziwie cknąć im się musiało na tym obrazku samym, przez to trzymały się ich takie figle..

Z weselnymi fotografkami co innego, tam zawsze wesoło, rejwach, muzyka. A ile było tych fotografii z wesół. Na jednej – dziadzia Sitek się żenia. Na drugiej – wuja Szczepan się żeni. Na trzeciej – to już wuja Feliks ma swoje wesele. Gdzie indziej były zdjęte ciotki w staromodnych długich sukniach, z bukietkami stokroci w rękach.

W te fotografki takażem była bogata, że mogli do mnie zjechać goście choć i na cały dzień, i przez dzień ten cały mieli się na co patrzeć, niczym u kogo tam na telewizory. Bo od samych naszych Francuzów, tych z Belgii i Hanowrów, ile było tych obrazczków z dawien dawnych lat. I z lat nowych obrazków kolorowych. A ja sama ilem to razy się za swojego życia zdejmowała, zwłaszcza za pannę: raz w tej

sukni, innym razem w innej, to znów w białej bluzce z falbankami, z warkoczem i tasiemką we włosach. A na jednej fotografce z Sylwusiem Makiełkiem sobie stoimy, Sylwuś był pierwszy mój kawaler, hethet przed Plądrem jeszcze. A kiedy indziej zdejmował mnie swoim aparatem – jak dziś go widzę, potem we wojnę zginął – Józek Protasik. Skubałażem na tym zdjęciu gęsi. A na drugim zdjął mnie Józek z naszymi krowami: mieliżemy wtedy jedną Bestrą, druga wołała się, jak dziś słyszę, Łania. Bestra i Łania, ja między nimi obiema na tej fotografce stoję... Były te fotografie, były, na gości zawsze czekały: aż tu i śladu po nich. Prawda, myszy je jadały: ale co tam one zjadły, jedną, drugą, w trzeciej porobiły dziury. Aż tu za jednym zamachem przepadły wszystkie. I nawet mysi bobek nie został w szufladzie. Nie ma, nie ma, szukaj wiatru w polu, nie ma. Tak to na stare lata nie dość, że samą, to sierotą i bękartką ostałażem się na świecie. Niech tam sto razy powiem, niech się pobożę i przysięgnę ludziom, że ojca miałażem i matkę, kiedy na tym świecie nigdzie nie ma żadnego na to dowodu ani świadectwa? A synów swoich i córki, i wnuki swoje czym ja wywianuję teraz? Od kogo one teraz będą ród swój wiodły? Ojców miały, praojców, a prawe znajdy są teraz...

Ale tam fotografki. Chcesz mieć, masz mieć – miej sobie, Plądrze, te papiórki, zawsze przecie znajdują się, jak się będzie chciało, jakie pisarki, malarki, co ci za pieniądze nowych i lepszych może nawet ojców zdejmą, a może i kolorowymi jak w telewizorze farbami wymalują. Ścigancie ty jeden, lepiej ty się na nasz ogród patrz. Drzewa w nim wolno niczym w borze rośły, nikt ich nie sadzał, same stanęły, gdzie chciały – bo czy gospodarz na tyłu morgach może mieć jeszcze czas i głowę o gruszkach i jabłuszkach myśleć, one same musiały plenić się i rosnać, i narosło ich tyle, ile tylko ich dusza pragnęła. Były trześnie ranne, czerwcowki. Porzeczeki świętojanki. Wiśnie żniwne szklanki, jabłka papierówki. Śliwek zatrząsienie, bo tu śliwna ziemia. Lubaszki, węgiarki. Drzyzdy. To śliwki zwyczajne, ale krzyły się i gluby. Słodkie były takie, że im od siodu pękały pestki. Bo też słodsza głuba nawet od gruszki cukrówki: a z cukrówki, kiedy dojrzeje, ścieka czysty miód. Takie cukrowe grusze trzy w naszych ogrodach, koło nich zaraz rosną gruszki baby. Gruszki jakubówki, owsianki, kapuściory rozkrzyły się w malinowym gaju. A polnych gruszek posiało się ile. Rosły jedna przez drugą. Pierdziółków pełne i ptasich gniazdek. I leszczyna tak samo pleniła się w naszym ogrodzie na wielkiej wolności, i rósł pod płotem dziki agrest.

I, losie święty, nierodny już sad w naszym ogrodzie. Drzewa budzą się z wiosną, ale stoją pokurczone, gałęzie mdleją, pączek nie roztula się, korzenie jabłonek tną myszy i patrz się, ścigancie, na wierchołku najwyższej wiśni powiesił się nietoperz, niech wiatr powieje, on tam z góry zgniłym skrzydłem kłapnie, jak złe on z czubka wiśni skrzeczy, woła... Tak to pokutuje i pomstuje Pląder dzień w dzień i po nocy. Nie pokaże się, nie objawi, jeno targa i szarpie dniem i nocą mój majątek, o, jak ja, słaba kobieta, mam nadążyć za nim, jak wszystkie te szkody narządzać, o, wielkie na niego za grzechy nałożyło niebo jarzma i utrapienia, większe, niżbym się sama spodziewała,

nie ma on wytchnienia, na chwilę nie ucichnie nawet, jeszcze z wiśni nie zlaźł, już w komórcie rupoce, nie ustał jeszcze dyli tupać, a już musi się w kominie przetwierać, tłuc się tam, hukać, świstać, gwizdać, jak zaś wykocmołucha się i sadzą wymaże, pędzi do chlewa, widłami tam brzęka, kury płoszy na grzędzie, o, jak ja mam sama jedna mu sprostować... On taki mocny, prędko, tyle się po obejściu tłucze, ale przecie nie przyłoży do niczego ręki, jednej łatki nie przyszyje do kozucha, przyszczytki do trzewika, wielki niszczoła on jest swojego majątku, czy on mści się na mnie? Czy ja przez lat czterdzieści nie była jego kobietą? Każdego dnia ja się modłę do Pana Boga, niechby mu zadał inne jakie za pokutę praktyki, ja nie nadążę za nim utykać po swojej gospodarce i narządzać to, co nieszczęśnik niszczy i psuje...

Pierwiej ja myślałam, że on z pomsty, złości i czystego psujstwa niszczy, drze i rozbija wszystko, co mu na drodze stanie. Jasno teraz widzę, że straszniejsza być musi tego przyczyna. Noc w noc ja słyszę nieboszczyka Plądra, jak zębami zgrzyta. Płacz jego słyszę rozdzierający. Zawodzi on, pomstuje i żałośnie krzyczy, kiedy mu przychodzi drzeć na stodołę strzechę albo roztraskiwać domowe nasze statki. Jęczy, szlocha, żali się na swój los mój chłop potępiony. Nie dość mu pokuty, sam większe jeszcze zadaje sobie kary. Z żałości wielkiej tarza się w popiele, w smole, w kominie tłucze się, w stajni w gnoju ponieważ. O, bo nie w tym jest pokuta, żeby rwać, rozbijać i tłuc. To dla Plądra furda. On robotny, każdej roboty zwyczajny. Jakie tam dla niego utrudnienie i przykrość choć i po śmierci machać toporkiem, imać się widel, a nawet i łaźić po kalonce. A i na jabłonkę wleźć przecie nie hańba, choć pewnie umęczenie, bo Pląder chłop stary, a nie kozok młody.

Za życia nieboszczyka Plądra nie takie figle się trzymały, miałyby mu ostać na żywot wieczny? Ani mi mów! Zaś jaka prawdziwa jest na niego pomsta i poruta, zagłada i nieszczęście: że to, Matuchno święta, swoją gospodarkę skazany jest Pląder rąbać, siec, plądrować i na strzępki drzeć. Co by tam jemu wadziło gdzie u końca świata jakie chlewiki, a niechby nawet stodoły i szopy psuć i rozwalać, ba, nawet i puszczać z dymem... może by i rad był on ogrzać się trochę w takie zimne, jak są teraz, noce. Pewnie by mu było ciutkę żal, bo zawsze człowiekowi żal, kiedy jakie dobra idą na rozkurz i przepadek: ale nie jest to nigdy taka boleść, jak widzisz, że na zagładę idą własne twoje majątki. A kiedy z Bożego przykazania masz własną swoją ręką trzaskać i znosić swoje habendy, o, najostatniejsza jest to dla ciebie, człeku, katusza i nie wiesz, czyś ty Ablem jest jeszcze, czy już Kainem samym, o, jasno ja to widzę teraz, kiedy potępionej duszy nieboszczyka mojego męża przychodzi swoje majątki topić i zagładać, o, jasno ja wtedy widzę, jak krwawi jego serce i omdlewa głowa, trzęsą się ręce, gęba zaś rozwiera się sama i wyje, i skowytą czyścicowa dusza Plądra Jana.

Póki życia nie płakał Pląder. Odumarli go matka, ani westchnął. Kobyłka padła. Stał przed słupkiem i siecze go batem: że to słup jest winny. Zestrzepił bat do cna. Ani przy tym szlochnął. Niemcy go do Auszwicu brali. Ledwo burknął mi coś na odchodnym. Łasko Boska, żeby on choć w Wielki Piątek zaptakał.

Może by teraz nie musiał pokutować tyle. Choć chwilę by miał za to dzisiaj wytchnienia i Bożego odpustu. A nad nim nie ma łaski ani miłosierdzia. Płacze we dnie, w nocy, najmniejszej ulgi wyblagać sobie nie może.

Ten płacz jest straszny. Jest on niezmożony. Zanosi się Pląder. Płaczem dławi. Płacze, że aż śmiać się tym płaczem zaczyna. Płacze, a płacz ten śpiewać zaczyna i straszniej tobie słuchać tego śpiewu niż samego płaczu. Niesie się ta płaczśpiewka. I czy nie powinien dzień i noc bić w kościele dzwon, i tłumić tę nutę nie do zniesienia. Za całe swoje życie płacze mój poharbiony chłop. Losie święty, bo to on, on, mój chłop Pląderjan, on sam tę naszą gospodarkę po wojnie na nogi stawiał, on stodołę wznosił, psu budę nawet kto, jak nie on sklecił. A kto kurom urychtował grzędy. Koło krów kto chodził i żłobów. Kto ogrody grodził. Dół pod studnię dębił.

I oto z samego Bożego rozkazu dusza Plądrowa potępiona zwalić i zetrzeć ma to, co on za czas grzesznego swojego żywota postawił. Płacze i upada pod ciężarem kary jego wąta dusza. Boży się ona, kornie pokutuje, w żalu i boleściach czyni powinności swoje, po żerdce, po sztachetce, po szczypce, po kruszynce kruszy i łamie to, co jego jest. Siły jego zagrobowe słabiuskie, do tego jemu nie starcza sumienia do tej roboty, dzień nieraz minie, a on, słyszę, wyrzeka i kwęka, szlocha, śmieje się tak, jak to głupki się śmieją i pomylenie, i ledwo przez czas cały jaki gwóźdek wbity w ścianę ułamie, odszczypnie drzaczkę od belki u proga... Ja bym może i mogła jego rękę wstrzymać, może bym mogła szkodnika na gorącym uczynku schwytać, ale, narodzie litościwy, czy ja stawać mogę jemu na zawadzie, czy zastawiać będę drogę zbawienia duszy błędzącej? Jęczenia i krzyki wielkie na swoje uszy słyszę i upały piekielne na swym ciele czuję, i takie mnie wielkie miłosierdzie bierze, że pójść i sama dziurę w płocie zrobić, zamyczkę od drzwiczek do szopy urwę, siekierką nie w pień, a w kamień obok rąbnę, ostrze wyszczerbię, obuszek roztrzasnę... co robić, sama tego nie wiem, rada bym nad swoim nieboszczykiem użalić się jako, wspomóc go w jego doli jako.

Ulżę mu i go wspomogę, potem sama na siebie pomstuje i na siebie płacze. Bo co ja, pofyrzana, najlepszego robię. Do czego przykładam ręki. Czy mnie świat i ludzie, sam Bóg najlepszy za to psujstwo i niszczołstwo nie skarże i nie przekryśli. Dolo, losie: nie minie godzina, jak idę narządzać to, co żem nabroiła i co naszkodził nieboszczyk Pląder. Jego błędna dusza wniebogłoso płacze, zawodzi i krzyczy, ja płaczę, wdowa nieszczęśliwa, młotkiem tłukę się po palcach. Losie świata, co ja w życiu swoim jeszcze począć powinna.

U nas tu odznacza się adwent roratami, to jest mszą przed wschodem słońca odprawianą, w której introit od słowa rorate się zaczyna. Podczas tej mszy stawiają siedem świec gorejących na ołtarzu. A ja przed świtem jeszcze, po ciemku do kościoła przychodzę, gołą kartkę na ołtarzu kładę, aby anioł napisał nieomylnie słowo. Nie pisze anioł. Kościół nie każdemu każe gołe Pismo święte czytać, ja się biskupów nie pytam, dzwonią na pozdrowienie Panny Maryi, biblię rozwieram, słabikuję, czy tam o moim

ślubnym pokutniku prawda stoi albo litanijka na jego wybawienie. Nie stoi.

Tak bieduje Pładercela, płacze; zaczem się pociesza, mówi: – Bogu dzięki, ma się na Gody, na rok nowy... – A kiedy zacichnie, świat dokoła zacichnie w ślad za nią. Stare drzewa w sadzie staną nieruchomo, niebiańsko białe w olśniewającym świetle idącego ku zachodowi słońca. Struga Jaraszowiecka, skuta lodem aż do gruntu, nie pluśnie, nie zadudni. W boru świerki stoją w szadzi, w szronie. Cicho. Dusza pokutująca nawet nie woła, podnosić nie musi w świętym dniu wigilii larum. Trwa w ciszy dom Pładrów.

Na przedwieczną, kto wie, betlejemską zgoła może nawet jeszcze modłę wystawiona Pładerska zagroda. Nie z prosta, nie dla figla i nie ze swego nawet umysłu ufundowali Pładowie domy i budynki na półku pod lasem, w którym po nocach wojażyły wilki...

Bywa (przemówiła znowu Pładercela), że ziemia gdzieś rozewrze się, rozchyli. Szczery piach, szczyrki, grunt taki, że ani kamień tu leży na kamieniu. A spod tego jednego suchego kamienia wybije źródło. Głupi ten, co pomstuje, załamuje ręce, kiedy jego ziemia wydaje źródło. Jak ono się stało i myśleć nie trzeba, bo to jest sprawa ponad umysł wszelki.

I bywa (ciągnie Pładercelina), że wielkie ma dobra gospodarz. Do tego darzy mu się. Żyto sypie bogato. Owsa tak samo wielkie urody. Pszenica pleni się na wielkich stajach jego ziemi. Bo rodna ta rola. Choć jakie pogańskie siemię wsiej, wyrośnie zaraz i wybuja pogańskie ziele. Każ tej ziemi spocząć: prośby nie usłucha, na czystym ugorze będzie miał Cygan fest żniwo. Bogata ziemia, rodna ziemia, a patrz ty, człowieku: choćbyś żywym słowem prosił, na oba kolana klękał, źródła ona nie urodzi. Inna tymczasem, w innej stronie wyźródli się ziemia. Gospodarzy na niej sknera, dusigrosik, co by nie ustąpił nikomu nawet wiechetka swoich gruntów. Ten będzie kołkiem zabijał źródła gardziel, dusił je i dławiał będzie, jakby nie wiedział, że z tych robót niepeć. Niechby to źródło było nawet od igiełki cieńsze – i tak przebiję mur najgrubszy nawet. To źródło. A kamień? Kamień, bo Pładrów w dawnych i hethet dalekich czasach inny jeszcze spotkał los: wybił się kamień na ich polu. Na zaczątek wytknął rożek. To co tam, kamień jak kamień. Ile to po polach kamieni. Patrzą Pładry po jakiejś chwili: nie taki to kamień. Dalej-no macać, obmierzać. Kamień to nie byle, jak stodoła, jak niektóra kamienica w mieście kamień. Wysklepia się stale, ze swojego grzbietu strząsa grunt. Grzbiet ten szeroki niczym w gospodarskiej stodołę klepisko. Kamień twardy, drzenny, krzemienny. Co robić, co robić. Z rady na radę chadzają Pładry. Po sąsiedzku siedział jeden, co wybił się na drógmistrza. Ten woła, kamień strzelać. Z ziemi rugować. Ziemi ulżyć, za strzelany kamień łapsnąć jeszcze grosza bogato. Bo, ludzie, kamień w polu na co. Na kamieniu ani kamień rósć wam nie urośnie. Żyto zaś, kąkol i pyrz nawet z dawien dawna na tym kamiennym gruncie nie rosną, ledwo lichota jakaś, rozchodnik, rumianek. A i one goreją prędko. Tak prawy uczony drógmistrz. Ani, ani! znowu gadają Pładerskim ludzie w czym innym uczeni. Ziemia wasza od wiek wieka kamyszek ten kolebała, czy by próżno i darmo to czyniła. Wytargnąć go jej:

czy aby się nie zachwieje wtedy. Czy nie ogłuchnie ona, jak ją najdą strzelcy.

Póki w życiu powodzenie, póty i rozmyśli. Nieszczęście ściągnie, podżegnie do dzieła. Musiały się u kogoś tam w kominie zająć sadze, musiał ogień pół wsi zgładzić, żeby się Pładry zgniewali, porwali z gromady, dość już nam na kupie z podżegaczem siedzieć. Sam ksiądz proboszcz Perliński nowe siedzisko pokropił świętą, dwakroć na Jasnej Górze święconą wodą. Zaczem Pładowie dawni wzięli się budować. Wystawili dla Pładerceli dom, że drugiego takiego po dziś dzień nie wiedzieć gdzie szukać: bo gdzie, czyja chata jeszcze stoi na szczerym kamiennym fundamencie niczym na opoce. Kościół rzadko który na tak pewnej podstawie stoi. Wzniesli dom, biją Pładry studnię. Dużo przy tym żmudy. Choć struga blisko, to woda głęboko. Daleko w borze przyszło szukać jodły, co by się nadała na słup żurawi dla tej wielkiej studni. Ale pomału znalazł się też drąg na stożynę i żerdka na kostur wielkiego tego żurawidła. Nim ten żuraw skrzypnął, stał chlew i stały szopy, wygrozione były sąsiedzi w stodole, a przybity do krokwi za nogę brzozy kokotek trzepotał na wietrze, gwizdał i furkotał.

Na jednej podkowie, jednym gwoździu wznosili Pładry nowe swoje budynki i domy. Bo to były te dawne czasy, kiedy stał bór nigdy dotąd nie trzebiony jeszcze, a ten był bogaty, kto miał podkute trzewiki. Nie bez umysłu fundowali dawni Pładowie swoje budynki na polu pod borem, choć tam po nocach wojażyły wilki. Na przedwieczną, kto wie, betlejemską zgoła może modłę, podług dawnej miary i myśli wystawiona Pładerska zagroda...

Z czystego drewna stworzony, dom ostał się w drewnie. Przez wiek drewno na kość zastygło, niczym kość wyblakło. Wśród niebieszczejących śniegów jego ściany świecą sino, blade: tak czysty popiół świeci. Burze, niepogody, deszcze wybiły ze szczytowych belek żywe drewno, ostały się same smolne, żelazne ścięgna. Sążnista kłoda u proga domu wydębiona była stąpnięciami do żywego rdzenia. Dębowej klamki drzwi wejściowych dotykało się tak, jak dotyka się jedną dłonią drugiej swojej dłoni.

Stare drewno wszędzie dookoła.

Pośrodku dworu uprząż krowia. Dwa gnaty ciężkiego smolnego drewna. Wielkie dynastie krowie nośły ją godnie, cierpliwie. Drewno, latami szlifowane, zyskało postać doskonałą.

Spod śniegu nawet bił od starych jermicz ciężki, stęzony smolny blask.

Wóz tak samo stoi na dworze. Nie z niedbalstwa: po to, ażeby, kiedy tylko potrzeba, bez zwłoki wyruszyć w pole... hartowne stare drewno mokło, gniło, schło i pęczniało, uparte trudy żywiołów znać na tych deskach, kłonicach, dyszlu, cięcia, wykruszenia i karby zabłoniły się, zagoiły dawno, rdzennej materii nie zatrze już najgorsza nawet pogoda, wóz stoi pod pustą psią budą rozkraczony, z rozworą niedbale spod skrzyni wysuniętą, dyszlem zawadiacko wystrzelonym w niebo, Panu Bogu w to okno, przez które na Pładryżnę najczęściej spogląda...

MARIAN PILOT

(cd. w następnym numerze)

STANISŁAW BURKOT

PRAWDA I ZMYŚLENIE – WERSJA KONWICKIEGO

7 stycznia 2015 roku odszedł Tadeusz Konwicky, wnikliwy „kronikarz” naszego życia ostatnich pięćdziesięciu lat ubiegłego wieku: powieściopisarz, filmowiec, reporter, a nawet grafik-rysownik. Nowa Wilejka, gdzie się urodził, Kolonia Wileńska i Wilno, gdzie spędził lata szkolne, naznaczyły szczególnym piętnem całe jego życie, całą twórczość. Udział w antyradzieckiej partyzantce 8 Brygady Oszmiańskiej AK, przedarcie się przez granicę do nieznanej wcześniej „Polski”, zamykają fazę burzliwej młodości, wymodelowanej przez naszą tradycję romantyczną, przechowywaną na Wileńszczyźnie pieczołowicie. Bo w Wilnie działali filomaci, bo u bazylianów była cęla Konrada, bo Nowosilcow przeprowadził aresztowania i procesy młodzieży. Specyficzny spór, a właściwie nieustanny dyskurs z tą tradycją – ironiczne kwestionowanie i niemożliwość uwolnienia się od niej – stanowią znaczące *signum* twórczości Konwickiego. Bo ważna była w czasach wojny nie tylko identyfikacja, ale i spór właśnie. W szkicu z 1975 roku (*Uwikłany w historię*) próbowałem zrozumieć tę ambiwalencję identyfikacji i zanegowania. Jednak bez rezultatu. Czas wojny wikłał losy tego pokolenia. A historii się nie wybiera, historii się doświadcza wbrew swojej woli.

Konwicky był pisarzem emocji, a nie refleksji intelektualnej. Dawało to znać o sobie w technikach narracji, w języku i stylu, w wizji rzeczywistości trochę jak z majaków sennych, w obrazach nacechowanych podwójnością znaczeń – dosłownych i symbolicznych. Tak było od początku. W 1947 roku ukazało się debiutanckie opowiadanie *Kapral Koziołek i ja* („Nurt” nr 2) – najwcześniejszy ślad ironicznych dywagacji. W tym samym czasie powstała partyzancka powieść *Rojsty*, która ze względów cenzuralnych ukazać się mogła dopiero w 1956 roku (jednak jeszcze przed „październikiem”). W tych wczesnych utworach doświadczenie osobiste, autobiografia, podlega już artystycznemu przetworzeniu – nie jest pamiętnikarskim zapisem przeżyć, lecz kreacją artystyczną o podwójnych konotacjach. Kontynuację takiej postawy odnaleźć można

w powieści *Z oblężonego miasta* (powst. w 1954 roku), w której przeważa gorzkość przegranej, zagubienie w nowych warunkach powojennych. Zamyka ten temat „emigranta z Litwy” najlepsza z powieści Konwickiego *Sennik współczesny*. Obecne w nim elementy autobiograficzne poddane zostały jeszcze głębszej artystycznej obróbce, stały się tematem, a nie „wspomnieniem”.

„Uwikłanie w historię”, kondycja „człowieka w drodze”, we wczesnej twórczości Konwickiego ma i inną postać. Z wewnętrznego sporu z tradycją romantyczną powstaje reportażowa powieść *Przy budowie* (1950); „reportażowa” – bo Konwicky jest jedynym z „sorealistów”, który przez pół roku z łopatą w ręku kopał rowy pod fundamenty Nowej Huty; inni – jak Wiktor Woroszyński czy Witold Zalewski – pisali poematy i opowiadania nie ruszając się z Warszawy. Konwicky szukał swojego miejsca w nowej rzeczywistości: były Gliwice, był Kraków, była Warszawa. Opuszczenie Wileńszczyzny, „doliny ludzi osiadłych”, ukształtowało trwałe obsesje z poczuciem niepewnego losu, brakiem zadomowienia, lękami wynikającymi z partyzanckiej przeszłości. Takie są postaci z wielu jego wczesnych powieści; stale towarzyszy im dręczące wspomnienie przegranej, życiowej klęski. Doświadczenia osobiste w formie migawek, epizodów lub całych wątków odnaleźć można we wszystkich utworach Konwickiego. Ostatecznie zamieszkał w Warszawie, ale Kolonii Wileńskiej nigdy nie opuścił. „Plac budowy”(z Czyżyn) i „stacja kolejowa”, „tory kolejowe”, „magistrala kolejowa” (obsesja wyniesiona z domu rodzinnego w Kolonii Wileńskiej, bo stacja była „pod oknem”) podlegają z latami licznym przetworzeniom – trywializacji, groteskowemu deformacjom. Ale trwają w pamięci, zjawiają się niespodziewanie w innych miejscach i w innych planach narracyjnych.

„Socrealistyczna” powieść *Przy budowie*, opowiadanie *Kapral Koziołek i ja*, powieść *Rojsty*, podsyte doświadczeniem osobistym; nie zmarniały całkowicie po latach, bo trwały właściwością całej prozy Konwickiego jest nieustanne przetwarzanie własnej biografii. Tylko powieść *Władza* (1954-1955) ma inny rodowód:

powstała po *Zdobyciu władzy* (1955) Czesława Miłosa – może przypadkowa to zbieżność, a może nieświadomie zrealizowane zamówienie propagandowo-ideologiczne. W tej powieści – nagrodzonej, a jakże! – rozpoznał Konwicki swoją klęskę artystyczną; było w niej świadectwo uległości, był gorzki smak „uwikłania w politykę”. Historii się nie wybiera, zostaje narzucona całemu pokoleniu, rodzi tragedie, wikła indywidualne losy. Ale jednostka ma prawo do uników. Charakterystyczne, że obok *Władzy* powstaje prawie równocześnie minipowieść *Godzina smutku* (1954). Grzechem śmiertelnym w stosunku do wymagań doktryny realizmu socjalistycznego jest w niej „brak optymizmu”, także i temat – opowieść o miłości – nie wydawał się dość ważny przy „budowie nowego ustroju”. Ta powieść czy opowiadanie jest świadectwem zwątpienia w obowiązujący wówczas ów literatury zaangażowanej. W krótkim czasie, po 1956 roku powstają spokrewnione w tonacji z *Godziną smutku* scenariusze filmowe: *Zimowy zmierzch* (1956), *Ostatni dzień lata* (1958), *Zaduski* (1961), *Jak daleko stąd, jak blisko* (1971). Konwicki staje się scenarzystą i reżyserem filmowym, twórcą kina artystycznego. Bo po raz pierwszy i nie ostatni zwątpił w literaturę, w „słowo pisane”, tak ważne wcześniej dla romantyków. W jednym z wywiadów telewizyjnych „zagrał” ironicznie: on, wilniuk, ma kłopoty z posługiwaniem się językiem polskim, dlatego „przerzucił się” na film... To oczywiście jeden z żartów ironisty.

Powrót do fabuł powieściowych nie naznaczonych piętnem przymusu dokonał się w 1959 roku za sprawą *Dziury w niebie*, powieści niezwyklej o dzieciństwie w Kolonii Wileńskiej, nie jest to powieść dla młodzieży, lecz dla dorosłych o dzieciństwie, w którym gorzkość sieroctwa łączy się z nostalgią, z sytuacyjnym humorem, znakomitymi stylizacjami kresowymi. W *Dziurze w niebie* a nie w *Przy budowie i Władzy* odnalazł Konwicki swój język i swój styl: scalił polszczyznę kresową z polszczyzną centralną, zabezpieczając w niej harmonijne, niekonfliktowe połączenie. *Dziura w niebie*, sama w sobie, jest „faktem artystycznym” znaczącym nie poprzez swoją fabułę, lecz niezwykłości języka i stylu. Dopełnieniem i rozwinięciem *Dziury w niebie* okazał się *Sennik współczesny*. Tych powieści nie da się czytać i interpretować poprzez zawartość fabuły, perypetie bohaterów, kreacje psychologiczne, ideologiczne przesłanie: ważne jest w nich nie tylko co przedstawiają, ale i jak przedstawiają. To „jak” stało się znakiem firmowym pisarza z Wileńszczyzny rodem. „Fakt artystyczny” (konstrukcja językowa utworu) ma uniwersalny wymiar. Ilekroć zdarzało się później Konwickiemu zabełtać i zatracić w wydarzeniach i emocjach współczesnych, dotknąć niebezpiecznych dla prozy artystycznej gier politycznych, pokornie powracał zawsze do samego siebie. Tak jest w *Kronice wypadków miłosnych* (1974) i w *Bohini* (1987). „Uwikłanie w historię” polega w nich na tym, że od *Wniebowstąpienia* (1967) poczynając, przez *Nic albo nic* (1971), *Kompleks polski* (1977), *Małą apokalipsę* (1979) do *Rzeki podziemnej* (1984) uznany został wyłącznie za „pisarza antykomunistycznej opozycji”, w niektórych momentach za „wieszczą” narodowej katastrofy, wileńskiego Wernyhorę. Nie dostrzegano ironii, sceptycyzmu, wielu gorzkich słów skierowanych pod adresem władzy, ale i ludzi z „podziemnej rzeki”. Ostatnia powieść Konwickiego, *Czyta-*

dło 1992), zapisuje szereg rozczarowań nową rzeczywistością po przewrocie ustrojowym.

Powrót na Wileńszczyznę, w „dolinę ludzi osiadłych”, przyniósł więc po serii powieści „gorących”, upolitycznionych, *Kronikę wypadków miłosnych* i *Bohini*, ale nie uwalniały, jak wcześniej *Dziura w niebie* i *Sennik współczesny*, od codzienności. Jakość powieści z gorącego czasu jest różna, pomysły na fabułę okazują się niekiedy żałośnie tandetne (utrata pamięci, kolejkowe rozmowy „staczej” przed sklepem jubilerskim, „oddelegowanie” bohatera przez działaczy opozycji do aktu samospalenia „dla dobrej sprawy” itd.). Nie dostrzeżono w nich ironicznej, groteskowej deformacji rzeczywistości. „Demokratyczna opozycja” w *Małej apokalipsie* jest równie tyrańska w stosunku do jednostki jak „zła władza”... Powieści te nie mają stylistycznej urody *Dziury w niebie* i *Sennika współczesnego*; należą do popkulturowej produkcji „na zamówienie” – spotęgowanych emocji, naiwnych fabuł. Ich uwiarygodnieniem miało być upozorowanie, ozdobienie narracji drugorzędnymi elementami autobiograficznymi. Te przywołania przeszłości niczego nie wnoszą do powieści. Niewiele z tych powieści zostało, są tylko świadectwem swojego czasu. Ostatnia powieść, *Czytało*, ze swoim bagatelizującym tytułem i romanowo-kryminalną fabułą zamyka nie tylko uwikłanie pisarza w gry polityczne okresu przełomu, jest także wyrazem zwątpienia w sens i wartość narracji powieściowych, w samą literaturę. Rozpoczęło się ponad dwudziestoletnie milczenie pisarza.

Czy było to kolejne, ostateczne zwątpienie w powieść, w literaturę? Po raz pierwszy uciekał Konwicki do filmu, po raz drugi w połowie lat siedemdziesiątych – do form parapowieściowych. *Kalendarz i klepsydra* (1976), *Wschody i zachody księżyca* (1982), *Nowy Świat i okolice* (1986), obok *Dziury w niebie*, *Sennika współczesnego*, należą do najwybitniejszych utworów Konwickiego. W latach wielkich napięć społecznych zamienianie rzeczywistości w fabuły powieściowe wydawało się niemożliwe, by nie powiedzieć: nieprzyzwoite. Powstaje „literatura faktu”, dodajmy jednak – zapisu indywidualnego, zsubiektywizowanego. Pisarze próbują objaśniać wydarzenia, niekiedy wydaje się im, że je współtworzą. Złośliwie komentował to złudzenie pisarzy zaraz po wojnie ironista Stanisław Zieliński: spacer po Krakowskim Przedmieściu z parasolem w ręku nie oznacza, że strzał wypadnie z parasola i zmieni rzeczywistość. Twórcom pozostaje tylko „uwikłanie w historię”. *Gra z cieniem* (1987) i *Z dnia na dzień* (1988) Jerzego Andrzejewskiego, *Miesiące* (1978-1984) Kazimierza Brandysa, *Krakowskie Przedmieście pełne deserów* (1986) Adolfa Rudnickiego, *Raport o stanie wojennym* (1982-1983) i *Zapiski na gorąco* (1982) Marka Nowakowskiego są notowaniem wydarzeń, dalekim jednak od intelektualnej ich interpretacji i oceny. Rozstanie się z przetwarzaniem *réalité* w narracyjne fabuły, przejście ku wypowiedziom eseistycznym i publicystycznym zmieniały status literatury jako konstrukcji fikcjonalnej, kwestionowały jej społeczną użyteczność. Konwicki wynalazł własny sposób przewycięzania fikcyjności.

Warto przywołać jego wyznanie z *Kalendarza i klepsydry*:

„A ja się porywam na rzecz trochę absurdalną. Wiele lat trzymałem się fabuły, tego mocnego łańcucha,

co skuwa rozwichrzona słowa. Ile razy poniesiony nadmierną ambicją, odchodziłem od fabuły, zaczynałem się pieścić prozą refleksyjną, czy jak ją tam zwać, tyle razy ponosiłem sromotną klęskę [...]. Ta fabuła prowadziła mnie jak ślepcę po trzęsawiskach powieściopisarstwa.

No i wreszcie znudziła się, znudziła się zwykłe i po prostu, niczym monotonna, automatyczna czynność, wykonywana przez wiele lat [...]. Trzeba złego trafu, że to moje osobiste, incydentalne znudzenie przyszło w takiej chwili, kiedy i inni romansopisarze, i inne mrowy tego mozołnego fachu, kiedy wszyscy wyrobniicy pióra jęli ukradkiem wypuszczać spod siebie tę fabułę jak niepotrzebny już nikomu balast wieziony na wszelki wypadek nie wiadomo dokąd" (*Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1976 s. 5-6).

Są w tym oświadczeniu dwa ważne aspekty: „wypuszczenie spod siebie fabuły” w 1976 roku było już oczywistą pochodną wydarzeń politycznych, jednak raczej wstępną próbą nowego usytuowania narracji na planie szeroko pojmowanej autobiografii, ale nie przywoływanej przeszłości, lecz doświadczanej współczesnych. Nie było to jednak wyznanie narcyza zapatrzonego we własne odbicie. I znów ważne okazuje się jego oświadczenie; pisarz w pełni zdawał sobie sprawę z czyhających niebezpieczeństw:

„[...] wpaść w pułapkę obrzydliwego, minoderyjnego egotyzmu, w której udusiło się już wielu [...]. Najbardziej mi szkoda tej prawdy o współczesnych. Mógłbym sobie nieźle poglądać. Ile warstw budy nosimy w sobie niczym cebulowych łusek. Niektórzy wyglądają jak stare karczochy. Prawda to jest instynkt gwałcony codziennie przez nas wszystkich. Prawda to jest ostatni tłyk tlenu. Prawda to jest przedśmierne rozgrzeszenie” (*Kalendarz i klepsydra*, s. 6).

Kryzys fikcyjnych narracji powieściowych nie był równoznaczny z kryzysem literatury pięknej, choć wymagała ona rzetelnych rozpoznań swojej istoty: porzucenia obowiązujących konwencji, zaniechania teatralnych gestów pisarzy (spacerujących z parasolem po Krakowskim Przedmieściu), środowiskowych rytuałów – obrzędów i konwencji. Moda na autobiografizm tworzyła ułatwienia dla twórców: „wyznania” były łatwą formą zapisu rzeczywistości, były „prywatne”, osobiste i nie podlegały weryfikacji. To właśnie u Konwickiego rodziło ostre inwektywy w stosunku do środowiska literackiego:

„I widzę wokół siebie osobników, którzy sami ze sobą gadają, choć im się zdaje, że dyskutują ze współczesnymi. To jest straszny widok artysty przenoszonego, artysty, który jeszcze gędzi, choć jego publiczność dawno wyszła, dawno przeniosła się na tamten świat”. (*Nowy Świat i okolice*, Warszawa 1986, wyd. 2 1990 s. 87).

Kalendarz i klepsydra, *Wschody i zachody księżyca*, *Nowy Świat i okolice* dają ostrą diagnozę choroby – kryzysu literatury jako zapisu i świadectwa świadomości zbiorowej. W epoce romantyzmu wierzone, że literatura, że słowo pisane i jego twórcy modelują rzeczywistość społeczną i historyczną. Przełom ustrojowy z końca ubiegłego wieku poświadczał, że literatura, że sztuka tej funkcji już nie spełnia. Autobiografizm nie wykluczał u Konwickiego po arystotelesowsku rozumianego zmyślenia, nie wykluczał fikcji. Bo prawda w literaturze nie polega na wiernym kopiowaniu natury.

Pisarz przedstawiać może tylko swoją prawdę, jej subiektywną wersję. Ma prawo i może zmyślać, tworząc pozory, „grać” na własnej biografii. W *Nowym Świecie i okolicach* Konwicki wyznawał:

„Ja nie piszę prawdy. Ja piszę jakieś półprawdy, zawijsy, omamienia, przemilczenia, niby to szczerości, udawane otwartości, produkuję ten cały szum literacki, bitą pianę nad rzeką faktów, wielką mgłę, w której błądzimy z wyciągniętymi rękami” (*Nowy Świat i okolice*, s. 31).

Kalendarz i klepsydra, *Wschody i zachody księżyca*, *Nowy Świat i okolice* – „tryptyk trochę autobiograficzny” (powtarzam określenie z mojego szkicu z 2006 roku) jest w całości nakierowany na dyskusję o chorobach współczesnej kultury. Konwicki znakomicie wy-czuwał, że kończyła się w niej epoka układania fabuły, zastąpiła ją w tym sztuka filmowa. Stało się podobnie jak na początku XX wieku z malarstwem w momencie inwazji wszechwładnej fotografii: obraz malowany nie mógł z nią konkurować w dokładności odtwarzania natury. Współcześnie film dysponując niezliczoną ilością trików technicznych przekracza granice jednostkowej wyobraźni w budowie fabuły. Bo fabuły powieściowe są jednostkowym tworem pisarza. Co może więc być cechą szczególną narracji w prozie? Przetwarzanie w niej doświadczenia biograficznego, nie powtarzanie tylko, lecz także kreowanie. Jakie są granice „półprawd” i „półszczerości” w literaturze? Kluczem do zrozumienia tych określeń jest ironiczny dialog Konwickiego z Gombrowiczem. Bo to on był sprawcą skrajnego e g o t e i z m u w literaturze. W wypowiedzi tej jest polemika z uwielbieniem części krytyków dla formuły: „poniedziałek – ja, wtorek – ja”...

„Okazuje się, że Gombrowicza trzeba traktować ze śmiertelną powagą. Jak profesora psychologii, albo nawet ekonomii. Z uśmiechem rozbawienia przyjmowałem jego tezę o antagonizmie między wyższością i niższością [...]. Jeszcze jeden wesoły wymysł straszego dziadunia z filozoficznego zaścianka”. (*Wschody i zachody księżyca*, Warszawa 1990 s. 110).

„Kocham ja tego Gombrowicza i od czasu do czasu łapie mnie króciutki paroksyzm nienawiści do mego pysznego bożka [...]. Rozkochany w sobie, rozsakotany w sobie, rozjątrzony sobą do ostateczności. A rozsakotany to po wileńsku rozgdakany” (tamże, s. 198).

Dialog z Gombrowiczem pozwalał na wyznaczenie granicy literackiej kreacji, bo „półprawda” i „półszczerość” oznaczała zachowanie w narracjach – na prawach dawnej fikcji – Stendhalowskiej zasady „przechadzania się po gościńcu”. Autobiografizm ścisły – zdaniem Konwickiego – w sztuce jest niemożliwy. Liczy się tylko to, co z doświadczenia własnego może twórca wydobyć, co przekształcić w wartość artystyczną zdolną do przekazania innym, co zamienić – w „lustrzane”, więc nieautentyczne odbicie świata. U Konwickiego: świata, a nie siebie samego.

„Tryptyk trochę autobiograficzny” – *Kalendarz i klepsydra*, *Wschody i zachody księżyca*, *Nowy Świat i okolice* – nie mieści się bez reszty w „literaturze afikcjonalnej”: łamie reguły ścisłej autobiografii, zasady intymnego dziennika, eseju itd. Nie brak w nim bowiem minifabułek, „scenek rodzajowych” ze środowisk literackich, filmowych. Zabawne jak kłopotliwe stały się

te utwory dla krytyków i historyków literatury. W zapisach bibliograficznych *Kalendarz i klepsydrę* określono mianem „wspomnień”; *Wschody i zachody księżycy* są „powieścią”, a *Nowy Świat i okolice* – „szkicami autobiograficznymi”. Rejestr określeń gatunkowych jest imponujący: niby-dzienniki, raptularze, pamiętniki, dzienniki kreacyjne, eseje autobiograficzne, „coś w rodzaju dziennika intymnego”, sylwy itd. Zasadnicza wydaje się strategia narracyjna Konwickiego – palimpsestowa, ironizująca gra z konwencjami literackimi. Od Konwickiego pochodzą określenia: „tęże-dzienniki”, „niby-dzienniki”, „eseiki”, „pokrącone raptularze”, „utwory sylwiczne”, „ulepce”, „labirynty”. Miał pisarz świadomość odrębności cech gatunkowych swoich utworów i procederu, jaki w nich uprawiał. Tak wyjaśniał swój cel:

„Że usiłuję mówić o sprawach ostatecznych dla naszego społeczeństwa i o jakiś tam mało ważnych kolegach Że prawię co nieco o moim rozumieniu kosmologii i przypominam sobie jakieś erotyczne incydenty. Że piszę o literaturze przez wielkie el i o warszawskich kurwach [...]. Bo ja jestem ostatnim szlacheckim gawędziarzem. Jeszcze co dopiero żyli mistrzowie tego polskiego gatunku literackiego jak Wańkowicz, Mackiewicz, książd Meysztalowicz. Ale już ich nie ma” (*Nowy Świat i okolice*, s. 71-72).

Gawęda i gawędziarz – może to określenia niezbyt ściśle, niefachowe. Ale dotyczą istotnych problemów gatunkowych. Jaka powinna być powieść po śmierci powieści? Przegra z filmem w budowaniu interesujących konstrukcji fabularnych, przegra z literackim i filmowym reportażem w wierności odtworzenia świata, przegra w jakości języka, bo stale wdzierają się do niej slangowe jego wersje. Wileńskie stylizacje dokumentują tradycję, przeszłość, los indywidualny twórcy. Są znakiem firmowym, a nie językową zabawą. Slangowych inkrustacji u młodszych twórców nie do końca uzasadnia historia nowego pokolenia; próbują budować własną mitologię, opowiadać często, jak byli prześladowani przez władzę. Powiększały się, jak po każdym przełomie społecznym, po przewrocie grupy rzymskich kombatantów. „Drugi obieg literacki” przyniósł nie tyle szereg ważnych dzieł, ile także wiele tekstów drugorzędnych, grafomańskich, których sankcjonowało i uwznioślało samo „nielegalne” wydanie. Sam Konwicki wydawał w „drugim obiegu”, bo kiedy nie chciano mu wydać oficjalnie, „szedł do konkurencji”. Ale nie godził się na ułatwienia. Warto przywołać inwektywę, w istocie jedyną w „tryptyku prawie autobiograficznym” o zabarwieniu politycznym:

„Przepuszczam namaszczoney esej jakiegoś pysznego gówniarza, który maluje przed naszymi oczami swój dramat jako artysty w minionym okresie, czyli przed Sierpniem 80. Nic w nim nie ma, w tym esej, ciekawego oprócz jakiejś niesamowitej pychy rozpieszczonej hybrydy [...]. A nasz pieśczochny snuje myśli głębsze i płytsze o tym jak pracował i jak musiał pracować w minionym okresie. Mówi półprawdy, bo prawdy nie dał powiedzieć reżym [...]. A żesz ty w półprawdę kopany” (*Wschody i zachody księżycy*, s. 49).

Ta inwektywa stała się zrozumiała jako wynik konfrontacji z doświadczeniem pokolenia wojennego, do którego Konwicki należał.

„Tryptyk trochę autobiograficzny” jest w sensie gatunku gawędowy ze względu na usytuowanie narratora – „naiwnego” w tym sensie, że jest on częścią środowiska, o którym opowiada, uczestniczy w nim, jest podobny do innych „ludzi pióra”, ma wspólne wady, wspólne poczucie bezradności, napady środowiskowej pychy, zwątpień w sens swojego działania. Teksty Konwickiego spełniają i inny wymóg konstrukcji gawędowej. Wypowiedź w pierwszym planie niejako zakłada wirtualnego odbiorcę – warszawskiego twórcę z kawiarni. Jest w tej postaci coś z atmosfery krakowskiego Zielonego Balonika: zapraszano gości, aby szokować inwektywami i obełgami, pobudzać ich trawienie. A jednak „tryptyk trochę autobiograficzny” ma swoje „drugie dno”. Jest gorzką lekcją pokory wobec różnych uzurpacji środowiskowych. Jest także wyrazem zwątpienia w samą literaturę, pytaniem o jej przyszłość. W czym tkwi wartość tryptyku? Nie w przywoływaniu i opisie środowiskowych ekscesów i plotek. Nie warto zbyt ufać relacjom Konwickiego, bo to tylko „półprawdy” i „półszczeroci”. Liczy się sama niezwykła umiejętność opowiadania. Od końca XX wieku zaczyna się w literaturze i filmie faza wojen gwiazdnych, nadfikcji, sztucznie wymyślanych fabuł wirtualnych, fantazy. To specyficzny produkt popkultury, nowa próba indoktrynacji świadomości zbiorowej. „Tryptyk autobiograficzny” Konwickiego, „półszczeroci” i „półprawdziwy”, jest wiarygodny przez trzymanie się ciągle granic realności. A umiejętność opowiadania, gawędowy styl, są wartością nie do podrobienia. Tylko Konwicki umiał tak opowiadać: pół ironiczny ton, poczucie humoru, środowiskowa plotka budują jakość jego gawęd.

Konwicki stale sprawdzał ślepe zaułki współczesnej literatury. Nie traktował swoich fabuł na prawach dziewiętnastowiecznego realizmu – wiernego odtwarzania świata. Przejmował techniki filmowej kreacji do budowania „sennego” nastroju swych tekstów lub do groteskowych deformacji obrazu świata – porażonego absurdem, zmieniającego się w koszmar. „Tryptyk trochę autobiograficzny”, jego charakter, ma swoje znaczenie w sprawdzaniu kondycji współczesnej literatury, która nieuchronnie zmierzała ku nadfikcjom, różnym odmianom zabaw i gier w układanie wirtualnej „rzeczywistości”, także stylizacyjnych imitacji języka, którym nikt nie mówi, co najwyżej szemrane towarzystwo małych grup i klik. Jest w tym także gwałt na świadomości zbiorowej, na polszczyźnie, nowa forma zniewolenia i podporządkowania. Konwicki w *Kalendarzu i klepsydze*, we *Wschodach i zachodach księżycy*, w *Nowym Świecie i okolicach* jest „ostatnim, co tak poloneza wodzi”. Bo styl, język, był zawsze najważniejszym, niezatartym jej znakiem. „Tryptyk trochę autobiograficzny” obok *Dziury w niebie*, *Senika współczesnego*, *Bohiny* należy do dzieł ważnych, zachowujących szlachetne wzorce literackiej polszczyzny z ekspresywnym wykorzystaniem jej odmian i mutacji, bez slangowych wtrętów, nachalnych zapożyczeń. Zatarciu ulegną frywolności tekstu, liczne aluzje do konkretnych osób, pozostanie uroda gawędowej narracji. Czy w tym ocaleje reszta dawnej literackości?

Konwicki był pisarzem, który wykształcił i zbudował własny styl. To niewielu współczesnym się udało. Taka odrębność jest trwałą wartością w sztuce.

STANISŁAW BURKOT

STANISŁAW STABRO

JANA PIESZCZACHOWICZA

SILVA RERUM

Chcąc pisać o Janie Pieszczachowiczu jako o krytyku, historyku literatury i publicyście wpisanym w pejzaż naszego miasta od schyłku lat pięćdziesiątych XX wieku, nie sposób pominąć najistotniejszych faktów z jego krakowskiego *curriculum vitae*, jak również z zakresu działalności pisarza na niwie społecznej i publicznej. Wpłynęły one bowiem w znacznym stopniu na kształt jego literackiej twórczości. Przyszły autor wielu książek historyczno- i krytycznoliterackich ukończył studia polonistyczne na UJ w 1963 roku. W latach 1964-1968 był asystentem w Katedrze Literatury Polskiej Instytutu Filologii Polskiej UJ oraz kierownikiem literackim Teatru 38. Jako historyk literatury i krytyk debiutował, będąc jeszcze studentem, w 1962 roku, na łamach „Tygodnika Powszechnego”, tekstem o B. Prusie i równolegle na łamach warszawskiej „Współczesności” artykułem o micie „październikowego” pokolenia, polemizując z Janem Błońskim jako autorem *Zmiany warty*. Następnie na łamach „Tygodnika Powszechnego” Pieszczachowicz przez trzy lata zamieszczał recenzje pod pseudonimem Jana Kuliga. W następnych latach współpracował, m. in. ze „Współczesnością”, „Twórczością”, „Nowymi Książkami”, „Życiem Literackim”, „Echem Krakowa”. Debiut książkowy pt. *Na widnokręgu historii* nastąpił stosunkowo późno, bo w 1988 roku. We wcześniejszym okresie, to znaczy od 1962 roku powstawały teksty, które weszły do późniejszych zbiorów krytyka.

Były one pisane w czasie wzmożonej aktywności ich autora na niwie kulturalnej i organizacyjnej, przede wszystkim na krakowskim gruncie. Wielostronność pasji i zainteresowań J. Pieszczachowicza praktycznymi aspektami kultury, była, z dzisiejszego punktu widzenia, imponująca. Ale z drugiej strony rzucała na recepcję historyczno-krytycznego dorobku pisarza, przysłaniając w jakimś stopniu tego rodzaju osiągnięcia. Jan Pieszczachowicz pracował przez rok, jako redaktor, w Wydawnictwie Literackim (tuż po studiach), aby po latach, w okresie 1976-1980 pełnić funkcję zastępcy redaktora naczelnego tej oficyny. Podobne obowiązki redaktora naczelnego pełnił w latach 1995-2004 w wydawnictwie Fogra. Wcześniej, w okresie 1969-1971 pracował w redakcji literatury i dramatu Telewizji Polskiej w Krakowie. Był kolejno założycielem, współzałożycielem, redaktorem, sekretarzem redakcji, zastępcą redaktora naczelnego oraz redaktorem naczelnym kilku krakowskich periodyków: „Studenta” w latach 1967 – 1978, „Pisma” powstałego w 1981 roku, a zlikwidowanego przez władze w r.1983. W doborowej redakcji tego periodyku na wysokim poziomie byli m.in., K. Filipowicz, H. Markiewicz, W. Szymborska. W „Przekroju” pełnił najpierw funkcję redaktora, a później zastępcy redaktora naczelnego (1985-1991). W okresie 1983-1991 uczestniczył w kolegiach redakcyjnych warszawskiej „Literatury”. Od 2004 roku jest redaktorem naczelnym.

nym miesięcznika „Kraków”. Pisarza nie ominęły także funkcje związkowe. W latach 1971-1990 był członkiem Związku Literatów Polskich. Najpierw, w okresie 1974-1976 wiceprezesem, a w latach 1976-1983 prezesem Oddziału Krakowskiego. Od 1976 do 1983 członkiem Zarządu Głównego ZLP. Spośród wielu nagród, których był laureatem należy koniecznie wymienić prestiżową, *stricte* literacką, istniejącą od 1980 roku Nagrodę im. Kazimierza Wyki oraz równie ważną Nagrodę Miasta Krakowa. Pierwszą z 1996, drugą z 2010 roku. J. Pieszczachowicz, juror wielu konkursów literackich, jest twórcą i przewodniczącym jury Krakowskiej Książki Miesiąca.

Przywołanie tych kontekstów było tutaj konieczne z tego względu, że kształtowały one w jakimś stopniu poglądy twórcy na literaturę. Na jej sposób istnienia w rzeczywistości, związany ze społeczną, a nie tylko z estetyczną funkcją sztuki. Tego rodzaju przeświadczenia będą bardzo widoczne w tekstach i w książkach tego autora *Na widnokręgu historii*, przyjmującego aktywną postawę wobec realiów nie tylko egzystencji i polityki. Podobnie jak i kulturowe aspekty literatury, sygnalizowane przez krytyka już w samych tytułach poszczególnych książek, składający się na jego imponujący, dotychczasowy dorobek: *Pegaz na rozdrożu. Szkice o poezji współczesnej* (1991), *Walka z niebytem. O poezji Haliny Poświatowskiej* (1992), *Koniec wieku. Szkice o literaturze* (1994), *Wygnanie w labiryncie XX wieku. Poetyckie rodowody z dwudziestolecia* (1994), *Smutek międzyepoki. Szkice o literaturze i kulturze* (2000), *Edward Stachura. Łagodny buntownik* (2005), *Stanisław Vincenz. Pisarz uniwersalnego dialogu* (2005), *Wirówka wartości. Szkice o literaturze i kulturze* (2007), *Ku wielkiej opowieści. O życiu i twórczości Kornela Filipowicza* (2010).

Niezależnie od szerokich zainteresowań autora głównym przedmiotem rozważań Pieszczachowicza była jak dotąd polska poezja i proza XX wieku. Tylko tytułem przykładu, gdyż charakterystyka całości krytycznego dorobku autora jest niemożliwa z braku miejsca, zauważmy, że tak było np. we wspomnianej tu książce *Wygnanie w labiryncie XX wieku*. Zawierała ona programowe szkice i eseje, dotyczące twórczości poetów przedwojennej awangardy, m.in. A. Sterna, A. Wata, J. Jasieńskiego, A. Ważyka, J. Brzękowskiego, J. Przybosia, J. Czechowicza. *Pegaz na rozdrożu*, zbiór recenzji, poświęcony był w zasadzie poezji powojennej, m.in. T. Różewicza, M. Białoszewskiego, W. Szymborskiej, ale także J. Harasymowicza, T. Śliwiaka, S. Grochowiaka z późniejszych twórców, np. A. Bursy, R. Wojaczka, E. Stachury. I znów tylko tytułem przykładu skonstatujemy, że szersze ujęcie problemów dotyczących konkretnych, literackich dzieł i kultury na przestrzeni wieków, także europejskiej, było przedmiotem nieco katastroficznej narracji *Końca wieku*. W książce tej autor starał się pogodzić standardy popularyzacji literatury i wiedzy zaczerpniętej z różnych źródeł, z estetyczną formą.

Kolejna, najnowsza książka J. Pieszczachowicza, zatytułowana *Pisarze i dzieła. Moje 70-lecie* jest pod wieloma względami dziełem nietypowym. Jak pisze sam autor w przedmowie z 2013 roku, trzy lata wcześniej obchodził 70-lecie urodzin i 50-lecie działalności publicznej. Tymczasem dzieło liczące 525 stron dru-

ku ujrzało światło dzienne ze znacznym opóźnieniem. W dodatku autor postanowił dedykować i poświęcić tę książkę, w postaci 52 literackich portretów poszczególnych twórców, przede wszystkim krakowskich, poprzedzonych w każdym wypadku krótszym lub dłuższym komentarzem autora, wyłącznie pisarkom i pisarzom umarłym. Jak podkreślił bowiem na wstępie, eksponując swoje rozumienie i stosunek do tradycji: „Nasze życiowe role i dokonania zawdzięczamy nie tylko osobistym talentom i możliwościom, ale także ludziom z jakimi się stykaliśmy. To nasi nauczyciele, przyjaciele i znajomi, w moim przypadku pisarze, którymi zajmowałem się jako krytyk, zmarli, z biegiem lat otaczający nas coraz ciasniejszym kręgiem, (...) Im dłużej żyję, tym bardziej jestem przekonany, że należy im się wierna pamięć, bo bez niej jesteśmy ubożsi”.

Idea ciągłości doświadczenia wspólnoty – eksponowana przez pisarza również w jego poprzednich zbiorach, dochodzi do głosu także w *Pisarzach i dziełach*. Chociażby w polemice z płytko pojmowanymi i rozumianymi przeświadczeniami postmodernistycznymi, fragmentaryzującymi obraz rzeczywistości. Pisarz, jak powiada, nie zamierza grzebać modernizmu. Wszak w swojej działalności krytycznej, jak podkreśla, popierał zjawiska nowatorskie, jednakże sensowne artystycznie i intelektualnie, nie przekreślające w ostateczny i bezwzględny sposób przeszłości. Nie dziwi zatem czytelnika, że nie waha się wejść w bezpośredni spór z aktualną rzeczywistością, podkreślając, iż jego książka powstała ze sprzeciwu wobec zapomnienia o przeszłości. Naturalnego lub tendencyjnie przyspieszonego w przypadku niektórych twórców z ubiegłej epoki, z powodów ideologicznych albo politycznych. Co w Polsce obecnej notorycznie się praktykuje, zwłaszcza jeżeli chodzi o „niestuszną” twórczość w „okresie PRL, na ogół bez oglądania się na jej rzeczywiste walory literackie i intelektualne”. Autor nie zgadza się na to, aby „skorygowaną” uproszczoną historię polskiej literatury współczesnej pisali admirałowie tzw. „polityki historycznej”.

Dzięki tego rodzaju widocznym w tekście założeniom wstępnym i dążeniom J. Pieszczachowicza do syntezy, jego najnowsza publikacja ma także charakter użytecznego kompendium, jeżeli chodzi o powojenne, XX-wieczne dzieje polskiej literatury i to pomimo tego, że zawiera teksty już znane, publikowane przez autora wcześniej, jak sam podkreślił, w „gazetach, czasopismach i książkach podczas wielu lat”. W recenzowanym tu zbiorze są one weryfikowane i przez ich twórcę i współczesnego czytelnika z obecnej perspektywy, z dobrym skutkiem. Najważniejsze bowiem ustalenia, analizy i interpretacje poszczególnych dzieł oraz biografii pisarzy, dokonywane przez krytyka, jego problematyzację, trafność rozpoznań szczegółowych – oparte są czasowi. A warto w tym momencie podkreślić, że najstarszy tekst pisarza w tym tomie to jego pierwsza, debiutancka rozprawka o zapomnianej pisarce Anieli Gruszeckiej, z 1959 roku pt. *Historyczna sielanka wielkopolska*, dedykowana przez autora Pamięci Kazimierza Wyki. Najnowsza to wspomnieniowy portret, artykuł zatytułowany *Dlaczego Jerzy Turowicz?* z 2013 roku.

W najnowszej książce J. Pieszczachowicza panuje żywioł genologicznej różnorodności. Klasyczne

teksty naukowe sąsiadują tu z esejami, recenzjami, artykułami, wspomnieniami, literackimi portretami, pożegnaniami umarłych pisarek i pisarzy (J. Pollakówny, H. Poświatowskiej, J. Salamon) i rzadziej, ze studiami. Do tego dochodzą zasygnalizowane już przeze mnie komentarze autora. Wymienione tu gatunki składają się na szczególną odmianę „*silva rerum*”, nieczęstą w tego typu publikacjach. Ostatni zbiór tekstów krytyka przypomina pod tym względem „dzieło otwarte”. Wyłania się z tej gatunkowej panoramy postać krytyka i historyka literatury, zainspirowanego w dużej mierze, jeżeli chodzi o typ zasadniczej narracji, przez krakowską szkołę krytyki spod znaku K. Wyki (J. Błoński, L. Flaszen, A. Kijowski, Wł. Maciąg, K. Puzyna). Wyczulonego w recepcji i badaniu literatury na jej genezę, perspektywę historyczną i konteksty społeczne. Preferującego w praktyce pisarskiej bez rezygnacji i różnorodności ujęć, teksty historyczno-literackie oraz głęboko analityczne. Erudyty nie gardzącego z jednej strony bardziej wysublimowanymi kryteriami krytyki genetycznej. Z drugiej strony badacza wchodzącego w rolę wytrawnego analityka żywiołów poetyckiej wyobraźni i obrazu poetyckiego poszczególnych twórców. Interpretatora zafascynowanego procedurami krytyki tematycznej i mitograficznej w wersji m.in., G. Bachelarda. Nieobce były też częste odwołania badacza przy okazji analiz poszczególnych utworów, do dyskursu filozofii nie tylko współczesnej. Np. do tradycji stoików, przede wszystkim do Seneki jako filozofa szczególnie ulubionego przez krytyka.

Mnogość utworów przypomnianych i interpretowanych w książce przez J. Pieszczachowicza uniemożliwia mi jednakże przedstawienie każdego z nich z osobna, w ramach tej recenzji. Poezja zajęła w zbiorze *Pisarze i dzieła* najwięcej miejsca. Ale z dwudziestu poetek i poetów, którym autor poświęcił swoją uwagę, mogę przywołać tylko niektórych będących bohaterami pogłębionych, obszerniejszych, analitycznych tekstów na temat ich poezji. Zmuszony jestem zachować przy tym kolejność, w jakiej twórcy ci pojawiają się w książce pisarza: Z. Herbert, J. Iwaszkiewicz, M. Jachimowicz, M. Jastrun, Cz. Miłosz, T. Nowak, B. Ożóg, M. Pawlikowska Jasnorzewska, W. Szymborska, T. Śliwiak, J. Twardowski, R. Wojacek. Ta sama reguła wyboru tylko niektórych twórców z grona osiemnastu prozaików dostrzeżonych przez krytyka musi obowiązywać mnie w dalszej kolejności. Chodzi o pisarstwo K. Filipowicza, A. Gołubiewa, G. Herlinga-Grudzińskiego, S. Lema, prozę S. Mrożka, T. Nowaka, Wł. Terleckiego oraz na zasadzie ważnego wyjątku, R. Kapuścińskiego jako twórcy właściwie nowego gatunku. Dzieła tych pisarzy autor często starał się ukazywać w nowej, pogłębionej perspektywie historycznej, społecznej i kulturowej oraz w kontekście zaskakującej czytelnika ich interpretacji. Sprzyjał temu również jego autentyczny polemiczny talent, objawiający się zresztą w całej twórczości J. Pieszczachowicza. Lansując, jak każdy krytyk, swoją wizję literatury równie pilnie analizował konkurencyjne strategie tego rodzaju. Stąd obecność w *Pisarzach i dziełach* trzeciego wątku zainteresowań historyka literatury w postaci znakomitych, analitycznych tekstów dotyczących kunsztu krytycznego

J. Błońskiego, J. Kwiatkowskiego, A. Sandauera, chociaż nie zawsze i nie we wszystkich nasz bohater zgadzał się ze swoimi adwersarzami.

Osobistym sentymentem autora są przesyczone literackie portrety reprezentantów krakowskiej inteligencji z kręgu humanistów i społeczników, uczonych i publicystów ze środowisk katolickich, z którymi krytyk współpracował przy różnych okazjach. Są to sylwetki np. T. Chrzanowskiego, twórcy takich dzieł jak m.in. *Sztuka w Polsce Piastów i Jagiellonów*, *Sztuka w Polsce od I do III Rzeczypospolitej*. J. Woźniakowskiego, w latach 1957-1959 redaktora naczelnego miesięcznika „Znak”, autora książki *Ze wspomnień szczęściarza*, intelektualisty i nauczyciela akademickiego, ważnego świadka pontyfikatu Jana Pawła II. To również wspomniana już tutaj przeze mnie *glossa* na temat J. Turowicza i zbiorowy portret środowiska dawnego „Tygodnika Powszechnego”. Na tym tle błyszczą również w książce J. Pieszczachowicza bardzo ważna dla środowisk twórczych postać ks. S. Musiała, kapłana niepokornego, gorącego orędownika dialogu polsko-żydowskiego. Autora bardzo ważnej książki z 2003 roku pt. *Czarne jest czarne*. Jubilat przypomina także zasługi i trudny życiorys innej bardzo ważnej współczesnej postaci w historii Krakowa, czyli twórcy cywilizacji „Przekroju” – M. Eilego. Ale w znaczący sposób wraca często w swojej „księdze umarłych” do dwóch przyjaciół, którzy w młodości i później w wieku dojrzałym autora wywarli nań doniosły wpływ. Do postaci i twórczości K. Filipowicza oraz do dziejów przyjaźni z przedwcześnie i tragicznie zmarłym M. Sprusińskim, postaciami na krakowskich salonach do pewnego stopnia legendarnymi. Wiele miejsca poświęca w tych wspomnieniach dziejom swojej przyjaźni z W. Szymborską.

I w ten sposób można by kontynuować ten panteon postaci w nieskończoność, bez żadnych szans na całkowite wyczerpanie tematu. Warto zatem na końcu tych rozważań podkreślić, że w przypadku autora *Pisarzy i dzieł* mamy do czynienia z osobowością i indywidualnością nietuzinkową, podejmującą z zapałem trud zróżnicowanych wyzwań z kręgu życia i z kręgu literatury. Z krytykiem, historykiem literatury, publicystą i polemistą dysponującym już niemałym, ugruntowanym, interesującym dorobkiem, którego „dukt”, jak ująłby to K. Wyka, jest we współczesnej literaturze osobny i rozpoznawalny. J. Pieszczachowicz to osoba również niezwykle zasłużona, jeżeli chodzi o konkretne inicjatywy nie tylko w środowisku twórczym i autorytet w dziedzinie rozwoju kultury, szczególnie na rodzimym gruncie. Tytuł tej recenzji można by odczytać także metaforycznie. W szerszej bowiem perspektywie krytyk, bohater naszej opowieści, ukształtowany przez wiele wpływów okazuje się dzisiaj arcykrakowską postacią. Podobnie jak większość bohaterów jego zbioru, którzy przeszli podobne doświadczenia i zostali ostatecznie uformowani przez *genius loci* królewskiego miasta. Jubileuszowa książka J. Pieszczachowicza nie jest więc zatem zamknięciem drogi, ale otwarciem się na nowe, jeszcze niezbadane, jeszcze nie przeżyte, jeszcze nie opisane nowe horyzonty. Nie tylko literatury.

STANISŁAW STABRO

Jan Pieszczachowicz, *Pisarze i dzieła. Moje 70-lecie*, Kraków 2014

ANDRZEJ PACUŁA

WIERSE

New York – 21 kwietnia 2006

jak ci to powiedzieć – nie raniąc
nie brudząc rąk

nie muszę żyć
ale umrzeć z twojego powodu
wstyd
nawet przed nikim

boję się twojego strachu
twojej przeszłości
kiedy mnie dotykasz
brzydnę

chciałam ci to powiedzieć
tutaj w Nowym Jorku
– tu jest łatwiej
nikt tu nie jest u siebie

puszczasz mnie przodem
i już wiem że w windzie
klepniesz mnie
i sykniesz
trzymasz się mała

faktycznie
trzymam się

Warszawa – stolica miasta

miasto ożywa
kiedy przybywa pisarz głowacki
z brodwayu przywozi
sardoniczny uśmiech i kwiaty
po premierze *czwartej siostry*

idzie przez plac zamkowy
z piękną kobietą – późna noc
ona na czarno – on na czarno

i światowy format pisarza
idealnie pasuje do formatu
i czaru kobiety

a wokoło pustka
miasto pełne drwiny
i gorzkiej mądrości
jak upadły anioł
na biurkach rządowych
trzyma się pionowo
spadając poziomo
– jak mawiał różewicz

miasto bez imienia
ludzie tu przechodni
na ziemi niczyjej
pod kamieniem
nieba

nic tu nie ma swojego miejsca
prócz cmentarzy

Słów pierwszych mistrzowie

w zielonych oazach na ziarenkach piasku
zapisali wieści o początku światów

żeglowali drogi w labiryncie morza
bieg planet czytali z lotu albatrosa

na bezludnych wyspach zakładali miasta
królestwa bez granic na miedzianych mapach

nie żegnali psalmem idących na wojny
nie ufali bogom stworzonym przez Mojry

nie mają już grobów świętyń ani pieśni
niemi są i głusi mistrzowie słów pierwszych

Wielcy - kiedy śmieszni

dyrygują morzem jak *tadeusz kantor*
przesypują popiół w klepsydze teatru

kreślą lot jaskółki w księdze świętych zwojów
jak *kiyoshi awazu* kaligraf pokoju

wznoszą toast winem z domieszką cykuty
tańczą *święto wiosny* w czasie wielkiej smuty

łowią gwiazdozbiory nad stawem *hampsteadzkim*
baldachim kosmosu suszą na zapiecku

patrzają ironicznie w oko opatrzości
zagryzają czosnkiem smak *jądra ciemności*

Notatki podróże

Gdańsk

Czy zapisać gorzki dzień odkrycia ciała w zabawie
dziecięcej? Strach pierwszej spowiedzi? Skowyt
gdańskich kobiet, gwałconych na mrozie, w theatrum
Memlinga, pod dachem z bursztynu? Czy spojrzenie
mamy, w mętym szkle kroplówki rachującej krople
żółtawego płynu? Wołania o pomoc nie słysząc, nie
pragnąc?

Kraków

Czy spisać wyznanie mędrca nad mędrkami,*
Powiedziane lekko: *ja przegrałem życie*. Nie tłumaczył
słowem, gestem, ani snami, czemu zgłosił fiasko
autobiograficzne? Był świadkiem konfesji tłum badaczy
gestów, był i dominikan: o! nadziejo, łasko! Był mistrz
retoryki,
coś mówił w milczeniu, a starzec powtarzał uparcie:
przegrałem - i stukał szklaną laską w uniwerku parkiet.

Bombaj

Czy zapisać chwilę, gdy reporter świata obserwuje
nędzarzy w metropolii śmieci? Zapisuje fakty, śmieci,
psy i krople deszczu. Czy raczej pytanie rozważyć:
coż prawdą? Spisaną w kronikach imperium, na czołach
z marmuru, w pieśni Dionizosa, w modlitwach tyranów
na stopniach ołtarzy? Czy w twarzy tej drobnej, indyjskiej
kobiety, zbierającej z ulic resztki ciał zdrożonych?

Famagusta

Świt nad siwym morzem, fala wsiąka w piasek. Nie-
widomy rybak, z widocznym zachwytem nasłuchuje
wiatru,
trzasku rybich łusek, schnących na dnie łodzi, krzyku
mew i śpiewu wracających z morza. W palcach, ziarn-
ko piasku
przesuwa i szepcze: *jesteśmy tu sami, nic nas nie
wyjaśnia,*
ani to że wiemy, ani że byliśmy...

* * *

W październiku 2008 r. na spotkaniu z cyklu „Dorwać
Mistrza”, zorganizowanym przez wydawnictwo „Znak”
w Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego
– przed publicznością w liczbie grubo ponad tysiąc
osób wystąpił Leszek Kołakowski. „Wystąpił” – jest
akuratnym określeniem, ponieważ filozof właściwie
nie wygłosił wykładu, a raczej siedział, był, i z rzadka
odpowiadał na pytania prowadzących spotkanie, któ-
rzy obficie perorowali na temat planety
„Kołakowski”. W pewnej chwili, w trakcie kolejnej pe-
rory mistrzów ceremonii filozof, jakby mimochodem,
powiedział: „ale ja przegrałem swoje życie”. Po chwili,
czy to samego siebie utwierdzając w wypowiedzianych
słowach, czy może dla słuchaczy, powtórzył: „przegra-
łem swoje życie”. Prowadzący usiłowali interpretować:
co też filozof miał na myśli?
Auditorium Maximum –milczało.

Niedziela

w obłoku zapra bluzki sowanej
w plisie spódnicy w spodniach na kancie

w samo umyłym chodzie bez zmayı
w kadzidle perfum w na tacy składce

w pomi talerzu dorowej zupy
w ćwikle i w pikle w schabie kapusty

w papu wypchanej pudze w kossaku
w kieł grillu basy w tom złota baku

pół na pół wiedząc leżąc i siedząc
przyjemnie mając niechętnie będąc

JACEK WOJCIECHOWSKI

POWŚCIAĞLIWOŚĆ. OSTROŻNOŚĆ. UMIAR

W Rosji nie wszystko jest literalnie takie jak wszędzie, nawet jeżeli tak wygląda. Wieki na uboczu, albo nawet w izolacji, zostawiły ślad. Mówiąc więc niby to samo, niby o tym samym, bywa że wzajemnie mamy na myśli coś trochę lub całkowicie innego. Dlatego nieraz trudno się porozumieć.

Także w obszarze literatury. Tamtejsza proza, taka jak w całej Europie, a niekiedy lepsza, chętnie za granicą czytana, w kraju pełni trochę inną rolę: jest inaczej interpretowana i służy niekoniecznie temu samemu. Siłą mianowicie wielowiekowej tradycji przywiązała się koncepcyjnie oraz ilustracyjnie do tamtejszej rzeczywistości i serwuje opinie o niej w sposób mało lub średnio zmetaforyzowany, a wobec tego bywało i bywa, że wymuszony i nakierowany.

Takich, prawie reportażowych, bezpośrednich relacji w światowym pisarstwie jest zdecydowanie mniej. Może więc z tego bierze się to wzmożone zagraniczne wzięcie? Żeby z powieści, a więc w formie mimo wszystko literackiej, dowiedzieć się *jak tam jest*. Bo dla Zachodu to *tam* załatuje egzotyka.

Ale wszystko ma swoją cenę. Wtłaczanie literatury w opisywactwo, nawet jeśli zmetaforyzowane – do czego w ogóle nadaje się mniej, niż średnio – skutkuje zazwyczaj mizerią choćby i w wykonaniu najlepszych. Tak to już jest. A z drugiej strony, niedobór wesołych barw i radości, nieuchronny w tak urealnionych wizerunkach, może wywoływać pomruki niezadowolenia: władz i (tym samym) recenzentów oraz publiczności. Bo chociaż współczesne oddziaływanie literatury ma się nijak do potęgi mediów, to jednak kompletne spuszczenie piszących ze smyczy nie było tam nigdy i nie musi być teraz w zwyczaju. A nawet nie ma pewności, że repertuar reakcji na samych pomrukach się kończy.

W tych warunkach to podświadomość (jak dawniej) podpowiada relacyjne umiarkowanie, zwiększoną powściągliwość w opiniach i znacznie ostrożniejszą metaforyzację wypowiedzi. I to trochę widać. W Polsce tłumaczymy z tamtejszej bieżącej prozy daleko nie wszystko, ale wybór pada zwykle na teksty co lepsze i możliwie charakterystyczne. Otóż stosunkowo świeży rejestr przekładów, wprawdzie różnorodny, sygnalizuje akurat umiarkowanie jako wykładnię wspólną.

ZEZEM

Wiktor Jerofiejew, *AKIMUDY*, przeł. Michał B. Jagiełło, Czytelnik, Warszawa 2014.

Dimtry Glukhovsky, *WITAJCIE W ROSJI*, przeł. Paweł Podmiotko, „Insignis Media”, Kraków 2014.

Umiar jest bezcenny, jeżeli prowadzi ku opiniom rozsądnym, gorzej natomiast, kiedy żeni się z unikiem. Chciałbym się mylić, lecz dostrzegam raczej ten drugi wariant, niż pierwszy. To tak, jakby dokładne spojrzenie ustąpiło miejsca zerkaniu zezem.

Takie właśnie odniosłem wrażenie, czytając wydaną u nas niedawno powieść *Akimudy* WIKTORA JEROFIEJEW (ur. 1947) – to ktoś inny niż nieżyjący już i spokrewniony z nim Wieniedikt Jerofiejew – której sceniczną przeróbkę wystawia od jesieni 2014 r. łódzki Teatr Nowy. Jerofiejew (także profesor literaturoznawstwa) to autor chętnie u nas wydawany i charakteryzujący się opiniami racjonalnymi. Nawet jeżeli nie stronił od wypowiedzi ostrych i śmiałych, to zwykle z bardzo dobrym uzasadnieniem i zmierzał ku roztropnym wnioskom. Natomiast w tej właśnie najnowszej powieści dotychczasowa klarowność intencji oraz argumentów uległa niejakiemu zamazaniu.

Częściowo – ale tylko częściowo – przyczyna ma charakter *gatunkowy*. Jerofiejew mianowicie świetnie radzi sobie z formą szkicu oraz eseju, jest doskonałym felietonistą, natomiast w powieściopisarstwie wypada gorzej, tym razem zaś chyba najgorzej. Poszatkowane nadmierne wątki fabularne, częsta a kiepsko uzasadniona zmiana narratorów, surrealistyczne wtręty oraz niewyszukane dowcipy tworzą razem mętlik, strukturalny chaos, a miejscami relacje są po prostu nudne. Poza tym uznanemu i niemiłodemu już autorowi nie bardzo przystoją nadmierne wulgaryzmy i mało subtelne sekwencje erotyczne, przejęte z repertuaru młodej literackiej awangardy.

To znaczy: powieść bez wątpienia warto przeczytać – jest intrygująca i fragmentami ciekawa. Ale są też miejsca puste i rozgadane dłużyzny, bo to w sumie jednak ponad 400 stron.

Główna sekwencja fabularna (różnych innych wątków jest sporo) przedstawia się tak, że oto kraj (archipelag? wyspa?) o nazwie Akimudy, z wykorzystaniem żywych trupów, dokonuje zdradziecko inwazji na Rosję i opanowuje ją w ciągu 3 dni. A czy to jest kpina z obronnych zdolności kraju, czy też raczej odwrócenie szeroko znanych okoliczności, niechaj każdy osądzi sam.

Wysłannik szefa Akimudów (nazywanego *Zbawicielem*) przejmuje władzę w stolicy i Moskwę zalewają przyjezdne zombie oraz miejscowe żywe trupy z przeszłości, mieszając się masowo ze stołeczną ludnością. Częściowo przyjaźnie, ale czasem nie, bo eksniebosz-

czyści są chętni, żeby odzyskać swoje dawne mieszkania, a także posady. Najważniejsze jednak jest to, że zmiana władzy nie zmienia praktyki: nowy ład nie różni się od ładu starego. I taki defetyzm zdaje się przepełniać autorskie intencje.

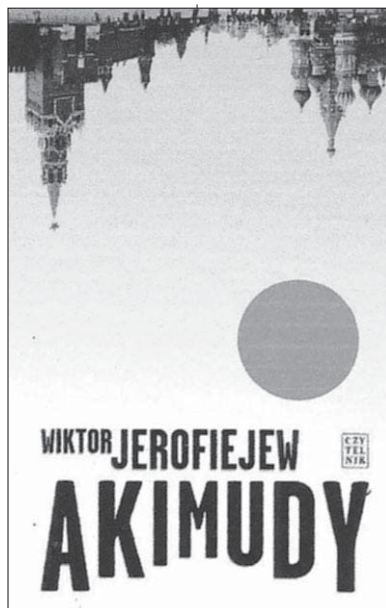
Nastąpiło zatem zwycięstwo martwych nad żywymi, przeszłości nad przyszłością. A flirt z liberalizmem, raz zarzucony, nie został już reanimowany. Przeciwnie: uprzednie sfajczenie reform i karykatura demokracji, wygenerowało tendencje faszystowskie, narastające również w bieżących okolicznościach. Ten minorowy nastrój symbolizuje odrębny wtręt fabularny – wykrzywiona panorama dziejów Moskwy jako metafora losów całej Rosji. Otóż jedyne zmiany polegają na tym, że kolejki do sklepów ustąpiły (nie do końca) miejsca korkom na jezdniach, a zamiast kradzieży wycieraczek kradnie się teraz całe samochody.

Zatem mimo zmian jest tak jak dawniej: archaicznie. Ubikacje bez sedesów, tłumy przed sklepami oraz mordobicia i pijatki na każdym kroku. W dodatku co najmniej połowa ludności nadal adoruje Stalina. Wobec tego jaki może być model funkcjonowania kraju, jeśli nie totalitarny? Jednak na wszelki wypadek totalitaryzm kojarzy autor z ... Iranem. I puszcza oko do czytelników: kto chce niech wierzy.

Ponadto jest wiele opinii sformułowanych wprost, poza główną eksplikacją i na tym polega ich sztuczność. No bo to ma być jednak powieść literacka! Powiada otóż Jerofiejew, że w Rosji nic nie funkcjonuje poprawnie, a istotę tamtejszej organizacji ogólnosystemowej wyznaczają zakazy. Oraz że Rosja nie potrafi istnieć bez konfliktów – co akurat potwierdza się w rzeczywistości – ale o powodach, dlaczego ewentualnie tak jest, nie ma ani słowa. Na to zaś nakłada się uogólniona supozycja, że Rosja może pochwalić się świetnym dorobkiem kulturalnym, natomiast miała i ma zniechęcające struktury państwa oraz władzy.

Jakkolwiek do wypowiedzi o kulturze dodaje autor trochę cykuty, bo twierdzi, że Rosję zdradziła rosyjska inteligencja, myślę że w tym nie ma racji. Po pierwsze dlatego, że w tamtejszej strukturze społecznej prawdziwa inteligencja zawsze stanowiła – i nadal tak jest – znikomy odsetek, bez realnego wpływu na rzeczywistość. Tak naprawdę rząd dusz i umysłów nigdy nie należał do Tołstoja ani do Sołżenicyna; swoją drogą, nie jestem pewien, czy to naprawdę tak źle. Po drugie zaś, została dramatycznie przetrzebiona przez dwie wojny światowe, wojnę domową i emigrację, przez represyjne przedsięwzięcia (owszem – inteligentów) Lenina, Dzierżyńskiego, Krupskiej i Łunaczarskiego, zaś dzieło tej eksterminacji ostatecznie sfinalizował Stalin. W tych okolicznościach zarzuty są bezzasadne.

Jeśli zaś spojrzeć na tę powieść z szerszej perspektywy, to i polityczne żarty autora, zwłaszcza odnoszone do generalissimusa, wydają się nietrafione oraz mało śmieszne. Oto bowiem Stalin grając w siatkówkę (miał niesprawną rękę) zaklina się, że zawsze przestrzegał



reguł Ewangelii. Czy to ma być aluzja do jego studiów w seminarium duchownym? A w innym miejscu Jerofiejew dowcipkuje, że na polski samolot prezydencki, zmierzający do Smoleńska, mgłą nasłał właśnie Stalin. Trochę to odległe od dobrego smaku.

Tak jak i autorskie nawiązanie do własnego ojca. Jerofiejew starszy (początkowo ambasador w Paryżu) był w ZSRR dygnitarzem wysokiej rangi oraz pupilem i osobistym tłumaczem Stalina; później miał nawet zostać ministrem spraw zagranicznych. Kiedy jednak na dorastającego syna spadły polityczne represje, nie wyrzekł się go – jak było w zwyczaju – przedkładając rolę ojca nad urzędniczą karierę. Zasłużył więc przynajmniej na to, żeby go teraz pozostawić w spokoju.

Opinie o tej powieści Jerofiejewa są wprawdzie pochlebne, lecz jednak zdawkowe: tak jakby ukrywały rozczarowanie. Świadczy o tym także nadmiernie skupiona uwaga opiniodawców na samym tytule – co właściwie znaczy? Jedni twierdzą, że to parafraza zwrotu *kuda my?*, inni, że pochodzi od określenia *mudak* czyli duppek. Natomiast sam autor, będąc w Polsce opowiadał, że to refleks frazy *muki ada*, a więc mąk piekielnych. Ale to jest kwestia trzeciorzędna.

Bardziej otwarcie, lecz za to sztampowo i płytko, czyli również *zezem*, przygląda się krytycznie rosyjskiej rzeczywistości prawie dwukrotnie młodszy prozaik z Moskwy DMITRIJ GŁUCHOWSKI (ur. 1979). Nawiasem mówiąc, nie wiadomo co za idiota wprowadził w Polsce amerykański zapis nazwiska *Glukhovsky* – i tak już zostało. A to autor szeroko znany nie tylko w Rosji, lecz również na świecie i u nas też. Dobrze byłoby wiedzieć zatem, jak nazywa się naprawdę.

Jest dziennikarzem oraz blogerem, występuje w różnych mediach i w prasie, był frontowym korespondentem w Izraelu oraz w Abchazji, a rozgłos światowy zdobył powieściami *Metro 2033* oraz *Metro 2034*, które funkcjonują również w formie ebooków, jak też gier komputerowych. Interesujące było powstanie pierwszej z tych powieści: jej fragmenty autor zamieścił najpierw w internecie, a następnie uwagi oraz sugestie internautów wykorzystał w wersji ostatecznej.

Jednak teksty późniejsze, tak jak sygnalizowany tu tom opowiadań, są wyraźnie słabsze. Z całą pewnością Głuchowski pisze zbyt dużo, za szybko i angażuje się w nadmiernie liczne przedsięwzięcia, a to na jakości produktów odbija się źle.

W opiniach wyrażanych bezpośrednio, w wywiadach, zwłaszcza zagranicznych, jest ostry. Publicznie twierdzi, że Rosjanie tęsknią za ZSRR i chcą jednocześnie, żeby bano się ich oraz szanowano, a ciągoty nacjonalistyczne są oczywiste. Uważa, że na tym rozbiły gwiazda Putina i na tym też trzyma się jego nieprzewidywalna polityka. W rezultacie potwierdza się też (ale może nie?) supozycja niektórych filozofów, że Rosja jest zbyt duża na demokrację i z natury rzeczy wymaga silnej władzy centralnej. A jednocześnie

– powiada Głuchowski – co młodszy Rosjanie chętnie wybraliby normalność oraz godne życie. Ale to są autorskie opinie czysto spekulatywne i w dodatku deklaratywne. W wypowiedzi literackiej przetwarza je mało zręcznie i mnoży stereotypy oraz diagnozy bardzo powierzchowne.

Opowiadania z tomu *Witajcie w Rosji* są w dodatku bardzo nierówne. Przeważa jednowymiarowa publicystyka, nieco zbyt trywialna i płaska. W pozornej faktografii dominuje przerysowana groteska i powtarzają się podobne obrazki: pijaństwo, korupcja, zdegenerowana władza rozmaitych szczebli. No dobrze, ale co z tego? System wszak nie chyli się ku upadkowi, władze wcale nie są takie durne i w ogóle wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane. Odnoszę wrażenie, że na refleksję pogłębioną autorowi najzwyczajniej zabrakło czasu. Postanowił więc pisać na skróty.

Zdecydowanie najlepsza jest finałowa pół-bajka o małej społeczności wioskowej, prawie całkowicie odizolowanej od świata, zwłaszcza odkąd przestał funkcjonować jedyny tam telewizor. Ewentualną łączność zewnętrzną zapewnia postaniec dowożący niektórym co jakiś czas ich spóźnione emerytury. Otóż, kiedy zjawia się nareszcie i przekazuje również wiadomość o jądrowej zagładzie znacznej części globu, na miejscowych nie robi to najmniejszego wrażenia, są bowiem osobni. Tak jak cała Rosja?

Z kolei w nowelce inauguracyjnej Gazprom zabrania profesorowi geologii dokopania się do piekła – a był już blisko – bo obowiązuje umowa z diabłami na wydobycie gazu i popsuć interesu nie wolno. Uczony zmienia wobec tego specjalność na astronomię, dla odmiany zajmie się niebem. Z kolei inny uczony, w jednym z dalszych opowiadań otrzymuje polecenie stworzenia silikonowego mózgu – do powszechnych transplantacji. Dzięki temu bez trudu da się kontrolować umysły.

Są też nowelki jeszcze bardziej, bo bezpośrednio, polityczne. Podczas nadmorskich wakacji Pierwszy oraz Drugi (Miedwiediew z Putinem) zagrożeni przez rekina zapewniają się obopólnie o wzajemnej lojalności, zaś ludojadowi na przekąskę zostawiają ochroniarza. Ale bywa i mniej krwawo. Sfrustrowany minister – jak w socrealistycznym eposie – odzyskuje wigor po spotkaniu w lesie z prostodusznym drwalem. A zaś równie prostoduszny oficer milicji wychwyciwszy łapówkarzy na gorącym uczynku puszcza ich wolno, bo to są kosmici ciutający na naprawę kosmicznego statku. Do polityki więc został dokooptowany obiegowy archetyp ludowych wartości – prostoduszny znaczy modelowy – w przeźrzedniackiej formie. Nie powiem, żeby wyszukanej.

Nie obeszło się też bez odniesienia do praktyki świetnie autorowi znanych mediów. Ktoś mianowicie wymyśla ratunek dla tracącej oglądalność dyskusyjnej audycji politycznej: trzeba otóż zmienić tytuł i anturaż z *Pojedyńku na Mordobicie*, traktując zresztą nowy tytuł literalnie. A znowu telewizyjny reporter nie może zrealizować wywiadu z kosmitą, bo ze wszystkich kamer we wszystkich



stacjach, na żywo, w tym samym czasie, lecą dyrdymały wygłaszane przez dygnitarzy. I chociaż ta ostatnia przypowieść ma swój smaczek, w sumie w tych prześmieszkach i w złośliwościach pod adresem codzienności rosyjskiej brakuje głębszego zamysłu i kreatywnego pobudzenia refleksji.

Pozostałe opowiadania są jeszcze słabsze. Stereotypowy wątek rosyjskiego opilstwa sygnalizuje *pomysł* dodawania do wódki specjalnych nanorobotów – żeby przenikały do umysłów narodu – oraz opowieść o wyrzucanych z kosmicznego statku (za okno?) powódczanych butelek, razem zresztą ze zużyтыми prezerwatywami, bo załoga trafiła się koedukacyjna. W kosmos mieli poza tym uciekać prezydent kraju oraz patriarcha Moskwy, nadlatywał bowiem i zagrażał olbrzymi asteroid, a za rakiety posłużyły im... cerkiewne wieże. Jest również w tomie nieklarowny bełkot na temat sfałszowanych wyborów oraz niezborna *relacja* z erotycznych ekscesów prowincjonalnego gubernatora w Paryżu. No i jeszcze propozycja, żeby Dzień Zwycięstwa uczcić pokolorowaniem serialu *Siedemnaście mgieł wiosny*. Miało być zapewne kąśliwie i śmiesznie, lecz wyszło mizernie.

A już całkowicie w złym guście jest opowieść o ginących na moskiewskich budowach tadżyckich robotnikach, którzy są potem potajemnie *parcelowani* na organy do transplantacji. Ani to faktografia, ani metafora. Szkoda dobrego prozaika na takie pisarskie badziewie.

STAN ZAWIESZENIA

Wiktor Pielewin, *NAPÓJ ANANASOWY DLA PIĘKNEJ DAMY*, przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk, WAB, Warszawa 2013.

Wiktor Pielewin, *BATMAN APOLLO*, przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014.

W wielobarwnej metaforze, w surrealistycznych i abstrakcyjnych dekoracjach oraz wśród politycznych i społecznych komentarzy zawsze z polotem nurzał się i doskonale na tym wychodził najlepszy współczesny prozaik rosyjski WIKTOR PIELEWIN (ur. 1962). Bo też metafory były klarowne i zręczne, fabuły również, mimo że wymyślne i powikłane, a to co miał do zasugerowania, opierało się na dopracowanych przemyśleniach. Także literacko jego powieści prezentowały się świetnie budząc wielkie zainteresowanie na świecie, a również (choć jednak ograniczone, jak to dla ruszczyzny) w Polsce.

Użyłem czasu przeszłego, ponieważ jego najświeższe powieści nie są już tak znakomite i entuzjastyczne o nich opinie (a jest ich sporo) pojawiają się na wyrost – na nazwisko. I wprawdzie ten samorodny filozof, a z wykształcenia inżynier (pracował nawet przy budowie myśliwców MIG), wciąż bardzo sprawnie radzi sobie z prozą literacką, jednakże wygląda na to, że dawna werwa nieco przygasła.

Coraz bardziej bowiem ucieka w przekombinowane i pokrętnie wątki fabularne, od refleksji nierzadko wyługu-

je się dowcipami, a wśród odniesień obyczajowych i politycznych, przedtem bardzo pomysłowych i mądrych, więcej jest teraz jednozdaniowych sekwencji publicystycznych; są po-niekąd wyrzucone na zewnątrz, poza obszar wypowiedzi ściśle literackich. Charakterystyczne też, że uciły pretensje pod jego adresem, dawniej formułowane dość ostro przez po-putinowskie młodzieżówki, bo może mniej drażni – chociaż akurat powieść ostatnia może znowu proprezydencką klakę sprowokować do pokrzykiwań.

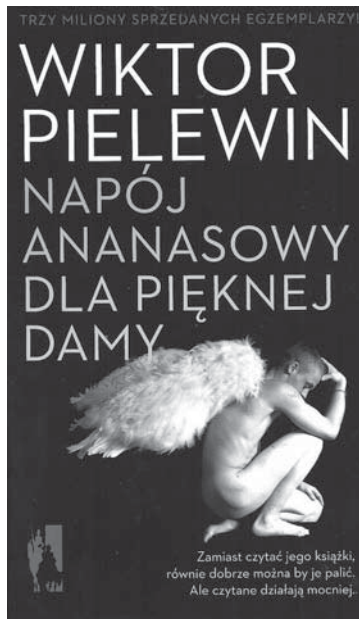
Rzuca się w oczy pewna cieka-wostka akcesoryjna. Otóż Jerofiejew w fabularnym sztafażu posłużył się zombie – żywymi trupami, natomiast Pielewin drugą z powieści zaludnił armią wampirów. Czyżby w Rosji zaczęła nawalać stomatologia? W tradycyjnych tam bajkach ludo-wych sporo jest wprawdzie stworów dziwnych, ale z zupełnie innej rodziny. Tym mógłby patronować Michael Jackson. A swoją drogą, we wszystkich tego rodzaju ujęciach świat nie prezentuje się przyjaźnie.

Powieść wcześniejsza, *Napój ananasowy dla pięknej damy*, główne zalety Pielewinowego pisarstwa jeszcze zachowuje. To jest *political fiction*, chociaż z porozsypanych fabułami oraz z tonacją absurdu (nie każdy to lubi), doprowadzona do formuły gry, a w każdym razie zabawy (niekoniecznie wesołej), chociaż nie brakuje też sekwencji refleksyjnych ani przyprawio-nej piotunem ironii. Nie jest łatwo pisać w ten sposób, ale Pielewin potrafi, z kolei zaś czyta się to wszystko doskonale i płynnie, mimo że optymizmu nie ma tam nawet w wymiarze śladowym.

Za to nagromadzenie niebywałych fabuł mocno wbija w fotel. Ale z drugiej strony, trochę za dużo (jak na mój gust) jest tam niewyszukanego dowcipkowania oraz najrozmaitszych przedrzeźnień, nie zawsze czy-telnych. W ogóle chyba zbyt wiele jest aluzji i powtó-rzeń (z autorskich tekstów dawniejszych), a znowu za mało nawiązań racjonalnych i kreatywnych, chociaż można uznać, że wzajemne proporcje nie rażą. Gorzej, kiedy autor bierze się za roztrząsania filozoficzne – są mętne, naciągane i niezbyt odkrywcze, to nie jest moc-na strona tej powieści.

Wątek naczelny kręci się wokół pomysłu instalo-wania tajnych nadajników/odbiorników głosowych w... zębach różnych decydentów. Funkcjonuje taki w zębie prezydenta Busha i głos imitowany na boski (lecz na-śladowujący sławnego spikera radiowego z okresu woj-ny, Lewitana) wdaje się z amerykańskim przywódcą w dyskusję. Oczywiście stoi za tym rosyjski wywiad. Kiedy zaś po wyborach następuje w USA prezydencka zmiana warty, chłopcy-agenci w ten sam sposób ma-nipulują politykami rosyjskimi. Krążą nawet opinie, że identycznie robiono wodę z mózgu Stalinowi. Jednak wszystko ma swój koniec: ostatecznie agenci zwiążą szpiegowski interes, a głównego wykonawcę całego przedsięwzięcia przekazują stronie przeciwnej.

Na zbliżonych zasadach przebiegają inne przed-sięwzięcia wywiadowcze, a także zmagania propagan-



dowo-narkotykowe, w Azji zaś toczy się wojna, w której Amerykanie używają dro-nów. Odszukany przez rosyjski wywiad samorodny geniusz radzi sobie świetnie z likwidacją dronów i Amerykanów też. Do czasu, kiedy (identycznie) niezainte-resowani już zleceniodawcy oddadzą go w ręce przeciwników.

To są oczywiście fabularne dyrdyma-ty, ale zamierzone. Pielewin chętnie wda-je się w takie wydumane pół-nonsensy, żeby wyrazić to, co ma do powiedzenia, a przy okazji pokazuje czytelnikom ję-zyk snując m.in. fantasmagorie, w któ-rych anioł zamienia się rolą z diabłem. Jednoznacznie natomiast wykpiwa mit wszechpotężnego (rzekomo) wywiadu sowieckiego i rosyjskiego oraz sprowa-dza do absurdu niespójną rosyjską polity-kę międzynarodową. Tyle że metaforyka nie jest tym razem wymyślna, a i głębia konkluzji nie powala. Być może dlatego

autor (który o tym z pewnością wie) tak chętnie wplata w narrację żarty oraz bon moty – rozmaitej jakości.

W gabinecie szefa wywiadu zawiesza więc foto-grafię Dzierżyńskiego z tenisową rakieta w ręku. Para przywódcza to u niego *Miedwiedput*, a rosyjski system niby demokratycznej władzy nazywa (nie bez racji?) ru-rociagowym. Dodając do tego nieco szaloną opinię, że dobrobyt Zachodu wygenerował się w reakcji na ZSRR, zatem odkąd zabrakło Związku Radzieckiego, cywiliza-cję zachodnią czeka powrót do jaskiń. Spróbujmy przy-jąć, że to jednak nieprawda.

Natomiast pomysłowa i dająca do myślenia wyda-je się lapidarna przypowieść, jak to rosyjski chłop, mieszkający w drewnianej chałupie z nieogrzewanym wychodkiem, pewnego dnia wkręcił u sufitu żarówkę (Lenin = władza rad + elektryfikacja), następnie zaś z powodzeniem wybrał się w kosmos. Ale kiedy wrócił, w wychodku tyłek zamarzał mu po dawnemu. Nie tylko w Ojmiakonie.

Powieść późniejsza *Batman Apollo*, chociaż przy-staje do znanej dobrze Pielewinowej stylistyki, wydaje się słabsza: jest w niej po prostu mniej oryginalnych treści do przekazania, a eksplikacje literackie znacznie częściej zmieniają się w publicystyczne.

Poza wszystkim powieść jest przydługa. Za dużo w niej zdobniczych detali i składników konstrukcji fik-cjonalnych, a przeniesienia do realności są albo zbyt uproszczone, albo z kolei mało klarowne. Są ponadto nawiązania do jednej z dawniejszych autorskich powie-ści, *Empire V*, ale wychwyci to mało kto, więc raczej chybione i nie wynika z tego nic. W sumie to jest trochę taka niby nowa baśń, imitująca konwencję *sf*, ale tak jakby nic do końca nie zostało w niej dopowiedziane.

Oto więc jest portret świata, w którym na wszyst-kich szczeblach zarządzania władza należy do wam-pirów – skądinąd podobnych do zombie, jakimi straszy czytelników Jerofiejew. Wprawdzie potrafią wzajemnie zwalczać się, podkładać sobie świnię, konkurować lub reinkarnować, ale mechanizmy utrzymania się na stołkach opanowali perfekcyjnie. Wiedzą zwłaszcza, że ludziom nie można pozostawiać zbyt dużo swobody, smycz musi być krótka, jednocześnie zaś umieją

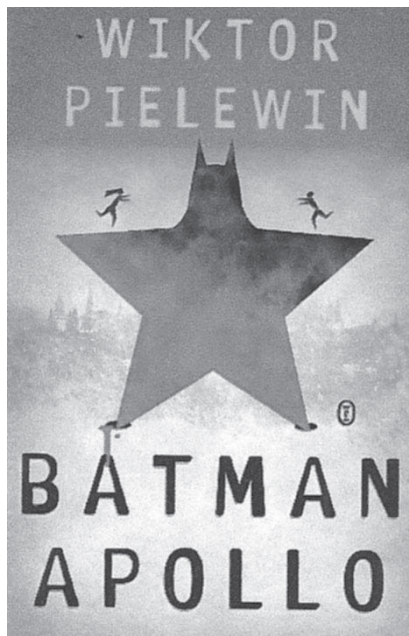
robić im wodę z mózgu – korzystając z narzędzi internetowych i z całego repertuaru medialnego (nazywa się to infopaszą), w którym dominują przebogate formy udawania, oszustwa. I na takim fundamencie tworzy się wampiryczne centrum panowania nad światem, taki współczesny politolimp, z adaptacją starych mitów i legend na użytek potrzeb bieżących. Publika to kupi. A cała opowieść konkretyzuje koncepcję *nowej baśni*, która prześladuje Pielewina od dłuższego czasu.

Batman więc to przemodelowany Apollo. Żeby nikogo nie urazić, jest hermafrodytą, a jednocześnie postępowym marksistą. Dlatego wszyscy go kochają. Z kolei Dracula, mimo że złej sławy, przeszłość ma ewidentnie dysydencką, toteż i on dałby się lubić. Tak przebudowuje się mity: żeby przemawiały do serc. Lecz w tym samym celu trzeba jeszcze przetworzyć religie, ludziom wszak szczególnie bliskie, bo łągoda obawy przed śmiercią, no i wobec tego odwracają uwagę w niepożądanym kierunku. Zatem wampiryczne władze kreują też nowe wersje politreligii, zapobiegając w ten sposób niesubordynacji, bowiem społeczne nieposłuszeństwo to przecież syndrom wolności – dla każdej władzy śmiertelnie groźny.

Z tego zagrożenia właśnie biorą się te nowe-stare mity i stare-nowe legendy. Odpowiednio podrasowane kanalizują przeświadczenia możliwie jednoznaczne i podpowiadają jasne, czytelne (wolne od wahań) postawy oraz zachowania. Władze chcą bowiem – sugeruje Pielewin – żeby ludzie myśleli prosto: tak albo nie. No i żeby również zachowywali się alternatywnie. A tymczasem ludziom bardzo często bliski jest akurat wariant trzeci: *kij wam wszystkim w oko*. No więc jak tu rzadzić?

Wampiry radzą sobie w ten sposób, że ustanawiają międzynarodowe elity władzy i to jakoś funkcjonuje, niezależnie od tarć. Są też wampiryczne elity narodowe, w tym także rosyjskie. Te zainstalowały się w Moskwie, głównie na Rublowce (to rejon nowobogacki i dygnitarski; nazwa potoczna to *Złodziejówka*) i z jednej strony podlizują się wampirom zachodnim, z drugiej zaś – pozostają z nimi w konflikcie, w stanie ustawicznej zimnej wojny globalnej. Mimo że tak naprawdę na prawdziwe konkurowanie szans nie mają żadnych: żyją wszak tylko z naftowej renty, która stabilna nie była i nie jest. Wobec tego zaś jako władza niczego pożytecznego nie potrafią Rosjanom zaoferować. Proponują tylko hasła i namowy konsumpcyjne, ale to jest najwyżej kamuflaż, a nie żadna realna oferta. W sumie więc umożliwia się tylko egzystencję mizerną, miłą. Co autor złośliwie kontrastuje, wplatając obrazki z prymitywnego życia mieszkańców Syberii (to również Rosja), bezmyślnie mimo wszystko zadowolonych z siebie i z tego, że im trawa rośnie.

Jakby zaś tych metaforycznych (?) fabulek było za mało, tu i ówdzie Pielewin ucieka się jeszcze do sugestii bezpośrednich. Twierdzi więc między innymi, że mimo tylu zawieruch w Rosji od wieków utrzymuje się



ten sam ustrój rodowo-plemienny i na zmiany nie widać szans. No bo kto miałby je wygenerować? Inteligencja? Podobnie jak Jerofiejew, o rosyjskiej inteligencji ma Pielewin mniemanie najgorsze (powtórzę: niesłusznie) i obśmiewa ją bez skrępowań.

Na uzdrawiającą zmianę sytuacji brak – według niego – stosownych przesłanek, warunków, oraz możliwości. Nie ma też odpowiedniego bagażu tradycji, który mógłby wyznaczyć kierunki oraz cokolwiek skatalizować. O ile bowiem narody świata mają zakodowane w pamięci zbiorowe świętości, kanony i własne rejestry wartości narodowych, które służą za drogowskazy, to Rosjanom przypadły w udziale głównie wojenne zwycięstwa, jako DziPieSy – marne. Dlatego bez militarnej otoczki oraz bez potrząsania pałaszem narodowa samoświadomość zamazuje się we mgle.

Nic dziwnego zatem, że krajem zarządza junta, teraz akurat postczekistowska, a nie generalska, ale to żadna różnica. Jest, jaka jest. Jakkolwiek autor nie byłby sobą, gdyby nie dorzucił kąśliwej wzmianki o prawdziwym rodowodzie grupy, trzymającej władzę. Otóż sugeruje, że to pochodna deweloperskiej (ale nie napisał, że podejrzanej: absolutnie nie) spółdzielni *Oziero*. I chociaż niczego więcej nie dopowiada, to w Rosji wszak wiedzą, że tak nazywała się spółka z Sankt Petersburga, w której głównym udziałowcem był kiedyś Władimir Putin.

Czasami Pielewin idzie o krok dalej i akurat w tej powieści ofiarowuje się do Putina bezpośrednio oraz nieco częściej niż poprzednio. Raz oto rzuca uwagę, że księciem złodziei był Robin Hood, a nie Vlad Pootin. Kiedy indziej zaś na pytanie o uliczną demonstrację czy *to zadyming*, odpowiada: *nie, to puting*. Ale to są tylko drobne dykteryjki.

Natomiast z ogólnie chaotycznego wizerunku sf-baśniowego świata emanuje nastrój zagubienia, smutku oraz niepewności. Nie do końca dający się zdiagnozować, a tym bardziej – przełożyć na kategorie instrumentalne, zaradcze. Generuje się więc stan zawieszenia: należy cierpliwie poczekać.

Kiedy tak o własnym kraju piszą rosyjscy autorzy, ich troska i bezradna irytacja są zrozumiałe. Natomiast zapewne inaczej przyjmują to czytelnicy w Polsce. Wobec nasilenia okolorosyjskich fobii o mylną nadinterpretację bardzo łatwo.

W SCENERII RETRO

Michaił Szyszkin, *NIE DOCHODZĄ TYLKO LISTY NIENAPISANE*, przeł. Magdalena Hornung, Noir sur Blanc, Warszawa 2013.

Boris Akunin, *CZARNE MIASTO*, przeł. Aleksandra Okuniewska-Stronka, Świat Książki, Warszawa 2014.

Ale nie brakuje w Rosji także pisarzy, którzy do obecnej rodzimej rzeczywistości nie odnoszą się wcale – co wobec tradycji tamtejszej literatury jest dosyć niezwykłe. W prozie światowej brak bezpośrednich odesłań do jakiejś konkretnej scenerii przydarza się często. Kiedy bowiem mowa o problemach etycznych, obyczajowych lub

w ogóle egzystencjalnych, geograficzne usytuowanie dyskursu może nie mieć żadnego znaczenia.

Jednak nie każdy tak uważa i czasem sugeruje się, że to jest ucieczka. Od czego? Od nadmiernie detalicznej konkretyzacji. Można tak myśleć lub można inaczej. Gdyby każdy autor rosyjski musiał pisać wyłącznie o Rosji i snuć rozważania tylko polityczne, to wkrótce zabrakłoby czytających. Więc może i dobrze, że niektórym tamtejszym pisarzom odpowiadają fabuły retro oraz/lub lokalizowane gdziekolwiek; dzięki temu panorama staje się barwniejsza.

Nie jest natomiast informacją dobrą wiadomość, że niektórzy – znowu jak dawniej? – fizycznie przenoszą się (lub zamierzają) poza Rosję, zwykle gdzieś do Europy, a bywa i dalej. Rzecz jasna każdy ma takie prawo, ale trochę to niepokojące. Władze w tym nie przeszkadzają, bo wyjeżdżają głównie opozycjoniści, a im więcej ich jest za granicą, tym oczywiście są mniej uciążliwi w kraju.

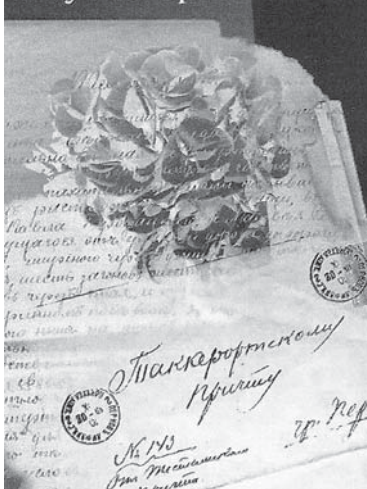
Do takich rosyjsko-zagranicznych prozaików należy MICHAŁ SZYSZKIN (ur. 1961), filolog i tłumacz, od ponad 20 lat mieszkający w Zurychu. Mimo to pisze głównie po rosyjsku (czasem także po niemiecku) i uchodzi za wybitnego pisarza rosyjskiego właśnie. W Rosji jest chętnie wydawany i czytany, a translacji w innych krajach również ma już sporo. Prowokuje do przemyśleń i dyskusji podstawowych posługując się wielką metaforą, a krytycy cenią go również za postmodernistyczną pomyślność oraz za niezwykle styl i językową kreatywność, co jednak w tłumaczeniach wypada rozmaicie.

Polski przekład najnowszej powieści nawet tytuł *Nie dochodzą tylko listy nienapisane* ma niepoprawny, bezzasadnie nadsentymentalny. Oryginalny bowiem *Piśmownik*, to nic innego jak *Listownik* – album z korespondencją utrzymaną oraz z kopiami wysłanej nawiązująco do formy, a nie do emocji. No bo to jest powieść epistolarna, czyli po prostu skonstruowana w listach. A już inna sprawa, że ta forma właśnie (nie mam pewności czy słusznie) niektórym nasuwa skojarzenia z historią Heloizy i Abelarda.

Jej rzeczywista alegoryka treściowa wyraźnie stroni od bieżących akcesoriów rosyjskich: Szyszkin skłania się ku wykładniom uniwersalnym. W powieściach – w tej oraz w poprzednich. Natomiast w wywiadach i w innych wypowiedziach bezpośrednich, jednoznacznie prezentuje się jako przeciwnik obecnej ekipy rządzącej. Potrafi powiedzieć, że Kreml to reżym kryminalny albo że Rosja egzystuje w świecie jak oblężona twierdza, oraz że z tego nic dobrego nie wynika. Dlatego ma z krajem związki dość luźne, chociaż zdarza się, że tam przyjeżdża. Jednak w powieściach akcentów politycznych unika.

Obok wysokich ocen, świetnych opinii i czytelniczego wzięcia, towarzyszą mu jednak również kontrowersje. I jeżeli zarzuty *zaprzaństwa*, a nawet *zdrady* (no bo wszak wyniósł się za granicę...) pochodzą ze stałego repertuaru zaciekłych nacjonalistów, to akurat w oskarżeniach o plagiatyżm coś na rzeczy jest. Rzeczywiście bowiem wobec cudzych tekstów postępuje niekiedy

Michał Szyszkin Nie dochodzą tylko listy nienapisane



z nadmierną dezynwolturą. Ze swej strony natomiast namawia autorów – szczególnie młodszych – do pisania bardziej intensywnego. Uważa mianowicie, że trzeba wypowiadać się możliwie często i wszędzie gdzie tylko się da oraz robić wokół siebie dużo szumu, choćby i skandalizującego. Inaczej nikt nie zwróci uwagi.

Swojej ostatniej powieści nadał formę wymiany listów o tyle niezwykłej, że w istocie żadnej wymiany nie ma. Jedna z osób bowiem w narracyjnym czasie akcji już nie żyje. A swoją drogą, ten czas jest zresztą tylko częściowo skonkretyzowany.

Kilka z tych listów pisze Wołodia. Wcielony do wojska wyjeżdża z oddziałem do Chin, żeby tłumić narodowe powstanie bokserów i tam ginie; korespondencja dochodzi do adresatki (Saszy) już po jego śmierci.

Zgodnie z podręcznikami historii to 1900 rok. Z Rosji natomiast pisze do niego owa Sasza, narzeczona i chociaż to niby ten sam przedział czasu, jednak krajowe realia i cała sceneria zastanawiająco przystają do lat 1960.

Właśnie oboje się poznali, ale on musiał natychmiast wyjechać, toteż rozkwit uczuć udokumentował się dopiero w korespondencji. Dlatego w opiniach o tej powieści pojawiają się sugestie, że to nowa wersja nie-szczęść Abelarda i Heloizy. Niekoniecznie. Wprawdzie jest to rzeczywiście opowieść o miłości dramatycznej, ale niedojrzałej, tylko zainaugurowanej i przemijającej. Skojarzenia zatem nasuwają się głównie za sprawą formy. Natomiast na pierwszy plan treści wybija się obraz dwóch odrębnych rzeczywistości – wojennego piekła i codziennej nijakości – zatem w detalach całkowicie różnych, a jednak podobnie ponurych, może nawet beznadziejnych.

Oto młody żołnierz przesyła *relacje* z pola bitwy – z okrutnego świata wojny. Wypełnionego cierpieniem, umieraniem, torturami i nieograniczonym pakietem nieszczęść. Przeżyć udaje się mało komu, a ginie się młodo, bez świadomości, że poza tym może istnieć jeszcze inna rzeczywistość. Bezsensowny sens wojny polega na tym, żeby zabijać i niszczyć wszystko co pozostaje w zasięgu wzroku, ale również żeby w końcu zginąć. Można wprawdzie próbować nie dać się zabić, ale to jest wbrew naturze wojny.

Zaś rzeczywistość Saszy (z czasem lekarki-ginekologa), chociaż mniej drastyczna, w niczym nie jest lepsza. To bowiem jedno monotonne pasmo niepowodzeń, nieudanych uczuć i chybionego małżeństwa, z poronieniem włącznie, otoczenie, w którym przyszło żyć, jest nudne, puste i ponure. Okrucieństwo codzienności jest więc może łagodniejsze, ale w sumie równie dramatyczne.

Tak więc i tutaj, i tam – z woli autora – sens egzystencji jest trywialnie nijaki. Trzeba żyć dniem bieżącym i na nic więcej nie liczyć. Istotą bowiem takiego życia wyznacza tylko przemijanie. Nie ma nic poza zrywaniem kolejnych kartek z kalendarza.

Trudno zatem oskarżyć Szyszkina o nadmiar optymizmu. Pośrednio odtwarza zresztą dawne obsesje i niepokoje egzystencjalistów, nie uciekając się wprawdzie do

konkluzji skrajnych, ale od wszelakich pozytywów stroni jak od zarazy. W tej powieści tak naprawdę nic się nie udaje i nie sprawdza. Ani relacje uczuciowe, ani rodzinne (sam autor rodziny zakładał trzykrotnie), zaś wyobcowanie z ludzkiego otoczenia, swoista indywidualna emigracja wewnętrzna, jest dla każdej z tych cząstkowych fabuł stygmatem wykładni jednoznacznie mrocznej.

Nie wiadomo czemu tę ponurą opowieść, niezwykle mocną w swojej smutnej ekspresji, trzeba było usytuować pośród zdarzeń retro i w dodatku częściowo w niedookreślonej scenarii chińskiej. Rzecz dzieje się w Chinach, czyli nigdzie? Zwalczający chińskich obrońców niepodległości korpus ekspedycyjny pod dowództwem angielskiego admirała Edwarda Seymoura (ma w Londynie swoją ulicę, plac oraz osiedle) miał charakter międzynarodowy. Obok Anglików, nie zabrakło w nim Japończyków, Francuzów i Rosjan. Czyżby kojarzył to Szyszkina z współczesnymi wojskowymi interwencjami w Kuwejcie, w Iraku lub w Afganistanie – no bo chyba nie w Gruzji ani w Czeczenii?

Ale byłyby to skojarzenia mocno naciągane, naddane i wątpliwe, żeby przez autora zamierzone. Raczej przeciwnie: chodzi właśnie o to, aby żadnej kojarzącej się konkretnie lokalizacji nie było. No bo kto pamięta o jakiejś epizodycznej wojnie w Chinach – ponad sto lat temu – poza Chińczykami? A smutek, nijakość i beznadzieja są ponadczasowe i nie mają granic przestrzennych.

Także na przełomie XIX i XX wieku (i odrobinę później), oraz terytorialnie w ówczesnej Rosji umieszcza akcje swoich sensacyjnych powieści z detektywem Erastem Fandorinem w roli głównej, szeroko znany prozaik BORIS AKUNIN (ur.1956). Napisał ich już 14 (innych znacznie więcej) i ta najświeższa, *Czarne miasto*, ma być podobno w tym cyklu ostatnia. Autor, z wykształcenia historyk i japonista (także tłumacz nagradzany w Japonii oraz krytyk literacki), sygnalizuje, że odtąd będzie pisał opowieści o historii Rosji. Tak w każdym razie deklarował na spotkaniu w Krakowie, w październiku 2014 roku.

Może to prawda, a może nie: z nim nigdy nic nie wiadomo. Swoją drogą trochę szkoda, ponieważ akurat tymi opowieściami – zapewne także za sprawą częściowych nawiązań do Sherlocka Holmesa i Herculeśa Poirot – zyskał dużą popularność w wielu krajach, w Polsce też jego książki rozchodziły się i rozchodziły wyjątkowo dobrze.

Niepewności zresztą towarzyszą mu stale. Mieszka wprawdzie w Moskwie nieomal od urodzenia, ale jest Gruzinem i naprawdę nazywa się Grigorij Czchartiszwili. Swoją drogą, kto takie nazwisko wymówi? No więc wybrał sobie pseudonim Borys (ktoś w Polsce wymyślił, żeby pisać Boris) Akunin, co po japońsku podobno oznacza *łotr*.

Pisze bardzo dużo i szybko, ale też zręcznie, narratorem jest świetnym, a zagadki kryminalne konstruuje z polotem. Nic zatem dziwnego, że ma wielkie wzięcie – oczywiście w kategorii lektur rozrywkowych, ale to nic złego. W powieściach aluzji politycznych

w zasadzie unika, chociaż niektórzy doszukują się ich w półsłówkach, niedopowiedzeniach.

Zapewne dlatego, że (tak jak Szyszkina) z kolei w wypowiedziach bezpośrednich nie nakłada sobie knebla. Twierdzi więc, że w Rosji nastąpiło rozległe załamanie świadomościowe, wielu cierpi na syndrom imperialny i bezkrytycznie popiera władze, które takie wątki lansują. Mówi w związku z tym, że z pijanymi trzeźwemu nie jest po drodze i zamierza wyjechać z kraju. Jednak z pisaniem tego (na razie?) nie łączy.

W powieści najnowszej Akunin wystąpił Erast Fandorin – tuż przed wybuchem pierwszej Wielkiej Wojny – najpierw na Jaltę, a potem do Baku, gdzie naftowa mafia toczyła ostre zakulisowe zmagania wewnętrzne oraz wadziła się z międzynarodowym biznesem, a rodzimi politycy i urzędnicy sprzedawali się wszystkim za łapówki. Własne interesy mieli tu też bolszewicy anarchiści, dokonując skrytobójstw, rabunkowych napadów i wzniecając strajki. Do rozwiązania wszystkich kłopotów genialny detektyw nadawał się znakomicie, bo mądry był, lecz również przebiegły, niby elegancki, ale umiejący celnie strzelać oraz skutecznie bić w mordę. I rzeczywiście dał sobie radę, niestety – nie w pełni, nie do prawdziwego końca, dlatego nie podjął już śledztwa w sprawie sarajewskiego zamachu i wojna musiała wybuchnąć.

To jest bardzo zręczna powieść sensacyjna. Akcja biegnie wartko, zaskoczenia pojawiają się co kilka stron, a wszystkie zagadki są imponująco pomysłowe. Chociaż słyszałem utyskiwania, że wątki kryminalne rozpoczynają się dopiero w połowie powieści, ale to nieprawda. Wrażenie wynika stąd, że wcześniej jest sporo scen i sekwencji opisowych, jednak nie mają charakteru relacji: służą dozowaniu emocji.

Niewykluczone, że można poszukać w tekście rozmaitych drobnych korelacji z rzeczywistością współczesną i pozawspółczesną. Powieściowym światem rządzi wszak ropa, z całym naręczem mrocznych interesów wokół niej, a do wyścigu po zyski stają przeciw sobie chrześcijanie oraz muzułmanie. Z kolei władza jest sprzedajna, przegniła, skupiona wyłącznie na rządzeniu według własnych reguł. W zetknięciu z nią ktoś taki jak Fandorin – etyczny inteligent, prawdziwy obywatel, autentyczny patriota – nie

ma czego szukać. A poza tym są jeszcze *portrety* bolszewickich bojówkarzy. Jeden, nazwany Dzięciołem i Odyseuszem, mógłby od biedy kojarzyć się ze Stalinem, ale niekoniecznie. Bo ewentualnie oburzyłoby to czytelników – postać jest wszak niewątpliwie bandycka – jako że kult Stalina jest wciąż w Rosji silny.

Jednak także i tym razem byłoby to nieuprawnione kojarzenie wszystkiego z czymkolwiek. Tak nie można czytać powieści, zwłaszcza sensacyjnych. Powinna wystarczyć dobra rozrywka.

Jeżeli ciekawy *kryminał* napisze Anglik, Francuz, Polka, albo Szwed, to wszyscy cieszą się i czytają z przyjemnością. No to gruziński Rosjanin też może. Dlaczego nie?

JACEK WOJCIECHOWSKI



JANUSZ DOBIESZEWSKI

BERLIN DO WALICKIEGO, WALICKI O BERLINIE I KILKA DO TEGO UWAG

Nie jest łatwo znaleźć i wybrać perspektywę oraz tematykę kilku słów o kolejnej książce – jak zawsze ważnej i jak zawsze świetnej – Andrzeja Walickiego. W książce znajdujemy bowiem wszystkie zagadnienia główne, wiążące się z twórczością naukową i publicystyczną Walickiego: Rosję, Polskę, marksizm, liberalizm, i kolejne uszczegółowienia tych czterech kwestii najogólniejszych, zaś krótka refleksja o nich musiałaby być zagrożona ryzykiem trywializacji, spłycenia, doraźnej i subiektywnej przypadkowości, a też w wielu punktach niebezpieczeństwem zbędnych powtórzeń.

Te zagrożenia pozostają cały czas aktualne, ale też mocno osobiste, epistolograficzny charakter książki (jej najważniejszą częścią jest kilkadziesiąt listów Berlina do Walickiego) nieże chyba usprawiedliwia ominięcie spraw może merytorycznie, filozoficznie i politycznie zasadniczych, a skupienie się przez chwilę na wątkach i aspektach właśnie osobistych, osobowościowych, może nawet trochę anegdotycznych (ale właśnie tylko trochę – bo prze-

cież nie chodzi o tanie sensacje czy atrakcje, zresztą nie ma po temu żadnych powodów czy choćby pretekstów). A ponieważ książka jest – jak pisze na samym jej początku Andrzej Walicki – „oddaniem hołdu” Izajaszowi Berlinowi, „spłaceniu należnego mu długu wdzięczności” (s. 15), to skupimy się tu i my, przynajmniej wyjściowo, na Berlinie.

Otóż tym co przykuwało moją uwagę w trakcie lektury książki, był nadzwyczajny urok, naturalność, żywość osobowości Berlina – rysująca się zarówno z jego listów, jak i ze wspomnień Walickiego. I od razu musi być do tego również dodana Berlina życzliwość, choć też z natychmiastowym zastrzeżeniem, że nie miała ona w sobie żadnego taniego protekcjonalizmu, spełniania konwencji czy też narzucania się; że charakteryzowała się wobec Walickiego autentyzmem przyjaźni, rzeczowością, realną i skuteczną pomocniczością.

Jednak tym, na co przede wszystkim chciałbym zwrócić uwagę w tej kwestii i co wydaje mi się jakimś gruntem, podłożem, naturą osobowości Berlina, jest jego intensywne, zupełnie własne, zupełnie indywidualne i zupełnie osobiste zaangażowanie w sprawy będące obiektem jego zainteresowań teoretycznych,

* A. Walicki, *Spotkania z Isaiahem Berlinem. Dzieje intelektualnej przyjaźni*, Warszawa 2014)

działań dydaktycznych, a i organizacyjnych. Sprawy, które miał przemyślane i myślane, były zarazem przez niego przeżyte i przeżywane (s. 21), czasem przeżyte – jak się wydaje – niemal Pascalowsko (s. 28), z Pascalowską więc intensywnością, nawet gwałtownością. Nadawało to myśli, działaniu i sposobowi bycia Berlina szczerość i autentyzm, co zwłaszcza znajdowało wyraz w spontaniczności, otwartości, energicznym temperamencie. Jak czytamy w związku z tym w prezentowanej książce: „Berlin postrzegany był jako człowiek niepoohamowanie spontaniczny, umiejący wygłaszać (z szybkością karabinu maszynowego¹) improwizowane wykłady, nie zawsze może klarowne, ale zdolne pobudzić umysłowo nawet zupełnie biernych zwykle i apatycznych słuchaczy” (s. 7-8). Szczerość, autentyzm, spontaniczność wydają mi się zaś cechami zupełnie zasadniczymi dla zrozumienia relacji jednostki z otoczeniem, z innymi ludźmi, dla zdolności i „sukcesów” w przyjaźni, w życzliwości, dla prawdziwie ludzkich spotkań międzyludzkich. Chcemy przecież mieć za towarzyszy, za rozmówców osoby inteligentne, z zasobami wiedzy, ale też koniecznie osoby szczerze, spontaniczne, autentyczne, nawet trochę szalone, porywające nas swą porywczością. Taki właśnie – jak się wydaje – był Berlin, i nic dziwnego, że wśród jego przyjaciół, stałych rozmówców, wśród tych, którzy najwyraźniej zabiegali o takiego jak on rozmówcę byli (tylko spośród postaci pojawiających się w naszej książce) Achmatowa i Pasternak, królowa Elżbieta II, prezydent Izraela Chaim Weizmann, premier Indii Nehru. Również A. Walicki pisze o właśnie spontanicznym i autentycznym charakterze swych spotkań i relacji z Berlinem (s. 36).

Berlin był człowiekiem spontanicznym, a i sam cenił spontaniczność. Właściwie cała jego fascynacja pewnym wąskim gronem myślicieli rosyjskich (których potrafił skądinąd określić jako „dość prostoliniowych myślicieli rosyjskich” – s. 93): Hercenem, Bielińskim, Czernyszewskim, Michajłowskim, Turgieniewem (choć akurat Turgieniew był przykładem kogoś, kto „nie potrafił się uprościć” – s. 115, 118), miała za swój powód ich intelektualną i moralną uczciwość, spontaniczność, ich społeczny i ideowy temperament. Zauważmy i zadziwmy się: oto klasyk zachodniego liberalizmu wskazuje, po pierwsze, jako swych mistrzów XIX-wiecznych myślicieli rosyjskich; wskazuje ich, po drugie, nie mocą wspomnień rosyjskiej młodości, gdyż zetknął się z nimi już na Zachodzie, jako już myśliciel dojrzały, w pełni świadomy swych wyborów intelektualnych (s. 73); wskazuje, po trzecie, myślicieli, którym w porządkujących klasyfikacjach podręcznikowych bliżej w znacznej mierze do radykałów, rewolucjonistów, nihilistów, anarchistów niż do liberałów, ale za to przeniknięci byli oni – głęboko, szczerze, autentycznie – kluczowymi dla Berlina i organizującymi dla jego wizji liberalizmu ideami otwartości i alternatywności biegu historii oraz zasadą pluralizmu wartości. Ten wybór Berlina nie wynikał – co już zasygnalizowaliśmy – z jakichś wyrafinowanych intelektualnych głębi, obecnych w dzie-

łach wspomnianych myślicieli rosyjskich. Oczywiście, w przypadku Hercena i Turgieniewa ogromną rolę odgrywało pisarskie mistrzostwo ich prozy artystycznej i wspomnieniowej, ale i w odniesieniu do nich, i tym bardziej Czernyszewskiego (którego Berlin potrafił nie bez podstaw nazwać, odnosząc to do właściwości jego pism teoretycznych, „nudziarzem” – s. 61, 206) czy Bielińskiego rozstrzygająca była przejmująca osobista szczerość, ludzka uczciwość, wolnościowy cel ich ocen i wyborów moralnych oraz społecznych. Wątpliwe i powierzchowne ich rozstrzygnięcia fachowo-filozoficzne, metafizyczne były w tej perspektywie dla Berlina czymś zgoła marginalnym. Co ciekawe, podobnie (choć niejako od drugiej strony) odnosił się do tego zagadnienia Wasilij Zieńkowski, autor świetnej *Historii filozofii rosyjskiej*, napisanej w niezbyt cenionej przez Berlina perspektywie filozofii religijnej. Odnotowując metafizyczną płytkość poglądów Czernyszewskiego czy Bielińskiego Zieńkowski pisał zarazem, że byli oni osobami o najwyższych kwalifikacjach moralnych, oddanymi sprawie wolności, sprawiedliwości, braterstwa ludzi. Pod tym względem byli osobami o dyspozycjach niemal proroków i chrześcijańskich świętych, wzorcowymi zapewne przedstawicielami – jak byśmy dziś powiedzieli za Karlem Rahnerem – „anonimowego chrześcijaństwa”. Berlin traktował wspomnianych myślicieli „jako ludzi osobicie mu bliskich, żywych, bezpośrednio obecnych w jego świecie” (s. 36), nic więc dziwnego, że biografowie potrafili go uznać w związku z tym za „ostatniego przedstawiciela roznamiętnionej, elokwentnej i moralnie poważnej inteligencji dawnej Rosji”, czy wręcz za „rosyjskiego filozofa” (s. 37). Iście rosyjski, ale jakże ujmujący, spontaniczny brak miary w sympatiach filozoficznych wobec wskazanych postaci sprawiał, że dla Berlina w książkach choćby Walickiego „każda ilość stron poświęcona Hercenowi była niedostateczna” (s. 57, 148, 150), a zbyt skromne „wzięcie pod uwagę” – w tekstach przecież akademicko-teoretycznych – „temperamentów Hercena i Bielińskiego” niosło „pewien niedosyt” (s. 155).

Niekiedy Berlin zdawał się krytycznie rozliczać ze swą energią i spontanicznością, oskarżając je o mniejszą niż chciałby wydajność pisarską: „główną przeszkodą – twierdził – są niedostatki mego temperamentu, a nie okoliczności zewnętrzne”, i to one, owe „niedostatki temperamentu” (zbyt dużego), sprawiały, że musiał „wciąż się rozpraszać na działania we wszystkich kierunkach” (s. 95, 205) i że miał „naturalną skłonność do chodzenia za daleko we wszystkich kierunkach” (s. 151). W gruncie rzeczy ta samokrytyczna uwaga jest tylko uzupełnieniem pasji, entuzjazmu i autentyzmu osobowości Berlina, którym to cechom stale i – by tak rzec – strukturalnie towarzyszył właśnie samokrytycyzm, autoironia, poczucie humoru, czego najbardziej efektywnym, już legendarnym przykładem jest kwestia o upadku tytułów szlacheckich w Anglii².

¹ Co Walicki stwierdza w odniesieniu zwłaszcza do j. angielskiego (s. 36), a z kolei w odniesieniu zwłaszcza do j. rosyjskiego podkreśla J. Brodski w *Przedmowie* do polskiego wydania eseju Berlina *Jeż i lis*, gdzie pisze: „prędkość dźwięku tej mowy szła, zda się, o lepsze z prędkością światła” (I. Berlin, *Jeż i lis*, Warszawa 1993, s. 11).

² Przypomnijmy, że chodzi o reakcję Berlina na inicjatywę przyznania mu tytułu szlacheckiego: „Początkowo zdecydowany byłem nie przyjąć tego tytułu. Cóż bowiem powiedziałby na to Hercen? Zawiadomiłem o tej decyzji moją matkę. Nie próbowała spierać się ze mną, powiedziała tylko «Bądź wola twoja, synku». Ale po jej twarzy spłynęła łza i nagle zrozumiałem, że najskrytszym marzeniem tej starej, schorowanej Żydówki było właśnie to, aby jej syn został brytyjskim lordem. Nie mogłem więc zrobić jej krzywdy i przyjąłem tytuł. Ale zaraz potem wyjechałem na długo za granicę, aby nie wysłuchiwać

A obok mówienia z szybkością karabinu maszynowego warto tu również odnotować (spontaniczny i pełen bezmierniej swobody) charakter odręcznego pisma, „przekraczający kompetencję większości kryptologów” (s. 129), a także wzruszające ginięcie papierów i zapisków, co zmusiło na przykład Berlina do trzykrotnego przeczytania i trzykrotnego zrobienia notatek (do planowanej recenzji) z angielskiego wydania *W kręgu konserwatywnej utopii* Walickiego, przy czym w momencie właściwie zakończenia trzeciej wersji notatek (która oczywiście takżeomal nie zaginęła) odnalazła się oczywiście wersja pierwsza (s. 138). A zupełnie osobnej wzmianki wymaga taka oto, kończąca jeden z listów, kwestia godna prawdziwie wolnego, indywidualnego i nieustraszonego liberała: „do diabła z kontraktami i obietnicami – tym wezwaniem w stylu Bakunina do anarchizmu i wolnej osobowości, wołając: precz z burżuazją i jej światem, kończę ten szalony list” (s. 152).

Teraz, po tej pochwalie spontaniczności Berlina, kilka moich osobistych słów o Andrzeju Walickim. Książki Walickiego czytałem właściwie od kołyski, natomiast osobiście poznałem Profesora raczej późno, chyba pod koniec lat 90., kiedy mieszkał on jeszcze w Notre Dame, ale sporą część każdego roku spędzał już w Polsce. Z sygnałów, które do mnie wcześniej docierały zdawało się niekiedy wynikać, że Profesor jest osobą raczej sztywną, zasadniczą, wycofaną, skupioną na sobie, z którą bliższy kontakt jest trudno osiągalny. Trochę obawiałem się więc pierwszego spotkania, do którego miało dojść po wcześniejszym przesłaniu przeze mnie Profesorowi kilku artykułów i niewielkiej książki o słowianofilstwie. No i gdy wreszcie miałem okazję osobiście się przedstawić, Profesor wykrzyknął na cały głos i całą salę „O! pan Dobieszewski!” i była w tym autentyczna radość, sympatia, zaś dalsza rozmowa, także o sprawach filozoficznych, pełna była spontaniczności, emocji, energii, żywego życia. Pan Profesor był swobodny, otwarty, mówił z szybkością zbliżoną jak się zdaje do standardu Berlina – co tu dużo mówić, osobą Profesora byłem zachwycony. A później wszystko to się potwierdzało i rozwijało we właściwym kierunku oraz z mnóstwem z jego strony osobistej życzliwości i wsparcia. Zbliżoną zresztą sylwetkę Walickiego przedstawił kiedyś jego przyjaciel Bronisław Łagowski. Wszystko to pozwala mi przypuszczać, że Berlin w swej przyjaźni był pod wrażeniem nie tylko książek i intelektu Walickiego, ale w równym zapewne stopniu ujęty był jego osobowością, jej spontanicznością, naturalnością, emocjonalnością.

I jeszcze jedna sprawa, związana z omawianą książką, bardziej fachowo-filozoficzna i naukowa. Otóż na początku lat 80., jak dowiadujemy się z książki, Berlin namawiał Walickiego – podobnie jak Leonard Schapiro – do podjęcia planowanych studiów nad Borysem Cziczerinem, klasykiem rosyjskiego liberalizmu (s. 50); był „zachwycony, że Walicki pragnie napisać książkę o prawie i wolno-

ści w rosyjskiej historii intelektualnej” (s. 152), jak twierdził, temat – co wydawało się oczywiste – „jest bliski mojemu sercu” (s. 197). Jak wynika z jednego z listów, książkę *Filozofia prawa rosyjskiego liberalizmu*, bo o nią tu chodzi, otrzymał Berlin w roku 1987, a więc natychmiast po pierwszym wydaniu angielskim (s. 197). Ale tu wątek tej książki zaskakująco właściwie się urywa. Zaskakująco, gdyż wydawało się, że książka o, by tak rzec, „profesjonalnych”, „oficjalnych” rosyjskich liberałach spotka się z głośnym i entuzjastycznym przyjęciem Berlina. Zwłaszcza wobec stereotypowego przekonania o słabości i prawie nieobecności w intelektualnej historii Rosji tendencji liberalnej, wobec więc pionierskiego, i to w skali światowej, charakteru książki Walickiego. Także wobec twórczej, niemal zbawczej alternatywności owej tendencji liberalnej wobec wzajemnie blokujących się i zmierzających do nieuchronnej katastrofy tendencji reakcyjno-despotycznej i rewolucyjno-radykalnej w polityce i myśli rosyjskiej początków XX wieku, a także wobec wyjątkowo ważnej i możliwej twórczej roli tej tendencji w sytuacji kryzysu i rozpadu ZSRR. Tym dziwniejszy jest ten brak reakcji Berlina wobec *Filozofii prawa rosyjskiego liberalizmu* w kontekście jego nadzwyczajnego zainteresowania i zaangażowania w docenienie, a i upowszechnienie dwóch wcześniejszych książek Walickiego: *W kręgu konserwatywnej utopii* oraz *Rosyjskiej filozofii i myśli społecznej od Oświecenia do marksizmu*. Wydawałoby się, że książka o filozofii prawa rosyjskiego liberalizmu spotka się z uznaniem i zaangażowaniem jeszcze większym, tym bardziej że również w wymiarze czysto teoretycznym, intelektualnym jest co najmniej nie gorsza od tamtych.

Przyznam, że nie potrafię wyjaśnić sobie tej sytuacji. Wspomina wprawdzie i sam Berlin, i wspomina Walicki o braku sympatii Berlina wobec Cziczerina w związku z tym, że ów najważniejszy może rosyjski liberał był przeciwnikiem Hercena (s. 58, 199, 213); można by też tłumaczyć, że Cziczerin był reprezentantem owego pierwotnego, sztywnego, wolnorynkowego, konserwatywnego liberalizmu świętej własności prywatnej i wyraźnego oddzielania tego, co polityczne od tego, co moralne, którą to postać liberalizmu Berlin mocno krytykował. Z kolei znacznie bardziej uspołeczniony liberalizm Sołowjowa, prezentowany w książce po rozdziale o Cziczerinie, mógł nie cieszyć się sympatią Berlina z racji mistyczno-religijnych skłonności Sołowjowa, których Berlin nie znosił. Ale już w odniesieniu do Nowgorodcewa, Petrażyckiego, Kistiakowskiego, Hessena – a więc pozostałych bohaterów książki Walickiego – wszystkie te zastrzeżenia prawie zupełnie przestają obowiązywać. Skąd więc to zaskakujące milczenie Berlina? Może decydująca była tu sprawa zmęczenia i zbliżającego się kresu życia Berlina?

Postawiwszy i zawiesiwszy to właściwie bezradne, ale i interesujące oraz twórcze pytanie, wynikające z książki, z okazji której powstał niniejszy tekst, pozwolę sobie odesłać jego ewentualnych czytelników do książki samej.

komentarzy o degradacji tytułów arystokratycznych w Anglii” (s. 36, 268).

JANUSZ TAZBIR

CZY CHRYSTUS BYŁ I NA INNYCH PLANETACH?

„Nie wiem, może gdzieś Bóg stworzył świat, w którym objawił się wszystkim stworzeniom w oczywisty, bezpośredni sposób, oszczędzając im błędzenia i cierpienie” – pisze ks. Wacław Hryniewicz¹. Ale już w XVII stuleciu jezuita Tomasz Młodzianowski zastanawiał się nad tym, czy Bóg nie stworzył kiedyś „zupełnie innego, nowego świata”, na którym także będą istnieć ludzie. Twierdził wszakże, że są to tylko przypuszczenia „nie oparte na słowach Objawienia”. Czyżbyśmy więc byli, jak dotąd, jedynym w całym wszechświecie zamieszkałym światem? Niejeden pisarz, i to nie tylko teolog, nad tym się zastanawiał w ubiegłych stuleciach.

Po doświadczeniach Hiroszimy i Nagasaki niektórzy skrajni pesymiści wystąpili z ponurą hipotezą, iż opustoszałe planety były zamieszkane przez ludzi, którzy już dawno wynaleźli broń atomową. Däniken i jego naśladowcy umieszczają na nich kosmitów, którzy stamtąd mieli ongiś, i to już parokrotnie, odwiedzić Ziemię, aby stworzyć na niej, drogą skrzyżowania ze sobą, dzisiejszych ludzi. Nieżyjący już Arnold Mostowicz, zajmujący się *science fiction*, mówił mi kiedyś, chyba półzartem, iż na latających spodkach przybywają do nas przybysze z innych planet, którzy na długo przed Wellsem wynaleźli wehikuł czasu. Niektórzy twierdzą, że Bóg przeznaczył je na mieszkanie zmarłych; czekających gdzieś tam w przestworzach cierpliwie na straszliwy dzień Sądu Ostatecznego.

Wielkie odkrycia geograficzne spowodowały lawinowy wprost wzrost zainteresowania dla innych światów przy czym pod tym pojęciem jedni rozumieli dalekie planety, inni zaś te części Ziemi, które dotąd nie były znane Europejczykom. Stąd też początkowo Amerykę nazywano częściej Indiami Zachodnimi aniżeli Nowym Światem. W r. 1640 jeden z angielskich korespondentów gdańskiego astronoma Jana Heweliusza pisał: „Daleś [...] nam nowy świat [...] odkryłeś i odkopałeś tę nową niebiańską Amerykę”². Zdaniem współczesnego nam filozofa i futurologa Georga Pichta „odkrycie Ameryki miało dla szesnastego wieku podobne znaczenie jak podróż kosmiczna dla nas”³.

Fernand Braudel zwrócił był uwagę, iż ludzie XVI w. nie mogli sobie znaleźć miejsca w nieznanym świecie, który musieli dopiero odkrywać. Azja „pozostanie inną planetą (podkreślam: planetą) którą musieli dopiero odkrywać, z innymi roślinami, zwierzętami, ludźmi, innymi formami społeczeństwa, innymi formami własności. Wszystko tu przybiera inną postać. Nawet rzeki nie przypominają europejskich”⁴. Byli więc duchowo przygotowani na przyjęcie nowych planet. Co nie przeszkadza, że niektórzy astronomi po dzieciennemu dostrzegali możliwość dotarcia

do księżyca na olbrzymich, odpowiednio wyszkolonych ptakach (!). Przeciętny szlachcic nie rozumiał oczywiście ile trudu wymagałoby dotarcie do dalekich planet, ale poznanie ich ewentualnych mieszkańców stawiał zapewne na równi z zetknięciem się z pierwotnymi mieszkańcami Indii Zachodnich. Oddaje to świetnie powstała u schyłku XVIII stulecia anegdota o pocziwym parafianinie z głębokiej prowincji, który miał zapytać swego plebana „co jest większe: miesiąc (księżyc) czy Ameryka?”⁴.

Już w XVI stuleciu zaczęto porównywać odkrycie Krzysztofa Kolumba z poznaniem nowych planet, na których niektórzy spodziewają się znaleźć istoty myślące. W r. 1649 jeden z korespondentów angielskich Heweliusza pisał: „Daleś [...] nam nowy świat [...] odkryłeś dla nas i opisałeś tę nową niebiańską Amerykę”. Zdaniem filozofa i futurologa Georga Pichta „odkrycie Ameryki miało dla szesnastego wieku podobne znaczenie jak podróż kosmiczna dla nas”.

Jednak w procesie Giordana Bruna (1548-1600) jednym z zarzutów, jakie mu wytoczono, była jego teza o mnogości światów i znaczeniu planet. W oskarżeniu wniesionym przez Giovaniego Mocenigo czytamy, iż Bruno był kacerzem ponieważ „głosił, że świat jest wieczny, że istnieją nieskończone światy i że Bóg wciąż tworzy je bez liku, ponieważ jest wszechmogący...”. Na trzecim przesłuchaniu (2 czerwca 1592 r.) Giordano Bruno stwierdził: „Oświadczam więc, że istnieją niezliczone poszczególne światy podobne do naszej Ziemi...”. W dialogu *La cena de Le ceneri* (*Uczta popielcowa*) Bruno powoływał się na filozofów starożytnych takich jak Heraklit, Demokryt, Epikur, Pitagoras, Parmenides, Melissos, „jak to wyraźnie wynika z zachowanych fragmentów ich dzieł”⁵. Jego zdaniem na każdym z tych nieskończenie wielu systemów planetarnych żyją istoty inteligentne podobne do człowieka⁶. Oponenti Bruna utrzymywali, że skoro istnieje nieskończona wielość mieszkańców świata, to jak należy tłumaczyć zbawczą śmierć Chrystusa, która nastąpiła jeden tylko raz i za wszystkich? (*semel et pro omnibus*)

Już jednak Mikołaj z Kuzy (1401-1464) utrzymywał, „że chyba nie wszystkie miejsca niebios są puste, a tylko ta nasza Ziemia jest zamieszkała przez istoty obdarzone intelektem”. Zdaniem tak wybitnych astronomów jak Chrystian Huygeus czy Johann Elert Bode (1747-1826) poza naszą planetą istnieją inne zamieszkałe światy⁷. Fizycznym, moralnym i umysłowym cechom tych istot poświęcili oni swoje dzieła, wśród których na czoło wysuwa się praca Fontenella o wielości światów (1686), już w r. 1765 przełożona na język polski. Autor stara się dowieść swojej rozmówczyni (jest nią oczywiście margrabina), że „inne

Planety mają także swych obywatelów". Skoro wszystko wskazuje na to, że posiada ich Księżyc, czemuż taka na przykład Wenus miałaby pozostać niezamieszkała? Wszędzie muszą być „jakieś żyjące stworzenia. Skoro obywatele Europy i Afryki różnią się między sobą wyglądem twarzy, to „na innym zaś Planecie inna jest familia, w której także odmienne są twarze od naszych". My posługujemy się słowami, może tam gdzieś służą do tego gesty. Dalej Fontenelle prawi, iż wyobraża sobie wygląd „i osobliwe zwyczaje obywateli Planet" choć być może są to dosyć śmieszne wyobrażenia. Tu następuje opis przypuszczalnego wyglądu mieszkańców Wenus i Merkuriusza. Ta pierwsza jest tak obszerna, „że jeżeli u nich żeglują po morzach, ich Krzysztofowie Kolumbowie mieli by zawsze co do roboty"⁹.

Fontenelle, jak na filozofa przystało, nie zajmuje się sprawą wyznania mieszkańców innych planet. W przedmowie zastrzega się tylko „iż nie chce poprzez tezę o wielu zamieszkałych światach sprawić najmniejszego uszczerbku sprawom wiary. Niech się tym martwią teologowie, dla których pozostawia trudną do rozstrzygnięcia kwestię, a mianowicie skoro „potomkowie Adama nie mogli się dostać do księżyca, ani osad swych założyć, a zatem ludzie będący na nim nie są Adama synami". Choć zaś ewentualnych mieszkańców innych światów umieszcza na Księżycu, ale się nie upiera, że mogą być nimi inne stworzenia niż tylko ludzie. „Jakież to więc stworzenia? Jam ich nie widział i nie dlatego o nich piszę, jakobym ich widział".

Do poglądu takiego przychylił się już Jan Brożek (1585-1652) profesor Akademii Krakowskiej. Co prawda nie w druku, ale w notatce rękopiśmiennej zapytywał „A może inne gwiazdy zamieszkują określone stworzenia?" Także Pismo św. stwierdza, że istnieje więcej światów, o czym świadczy powiedzenie Chrystusa: „W domu Ojca mego jest mieszkania wiele". Brożek uważał, iż przez mieszkania Pan Jezus rozumiał inne poza Ziemią światy⁹. Teza ta upowszechnia się w XVIII wieku w Prusach Królewskich, w których m.in. wykładowcy Akademii Toruńskiej dopuszczali istnienie innych poza tym, który okrąża Księżyc, układów planetarnych. Na ich wypowiedź natrafiła Barbara Biełkowska, znakomita znawczyni losów teorii heliocentrycznej w dawnej Polsce. Wymienia tu, tytułem przykładu, m.in. nazwisko profesora luteranśkiej akademii w Toruniu, Piotra Krügera (1580-1639). Ten jednak okazał się ostrożny, gdyż swe wywody zakończył zdaniem: Co z przyjęcia wielości światów miałoby wynikać „nie śmiem tutaj mówić" (1631). W r. 1715 profesor tejże samej uczelni Jan Fryderyk Bornmann bronił tezy o wielości światów podczas publicznej dysputacji, jaka się tam odbyła¹⁰. Związana z tym była możliwość istnienia tam innych społeczeństw posiadających nie tylko własną kulturę czy technikę, ale i religię.

Do powyższego poglądu przychylali się nawet niektórzy uczniowie osławionego Stefana Łuski (1725-1793), profesora matematyki i fizyki w jezuickim kolegium w Warszawie. Współczesny mu pijar Antoni Wiśniewski twierdził zaś, iż wiara w istnienie innych światów, podobnych do naszego, „nie sprzeciwia się religii i Pismu św.". W artykule zatytułowanym *Ciekawości o niebie*, który w r. 1754 ogłosił na łamach *Kalendarza warszawskiego*, powoływał się na autorytet wielu uczonych i filozofów, z samym Kartezjuszem na czele. Zdaniem Wiśniewskiego, który należał do zdecydowanych zwolenników teorii

heliocentrycznej, na innych planetach panują te same co na ziemi warunki, sprzyjające nie tylko istnieniu flory i fauny, ale i zamieszkiwaniu tam istot myślących. Cały wszechświat został stworzony przez Boga, aby wszyscy razem mogli Go godnie czcić. Gdyby na innych planetach nie było życia, „to po co Bóg by je tworzył?" – zapytywał Wiśniewski. W końcowej części swego artykułu uczony pijar uznał zapewne swoje wywody za zbyt śmiałe i kontrowersyjne. Aby więc nie narazić się zakonnej zwierzchności (i nie tylko!) napisał, iż twierdzenie o wielości zamieszkałych światów należy uznać za mocno dyskusyjne. Argumenty za nią przemawiające przytaczał „do niewinnej zabawki, nie decyzji, do pięknej w myślach rozrywki, nie dla interesującej nas nauki"¹¹.

Znacznie śmielszy pod tym względem okazał się Jean Chevalier (1732-1780), który w latach 1763-1773 był wykładowcą jezuickiej Akademii w Wilnie. Nie tylko bowiem poparł teorię istnienia różnych planet, ale i wypowiedział się za możliwością rozwoju na nich życia organicznego. Znacznie śmielszy, ponieważ nie zaopatrzył swych wywodów żadnym asekuracyjnym komentarzem, jak to był uczynił Wiśniewski¹².

Lwia część astronomów, dość długo wierna teorii geocentrycznej, opowiadała się w zasadzie za teorią jednego tylko zamieszkałego świata. I tylko do niego odnosi się nauka Chrystusa o nauczaniu wszystkich narodów. „Gdyby było więcej światów" – pisał w r. 1633 jezuita, Melchior Inchofer – „byłoby niemożliwe określić, co to są za ludzie, którzy w tych innych światach istnieją i na których rozciąga się skupienie". Józef Alojzy Putanowicz (1737-1788), profesor filozofii i teologii Akademii Krakowskiej zajął w tej kwestii jeszcze w r. 1773 zdecydowanie konserwatywne stanowisko. W dziele *Propositiones ex macrocosmologia et meteorologia* (Kraków 1773) bronił tezy, iż wszystkie gwiazdy i planety zostały stworzone przez Boga tylko po to, aby służyć Ziemi oraz jej mieszkańcom. Na planetach ją otaczających brak jest warunków do utrzymania życia ludzkiego. Zdaniem Putanowicza teoria wielości światów, i do tego zamieszkałych, nie posiada żadnych argumentów, które by mogły za nią przemawiać¹³. Podobne opinie, oparte na licznych kalendarzach, głosił jezuita Wojciech Bystrzonowski (1699-1726) w bardzo w czasach saskich popularnej *Informacji matematycznej* (1743). Zdaniem *Encyklopedii wiedzy o jezuitach* propagował on wśród szlachty „zdobycze nauk przyrodniczych i humanistycznych". Bóg stworzył cały wszechświat po to, by wszyscy razem mogli godnie Go czcić. Stąd też „gdyby na innych planetach nie było życia, to po co Bóg by je tworzył?"¹⁴

W związku z tym aktualne stawało się pytanie, stawiane od schyłku XV stulecia, a dotyczące szerzenia chrześcijaństwa przede wszystkim wśród Indian. Czy można ich uważać za ludzi dojrzałych do przyjęcia chrześcijaństwa? Zwolennicy takiego poglądu powoływali się na Nowy Testament. Istotnie w *Liście do Hebrajczyków*, przypisywanym św. Pawłowi, czytamy, iż Bóg-Ojciec ustanowił Chrystusa „dziedzicem wszystkich rzeczy i przez niego stworzył wszechświat" (podkreślenie moje – JT). Na ten właśnie list powoływano się w rozważaniach doby kontrreformacji.

Na ogół jednak przeważały głosy sprzeciwu, wskazujące na brak w Nowym Testamencie wzmianek o nawracaniu ludzi zamieszkujących inne planety. Odmienne stanowisko zajmował Benedykt Chmielowski twierdzący, że i poza Ziemią mogą przychodzić na świat ludzie ma-

jący człowieczą postać oraz nieśmiertelną duszę i „od rodzica Adama pochodzący”.¹⁵ Słowem tacy, wśród których można by podjąć akcję misyjną.

Zdaniem części teologów z XVI stulecia zarówno na terenie świeżo odkrytej Ameryki jak i w Azji szerzyli chrześcijaństwo niektórzy z pierwszych apostołów. Botero oraz inni pisarze katoliccy zwracali uwagę na istnienie w Meksyku i Peru czegoś w rodzaju klasztorów. Rzekomo jeszcze przed przybyciem konkwistadorów miano tam pojęcie o zmartwychwstaniu ciał, przyjmowano rodzaj komunii i posługiwano się znakiem krzyża. Wszystko to było jednak pomieszane z najwstrętniejszymi obrzędami w duchu czysto pogańskim i brakiem znajomości prawdziwej wiary. Podobne poglądy miały jednak fatalne konsekwencje dla Indian. Jeśli bowiem już raz zostali ochrzczeni, a potem odpadli od prawdziwej wiary, to można ich było traktować jako winnych apostazji i odpowiednio do tego postępować z pierwotnymi mieszkańcami obu Indii, zarówno Zachodnich jak i Wschodnich.¹⁶

Zdaniem jednak większości teologów tubylcy nie mieli przed ich „odkryciem” pojęcia o prawdziwej wierze. Dlatego też trudno ich określać mianem odstępców. Podobnie jednak jak przy Indiach dopatrywano się wcześniejszej działalności misjonarzy na innych kontynentach, tak i na innych planetach widziano by ślady obecności na przykład proroka Eliasza, który według Starego Testamentu odszedł z tego świata w tajemniczy sposób, mianowicie na ognistym rydwanie. Dało to zresztą sposobność licznym wyznawcom Dānikena do snucia zgoła fantastycznych przypuszczeń, iż w tej „podróży” dopomogli mu oczywiście kosmici. Wypadnie mi w tym miejscu powtórzyć co już przed laty pisałem o stosunku pierwszych misjonarzy i teologów do pierwotnych mieszkańców Ameryki. Zastanawiali się oni „czy ciąży na nich zmaza grzechu pierwotnego, w jakim stopniu są synami Adama i czy również za nich Chrystus umarł na krzyżu”.¹⁷

Jak wiadomo, twórcy utopii od Tomasza Morusa poczynając, lokowali je najchętniej na wyspach, na Księżycu, w nieodkrytych jeszcze częściach kuli ziemskiej, gdzieś w przyszłości (za pomocą wehikułu czasu), ale nigdy na jednej ze znanych planet. Natomiast twórcy filmów typu *science-fiction*, ukazujących śladem Wellsa, inwazję wrogich nam istot na Ziemię, w której części każą im startować z konkretnych planet. Wells wymienia Marsa, jego śladem idzie spora część reżyserów; czyżby dlatego, iż Mars był w antyku bogiem wojny? Tak czy inaczej nie natrafiłem na film, który by zajmował się sprawami wiary mieszkańców innych planet. Z nieszczęśliwym dla siebie skutkiem próbuje ich nawracać ojciec Orybazy, bohater jednego z opowiadań Stanisława Lema (*22 podróż Iljona Tichego*).¹⁸

W XVI-XVIII stuleciach bardzo niewielu pisarzy interesowało się obecnością podobnych do nas ludzi na innych planetach. A jeszcze mniej wierzyło w ich istnienie. Przeważała opinia, iż jedyną taką planetą jest nasza Ziemia, którą Bóg wyróżnił tym, iż tylko na nią posłał własnego Syna, aby zapoznał ją z chrześcijaństwem. W jednym ze szlacheckich *silva rerum* Ludwik Kubala znalazł opinię, iż nie to jest dowodem miłości Boga do ludzi, że nie wahał się Jezusa skazać jako człowieka na mękę ukrzyżowania. W czasach, gdy procesy były prowadzone w zamknięciu, a przedśmiertne tortury (była to tak zwana „śmierć kwalifikowana”) stanowiły chętnie oglądany spektakl, wielogodzinne konanie Jezusa na krzyżu było czymś

przerazającym dlatego, iż dotyczyło drugiej osoby Trójcy świętej. Nie to więc, pisał anonimowy szlachcica, jest dowodem największej miłości Boga do ludzi, ale fakt, iż aby dopełnić dzieła ich odkupienia nie zawahał się Chrystusa uczynić Żydem.¹⁹ Czyli ulokować na najniższym szczeblu drabiny społecznej.

Skoro Ziemia miała być jedyną planetą, na której za gościł sam Bóg w ludzkiej postaci, to nasuwało się pytanie, w jaki sposób przypuszczalni mieszkańcy innych planet mieli poznać chrześcijaństwo? Jak już wspominałem, niektórzy przypisywali to obecności pierwszych apostołów lub ich uczniów, którzy tam dotarli po śmierci Chrystusa na krzyżu. Przed wieloma już laty natknąłem się na tłumaczoną chyba z francuskiego (nazwiska autora niestety nie zanotowałem) powieść, której bohater dociera na jedną z palnet.²⁰ Jej mieszkańcy posiadają człekokształtną postać, ale znacznie różniącą się od naszej. Tam właśnie jest świadkiem ukrzyżowania tej postaci ukazanej jako tamtejsza odmiana Pana Jezusa. Z tekstu wynikałoby, iż na inne planety również przychodził On, aby umrzeć za zbawienie tamtejszej ludności przybierając wygląd jednego z mieszkańców. Jest rzeczą oczywistą, iż fantazji literata nikt nie wziął na serio.

Natomiast już w XVI wieku włoski heretyk Jakub Paleolog wysunął hipotezę, iż nie wszyscy mieszkańcy szeroko pojętego świata są synami biblijnego Adama, z której się zresztą rychło wycofał.²¹ Była ona nie do przyjęcia dla teologów, ponieważ chrzest zmazuje wedle wierzeń chrześcijańskich grzech pierwszych rodziców. Było to chyba jedno z pierwszych w dziejach przyjęcie zasady zbiorowej odpowiedzialności, która miałaby zachować swą wagę od początku świata. Ale podpisanie się pod poglądami Paleologa byłoby równoważne z uznaniem działań misyjnych w postaci nieraz zbiorowego chrztu pierwotnych mieszkańców Ameryki, Afryki czy Azji za pozbawione sensu. Bo przecież nie-synowie Adama byli wolni od klątwy grzechu pierwotnego. W dwieście lat po Paleologu cytowany już B. Fontenelle napisze: „Potomkowie Adama nie mogli dostać się do księżyca, ani osad swych założyć, a zatem ludzie nie będący na nim, nie są Adama synami”.²²

Kościół dość długo nie wypowiadał się oficjalnie w sprawie ewentualnych mieszkańców innych planet²³ zapewne uważając, iż – jeśli w ogóle takowi istnieją – to kontakt z nimi nieprędko nastąpi. Zwraca na to uwagę Michał Chaberek OP pisząc, iż najwyżsi hierarchowie Kościoła nie mają do dziś „jasnego pomysłu, czego nauczać na temat ewolucji lub pochodzenia człowieka”. I dalej: „Bez wątpienia teoria Darwina wywarła poważny wpływ na grupy religijne. Darwinizm utrzymuje, że życie jest produktem ślepego, niekierowanego materialnego procesu. Aby uczynić chrześcijaństwo zgodnym z tym twierdzeniem, rosnąca liczba chrześcijańskich teologów i naukowców zachęca nas do radykalnej zmiany naszego obrazu Boga. Twierdzą oni, że ponieważ ewolucja darwinowska jest niekierowana, sam Bóg nie wiedział, jaki będzie jej ostateczny wynik. Na przykład poprzedni dyrektor Obserwatorium Watykańskiego, astronom i ksiądz katolicki George Coyne utrzymuje, że „nawet Bóg nie mógł wiedzieć... z całą pewnością”, że „powstanie ludzkie życie”. Również katolicki biolog Kenneth Miller z Uniwersytetu Brown, autor popularnej książki *Finding Darwin's God (Znajdowanie Boga Darwina)*, twierdzi, że ewolucja jest niekierowanym procesem wprost zaprzeczając, że

Bóg prowadził proces ewolucyjny, aby osiągnąć jakiś określony cel – włączając w to rozwój ludzkich istot. Miller utrzymuje, że „pojawienie się ludzkości na tej planecie nie było zamierzone, że jesteśmy... po zastanowieniu się, drobnym detalem, szczęśliwym zbiegiem okoliczności w historii, która równie dobrze mogła nas pominąć”.

Tak więc, aby utrzymać niekierowany darwinizm, owi teologowie i naukowcy zachęcają chrześcijan „do porzucenia fundamentalnego przekonania dotyczącego Bożej wszechwiedzy i wszechmocy”.²⁴ Natomiast jeśli wierzyć amerykańskim gazetom, to niektóre jezuickie środowiska już się nad tym zastanawiały. Ojciec Chris Borbally, kierujący zakonnym obserwatorium jezuickim w Mount Graham (Arizona, USA) stwierdził w r.1997 na łamach „Sunday Times’a”: „Jeśli okaże się, że na innych planetach istnieje cywilizacja i można się z jej przedstawicielami porozumieć, wtedy pomyślimy o tym, żeby wysłać tam misjonarzy w celu zbawienia tych istot”²⁵. I oby żadnego z nich nie spotkał ich los ojca Orybaze z opowiadania Lema! Przeciwnie stanowisko zajął w r. 1952 ojciec Agostino Gemelli, rektor uniwersytetu mediolańskiego, pisząc na łamach tygodnika „Oggito”, że gdyby Bóg ułokował ludzi również i na innych planetach logika Jego planu zbawienia ludzkości stałaby się niezrozumiałą ponieważ nie pochodziliby oni od Adama „a więc nie odziedzicziliby po nim grzechu pierworodnego i nie zostaliby odkupieni przez Boga, który stał się człowiekiem”²⁶.

Na zakończenie pragnę zwrócić uwagę na bardzo inteligentne uwagi dziennikarza Antoniego Pośpieszalskiego, który u schyłku minionego już wieku w związku z zamiarem Amerykańskiej Agencji Badania Przestrzeni Kosmicznej (NASA) podjęcia badań nad tym, „czy istnieją we wszechświecie inne inteligentne istoty poza mieszkańcami planety Ziemi” zajął nader ambiwalentne stanowisko. Z jednej bowiem strony z uwagi na istnienie we wszechświecie miliardów planet uznał za mało prawdopodobne, aby prędzej czy później nie znaleziono gdzieś żadnych śladów pozaziemskich inteligencji. Z drugiej wszakże uważa za możliwe, że świadome i inteligentne życie „jest ograniczone do tego pyłka na skraju jednej z miliardów galaktyk, jakim jest Ziemia”. Jest rzeczą w pełni zrozumiałą, że nie wdawał się w rozważanie na temat czy w takim przypadku mieszkańcy tych zamieszkałych wyznawaliby jakąś religię. A już nad sprawą, czy objął ich boski plan zbawienia ludzkości, w ogóle się nie zastanawiał²⁷. A tym bardziej czy Bóg, że zacytujemy raz jeszcze ks. Hryniewicza, „objawił się tam w oczywisty, bezpośredni sposób” oszczędzając mieszkańcom danej planety „błądzenia i cierpienia”²⁸.

Całą bibliotekę książek oraz lawinę artykułów i audycji telewizyjnych poświęcono tak zwanym latającym spodkom, a w Watykanie znaleziono już nawet dla nich łacińską nazwę: *clipeis ardentibus*²⁹. Ale – o ile mi wiadomo – nikt się nie zastanawiał nad tym, jakiego wyznania mogą być owe dziwne ludziki nimi sterujące. Na dowód, że istnienie innych zamieszkałych planet niezbyt go interesuje zarówno w tytule swego eseju jak i na jego zakończenie Pośpieszański napisał: „Mnie w każdym razie jedna ludzkość wystarczy”. Niektórym naszym przodkom na pewno nie wystarczała.

W chwili obecnej liczba planet odkrytych poza Układem Słonecznym przekroczyła tysiąc, a jest to przecież jedynie drobny ułamek wszystkich planet należących do Drogi Mlecznej. Nic więc dziwnego, iż Watykan ustana-

wiając niedawno nowe święto ku czci Chrystusa nazwał go Panem Wszechświata, a nie świata. W r. 2008 oficjalnie dopuścił możliwość życia na innych planetach. Nie miał przeto racji Julian Mieroszewski, który przed laty pisał na łamach paryskiej „Kultury”: „Chrześcijaństwo jest religią klasycznie ziemską i nie jest przygotowane do przyjęcia poglądu kosmicznego. Człowiek z innej planety nie mógłby zostać chrześcijaninem, ponieważ [...] nie jego prarodzice popełnili grzech pierworodny, nie za niego umierał Chrystus na krzyżu, nie jemu obiecano zbawienie. A przecież prawdziwa religia musi być prawdziwą i uniwersalną wszędzie. Zarówno na Ziemi jak i na milionach planet w kosmosie. Bóg nie przynależy do żadnej religii – ani ziemskiej, ani pozaziemskiej i jest jeden i ten sam w całym wszechświecie”³⁰.

JANUSZ TAZBIR

1. *Nad przepaściami wiary*. Z ks. Wacławem Hryniewiczem rozmawiali Elżbieta Adamiak i Józef Majewski, Kraków 2001, s. 257.
2. J. Włodarczyk, *Księżyc w nauce i kulturze Zachodu*, Poznań 2012, s. 225.
3. G. Picht, *Odwaga utopii*, Warszawa 1981, s. 81 oraz F. Braudel, *Kultura materialna, gospodarka i kapitalizm XV-XVIII wieku*, t. 3: *Czas Świata*, Warszawa 1992, s. 456.
4. *Anegdota i sensacje obyczajowe Wieku Oświecenia*, oprac. R. Kaleta, Warszawa 1958, s. 211.
5. J. P. Dedieu, *Inkwizycja*, Wrocław 1993, s. 94 i 113.
6. A. Fantolli, *Galileusz po stronie kopernikanizmu i po stronie Kościoła*, Tarnów 1977, s. 33 i 40.
7. Ibidem, s. 33 oraz J. P. Lentin, *Myślę więc się myślę. Błędy i pomyłki w nauce od Pitagorasa do dziś*, Warszawa 1994, s. 126.
8. B. Fontenelle, *Rozmowy o wielości światów*, Warszawa 1765, s. 89.
9. Por. Bieńkowska, *Kopernik i heliocentryzm w polskiej kulturze umysłowej do końca XVIII wieku*, Wrocław 1971, s. 99, 125 i 179. Natomiast angielski jezuita, Ryszard Singleton (1566-1602) twierdził, iż istnieje tylko jeden świat, gdyż o innych nic nie wiadomo.
10. Ibidem, s. 157 i 179.
11. B. Rok, *Kalendarze polskie czasów saskich*, Wrocław 1985, s. 87 oraz M. Gorczyńska, *Popularyzacja wiedzy w polskich kalendarzach okresu Oświecenia (1737-1821)*, Lublin 1999, s. 179-180.
12. L. Piechnik, *Odrodzenie Akademii Wileńskiej, 1730-1773*, Rzym 1990, s. 112.
13. B. Rok, op. cit., s. 86.
14. M. Gorczyńska, op. cit., s. 179-180.
15. B. Chmielowski, *Nowe Ateny*, t. I, część 1, Lwów 1745, s.
16. J. Tazbir, *Sarmaci i świat*, w tegoż: *Prace wybrane*, t. III, Kraków, s. 233.
17. J. Tazbir, op. cit., s. 233.
18. S. Lem, *Dzienniki gwiazdowe*, Kraków 1966, s. 148-149.
19. L. Kubala, *Szkice historyczne*. Seria druga, Lwów 1881, s. 312.
20. Podobny motyw wprowadza A. Świętochowski, *Pisma*, część I-III, Warszawa 1909, s. 177 i nast. *Dramat pt. Zwiastun*.
21. M. Szczucki, *W kręgu myślicieli heretyckich*, Wrocław 1972, s. 88.
22. *Socynianizm a Oświecenie. Studia nad myślą filozoficzno-religijną arian w Polsce XVIIw.*, Warszawa 1966, s. 356-358.
23. *Katechizm Kościoła Katolickiego* (Poznań 1994, s. 231, § 936) ogranicza się do uznania wielości światów.
24. M. Chaberek OP, *Katolicy i pochodzenie ciała człowieka*, „Fron-da”, nr. 67, 2013, s. 98-99.
25. M. Baigent, R. Leigh, *Inkwizycja*, Warszawa 1999, s. 172, „Sunday Times” z 14 XII 1997. Autorzy *Inkwizycji* niesłusznie chyba dopatrują w tej wypowiedzi „zapierającą wręcz ducha arogancji”.
26. Cyt. za: J. Tuwim, *Cicer cum caule czyli groch z kapustą*, Warszawa 2009, s. 404-405.
27. A. Pośpieszański, *Jedna ludzkość wystarczy*, w tegoż: *O religii bez namaszczenia*, Kraków 1997, s. 209 i nast.
28. Por. przyp. 1.
29. R. Peyrefitte, *Klucze Piotrowe*, Warszawa 1958, s. 16.
30. J. Mieroszewski, *Religia a polityka*, w: *Wizja Polski na łamach „Kultury”, 1947-1976*, oprac. G. Pomian, Lublin 1999, s. 24.

STANISŁAW GĘBALA

DZIECIAKI

Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy i z jakiego powodu przestałem lubić to słowo? Dokładnej daty nie pamiętam, dobrze pamiętam jednak zdarzenie, które to spowodowało. Kilka lat temu (może już z dziesięć?) głośnym echem w mediach odbił się wybryk paru dryblasów (uczniów jakiegoś technikum?), którzy nauczycielowi języka angielskiego urządzali na lekcjach... jak to nazwać?... powiedzmy: osobliwe happeningi, których kulminacją było nakładanie mu na głowę kosa na śmieci. Filmik, na którym utrwalono te „zabawy”, pokazywała wielokrotnie telewizja, komentując je również szeroko ustami swoich dziennikarzy, a także zapraszanych gości. Szczególnie zapadły mi w pamięć słowa wychowawcy(?) rozwydrzonej klasy, a więc niejako „obrońcy z urzędu”: To dobre dzieciaki i można z nimi zrobić jeszcze wiele dobrego.

Nie jestem pewien czy dokładnie cytuję, ale nie zmieniłem sensu owej wypowiedzi, która spowodowała moją nieuleczalną alergię na słowo „dzieciaki”, używane często z zamiarem bagatelizowania (jeśli nie usprawiedliwiania) różnych wyczynów młodych ludzi. Takie próby można by określić jako naiwny optymizm pedagogiczny i wzruszyć (bagatelizując) ramionami, ale już w żadnym razie nie wolno tak potraktować wypowiedzi jednego z telewizyjnych komentatorów (z tytułem profesora!), który nazwał „dzieciakami” dwoje 18-letnich morderców, których zbrodnia wstrząsnęła pod koniec ubiegłego roku chyba każdym z nas. Ze słowem „dzieciaki” można kojarzyć wybryki, głupie żarty, psikusy; dzieciaki mogą stłuc szybę, nawet pobić się na podwórku czy szkolnym korytarzu – natomiast 18-latkowie, którzy dopuszczają się bestialskiego mordu, wykraczają już poza człowieczeństwo i zamieniają się w bestie.

To ostatnie słowo napisałem z ciężkim sercem, bo jeszcze niedawno wzdrygałem się na określenie, które zaczęło krążyć w przestrzeni publicznej: „ustawa o bestiach” – wydawało mi się ono bowiem nie do pogodzenia z wartościami humanistycznymi, przyjętymi za fundament naszego życia społecznego. Jednak coraz częściej myślę (z rosnącą trwogą) o pułapce humanistycznych frazesów, w jaką wpadliśmy i wpadamy coraz głębiej, zatracając wręcz instynkt samozachowawczy. Wspomniany wyżej optymizm pedagogiczny, bezwzględnie narzucony szkole przez władających nią niepodzielnie urzędników różnych szczebli administracji, praktycznie ubezwłasnowolnił nauczycieli. Szkoła,

według obowiązującego frazesu „przyjazna uczniom”, stała się w wielu (zbyt wielu!) przypadkach dżunglą, w której rządzi prawo silniejszego drapieżnika.

Niestety, te wyświechtane porównania do dżungli i drapieżników nie przystają do świata ludzkiego, bo pocziwymi drapieżnikami kierują proste instynkty, gdy tymczasem nawet bardzo młodzi ludzie bywają tak okrutni i perwersyjni, że „to się nie mieści w głowie”. Te słowa były często jedynym komentarzem, na jaki mogli się zdobyć mieszkańcy Białej Podlaskiej, zwykli przechodnie, pytani przez dziennikarzy o opinię na temat bulwersującej zbrodni. Oczywiście, tak prostodusznej odpowiedzi nie może udzielić przed kamerami telewizyjnymi ekspert z tytułem profesora, dla którego to są jeszcze „dzieciaki”. Spodziewałem się jednak po nim większej konsekwencji językowej; opis zdarzenia, zaczynający się od tego słowa, powinien mieć mniej więcej taki ciąg dalszy: dzieciaki pokroili mamusię i tatusia, co jest, oczywiście, zachowaniem nagannym, ale nie przesadzajmy z naganami, które są ogromnie stresujące dla dzieciaków.

Proponuję natomiast przeczytać uważnie opinię innego eksperta, którą przepisałem z gazety raczej rzadko cytowanej, ale za to powszechnie czytanej – z numeru świątecznego „Faktu”. Autorem jest Andrzej Komorowski, psychoterapeuta, seksuolog kliniczny i doradca rodzinny. Tytuł jego wypowiedzi jest ostrzeżeniem, którego obyśmy nie zlekceważyli: *Takich zbrodni może być więcej.*

„Coraz częściej będziemy spotykać się z agresją. Mamy bowiem do czynienia z pokoleniem przełomu, które wyrosło na fikcji filmów mówiących o czarodziejach i stworach z innego świata, a także na wzmożonym seksualizmie. Są groźni, gdyż nie panują nad emocjami. Część z nich przenosi wirtualną rzeczywistość na realne życie. Zostali jednocześnie zwolnieni z poczucia odpowiedzialności i z obowiązków. Zostawieni sami sobie. Do okrucieństwa posuwają się ci o cechach parapsychopatycznych. W ich mniemaniu wolno im więcej, gdyż ich wartości są najważniejsze. To próba zwrócenia uwagi na siebie, ale też bunt wobec społeczeństwa i wartości. Motywem może być zemsta, gniew, chęć odzucia mordu lub misja, gdy ktoś jest szalony”.

Myślę, że każde zdanie tej zwięzłej opinii formułuje jasno i precyzyjnie problemy, które kolejno – ale w ich wzajemnym powiązaniu – musimy rozważyć. Czy z tych rozważań mogą wynikać jakieś realne wnioski,

wpływające na nasze życie społeczne, to już zupełnie inna sprawa. Mam – zapewne związane z podeszłym wiekiem – dojmujące poczucie, że ludzka zbiorowość jest zupełnie niesterowalna. I nie jestem pewien czy podobne poczucie jest zupełnie obce autorowi, który chyba (jako psychoterapeuta, seksuolog kliniczny i doradca rodzinny) gorąco by temu podejrzeniu zaprzeczył (inaczej bowiem musiałby się przyznać do bezsilności w każdej ze swych ról zawodowych), jednak jego własne stwierdzenia mówią przede wszystkim o grozie i beznadziejności sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Beznadziejności, bo to pokolenie, które go tak niepokoi, już w y r o s ł o. A rosną kolejne – dokładnie w tych samych warunkach; w rodzinach, które nie nakładają na „dzieciaki” żadnych obowiązków i nie wpajają poczucia odpowiedzialności, w szkole, która głosząc, że jest „przyjazna”, stała się wręcz niebezpieczna, wreszcie w internecie, który staje się dla nich bardziej rzeczywisty niż otaczający świat, „świat na krawędzi”.

To określenie (podobnie jak „ludzkość na krawędzi”) zostało jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego wieku tak wyświechtane w dętej publicystyce i nachalnej propagandzie, że Tadeusz Różewicz pod koniec lat 60. uczynił je przedmiotem drwiny w takim oto dialogu ze sztuki *Stara kobieta wysiaduje*:

„PAN: Cóż, Cyrylu, znów ludzkość na krawędzi.

CYRYL: Niestety, panie mecenasie, na krawędzi... czy umyć głowę?

PAN: Nie trzeba... parę latków przeszło i znów na krawędzi...

CYRYL: A jak małżonka pana redaktora? Jeśli można wiedzieć.

PAN: Dziękuję, na krawędzi, ale pełna energii”.

Całkiem poważnie natomiast brzmi tytuł rozmowy-rzeki ze Stanisławem Lemem, którą przeprowadził pod sam koniec XX wieku Tomasz Fiałkowski: *Świat na krawędzi* (Kraków 2000). Niestety, ta przestroga, która powinna budzić grozę, kojarzy się już tylko z dziesiątkami filmów katastroficznych, bo wszystkożerna rozrywka zawłaszczyła i ten temat, potwierdzając trafność diagnoz i prognoz Lema. Np. takiej:

„W coraz bogatszej scenerii coraz lepiej wykonanych wybuchów, trzęsień ziemi i cyklonów pokazują nam straszliwie zbanalizowane krajobrazy międzyludzkich stosunków, jakby jakaś niewidzialna betonowa płyta wszystko spłaszczała, spłaszczała i spłaszczała”.

Wszystkożerna rozrywka niszczy coś, na czym, zdaniem Lema, „opiera się cywilizacja”: „hierarchię ważności zjawisk”. Pod koniec ubiegłego stulecia nasz największy twórca literatury s. f. domagał się respektowania tej hierarchii, najwyraźniej nie wyobrażając sobie świata jej pozbawionego – ale my w takim świecie już żyjemy, a właściwie w swoich prywatnych światach, w których indywidualnie wyznaczamy „hierarchie ważności zjawisk” i – dodajmy od razu – wartości. W swojej megalomanii posuwamy się aż do absolutyzacji naszej osobistej wolności jako wartości najwyższej, odrzucając wszelkie tabu, ograniczające ją.

Z przyzwyczajenia posługujemy się jeszcze liczbą mnogą, ale owo „my” rozsypało się już na miliony jednostek, a każda – jak w grze komputerowej – samotnie przemierza swój wyimaginowany świat z najnowocześniejszą bronią w ręku, wypatrując wrogów, którzy mogą kryć się wszędzie i przyjmować najróżniejsze po-

stacie. Aż strach pomyśleć, że o takich herosów z gier komputerowych (na szczęście uzbrojonych co najwyżej w noże) ocieramy się codziennie na ulicy – tym bardziej że ciągle mamy (w realu) tylko jedno życie.

Trzeba jednak cofnąć się o całą epokę technologiczną, bo Zuzanna M. i Kamil N. to raczej postacie, które wyszły z ekranu kinowego. Pomysłodawczyni „niemieszczącej się w głowie” zbrodni mówiła o tym wprost – wyrażając żal, że na „robotę” nie kupiła sobie przezroczystego płaszcza, jaki nosił seryjny morderca, bohater filmu *American Psycho*.

Zaczynam się wkląć w nierozstrzygalny spór: czy drastyczne sceny filmowe mają, czy nie mają wpływu na zachowania widzów? Z pewnością kino nie ponosi głównej odpowiedzialności za to, że 18-letnia dziewczyna stała się sadystyczną morderczynią, która zeznawała przed prokuratorem, że „z każdym ciosem nożem czuła się coraz bardziej podniecona i szczęśliwa”. Żadne dziecko nie rodzi się ze zdolnością rozróżniania dobra i zła – tego trzeba je dopiero nauczyć. Najwidoczniej Zuzanny M. nikt tego nie nauczył, utwierdził za to najprawdopodobniej w przekonaniu o własnej wyjątkowości. Ktoś napompuwał ten balon megalomanii z napisem: „Bezczelnie młoda i bezczelnie zdolna”, który unosił ją coraz wyżej aż pod urojone niebo – ponad głowy zwykłych ludzi oglądanych zapewne z rosnącą pogardą i nienawiścią. Z pewnej wysokości ludzie do złudzenia przypominają insekty i mogą budzić już tylko obrzydzenie.

Wyobraźnia poetycko nieokiełznana czy po prostu perwersyjna i chora? Żeby odpowiedzieć, trzeba przyrzeć się tworzonym przez nią obrazom. „Wpłatał pomiędzy zdania ścięte głowy” – poprzestałmy na tym jednym cytacie z wiersza Zuzanny M. Taką wyobraźnię na pewno współkształtowały filmy, w których gęsto toczą się odcięte głowy, ociekające krwią. Znajdziemy ich dziesiątki w każdej wypożyczalni video; wystarczy sięgnąć na odpowiednią półkę. Kręcą je – dla zabawy – wyrośnięci chłopcy w typie Quentina Tarantino, osiągając niekiedy wybitne rezultaty artystyczne. (Inne rezultaty własnej twórczości, np. niewątpliwy wpływ na „dzieciaki”, raczej ich nie interesują.) Za nimi podążają liczni wyrobnicy „kina gatunków”, kręcąc rozmaite *Masakry piłą mechaniczną* i ich sequele, skrupulatnie numerowane (II, III... V itd.). Ta lawina toczy się i jest nie do zatrzymania. Przemysł rozrywkowy działa jak siły przyrody, których potęgą nas obezwładnia i paraliżuje nawet myśl o przeciwdziałaniu. Gdy jednak taka myśl zostaje zwerbalizowana, natychmiast rozlegają się potężne grzmoty: „Nie pozwolimy ograniczyć wolności twórczej!”, „Nie damy sobie narzucić cenzury ani autocenzury!”.

Tymczasem hektolitry czerwonej farby czy keczupu na ekranie, czyli w świecie wirtualnym, jednak jakoś od czasu do czasu zlewają się w jedną plamę z rozbryzganymi prawdziwej krwi – np. na ścianach zupełnie nowego domu w Rakowiskach. Oczywiście, absurdem byłoby sadzanie na ławie oskarżonych (obok „dzieciaków”) Lyncha czy Tarantino. Wybitni twórcy zawsze dążyli do przekraczania granic, jakie ich sztuce próbowali wyznaczać cenzorzy. Łamanie religijnych i obyczajowych tabu wielu artystów uznało wręcz za swoje powołanie, za które nieraz w przeszłości drogo płacili. Katastrofą naszej współczesności jest natomiast armia ich bezrefleksyjnych naśladowców, którzy prześcigają się

w skandalizowaniu i epatowaniu masowego odbiorcy coraz większymi dawkami okrucieństwa i erotyzmu w produkowanych na skalę przemysłową filmach czy grach komputerowych.

Jeszcze raz Lem:

„– Detabuizacja, permissywizm – to jest bardzo niezdrowe. Bronię wolności, ale są pewne zjawiska, w sferze nie tylko erotycznej, które powinny być rozżarzonym do białości żelazem wypalane”.

Inaczej mówiąc: musimy naszej wolności określić granice, których domaga się choćby instynkt samozachowawczy – jeśli go jeszcze nie utraciliśmy. A można powziąć uzasadnione podejrzenia, że i to już się stało. Oto niedawno znów słyszeliśmy patetyczne deklamacje, że nieograniczona wolność słowa jest fundamentem naszej demokracji. Było to po szoku, jaki wywołał atak terrorystyczny na redakcję paryskiego pisma satyrycznego „Charlie Hebdo”. Jeśli istotnie nasza demokracja opiera się na takim fundamencie, to nie przetrwa zbyt długo, bo jest to fundament przez nas samych podminowany, gdyż zasada nieograniczonej wolności słowa automatycznie niszczy indywidualne poczucie odpowiedzialności za słowo.

Dobrze, że odrzucamy cenzurę (choć daleko nie wszyscy, można bez trudu wskazać spore grupy społeczne, które skwapliwie by ją przywróciły); ale już fenomen autocenzury wart jest chwili namysłu. Czy nie dokonujemy tu przypadkiem manipulacji językowej, polegającej na takim rozszerzeniu treści tego zniechęcającego pojęcia, żeby zmieściła w sobie również owo uwierające nas żądanie wzięcia odpowiedzialności za słowo? „Nie zamierzam narzucać sobie żadnej autocenzury!” – czy ta dumna deklaracja nie maskuje nader często... hm, ujmę to najłagodniej: moralnej bezrefleksyjności?

Minę, którą sami założyliśmy pod fundament naszej demokracji, możemy w każdej chwili zdetonować własnoręcznie – np. rozpoczynając spór, w którym padną tak raniące słowa, że żaden kompromis nie będzie już możliwy i nasza społeczność się po prostu rozpadnie; wtedy automatycznie spełni się marzenie jednych a koszmar innych: o „silnej ręce”, która weźmie wszystkich za twarz. O zagrożeniach zewnętrznych nawet nie warto wspominać – tak są dziś oczywiste.

Obaliliśmy już wszystkie tabu, ot tak, mimochodem – nawet tego nie zauważając, bo często myliliśmy je ze zwykłymi konwenansami, narzuconymi przez tradycję. Sławomir Mrożek, przyjaciel Stanisława Lema, umieścił w *Tangu* takie wspomnienie Eleonory, matki Artura, buntującego się w połowie lat 60. ubiegłego wieku przeciw ogólnemu rozprężeniu moralnemu:

„ELEONORA: [...] Stomil, pamiętasz, jak rozbijaliśmy tradycję? Posiadłeś mnie w oczach mamy i papy, podczas premiery »Tannhäusera«, w pierwszym rzędzie foteli, na znak protestu. Straszny był skandal. Gdzie te czasy, kiedy to jeszcze robiło wrażenie. Starałeś się wtedy o moją rękę”.

Publiczność zaśmiewała się, odbierając to jako satyrę na ekscesy obyczajowe pseudoelit artystycznych. Do rewolucji seksualnej „dzieci-kwiatów” pozostało zaledwie kilka lat. Potem upłynęło jeszcze parę dziesięcioleci i Lem w cytowanej już rozmowie-rzecz informował o pewnych badaniach statystycznych:

„– Prawie 80 procent dziewcząt z wyższych klas gimnazjalnych w Moskwie, zapytanych, o jakim zawodzie marzą, odpowiedziało: chciałabym zostać prostytutką”.

A wśród wielu naszych gimnazjalistek budziły zażość kosmetyki i ciuchy „galerianek”, które doczekały się nawet swojego zbiorowego portretu filmowego.

I tak wróciliśmy do miejsca „dzieciaków” w „świecie na krawędzi”, który kusi je nieograniczoną wolnością, nieskrępowaną żadną odpowiedzialnością. Całe pokolenie budowało im ten świat, zaczynając od przebudowy (czytaj: destrukcji) tradycyjnej rodziny; np. odrzucając autorytet i obowiązki matki i ojca, a przyjmując rolę „partnera”. (Dziennikarze, którzy nie zdołali wyciągnąć od matki Zuzanny M. ani słowa, skwapliwie zapisali wypowiedź jednego z nauczycieli: „– Słyszeliśmy od niej, że ma z córką partnerską relację – są przyjaciółkami, a my mamy się niczym nie przejmować”.) No cóż, permissywizm – jak wszystko – zaczyna się w rodzinie. Relacje partnerskie wykluczają stawianie jakichkolwiek wymagań – przyjaciółkę można co najwyżej o coś poprosić.

Zresztą ten eufemizm „relacje partnerskie” ukrywa najczęściej wychowawczą klęskę i kapitulację rodzica, który godzi się na domowy terror, a „terrorystą” może być już 2-3-latek(-ka). Tu i ówdzie można nawet usłyszeć pieśń: „Nasz mały terrorysta” – co sam słyszałem na własne uszy i miałem wrażenie, że spod żartobliwego tonu przebija jakieś poczucie dumy „terrorystów” rodziców (w odniesieniu do tej sytuacji można jeszcze stosować cudzysłowy). Ale „dzieciaki” rosną szybko i nigdy nie można mieć pewności, co z nich wyrośnie. „Co z ciebie wyrośnie?” – to pytanie również zostało gruntownie ośmieszone w literaturze i filmie, nie mówiąc już o rodzinie i szkole (tu raczej nieświadomie – poprzez nadużywanie w celach pedagogicznych).

To osobny i ważny temat: anachronizm języka, którym pokolenie rodziców i nauczycieli usiłuje komunikować się z własnymi dziećmi i uczniami, kwitującymi te próby zwykłym gestem zniecierpliwienia. Bywa także odwrotnie: kiedy to rodzice chowają się za jakąś szklaną dzwinkoszczelną ścianą. W publikacjach dotyczących zbrodni w Rakowiskach znalazł się taki cytat z zapisów Zuzanny M., dotyczący jej matki: „zna osiem języków, ale żadnego do kontaktu z nią”. Jest tu ton prawdziwie przejmujący; jakby wyrzut z powodu daremności prób kontaktu, które chyba jednak były podejmowane przez córkę.

A może i te próby dokonywały się już tylko w wyobraźni inspirowanej filmem? Jeśli tak, były to inspiracje związane raczej z melodramatem niż horrorem; natomiast oba gatunki łącznie stworzyły zapewne pożywkę dla infantylnych rojeń o bajecznych honorariach za tomiki wierszy uwierzytelnionych dokonaną masakrą (pamiętamy obietnicę wypłacenia stu tysięcy złotych dwojgu znajomych 19-latków za pomoc w ucieczce z miejsca zbrodni i niszczeniu dowodów).

Właściwie wszystko było wytworem filmowej wyobraźni. Tylko zmasakrowane zwłoki 42-letniej kobiety i 48-letniego mężczyzny były prawdziwe.

STANISŁAW GĘBALA

MARIAN STĘPIEŃ

O „KUŹNICY”

Fragmenty dziennika (cz. III)

1 III 1989.

W „Rzeczpospolitej” ukazał się artykuł Edwarda Gretschela *Krakowska »Kuźnica«*. Szerokie myślenie i bez dogmatów. Pierwsze poważniejsze echo na przywrócenie „Kuźnicy” statusu stowarzyszenia wyższej użyteczności publicznej. Na wstępie autor przytacza fragment deklaracji programowej: „»Kuźnica« skupia środowiska dążące do realizacji idei humanizmu, praw człowieka, rozwoju społecznego, demokracji politycznej, suwerenności narodowej, niepodległości państwowej. Wartości tkwiące u podstaw tych idei to wolność, równość, sprawiedliwość, racjonalizm, godność osoby ludzkiej, podmiotowość społeczna, prawda...”. Przypomniałszy skomplikowane dzieje „Kuźnicy” w przeszłości, kiedy to „Kuźnica” stawała przed groźbą likwidacji i dorobku, pisze: „Cokolwiek powiedzieć o popełnianych błędach i niewątpliwych sukcesach tamtego okresu, była »Kuźnica« na pewno ewenementem nie tylko Polski, wypracowując swoje atuty w otwartej i nieskrępowanej dyskusji”.

Autor odnotował też zmiany w koncepcji „Kuźnicy” wprowadzone na jej ostatnim walnym zebraniu: „Trzecie i ostatnie odrodzenie »Kuźnicy« nastąpiło w listopadzie ubiegłego roku, kiedy zarejestrowano nowy statut stowarzyszenia, dopasowany do zmieniających się warunków politycznych, wyrażający wolę jego członków. Wraz z nową formułą krąg członków rozszerzył się o inżynierów, robotników, rolników, menedżerów, studentów, przedsiębiorców. Powstał swoisty sojusz kręgów kulturalnych i gospodarczych”.

24 VI 1989.

Zastanawia fakt, że kandydujący na posłów aktywni i znani członkowie „Kuźnicy” (Hieronim Kubiak, Andrzej Kurz) przepadli w wyborach do Sejmu.

8 VII 1989.

Sprawa „Kuźnicy” pojawiła się nieoczekiwanie na moim czterogodzinnym spotkaniu z przedstawicielami inteligencji Wałbrzycha i okolic na zamku w Książu. Doszło do spięcia między mną a jednym z dyskutantów, który – być może – nie tylko we własnym imieniu zaatakował kierownictwo partii za zbytnią uступliwość, odejście od socjalizmu, zdradę klasy robotniczej etc. Odpowiedzialnością za to obciążał „różnych takich”, co

to przyszli z „Kuźnicy”, ze „Zdania” i przynieśli ze sobą nieszczęście dla partii.

W odpowiedzi rozwinąłem cały wywód, że nieszczęściem jest to, iż tak późno, za późno sięgnięto po ludzi z takich środowisk, jak na przykład „Kuźnica”. Gdyby uczyniono to wcześniej może uniknęlibyśmy wielu błędów i ich konsekwencji, które teraz wszyscy, także ci z „Kuźnicy”, ponosimy.

15 VII 1989.

Ponaddwugodzinna rozmowa z Andrzejem Urbańczykiem o oświadczeniu „Kuźnicy” dotyczącym wyborów, które ukazało się we wczorajszej „Trybunie Ludu”. Dobrze, że zostało podjęte i opublikowane, ale wolałbym, żeby fragment końcowy zawierający krytyczne uwagi o krakowskich władzach nie wszedł do tego oświadczenia, bo obniża jego rangę. Mogłyby one być ewentualnie oddzielnie sformułowane.

24 VIII 1989.

W „Kuźnicy” wprowadziliśmy zwyczaj spotkania się co poniedziałek o piątej, by podzielić się opiniami i komentować zdarzenia. Byłem tam trzy dni temu.

Rozmawialiśmy głównie o partii. O konieczności jej przebudowy, może – jak niektórzy uważali – jej podziału. W jednej kwestii zaznaczyła się różnica zdań między mną a dyskutującą resztą. Większość mówiła o tych członkach partii, z którymi „nam nie po drodze”, z którymi „nie chcemy być w tych samych szeregach” (padały nazwiska).

Z niechęcią myślałem o wewnętrznych porachunkach między stronami, z których każda uważa siebie za „prawdziwą lewicę”, za „uczciwą lewicę”. Sam przekonałem się w ostatnim czasie, jak łatwo tu o pomyłkę w jedną i drugą stronę. W podejmowaniu trudnych problemów dzisiejszej Polski, w działaniu niech się ustala, komu z kim „jest po drodze”.

Odszedłem z „Kuźnicy” już po ósmej wieczorem z poczuciem, że nie przekonałem nikogo. Co gorsza, wszyscy pewno zobaczyli we mnie „betona”.

8 II 1990.

W „Kuźnicy”: trudności ze „Zdaniem”. Ukaze się jeszcze numer styczniowy – na następny nie ma już pieniędzy.

dzy. Jest okazja kupienia papieru po korzystnej cenie. Razem z drukiem drugiego numeru kosztowałoby to 7 milionów złotych. Wydawnictwo nie ma tych pieniędzy. Bauer proponuje, by zaapelować do „kuźniczan” o składkę. Popieram ten pomysł. Jestem gotów w tym uczestniczyć.

6 VII 1990.

Wczoraj spotkanie w „Kuźnicy” z cyklu poświęconego przygotowaniu nowej konstytucji. Gościem był Podemski z „Polityki”. Dzięki obecności kilku profesorów prawników z UJ spotkanie było ciekawe, a dyskusja na wysokim poziomie merytorycznym.

Przed spotkaniem Hieronim Kubiak w gronie członków Rady „Kuźnicy” odczytał list wysłany przez niego w imieniu Rady do premiera Mazowieckiego wyrażający oburzenie i protest przeciwko temu, co stało się (i w jakim stylu) w „Gazecie Krakowskiej”. Dyskusję wywołało pytanie, czy tekst ten należy publicznie ogłosić. Stało na tym, że do tej kwestii się powróci w nieodległym terminie, zależnie od reakcji (lub jej braku) ze strony premiera.

Przedwczoraj, na krótko przed północą, z ostatnich wiadomości telewizyjnych dowiedziałem się, że Andrzej Urbańczyk zwolniono z funkcji redaktora naczelnego „Gazety Krakowskiej”. W rozmowie przed kilkunastu dniami Andrzej opowiadał mi o problemach „Gazety”, której był naczelnym redaktorem po rozwiązaniu PZPR i utworzeniu SdRP. „Gazeta” miała być jednym z nielicznych dzienników nowej partii. Mówił o działaniach pełnomocnika do spraw związanych z likwidacją RSW w Krakowie, a także o roli, jaką w tym pełni Maciej Szumowski. Zażądał on od Andrzeja zwolnienia kilku osób (bodaj sześciu) z redakcji, z którymi Szumowski miał osobiste porachunki u progu lat osiemdziesiątych. Żądanie Szumowskiego miało znamiona osobistego rewanzu. Andrzej w rozmowie ze mną oświadczał, że temu żądaniu nie ulegnie. Zwolnił tylko dwie osoby, z którymi sam chciałby się rozstać (Rajcę i Strzelewicza). We wtorek 3 lipca, gdy był na zebraniu „Kuźnicy”, dostał wiadomość, by przybył do redakcji, bo odbędzie się wprowadzenie nowego redaktora naczelnego. Na schodach prowadzących do jego gabinetu spotkał właśnie likwidatora RSW, Schoena, który powiedział mu, w przelocie, że nie ma po co iść dalej, bo przestał już być redaktorem; odpowiednie pismo otrzyma, a na rozmowę nie ma teraz czasu. Andrzej poszedł na górę „do siebie”, gdzie był już nowy redaktor, Pikulicki. W jednej chwili zostali zwolnieni Andrzej i jego zastępca, Zbigniew Bauer.

Po sześciu dniach kierowania „Gazetą” przez Urbańczyka rząd powołał komisję do spraw likwidacji RSW. Po stu kilku dniach został on odwołany ze swego stanowiska.

Zbigniew Bauer przed 13 grudnia 1981 roku był naczelnym redaktorem białostockich „Kontrastów”. W opinii miejscowych władz zanadto sprzyjał „Solidarności”, toteż po wprowadzeniu stanu wojennego znalazł się wśród dziennikarzy, którzy nie przeszli przez weryfikację i stracili pracę.

Jeszcze w czasie, gdy „Zdaniem” kierował Zbigniew Regucki, Bauer nawiązał z nami współpracę dojeżdżając z Białegostoku do Krakowa, ku wyraźnemu niezadowoleniu krakowskich władz politycznych. Kiedy na początku 1983 roku objął kierownictwo „Zdania” doprowadziłem do końca sprawę zatrudnienia Bauera na pełnym etacie i załatwiłem mu, w rozmowie z Tade-

uszem Salwą, zamianę mieszkania z Białegostoku na Kraków, co nie przyszło tak łatwo, gdyż Salwa dysponował niekorzystną opinią Władysława Machejka o Bauerze z czasu jego pracy w redakcji „Życia Literackiego”. Bauer sprzyjał redakcyjnej „Solidarności” i występował przeciw Machejkowi. Ten mu to pamiętał i wystawił mu bardzo krytyczną opinię.

Za zwolnieniem Urbańczyka i Bauera zorientowani w środowisku dziennikarskim widzieli działanie Macieja Szumowskiego powołanego przez premiera w skład komisji likwidującej RSW. W moich oczach obydwa, Urbańczyk i Bauer byli do niedawna dobrymi kolegami Szumowskiego. W latach osiemdziesiątych brali go często w obronę, także przede mną. Mieli wysokie mniemanie o jego talencie dziennikarskim i postawie moralnej. Obaj byli rzecznikami przyznania Szumowskiemu Nagrody Kowadła, co zostało zrealizowane. Nb. wbrew kilku głosom przeciwnym, a nawet wystąpieniu z „Kuźnicy” na znak protestu przeciw takiej decyzji jej władz. W warunkach, które szczególnie zobowiązują do wielkoduszności i są sprawdzianem charakteru, gdy Szumowski znalazł się po stronie zwycięskiej, okazał się on człowiekiem nie tak wielkiego formatu, za jakiego ci dwaj go uważali.

18 IX 1990.

Wczoraj w rozmowie z Andrzejem Urbańczykiem (nadal bezrobotnym) dowiedziałem się o dalszych losach „kuźnicowego” protestu przeciw jego zwolnieniu ze stanowiska redaktora naczelnego „Gazety Krakowskiej”. Miał się ukazać artykuł w tej sprawie na łamach „Polityki”, przygotowany przez Jagienkę Wilczak w rozmowie z Urbańczykiem. Wypatrywałem go w kolejnych numerach tego tygodnika. Daremnie. Okazało się, że Maciej Szumowski odbył w tej sprawie rozmowę z Janem Bijakiem, naczelnym „Polityki” i spowodował wstrzymanie materiału.

8 II 1991.

Poważny kryzys w „Kuźnicy”. Zbliża się moment, który nadejść musiał, którego się spodziewaliśmy. Obecne władze Krakowa nie będą sprzyjać liberalno-lewicowym środowiskom, zwłaszcza takim, jak „Kuźnica”. Do tego dochodzi repriwatywizacja. Za lokal trzeba płać, a pieniędzy nie ma. Fundacja „Kuźnica”, przed paru miesiącami wreszcie zarejestrowana, nie ma żadnych pieniędzy, nie ma menedżera, który by coś poprowadził i rozkręcił. Potencjalny menedżer, przez nas upatrzony i godzący się na przyjęcie tej roli, nie mógł się doczekać – i trudno mu się dziwić – zarejestrowania fundacji i odszedł gdzie indziej.

Wolą spadkobiercy, mieszkającego w USA właściciela budynku, pomieszczenia „Kuźnicy” oddane zostaną Uniwersytetowi. Tu powinienem się cieszyć, jako jego profesor, ale i nie martwić się nie mogę jako członek „Kuźnicy”.

Stowarzyszenie może działać nadal. Ale jak? Bez pieniędzy, bez lokalu? Czasem takie trudności i przeżycia powodują zwieranie szeregów i mobilizację. Ale jak będzie w naszym Stowarzyszeniu?

19 stycznia odbyło się Walne zebranie. Sala była niby pełna, ale była to najwyżej 1/5 członków. Zaczęły się „głębokie” dywagacje, zapytania w rodzaju: „Czy jest mi potrzebna »Kuźnica«?” Z różnymi mętными odpowiedziami. Ale nie brakło wypowiedzi podkreślających więk-

szą niż dawniej jej potrzebę. Jak to będzie w nowych warunkach? Czy Stowarzyszenie przetrzyma obecne trudności? Czy znajdzie sposób wpisania się w dzisiejszą rzeczywistość polską?

23 III 1991.

We wtorek, 19 marca – wieczór w „Kuźnicy” z posłanką Izabellą Sierakowską poświęcony ustawie antyaborcyjnej. Wszystko niestety wskazuje (takie jest jej przekonanie), że Sejm przyjmie senacki projekt ustawy. Głosowanie będzie jawne, więc wielu posłów, także z lewicy, nie odważy się przeciwko niemu głosować. Presja jest olbrzymia. Uchwalenie tej ustawy ma być prezentem dla papieża, który w czerwcu przyjeżdża do Polski. W związku z tym żadne racjonalne argumenty nie są przyjmowane przez większość członków komisji nadzwyczajnej, która w Sejmie się tym zajmuje.

Dyskusja w „Kuźnicy” obfitowała w bardzo dramatyczne wystąpienia kobiet, które podawały alarmujące fakty świadczące o obskurantyzmie, klerykalizmie otoczenia, w którym pracują.

26 III 1991.

„Zdanie” zostało wykupione przez Fundację „Kuźnicy” za 1.000.000 złotych. Należało do „Kuźnicy”, która je wymyśliła, stworzyła, nadała jakąś rangę. Zostało jej zabrane przez Komisję Likwidacyjną, a ta je sprzedała... „Kuźnicy”. Tyle dobrze, że nie za wysokie pieniądze.

W poniedziałek (24 bm.) odbyła się w „Kuźnicy” dyskusja na tematy konstytucyjne, z udziałem prof. Sylwestra Zawadzkiego. Długo łąamałem się z sobą, nim w końcu zdecydowałem się tam iść. Przede wszystkim z poczucia solidarności z organizatorami spotkania.

I z tego tylko względu dobrze, że tam byłem. Wyniosłem niedobre wrażenie. Audytorium niezbyt liczne, dyskutanci nieciekawi, zainteresowanie tematem umiarkowane, lewica defensywna, niepewna siebie, zastraszona, co obserwuję u wielu kolegów i znajomych.

26 IV 1991.

Czasem, co kilka dni, wstępuję do „Kuźnicy”, by spotkać tam bliskie mi twarze, ale najczęściej wychodzę zasmucony. Tych twarzy już nie ma. „Kuźnica” wygasa, wypędzona przez spadkobierców właściciela budynku. Przechodzę przez kawiarnię, gdzie przy stolikach nie widać – jak dawniej – umawiających się tu na chwilę rozmowy dziennikarzy, literatów. Pełno dymu, towarzystwo mało sympatyczne – to już nie ta kawiarnia, jaka tu była do niedawna.

W pokoju, w którym mieścił się ruchliwy, pełen życia sekretariat „Kuźnicy”, „Zdania”, „Nart” i jeszcze kilku innych stowarzyszeń, siedzą teraz pochylone nad biurkami jakieś obce panie; mają tu jakiś swój urząd. W pokoju następnym, gdzie zawsze siedziało kilka osób, bo warto było przysiąść się na chwilę rozmowy, jest zupełnie inny klimat. Przy biurku siedzi dwóch młodych panów z ponurymi minami, którzy nawet na słowa „dzień dobry” rzadko odpowiedzą, pilnie zajęci czymś, co jest przed nimi rozłożone.

I trzeci pokój, niegdyś naszej – „Zdania” – redakcji. Tam jeszcze jest resztką, wygasająca resztką tego, co było dawniej. Jeszcze Zbyszek Regucki redaguje „Kra-ków”, coraz bardziej zdenerwowany brakiem wyraźnej decyzji co do dalszych losów tego kwartalnika. Gotowa

jest go przejąć Fundacja „Cracovia”, ale miasto – chociaż niechętnie myśli o kosztach z tym związanych – chciałoby zatrzymać wpływ na to pismo. Decyzja się przewleka. Nie mówię tego Zbyszkowi, ale myślę, że za tym kryją się czyjeś chęci zastąpienia go na tym stanowisku.

13 V 1991.

W piątek (10 bm.) odbyło się w „Kuźnicy” spotkanie z Wojciechem Jaruzelskim. Okazję dała książka Manfreda E. Bergera *Jaruzelski*. Książkę czytałem, ma ona słabe strony tam, gdzie analizuje sytuację polityczną. Ciekawsze dla mnie były szczegóły biografii Generała.

Zastrzegł on sobie, by w spotkaniu brało udział niezbyt wiele osób. Ograniczał ich mniej więcej do 60-70. Tyle może pomieścić nasza „czerwona sala”, ale to znacznie mniej, niż członków „Kuźnicy”.

Większą część czasu (spotkanie trwało cztery godziny) wypełniły monologi Gościa, który mówił za długo. (Przypomniały mi się posiedzenia Biura Politycznego). Pytania mu stawiane dotyczyły spraw istotnych, ale były nieco zbyt grzeczne. Chciałbym spytać, co sądzi i jak ocenia decyzję Biura Politycznego z końca 1982 roku rozwiązującą „Kuźnicę”, skoro dzisiaj jest jej gościem, pięknie mówił o niej na wstępie i która teraz jest jednym z niewielu miejsc, w którym można się spotkać z ruchem lewicowej myśli. Nie wystąpiłem jednak z tym pytaniem. Zadałbym mu je bez skrupułów i wahań, gdyby przyjechał do nas jeszcze jako I sekretarz sprawującej władzę PZPR, albo choćby „tylko” jako prezydent. Ale dzisiaj... coś zbyt łatwego i mało szlachetnego zawierałoby się w takim pytaniu. Toteż zrezygnowałem z jego postawienia.

Duża część pytań dotyczyła okoliczności, które uzasadniały wprowadzenie stanu wojennego. Jaruzelski ogólną sytuację zagrożenia charakteryzował jednoznacznie, niemniej podkreślał, że nie chciałby, by Polacy dopatrywali się przyczyn nieszczęścia jedynie w sąsiadach. Powinni być bardziej skłonni do analizowania przyczyn niepowodzeń i dramatów narodowych leżących również po ich stronie.

Podczas spotkania przez otwarte okno dolatywały z Rynku odgłosy związane z przygotowaniami do Juwenaliów. Przycichały, to znów się wzmacniały dźwięki muzyki, uderzenia w bębny. W pewnym momencie bardzo opanowany i powściągliwy Generał przerwał wątek myśli (a nawet na chwilę go zgubił i trzeba było mu go przypomnieć) pytając, co te odgłosy znaczą; zaniepokojony, czy nie wiążą się z jego tu obecnością. Powiedział, nadrabiając uśmiechem: „Bo ja już jestem przyzwyczajony do tego. Kiedy jest cicho, odbieram to jako coś nienormalnego”.

25 V 1991.

Dzisiaj Walne Zebranie Stowarzyszenia „Kuźnica”. Jeszcze w „czerwonej sali”. W naszym dawnym pomieszczeniu, ale już ono do nas nie należy. Od 10 maja jest do dyspozycji Uniwersytetu Jagiellońskiego. Trwa stan przejściowy, zebraliśmy się jeszcze „po staremu”.

W informacji prowadzącego zebranie Andrzeja Kurza było trochę elementów krzepiących. Wprawdzie tracimy lokal, wygodne warunki, ale na szczęście załatwiliśmy w porę rejestrację naszego Stowarzyszenia, a potem Fundacji „Kuźnicy”. Mamy trochę pieniędzy. Na koncie „Kuźnicy” jest 16.000.000, a na koncie Fundacji siedemdziesiąt kilka. Pozwoli to w razie potrzeby wynająć gdzieś salę, pokryć niezbędne wydatki kancelaryjne.

Jeśli się powiedzie, może uda się zgromadzić środki na wydanie „Zdania”.

26 VI 1991.

W Krakowie usunięto ostatnio z nazw ulic nazwiska: Leona Kruczkowskiego, Oskara Langego, Mieczysława Karasia. Ulicę zamordowanego przez gestapo w 1942 roku Ignacego Fika zamieniono na ulicę Józefa Mackiewicza skazanego przez Polskie Państwo Podziemne na karę śmierci za kolaborację z niemieckim okupantem (!). Pojawił się też pomysł usunięcia tablicy poświęconej Tadeuszowi Hołujowi z gmachu na rogu Rynku i Wiślniej.

Mniej (choć i również) mam pretensji do bezpośrednich sprawców takich decyzji, kojarzących się z niedouczonymi „hunwejbiniami”, więcej – do różnych profesorów, pisarzy związanych ideowo i politycznie (a przede wszystkim koniunkturalnie) z obecną siłą rządzącą, że milczą w takich i podobnych sprawach.

Podczas wczorajszego posiedzenia Rady „Kuźnicy” dochodziliśmy w rozmowie do wniosku, że lewica będzie musiała się zjednoczyć, jeżeli ma odegrać jakąś rolę w nowych warunkach polskiego życia politycznego. Konieczne jest pokonanie dzisiejszych urazów i fobii. Obecnie jest do tego daleko.

Zastanawialiśmy się, jaką rolę w tym procesie może odegrać „Kuźnica”. W wielu wystąpieniach brzmiały tony rezygnacji, a nawet pomniejszania siebie może dalej idącego, niż w atakach politycznego przeciwnika. Prowadzący spotkanie Hieronim Kubiak wyraźnie przeżywa chwile zwątpienia, co udziela się zebranim. Były też – na szczęście – również inne wypowiedzi zmierzające do podjęcia aktywnej inicjatywy. Czy zostanie coś z nich zrealizowane? Skoro w kierownictwie „Kuźnicy” nie widać wyraźnej woli, chęci działania?

18 X 1991.

Kuźnica ma kłopoty. Lokalowe, finansowe, ale najgroźniejszy jest spadek zainteresowania członków. Ostatnio, parę dni temu Rada „Kuźnicy” była bardzo przeczczona, a ważne były sprawy, bo mieliśmy decydować o wynajęciu lokalu na Kleparzu pod numerem 4. Mieliśmy tam do dyspozycji jedynie niewielki pokój, niezbędne pomieszczenie dla sekretariatu, punkt spotkań, kontaktów, telefonu. Nasze imprezy musiałyby odbywać się gdzieś indziej, w wynajętych za opłatą salach.

Na koncie „Kuźnicy” i Fundacji „Kuźnicy” mamy łącznie około 100 milionów złotych. Nie jest to dużo, ale skromną działalność merytoryczną można w tych warunkach prowadzić.

12 I 1992.

W czwartek, 10 bm. odbyliśmy posiedzenie Rady „Kuźnicy” w jej nowym lokalu (Kleparz 4). Smętne myśli wywołane skrajną zmianą warunków działania. Wróciłem jednak raczej zadowolony. Doszliśmy do podjęcia kilku pomysłów związanych z interesującymi spotkaniami. Nie wiemy jeszcze dokładnie, gdzie one się odbędą. Będą przez nas firmowane, miejsce jakieś się znajdzie. Najważniejsze, że dało się zauważyć jakiś przyływ energii, jakąś mobilizację.

11 II 1992.

W skromnych warunkach i ciasnym pomieszczeniu „Kuźnicy” odbyło się wczoraj ważne spotkanie zwołane

w porozumieniu z posłami SdRP. W rozestanym do kilku osób zaproszeniu tak było ono uzasadnione i taki sobie stawiało cel:

„Polska przeżywa wielki proces przemian cywilizacyjnych związanych z dramatycznymi trudnościami gospodarczymi, socjalnymi, kulturowymi i politycznymi. Dobro kraju wymaga od wszystkich odpowiedzialnych sił politycznych działania, które zwiększałyby szansę na ukształtowanie trwałego systemu demokracji politycznej i społecznej oraz nowoczesnej gospodarki rynkowej. W tej skomplikowanej sytuacji lewica polska poszukuje odpowiadającej wyzwaniu czasu tożsamości ideowej oraz strategii umożliwiającej obronę i realizację wartości społecznych, bez poszanowania których nie wyobrażamy sobie normalnego funkcjonowania społeczeństwa i godnego życia obywateli. W kręgu Klubu Parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej i wspierających go sił trwają ożywione poszukiwania skutecznych formuł programowych i organizacyjnych działania w interesie społeczeństwa i państwa.

Pragniemy serdecznie zaprosić do udziału w dyskusji poświęconej tym problemom. Zależy nam na poznaniu poglądów o aktualnej sytuacji Polski i koncepcji działania lewicy. Spotkanie odbędzie się w niewielkim gronie przedstawicieli środowisk intelektualnych w siedzibie Stowarzyszenia „Kuźnica”, przy Rynku Kleparskim 4/I p.) w dniu 10 lutego 1992, o godz. 18.00.

W bardzo interesującej i pogłębionej dyskusji zarysowały się dwa stanowiska, dwa rodzaje „rad” udzielanych parlamentarzystom lewicy. Zwolennicy pierwszego z nich wzywali do samokrytyki, przyznawania się do błędów w powojennej przeszłości, do „zaczynania od siebie”, przyjmowania przez posłów lewicy, jako kontynuatorów PZPR, odpowiedzialności za wszelkie błędy, nadużycia, zbrodnie. Najpełniej takie stanowisko wyrażali Henryk Markiewicz i Hieronim Kubiak.

Byłem innego zdania: niech się toczą spory o ocenę przeszłości, możemy prowadzić analizy naukowe, z których powstaną ważne książki i rozprawy, doktoraty i habilitacje, ale posłowie i w ogóle działacze lewicy muszą się czuć pełnoprawnymi członkami parlamentu i obywatelami polskiego państwa. Nie mogą nieustannie „przepraszać, że żyją” i posypywać głowy pokutnym popiołem. Co – oczywiście – nie wyklucza osobistej odpowiedzialności tam, gdzie miała miejsce niegodziwość, przestępstwo, czy nawet zbrodnia. Ku moim poglądom zbliżały się opinie Włodka Rydzewskiego, Aleksandra Krawczuka, Andrzeja Jaeschke.

13 II 1992.

„Kuźnica” przejawia ostatnio pewną aktywność. Nie mamy jednak własnej sali, by odbywać spotkania dyskusyjne. Spotykamy się więc w różnych miejscach płacąc za wynajęcie sali na określone godziny. Wczoraj prowadziłem spotkanie w sali NOT-u na Straszewskiego z Tadeuszem Drewnowskim nt. „Diagnozy literackiej”. Przygotowałem spis osób spoza grona „kuźniczan”, które należało zaprosić: z UJ, WSP, ZLP, SPP. Z nadzieją, że osoba prelegenta przyciągnie pewne grono. Niezupełnie tak się stało. Z „tamtej” strony przyszedł Włodzimierz Maciąg – chyba nikt więcej, przynajmniej ze znanych mi pisarzy.

Niemniej wieczór był dosyć udany. W sali NOT-u zebrało się około 40 osób, rozmowa trwała prawie trzy godziny. A jednak nie jestem zadowolony z tego spotkania.

Przed wszystkim dlatego, że mało było młodych ludzi. Najmłodszy z uczestników to Krzysztof Woźniakowski – i chyba tylko on jeden z jego pokolenia.

W ożywionej dyskusji, którą poprzedzało wprowadzenie Drewnowskiego zawierające próbę opisu obecnej sytuacji w polskiej literaturze pojawiło się kilka ciekawych wątków. Nie podjęto jednak najważniejszej – wydaje mi się – kwestii: nieautentyczności współczesnej literatury w jej wielu ważnych nurtach. Chciałbym spotkać poważne teksty, w których byłyby w sposób uczciwy przedstawione powody przemian w postawach pisarzy, niekiedy bardzo radykalnych zmian ich poglądów. Tym bardziej że wielu z tych, którzy są po stronie „zwycięzców” i mają pełne przekonanie o własnej szlachetności, prawości i niewinności – to autorzy tekstów prezentowanych na przykład w *Liber Iizusorum*. W tym obszarze panuje milczenie, jakby nic nie było, jakby nie było w ogóle powodów do oczekiwania pogłębionych analiz. Rozwinąłem te myśli w dyskusji. Nikt ich nie podjął, a krytycznie odniósł się do tej drogi myślenia Henryk Markiewicz, co mnie zdziwiło. Trudno mi przyjąć, że myślenie moje było ułomne. Może czymś dotknąłem samego Markiewicza, co nie było moim zamiarem.

29 II 1992.

Wczoraj odbyło się (organizowane przez „Kuznicę”) spotkanie ze Stanisławem Kanią z okazji ukazania się jego książki *Powstrzymać konfrontację*. W sali Śródmiejskiego Ośrodka Kultury przy ulicy Mikołajskiej 2.

Książka Kani nie w pełni zadowala. Są w niej miejsca, w których brakuje oczekiwanych wypowiedzi. Ale nie dosłyszałem się w niej fałszywego tonu. Jest książką uczciwą. Podobnie odbierałem jego wczorajsze wystąpienie.

Dostrzegalne w jego książce (i w rozmowie z nim) hamulce w ujawnianiu postaw i poglądów niektórych polityków odgrywających jakąś rolę w latach 1980-1981 są zrozumiałe. Wymienianie dzisiaj ich nazwisk miałoby charakter donosu. W rozmowie – podobnie jak w książce – dominowała sprawa ewentualnej interwencji radzieckiej, przeciwstawianie się takim zamysłom Moskwy.

Widzę rzecz nieco inaczej niż to było w oświetleniu Kani i dyskusji o jego książce. Interwencja była bardzo prawdopodobna i z pewnością doszłoby do niej, gdyby nie polska decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego. Myślę jednak, że ostrożność radziecka była bardzo daleko posunięta. Interwencja radziecka niewątpliwie skończyłaby się militarnym zwycięstwem Moskwy, ale przegrana polityczna byłaby olbrzymia. W interesie Moskwy było jak najdalej idące zastraszenie Polski, groźba interwencji państw układu Warszawskiego, zmuszenie jej do trudnej decyzji, ale – o ile to możliwe – bez przekroczenia granicy dzielącej groźbę interwencji od jej realizacji. I to się Moskwie udało. Bez jednego wystrzału z jej strony Polska została spacyfikowana. Własnymi siłami. A że to zastraszenie Polski Moskwie się udało i dlaczego – to osobny problem, o którym w książce Kani i we wczorajszej rozmowie prawie się nie mówiło. Rzecz dotyczy napięć między wewnętrznymi siłami politycznymi. Dzięki ich niedojrzałości Moskwie udało się duża rzecz w politycznej grze z Polską. Przypominał mi się opublikowany wiosną 1981 roku w tygodniku „Time” dobry esej Rogera Rosenblatt’a *The Art of Making Threats*.

6 III 1992.

Wczoraj sympatyczny, kulturalny, ozdobiony wdziękiem pani Łętowskiej wieczór zorganizowany przez „Kuznicę” z okazji wręczenia jej Nagrody Kowadła. Z powodu braku własnej sali udało się nam urządzić tę uroczystość w Międzynarodowym Centrum Kultury, Rynek Główny 25, na parterze. „Czuję się tą nagrodą zaszczycona – powiedziała – także dlatego, iż jest to moja pierwsza nagroda za działalność społeczną i publiczną od czasu ukończenia szkoły podstawowej”. Nagrodę Kowadła traktuje „jako docenienie wysiłków w wykonywaniu oprawy. A było i jest na tym polu jeszcze wiele do zrobienia”.

10 III 1992.

„Kuznica” nie ma etatu administracyjnego. Jeśli nasz punkt na Kleparzu działa i zawsze można tam kogoś spotkać, osiągnąć telefonicznie, to przede wszystkim dzięki Jankowi Guntnerowi, niezawodnemu w naszych obecnych trudnościach, z dużym oddaniem dyżurującemu w biurze na Rynku Kleparzkim pod numerem 4, codziennie z wyjątkiem sobót w godzinach 10 do 14. W wysyłanych do członków zawiadomieniach o kilku „kuznicowych” imprezach dodaje uwagę: „Ponieważ spotkania są w różnych miejscach i o różnych porach, proszę o umieszczenie ich dat i miejsc w swoich kapownikach, gdyż pamięć ludzka jest zawodna, a z powodów oszczędnościowych nie możemy pozwolić sobie na ponowną korespondencję”.

Korespondencji wysyłanej do członków, w której powtarzają się różnie i oryginalnie sformułowane apele (także w postaci rysunkowej) o opłaceniu składek, Janek nadaje indywidualny, literacki styl. Mnie się to podoba, ale pewno nie wszystkim, skoro – z humorem – w jednym z listów zamieścił takie słowa:

„Koleżanki i Koledzy dzielą się ze mną uwagami o korespondencji »Kuznicy« dostrzegając w niej wartości integracyjne, poczucie humoru, a nawet walory literackie; inni widzą w niej brak powagi, skłonności grafomańskie i narcystyczne, o czym nie omieszkali mnie poinformować. Unosząc się przez chwilę na bańce mydlanej zachwyty, choć z ołowiem zwątpienia u stóp, powracam powoli do rzeczywistości i w pomieszczeniu widzę, że jeszcze 45 Koleżanek i Kolegów nie opłaciło całkowicie lub częściowo składek za ubiegły rok”.

8 IV 1992.

Wczoraj staraniem „Kuznicy” w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” odbyło się spotkanie z Aleksandrem Kwaśniewskim. Zainteresowanie bardzo duże. Sala była wypełniona po brzegi. Mimo że spotkanie trwało ponad trzy godziny, brakło czasu, by wszyscy chętni mogli postawić pytania i podzielić się własną myślą.

6 VI 1992.

26 maja w krakowskim oddziale BGW – promocja książki Wojciecha Jaruzelskiego *Stan wojenny. Dlaczego...* Spotkanie – także dla członków „Kuznicy” miało charakter kameralny. Po nim wyszliśmy wszyscy na Rynek, gdzie na Generała czekał samochód i kilka pojazdów towarzyszących, w tym policyjny dla bezpieczeństwa. Nagle rozległy się głośnie oklaski. To przypadkowi przechodnie, osoby siedzące przy kawiarnianych stolikach powitały Generała brawami. Pewne osoby, którym opowiadałem o tym zdarzeniu, nie zdołały ukryć rozczarowania, gdy doszedłem do pointy.

26 IX 1992.

Wczoraj odbyła się sesja naukowa zorganizowana przez „Kuźnicę” na temat stosunku różnych orientacji lewicy polskiej do problemu suwerenności Polski.

Był słoneczny dzień. Obradowaliśmy w gabinecie dyrektora krakowskiego Oddziału BGW. Za oknem piękny krakowski rynek, ruchliwe grupy ludzi między rozłożonymi straganami jakiegoś kiermaszu. A wewnątrz – interesujące referaty. Moją uwagę zatrzymał referat prof. Antoniego Czubińskiego z Poznania o polskiej racji stanu i kwestii niemieckiej. Precyzyjne analizy politycznych traktatów (i ich konsekwencji) od Rapallo, przez Monachium i pakt Ribbentrop-Mołotow, także przez Jaltę i później aż do ostatnich za rządu Mazowieckiego. Również zjawisk występujących dzisiaj w Niemczech oraz – po naszej stronie – wśród mniejszości niemieckiej.

4 XI 1992.

A więc nastąpiło to, przed czym – miałem taką nadzieję – zważają się władze Krakowa. Niczego jeszcze nie zdołały dokonać. Trwają nieustanne spory i kompromitujące kłótnie wśród radnych. W krótkim czasie już któryś z rządu prezydent miasta musiał odchodzić (zawsze z wysoką odprawą). Ale w zamienianiu nazw ulic, w usuwaniu tablic są to władze aktywne i sprawne.

To się stało 26 października, akurat w rocznicę śmierci Tadeusza Hołuj, podczas mego pobytu w Berlinie.

Jeszcze nie byłem w tym miejscu, chociaż parokrotnie znalazłem się w Rynku Głównym. Nie chciałem widzieć dziury w murze po tablicy, w której odślanianiu brałem udział, do której zawieszenia – wraz z kilkoma osobami z kierowniczego kręgu „Kuźnicy” – doprowadziłem. W „Trybunie Ludu” z 3 listopada 1992 roku zmieściliśmy protest przeciw temu barbarzyńskiemu aktowi:

Stowarzyszenie „Kuźnica” wyraża stanowczy sprzeciw w związku ze zdjęciem tablicy pamiątkowej poświęconej pamięci Tadeusza Hołuj, założyciela „Kuźnicy”. Tablica ta została ufundowana i umieszczona przez Stowarzyszenie w Rynku Głównym 25.

Przeciwko pomysłowi usunięcia tej i podobnych tablic protestowaliśmy już w czerwcu 1992 r. w piśmie skierowanym do p. mgr K. Barczyka – Przewodniczącego Rady Miasta Krakowa [...].

Tadeusz Hołuj (1916-1985) był poetą i pisarzem, więźniem Oświęcimia, który twórczość swą poświęcił najtrudniejszym moralnym konfliktom polskich powstań narodowych, ruchów i utopii społecznych, a wreszcie sprawom życia i śmierci w obozie koncentracyjnym. Konflikty te wywarły wpływ na tego myśliciela, szlachetnego utopistę i działacza społecznego, od jego aktywności w ruchach anarchoindykalistycznych przed wojną, poprzez udział w ruchu oporu w obozie oświęcimskim (był przez wiele lat, jako jeden z przywódców tego ruchu, wybierany do władz międzynarodowych stowarzyszeń byłych więźniów obozów koncentracyjnych).

Jako jedyny w Polsce człowiek, Tadeusz Hołuj publicznie zaprotestował przeciw decyzjom tzw. Kominformu pod koniec lat 40. I wystąpił wówczas z partii.

Był odważnym krytykiem tej partii w latach sześćdziesiątych (szczególnie w 1968), siedemdziesiątych i osiemdziesiątych do końca swego życia. Swoim autorytetem wspierał działania na rzecz złagodzenia personalnych represji w okresie stanu wojennego.

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”.

4 IV 1993.

W „Kuźnicy” 1 kwietnia odbyła się dyskusja panelowa z udziałem H. Kubiaka, W. Kwaśniewicza i B. Łagowskiego na temat: „Czy jest aż tak źle?”

Kubiak tłumaczył niedoskonałości obecnego życia polskiego według zasady: „Tak musiało być, nie mogło być inaczej”. Wyszedł od chyba wadliwie postawionego pytania: „Czy byłoby lepiej, gdyby nadal istniał system poprzedni?” Pytania tego – oczywiście – nikt nie podejmował, bo istotne problemy naszej teraźniejszości układają się w innym planie.

Ciekawsza była wypowiedź Łagowskiego. Wskazał na tracenie polskiej suwerenności w stosunku do ziem zachodnich, zwłaszcza Śląska i na to, że nie widać dowodów, by rządzący Polską zdawali sobie z tego sprawę.

Mówiąc o niewielkiej klasie intelektualnej i ideowej dzisiejszych „elit” politycznych sprawujących władzę postawił zarzut grupie Jaruzelskiego, że właśnie w takie ręce przekazała władzę, a nie w ręce dobrych fachowców, mądrych obywateli, działaczy o dużym poczuciu odpowiedzialności za kraj (można od razu dorzucić, że władzę przejęła ta siła, która była zorganizowana, to znaczy „Solidarność”. Za to, że u steru stanęli w końcu nie najwartościowisi z tego ruchu, odpowiada już nie Jaruzelski, lecz różne kręgi wchodzące w skład opozycji politycznej przejmującej władzę).

Z głosów dyskusyjnych utkwiał mi w pamięci głos Janka Gątnera. Przypominając klimat marca 1968 roku przedstawił dzisiejsze swoje samopoczucie; człowieka, który jest źle traktowany, bojkotowany, podlega ostracyzmowi tylko dlatego, że w ciągu swego życia był czynny w dobrym tego słowa znaczeniu, chciał dobrze i robił dobrze opowiadając się po stronie ideowej orientacji, do której skłaniały go autentyczne sympatie i tradycje, nie korzystał nigdy z żadnych przywilejów, nie pełnił ważnych funkcji, nie piastował stanowisk.

Podobna nuta pobrzmiwała w słowach Łagowskiego, który mówiąc o potrzebie zachowania własnej godności i poczucia wartości własnego życia gorzyc swą kierował pod adresem kierownictwa PZPR, które samo siebie uznało za mało warte, że trzeba ustąpić przed lepszymi. To, co mówił, korespondowało pośrednio z moimi poglądami na decyzję o rozwiązaniu PZPR i wszystkich okoliczności, jakie temu towarzyszyły.

24 VI 1993.

Dzisiaj spotkanie w „Kuźnicy” poświęcone reaktywaniu „Zdania”. Otwierają się jakieś korzystne perspektywy. Finansowo nas wesprą przyjaciele „Kuźnicy” z Bystrzycy Kłodzkiej, z Warszawy – kilka numerów miałyby szansę się ukazać. Periodyk byłby dwumiesięcznikiem nawiązującym do naszego „Zdania” – w układzie działów, w linii redakcyjnej, w szacie graficznej. Ta koncepcja zyskała przewagę w wypowiedzianych opiniach, aczkolwiek nie brakło głosów za inną wizją pisma, a także pełnych wątpliwości w sens jego wydawania (głos Józefa Lipca).

10 IX 1993.

Wczorajsze spotkanie w „Kuźnicy” zapowiadało się interesująco. Zaproszeni zostali przedstawiciele kilku partii politycznych, którzy mieli poinformować, jak w ich programie wyborczym uwzględnione zostały sprawy kultury. Liberatów reprezentował dyrektor teatru w Nowej Hucie, Jerzy Fedorowicz, Unię Pracy – Józef Buszko,

PSL – Antoni Podraza, SLD – Aleksander Krawczuk, Unię Demokratyczną – Józefa Hennelowa.

Niewiele powiedzieli o kulturze w programie ich partii. Częściej wdawali się w ocenę minionej przeszłości sięgając zakończenia drugiej wojny światowej.

Krawczuk, obejmując swą opinią cały okres PRL, czując się jak na wiecu przedwyborczym, na którym zbytnio nie obowiązują rygory ścisłego myślenia, prowadził do wniosku, że był to „złoty okres kultury polskiej”, co wywołało burzliwe oklaski (nie biłem brawa). Na to zareagowała Hennelowa wskazując spokojnie, że oto sala oklaskała w ten sposób także działającą w minionym okresie cenzurę, kontrolowanie myśli i słowa, przymusowe milczenie na przykład o Katyniu, izolację od literatury emigracyjnej itp.

W tej sytuacji nie mogłem się zdecydować na zabranie głosu paraliżowany różnymi względami. Niezręczne byłoby wykazywanie zaproszonym do „Kuźnicy” naszym gościom nieprzygotowanie do rozmowy na zapowiadany temat. Nie chciałem też krytykować Krawczuka za nie dość przemyślane, egzaltowane przemówienie. A jak się odnieść do tych oklasków moich towarzyszy z „Kuźnicy” wobec nie pozbawionego słuszności komentarza Hennelowej? Z różnych, innych powodów nie kwapiłem się też do wyrażenia jej uznania. Toteż wracałem do domu mocno zdegustowany.

To spotkanie w „Kuźnicy” dostarczyło mi jeszcze innych niewesołych refleksji. W mało kontrolowanych reakcjach można było zauważyć, że tak, jak na łamach prasy dochodzi do głosu obawa przed zwycięstwem lewicy, tak tutaj przejawiała się nadmierna pewność siebie.

Nam natomiast chodzi o utrzymanie tego, co stanowiło istotną wartość „Kuźnicy”: pogłębionej refleksji nad złożoną współczesnością, dążenia do jednoczenia się ludzi światłych, racjonalnie myślących; odrzucenia osobistych czy zbiorowych rozgrywek, rewanżów, odwetów; dystansowania się do tego, co było przed rokiem 1989, z czym i „Kuźnica” się wówczas borykała, z równoczesnym przeciwstawianiem się dzisiejszym uproszczonym, negatywnym ocenom lat powojennych.

21 VI 1994.

Niemą to satysfakcja. I uznanie. Oraz wdzięczność. Dla wszystkich. Dla tych, którzy zabiegali o sponsorów; dla sponsorów, którzy ulegli prośbom i pomogli; dla zespołu, który zrealizował zamiar. Oto dzisiaj w „Kuźnicy” odbyło się spotkanie z okazji ukazania się pierwszego po kilkuletniej przerwie numeru „Zdania”. Będzie ono teraz – jeżeli rzecz się powiedzie – kwartalnikiem.

22 VI 1993.

Spotkałem Juliana Kawalca. Wiedział już o „Zdaniu”. Też ucieszony, podniesiony na duchu, z poczuciem moralnej satysfakcji.

20 IX 1994.

Chętnie szedłem do „Kuźnicy”, gdzie miało się odbyć wręczenie Kowadła Karolowi Modzelewskiemu. Akceptowałem tę decyzję, gdyż laureat wykazywał dużo rozsądku i umiał również krytycznie, tam, gdzie było to uzasadnione, odnieść się do własnych sojuszników i przyjaciół, o co dzisiaj trudno.

Trochę mi jednak zepsuł skądinąd sympatyczne zdarzenie. Swoje słowo zaczął od poinformowania o do-

piero co odbytej rozmowie z dziennikarką, która dziwiła się, że oto przyjmuje on wyróżnienie z rąk tych, przeciwko którym do niedawna walczył.

Oczekiwałem, że powie, jak swą decyzję dziennikarce uzasadniał. Tym bardziej, że miałem w pamięci nasze „kuźnicowe” dyskusje w 1976 roku, w których upominaliśmy się o takich jak on i o robotników Radomia i Ursusa.

Tymczasem Modzelewski zaczął się rozwodzić nad swoim dyskomfortem spowodowanym zapytaniem dziennikarki. Było to mało stosowne przemówienie na taką okoliczność. Mógł Kowadło nie przyjmować, a jeśli już je – na uroczystym spotkaniu klubowym – przyjmował, nie powinien dzielić się z nami swoim cierpieniem psychicznym spowodowanym tym aktem. Wyszło to niezbyt przyjemnie, mało elegancko i raczej niepochlebnie dla Modzelewskiego, który zaprezentował się jako człowiek, który przyjmuje wprawdzie Kowadło, chętnie wzbogaci nim kolekcję otrzymanych honorowych wyróżnień, ale czyni to ze skrzępowaniem, z rodzajem zawstyżenia przed bliższą mu stroną, która może mu to poczytać za złe.

I rzeczywiście cały dzisiejszy komentarz do wczorajszej uroczystości na łamach lokalnej „Gazety Wyborczej” sprowadził się do informacji, że Modzelewski tłumaczył się, usprawiedliwiał się z tego, że od „postkomunistów” przyjmuje wyróżnienie.

Coś podobnego jeszcze się nam nie zdarzyło. Przyznawaliśmy „Kowadło” wielu osobom o różnych poglądach politycznych. Wszyscy, przyjmując je mówili, jak sobie to cenią. Tej „ceny” nie musiał Modzelewski – jak inni – eksponować. Ale jeżeli sobie tego nie cenił, powinien odmówić przyjęcia Kowadła. A jeśli już je przyjął, no to nie powinien tak mówić, jak mówił.

Żeby więc nie doznawać „cierpienia psychicznego” spowodowanego milczącym przełknięciem jego słów, powiedziałem o moich mieszanych uczuciach towarzyszących odbiorowi jego wystąpienia dodając, że mogę sobie wyobrazić dziennikarkę o przeciwnych poglądach, równie zdziwioną – decyzją „Kuźnicy”.

3 II 1995.

Zaszedłem do „Kuźnicy”. Trafiłem na ostry spór między dwoma Andrzejami: Kurzem i Urbańczykiem. Łagodziłem, jak umiałem. Do dzisiaj myślę o pokładach kompleksów i zaszłości, które – chociaż hamowane – dochodziły do głosu w tym sporze.

11 V 1996.

Trzy dni temu odbyło się w „Kuźnicy” spotkanie grona osób, które odegrały jakąś rolę w przełomie październikowym w Krakowie w 1956 roku. Nie wszyscy się rozpoznawali po upływie czterdziestu lat. Celem spotkania było uczynienie pierwszego kroku w pozbieraniu, utrwaleniu dokumentów, wspomnień z tamtych wydarzeń, by następnie je opublikować, a przynajmniej przygotować do druku. Myśl i inicjatywa słuszna, ale po tym pierwszym spotkaniu nie patrzę z optymizmem na jej realizację. Już w pierwszych wspomnieniach ujawniło się sporo nieporozumień, sprzeczności, swoistej mitologizacji. Nie będzie łatwa weryfikacja zebranego materiału.

17 V 1996.

W poniedziałek (13 bm.) mieliśmy zebranie Rady „Kuźnicy”. Andrzej Urbańczyk rozwinął przed nami ambitne plany. Widzi przyszłą działalność Stowarzyszenia

w trzech nurtach: 1. Spotkania dyskusyjne (jak dotychczas), 2. Wydawanie „Zdania”, trwalej zorganizowanego i dotowanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, 3. Powołanie instytutu – jakiego? Trochę socjologicznego, trochę politologicznego obliczonego na sporządzanie sondaży, ekspertyz społecznych i politycznych. Na jego czele stanąłby Tomasz Goban-Klas.

Zwróciło moją uwagę wystąpienie Stanisława Wiśniewskiego. Zaproponował przygotowanie oświadczenia „Kuźnicy”, w którym byłoby zawarte nasze stanowisko wobec bardzo niepokojących zjawisk dzisiejszego dnia: sprawy kultury, nauki, oświaty, zdrowia – to wszystko, co powinno stanowić o społecznej wrażliwości lewicy, wrażliwości – jak podkreślił – trudno dostrzegalnej w działaniu SdRP.

30 VI 1996.

Na prośbę Andrzeja Urbańczyka przewodniczyłem Walnemu zebraniu sprawozdawczo-wyborczemu „Kuźnicy” 15 czerwca. „Kuźnica” przeżywa trudny czas. Nie jest już taką, jaka była dawniej (chodzi o poziom intelektualny, żarliwość przekonanych – rozmaitych). Przestaje być źródłem satysfakcji – intelektualnej i moralnej – dla jej członków. Oto najwyraźniejszy dylemat, przed którym stanęła i nie umie sobie z nim dobrze poradzić (może dlatego, że jej prezes jest posłem na Sejm zaangażowanym w bieżące działania polityczne i od nich jakoś zależny): dochować wierności ideałom lewicy społecznej, co leżało u jej genezy i wywoływało spory z władzą przed rokiem 1989, czy być lojalną względem dzisiaj rządzącej koalicji o lewicowym rodowodzie. Ujawniło się to przy komentowaniu podjętej przez lewicowy parlament uchwały o podniesieniu uposażeń dla posłów i przyznaniu im przywilejów. „To dopiero od następnej kadencji” – broni tej decyzji Urbańczyk i chce przerwać niewygodną dla niego dyskusję. Więc dopowiadam: „Nie rozumiem, jak można nie rozumieć, że to jeszcze gorzej, bo dowodzi szczególnej krótkowzroczności. Załatwia się przywileje dla przyszłego parlamentu bez pewności, jakie zajmie się w nim miejsce, a bierze się na siebie całe odium sprawy bulwersującej opinię społeczną i mającą niewątpliwie duży wpływ na wyniki wyborów do parlamentu w przyszłym roku”.

(Dobrze pamiętam bardzo ożywione posiedzenie Sejmu sprzed kilku miesięcy. Posłowie z przejęciem dyskutowali o konieczności podniesienia ich uposażeń. Pamiętam posłankę, która z mównicy skarżyła się, że jej wyborcy są zgorszani tanim samochodem, którym się porusza).

19 X 1996.

Nie poszedłem na wczorajsze spotkanie w „Kuźnicy” poświęcone Październikowi 1956 roku. Od dłuższego czasu chętnie o nim myślałem, uważałem je za celowe i ważne, w jakiś sposób własne. Ale w ostatniej chwili naszyły mnie wątpliwości, wahania i w końcu nie poszedłem. Główny powód tkwił w tym, że u samych początków organizowania tego spotkania doszło do pewnej niezręczności. Jego zorganizowanie powierzono osobie (chętnie się tego podjęła), która w 1956 roku nie była po stronie Października; raczej wprost przeciwnie. Kto inny powinien poprowadzić nasze obecne „październikowe” obchody.

Trudno byłoby o tym nie powiedzieć we wspomnieniu o uniwersyteckim Październiku. Przemilczenie spo-

wodowałoby dotkliwy dyskomfort psychiczny. A z drugiej strony – wywoływanie sporu, kto był bardziej, a kto mniej „październikowy” dałoby podobny skutek. Nie bez pewnego żalu – zdecydowałem się nie pójść na to spotkanie.

12 I 1997.

Wczoraj w „Kuźnicy” miła uroczystość: wręczenie Kowadła Oldze Lipińskiej. Sprawiała bardzo dobre wrażenie. Bezpretensjonalna, dowcipna, ładnie wyglądająca. Oceniam ten wieczór bardzo dodatnio, co podkreślam tym bardziej, że w głosowaniu nad wnioskiem o przyznaniu jej Kowadła byłem innego zdania. Nie dlatego, bym nie był wręcz entuzjastą jej kabaretu, ale alternatywą było przyznanie tego wyróżnienia Janowi Karskiemu. I ja byłem za nim, pod świeżym wrażeniem *Godziny szczerości*, w której zaskoczył prowadzących program korzystnymi opiniami o lewicy, czego się zupełnie nie spodziewano i częściowo – jak się później okazało – okrojono jego wypowiedź. Otóż chciałem, by wpięrować Karskiego i myślę, że było w tym pomyśle coś sensownego. Ale to nie pomniejsza mego zadowolenia z wczorajszego wieczoru i przyznając rację tym, którzy dali pierwszeństwo Lipińskiej.

Do statuetki Kowadła prezes „Kuźnicy”, Andrzej Urbańczyk dołączył list gratulacyjny od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, a Kazimierz Mikulski – własną grafikę przedstawiającą młodą piękną kobietę.

16 III 1997.

Przedwczoraj, w piątek 14 marca odbyło się w „Kuźnicy” spotkanie poświęcone przypomnieniu blokady I Domu Akademickiego przy ulicy Jabłonowskich w 1937 roku, w związku z walką młodzieży studenckiej o wpływy w Bratniaku. Andrzej Pilch, ze świetną znajomością rzeczy mówił o samej blokadzie, a także jak do niej doszło i jaki był jej przebieg. W dyskusji mówiłem o nastrojach, przemyśleniach i rozterkach inteligencji lat trzydziestych przypominając artykuły: Wyki *Perspektywy młodości* i Miłosza *Rozmowy nad Wisłą i Niemnem* z tamtego czasu.

9 II 2004.

Dzisiaj w „Kuźnicy” było spotkanie z Generałem Wojciechem Jaruzelskim. Pytania podawało się na kartkach. Przesłałem mu takie:

„Czy w rozmowach prowadzących do przekazania władzy opozycji politycznej (np. w Magdalence) przewidywano jakieś gwarancje, które by zapobiegły późniejszemu stawianiu przed sądem osób, którym zawdzięczamy optymalne przejście od systemu autorytarnego do demokracji parlamentarnej.

Oto paradoksalna sytuacja: osoby najbardziej dla tego historycznego przełomu zasłużone widzimy na ławie oskarżonych, podczas gdy przeciwnicy tego dzieła (niektórzy działacze szczebla centralnego, generałowie – dobrze ich pamiętam) prowadzą spokojne życie, nie są niepokojeni i tylko z szyderstwem i ironią mogą się temu przyglądać. I żadnej na to reakcji. Ani ze strony Kościoła, który patronował magdalenkowemu ustaleniom, ani ze strony innych sił politycznych pod nimi podpisanych”.

Odpowiedź Generała była bardzo ogólna. Wynikało z niej, że wówczas o takich problemach nie mówiono, nie myślano...

MARIAN STĘPIEŃ

ZJAZD czyli menażeria

15 marca Roku Pańskiego 1904 w Zawadce na Podolu mój praszczur Stanisław zapisał był w swym pamiętniku: "...wydałem dziś rano z kredensu szufladę cukru...". I umarł. Żona Jego natomiast kilka dni wcześniej zapisała w swym sztambuchu: „czy ozimina nie wjeździe, czy suflet się zapadnie to i tak zawsze będzie moja wina”. Podejrzewam, że tak się wzajemnie miały kolejne małżeństwa Komornickich. U nas podobnie. Usprawiedliwiam się tym, że moją Dorotę mgr inż. zootechniki – łatwiej było oskarżyć mnie historykowi o to, że np. rodiło się więcej tryczków niż jarek. Lubię także wydawać „towar z kredensu”, pilnuję tego, choć nie zapisuję. Wczoraj: sześć jaj, zamrożony szpinak z własnego ogródka, osiem kapeluszy prawdziwków do omletu, flaszka Muller Thurgau. Malin na deser nie wydawałem, bo wszystkie już poszły jesienią.

A tak na marginesie, szkoda, że dziś już niemal nikt nie pisze i niestety niemal nikt nie czyta dzienników i wspomnień. Z obawy przed omylną pamięcią? Przed odpowiedzialnością? Gdy w sierpniu 1989 r. „Polityka” opublikowała mój *Dziennik pośła*, w którym dałem do zrozumienia, że będzie dalszy ciąg, w sejmowym sraczu dopadła mnie grupa przedstawicieli betonu i zagroziła CKKP (czy ktoś pamięta co to było, koteczku?). Zaś św. p. Irek Sekuła koniecznie chciał wiedzieć, czy napiszę, że był wcześniej niepalącym i niepijącym harcmistrzem...

Zjazdy Komornickich, z przerwami na obie wojny światowe, odbywają się od 1904 co dwa lata w różnych miejscach, najczęściej w Krakowie. Przez dziesięciolecia była to połowa marca – w rocznicę śmierci tego z Zawadki, później jednak – ze względu na pogodę zbierano się w maju lub w czerwcu. Ponad 100 członków rodu zasiadało po mszy u Dominikanów do stołu w ogromnej jadalni w willi Minerva na Dębnikach. Kilkoro z nas urodziło się tam w czasie II wojny światowej. Dzieci sadzano przy „katzentischu”, ale pomidorowa, pieczeń, puree i sałata oraz sernik lub kompot pochodziły ze stołu dla dorosłych. Wielkim wzięciem cieszyły się przejażdżki specjalnie wynajętym statkiem po Wiśle. Pamiętam, że wraz z dwoma kuzynami mieliśmy każdy po piersiówce z inną rodzinną nalewką. Zazdrość wzbudzał Jaś, który miał dostęp do mirabelówki lub prawdziwego rarytasu, czyli do wytrawnej dereniówki. Kłębiło się zawsze wokół tych Komornickich, którzy przyjeżdżali ze świata. I tej egzotyki było całkiem sporo. Najpierw grupa rodezyjska, właściciele ogromnych sadów, o których Komorniccy młodzi lewacy szeptali, że „już im się niedługo dobiórą do pióra”, potem południowoafrykańska, która czując koniec apartheidu szykowała się do wyjazdu do Europy, opiekująca się Indianami z Manitoby Komornicka ciotka z Kanady, z którą lewacy wyraźnie sympatyzowali, oraz wujostwo z londyńskiego Ealingu pozostające w bliskich stosunkach z Radą Trzech. Odkryci przez Wojtka Sadurskiego Komorniccy z Guadelupy pisali listy i co roku obiecywali, że przyjadą. Tych byliśmy najbardziej ciekawi,

myśleliśmy, że pomieszali się z Kreolami albo i gorzej, i że na zjeździe pojawi się jakiś wełnistowłosy potomek Aleksandra Dumas. Nadal piszą i obiecują.

No i wreszcie, po latach, na zjeździe w Szczawnicy podjęto decyzję, że trzeba zrobić jakiś ruch w kierunku zachodnim i zebrać się w sudeckich Wójtowicach. Sprawdzić wreszcie, co robi tam ten niegdyś młody lewak, który w 1976 r. obraził się na władzę ludową. No i jak adorowana przez wszystkich Dorota komponuje się w sudeckim krajobrazie. Przyjechało ich niemal stu, właściwie wyłącznie uczestnicy krajowi. Cudzoziemcy dewizowi nie dopisali. Komorniccy krajowi to płatanina i zamieszanie, czyli bogata mieszanka i garmaz. I tytułowa menażeria. Były i osiemdziesięcio-kilkuletnie damy, i kilkumiesięczne oseski. Emerytowani wojskowi, grupa profesorska, ambasador, były v-minister, dwóch byłych posłów, były wojewoda podesłał swe dzieci i wnuki, architekci, wynalazca, którego patenty pozwalają rozwiązywać wiele finansowych problemów rodzinnych, lekarze i nauczyciele, adwokaci, honorowy konsul, narodowcy i kosmopolici, wierzący i niewierzący... Była obecna też pamięć po kronikarzu rodziny, Generale, który spadł pod Smoleńskiem. Wszyscy jak jeden mąż stawili się na mszy w miejscowym kościółku, gdzie zaprzyjaźniony proboszcz wygłosił od dawna przygotowywane kazanie o solidarności rodzinnej i o pamięci naszego „wielkiego(?) przodka”.

Sensacją był występ najbardziej religijnej części rodziny – ojca, córek i małego synka, którzy nie tylko „czytali mszę świętą”, intonowali psalmy, machali kadzielnicą i zwyczajnie służyli do mszy, ale – jak się okazało – przyjechali do Wójtowic z własnymi strojami liturgicznymi. Okazało się to całkiem wzruszające – zwłaszcza widok tego małego, który siadywał w czasie mszy pod błatem ołtarza nieodparcie kojarząc się ze słynnym zdjęciem J. Kennedy’ego Jr wyglądającego spod biurka ojca w Gabinetie Ovalnym – nawet dla tych, którzy od dziesięcioleci do kościoła nie chodzą. Zabawne, że było wśród nich kilku byłych ministrantów (razem z niżej podpisanym), którzy nie przyjęli do wiadomości decyzji Vaticanum Secundum i nadal mówią po łacinie Pater Noster, Confiteor i Suscipiat... Wójtowiczanie patrzyli na nas jak na raroga (stado rarogów?)

Był dla wszystkich program turystyczny, zaś w części towarzyskiej architekt Don Luca pasjonująco przedstawił historię willi Minerva na Dębnikach. Następny zjazd znowu w Krakowie... A zjazd Golców? Tak, Golców. Bo w Bystrzycy odbywają się od czasu do czasu zjazdy rodziny Golców, tej, której młodzi przedstawiciele mieli na rzyску postawić bank. Z pomocą Busha Juniora. Niezjący już ich stryj był zaraz po wojnie zawiadowcą stacji Bystrzyca Główna i wystąpił w 1960 r. w filmie Kazimierza Kutza *Nikt nie woła* w prochowcu a la Goździk. Mam taki sam prochowiec – zazdrości mi go sam Karol Modzelewski.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

TOMASZ GOBAN-KLAS

JE SUIS KALACHNIKOF

7 stycznia 2015 roku na kolegium redakcyjnym tygodnika „Charlie Hebdo” pojawił się towarzysz kałasznikow. I zabrał głos. Krótko, ale dobitnie. Zginęło 5 czołowych rysowników, w tym założyciel Cabu (Jean Cabut). I to on wykrakał te odwiedziny. W 1992 roku dla pisma „Cabu” sugerował tytuł „Kalachnikof”, a gdy został on odrzucony przez kolportaż jako zbyt skandalizujący, pozostawił go w nazwie wydawnictwa Les Editions Kalachnikof. *Nomen omen.*

Ta fascynacja poręcznym karabinkiem AK-47 była powszechna przynajmniej od lat 60. XX wieku wśród rewolucjonistów wszelkiej maści. Lekki, poręczny, szybkostrzelny, a co najważniejsze nie zacinający się, nadawał się do walk partyzanckich, miejskich *guerillas*, zamachów terrorystycznych itp. akcji. Stał się ikoną rewolucji afrykańskich (znalazł się na fladze Burkina Faso i Mozambiku), fedainów na Bliskim Wschodzie i Wietkongu w Wietnamie. Ciekawe jaki karabin miał Chrystus z plakatu Carlosa Alonso, który Kapuściński widział w gabinecie rektora uniwersytetu w La Paz?

Kałasznikow stał się znakiem firmowym Osamy Bin Ladena na wszystkich sygnowanych przez niego wideo (jego ulubiony AK-47 znajduje się teraz w gablocie w tajnym muzeum CIA w Langley), był też podstawową bronią Czeczeńców w Groznym i Budionnowsku.

Obecnie szacuje się, że na świecie jest około 70 milionów kałasznikowów, oryginalnych i podrabianych. Gdy byłem w Etiopii, wśród plemion doliny Omo, nadal chodzących niemal nago i żyjących jak tysiąc lat temu, zauważyłem, że jedynym znakiem nowoczesności – i to dosyć częstym – był karabin na ramieniu mężczyzny, często właśnie AK 47. Pomyślałem wówczas, że należy zaktualizować słynne ostrzeżenie Alberta Einsteina, iż „czwarta wojna światowa będzie na maczugi” na wizję wojny cywilizacji XXI wieku z użyciem... kałasznikowów! Nie będzie to tylko nowa sentencja. Gdy oglądamy obrazy wojny prowadzonej przez kalifat IS, gdy słuchamy jego zalecenia dla europejskich dżihadystów, by atakowali galerie handlowe, to dawny obraz terrorysty-anarchisty rzucającego bombę zastępuje poręczny karabinek.



Terroryzm nie pokona państwa, ale zmienia jego charakter. Murzyński raper Dr Dre zapowiada w *The Day the Niggers Took Over* (Dzień, w którym czarnuchy przejęły

władzę): „Walę z mojego kałacha i posyłam ich do piachu”.

Kałasznikow dla miejskich porachunków okazał się bronią równie poręczną i niezawodną, jak osławiony mauser na początku XX wieku. Jego wersja M1921 nazwana popularnie „Bolo” (od bolszewik) uwieczniona została przez Majakowskiego: „ciszej tam, oratorzy, głos ma towarzysz mauzer”. I kto wie, czy ten „towarzysz” (zwany także „komisarzem”) nie uciszył na wieki samego poety.

Można się pocieszać powiedzeniem, często przywoływanym po zamachu na „Charlie Hebdo”, iż „pióro (ołówek) jest silniejsze niż miecz”. Narysowano na ten temat dziesiątki krzepiących rysunków. Oto jeden z nich:



Ale choć jeden z obrazoburczych rysunków z „Charlie Hebdo” głosił: „Koran to gówno – nie zatrzyma kul”, to przecież można powiedzieć *post factum*, że „Charlie” to gówno – nie zatrzymał kul”.

Dla jego potwierdzenia przypomnę, że następną akcję z cyklu „Je suis Kalachnikof” wykonano w Kopenhadze, gdy zaatakowano kawiarnię, w której zorganizowano debatę o „błuznierstwie i wolności ekspresji”. Jej uczestnikiem był szwedzki rysownik znany z karykatury Mahometa z 2006 roku. On ocalał, ale inni (w tym Żydzi przy synagodze) zginęli. Allahu Abkar – „Krzyżowcy i Żydzi bójcie się! Idziemy do was!”.

Islamscy radykałowie jednak nie doceniają Europy, w której Hitler potrafił wprowadzić w czyn „ostateczne rozwiązanie” semickiej kwestii rasowej. Przypomnieć warto, że Arabowie też są semitami. W Europie może więc nastąpić reaktywacja idei ostatecznego rozwiązania i modyfikacja hasła na „Idziemy po Was”. To przecież Breivik zaleca brutalną rozprawę z Euroarabią.

Taki katastroficzny scenariusz kreślę nie z wiarą w jego realizację, lecz w celu ukazania, do czego może doprowadzić ekstremizm z każdej strony. Ani „Jestem Charlie”, ani „Jestem Kałasznikow (towarzysz Mauzer)” nie wydaje się być żadnym, tym bardziej ostatecznym rozwiązaniem problemu. Problemem jest nauczyć się żyć na jednym globie, na jednym kontynencie, w jednym państwie.

Ten problem stanowi wyzwanie wobec świata, wobec wszystkich kontynentów, wszystkich krajów, w tym – tu stawiam kropki... – także Ukrainy.



DYSKRETNY UROK REWIZJONIZMU

Klasyczna definicja rewizjonizmu łączy się z historią ruchu komunistycznego, sięgającą XIX wieku i z nazwiskiem Bernsteina. W PRL-u o niej pamiętano, toteż żeby nie zboczyć z właściwego kursu marksizmu-leninizmu i jego stalinowskiej wykładni powołano w 1950 roku Instytut Kształcenia Kadr Naukowych, przekształcony później w Wyższą Szkołę Nauk Społecznych przy KC PZPR, a w uczelniach katedry marksizmu-leninizmu. W Uniwersytecie Warszawskim w latach młodości kierował nią mgr Leszek Kołakowski. Historia, rozumiana jako konieczność dziejowa, zakpiła sobie okrutnie ze strażników czystości doktryny, bowiem to właśnie ze środowiska młodych ortodoksów wyrosli niemal wszyscy co znaczący rewizjoniści, m.in. tenże Kołakowski, Baczko, Brus, Pomian, Bauman i w końcu sam Adam Schaff. Ówczesne intelektualne i moralne autorytety nie miały zamiaru firmować partyjnej wykładni takich kwestii, jak przewodnia rola PZPR, sojusz ze Związkiem Radzieckim, centralizm demokratyczny i demokracja wewnątrzpartyjna, stosunek do eurokomunizmu, zawartej w dokumentach przyjmowanych na plenach i zjazdach. Toteż w środowiskach naukowych, artystycznych i młodej inteligencji rewizjoniści, krytykujący zarówno samą doktrynę, jak i jej realizację w praktyce, zdobywali coraz większe wpływy. Tym samym poszerzał się zakres i znaczenie tzw. opozycji wewnątrzsystemowej, co uwiódł się zwłaszcza w okresie narodzin „Solidarności” i znalazło wyraz na IX Zjeździe. Dzisiaj to już historia, pomijana bądź marginalizowana w analizach tego okresu, także przez samych ówczesnych rewizjonistów, z których wielu przeszło do opozycji antysystemowej pod koniec lat 70. i na tych pozycjach trwało do Okrągłego Stołu, a niektórzy w ogóle wyparli się lewicowych poglądów. Pół biedy, jeśli rzną liberałów, gorzej, jeśli stali się twarzą lub orędownikami prawicy, albo skończyli w kruchcie.

* * *

Kiedy mowa o rewizjonizmie, należy pamiętać, że nie jedno ma on imię. Gdyby dziś zapytać Polaków pamiętających PRL z lat 1956-1989 z czym kojarzy im się rewizjonizm, to większość odpowiedziałaby, że z rewizją granicy na Odrze i Nysie. Ten bowiem rodzaj rewizjonizmu był najbardziej eksponowany w propagandzie ówczesnej, zwłaszcza w okresie rządów Gomułki. Natomiast inteligencja, środowiska twórcze i naukowe wskazywałyby zapewne wszelkie przejawy krytyki polityki państwa i partii w takich dziedzinach, jak metodologia badań naukowych, zwłaszcza w naukach społecznych i humanistycznych, polityka kulturalna, wolności twórcze, suwerenność państwowa, stosunki własnościowe czy stosunek do Kościoła i religii. Owa krytyka mogła przybierać formę sporu naukowego, zazwyczaj o charakterze metodologicznym (marksizm a egzystencjalizm, marksizm a strukturalizm itp.), polemiki z oficjalnymi wystąpieniami bądź dokumentami partyjnymi, a nawet zwerbalizowanego protestu (List 34 i inne z lat 70.). Ale nierzadko ujawniała się ona

w twórczości artystycznej, niekoniecznie wprost, tylko w postaci alegorii, wielkiej metafory czy groteskowej deformacji rzeczywistości, żeby w jeszcze większym stopniu uwypuklić jej absurd. O tym dzisiaj, kiedy mowa o rewizjonizmie, najczęściej się zapomina.

* * *

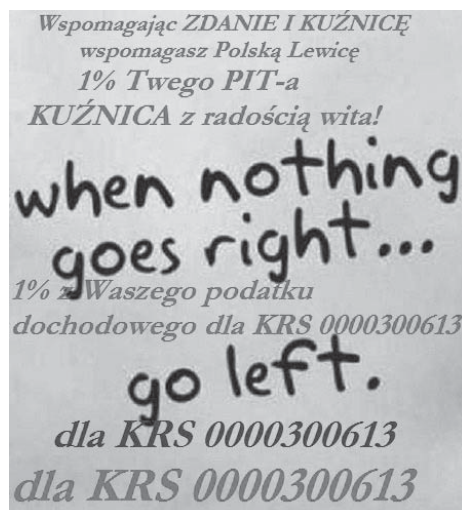
Za przykład niechaj posłuży Jerzy Andrzejewski. Karię literacką zaczynał jeszcze przed wojną jako pisarz poniekąd katolicki, a w każdym razie pozostający pod wyraźnym wpływem Bernanosa i Mauriaca. Doświadczenie wyniesione z wojny kazało mu się pochylić nad lansowanym przez „Kuźnicę” rozumieniem historii jako konieczności dziejowej, ale jako moralista zobaczył w takiej interpretacji dziejów dramat niemal antyczny. O tym jest *Popiół i diament*, gdzie walec historii i nie do pogodzenia racje polityczne niszczą jednostkę. Aliści autor w swej neofickiej gorliwości zdążył także popełnić utwór *Partia i twórczość pisarza*, by wkrótce zrozumieć, że się straszliwie pomylił, podobnie jak Torquemada, bohater jego rozrachunkowej – nie z inkwizycją, tylko ze stalinizmem – powieści *Ciemności kryją ziemię*. Na kilka lat przed burzliwą, a w swej istocie rewizjonistyczną dyskusją wokół rękopisów młodego Marksa i teorii alienacji wiedziony intuicją pisarz pokazał, jak opętająca idea zbudowania Królestwa Bożego na ziemi odrywa się od swojego prawodawcy i wiedzie samodzielny żywot, bo znajduje gorliwych realizatorów, notabene wychowanków Torquemady. A ten, umierając, nie ma żadnej mocy sprawczej, żeby to zbrodnicze dzieło powstrzymać.

Jako rewizjonista kropkę nad i postawił Andrzejewski w *Bramach raju*. Ta wielkiej urody minipowieść nie pozostawia żadnych złudzeń, jaki zamiar przyświecał jej autorowi. Jest to polemika z marksistowską filozofią dziejów, wpisana w historię dziecięcej krucjaty zdążającej do grobu Chrystusa, by go wyzwolić z rąk pogan. Demaskatorska geneza krucjaty odsłania prawdziwy mechanizm jej narodzin: ekspiacja za zbrodnie popełnione w imię słusznej idei, wzajemne homoseksualne fascynacje głównych bohaterów i freudowskie libido jako główny motor ludzkich działań. Natomiast obraz wędrówki dziecięcej gromady w ciemnościach nocy symbolizuje pochod ludzkości do celu, który w istocie jest nieosiągalny. Jest tylko taka czy inna idea, która – jeśli jej ślepo zawierzymy – zaprowadzi nas do samozagłady.

Nie takiej historiozofii uczono wtedy na zajęciach z filozofii marksistowskiej. Ale – o paradoksie! – *Bramy raju* miały w PRL-u kilka wydań, głównie w PIW-ie, a nie w drugim obiegu.

* * *

Powyższe wspomnienia i przemyślenia mnie naszły po dyskusji w „Kuźnicy”, której tematem był *Rewizjonizm i rewizjoniści w minionej epoce*.



Przypominamy, że od 2009 roku **„Zdanie” jest dostępne w sieci empik** w 80. polskich miastach. **Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii.** Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (Kraków, ul. Miodowa 41) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

„Zdanie” jest też w internecie: w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2014) oraz w internetowym Katalogu Czasopism Kulturalnych (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres). Bieżące informacje można znaleźć na stronie internetowej „Kuźnicy” oraz na facebooku.

REDAKCJA

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



Szanowni Państwo:

twórcy ludowi, rzemieślnicy i kupcy, zespoły artystyczne, zespoły pieśni i tańca, kapele, orkiestry strażackie oraz inne instytucje i osoby zainteresowane;
zapraszam Was na następujące imprezy organizowane przez Biuro Międzynarodowych Targów Sztuki Ludowej w Krakowie:

1. 39. Międzynarodowe Targi Sztuki Ludowej

w Rynku Głównym w Krakowie od strony Wieży Ratuszowej w dniach 13-30 sierpnia 2015r.

2. „Kraków i Małopolska na Chmielnej”

(ulica Chmielna 8, siedziba Fundacji „Cepelia” w Warszawie)

Wielki Jarmark Folklorystyczny w dniach 11-13 września 2015r.

3. Kiermasz Pogranicza Kultur

organizowany na Małym Rynku w Krakowie wspólnie z Konsulatami Generalnymi i Honorowymi mającymi siedzibę w Krakowie w dniach 2-11 października 2015r.

Informacje i zapisy przyjmowane są w każdy wtorek i czwartek
od godziny 10 do godziny 15 w Krakowie przy ulicy Słowiańskiej 3, 3p.

Tel./fax. 12 422 19 29, e-mail: tsl@cepelia.krakow.pl

zaprasza

Józef Spisak

Dyrektor Biura Międzynarodowych Targów Sztuki Ludowej



Fundacja

Cepelia®

Polska Sztuka i Rękodzieło

Biuro Międzynarodowych Targów Sztuki Ludowej, Kraków 31-141, ul. Słowiańska 3, tel./fax. 12 422 19 29,
www.cepelia.krakow.pl, www.facebook.com/cepelia.tsl, tsl@cepelia.krakow.pl, spisak@cepelia.krakow.pl,
cepeliatsl@frie4.krakow.pl